

PH. KONTNY, REZERWISTY, MILWAUKEE, USA

ADAM
WIŚNIEWSKI-SNERG
ANIOŁ
PRZEMOCY
I INNE OPOWIADANIA



Adam Wiśniewski-Snerg

Anioł przemocy i inne opowiadania

Anioł przemocy i inne opowiadania

Copyright © by Adam Wiśniewski-Snerg

Redakcja: Paweł Dembowski

Korekta: Katarzyna Derda

Ilustracja na okładce: Jarek Kubicki

Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-65074-11-9

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Życie każdego z nas jest snem jego uwagi, sterującej materialnym ciałem i niepodzielnie skupionej na treści trójwymiarowego widowiska, w którym ciało to bierze udział, zaś śmierć jest powrotem uwagi człowieka do rzeczywistości nieba — gdzie realnie przebywa on przez cały czas.

Adam Wiśniewski-Snerg, Jednolita teoria czasoprzestrzeni

Przerwany film

Toczy się gra, trwa, powstaje film, mijają ujęcia, sceny i nastroje. Ileż to razy?

Kiedyś, siedząc w fotelu na sali kinowej, wpatrzony w ekran, na którym postać filmowa opuszcza pokój i zamyka za sobą drzwi lub znika w jakikolwiek inny sposób (wychodząc poza ramy eksponowanego ujęcia), nie zastanawiałem się nigdy, co się z nią dalej dzieje — to znaczy, jaki jest los samej ekranowej postaci, a nie aktora, który ją grał.

Wyszedłem z kadru — znalazłem się poza ekranem, choć gra toczy się, chociaż film trwa nadal, ja już nie biorę w nim udziału.

Zobaczyłem ich około południa na łagodnym stoku Tengar Wening, w rejonie plenerowych zdjęć do trzeciej sceny „Dopełnienia”. Ujrzałem ich bardziej wyraźnie niż kiedykolwiek: na tle rumowiska muru, wyżłobionego tysiącletnimi ulewami, który liczył sekundy dzielące go od ostatecznego kresu — wszystkich zatopionych w czerni długich cieni, gdy znieruchomieli w pozach dotąd jeszcze zgodnych z kolejną sekwencją. Zastygli w naturalnym, bardzo ostrym słońcu, które zgasło nagle w zestawieniu z tamtym świtem, w porównaniu z upiornym blaskiem tamtego najjaśniejszego ze wszystkich wschodów.

Powiedziano mi potem, że w tamtej — pamiętnej tylko dla mnie — chwili spytałem podniesionym głosem:

— Co to?

A kiedy grali dalej, bez żadnego sensu, w czasie długiej horyzontalnej panoramy ryknąłem na całe gardło coś, czego już nikt nie był w stanie mi powtórzyć. Przy milczeniu reżysera (Yoren przyjrzał mi się tylko smętnym wzrokiem) Zoffi uznał, że przebrałem miarę, i tak jak wszyscy pozostali zupełnie nieświadom grozy naszego położenia, wyprowadzony z równowagi moim dziwacznym wybrykiem — jak się wyraził — pozwolił sobie na uwagę, której w innych okolicznościach nigdy bym mu nie darował:

— Można wiedzieć, panie Hanis — spytał ostro — czemu przy czwartym dublu na planie otwiera pan wrota gębowe przed stopem?

Milczałem w osłupieniu.

— Zdaje się, że pańska obecność w ogóle jest tutaj zbędna, co wreszcie wyraźnie stwierdzam — dodał, a ja wciąż nie rozumiałem sytuacji.

Pamiętam dobrze, co się przedtem działo: Enet wspominał kiedyś o ciężko okaleczonej kobiecie, która przez wiele miesięcy po lądowaniu zdemolowanego samolotu mdlała ze strachu na widok każdej postaci unoszącej się z krzesła, tylko dlatego, że ów ruch nieodwołalnie kojarzyła z obrazem zamachowca wstającego z fotela z ładunkiem dynamitu w rękach. Mężczyzna zdążył oświadczyć pasażerom, że zamierza zmusić pilota do zmiany kursu w celu uprowadzenia samolotu, gdy nagle źle zabezpieczona bomba eksplodowała mu w dłoniach. Tak i ja teraz — obłądnie — w mechanicznej kolejności zdarzeń, pośród zwyczajnych czynności dnia zdjęciowego doszukiwałem się usilnie ostatniej przyczyny tego, co jednak leżało daleko poza nami.

Najpierw nasunął mi się głos Toma Yorena, który kilka minut wcześniej zwrócił się do Liny Kliz:

— Stop! Lyna, wyszłaś z kadru, ale to nie wszystko.

Wtedy Tonsen odezwał się ze swego miejsca. Burknął bez entuzjazmu i spytał donośnie:

— Więc jak? Przejedziemy się jeszcze raz?

Na to Yoren podszedł w milczeniu do operatora.

— Ray! — zawołał stamtąd. — Wiesz, co mam na myśli? Do licha, trzymajcie się jakoś.

Ray Enet skinął głową. Przeskoczył szyny, po których łagodnym łukiem toczył się wózek tam i z powrotem aż do kępy drzew. Razem z innymi aktorami podszedł pod kamienny mur.

— Gotowi?

— Jest! — rzucił Tonsen. — Grajcie.

— Cisza na planie!

Świerszcze cykały w trawie.

Miałem wciąż w oczach obraz tamtej sceny: rozbijałem ją na drobne w poszukiwaniu jedyne właściwego cięcia, oddzielającego bajeczną fikcję od upiornej rzeczywistości, uparcie i z popłochem przerażonego montażysty, który po omacku tnie taśmę na kawałki, gubi się w szczegółach i nie znajdując początku ani końca, skleja ją na chybił trafił w

naiwnej nadziei, że kolejnością ujęć w sekwencji pokieruje szczęśliwy los.

Kilka osób z personelu pomocniczego ekipy opalało się na leżakach lub kocach rozłożonych daleko poza planem. Goła skóra ich ciał skąpana w białym żarze spęczniała potem w mgnieniu oka i koszmarnymi, szkarłatno-fioletowymi bąblami gotowała się na nich i piekła, ledwie — żywi jeszcze — zdążyli poderwać się z miejsc. Bliżej dymiło ognisko rozpalone przekornie, na złość Zoffiemu przez Raya Eneta: to chyba Pet, pochylony nad nim, od płonącej gałązki przypalał sobie nieodłącznego papierosa, podczas gdy pasemka dymu rozwiewały się przed obiektywem — to jedno przynajmniej było całkiem nieistotne. Słyszałem też brzmienie czystego akordu:

Muriel trąciła struny gitary, a potem głos uwiązł jej w krtani, kiedy w płonącej sukience zaśpiewała jeszcze:

... smutek ten wierny pies...

Spojrzałem na rząd foteli lśniących szeregiem niklowanych uchwytów poza szybami górnego pokładu cinemobilu i przeniosłem wzrok na rozbebeszony agregat, skąd biegły ku nam zwoje czarnych kabli. Wszystko kłębiło mi się w myślach: cisza na planie w słoneczną noc przed strasznym świtem, głęboka ciemność w pełnym blasku dnia zlały mi się w jedno z błękitem czystego nieba, który zakreślał granice brunatno-zielonej równiny, wspierając się na północy o łańcuch sinych gór. Wiał lekki ciepły wiatr. Tylko Yoren obejrzał się za siebie i spojrzał TAM.

— Kamera!

Terkot i klaps.

— Scena trzecia, ujęcie szesnaste, dubel czwarty.

Ten cichy terkot miał już trwać aż do nieskończoności.

Najtrudniej mi było prześledzić ostatnie sekundy. Widziałem tęgą sylwetkę Zoffiego rozkraczonego na kanistrze z książką zdjęć w garści, którą jak zwykle — przy doskonałej znajomości scenopisu — bez żadnej rozsądnej potrzeby ciągle miętosił i mordował na planie, podkreślając tekst wyszlifowanym paznokciem w ślad za biegiem akcji. A czynił to z pocieszną miną pomazanego przez wytwórnę najwyższego cenzora, który najlepiej wie, czego oczekuje widownia i przy którym reżyser ma być ślepym narzędziem zobowiązanym do przyjmowania modlitewnej

pozy wobec wszystkiego „co stoi w piśmie”. Zobaczyłem go w tej pozie tuż przed samym błyskiem, zanim wpadł całym ciałem w ognisko ekranu słonecznego, obróconego przypadkiem w jego stronę, jeszcze przed miażdżącym ciosem czoła głównej fali uderzeniowej. Zwijał się tam w agonii przez całe piętnaście sekund: teraz było mi go żal mimo wszystko, choć rozbeczał się jak stara baba, kiedy z kredowobiałą twarzą nagle ożywionego trupa wracał stamtąd razem z innymi niedowiarkami biegiem, byle prędzej zejść ze strefy radioaktywnego piekła — poza to zdumiewające cięcie, które ostrą linią oddzielało rozległe cmentarzysko od oazy kwitnącego dalej życia, bo wtedy dopiero naprawdę uwierzył, gdy w nieforemnym kształcie rozpoznał samego siebie.

Ale to nie z jego obrazem w oczach zaskoczył mnie koniec świata. Każdy na swoim miejscu i przy swoich gratach — staliśmy wszyscy poza planem szesnastego ujęcia, na marginesie „Dopełnienia”, wszyscy zaprzątnięci różnymi czynnościami, utrwalającymi przebieg akcji, gdyż w tamtej, ostatniej już minucie życia na krawędzi termojądrowej zagłady liczył się tylko jednostajny terkot kamery i realizacja tuzinkowego scenariusza, ważny był tylko film ze sławną i rozpieszczaną przez producentów Lyną Kliz i z zaangażowanym w ostatnim dniu przed wyjazdem na zdjęcia plenerowe Rayem Enetem w rolach głównych.

Przegapiłem gwałtowną scenę z planu ogólnego tuż po rozjaśnieniu. Trwał najazd na postać kobiety z planu średniego do wycinka twarzy. Szerokie rondo kapelusza i detal — ręka z pierścieniem zaciśnięta przy ustach składających się do krzyku (Yoren westchnął przy tym z ponurą miną). Wzniesienie z panoramą w czasie małego odjazdu (jakie łamańce mógł wyprawiać Tonsen na swym nowym wielocineskopie!) i stamtąd perspektywa ptasia poprzez obcięte kadrem plecy zbója z koltem w dłoni. Strzał. Po krótkim szwenku przez rozwichrzony dymek nurkowanie do perspektywy normalnej. Odjazd kamery ukazuje drugiego uzbrojonego zucha. Pierwszy tymczasem skacze z muru. Wymiana strzałów. Prowadzenie za uciekającym na tle wysmukłych drzew (bardzo malowniczych), aż do samego wozu, gdzie mimo osłony zorganizowanej przez całą bandę trafia go celna i (tu mała satysfakcja) najzupełniej zasłużona kula. Wreszcie wolna, horyzontalna panorama do ujęcia statycznego na postaci Muriel, śpiewającej swój kawałek przy akompaniamencie gitary.

W tym ujęciu nie było stopu.

W jaśniejszym od dziesięciu słońc biało-liliowym błysku, który wdarł mi się na dno źrenic i boleśnie smagał wszystko, co żyło aż po sam widnokrąg widziany z najwyższego lotu ptaka, ujrzałem swój smolisty cień otoczony lustrem pulsującego szkliwa.

— Co to!

Kto nie spojrział w tamtą stronę w owej chwili! Cień został na miejscu. Zdarzenia biegły szybciej od skamieniałych myśli. Zdążyłem wykonać ćwierć obrotu. Słyszałem w ciszy szmery i syki, podczas gdy ciało gryzły mi jadowite dreszcze. Zabłąkany zapach dzikich kwiatów snuł mi się wokół nabrzmiałej twarzy. W ułamku sekundy nastąpiła inna pora roku. Stałem na bezkresnej śnieżno-błękitnej pustyni, momentalnie przeniesionej tu spoza koła podbiegunowego. Wrażenie błyskawicznie pogłębiającej się pustki potęgowało się i w końcu sparaliżowało mnie na miejscu: pochodziło z gwałtownej zmiany zarysu drzew, których liście jakby przez płynne przenikanie jednego obrazu na drugi — więdły w oczach i zwijały się w popielate, ulotne wiórki. Soczysta zieleń znikła. W miejsce zwarte jeszcze przed kilkoma sekundami gąszczy świeżych liści wyłoniły się zwęglone widma gołych drzew. Na obnażonych bezgłośnym tchnieniem konarach pełzły już gęste dymne pokrowce. Oślepiająca lawina światła lała się sponad horyzontu na śmiertelnie porażoną ziemię. Stałem tyłem do źródła.

Wtem — z wielokrotnym trzaskiem — wszystkie gałęzie stanęły w ogniu. Dopiero ta głucha — przecież wcale nie najgroźniejsza i powtórzona przez odbite od gór echo — salwa buchających zewsząd płomieni, ogarniających wszystko, co nie miało twardości skały, wyrwała mnie z głębokiego osłupienia. Ale na ratunek było za późno już po upływie pierwszej sekundy. W kręgu prześwieconych promieniowaniem ciał nie było żadnego bezpiecznego cienia, masywne osłony antyradiacyjne znajdowały się w zbyt wielkiej odległości. Ubranie już na mnie płonęło. Powinienem paść twarzą na piach i tarzać się za jakimkolwiek występem, lecz świadomość że umieram dostarczyła obłądnej ekstazy znieczulającej ból i uśpiła we mnie wolę życia, nawet odruch samozachowawczy. Wiedziałem, że za kilka sekund wszystko minie na zawsze i zgaśnie, zmiecione z powierzchni ziemi huraganowym ciosem wichru. Runie na nas czoło powietrznej fali uderzeniowej,

rozlecimy się na strzepy w imadle nieopisanego nadciśnienia i nigdy nie usłyszymy grzmotu, który targnie atmosferą nad naszymi szczątkami, wstrząsając rozległym obszarem kontynentu. Grzmotu, który włókł się z epicentrum ze ślamazarną prędkością dźwięku.

W kolejnym ułamku sekundy, kiedy oślepiony blaskiem obejrzałem się w końcu poza siebie, nad popielatym krajobrazem zapanował półmrok księżycowej nocy. Lazurowe niebo przybrało nagle ciemnogrnatową barwę. Źródło białego żaru zgasło, zaś wielokrotnie ciemniejsze od niego słońce — przez silny kontrast po błysku tamtego flesza — zamieniło się w anemiczną latarkę. Przez latające mi przed oczyma płaty ujrzałem w dali ponad chwiejnym horyzontem obraz dobrze znany z filmowych migawek: mrozącą krew w żyłach panoramę eksplozji nuklearnej. Wygaszone już jądro kuli ognistej wypaliło w globie ziemskim obszar o przerażających rozmiarach: trzon gigantycznego grzyba sięgał stratosfery, dźwigając nad sobą niebotyczny kaptur. I, chociaż znajdowaliśmy się w wielkiej odległości od epicentrum wybuchu, którego podstawę przesłaniała nam krzywizna ziemi, musiałem unieść oczy, by sięgnąć wzrokiem do samego szczytu skłębionej w dali góry.

Wszystko to do reszty poraziło mi gasnącą świadomość, ale w ostatnim jej przebłysku zauważyłem jeszcze przed sobą coś w najwyższym stopniu zdumiewającego, co kłóciło się z moim wyobrażeniem o fazach termojądrowej eksplozji.

Przy samym kraterze, gdzie otoczona pancierzem powietrza sprasowanego do twadrości stali przeżyła się kolumna oszalałej materii, błysnęła laserowym ostrzem jadowita iskra. Nim zgasła, w doskonałej ciszy, spiętrzonej do granic wytrzymałości przed rykiem rozdzieranej przestrzeni, atomowy słup osunął się całą swą długością w dół — do wnętrza wyrwy. Ziemia zapadła się jeszcze głębiej. W krótkotrwałej pustce ponad kraterem pojawiło się nagle coś żywego, jakby drżąca kropla rtęci uwiązana w środku pęcherza wytłoczonego wewnątrz gruntu, który rozciągnął się płynnie nad wszystkim, czego przedtem nie strawił błysk. Po chwili srebrna kopuła pęcherza, rosnąc w zawrotnym tempie, osiągnęła rozmiary podniebnej góry i dotarła równocześnie swą powierzchnią aż do naszych stóp, gdzie się zatrzymała.

Stałem najbliżej ostrej krawędzi granicznej: tuż pod nieskończoną płaszczyzną lustra. Widziałem w nim swoje odbicie — żywą pochodnię

przewiazaną wstęgami siniego dymu; objęte ogniem postacie miały się w popiele poza rozgrzaną do czerwoności blachą filmowego autokaru. Na plecach czułem płomień. Zdołałem utrzymać się na nogach do tej właśnie chwili, aby — jako jedyny świadek błyskawicznego rozwoju zdarzeń — dostrzec po raz ostatni gasnące oczy i wreszcie całe odbicie swego martwego ciała akurat w momencie, gdy na tle spustoszonego pejzażu w księżycowej poświacie słońca osuwało się bezwładnie na rozpalony piach.

Tak było tam — w głębi doskonale czystego zwierciadła, a raczej we wnętrzu półprzestrzeni ograniczonej jego niewiadomą powierzchnią, która była płaszczyzną symetrii odwzorowania przestrzennego naszych ciał i całego sprzętu filmowego włącznie z autokarem. Tak było tylko tam! Ponieważ nagle — żywy, jak na ułamek sekundy przed samym błyskiem, nienaruszony i przytomny, chociaż z pełną świadomością minionego cierpienia i grozy, unieruchomiony ostrym wstrząsem rozpoznania i zdumienia skłębionego z trwogą — zrozumiałem, gdzie naprawdę jestem i dlaczego bez przeszkód i do końca mogłem zobaczyć wszystko, również własną agonię i śmierć.

Znajdowałem się tutaj — poza lustrzaną powłoką gigantycznego pęcherza, czyli po drugiej stronie gigantycznego łuku, który przy podstawie niknącej już kopuły rozcinał powierzchnię ziemi, dzieląc na niej cmentarne popioły i zgliszcza od oazy wskrzeszonego nagle życia. Obróciłem się poza siebie jeszcze raz. Jak na komendę, wszyscy ludzie, ilu ich było w ekipie Yorena, odwzorowani w bujnej trawie względem tej samej płaszczyzny przekształceń, unieśli się ze swych agonalnych miejsc. Powstali równocześnie i z niezwykłym skupieniem odmalowanym na zahipnotyzowanych twarzach, jakby w lunatycznym transie, zajęli porzucone stanowiska przy zmaterializowanej wiernie aparaturze filmowej oraz na planie — najwidoczniej po to, by kontynuować przerwane zdjęcia. Nie zauważyli, co się stało. Działali jednak z całą stanowczością. Jakaś siła bezwładności czy potężna sprężyna bez udziału świadomości dociągała ich do poprzedniej sytuacji, mimo że nie miało to już sensu. Bezmyślne twarze ożywił jednostajny terkot uruchomionej kamery. Ten groteskowy obraz wyprowadził mnie ostatecznie z równowagi. Krzyknąłem na całe gardło, lecz głos załamał mi się w nieartykułowany ryk.

Kamera stanęła. Yoren przyjrzał mi się smętnym wzrokiem i rzucił obojętnie:

— Dość! Zwijamy manatki.

Za to Zoffi, któremu w tych okolicznościach zebrało się na dłuższe kazanie (i po tym poznałem, że się nie zmienił), syczał w moją stronę ze swego kanistra. Przyskoczyłem doń i brutalnie obróciłem mu głowę, by spojrzeć tam, gdzie w czarnych pióropuszcach dymu dopalały się nasze autentyczne ciała i gdzie konała cała ziemia w objęciach realnej śmierci.

Wtedy dopiero wytrzeszczył oczy, zbladł i skamieniał mi w uchwycie drżących rąk.

Jest dzień. Jest jeden z tych zwyczajnych dni, kiedy budzę się ze snu nagi na lodowej krze lub w tłumie przechodniów na płytach ulicznego chodnika. Ludzie mają kamienne twarze. Widzę ich ponad sobą, gdy omijają mnie długim szeregiem. Wszyscy z cukierkami w ustach poruszają szarymi wargami i przełykają ślinę. Zrywam się wtedy z myślą o ratunku bezpiecznego ukrycia i chyłkiem drapię ściany u podstawy niebotycznych wież lub z rękoma na gołym brzuchu przeskakuję wstęgę bieżni w poszukiwaniu kępy krzaków. Lecz tam nie znajduję oazy. Kiedy indziej — jak właśnie dziś — otwieram oczy wśród gęstwiny drzew, w samym środku rzeczywistego legowiska. Tutaj nie od razu unoszę się z ziemi. Najpierw wodzę ręką dokoła siebie, by otoczyć i przyswoić jakiś kształt, cokolwiek, co sprowadza zmysły do granicy czucia. Nigdy nie patrzę w dal, gdyż nie mam zaufania do świadectwa wzroku. Otula mnie wiatr i ciepło.

Zatem jest dzień. Jest jeden z tych szczęśliwych dni, które chciałbym uwięzić w klatce. Znajduję szorstki owal pnia, nacinam go paznokciem i węszę. Potem sięgam po cierń i znajduję ból. Oto biała rysa i kropelka krwi. Dopiero wtedy szeroko otwieram oczy. Otwieram je na świeżą zieleń traw i na zakola czystej miedzi uformowane w piasku. Badam zmysłami każdą woń i każdy smak, patrzę na biały dom, jaśniejący oszklonym parterem w południowym słońcu, na obciążoną pomarańczami gałąź, która kołysze się w górze na tle głębokiego błękitu nieba, słyszę, gdziekolwiek drgnie najlżejszy szmer, gdy źdźbło ociera się o źdźbło i brzęczy owad w sennej ciszy lata. Krótkie są godziny jawy. Choć wciąż zajmuje mnie tak wiele spraw. Główny nurt czasu — zdaje się

— upływa mi na nieustannym poszukiwaniu nowego legowiska. Nie znam granic ogrodu i wcale nie myślę o nich, przynajmniej staram się nie myśleć. Błąkam się wkoło białego domu, obracam w dłoni klucz i wciąż czegoś nie mogę się doliczyć. Dzisiaj smak wina czuję w nagrzanym powietrzu.

Bywa, że razem ze mną budzi się jeszcze ktoś inny: co jakiś czas ktoś unosi się z trawy, ktoś inny wstaje od stołu na piętrze, by wyrzeć przez uchylone okno. Powtarzają się sceny pozdrowień. Nie wymieniamy spojrzeń wprost: czekam, aż tamten wzrok obejmie moją twarz i zgaśnie utkwiony w ziemię, bym mógł z kolei unieść własne oczy na jego twarz czy jego całą postać. Ubrania nasze nie noszą śladów minionych nocy: niekiedy — w głębszym przebłysku świadomości — wydaje mi się, że wyglądamy coraz bardziej uroczyście. Mężczyźni i kobiety podzieleni na niewielkie grupy śpią między smugami barw rozrzuconymi przez konary drzew. Niektórzy spoczywają na pościeliach z koców. Inni zajmują miejsca pod gałęziami lub na trawie w pełnym blasku słońca. Ci, których sen zaskoczył w koktajlbarze poza szybami parteru, jak również ci, którzy zmieniając miejsca trwałej nieświadomości, przechodzą tam na bliżej nie określony czas pobytu — wszyscy wspierają głowy gdzieś przy balustradach, na brzegach stolików wśród naczyń z resztkami jedzenia, kryją twarze między kieliszkami wina lub słaniają się na wysokich stołkach, ustawionych w podkowie dookoła baru.

Owady brzęczą w sennej ciszy lata. W dzień ludzie śpią najczęściej z otwartymi oczami. Kobiety spoza rozsypanych włosów porównują barwy paznokci i rzęs z bladym wspomnieniem dawno już przebrzmiałego balu, mężczyźni — wsparci na pięściach przyłożonych do skroni — liczą minione sceny i nastroje, jedni wchłaniają kształty szklistym wzrokiem, inni drżą w niemym ożywieniu, zapatrzeni w siebie lub lepką od soków zieleń, która otula biały mur i zagląda agresywnie przez okna, pozostali z liczby wahających się na krawędzi jawy rozmawiają szeptem w chwilach największego napięcia, niektórzy — o różnych porach świtu i zmierzchu, gdy wywołany ptasim krzykiem, ciosem spłoszonych skrzydeł wraca z piętra muzyczny motyw balu — ludzie znów jedzą i piją lub palą papierosy na wietrze, gdzie słońce utartym szlakiem kreśli swój codzienny łuk w błękitnej toni nieba, czasem ktoś szuka kogoś, znajduje, oddycha z ulgą i niemy nieruchomieje

obok.

Pozornie — pustka: jest tak, jakby nas tutaj nie było. Jakby nie było wcale rzeczywistości powtórzonej w myślach i jakby myśli same żyły, obejmowały się z miłością albo walczyły między sobą o coś niewiadomego. Wątki rwą się, wrażenia kłębią, pamięć goni za najtrwalszym śladem, gdy uwaga traci rachubę godzin. Ale nasz sen — głęboki czy płytki — nie ma nic wspólnego z rodzajem tego fizycznego omdlenia, jakie powala na ziemię umęczone zwierzę: my tylko zewnątrz jesteśmy tacy nieobecni.

Rozglądam się wokoło siebie i poprzez widma wielu dni widzę wciąż twarze znajomych ludzi. Patrzą na nich z uwagą wzrastającą z godziny na godzinę i graniczącą już z lękiem, a oni — również czymś zaniepokojeni i, zdaje się, coraz bardziej czujni — spoglądają z kolei na mnie swymi szklistymi, tak samo nic nie widzącymi oczami.

Ciąg zdarzeń

Zjechał z drogi, zakręcił na betonowej płycie i zatrzymał samochód. Przednie koła wzburzyły wodę płytkiej kałuży. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył, jak rozkołysana woda uspokaja się stopniowo, odbijając coraz wyraźniej obraz kilku nie wygaszonych okien. Począł, aż drżąca powierzchnia wygładziła się zupełnie, a odbita w niej pionowa ściana szkła i betonu przybrała rzeczywisty kształt i barwę; wtedy zgasił reflektory i sięgnął ręką do kieszeni. Lecz kiedy wyciągnął z paczki papierosa i włożył go między suche wargi, druga ręka, którą uniósł po zapalce, zatrzymała się na moment i zamiast pójść drogą poprzednio wytyczoną, opadła na kolano. Z twarzą przyciśniętą do chłodnej szyby, ze spojrzeniem, które niczego nie poszukiwało, patrzył w nieprzenikniętą ciemność nocy i tak znieruchomiał licząc upływające sekundy.

W jednym z licznych mieszkań na dwudziestej dziewiątej kondygnacji paliła się zapomniana świetlówka. Uformowany prostokątnym kształtem niewielkiego klosza snop ostrego światła przecinał przestrzeń przedpokoju i przez szparę w niedomkniętych drzwiach przenikał dalej w głąb sypialni. Tu załamywał się na jakimś przedmiocie i dalej biegł rozszczepiony na dwie wiązki: jedna ślizgając się po poduszce biało-niebieską pręgą przecinała twarz śpiącego mężczyzny, druga oświetlała fragment nocnego stolika. Mężczyzna obudził się, rozejrzał się po pokoju, potem znieruchomiał ponownie i wstrzymując oddech wsłuchiwał się w dzwoniącą ciszę. Jeszcze raz rozejrzał się uważnie. Pozornie nic nie wskazywało na jakąkolwiek zmianę. Popielniczka z kilkoma niedopałkami papierosów, filiżanka z niedopitą kawą, stos książek, a wreszcie rękopis pisanej pracy — wszystko znajdowało się na swoim miejscu jak przed jego zaśnięciem. Zastanowiło go. czemu błądzi wzrokiem po znanych przedmiotach, ogląda je bacznie i nieufnie, jak gdyby w ich położeniu spodziewał się znaleźć odpowiedź na dręczące go pytanie — czemu spośród wielu możliwych sposobów wybrał nieświadomie jeden z najbardziej bezsensownych. Nie mógł się przecież spodziewać, że to, co ogląda

zastanie w innym stanie niż na to wskazywał zdrowy rozsądek. Więc gdzie należało szukać i czy w ogóle należało szukać, a jeżeli tak, to dlaczego, skoro — jak o tym donosiły mu zmysły wszystko było w należyty porządku. A jednak przed chwilą zaszła jakaś zmiana, był tego pewien, chociaż nie potrafił jej nazwać ani zlokalizować. Jego analityczny umysł skłonny do roztrząsania każdego, nawet najbardziej niedorzecznego, byleby tylko ciekawego problemu, chętnie by się oddał analizie tego — jak sądził — urojenia, gdyby nie to, że trzeba było skończyć pracę. Był zbyt leniwy aby wstać, miał niski stół, który przysuwał do tapczanu i pisał w pozycji leżącej. Zapalił lampę.

— Jestem zmęczony — pomyślał — skończę to szybko i odpocznę. — Po kilku minutach uspokoił się zupełnie. Całą uwagę skupił na pisanej pracy. — Czy oni zechcą to zrozumieć? — zastanowił się. — Robię wszystko co w mojej mocy, aby praca była zwięzła i jasna, reszta zależy od ich dobrej woli. Pod wpływem tej ostatniej myśli opanowały go wątpliwości, ale już po chwili odrzucił je: — Przecież używam jedynie słów jednoznacznych, żadne nie może budzić wątpliwości, każde da się z łatwością zdefiniować.

Pisał: „Teraz”, chciał napisać: „Teraz nie mogę jeszcze przewidzieć wszystkich skutków tego, co zaobserwowałem”, jednak napisał tylko „teraz” i przerwał, bowiem wydało mu się, że nie jest pewien, co pod tym słowem rozumie. — Zabawne — myślał — Używam tego słowa niemal codziennie, a czy potrafiłbym określić, co pod nim mam na myśli? Przecież nie powiem „teraz, to znaczy teraz”, ani też nie powiem, że to znaczy obecnie. Więc, co to znaczy? Często nie mamy żadnych wątpliwości co do trafności podziału, gdy czas dzielimy na trzy strefy: na okres czasu, który już był, na ten, który jest teraz i wreszcie na ostatni, który dopiero nastąpi. A więc na czas przeszły, teraźniejszy i przyszły. Lecz pod względem długości trwania nie wszystkie są sobie równe: skrajne — nieskończenie długie, a środkowy... Czy aby na pewno czas teraźniejszy w ogóle istnieje? Gdy mówię: „teraz jest godzina dwunasta”, to rozumiem pod tym już nawet nie nieskończenie krótki ułamek sekundy, lecz punkt matematyczny na osi czasu. Owo „teraz” jest dla mnie jak gdyby płaszczyzną przesuwającą się w przestrzeni czasu, płaszczyzną leżącą na styku przeszłego i przyszłego, która jest jedynie granicą dwu stref, a sama ma grubość równą zeru. Lecz wiadomo

przecież, że aby dokonało się jakiegokolwiek, chociażby najbardziej krótkotrwałe zdarzenie, potrzebny jest do tego długi lub krótki, ale jednak ściśle określony okres czasu.

Czas trwania zdarzenia mierzymy w jednostkach czasu — w ten sposób wyodrębniamy między innymi początek zdarzenia i jego koniec. W jaki więc sposób cokolwiek, co trwa, może się zmienić w strefie czasu teraźniejszego, skoro czas jego trwania wyrażony w dowolnych jednostkach wynosi zero? Gdy coś już nie jest — bo było przed ułamkiem sekundy — to znaczy należy do czasu przeszłego, gdy coś jeszcze nie jest — bo będzie za ułamek sekundy — to znaczy należy do czasu przyszłego. Wszystkie zdarzenia można tak sklasyfikować. Czyż wobec tego cokolwiek może się dziać „teraz”? Zamiast mówić: „teraz jem” należałoby raczej powiedzieć „przed chwilą jadłem” i „za chwilę będę jadł”, co brzmi jak dewiza bezwstydnego obżarstwa, jednak jest w tym i żałosna nuta, bowiem wprowadzie jadłem przed chwilą a w perspektywie mam zapewniony dalszy ciąg uczyty, to jednak ta świetlana przeszłość i obiecująca przyszłość nie zmieniają w niczym oczywistości tego faktu, że teraz nic nie jem. A któż w dziedzinie kulinarnej zadowolony jest tym, co już było lub dopiero będzie, tym bardziej, że przyszłość choć słodka jest nieosiągalna, ponieważ przejdzie bezpośrednio w przeszłość?

Tak rozmyślając brnął coraz bardziej w absurd, wykorzystywał każdą sposobność aby się wykręcić od czekającej go pracy, do której z przedziwnych powodów coraz bardziej tracił ochotę.

— W świetle powyższego nieodparcie nasuwa mi się pytanie — myślał dalej, w której strefie czasu znajduję się teraz? Jeżeli nie zaprzeczę temu wszystkiemu, co sobie uświadomiłem, to będę musiał zgodzić się z tym nedorzecznym faktem, że teraz mnie nie ma, ponieważ moje trwanie składa się ze zdarzeń, a żadne z nich nie jest w stanie zmieścić się w teraźniejszości. W takim razie kiedy jestem? — Skoro nie mogę zmieścić się na zbyt wąskiej granicy, to po której stronie jestem: po tej, czy po tamtej? Raczej jestem po obu stronach jednocześnie, w części wśród tego co było, a w części wśród tego co będzie. Oto wreszcie rozumiem, czemu nie mam żadnego wpływu na to co robię, czemu z obiektywnego punktu widzenia jestem zdeterminowany. Nie mogę przecież zmienić tego, co było, ani wpłynąć na to, co będzie. skoro nieopatrznie odebrałem sobie teraźniejszość i spowodowałem, że czas

przyszły bliski omijając strefę możliwego wpływu na bieg wydarzeń przechodzi bezpośrednio i nieodwołalnie w czas przeszły dokonany.

— Zobaczmy, co o tym zagadnieniu sądzi komputer — pomyślał bez entuzjazmu. Wstał z tapczanu i wcisnął przycisk załączenia. Kolejno zadawał nurtujące go pytania, ale odpowiedzi komputera były w swych tłumaczeniach coraz bardziej ospale, zagmatwane i niechętne; często zmieniał temat, milkł, gdy poruszał najbardziej istotne zagadnienia albo uciekał się do różnych wybiegów i uników. Jego zachowanie było takie samo jak przed kilku dniami, gdy zaczął zadawać mu pytania, które były kontynuacją wielu prowadzonych wcześniej wątków tematycznych i którym nadal kierunek zmierzający do określenia ostatecznego motywu jego wysiłków. Sformułowanie tego pytania nie przyszło mu łatwo. Kiedy wreszcie znalazł odpowiednie słowa, nosił je w sobie przez długi czas nie wypowiadając ich w obawie, że usłyszana odpowiedź zawierać może prawdę rujnącą w jednej chwili porządek jego świata. Ale taki pełen napięcia stan rzeczy nie mógł długo trwać. Wszystko bowiem co dotąd usłyszał, dość wyczerpująco odpowiadało na pytanie, co należy robić, aby utrzymać się przy życiu i uczynić je możliwie najwygodniejszym; nie tłumaczyło mu natomiast w jakim celu miał to życie zachować.

Pytanie padło, natrafiając na niespodziewany opór.

— Nie ma takiego pytania — usłyszał w odpowiedzi.

— Jak to nie ma, skoro je postawiłem?

— Nie każdy pozornie przejrzysty i opatrzone znakiem zapytania szereg słów można zaliczyć do grupy pytań — odpowiedział komputer.

— Użyłeś słowa „sens” kładąc na nim akcent, ale w jakim znaczeniu użyłeś tego słowa?

Nie był przygotowany na ten unik. Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— Działanie ma sens... — zaczął niepewnie — gdy prowadzi do... — chciał powiedzieć „do sensownego celu”, ale w porę się spostrzegł, że wpada w pułapkę — gdy prowadzi do jakiegoś celu.

— Co znaczy „jakiegoś celu”?

Jak zwykle komputer próbował go zmęczyć przy pomocy głupawej analizy terminów. Naraz dostrzegł furtkę:

— To właśnie chciałbym wiedzieć: do jakiego celu prowadzi życie?

— Innymi słowy chcesz poznać swoją przyszłość.

A więc znów wybieg.

— Nie! Nie zależy mi na tym, aby się dowiedzieć, jaki rodzaj śmierci przypadnie mi w udziale ani na żadnych innych szczegółowych przepowiedniach. Wiedza o tym co będzie, nie rozwiąże moich wątpliwości. Znam losy wielu ludzi i wiem, że po kolejnym wysiłku, niezależnie od tego, jakie przedtem pokonali trudności aby ocalić życie, nie potrafili ominąć śmierci. Wszyscy wiedzieli doskonale, że w końcu musi ona nadejść, a mimo to — ten fakt właśnie napełnia mnie największym zdumieniem — nie szczydzili sił, budując swój fikcyjny świat, fikcyjny przez to, że pozbawiony sensu.

— Mylisz się, bo właśnie fakt, że świadomość mniej lub bardziej odległego końca nie przeszkadzała tym ludziom w przeżywaniu szczęśliwych chwil lub w tworzeniu szczęśliwego jutra, a nawet jeszcze bardziej mobilizowała ich do skupienia i wysiłku, świadczy najwymowniej o tym, że nie utożsamiali śmierci z klęską, nawet wbrew temu, co sami mówili na ten temat. Prześledź ich życie uważnie, a sam zauważysz, że wbrew głoszonym przez nich teoriom, w praktyce zachowali się najczęściej tak, jak gdyby tyle się dla nich dokonało sensu, ile ubiegło im czasu. Popełniasz błąd, gdy sens utożsamiasz z ostatecznym celem i razem lokalizujesz je gdzieś daleko przed sobą. Sens bowiem rozbity jest na miliony najdrobniejszych zdarzeń. Spróbuj za nim nadążyć, kiedy rozwija się wzdłuż całej drogi upływającego czasu, dokonuje się w chwili obecnej, poprzedniej i następnej przybierając różne formy, zawsze skłonny do pozostania w ukryciu w cieniu wielu pozorów, niż do hałaśliwego wybijania się ponad te pozory. Żeby go odtworzyć, trzeba by opisać wszystkie możliwe historie, i te które się już zdarzyły, i te również, które mogłyby się wydarzyć. A nawet wtedy utrwalaona zostałaby tylko część tego sensu, bo każdą historię można pogłębić w nieskończoność.

— Tyle wiem na temat sensu. A cel?

— Sądzę, że przekonałem cię, że nie ma jednego sensu, choć cel może być ten sam. W historiach znanych tobie i mnie każdy cel ma tylko takie znaczenie, że nadaje określony kierunek działaniu, które bez niego byłoby chaosem nieuporządkowanych zdarzeń. Ale liczy się tylko samo dążenie, droga poprzez sens. — Cel zaś... ostateczny cel, może być nieskończenie odległy — tak daleki, że nie sprecyzuje go żaden termin.

Przy tym wszystkim, nie musi być przejrzysty ani jednoznaczny. Jak już podałem, wypełnia swoje zadanie, kiedy nadaje kierunek działaniu, gdy w jakiś mniej lub bardziej zawiły sposób porządkuje elementarne zdarzenia. I na tym już kończy się jego rola. Jeżeli nie będziesz przeżywał sensu na całej drodze do celu, nie łudź się, że znajdziesz go na końcu tej drogi, to znaczy w samym celu.

— Czy mogę go poznać?

— Nie wydaje mi się, żebyś miał dobrą wolę i próbował zrozumieć, co chcę ci przekazać. Aby wypełnić najgłębszym sensem całe swoje życie wystarczą ci cele cząstkowe, niezbyt odległe. Bo pytać o cel ostateczny, to dokładnie to samo, co pytać o największe liczby.

— Czyli, że w ogóle go nie ma.

— Psychiczenie zachowujesz się jak dziecko. Pęcznieją w tobie uporczywe myśli, od których dostajesz zawrotu głowy. Upór z jakim domagasz się jednoznacznej odpowiedzi dowodzi, że wszystko co ci przekazałem dotąd, spłynęło po tobie jak woda. Może przemówi do ciebie prosty fakt, że o tyle mniej w dniu dzisiejszym odnajdziesz sensu, ile straciłeś energii w czasie zadawanych pytań na ten temat. Zresztą nie przeceniaj mojej wiedzy, mam takie same kłopoty teoretyczne jak ty, tyle tylko, że na wyższym szczeblu. Jako część konstrukcji, której podsegment ma za zadanie służyć tobie, zdaję sobie sprawę z ograniczenia własnych możliwości. Wszystko co mogę dla ciebie uczynić, to zapewnić ci dostęp do nieskończonej ilości informacji jakimi będziesz chciał rozporządzać. A w jaki sposób zechcesz je wykorzystać, to już twoja sprawa. Bo twój cel ostateczny wymyka się mojej wyobraźni.

— Jednak dopóki go nie znam... — zaczął i umilkł w połowie zdania.

Zrozumiał, że tym razem nie było już o co pytać. Ostatnia odpowiedź komputera wydała mu się prawdziwa. Na tej odpowiedzi wyczerpały się zasoby jego wiedzy. Jeśli miał dalej kontynuować ten beznadziejny wątek, był skazany na własne siły.

— Więc tak się rzeczy mają — stwierdził — zbliżyłem się do punktu, poza którym mózg analizuje sam siebie — skonstatował z obawą, że jeszcze nie na tym koniec jałowego biegu. Nacisnął wyłącznik komputera. Zgasił światło. Zadumał się jeszcze przez chwilę i odsunął od tapczanu stolik z niedokończoną pracą. Ułożył się wygodnie na tapczanie i pograżył we śnie.

Obok tapczanu na lśniącej powierzchni nocnego stolika stał budzik nastawiony na godzinę siódmą. Śpiący mężczyzna na długo przed zaśnięciem zdecydował o czasie trwania swej nieświadomości. Część tego czasu już ubiegła: zegarek wskazywał godzinę drugą. Wskazówka sekund przesunęła się już nad cyfrą sześćdziesiąt i biegła dalej, by się mogła dokonać nieświadomości część pozostała. Sekundnik odmierzył już dwie minuty z pięciu godzin potrzebnych do wyzwolenia odpowiedniej sprężyny, gdy wtem w innym miejscu zadziałał inny mechanizm.

Człowiek w samochodzie drgnął, nacisnął na klamkę, wysiadł. Szedł w kierunku wieżowca z nieodpartym przeświadczeniem, że niepokój, który nie pozwolił mu zasnąć tej nocy i kazał mu bez żadnej wyraźnej potrzeby tu przybyć, znajdzie swój kres w miejscu swych narodzin. To, czego tu oczekiwał i czego się jednocześnie obawiał, nastąpiło z pewnym opóźnieniem, dogoniło go w windzie.

Wnętrze kabiny, a więc zespół drobnych wprawdzie ale dla niego jakże wymownych elementów wywołało w nim szereg odległych w czasie obrazów, szereg wspomnień związanych z wydarzeniami, o których sądził zawsze, że były zbyt mało ważne, aby mogły zachować się, przeżyć razem z innymi daleko bardziej istotnymi. Pomyślał, że to wszystko, co się w nim teraz budzi, co bez względu na okoliczności domaga się gwałtownie powtórnego szczegółowego prześledzenia, odbywa się dokładnie według przewidywań. Ale świadomość tego nie przyniosła mu ulgi. Pokręcił głową i spojrzął w lustro. Obraz zastygłej nagle twarzy, najpierw wyraźny i ostry, po chwili przygasł i zmętniał. Nie zatrzymany właściwym odbiciem twarzy wzrok wciskał się dalej w głąb lustra, aż zogniskował się daleko poza jej bladą powierzchnią. Nigdy jeszcze jego własna twarz nie wydała mu się równie stara i obca.

W wyniku działania nieuchwytniej i przedziwnej właściwości czasu myślał usiłując przebić się przez mdlą zasłonę własnego odbicia, by znaleźć za nią obraz świeżo uformowany wszystko bez wyjątku, co tu przeżyłem, wydaje mi się dziś piękne. Przeszłość zawarła w sobie jedynie składniki godne tęsknoty.

Na korytarzu dwudziestej dziewiątej kondygnacji wraz z wszechobecnym czasem przeszłym osaczyła go dzwoniąca cisza.

Postanowił nie opierać się już więcej, nie bronić się przed niczym, co wchodziło do niego zewsząd i chciało się w nim ocalić.

Prosto, drugi korytarz na prawo, ostatnie drzwi na lewo — odgłos kroków zdławił się w miękkim dywanie. Przed wejściem raz jeszcze próbował zebrać myśli. Chciał sprecyzować sprawę, z którą przybył, nadać jej zrozumiałą dla obcego formę, a przy tym złagodzić jej absurdalność. Ale zaraz na samym wstępie rozważań spostrzegł się, że jest to wysiłek daremny, bo mimo woli jeszcze bardziej gmatwa i tak już niejasne. Wtedy postanowił pozostawić bieg wypadków własnemu losowi i nacisnął przycisk dzwonka.

Śpiący otworzył oczy. Nie poruszył głową ani żadną inną częścią nieruchomego ciała, też nie zrobił niczego, co by wskazywało na to, że jest już zdolny do dokonywania elementarnych spostrzeżeń — podniósł powieki, a ponadto nie uczynił nic więcej. Przekreślona pręgą rażącego światła twarz nie wyrażała nic, zachowała swój dotychczasowy obojętny wyraz. Nieruchome oczy niczego nie widziały i nie patrzyły na nic, chociaż były otwarte.

— Spodziewam się, że ma pan do powiedzenia coś bardzo ważnego — powiedział kilka minut później. — Druga godzina w nocy nie jest czasem najbardziej odpowiednim na składanie wizyt. Wejdźmy do środka.

Patrzyli na siebie w milczeniu przez czas dłuższy, chociaż jednej sekundy wystarczyło, aby stwierdzić, że widzą się po raz pierwszy.

— Tak, coś bardzo ważnego — powtórzył przybysz i dopiero na dźwięk tych słów uświadomił sobie z gwałtownym biciem serca, jak błahe może okazać się to, z czym przychodzi. Nie mam nic do powiedzenia — pomyślał z rezygnacją, gdy zatrzymali się w pokoju przyległym do sypialni. — Czy przyszedłem tu tylko po to, by raz jeszcze wszystko odgrzebać, przewartościować i na koniec przekonać się, jak zawsze, że trwonię czas w anemicznej zadumie?

— Chyba nie muszę się specjalnie ubierać? — zapytał tamten, aby odwlec inne nieuniknione pytanie. — Pan wybaczy, proszę usiąść.

Odpowiedział mu wymuszonym uśmiechem i usiadł. Zapadła kłopotliwa cisza.

— Domyślam się... — zaczął gospodarz.

— Musiałem tu wrócić! — przerwał mu nagle przybysz. Potem oparł rękę na stole, lecz zaraz ją cofnął i z twarzą ukrytą w dłoniach dodał: — To było moje mieszkanie. Mieszkałem tu kiedyś.

— Ach! Więc to pan! — gospodarz przyjrzał mu się z nagłym zainteresowaniem. — Od Romana dowiedziałem się o panu stosunkowo niewiele. Może — rzekł po chwili i aby uzyskać czas potrzebny do oswojenia z tym, co usłyszał, sięgnął ręką po butelkę. — Może napijemy się czegoś?

Zgodził się skinieniem głowy.

— Wie pan... — zaczął, uniósł głowę i spojrzał wokoło. — Czuję się jakbym był napiętą sprężyną. Wyśmiej mnie pan zaraz.

Gospodarz napełnił kieliszki.

— No, no — mruknął — pan, zdaje się, przychodzi z gotową propozycją. Bez obawy popełnienia większej pomyłki mogę stwierdzić, że znam pana, chociaż nie widzieliśmy się nigdy. Ale, niech mi pan wierzy, znacznie więcej dowiedziałem się o panu z tego wszystkiego, co tu zostało, niż mi mógł naopowiadać ktokolwiek. Te meble, ozdoby, książki, tysiące drobiazgów. Miałem czas, mogłem szperać, oglądać i wnioskować, mogłem przerzucić wszystko parę razy i wyrobić sobie jakie takie zdanie o człowieku, który to wszystko zgromadził, A te fotografie, wie pan, pełno ich tu po szufladach, są mężczyźni i kobiety. No cóż, żadna już dziś nie przypomina oryginału. Kiedy cztery lata temu przyleciałem z Wenus było mi wszystko jedno gdzie zamieszkać, byleby mieszkanie było umeblowane. Szukałem czegoś gotowego, kompletnie urządzonego i znalazłem. Oczywiście dziwiłem się, czemu wszystkie formalności związane ze sprzedażą załatwia przyjaciel faktycznego właściciela. Ale w gruncie rzeczy było mi obojętne, czy mam się wywiązać ze swych zobowiązań panu czy Romanowi, który działał w pańskim imieniu. Zapewniam pana, że należność została uregulowana według umowy.

— W porządku — powiedział przybysz. — Nie męczmy się tym. Nie przychodzę tu z żadnymi reklamacjami.

— Ja też nie spodziewam się, żeby pan chciał mi coś zarzucić. Cieszę się z tych odwiedzin.

Wypili. Gospodarz dopiero teraz usiadł. Z twarzy jego ustąpiła długo maskowana obawa, a jej miejsce zajęło głębokie odprężenie. Nawet nie

próbował go ukryć.

— A teraz... — rzekł niepewnie — chciał pan odświeżyć w pamięci to i owo, rzucić okiem po starych kątach albo... albo zabrać coś szczególnie bliskiego. Rozumiem pana, proszę bardzo, nie będę bronił.. Śmiało! — dodał przysuwając się bliżej. — Chociaż kiedyś, gdy opuszczałem Ziemię, nie zostawiłem tu niczego drogiego, mam odrobinę wyobraźni i mogę przypuszczać, co odczuwa człowiek, kiedy musi się rozstać z czymś bliskim. Tak, mam odrobinę wyobraźni — powtórzył po chwili, jakby na tym zapewnieniu szczególnie mu zależało.

— Czy pamięta pan dzień, w którym przyszedł pan tu po raz pierwszy?

— Czy pamiętam? Pan chyba żartuje. Nic bardziej nie utkwilo mi w pamięci. Po czterech latach nie zapomina się takich rzeczy. Byłem tu z Romanem. Oprowadzał mnie wszędzie, pokazywał.. Nie mogłem się nadziwić. Wszystko leżało tu w ten sposób, jakby było pozostawione na chwilę, jakby człowiek, który tu mieszkał wyszedł z domu ot tak, po papierosy i zaraz miał tu wrócić. Powiedziałem Romanowi, że moją prośbę o znalezienie mieszkania z kompletnym umeblowaniem potraktował zbyt dosłownie. To nie są pokoje do zamieszkania — mówiłem mu — to są pokoje zamieszkałe. Przecież nie mogę żyć w cudzej skórze. „Nic nie szkodzi” — powiedział do mnie — „będziesz się czuł mniej samotny”. Dowiedziałem się też, dlaczego pan stąd wyjechał. Kochanka czy żona, śmierć — nie pamiętam już: Roman zbywał mnie półsłówkami. Wyjaśniał, że człowiek, który tu mieszkał, wbrew swej woli musi zacząć życie od nowa. Musi raz na zawsze zerwać więzy łączące go z przeszłością, wyjechać, zamieszkać gdzie indziej wśród innych ludzi, oddać się sprawom niezwiązanym z tym mieszkaniem, aby mu było łatwiej zapomnieć. Bo zacząć od nowa — mówił mi — to znaczy rzeczywiście wszystko od nowa zacząć. Było w tym wiele przesady, jednak w głębi duszy przyznałem mu rację.

— Czy tamtego dnia nie zauważył pan tu czegoś... czegoś szczególnego? — Zapytał przybysz.

— Czegoś szczególnego! — powtórzył gospodarz niemalże z irytacją. — Wszystko tu było szczególne. Do dziś przeznaczenia niektórych przyrządów nawet się nie domyślam..

— Nie, nie o to mi chodzi. Co innego miałem na myśli. Niech pan

posłucha uważnie. Trzeba mieć dużo dobrej woli, aby to zrozumieć. Wtedy, tego dnia, gdy byłem tu po raz ostatni, zostawiłem coś... Wie pan, jak to czasem bywa. Odkręca się kurek z gorącą wodą albo zostawia się włączone żelazko na stole, a tu naraz odzywa się dzwonek u drzwi czy telefon. Odchodzi się od wanny w pełni świadomości tego, że się do niej za chwilę wróci.

Wtedy powstaje w mózgu coś w rodzaju blokady. Konieczność zakręcenia kranu blokuje inne mniej naglące konieczności. Nie zezwoli ona na dłuższą pogawędkę przy telefonie, każe wrócić do łazienki, zakręcić kran i dopiero wtedy urywa się w naszej świadomości refren „wróć — zakręć”, „wróć — zakręć”, dopiero wtedy zostaje wymazana z pamięci jakaś czasem zupełnie nieokreślona groźba. Nawet jeśli zapomni się na parę minut, co to takiego było, jeśli się nie wie, co tam w podświadomości każe powstrzymać się przed nowym działaniem, nim stare niedokonane się nie ujawni, to wystarczy zastanowić się, wrócić po śladach ostatnich czynności, ustawić je we właściwej kolejności i zanalizować ciąg przyczyn i skutków, a wówczas prędzej czy później wszystko się wyjaśni. Ale może się przecież zdarzyć, że przy telefonie czeka jakaś piorunująca wiadomość, nowina, która usuwa w cień, uczyni nieważnymi wszystkie nie dokręcone krany i rozpalone do czerwoności żelazka. Ja tutaj zostawiłem coś takiego. Proszę mi wierzyć, to musi być naprawdę coś bardzo ważnego, skoro nie daje mi spokoju.

— Kran, żelazko, czy może coś podobnego — wymieniał gospodarz bez przekonania. — Panie, co pan! Przez cztery lata?! I przychodzi pan o drugiej w nocy, żeby mi opowiadać takie rzeczy?

— Tego się spodziewałem. Nie znajdę w panu sojusznika — powiedział przybysz z rezygnacją i ponownie ukrył twarz w dłoniach. Ale zaraz zerwał się z krzesła.

— A jeśli to była niezabezpieczona trucizna! — krzyknął. — Tak! Jakaś śmiertelna substancja, jeden z tych licznych przygotowywanych wówczas przeze mnie z największą ostrożnością preparatów, jakieś świństwo rozgrzebane i zostawione gdzieś w ukryciu, a może na wierzchu... Większość z nich była silnie trująca. Zresztą mogło to być coś zupełnie innego, ale nie mniej niebezpiecznego. Powiedzmy jakiś zapoczątkowany pod kontrolą, a potem pozostawiony nagle i rozwijający się do dziś samodzielnie groźny proces, albo... bo ja wiem, co

jeszcze... bomba zegarowa! Czy jest panu obojętne, jaką śmiercią pan zginie? Oczywiście nie biorę pod uwagę niebezpieczeństw dotąd wymienionych. To musiało być coś zupełnie innego.

— Ale co to było? Co? Mówże pan wreszcie! Czy mam rozwiązywać rebusy?

— Nie wiem — powiedział krótko przybysz i zaczął chodzić po pokoju. — Przecież mówię, że nie wiem — dodał z drugiego końca pokoju. Potem spojrział w twarz swego rozmówcy i spokojnie, tonem, który mógłby wywołać uśmiech, gdyby był użyty do odpowiedniego słowa, dorzucił: — Zapomniałem!

— Więc przez cztery lata pamięta pan o czymś, a sam nie wie o czym, czy tak?

— Tak, mniej więcej.

— I przez tak długi okres czasu nie przyszedł pan do mnie, aby mnie ostrzec. Zapomniał pan, dobre sobie.

— Panie! Na moim miejscu jeszcze mniej by pan pamiętał. Trzeba przeżyć rozpacz, by wiedzieć, że śmierć jednej wartości może unicestwić wszystkie inne. Opowiem jak to było. Tamtego dnia nigdzie nie wychodziłem — tyle to pamiętam. Siedziałem przez cały dzień tu, w tym pokoju. Pracowałem nad czymś, kręciłem się po kątach: coś tu robiłem. Co? Czy potrafię wyłuskać z pamięci czynności wykonywane w ciągu jakiegoś tam szarego dnia? Czy odpowie mi pan bezbłędnie na pytanie, co pan robił, dajmy na to, jedenastego listopada dwa lata temu? Wątpię. Jeżeli ów dzień nie zasłużył się panu czymś wyjątkowym, to nie uważam, aby odtworzenie jego rozkładu zajęć było możliwe. Dzień, o którym mówię przestał być dla mnie szary dopiero od pewnego momentu. Na kilka, czy też może kilkanaście chwil przedtem, czyli w okresie czasu przysłoniętym dziś dla mnie jakąś niepojętą niemożliwością przypomnienia sobie, nastąpiła omawiana czynność czy też spostrzeżenie... innymi słowy coś, rozszyfrowanie czego męczy mnie po nocach. Coś takiego musiało wtedy nastąpić, inaczej nie byłbym taki niespokojny. Nie wracałbym myślą do tej odległej chwili, aby roztrząsać bez końca i gubić się w domysłach. Siedziałem wtedy przy biurku lub może leżałem na tapczanie... W każdym razie znajdowałem się w jednym ze wszystkich możliwych miejsc tego pokoju. Naraz zadzwonił dzwonek. Odezwał się tak, jak tu u pana dziś, jak zawsze, bo przecież to ten sam

dzwonek. W drodze do drzwi usłyszałem głos. „Listonosz” — powiedział ktoś za drzwiami. Ale słowo to dotarło do mnie jakby gdzieś z zaświatów: nie rozumiałem go, bo właśnie przed chwilą wstałem od tego czegoś, pozostawiłem to coś, jak mi się zdawało, tylko na kilka sekund i byłem w stadium zakładania na umysł blokady, abym o tym czymś w żadnym razie nie zapomniał. Gdy otworzyłem drzwi, listonosz wręczył mi telegram. Treść jego była krótka i jednoznaczna. „Pogrążeni w najgłębszym smutku zawiadamiamy...” Donoszono mi, że Daria już nigdy nie wróci. Statek, w którym wraz z ośmioosobową załogą poleciała w kierunku Jowisza w czwartym dniu lotu eksplodował. Nie zostało po nich nic, rozumie pan, jakby anihilacja. A przecież podczas pierwszych dni lotu rozmawiałem z nią, widziałem ją na ekranie... Nie mogłem się z tym pogodzić. Po tym ciosie nie miałem siły zajmować się czymkolwiek, a już najmniej tym, co jeszcze przed paroma minutami tak bardzo mnie absorbowало. Kiedy wróciłem do pokoju zrozumiałem, że pozostało mi już tylko jedno: poznać bliższe szczegóły dotyczące katastrofy. Mimo wszystko miałem jeszcze nadzieję. Dzwoniłem tu i tam, pytałem o losy innych uczestników ekspedycji i o to, czy nie zaszła tu jakaś pomyłka. Odpowiedziano mi, że o żadnej pomyłce nie ma nawet mowy, niestety, z ośmioosobowej załogi nikt nie ocalał. Wówczas wyszedłem z domu i przypadkowo natknąłem się na Romana, który potem zajął się moimi sprawami.

— Przed ostatnim lotem Daria nie brała udziału w innych wyprawach? — zapytał gospodarz.

— Nie sprzeciwiałem się temu... i nie tylko dawniej, ostatnim razem również. Niestety, postawiła na swoim. Lot ten miał być wyjątkowo niebezpieczny. Bałem się o nią. Ale to nie wszystko... Wie pan, ona ukrywała coś przede mną. We wszystkim innym była szczerą aż do przesady. Zwierzała mi się ze wszystkiego poza tym jednym. Miała swoją tajemnicę. Podejrzewam, że tam na statku, podczas lotu chciała przeprowadzić jakiś ryzykowny eksperyment. Zamierzała urzeczywistnić marzenie swego szalonego ojca: oczywiście w tajemnicy przed innymi członkami załogi.

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

— Nic pewnego nie wiem, bo umiała wszystko dobrze maskować. Jednak jak się z kimś żyje kilka lat pod jednym dachem można niejedno

zauważyć. We wszystkich jej poczynaniach dopatrywałem się zawsze — i nie bez powodu — wpływu jej ojca. Człowiek ten, skądinąd nieprzeciętny umysł, znaczną część swego pełnego wydarzeń życia strawił na jałowych rozważaniach i bezużytecznej pracy badawczej. Nie umiem powiedzieć, czego ta praca dotyczyła, odniosłem jednak wrażenie, że Jack Seles, bo tak się nazywał ojciec Darii, poświęcił się bez reszty jakiemuś niedorzecznemu pomysłowi, który chciał zrealizować za wszelką cenę. Był szalonym fanatykiem jakiejś bezsensownej idei. Chociaż w szczególności swej pracy nikogo nie wtajemniczał, a może właśnie dlatego, wokół jego osoby krążyły przed czterema laty i nadal krążą różne niepotwierdzone pogłoski. Podobno opracował nową teorię bezpieczeństwa oraz, między innymi, zamierzał zrewolucjonizować dotychczasowe poglądy na temat istoty bytu cząstek elementarnych. Miał tego dokonać nie tylko na drodze abstrakcyjnych rozważań, którym zawsze najchętniej się oddawał, ale też na drodze fizycznych eksperymentów. Przy tym wszystkim nie mógł się pochwalić darem zjednywania sobie ludzi, raczej przeciwnie: najłatwiej mu było wzbudzać powszechną niechęć do tego, czym się zajmował. Często twierdził, że zwolennicy jego teorii nie rozumieją go w równym stopniu jak przeciwnicy i dlatego unikał wszelkich dyskusji na temat swej pracy. Nielicznym wyznawcom swej teorii przedstawiał ją tak niekorzystnie, że odchodzili rozczarowani i więcej nie wracali. Natomiast przeciwnicy i bez tego nie dawali mu spokoju. Ci ostatni namiętnie mu się sprzeciwiali, chociaż nie wiedzieli właściwie, czemu przeczą. Poza tym nic bliższego o nim nie wiem, ponieważ podobnie jak Daria, ukrywał prawie wszystko w najgłębszej tajemnicy. Mieszkał tu razem z córką aż do chwili swej zagadkowej śmierci. Oficjalnie zginął w wypadku samochodowym, jednakże mało kto chciał w to wierzyć. Istnieją przypuszczenia, że przyczyny jego śmierci należy szukać wśród tego, czym się otaczał w czasie swych prac badawczych, a więc jego tajemniczym laboratorium. Nikt przedtem go nie widział i nikt nie wiedział gdzie się ono może znajdować.

Natychmiast wszczęto energiczne poszukiwania, niestety bezowocne. I wtedy okazało się ku powszechnemu zdumieniu i raczej zadowoleniu — nie pamiętam już, kto to ogłosił — że poszukiwane laboratorium w ogóle nie istniało, bowiem istnieć nie mogło, a to znów z tej prostej przyczyny... — specjaliści długo zastanawiali się nad doborem

odpowiedniego uzasadnienia i — o ile mi wiadomo — nie byli zadowoleni z ostatecznej jego formy — że byłoby to niezgodne z duchem teorii Selesa. Wszyscy skwapliwie poparli koncepcję nieistniejącego laboratorium, gdyż nawoływania nielicznych zapaleńców przynaglające do dalszych poszukiwań nie były po myśli szerokiej opinii. Nikt z żyjących nawet się nie domyślał, czego chciał dokonać uczony i czego dotyczyły jego badania. Wprawdzie w gronie naukowców wspomina się o nim czasami, lecz to wszystko co po nim zostało służy już tylko do fabrykowania różnych anegdotycznych historyjek i prawdopodobnie nie ma nic wspólnego z jego prawdziwymi badaniami. W ten sposób zginął Seles, a wraz z nim zginęło jego dzieło. Tak przynajmniej sądzili wszyscy. Ja byłem innego zdania. Wypadki opowiedane przeze mnie, a więc śmierć Selesa i nieudana próba odkrycia jego tajemnicy, miały miejsce na dwa miesiące przed lotem Darii, czyli w czasie, gdy praca jej ojca — jeżeli mam wierzyć jego własnym zapewnieniom — była już w zasadzie zakończona. Wkrótce po tym przeprowadziłem się tu na stałe. Z Darią łączyło mnie wiele... zresztą nie będę o tym mówił. Szybko spostrzegłem, jak bardzo mylili się ci, którzy w fakcie śmierci Selesa chcieli widzieć kres jego wysiłków. W wyniku analizy drobnych wprawdzie, ale jakże wymownych zdarzeń, dzięki uważnej obserwacji i całej masie różnego rodzaju sztuczek i wybiegów doszedłem do przekonania, że Daria kontynuuje pracę swojego ojca. To co zauważyłem, było prawie nieuchwytnie, wymykało się trzeźwej ocenie i być może przez obiektywnego obserwatora nie byłoby w ogóle dostrzeżone. I znów nie umiem uzasadnić swych podejrzeń, tego co wiem, nie potrafię ująć w wyraźnym opisie ani poprzeć przekonującymi argumentami.

— Czym zajmował się Seles i dlaczego zobowiązał Darię do zachowania tajemnicy?

— Gdyby pan wiedział jak bardzo pragnąłem uzyskać odpowiedź na to pytanie! Już nie sama tylko ciekawość, raczej troska o bezpieczeństwo Darii kierowała mnie na drogę nieprzytomnych poszukiwań. Śledziłem ją ustawicznie, szpiegowałem na każdym kroku, wbrew naszej miłości, która w takich warunkach została wystawiona na ciężką próbę, wbrew sobie samemu. Niczego się nie dowiedziałem. W przeddzień startu statku wypowiedziała słowa, które niczego nie wyjaśniając zaniepokoiły mnie bardzo i utwierdziły w dotychczasowych podejrzaniach. Dotąd, ilekroć

pytałem ją dlaczego nie chce mi zaufać, odpowiadała najczęściej, że chce w nią wmówić jakąś nieprawdopodobną historię. Przy tym robiła taką minę, jakby rzeczywiście nie wiedziała, o co chodzi. Tym razem usłyszałem coś nowego. „Zrozum — powiedziała — jeszcze za wcześniej, gdy wrócę będziesz wszystko wiedział”. Słowa zrobiły na mnie takie wrażenie, jakbym do tej chwili jeszcze niczego nie wiedział i dopiero teraz, po ich usłyszeniu, wszystko naraz jasno zrozumiał. Chciałem biec do organizatorów wyprawy, aby ich ostrzec. „Zastanów się! — Zawołała za mną. — Chcesz ich ostrzec? Przed czym?”.

Zatrzymałem się zmieszany. Istotnie tego nie wiedziałem. Tak czy owak, było już za późno. Statek po generalnym przeglądzie, sprzęt sprawdzony i załadowany, członkowie załogi, których lista ustalona na długo przed startem, przeszkoleni i odpowiednio przygotowani wszystko gotowe do startu. Następnego dnia tuż przed startem Daria próbowała mnie uspokoić. Tłumaczyła mi, żebym się niczego nie obawiał, gdyż ona nie spowoduje żadnego zagrożenia, ale wprost przeciwnie: zapobiegnie mu gdyby miało nastąpić. Potem zapewniała mnie o swej miłości i śmiała się z moich obaw. Słuchałem jej ze wzrastającym roztargnieniem, bowiem do ostatniej chwili nie mogłem się zdecydować na nic sensownego. — Cztery dni później na myśl o tej scenie robiło mi się słabo z rozpacz i bezsilnej wściekłości na siebie.

Gospodarz wstał i podszedł do okna.

— Pan ją podejrzewa o spowodowanie katastrofy? — zapytał z ożywieniem.

— Mam za mało danych, aby stwierdzić coś stanowczo...

— Naturalnie, to co pan wie, nie upoważnia nikogo do kategoriycznych twierdzeń. Eksplozja na statku może nie mieć żadnego związku z jej ewentualnymi eksperymentami. Czy łączność ze statkiem była utrzymana do ostatniej chwili?

— Nie, została przerwana dziesięć minut przed eksplozją.

— Zna pan treść ostatniego komunikatu? — Przybysz potarł ręką czoło.

— Dlaczego pan o to pyta?

— Bo z tego co słyszę wynika, że nie wie pan o znalezieniu kapsuły informacyjnej statku.

— Nic nie wiem. Byłem bardzo daleko stąd...

— Z Centrum Lotów Kosmicznych przysłano tu na pana nazwisko przesyłkę, której nie znając pana adresu, nie mogłem doręczyć.

— Dawno?

— Około roku temu.

— Więc ma pan okazję mi ją oddać!

— Właśnie zamierzam to zrobić! — odpowiedział gospodarz.

Podszedł do biurka, wyciągnął jedną z dolnych szuflad i wyjął z niej dużą, szarą kopertę.

— To Właśnie ta przesyłka — powiedział podając pakiet przybyszowi. Tamten jednym szarpnięciem rozerwał opakowanie. Wewnątrz była zwykła kasetka video. Chwilę trzymał ją w ręku patrząc na nią, jakby nie wiedział, do czego służy.

— Ma pan magnetowid? — spytał gospodarza

— Tak, w sąsiednim pokoju. Mogę panu udostępnić.

— Proszę.

Na monitorze ukazał się napis: „Statek Kosmiczny KORAB — Ostatni zapis z kapsuły informacyjnej.” — czas od dziesięciu minut przed eksplozją.

Znał tych ludzi, zapamiętał ich twarze, gdy stali zwartą grupą tuż przed startem pozując do ostatniej w życiu fotografii.

— Zbliży się!

Ron ze zniecierpliwieniem odrzucił ostatni zwój poplątanego kabla, który mu dotąd krępował mchy i skoczył do trzeciego teleskopu. Ciemnoczerwony punkt, jeszcze przed chwilą ledwie widoczny, urósł nagle, drgnął, i przechodząc niepostrzeżenie przez barwy pomarańczową i żółtą odciął się na tle nocnego nieba ostrą, kłującą w oczy obwódką rażącej bieli. Jeszcze chwila i obraz pęczniejącej w mgnieniu oka kuli znikł, ugrzązł za dyszami wylotowymi, skrył się w strumieniu rozpalonych gazów.

Ron wydał z siebie krótki gardłowy okrzyk. Włączył mechanizm zegarowy drugiego teleskopu i drżącą z niepokoju ręką kilkoma szybkimi ruchami uruchomił sprzężenie analizatora. W tej pełnej napięcia chwili znalazł jeszcze czas, by rzucić ukradkowe spojrzenie w stronę stojącego tuż obok Goneda. Ten jak gdyby tylko na to czekał.

— Więc — rzucił nie odrywając oczu od głównego ekranu.

— Tak!

Goned zablokował dźwignię przyśpieszenia i błyskawicznym ruchem pochylił się nad pulpitem. Tu rozwartą dłońią, na której ukazały się już pierwsze krople krwi, wcisnął kilka przycisków. W dzwoniącą ciszę obu pokładów wdarł się przenikliwy głos syreny alarmowej. Po chwili na lewym ekranie ukazała się zasnana twarz chemika.

— Co to jest? — zapytał mrużąc oczy.

— Do przedziału sterowniczego, szybko...

Urwał, statkiem targnął gwałtowny wstrząs. Ron wczepił się w uchwyty i przywarł do okularów teleskopu. Znajdująca się w polu widzenia część fioletowej smugi zatoczyła olbrzymi łuk, na ułamek sekundy uskoczyła w nieskończoność i powróciła na to samo miejsce. Główny jej trzon pękł na kilka pierścieni.

— Obiekt dąży do wyprzedzenia, załoga natychmiast do segmentu „A”! — krzyknął Ron jednym tchem i znieruchomiał. Poczuł, że przedmioty znajdujące się w zasięgu jego prawej ręki, którą manipulował na tablicy, obejmują jakieś potęgujące się drzenie.

— Czekam! — odezwał się głos za plecami Goned. Gdy się odwrócił, ujrzał postać awaryjnego automatu, a tuż za nią w otwartych drzwiach mignęła mu gwałtownie blednąca twarz Darii. Wzrok jego zatrzymał się na moment na jej twarzy i biegnąc za spojrzeniem jej przerażonych oczu prześlizgnął się dalej ku zasłanej odpryskami szkła podłodze, aż w końcu zamarł w bezruchu. Wzdłuż kabiny przedziału sterowniczego, po podłodze dotąd gładkiej i lśniącej, a teraz pokrywającej się matową pajęczyną linii, pełzła do niego zygzakowa szczelina szybko postępującego pęknięcia. Z jej poszarpanych i odwijających się na boki krawędzi odpryskiwały z sykiem strzelając w sufit strzępy rozdieranego plastyku.

— Czekam! — powtórzył automat.

— Ucieeee! — wycharczał Goned i runął głową w przygasającą tablicę sterowniczą. Jakaś potężna siła rzuciła Darię na drugi koniec korytarza. Usłyszała serię ogłuszających grzmotów, uderzyła o coś głową, upadła czując, że traci przytomność, potem wstała i korzystając z licznych uchwytów próbowała przesunąć się w stronę otwierającej się co kilka sekund kłapy. Z góry dobiegł ją łoskot zapadającej się grodzi. Wtem ponad chrzęstem rwanych kabli, ponad urywany skowyt syreny alarmowej wzbił się inny ryk daleko bardziej przenikliwy. Pancierz statku

zadygotał. Daria wykorzystała chwilę, w której kłapa była otwarta i gwałtownym ruchem szarpnęła za uchwyt. Przechodząc przez strefę zanikającego ciężenia jej ciało przeleciało przez otwór włazu, odbiło się od ściany, zawirowało. Jedna z rozstawionych bezradnie rąk natrafiła na wystającą gałkę. Chwyciła ją kurczowo i przyciągnęła ku sobie. Z trudem zdawała sobie sprawę z tego, co się stało. Wiedziała, że zagraża jej śmiertelne niebezpieczeństwo, chciała ratować siebie i dopomóc innym, ale w czasie ostatnich sekund kiedy z rozpaczliwym wysiłkiem szamotała się z falą wciąż na nowo napływających i tłukących w nią przedmiotów, opuścił ją cały pieczołowicie gromadzony zapas opanowania i energii, nie zostało jej nic prócz uczucia lęku i bezsilności. Naraz zapanowała martwa cisza. Cisza ta była tak głęboka i wszechobecna, że jeszcze bardziej przytłaczająca od poprzedzającego ją hałasu. Daria przycisnęła twarz do chłodnego pancerza i wstrzymała oddech. Z rezygnacją czekała końca. Jednakże śmierć, o której wiedziała, że przyjść musi, bowiem w obliczu ogarniającej ją grozy wydawała się być nieunikniona, nie następowała. Mijały trwożne sekundy. Ciało kobiety pozbawione kontaktu z uchwytem uniosło się łagodnie, przesunęło się wraz z innymi zawieszonymi w przestrzeni przedmiotami i swobodnie zawisło przy przeciwległej ścianie. Naraz drgnęła i spojrzała w głąb korytarza. To co spostrzegła, szybsze było od myśli. Od międzysegmentowej grodzi oderwał się jakiś rozmazany cień, przypadł do niej, zawirował wokół jej ciała i z szybkością błyskawicy pomknął w stronę ładowni. Nawet nie zdążyła mrugnąć, gdy już z powrotem był przy niej. Na przeciąg bardzo krótkiego ułamka sekundy obraz wyostrzył się i wtedy wydało jej się, że rozpoznała w nim coś znajomego, coś jakby zakamuflowaną w szalonym pędzie postać, kształt, który plamą nieprzeniknionej czerni zarysował się na tle srebrnej ściany, zadrżał niczym szarpnięta struna, a potem zmętniał i natychmiast przepadł w czeluściach odległego luku — nieprawdopodobnie czarną i ruchliwą sylwetką ludzką. Lecz myśl o tym co zobaczyła, skryzalizowała się w jej świadomości dopiero wówczas, gdy było już po wszystkim. Ledwie zdążyła to sobie uzmysłwić i straciła przytomność.

To było wszystko. Ostatnim obrazem był jaskrawy błysk światła i ciemność.

W pokoju zapanowała cisza, którą po chwili przerwał gospodarz.

— No tak, tego można się było spodziewać — powiedział. Ale to nic nie wyjaśnia. Gdybyśmy wiedzieli, co przed eksplozją robiła Daria, można by wyciągnąć jakieś wnioski.

— Czyśmy się czasem nie zapędzili? — odpowiedział przybysz, jakby zamierzał się wycofać. — Katastrofa mogła przecież nastąpić niezależnie od tego, co robiła Daria w czasie poprzedzającym eksplozję. Tajemnica Selesa nie musiała dotyczyć zagadnień związanych z lotem. Mogła nie mieć żadnego związku z tym, co się stało. No, a wypadek — istnieje tu cały szereg możliwości. Błąd konstrukcyjny, awaria silnika i lawinowa reakcja w stosie, zderzenie...

— Zgoda, zgoda! Te możliwości rozważali już za nas inni. Pomińmy je. Czy ktoś poza panem podejrzewał Darię o eksploatację pomysłów jej ojca?

— Sądzę, że nikt.

— Powiedziałem eksploatację, bo nie przypuszcza pan chyba, żeby sama w krótkim czasie poradziła sobie z tym wszystkim, z czym borykał się jej ojciec przez wiele lat. Jego praca była już zakończona. Sam pan powiedział.

— Tak było.

~ A więc Darii przypadła rola... królika doświadczalnego.

— Tego się obawiałem!

— Zaufała geniuszowi swego ojca i w tajemnicy przed wszystkimi — nie rozumiem czemu kazał jej milczeć — czekała tylko na pierwszą lepszą okazję, aby zrealizować jego nieznanne nam plany.

— Do ich realizacji potrzebowała widocznie specjalnych warunków — wtrącił przybysz. — Niewykluczone, że takie warunki mogła znaleźć tylko na statku podczas lotu. Niestety błąd w teorii Selesa albo niewłaściwe jej zrozumienie nie zezwolił jej na dokonanie pomyślnej próby. Nieumyślnie spowodowała katastrofę.

— Kto wie? To bardzo prawdopodobne.

— Niestety, nigdy tego nie sprawdzimy.

— Jest jednak w naszych przypuszczeniach pewne „ale” — po namyśle powiedział gospodarz. — Czy zauważył pan w końcowym fragmencie video człękokształtny cień?

— Tak, ale pomyślałem, że to złudzenie.

— Nie jestem tego pewien, czy cień był złudzeniem. Opowiem panu

pewne zdarzenie, o którym jeszcze z nikim nie mówiłem:

Otóż w dniu katastrofy „Koraba” byłem na pokładzie statku lecącego z Wenus na Ziemię w odległości około stu godzin lotu od Ziemi. Spałem w swojej kabinie, nagle coś mnie obudziło. Podniosłem głowę z głębokim przeświadczeniem, że coś się wydarzyło. Nie wiedziałem jeszcze, co to było, nie miałem pojęcia, który ze zmysłów zarejestrował to, co kazało mi się obudzić w pełnej napięcia uwadze. Rozejrzałem się po kabinie. W jednym miejscu stał człekokształtny cień. Wydał mi się martwą i przypadkową kompozycją z porozrzucanych na oparciu krzesła części mojego ubrania. Ta postać jest strzępem jakiejś sceny wyniesionej ze snu pomyślałem sobie, jeszcze spokojny i nie tyle przekonany o tym, co mi podsunął mój nieprzytomny umysł, ile raczej skłonniejszy do złudzeń, niż do rozpoznania groźby. Ale już coś zakiełkowało we mnie, coś zburzyć chciało moją pewność siebie, chyba przekora wobec rzeczy oczywistych, bo poczułem naraz, że nie mógłbym już odwrócić się na drugi bok i tak po prostu spokojnie zasnąć. Uniosłem się więc na łokciu, na skłębionym stosie przepeconej pościeli, gdzie dotąd leżały moje ręce, i gdzie biały odbłask monitora ostrą plamę światła położył. Cofnąłem się przed nią gwałtownie, jak przed ciosem, i ze wstrzymanym oddechem łowiłem odległe szmery. Wtem cień poruszył się, dostrzegłem go znienacka takim, jakim był w istocie: kształtem groźnym, chociaż ledwie majaczącym, ale bez wątpienia obcym pośród znajomych cieni.

— Czego chcesz?! — rzuciłem w ciemność.

Oczywiście nie otrzymałem odpowiedzi, nie rozumiem, jak mogłem się jej spodziewać, skoro wszystkie udzielane mi odpowiedzi padały dotąd z głównego komputera. Widocznie jeden z analizatorów został uszkodzony w ciągu dnia, a teraz, po interwencji automatu, zaczyna nadawać swój kontrolny program — próbowałem sobie tłumaczyć. Będę musiał sprawdzić, dlaczego projekcja odbyła się w taki dziwny sposób. Jednak to wyjaśnienie nie uspokoiło mnie. Wkrótce zacząłem rozważać inną możliwość. Może obraz, który widzę przed sobą — domyślałem się dalej — jest odtworzeniem nagromadzonych w ciągu dziennej pracy komputera różnych produktów szczątkowych, takich więc nieplanowanych, ale domagających się spełnienia świetlnych konfiguracji, które — jako szkodliwe dla całości układu — zostały zahamowane przez system kontroli sterowania; może to, co mi się

ukazało, jest więc czymś w rodzaju snu, nie mojego oczywiście, bo byłem już całkiem rozbudzony, lecz snu pozostawionej w spokoju i nie pozbawionej dopływu energii maszyny elektronicznej? Jeżeli tak jest rzeczywiście lepsze wytłumaczenie nie przychodziło mi do głowy — to mógłbym wstać i sprawdzić, jaki jest mechanizm tego dziwnego zjawiska. Nie ruszyłem się jednak z miejsca, bo już w następnej chwili przypuszczenie o śnie komputera wydało mi się zręcznym unikiem bezradnego umysłu. Wiedziałem o tym, że nic takiego nie mogło się wydarzyć i nie mogłem się tym dłużej łudzić.

W pewnym momencie spostrzegłem się, że na coś czekam. Równocześnie odkryłem w sobie niczym niezachwianą pewność, że tego co zaraz nastąpi, nie mógłbym uniknąć przy pomocy żadnych wybiegów i że będzie to czymś, czego nawet nie umiałbym sobie wyobrazić. Wtedy pomyślałem o bloku informacji zewnętrznej.

— Anton! — krzyknąłem do komputera głosem, który wydał mi się cokolwiek za mocny. — Włącz system analizy alarmowej.

Cisza. Nawet nie usłyszałem trzasku, który zawsze poprzedzał zaskoczenie układu. Nie zdziwiłem się tym, chociaż zdarzyło to się po raz pierwszy. Widocznie sytuacja była wyjątkowa. Wszystko dotąd podlegało mojej woli, teraz schemat ten przestał obowiązywać. Posłuszny dotąd ciąg sprawnie wykonywanych poleceń urwał się. Zostałem raptem pozbawiony jedyne oparcia, na którym mogłem polegać. Główny komputer odmówił mi wykonania rozkazu. Czyżby ktoś inny miał nad nim władzę? Przez cały czas nie odrywałem oczu od majaczącego na tle ściany widma. Bez wątplenia była to postać ludzka. Nigdy nie przypuszczałem, aby taka postać mogła przeniknąć w głąb statku. Nie wyobrażałem sobie tego, w dodatku w odróżnieniu od obrazów ukazujących się na ekranach, które były płaskie, człękokształtny cień był trójwymiarowy, był więc taki, jak obraz wszystkich przedmiotów, które mnie otaczały. Ale jeżeli ten zarysowany pod ścianą i najwyraźniej trójwymiarowy kształt jest niewyraźnym obrazem stojącego tam mężczyzny, to jak się tu dostał i przede wszystkim, dlaczego nie próbował on nawiązać ze mną kontaktu? Niedorzeczność tej sytuacji zaczęła mnie już drażnić, byłbym może dziwił się samemu sobie, że nie zrobiłem jeszcze prawie nic aby wybrnąć z impasu, gdybym przedtem nie powiedział sobie: „Stało się: oto pojawił

się AUTENTYCZNY człowiek”. Bo wówczas, kiedy to sobie wyraźnie uświadomiłem, poczułem, że ciałem moim wstrząsnął jakiś dziwny, nieprzyjemny dreszcz. Nigdy przedtem nie doznałem takiego obrzydliwego uczucia i nie chciałem, aby mnie ono kiedykolwiek jeszcze opanowało. To chyba był strach! Poczułem nagle, że nie mogę zamknąć ust, które rozwarły mi się szeroko; jak gdyby wbrew mojej woli i szalonemu oporowi jakaś siła chciała mi wyważyć szczękę. Usłyszałem swój przenikliwy krzyk. Był tak donośny, że przeraziłem się nim i natychmiast zamilkłem. W jednej chwili oblałem się zimnym potem, nogi i ręce zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, wykonywałem nimi chaotyczne mchy, czułem, że obezwładnia je jakieś nieznane mi dotąd drżenie, piersi przywalił mi ogromny ciężar, dusiłem się, mętny blask ekranu komputera zawirował w moich oczach. Nie wiem, jak długo mogło to trwać. W głębokiej ciszy, która zapanowała potem, słyszałem głucho, rytmiczne uderzenia, łomot mojego serca, koszmarny głos dobiegający do mnie zewsząd — przysiągłbym, że wzmacniały go Wszystkie głośniki komputera. Byłem tak wyprowadzony z równowagi, że nawet nie pamiętam, w jaki sposób znalazłem się na podłodze. Z czoła ściekała mi krew, jak przez mgłę przypominam sobie, że zerwałem się na równe nogi i pobiegłem w ciemność. Uderzyłem w coś głową i chyba straciłem przytomność, bo zupełnie zapomniałem o obecności widma. Kiedy rozejrzałem się wokoło siebie, pierwszym co mnie poruszyło, była myśl: już świta. Cień stał w tym samym miejscu i patrzył na mnie badawczo, zimno, czułem to, w milczeniu pytającym wzrokiem we mnie mierzył. Już nie wydał mi się groźny, nie rozumiem, jak mogłem się go bać. I tylko dziwiłem się samemu sobie, że w największym pomieszaniu myśli wziąłem go za źródło lęku, który — teraz to wiem na pewno — nie mógł być związany z nim. Bo trwoga moja była dziełem rosnącej mi w mózgu pewności, że jest nierealny, bo nie mógł tu być. Bo w jaki sposób przekroczył barierę przestrzeni i ściany statku i przybył tu do mnie, aby być świadkiem tej przełomowej dla mnie chwili trwożnych zmagania? — tego nie wiem. Na ścianach snuły się mdłe zacieki srebrnych świateł, w ślad za bruzdami głębokich cieni pośpiesznym ruchem biegły. Ten demaskujący ruch ostrym błyskiem po twarzy mu spłynął, dogasający blask dwiema iskrami zastygł mu na dnie nieruchomych źrenic. Nadśluchiwałem w ciszy. Coś skrzypnęło, głos zamilkł, potem odezwał

się pogłos...

Wtem usłyszałem płynący z głośników pomruk. Dźwięk ten zastanowił mnie: rozpoznałem w nim znajomy sygnał wezwania. Cień pod ścianą stał się dla mnie czymś odległym, nieważnym, był taki mały, utracił całą swoją moc. Głuchy pomruk głośników wzrastał się. Stało się ze mną coś niepojętego. Pobiegłem do tablicy z wyłącznikami; tutaj, na bezsilnej koncentracji nieokreślony czas mi upłynął, chciałem zapalić wszystkie światła, lecz natychmiast porzuciłem ten szalony zamiar. W owej doniosłej chwili jeszcze bardziej niedorzeczny pomysł mi zaświtał. Postanowiłem zaszyć się w zmiętą pościel, znieruchomieć, zasnąć, chciałem krzyknąć do siebie: to tylko sen! Jednak nieoczekiwanie uświadomiłem sobie, że wobec dokonanego przebudzenia mam o czymś pamiętać, czegoś zapomnieć mi nie wolno, lecz co by to być mogło, czy dotyczyło czasu minionego, czy chwili obecnej? — daremnie wyęczałem pamięć. Wówczas drżąc na całym ciele ubrałem się niezręcznie — biały blask Ziemi wdarł się już przez iluminator — i choć nie było potrzeby śpieszyć się, bo dokąd? — pobiegłem do pancernego wjazdu. Chyba już po raz tysięczny odczytałem widniejący na niej i Straszący mnie swoją czerwienią napis: „Wstęp wzbroniony, wejście do stosu”. Teraz znów odczytałem go powoli i uważnie, jak gdybym jeszcze nie znał jego groźnej treści. A potem spokojnie zacząłem odkręcać wielkie śruby. Kłapa odskoczyła. Wszedłem. Masywny blok stali z hukiem zatrzasnął się za mną; stałem w sześciennym, ciasnym komorze o gładkich ścianach. Otaczał mnie lodowaty półmrok.

Przez długi czas nie działo się dosłownie nic. Z matowej szyby ponad mną sączył się senny, silnie przyćmiony blask. W jego świetle otaczające mnie płaszczyzny zdawały się uciekać przed moim wzrokiem, ręce które uniosłem do twarzy aby przetrzeć oczy, nabrały popielatej barwy. Byłem już tak zrezygnowany i rozbity, że nawet nie pomyślałem: to przecież nie jest śmierć. Zastanawiałem się, gdzie mam szukać wyjścia. W końcu odgadłem: jak błyskawica przebiegła mi przez umysł myśl, która dotąd spoczywała w najgłębszych warstwach mojej pamięci, usłuchałem jej i rozwartą dłonią dotknąłem chłodnej ściany. Natychmiast podłoga usunęła mi się z pod nóg, a stało się to tak gwałtownie, że ciało moje zawisło w próżni. Tkwiąc wciąż pośród stalowych ścian, spadałem wraz z nimi w otwartą nagle pod moimi

nogami otchłań. Po kilku chwilach na dłoniach i kolanach poczułem oparcie jednej ze ścian. Najpierw było to delikatne i jakby przypadkowe zetknięcie. potem wzrastający błyskawicznie silny nacisk, od którego zadrżały mi napinające się mięśnie rąk i nóg, wreszcie napór mój na ścianę przekroczył wytrzymałość mięśni: potężna siła rozpłaszczyła całe moje ciało na stalowej podłodze. Na chwilę straciłem oddech, wydało mi się, że krew z całego ciała napłynęła mi do twarzy aby przez nią wydostać się na zewnątrz. Zaciśnąłem zęby, ale już po chwili spostrzegłem, że jest już po wszystkim: komora stanęła w miejscu. Rozejrzałem się na wszystkie strony, ściana, na której leżałem, okazała się podłogą. Wstałem i machinalnie zacząłem otrzepywać ubranie. Równocześnie usłyszałem swój krótki, nienaturalny śmiech. Urwał się on równie nagle, jak się zaczął. Pozostała po nim złowroga cisza. Rzuciłem się na ścianę i z rozbudzoną nagle nadzieją, że natrafię przypadkiem na jakieś wyjście, waliłem w nią zaciśniętymi pięściami. Nawet nie wydała dźwięku. Mimo to ponawiałem próby. Trwało to dopóty, aż noga którą chciałem wznieść do góry odmówiła mi posłuszeństwa. Podeszwy obu butów przytwierdzone miałem do podłogi. nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Zanim nachyliłem się, żeby sprawdzić jaka jest tego przyczyna, poczułem na twarzy powiew płynącego od podłogi gorącego powietrza. Skórę butów przeniknęło mi nienaturalne ciepło. Spojrzałem w dół i skamieniałem jak zahipnotyzowany. Ciszę zakłócał jedynie świst wyrzucanego z moich płuc powietrza. Od podłogi, szybko — szybciej niż mogły to znieść moje nerwy — wznosiła się ku górze obejmując mi nogi czarna, połyskująca tu i ówdzie powierzchnia gęstej i cieplej cieczy. Już sięgała moich kolan. Zanurzyłem w niej ręce i uniosłem je do oczu: okazały się suche. Musiała wtargnąć do komory równocześnie wieloma otworami, może nawet przeniknęła całą powierzchnię podłogi, bo falowanie jej było znikome. Jeszcze przez moment mocowałem się z unieruchomionymi nogami. Tymczasem ciecz zalewała mi piersi. Kiedy sięgnęła mi do ust, zrezygnowałem z walki. Tylko ręce nieświadome tej stanowczej decyzji były jeszcze o błyszczącą powierzchnię wzburzonej moimi daremnymi uderzeniami mazi. Ledwie zdążyłem złapać haust powietrza, gdy zalała mi głowę. Pogrążyłem się w niej z rozpaczą, ale też i z ulgą, i z nieśmiałą nadzieją — że to już koniec.

Po kilku godzinach znaleziono mnie nieprzytomnego w komorze windy, obok pomieszczenia stosu atomowego statku — zakończył opowiadanie gospodarz.

— Czy się coś wyjaśniło? — spytał przybysz.

— Nic, beznadziejna sprawa, same zagadki. Ale proszę zwrócić uwagę na pewne analogie pomiędzy obydwoma zdarzeniami: na video był człękokształtny cień ruchomy; w moim przypadku ten człękokształtny cień był nieruchomy, ale jestem przekonany, że w obu przypadkach był to ten sam cień.

— Być może, ale to wszystko jest niesamowite. Prawie metafizyka — odpowiedział przybysz.

— Wspomniał pan o nowej teorii bezpieczeństwa, którą miał opracować Seles. Przepraszam, ale bezpieczeństwa... czyjego?

— Nie wiem... chyba człowieka.

— To równie niejasne, jak przyczyna, która pana dziś do mnie sprowadziła. Przychodzi pan dopiero dziś, po czterech latach nieobecności, aby zakręcić jakiś tam zapomniany kran, którego już zupełnie nie może pan określić, czym właściwie jest, a może tylko był. Czego się pan po mnie spodziewa? Czy mam pana przekonać, jak dobrze znam mieszkanie i wszystko co się w nim znajduje? Czy mogło coś ująć mojej uwadze, czymkolwiek by nie było? A może mam pana przekonywać, że podświadomość spletała panu figła, że utkwiał pan w pamięci jakiś drobiazg, okaleczony twór zrepresjonowanej kiedyś potrzeby i domaga się spełnienia konieczności nieistniejącej? Wreszcie, czy ja wiem... może się panu coś śniło? Spotkało pana takie nieszczęście. Mógł pan coś pomylić, poprzesztawiać w czasie...

— Może ma pan rację, ale ja to odczuwam jako psychiczny przymus. Według moich odczuć jest to pewien ciąg logiczny, od którego nie ma odwołania. Nie mogę wymazać tego ze swej podświadomości.

Gospodarz zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

— Taką pozornie wydaje się być sytuacja — zaczął — kiedy poruszamy zjawiska nader złożone, syntetyczne ujęcia. Ale gdy sięgniemy do zdarzeń elementarnych, gdy zaczerpnjemy z oceanu faktów pierwszy lepszy przykład dostatecznie prosty, runie natychmiast pańska konstrukcja logiczna.

— No proszę. Czekam na przykład.

Gospodarz wyjął z pudełka jedną zapałkę i zapalił ją. Kiedy się dopaliła, powiedział:

— Zapałka spłonęła.

— Świetnie, ale co z tego?

— Ano, zdarzyło się coś przed chwilą, nieprawdaż? Wskazuję więc na drobny fragment przeszłości i mówię: „Zapałka spłonęła”. Czy był to fakt obiektywny, jak mniemam, czy tylko moje własne wyobrażenie o nim, jak to pan przez cały czas usiłuje mi wmówić?

— To był wyłącznie pański sąd o tym fakcie. Samego faktu nie znamy.

— Teraz już wprowadził się pan w ślepy zaułek. Bo ja nie powiedziałem przecież, czy to dobrze czy źle, że ona spłonęła, ani nie sformułowaniem żadnej opinii na ten temat. W szczególności zaś nie wyraziłem własnego zdania, które by sprecyzowało znaczenie tego faktu, bo abstrahowałem od jakiegokolwiek znaczenia. Powiedziałem tylko tyle: „Zapałka spłonęła”, czym stwierdziłem fakt tyle niewątpliwy, co również obiektywny. I każdy, kto by to zobaczył, powiedziałby za mną dokładnie to samo.

— Najpierw zbiję pańskie ostatnie stwierdzenie, ponieważ fałsz w nim ukryty jest doprawdy wprost żenujący. Podejrzewam, że sprzecza się pan ze mną już tylko dla samej przekory. Ileż to już razy ludzie — zapatrzeni w jedno i to samo — z największym przekonaniem o słuszności swych sądów wygłaszali jednomyślnie jakieś niesamowite bzdury! Cała historia nauk przyrodniczych, najbardziej ścisłych, zdaje się, nie jest w swej istocie czym innym, jak tylko spisem chronologicznym popełnionych w przeszłości pomyłek, wyraźnych błędów i omamień. Nie wymienię żadnego przykładu, bo bym się przed panem ośmieszył, który jako fizyk z większą ode mnie łatwością może sam zauważyć, że każdy przykład wyjęty stamtąd jest dostatecznie odpowiedni. Nie znaczy to bynajmniej, że stwierdzenia w tym spisie zawarte nie miały nic wspólnego z prawdą obiektywną. I owszem — były po prostu kolejnymi jej przybliżeniami, zatem interpretacjami w danej chwili na taki poziom, na jaki było stać ówczesną wiedzę.

— Chętnie się z tym zgodzę, ale...

— Wracając zaś do podanego konkretnego przykładu, podzielmy pańskie proste zdanie na podmiot: „zapałka” i orzeczenie: „spłonęła”. Co

się tyczy pierwszej części zdania, powiem od razu wyraźnie, aby nie przeciągać sporu. Otóż już ta okoliczność, że z nieprzeliczonej liczby współistniejących szczegółów rzeczywistości wybrał pan jeden szczegół, świadczy o pewnej logicznej manipulacji. Kiedy na co dzień dla wygody posługujemy się mętnymi określeniami, możemy się łudzić całkowitą zgodnością opinii. Ja też w ślad za panem powiem, że zapałka spłonęła. Nie dorzucając jednak zaraz po tym zdaniu, że stwierdzam fakt tyle niewątpliwy, co również obiektywny. Przed wyrażeniem takiej pewności siebie powstrzyma mnie doświadczenie i pewna doza pokory wobec samego faktu, który pozostaje dla mnie nadal w jakimś stopniu nieprzenikniony. Bo informacje o rzeczywistości, jakie niosą w sobie stwierdzenia typu „spłonęła” i wszystkie temu podobne, są w gruncie rzeczy, z punktu widzenia nauki przynajmniej, znikomymi informacjami. Rzecz oczywista, że używając ich, niczego wyraźnego nie stwierdzamy, a nie stwierdzając niczego, z łatwością dochodzimy między sobą do porozumienia i do jednomyślności w sądach oraz do ostatecznego przekonania, że rozprawiamy wnikliwie nad nagą prawdą. Niknie ta jednomyślność natychmiast, gdy próbuje zagłębić się w istotę rzeczy, już przy usiłowaniu opisanego faktów najbardziej elementarnych. Przez to każdy nosi w sobie indywidualny obraz świata.

— Jedynym realnym faktem proponuje pan wobec tego nazwać cały wszechświat rozciągnięty w czasie i przestrzeni?

— Do takiego wniosku zmierzałem.

— Byłoby to więc ujęcie dialektyczne. przekonanie o wszechzwiązku rzeczy rozpatrywanych nie w oderwaniu wzajemnym, lecz wyłącznie w ich współistnieniu.

— Tak to sobie wyobrażam — potwierdził przybysz.

— Niech pan da temu spokój. Nie można całego życia poświęcić na bezpłodne roztrząsanie jakiegoś urojenia.

— A! Myśli pan, że to takie proste. Mam odejść, zapomnieć, zredukować wszystko do faktu chorej wyobraźni, do zera. Śmieszają mnie te słowa. Mnie, który w czasie kilku lat powtarzał je sobie niczym pęknięta płyta. Chciałem tu przyjść już dawno, chciałem, ale po co? Czy mogłem się spodziewać pomocy, ba — choćby zrozumienia? Czy mogłem mieć nadzieję, że pan jako człowiek zupełnie mi obcy, o którym wiedziałem tylko, że mieszka tu wygodnie, po usłyszeniu mojej historii

będzie chciał traktować mnie poważnie?

— Więc czego pan chce? — zapytał gospodarz i spojrzał w twarz przybyszowi. — Chce pan wywrócić mieszkanie do góry nogami, przejrzeć raz jeszcze każdy centymetr z osobna, obejrzyć każdą rzecz. Proszę bardzo, jeśli to panu przyniesie ulgę...

— Nie wiem — odpowiedział przybysz — nie wiem, czy znajdę to coś, co miało miejsce w minionym czasie i przestrzeni.

Skłonił się gospodarzowi i ruszył w kierunku drzwi.

Zapowiedź rysy

Przez krótką chwilę jakieś zdanie próbowało uformować się w moich ustach i moje wargi rozchyliły się, jak u niemowy, gdy walczą z czymś więcej niż z cienką strużką powietrza. Lecz nie wydały dźwięku i to, co już było na brzegu mojej pamięci, wróciło na zawsze do rzeczy niewypowiedzianych.

F. Scott Fitzgerald

Ciebie przeczuwam, który się narodzisz w czasie przyszłym dalekim. Widzę Cię w przeogromnym czasie Wielkiej Syntezy, jak wprowadzasz nowe niepokoje na miejsce starych przewyciężonych, jak opanowany Wciąż tym samym niepojętym pragnieniem przetrwania, w niewyczerpanym oceanie zagadek stajesz się nieustannie od nowa i jak stale przemijając szukasz nieodgadnionego zaklęcia, w którym mógłbyś się ocalić. Lecz nadejdzie niebawem czas, kiedy powie Ci ktoś, żeś odgadł je już w założeniu dziejów. Nastąpi to pewnej nocy segmentowej (patos wstępu do tej zapowiedzi wyda Ci się wówczas szczególnie obcy), gdy unosząca Cię Konstrukcja osiągnie wymagane położenie w przestrzeni, a mieszkańcy jej z gorączkowym pośpiechem przygotowywać się będą do spełnienia już dawno powziętej decyzji.

Pewnego dnia wieczorem, a może o świcie, zjawi się przysłany do Ciebie urzędnik Wielkiej Syntezy. Czekał będzie naprzeciw drzwi wiodących do kryjówki Twojej. Na Twój widok drgnie i zbliży się do Ciebie.

— Już dłużej nie będziemy panu przypominać — powie. — Postępowanie pana wprowadza zamieszanie, do którego nie możemy dopuścić. — Takie będą jego pierwsze słowa. Potem skłoni się lekko i spojrzy Ci w twarz. Twój wzrok nieufnie bokiem go wyminie.

— Polecono mi... — zacznie i zmiesza się.

— Upoważniono pana do wskazania mi jedynej właściwej drogi — podpowiesz.

— Właśnie — zgodzi się po prostu i oda Ci rękę. — Czas już, najwyższy czas.

Potem odwróci się w stronę opuszczających szyb automatów i znanym Ci już tonem cicho doda: — Zabieg jest bezbolesny, więcej nawet... — zastanowi się, ale nie będzie mógł znaleźć odpowiednich słów. Pójdziecie do najbliższego zespołu wind. Będiesz szedł pierwszy wyprzedzając go o kilka kroków, ukryjesz blednącą twarz i będziesz unikał wzroku napotkanych ludzi. W kabinie windy milczał będzie, Ty również nie wypowiesz żadnego zbędnego słowa. Lecz kiedy wzniesiecie się kilkanaście kondygnacji wyżej i przejdziecie do pokoju oznaczonego znakiem równie niejasnym jak cała sprawa Twoja, usiądzie za biurkiem, wyjmie arkusz i chwyci za pióro.

— Mamy do pana zaufanie — zacznie i uśmiechnie się przyjaźnie. — Nie muszę chyba zapewniać pana po raz nie wiem który, jak bardzo zależy nam na tym, aby i pan nam zaufał. Jak zawsze tak i tym razem chcielibyśmy... ba, mamy prawo i obowiązek spodziewać się po panu przynajmniej jednego: zrozumienia nieuniknionej konieczności. Przecież pan jej jeszcze nie zrozumiał. Tylko proszę nie zapewniać. Nawet niewymuszona zgoda nie oznacza przekonania, które jest tu bezwarunkowo potrzebne, bo bez niego wszystko traci sens.

Poruszy się niespokojnie. Spozrzeże to i uzna, że słuchasz go nieuważnie.

— Przecież nie przystąpi pan do syntezy bez odpowiedniego przygotowania — powie. — Trzeba nam przekonać pana do końca, aż do szpiku kości. Przekonanie! Ach, gdyby je pan miał..

Wstanie zza biurka i podejdzie do Ciebie.

— Już dawno zostałem przekonany — powiesz.

— Wiem, wiem! — Skrzywi się i niecierpliwie machnie ręką. — Sam pan zna stopień szczerości tych słów. Przekonanie pańskie jest powierzchowne, ono nie ma wymaganej mocy, jest nietrwałe, ono... — tu zawiesi głos by wzmocnić końcowy efekt — ono nie dorównuje naszemu pełnemu przekonaniu. Bez takiego przekonania pański udział w Wielkiej Syntezie stanie się oczywistym nieporozumieniem. Straci pan największą szansę jaką zdobył sobie człowiek, Powiem panu coś w największym zaufaniu. Jeden człowiek, sam choćby prawdziwy geniusz nawet nie jest w stanie zrozumieć jasno na czym polega istota ocalenia poszczególnych elementów w całej tej niesłychanie złożonej konstrukcji jaką jest Wielka Synteza. To na razie wykracza poza granice naszego pojmowania. Nikt

tęgo w całości nie obejmuje rozumem. I nie ma potrzeby, nie ma potrzeby, powtarzam; przecież wystarczy niewzruszone przekonanie. Trzeba je mieć — oto wszystko.

Powie to i zamilknie. Ty wybiegniesz myślą na spotkanie dróg, które by Cię zawiodły do upragnionego stanu przekonania. Obserwował Cię będzie z obawą prawie.

— Wierzę panu — powie wreszcie.

Ani drgnie. Patrzył będzie na Ciebie dalej. Ni to z wyrzutem, ni badawczo, z tym samym smutnym blaskiem w nieruchomych oczach, z tą samą głęboką zadumą czy udręką, jakby Cię nie usłyszał i wahał się, i nie miał pewności, czy zrobił już wszystko, co mógł. Potem podejdzie do biurka żeby wypełnić arkusz, ale napisze tylko dwa wyrazy — w prawym rogu napisze je wyraźnie. „Uzasadnienie niemożności” — przeczytasz na korytarzu kilka chwil potem. Wkrótce odgadniesz wartość tych słów i będziesz chciał ocalić w nich swe ostatnie nadzieje.

Nocy tej przeogromnej długo wędrował będziesz po segmentach Konstrukcji. Na ścianach ujrzysz wiele napisów głoszących radość z powodu nadchodzącego, długo oczekiwanego dnia i napotkasz nieprzebrane rzesze ludzi spieszących by zabezpieczyć swój udział w Wielkiej Syntezie. Rozpocznie się dla Ciebie okres gorączkowych zabiegów i starań. Będziesz obnosił sprawę swoją po punktach, obwodach i zespołach. Wiele z nich odwiedzisz celowo, do niektórych zabłądzisz przypadkiem, a wszędzie gdzie się udasz, poddany zostaniesz licznym pomiarom, oględzinom i badaniom, których celowość nie zawsze będzie dla Ciebie jasna. W oddziałach analiz specjalnych mierzyć Cię będą i ważyć, wystawiać na najprzeróżniejsze próby umysł Twój i wszystkie członki ciała, a w miarę jak badania stawać się będą coraz bardziej szczegółowe, zauważysz ze zdumieniem, że zainteresowanie specjalistów nie dotyczy całego Ciebie, lecz skupia się na drobnej Twojej części — na wskazującym palcu lewej ręki. Będziesz usiłował zrozumieć fakt ten nedorzeczny i domagając się wyjaśnień, słuchał uważnie, jednakże z powodu fachowych określeń i terminów wyłowisz tylko: „Wspaniała linia! Niepowtarzalny! A co za paznokiec!” i nic ponad to nie mówiące słowa.

Gdy w dalszym ciągu niewiele będziesz rozumiał, poradzą Ci, abyś zapoznał się z indeksem dzieł specjalistycznych omawiających rolę

paznokcia w Wielkiej Syntezie. Wśród wielu pozycji traktujących przedmiot popularnie, a więc takich jak: „Systematyka paznokci w świetle mignoseologii”, „Palec — twój przyjaciel”, „Z paznokciem przez świat”, odnajdziesz takie tytuły jak: „Blaski i cienie superkształtnych futerałów palcowych”, czy wreszcie „Rozprawa o stosownym obnażania sposobie”. Będą to dzieła zawiłe, przestudiujesz je jednak i przyznasz, że zostały napisane z wielką znajomością przedmiotu. Wiele też, czasu poświęcisz próbie uzasadnienia swej niemożności. Lecz choć długie godziny strawisz gdzieś w głębi rozległej Konstrukcji, niczego nie usprawiedliwisz w bolesnym fakcie niemożności swojej i ani go nie przewyciężysz, ani nie zaadaptujesz, a arkusz pozostanie pusty. Będzie to czas stracony.

Danym Ci będzie również byś spotkał tego, który Cię wywiódł z kryjówki. Najpierw zapyta Cię, czy zapewniłeś już sobie udział w Wielkiej Syntezie, a kiedy go uspokoisz mówiąc, że sprawa Twoja jest w toku, opowie Ci jeszcze raz jakimi drogami dojdiesz do stanu posiadania.

— Czy słyszy pan harmonijny szum, co dobiega z najwyższych segmentów Konstrukcji zapyta — To melodia nucona przez sprężarki, z elektronowymi mózgami mocarne siłownie. Już trzeba wyteżać słuch, aby usłyszeć ten wszechobecny śpiew, który nam spowszedniał i stał się zwykłą ciszą. Jest w nim zapowiedź bliskiego już wyzwolenia spod ucisku naszych doskonałych tworców. Zbyt wielka jest bowiem władza Rzeczy. Ileż to tysięcy człowiek pozostaje w tyle za własnym dziełem? Realizując śmiało zamierzenia sprawił, że Rzeczy — choć zrodzone z niego — wyobcowały się, przerosły go wielokrotnie i osaczyły. Czas by pognębić owe sprawne i niezawodne, silne i piękne, zdolne i nieomyślne, a wreszcie — bezwarunkowo posłuszne psy u nogi swego pod wieloma względami nieudolnego i ułomnego pana. Czyż on sam — jako organizm podporządkowany prawom biologicznym — zawsze ma cierpliwie czekać na mizerne zdobycze postępowej wprawdzie, ale jakże powolnej ewolucji? Niech pan przemierzy Konstrukcję wzdłuż, wszerz, wzwyż. Tam i tu, w setkach laboratoriów, w halach automatów, w oddziałach analiz specjalnych i w końcu na sali syntezy ostatecznej człowiek doskonalili Rzecz, aby ta z kolei jego podniosła, aby się mógł spełnić czas przyszły bliski. To na co ślamazarna ewolucja potrzebowałaby długich tysięcy, stanie się niebawem dziełem jednego dnia. Powstała w wyniku

Wielkiej Syntezy wspaniała para, to znaczy Syntetyczny Mężczyzna i Syntetyczna Kobieta, otworzą nową erę w dziejach ludzkości i staną się godnym naszym reprezentantem w rozległej Konstrukcji wyobcowanych Rzeczy. Akt sublimacji tych ludzi nie może jednak nastąpić na drodze syntezy z poszczególnych pierwiastków, czy nawet związków organicznych, ten sposób bowiem uczyniłby nas zbędnymi, a zatem zdeterminowałby konieczność rychłego unicestwienia siebie. Oni zostaną powołani do życia z naszych gotowych już, najlepszych i drobnych na ogół części w ten sposób, aby każdy miał szanse przetrwania. Bowiem najbardziej godnym podziwu stanie się najbardziej nieprawdopodobny na pozór fakt, że przez swą najistotniejszą część każdy będzie się mógł w parze syntetycznej ocalić w całości. Za pośrednictwem najdrobniejszego choćby udziału przeniesie osobowość, czy raczej owo nieuchwytnie „oto jestem” do biologicznego organizmu i świadomości doskonałego człowieka i będzie ponad wszelką wątpliwość przekonany, że to właśnie on nim jest — Syntetycznym Człowiekiem.

O tym, co w kim najlepsze, zdecydują nieomylnie maszyny elektronowe: one już najlepiej potrafią odróżnić rzeczywistą wartość od rozdymanego pozoru. Aby się zabezpieczyć przed możliwością jakiegoś nieporozumienia, powiedziałbym złośliwego figla ze strony bezdusznych automatów, opracowane zostaną jednoznaczne kryteria wyboru. Mimo wszystko sprawiedliwa ocena i wybór sprawiają nam wiele trudności. Najwięcej kłopotów mamy z mózgiem i sercem. I nie tylko z tym mózgiem i sercem, które są jednymi z narządów organizmu, ale też z tymi w znaczeniu przenośnym. Z mózgiem — bo jak wiadomo inteligencję stanowi zespół wielu niezależnych od siebie i w różnym stopniu rozwiniętych u poszczególnych osobników elementarnych zdolności, a wiedza w czasach wąskiej specjalizacji podzielona została na tkwiące w umysłach wielu ekspertów z najprzeróżniejszych dziedzin drobne cząstki; z sercem — bo wprawdzie przymioty woli dadzą się wyodrębnić i skompletować podczas zabiegu drobiazgowej selekcji, ale za to prawda, dobro i piękno jako wartości zagrożone, wciąż pozostają względne i subiektywne.

W celu najlepszego wykorzystania zawartości całej Konstrukcji, syntetyzując te dwa organa będziemy musieli korzystać z udziału kilku dziesiątków tysięcy osobników.

Z innymi częściami ciała też nie jest najlepiej. Niektóre trzeba będzie kompletować z poszczególnych komórek. Mimo, że kryteria doboru i oceny są bardzo surowe, a stawiane wymagania nieprawdopodobnie wysokie, zdarzają się niekiedy wypadki odnajdywania przez pracowite automaty osobników z nienagannie rozwiniętymi i zachowanymi częściami ciała.

Niedawno zanotowano mężczyznę, który może się pochwalić zupełnie przyzwoitym żebrem, a na dodatek posiada jeden ząb trzonowy, też niczego sobie. Innym znów razem pewna kobieta — nazwisko jej znajdzie pan na plakatach widmowych — zademonstrowała przed mózgiem elektronowym swoją skórę na plecach pod prawą łopatką. Liczne badania, a w tym mikroskopowe wykazały, że dwadzieścia centymetrów kwadratowych tej skóry jest bez zarzutu. O tak ogromnym udziale w Wielkiej Syntezie każdy marzy. Są to jednak wypadki wyjątkowe i zwykły śmiertelnik nie może na nie liczyć.

Na ogół ludzie są zadowoleni lub nawet szczęśliwi, jeżeli uda im się zakwalifikować bodaj jeden ze swych włosów. Okazuje się przy tym — zresztą rzecz na oko niebywała — że nawet na jednej głowie pod względem jakości włos włosowi nierówny. Od czasu do czasu podnoszą się tu i ówdzie głosy wyrażające troskę o losy Syntetycznego Człowieka: A to, że mając parę miliardów indywidualnych osobowości równocześnie, nie będzie miał w końcu żadnej; a to znów, że będzie mdły, nieludzki, nijaki — takie sobie bezpodstawne i wsteczne wątpliwości wynikające z braku zrozumienia konieczności postępu. Nie martwię się tym: suma najlepszych części musi dać doskonałą całość.

Mówiąc o tym i owym długo jeszcze opowiadał Ci będzie o swych nadziejach, aż na koniec poprosi Cię, abyś zdjął futerał i pochwali Cię za Twój palec.

Wkrótce po tym Naczelnny Zautomatyzowany Zespół wykrywaczy Usterek (NZZWU) w czasie jednego ze swych zwyczajnych posiedzeń orzeknie, że na skutek niewłaściwej pielęgnacji znaczna część Twojego palca uległa zwyrodnieniu. Pozostanie Ci jednak jego ostatni człon wraz z paznokciem. Będziesz miał jeszcze wiele okazji, aby się dowiedzieć, dlaczego paznokieć Twój jest taki wyjątkowy! Wędrując po Centralnej Obwodnicy ujrzysz, jak ludzie przedstawiają w korzystnym świetle różne części swych ciał, jak wskazują na swe uszy, szyje, nosy i poszczególne

mięśnie. opowiadają o swoich wątrobach i płucach, obnażają kolana, pięty. pętki — często słowa, a czasem i myśli.

Razu pewnego odnajdziesz gdzieś w wazonie wśród sztucznych ozdób prawdziwy kwiat. Zdejmiesz futerał swój i — ulegając tej naiwnej pewności siebie, która każe Ci sądzić, że pozostał niezauważony — wskażesz go wskazującym palcem lewej ręki. Jakież zdumienie ogarnie Cię, gdy uwaga obecnych zamiast pobiec do celu wskazania Twego, pozostanie przy palcu i skupi się wokół niego. Bo w dyskretnym szmerze pełnego podziwu cmokania wzrok wszystkich przykuje nie kwiat, ale paznokieć Twój, a znajdzie się również i ten, kto Ci go opluje.

Nadejdzie wreszcie długo oczekiwany dzień. O oznaczonej godzinie zlikwidujesz wszystkie Twoje sprawy i oczekując na wezwanie z przyległego do sali syntezy ostatecznej oddziału syntez cząstkowych, zatrzymasz się w kabinie uspokajającej. Gdy zauważysz znak wywoławczy, wejdiesz do obszernego przedsegmentu. Na prawo wejście do oddziału Syntez Cząstkowych, przed Tobą na wprost wielka wnęka, w jej głębi pancerne drzwi, na nich napis: Sala Syntezy Ostatecznej, a u dołu coś jeszcze, drobnym drukiem, jakby uzupełnienie, rozwinięcie czy wyjaśnienie zbyt zwięzłej myśli, która i tak aż nadto będzie dla Ciebie jednoznaczna i jasna.

To tu! — pomyślisz z trwogą.

— Spokojnie — usłyszysz za sobą głos. — Niech się paznokieć nie denerwuje. — Obejrzyj się. Dopiero teraz zauważysz stojący przy wieszakach automat. Zbliży się do Ciebie, weźmie z Twoich rąk uniestwiacz obaw, kapelusz i arkusz — wszystko podasz mu bez słowa.

— Cóż to? — zapyta. — Czyżby brak entuzjazmu, niezrozumienie własnego dobra?

Marynarka i buty — tego nie, na razie niech zostaną. Ale, ale... Jakże to? Proszę mówić, śmiało. Wprawdzie wypowiedź ta nie będzie miała żadnego wpływu na bieg sprawy i — co więcej — wpływu żadnego ze względu na skromność mojej funkcji mieć nie może, przecież szczere wyznanie przynosi ulgę. Posłucham. Od tego tu jestem.

Szeleszcząc życzliwie poprawi Ci krawat, przygładzi włosy.. Podejdiesz do drzwi Oddziału. Pobiegnie za Tobą, oprze arkusz o ścianę i wyciągnie pióro. Zatrzymasz się. W tej ciężkiej dla Ciebie chwili będziesz chciał zwierzyć się komukolwiek. Ukradkiem zerkniesz w jego

stronę i zauważysz, że podkreśli widniejące na czystej karcie samotne dwa wyrazy: „uzasadnienie niemożności”. Przez kilka minut usiłował będziesz zebrać myśli, uratować choćby drobną część, która Ci jeszcze zostanie.

— Jakże to... — mruknie. — No, no więc...

Milczał będziesz. W wymownej ciszy stalowego przedsegmentu, której zwieść nie będziesz mógł, przynaglał Cię będzie raz po raz. I, aby Ci nie ulec, aby nie dać się przytłoczyć tym przeogromnym milczeniem Twoim, podkreśli znów, co napisane będzie: dwie linie pod poprzednią przeciągnie z rozmachem, jakby mu jednej było za mało. A potem jeszcze wykrzyknik doda i myślnik za nim umieści w zapale, a na koniec kropkę zbędną, choć jakże wymowną, a tak się przy tym natęży, z taką uczyni to mocą, że aż papier do ściany piórem przybije — by Ci o czymś przypomnieć na progu końca Twego.

Lecz gdy tak zastygnie pod ścianą czekając — daremne to czekanie — powiesz. I choć zabójcze będzie tempo, które Ci narzuci, kiedy w uniesieniu swym szczerym podkreślał będzie i wykrzyknikami ozdabiał, co już nieraz uwypuklone zostało, przecież zrozumiesz, że nic ponad te krechy nie namaluje pod godłem poniżenia Twego. Bowiem im dłużej będziesz się skupiał w sobie, im bardziej szalone czynił wysiłki, tym większa opanowywała Cię będzie pewność, że to nie Twoje uzasadnienie niemożności podkreślał będzie, lecz na odwrót — Twoją niemożność uzasadnienia.

Już to w dzwoniącej ciszy milczenia waszego na jałowym podkreślaniu niemożności Twojej bezcenny czas Ci upłynie, bowiem ani on nie do pisania, ani Ty nic do powiedzenia w chwili tej doniosłej miał nie będziesz. Zegar gdzieś zadzwoni, czas upłynie, oto wybije godzina. Drzwi oddziału syntez cząstkowych otworzą się bezszelestnie, przekroczysz próg. W skąpym blasku ukrytego gdzieś z tyłu źródła światła ukaza Ci się ostre kontury jakiś masywnych urządzeń, a potem opasujące wszystko stalowe ściany komory. Pod jedną z nich będą stały cztery lśniące od bieli automaty. Najwyższy podejdzie do Ciebie. Na Twój widok pozostałe automaty zajmą stanowiska przy pulpitych zdalnego sterowania. Najwyższy zaprowadzi Cię do wznoszącej się na środku komory skomplikowanej aparatury z przezroczystym i hermetycznym zasobnikiem pośrodku.

— Proszę się rozebrać do naga i wejść do zasobnika — powie. — Wskazujący palec lewej ręki należy włożyć do tego oto otworu. W odmierzonej przez centralną sterownię chwili zero najistotniejsza część całego ciała przy współudziale mocooscyłatora sprężen plazmotronicznych przeniknie natychmiast do przekaźników sali Syntezy Ostatecznej.

— Jasne — powiesz. — Ale co się stanie z resztą mojego ciała?

— Reszta — powie i włączy obwód wyjaśniający, który już nieraz wypadało mu włączać — reszta ulegnie natychmiastowemu i równomiernemu z procesem przekazywania palca unicestwieniu. Taki jest niezbędny warunek ocalenia się jej ego, absogenetycznej struktury w palcu syntetycznego człowieka. To chyba oczywiste.

Ponieważ będziesz milczał, uzna, że masz jeszcze jakieś wątpliwości.

— To nie będzie bolało — doda.

Zawrócisz powoli w kierunku drzwi.

— A to co!?! — zawoła za Tobą. — Udział w Wielkiej Syntezie jest nie tylko zaszczytem, ale i obowiązkiem!

Już z ręką na klamce zatrzymasz się obezwładniony tym nagłym i niczym nie okiełznanym uczuciem, które — jeśli nie Stłumione w porę — może pchnąć do jakiegoś szalonego czynu, ba, do zbrodni nawet, a cóż dopiero do wyrażenia wątpliwości. Jednakże zanim cokolwiek zdążysz powiedzieć, usłyszysz ostry sygnał wzywający Cię do natychmiastowego zajęcia miejsca w zasobniku. Wówczas pod wpływem przemyślanej decyzji sięgniesz do stosu instrumentów chirurgicznych i chwycisz za leżący wśród nich skalpel. W jaśniejącym blasku różnobarwnych wskaźników położysz na blacie palec swój i w miejscu przez ostatnią komisję dokładnie naznaczonym. jednym gwałtownym ruchem utniesz go, a zrobisz to, boś Ty ten, którego przeczuwam. A kiedy tego dokonasz, kiedy z rosnącej szybko kałuży krwi odbije się zielony zygzak z pobliskiego ekranu. a większy niż sądziłeś ból przysłoni Ci radość ocalenia, wtedy więc podniesiesz swój udział i włożysz go do wskazanego przedtem otworu. Prześlesz na salę Syntezy Ostatecznej swoją najlepszą część, lecz sam pozostaniesz poza nią. Z metalicznym spokojem dobrze naoliwionych części automaty powtórzą Ci po raz wtóry, że działając w ten sposób straciłeś raz na zawsze jedyną szansę przetrwania. Ty słuchając tego milczał będziesz — cóż miałbyś

powiedzieć.

Przemierzając pustoszejące segmenty rozległej Konstrukcji ujrzysz się niebawem samotnym wśród Rzeczy. Ze wzrastającym niepokojem czekał będziesz na chwilę, w której otworzą się wiodące do sali Syntezy Ostatecznej drzwi pancerne. a na progu stanie ów obiecany i obcy Syntetyczny Człowiek.

Będziesz chciał wywołać w wyobraźni nieodgadniony obraz jego i pomyślisz o tych, co pod wpływem niepojętej i wrogiej Ci siły oddali swe części, pozostawiając Cię w głębokim podziwieniu dla swego niewzruszonego przekonania i w nienawiści do siebie samego za to, że nie potrafiłeś go w sobie wywołać — Tak będzie.

Zmowa

Ja też wreszcie wymyśliłem sobie świat. Musiałem to w końcu zrobić, bo już mi tamte nie odpowiadają. Chyba niedługo zanudziłbym się na śmierć albo by mnie spotkało jeszcze coś gorszego, gdybym miał tak czekać sam już nie wiem na co. Ale teraz wymyśliłem ten swój nowy świat i jutro od samego rana zacznę w nim żyć, nareszcie. Przysięgłem sobie na wszystko, że będzie dokładnie tak, jak zmówiliśmy się wczoraj rano. Będę musiał być bardzo ostrożny i uważny. Niełatwo tak od razu za jednym zamachem wejść w posiadanie tego, co się wymyśli.

To z Romanem zmówiliśmy się wczoraj rano. My się rozumiemy. Leżał rozwalony w trawie, kiedy przybyłem i ani się odezwał. On do mnie nie ma żadnych uraz. Więc mówię: „przybyłem” i siadam. A on:

— Odśwież się trochę, to pogadamy sobie. Dzisiaj inaczej będziemy mówili, zobaczysz.

Wypiłem nieco z butelki, bo ja nie mogę myśleć bez popicia. Czy za siedemnaście, czy za trzydzieści dziewięć, ale muszę wypić, bo zaraz mi się myśli płaczą i koniec. Co ja zrobię, że to takie świństwo. Nic tylko rzygać mi się chce i już. Więc wypięłem tyle, ile trzeba, żeby mnie nie przykapował; niech się nie złości.

Ale on pomilczał i się odzywa:

— Mówię ci, bracie, co innego będziemy udawać.

— A co? — pytam.

— A bo ja wiem co. Ale co innego, już ja to wiem.

Ja popatrzyłem na niego i mówię:

— Odbiło ci się chyba, Roman, my co...

Ale on mi nie wszedł w słowa, tylko swoje:

— Coś się wymyśli, zobaczysz.

Wtedy wyciągnąłem się przy krzaku, gdzie trzymał te swoje buty, co je zawsze ścigał, jak tylko mógł. Nogi chyba strasznie go piekły, czy ja wiem. A ja akurat przy tych nogach i butach musiałem się wyciągnąć, bo aż mnie zaleciało, jak nie wiem co. Ale leżę cicho i myślę, czego on znowu chce. Przecież jest wszystko normalnie, to co innego może być. I pytam

tak wciąż siebie, tak w kółko siebie zapytuję, chociaż wiem już dawno, co on chce udawać teraz. Ale chociaż już to wiem, leżę cicho, nic nie mówię. Mam czas. Tylko się z tego cieszę, że już wiem, co ma być. Bo w samą porę przybyłem: był na to czas.

Więc kiedy tak cicho leżeliśmy w trawie wczoraj rano i on coś knuł — ja to samo knułem, to się wie. I już coś nam musiało zaświtać podczas tej niemej zmywy, bo i on się tak jakoś skrzywił na twarzy i ja też.

Odezwałem się nagle:

— Prawie milczeć będziemy!

— No i co?

— A nic.

— O!

Nie mogłem go wtedy zaskoczyć, no bo jak. Patrę się na niego, a on piętą w ziemię wierzgnął i palcami w skarpetkach przerabia, jakoś tak równo i bez czucia palce w skarpetkach tasuje: czyżby nic nie przyjął?

Ale mówi:

— Przemilczać będziemy, co się da, no nie?

— No jasne. Niech sami mamlą, jak chcą. Nie ma o czym mówić.

Przyjrzał mi się nieufnie, dalej się upewnia.

— A stać będziemy po swojemu bez tych skłonów i wymachów. Ja niczego nie podpisywałem.

— Ani ja — zapewniłem go pośpiesznie.

— Skończ, skończ! bo skonam. Bo już od dawna trzeba było coś odświeżyć. A myślisz, że tego nie było? Jak sobie to wymyślili, niech się tym męczą, co mnie to obchodzi — to już nie mój świat, niech się tłuką. Hanka mi trajluje w kółko, żebym się z tobą nie zadawał, bo masz na mnie wpływ...

— Może i mam. Każdy ma na kogoś wpływ...

Nie mogłem z nim dyskutować, on był geniuszem, a ja nie.

Roman był geniuszem. Ale o tym, że Roman jest geniuszem, nie wiedział ani pan S., jego ojciec, ani pani P., jego matka, ani nawet Katarzyna, jego dziewczyna, zwykły przypadek. Faktu tego nie znało jeszcze cały szereg innych osób, a więc oprócz już wymienionych również nauczycielka języka pani W. oraz nauczyciel matematyki pan M.

Jednak trudno będzie wymienić wszystkie osoby nie wiedzące o tym, że Roman był geniuszem. Znacznie łatwiej będzie powiedzieć, kto o

tym wiedział, tym bardziej że na całym świecie była tylko jedna taka osoba: był nią on sam. Do swego odkrycia (podobno geniusza trzeba odkryć) doszedł Roman dobrowolnie i samodzielnie. Dobrowolnie — to znaczy bez żadnego zewnętrznego przymusu ani nawet bez czyjegokolwiek nacisku, samodzielnie natomiast — to jest bez niczyjej pomocy, bo wyłącznie drogą obserwacji własnych przeżyć. Doceniając powyższe, trzeba zapoznać się z jeszcze jednym zasługującym na uwagę, bo potęgującym genialność Romana faktem: otóż on sam utwierdził się w swojej genialności bez jakiegokolwiek wysiłku. Każdy przepis na genialność wzbudzić może zainteresowanie. Jednak największą ciekawość wywołać może jedynie wzmianka o istnieniu recepty, w której usunięty został czynnik wysiłku. Wykluczenie przykrego czynnika wysiłku Roman zagwarantował sobie przez naturalny manewr omijania wyłaniających się przeszkód wszędzie tam, gdzie inni upierali się je pokonywać.

Ogólnie rzecz ujmując, Roman postanowił konsekwentnie unikać wszystkiego, co mogłoby osłabić jego przekonanie o własnej genialności. Akurat tak się pomyślnie złożyło — szczęśliwy zbieg okoliczności, niestety, nie zawsze ma miejsce — że najłatwiej przychodziło mu ignorować fakt istnienia nauki. Nigdy nie mógł lub jeżeli użyć jego własnego asekuracyjnego określenia — nigdy nie chciał uchwycić żadnego istotnego związku między zjawiskami, toteż bardzo łatwo było mu przyjąć, że takie związki w ogóle nie występują. Po przyjęciu takiego założenia nic nie mogło zakłócać przyjętej przezeń koncepcji genialności.

Byłem drugą osobą na świecie, która dowiedziała się, że Roman jest geniuszem. Zdarzyło się to pewnego jesiennego dnia, gdy siedzieliśmy w piwiarni nad dwoma kuflami jasnego.

— Masz, przeczytaj! — powiedział, podsuwając arkusz podaniowego papieru w kratkę.

Uniosłem arkusz ostrożnie, aby nie zamoczyć go w rozlanym piwie. Zacząłem czytać:

ANONIM

Uciekaj! — Wszystko wiedzą o Tobie, nie zataisz dłużej, wszystko się wydało!

Paniki nie luzuj rozumem. I w nocnych przebudzeniach najspieszniej — chroń ciało.

Oddal się! Głębiej wtul głowę — nadzieję roztrzaskaj na progu. Zanim świt nagły wstanie. Bawelną ust nie omotasz — łakną krzyku zacieki majaczące na ścianie. Kiedy? Już wiedzą!

Przedświt pękł — uciekaj. Nie szarp walizek w zamęcie. Rzuć rzeczy!

A te koty, coś je wczoraj utopił tam — w kubie? Musiałeś? Kto przeczy.

A może urwane skrzydła muchy, którąś chwycił na szybie z dreszczem. Upewniwszy się, czy nikt nie widzi — wyraźniej powiedzą ci jeszcze? Uciekaj! Z serca łomotem porozbijaj kolana w biegu. W dowodzie osobistym: mieszkasz — pracujesz — pieczęć.

— Cóż z tego? Pomnisz, jak zwartym kręgiem w pokoju Twym przy Tobie kiedyś stano?

Gramofon w ciszę łagodnie tony muzyki wysyłał piano.

Wtedy z miejsca, gdzie stałeś, w przestrzeń obca wdarła się nuta. O innym charakterze niż zwykle skrzypnięcie buta. Słyszeli — więc uciekaj! Wszystko przepadło. Świt wstaje. Noc ubiegła. Niebo pobladło. Oczu w głębi oparów nocnych cieni już więcej nie zmrużysz. Ciemności, co przysłania kredową biel twarzy, nie wydłużysz. — Uciekaj!

Lodówka spleciona — zgoda. Zdławione lęku ognisko. Źródła dochodu, przekonania, przeszłość — w porządku wszystko. Tu nikt nie wyszarpię niczego, stąd nie oczekuj ciosu. Wyliczysz się z tego wszystkiego, bo nie kusiłeś losu.

Lecz pomnisz, jak z pierwszą dziewczyną w pościeli, czar mocy męskiej prysnął?

Skończyłeś już — gdyś dopiero powinien zacząć... jakoś ci nie wyszło.

Uciekaj! Jak stoisz — w pędzącym pociągu się zaszyj. Wszystko się wydało!

Więc ratuj się, jak możesz, czym prędzej chyłkiem — na dworzec pomykaj. Chroń ciało.

Przeczytałem dwa razy.

— Genialne! — pochwaliłem.

— Żadne odkrycie — skwitowałem mój zachwyty — przecież jestem geniuszem.

— Zamierzasz to gdzieś wysłać? — spytałem.

— Jeszcze się nie zdecydowałem — odpowiedział po namyśle — nie mam pewności, czy te barany to docenią. Być geniuszem to nie jest takie proste, można być odkrytym dopiero po śmierci.

Roman był moim kolegą z wojska, służyliśmy w tej samej kompanii. Wiele mu zawdzięczam.

Stałem na warcie szarą nocą — gdy wtem widzę, że mierzy do mnie na wpół ukryty. Sosny proste, rzadkie, na pewno drewniana ściana magazynu — za nią się chowam, nie chowam — ani drgnie — mierzy do mnie zza pnia sosnowego drzewa. Mierzę do niego od siebie — nie wypala — spust — bezpiecznik — spust. Wreszcie seria długa. Za długa — czemu głośna tak niepotrzebnie i błędnie za długa. Automat odpalił, przeszyty na wskroś leży tam — przygięty dymiącą gorącą serią. Stało się — niepotrzebnie błędnie. Już z wartowni przybiegli — milcząc podnoszą kolegę mego w zakrwawionym mundurze. Niosą go pod ścianę budynku kompanii. Tu leży przeszyty z piersią rozdartą, żyje, nie mówi. W jakim sposobie pomyłkowo zraniłem kolegę? Milczą nie oskarżają

w ciszy zapadłej. Który to? Imię znam. Z łatwością mógłbym wymienić. Roman pomógł mi wtedy, był świadkiem w Sądzie Wojskowym. Zostałem uniewinniony.

Leżymy w trawie, widzę otwarte niebo. Trójwymiarowa przestrzeń zakrzywiona lazurem piętrzy się w dal ustawiona w stereoskopie głębi. Nieograniczony horyzont rozdierany płynnie cielskiem samolotu. W półlocie wrzyna się w skowyt i ginie szumem — lecz już inny ton jego silników rozwija ewolucję lęku. Na rozgrzanych drganiem blachach kadłuba sterroryzowanych tarciem atmosfery znaki. Wiem o nich, że są amerykańskie. A więc jednak — myślę — stało się — dokonał się dzień nadchodzący — wybiła jego godzina.

To tu, to tam — wszędzie ławice chmurek w oczekiwaniu. Podbiegliśmy we dwóch na wzgórze — ze szczytu ograniczony panoramą doliny widok — tu śledzimy tor jego lotu. Nagle zgrzytem wytraca prostą i pikuje w dół, całą masą uderza o ziemię. W słup kwitnącego ognia kaszlem zachłysnął się trzask detonacji — trzęsie rozerwaną przestrzeń w promieniu fali. Pękają opary obłoków. Potężny wstrząs ośrodka jeszcze nie nadszedł, lecz wiem, że nastąpi dopełnienie. Już w pierwszym kole cios zerwał szyby z okien i sypie je płatami pięter — gdy w pośpiechu liczę roztrzaskane sekundy. Powietrze przed nami wygina się w pęcherz nadmiarem energii.

— Na dół! — wołam do Romana.

Biegniemy na skrzydłach niejasnego lęku. Więc bryzgi żwiru pod nogami strugą lepkiej mazi odejmują gardło słowom.

— Znowu kilkudziesięciu ludzi odzwyczało się od palenia — powiedział Roman, leżąc w trawie pod wzgórzem.

— I to ostatecznie — dodałem.

Zaciągnął się papierosem.

— Jutro ruszamy! — rzucił w moją stronę.

— Dokąd?

— Tam — machnął ręką w kierunku północy — nad morze.

Szliśmy wzdłuż nieznanego brzegu. W drodze tutaj nogi nam więzły wśród podmokłych łąk, a słony wiatr owiewał nas od strony wody. Tuż na lewo krawędź splukiwana pianą — brzeg ten dziwnie fali się opierał. Myślałem — rzeka, brzeg musi mieć przeciwny i wyteżalem wzrok pod

słony wiatr. Nie ujrzałem jednak nic ponad skłębione chmury. Na płachcie żwiru bosa stopy obsychają z wody. Teraz wiatr trzęsie liśćmi brzozy i niesie chłód. Patrzę na krawędź, skąd bezmierną przepaścią zaczyna się dal nieba. Nie rzeka to, lecz nieskończone morze. Jeszcze ślady po rybach i ptakach dostrzegam tu i tam — kępy różnobarwnych traw podmokłych wśród kamieni.

Złożyliśmy na trawie to, cośmy nieśli, żaden nie wyrzekł słowa. Gdy zasiedliśmy przy ognisku, gotując wieczorny makaron, Roman spytał:

— Czego my tu właściwie szukamy?

— Nie wiem, to był twój pomysł.

— Jak ja mogłem mieć taki głupi pomysł? Nie mogę sobie przypomnieć.

— No cóż, geniusze też mają potknięcia — pocieszyłem go ironicznie. — Może w chwili natchnienia przybyłeś tu, aby szukać prawdy absolutnej?

— Nie ma takiej prawdy! — krzyknął. — Prawd jest wiele, tyle, ilu ludzi. Każdy ma swoją prawdę. Tak jak każdy ma swoją dupę — dodał.

— Mylisz się! — zaoponowałem. — Są prawdy absolutne. Prawdy dla wszystkich.

— Jakie?

— A choćby Wszechświat. Wszechświat jest prawdą absolutną po prostu dlatego, że z założenia obejmuje wszystko, co istnieje, choćby miał nawet zawierać domniemanych twórców naszej rzeczywistości fizycznej, egzystujących w pustym dla nich miejscu czasoprzestrzeni, zamkniętej obok jednego z wielu fragmentów tworzywa, otwartego i ograniczonego swym brzegiem (jak na przykład płyta gramofonowa w naszej przestrzeni), może jego konstruktorów i reżyserów mechanicznej fali rozchodzącej się w nim okresowo, zatem autorów doskonalszych niż my, ale w każdym razie pozbawionych atrybutu wszechmocy. Takich więc twórców naszego stereonu, których byt należałoby wytłumaczyć istnieniem kolejnego wymiaru. Być może nasza czasoprzestrzeń stanowi rodzaj płyty ze stereonami dla czterowymiarowych widzów, wśród których bezwiednie przez cały czas trójwymiarowego seansu przebywa każdy człowiek? Może ich umysły ubrane w zjawisko ciała i bardziej skupione na akcji życia, niż nasze umysły na ekranie podczas projekcji dwuwymiarowego filmu, więc zupełnie nieświadome otaczającej fikcji,

po jej przerwaniu powracają ze snu do jawy w czterowymiarowej rzeczywistości ich świata — słowem czy to my tam powracamy? Podobno życie jest snem, zaś śmierć powrotem do rzeczywistości nieba.

— Brawo! Brawo! Widać, że ma się tę maturę i kursa niektóre — krzyknął w udanym podziwieniu Roman. — A tak serio, to sędzę, że ci całkiem odbiło. Człowiek jest biologiczną maszyną, która istnieje, póki żyje. Pewnego dnia, z takich, czy innych powodów, maszyna przestaje działać — czyli żyć. I jest to koniec jej świata, Wszechświata i wszystkich tych bzdetów, o których szeroko się tu rozwodzisz. Życiem ludzkiej maszyny (identycznie jak zwierzęcej) kierują trzy popędy: strach, głód i chuć. Reszta to nadbudowa, którą stworzyli ludzie w ramach cywilizacji.

Najbardziej dominującym w poczynaniach człowieka jest strach i związane z nim próby zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Wszystkie postawy w zachowaniu człowieka, każdy przejaw jego psychicznej czy fizycznej aktywności można wytłumaczyć w sposób prosty i zarazem naturalny, przypisując mu działanie pod wpływem jednego tylko motywu: jest nim pragnienie bezpieczeństwa. Pragnienie to stoi na czele wszystkich innych popędów, nadaje im kierunek i zespala je wokół pierwszej przyczyny, która stanowi jedyny motyw każdego postępowania, jest bowiem najbardziej pierwotnym źródłem energii i uczuć doznanych pod naciskiem głodu i strachu albo instynktu seksualnego czy wreszcie dążenia do własnej mocy, błędnie rozpoznawalnych jako niezależne i główne motory życia.

Niedosyt bezpieczeństwa towarzyszy ludziom zawsze, również w okresach, gdy nie odczuwają bezpośredniego zagrożenia. Zaspokojenie stałej potrzeby bezpieczeństwa przynieść może wewnętrzna albo zewnętrzna siła bezpieczeństwa. Stąd bierze się podział na ludzi samodzielnych i niesamodzielnych, kształtujący się już w pierwszym okresie życia. Reszta, jak już mówiłem, to nadbudowa stworzona przez cywilizację, proporcjonalna do poziomu danej cywilizacji.

Ziewnął przeciągle.

— Chodźmy spać, bo przegadamy całą noc, a jutro jedziemy w góry — powiedział, wsuwając się do śpiwora.

Długo nie mogłem zasnąć, kręciłem się w śpiworze, a gdy wreszcie zasnąłem, miałem dziwny sen:

Stałem przy szklanej ścianie pokoju w nieznanym mieście. Patrzę na

niebo, w ciemność. Szukam przyczyny niespodziewanego blasku od okna. Patrzę w niebo nad miastem. Ciemnoczerwona kula — Słońce — wzbija się ponad stalowy horyzont i szybko zakreśla krąg wokół punktu ponad widnokręgiem. Widzę, jak zachodzi — zapada się w głąb ściągając za sobą w dół resztki napęczniałych prześwitów — potem wystrzela w górę i zmywa miasto dziwnym szaroszkarłatnym blaskiem. Pokój tonie na przemian w szaro-żółtym, to znowu w prawdziwym słonecznym blasku. Światło co pewien czas urywa się gęstym mrokiem. Drzę przy szklanej ścianie i oceniam rozmiary kataklizmu. Na ulicach gorączkowy ruch zaskoczonych mieszkańców. Śledzę twarze ludzi zbijających się w grupy — doszukuję się w nich niemego przerażenia.

Gasnąca kula Słońca rośnie w oczach — zajmuje już czwartą część horyzontu. Światło staje się zimne, słabo rozjaśnia brunatną ciemność. Na chropowatej ścianie zapory skupia się zastygła w szkle czerwień, potem kula oddala się i powtarza od nowa całą ewolucję. Ziemia wpadła na skomplikowaną orbitę wokół przemienionego Słońca. Znow ugrzęzłe w nocy zarysy wieżowców rozdarł klin rozlewającego się w przestrzeni światła i spełzył po murach — zastał mnie wśród ociemnionych bloków, gdzie nie mogę pogodzić się z rozmiarami kataklizmu. Noc — dzień — i znow niepojęta noc.

Gdy po dwóch dniach podróży autostopem zatrzymaliśmy się na drodze do górskiego schroniska, Roman wygłosił mowę pochwalną dla wynalazcy autostopu:

— Według mnie ten facet powinien mieć pomnik w każdym mieście. To jest wspaniałe osiągnięcie ludzkości. A jakie zasługi dla rozwoju turystyki!

— Na pewno duże osiągnięcie — zgodziłem się z umiarkowanym entuzjazmem, rozcierając pośladki zdrętwiałe od kilkugodzinnego siedzenia w skrzyni ostatniej ciężarówki. Po czym patrząc na piękną panoramę gór spytałem: — Co dalej?

— Przenocujemy w schronisku, a jutro pójdziemy zdobyć Aporię — odpowiedział.

Staliśmy na tej półce pod szczytem. Miniatura schroniska widniała jak gniazdo os wśród polan — łąkami wśród horyzontów śpiewał ku nam wiatr. A było mi blisko nieba i nie doleciał do mnie pluskiem fiołków

kwiat ten zapomniany, który pozostał w domu. Kamieniem głodnych gór bryła spogląda mi lotem ptaka — trzepocze piórami i puchem do mnie się zbliża i rośnie kroplami melodyjnego szumu, zgrzytem. Spadają ostatnie krople ros — podnoszę gosnące na dłoniach kryształy wykwitłe w czerwieni pąków. I wiatr mieści się w locie roziskrzonego nieba — nad nim najwyższym pędem pieśni czarują szczyty i jeszcze sine giganty ich kształtów ulatują z trzepotem obok najniższych podpartych grani. Niepoważnie brzmi śpiew rzucony ostrzem białego pieca chmur. Ciszy — zawartej, szarej ciszy kamienia — nie wzruszy.

A tam w dali horyzont pęka wzdłuż linii umownej — przekrojonej całą wycofującą się obawą. A może jesteśmy wtopieni w ten kryształ pejzażu na skale wysokiej, na powierzchni swego bytu — tak ujrzałem w słowach pierwszych zawartego widoku myśl niejasną.

Ale...

Zawsze jest jakieś ale...

Gdy spojrzałem na Romana stojącego na krawędzi półki ze wzrokiem wbitym w nieokreśloną dal, błysnęła w mym mózgu projekcja sceny, która miała miejsce przed dwoma miesiącami:

...zgodnie z informacją, która nadeszła raptem — może olśnieniem, przeczuciem — powinien być w miejscu widocznym, wiadomym — a tam go nie ma. Bo przecież wiadomo mi od niedawna, że człowiek ten nie jest mi przyjacielem. Pojawił się w potrzebie nagłej. Ta sprawa do załatwienia pilna, nieżywa już raczej — zawieruszyła się dziwnie. Jej też nigdzie nie ma i już to czuję i spostrzegam. Wspinam się biegiem po schodach domu mojego, stromych, wiodących na strych wysoki. Wystarczy teraz otworzyć drzwi pokoju na górze i czas się stanie jak rozdarta wrzeszcząca płachta papieru.

Leżą na podłodze ciasno przy sobie — nieruchomi. Czy mogłem gdziekolwiek przyłapać ich — siebie na oglądaniu równie bolesnej sceny?

A już najbardziej zdumiewa mnie to zestawienie i fakt, że go — ich nie podejrzewałem i to, że — jak się dowiaduję — tak było już przez pewien czas. Nie mogę uwierzyć sobie — im, że widzą i patrzą.

Już myśl mi się mąci — tym bardziej że spojrzenie jego nie podejmuje napiętych strun oniemiałych z gniewu i zaskoczenia wbitych w niego oczu moich. Odchodzi na bok jak nic — normalnie. Uderzam —

szarpię się z czymś na boku — rwę to i rzucam w niego. Przecież bezsilnie, słabo, bez znaczenia — ale do okna, do okna... Za oknem, przy którym stoję, szmaragdowe obcięte niebem wzgórze oblewa rzeka — jezioro.

Koniec projekcji — a jego plecy tuż — przede mną. Stoi na skraju półki opasany liną, którą wypożyczył rano w schronisku. On ma rację — pomyślałem — motorem ludzkich działań jest strach. Jednym rzutem sprężonego ciała uderzam w te plecy...

Poleciał. Ostatni zwój rozwijającej się liny zaplątał się na mojej nodze. Trzask łamanej kości i ból przeszywający czaszkę, a potem ciemność.

Gdy po kilku tygodniach pobytu w szpitalu powróciłem do domu, żona podsunęła mi dwie gazety z podkreślonymi flamastrem tytułami artykułów.

— Przeczytaj, proszę! — powiedziała, wymownie patrząc mi w oczy. Zacząłem czytać.

TRAGEDIA W GÓRACH

Czytelników naszych informowaliśmy już o wstrząsającej tragedii górskiej, jaka miała miejsce w sobotę pod szczytem Aporii. Niestety, mimo wielogodzinnych poszukiwań, ciała Romana Neleza nie udało się odnaleźć. Ustalono natomiast, że ostatnią osobą napotkaną przez młodych turystów był Alberto Can, mieszkaniec tych okolic. Turyści rozmawiali z nim na kilka godzin przed wypadkiem. Nelez zwierzył się góralowi, że on i jego towarzysze nie należą do najbardziej doświadczonych alpinistów i prosił o wskazanie drogi możliwie najłatwiejszej. Doceniając wagę tego wyznania Alberto Can pochwalił ich za szczerość, a następnie skierował na szlak, którego pokonanie nie wymagało żadnego ekwipunku. Świadectwo górala utwierdza nas w przekonaniu, że młodzi mężczyźni nie zamierzali ryzykować lekkomyślnie w ich przypadku i brawurowej wspinaczki.

Jednakże z nie ustalonych jeszcze przyczyn młodzi znacznie zoczyli ze wskazanej trasy. Porozumienie się z bezpośrednim świadkiem tragedii, panem Henrykiem S., wydaje się, przynajmniej na razie zupełnie niemożliwe. Zapytany o przyczynę zmiany decyzji, przyjaciel Neleza zwrócił się do nas z wyrazami wręcz nieprzytomnej wrogości. Wrogość jego, jak zauważyliśmy, przenosi się z łatwością na wszystkie znajdujące się w pobliżu osoby i dziwnie kontrastuje z wyjaśnieniami jego żony, według słów której Henryk S. był zawsze opanowany i zrównoważony. Bądźmy jednak wyrozumiali i sprawiedliwi. Trudno nie znaleźć słów zrozumienia i najgłębszego współczucia dla tego wprawdzie nieobliczalnego w słowach i szalonego dziś mężczyzny, jeśli się zważy ogrom jego udręki. Bowiem na podstawie różnych danych i niezależnie od bardzo chaotycznych i niepełnych wyjaśnień Henryka S. udało się stwierdzić, że Nelez wisiał na linie przypuszczalnie około godziny, nim na koniec runął w głąb dwustumetrowej przepaści. W tym czasie jego przyjaciel leżał na skalnym progu tuż nad bezradnym towarzyszem, dokładnie w miejscu, gdzie go później okaleczonego i nieprzytomnego odnalazła ekipa ratowników. Leżał tam przez nieskończenie dla niego długi okres czasu, śmiertelnie wyczerpany i tragicznie

bezsilny, być może nawet do ostatniej chwili pełen nadziei, wyczekując pomocy — ba, cudu — i mimo rozpaczliwych wysiłków nie był w stanie przyjść koledze z pomocą.

Dziś Henryk S. robi wrażenie obłąkanego. Do takiej opinii skłaniają nas nie tylko własne obserwacje, ale też słowa lekarza, któremu udało się zdobyć zaufanie chorego dzięki czemu usłyszał z jego ust mało prawdopodobną historię.

Otóż według słów pacjenta świadkiem tragedii był znajdujący się w pobliżu inny alpinista. Chory określił miejsce, skąd ich obserwował. Człowiek ów — jeśli nie uznamy go za twórcę chorej wyobraźni — zwyrodniałby sadysta, mógłby uratować Neleza, gdyby tylko zechciał. Lecz on, zamiast pośpieszyć z pomocą nieszczęśliwym, co jak wykazały oględziny miejsca wypadku, było dla niego rzeczą możliwą i bezpieczną (więcej nawet: prostą), nie tylko, że pozostał biernym świadkiem nieszczęścia, ale — w co trudno uwierzyć — najspokojniej w świecie... fotografował ich! Tak! Wykonał kilka zdjęć tego rozciągniętego na pionowej ścianie, obramowanego skałą, niepowtarzalnego spazmu ludzkiej rozpacz, po czym oddalił się bez słowa.

Drugi artykuł:

NOWE ELEMENTY TRAGICZNEJ ŚMIERCI NELEZA

Jednym z tych elementów jest komunikat zamieszczony w prasie przed kilkoma tygodniami w czasie akcji ratowniczej. Drugim artystycznie wykonana fotografia krajobrazu górskiego odnaleziona przez pewnego czytelnika w piśmie fotograficznym. Barwne zdjęcie przedstawia bogatą w szczegóły panoramę górską, której zręcznie zakomponowany plan pierwszy stanowi widoczna z jednej strony karkołomnie umiejscowiona na skale para alpinistów.

Związek między opisaną w komunikacie tragedią (autor fotografii nic o niej nie wie) i treścią zdjęcia jest dla głównego bohatera artysty fotografa — nieuchwytny. Wprawdzie zarówno komunikat, jak i fotografia ukazują tych samych ludzi w tych samych miejscach i czasie, jednak przedstawiają ich w sposób krańcowo różny. Widoczny na fotografii mężczyzna w niczym nie przypomina tragicznej postaci opisanej w komunikacie. Tu patrzy na nas z fotografii obramowana urzekającym krajobrazem twarz czarująco uśmiechniętego, a więc — jak sądzimy — szczęśliwego człowieka. Opis wypadku jest temu przeciwny. Sprzeczność jest oczywista, a przyczyna jej jest następująca: przy wykonywaniu zdjęcia fotografa pochłonięły w całości problemy techniczne związane z najbardziej efektywnym jego wykonaniem. Sądził, że robi zdjęcie rozmiłowanym w urokach śmiałej wspinaczki, tryskających zdrowiem i życiem i chwilowo pogrążonym w kontemplacji gór turystom — tymczasem była to chwila przed agonią. Wykonywane w ciężkich warunkach i wymagające największego skupienia czynności nie pozwoliły mu zauważyć tego, co by zauważył, gdyby patrzył zamiast fotografować. Autor fotografii, zresztą sam rozmiłowany alpinista, jest tak dalece przekonany o ukazaniu na zdjęciu synonimie beztraski i szczęścia, że uogólnia w niej niepowtarzalną satysfakcję, którą człowiek wynosi ze zwycięskiej walki z przyrodą i nadaje swej pracy tytuł „Radość życia”.

Czujemy się zobowiązani poinformować czytelników, że termin „aporia” ma dwa znaczenia. To nie tylko nazwa górskiego szczytu, niedostępnego z jednej strony, a równocześnie bardzo łatwego do zdobycia z drugiej — to również pojęcie oznaczające bezradność, wątpliwość i nie dającą się przezwyciężyć trudność logiczną. Termin filozoficzny — dodajmy, termin określający trudność pozorną — bowiem cały problem nieosiągalności aporii w ogóle jest pozorny i to zarówno tej, która jest szczytem, jak i tej, co jest tylko terminem. Aporia wreszcie to wynikła z niezwykłego i tragicznego zbiegu

okoliczności, nie dająca się przewyciężyć trudność psychiczna, trudność, która uwikłanego potęgującą się niemożliwością człowieka wprowadza w nieubłagany impas. Nieunikniony rozwój wypadków przechodzi przez wszystkie fazy kształtującego się urazu psychicznego i niczym pęknięta płyta powraca uparcie do tych samych elementów, w których znajduje swój zdeterminowany cel, a jednocześnie praźródło.

Nawiązując do fotografii musimy stwierdzić, że czas naszego bezpośredniego kontaktu z przedmiotami, zjawiskami czy też ludźmi jest niezwykle krótki w zestawieniu z czasem rzeczywistego ich trwania. Na podstawie wycinkowych spostrzeżeń, ułamkowych doświadczeń usiłujemy uogólniać naszą wiedzę o rzeczach, każemy im nieruchomieć w pozach zgodnych z naszymi wyobrażeniami o nich, by w symbolach tych znaleźć potwierdzenie dla naszej — jakże ograniczonej — wiedzy.

Czujemy się upoważnieni...

Zauważyła, że skończyłem czytać.

Dzielącą nas pustkę rozdarło pytanie:

— Czemu to zrobiłeś? Przecież to obłąd!

— Czemu? — powtórzyłem jej pytanie. — Czemu?

Milczała.

— Bo nie ma prawdy absolutnej, każdy z nas ma swoją prawdę! — odpowiedziałem, patrząc zimno w jej oczy.

Anioł przemocy

Każdy odmienny świat stwarza się w ten sposób, że się przemilcza istnienie innych.

Na trzynastym piętrze Lucyna zatrzymała rozgadana przewodniczkę i zwróciła jej uwagę na zagadkowy fakt, że w labiryncie korytarzy i sal, raz po raz, ktoś odłącza od grupy i znika. Pilotka wycieczki nie troszczyła się o maruderów pozostających w tyle. Oprowadzając turystów po ruinach gmachu Instytutu Cybernetyki, który był perłą w zespole średniowiecznych obiektów muzealnych, zamiast pilnować zdezorientowanych ludzi i udzielać im informacji na temat mijanych eksponatów, rozprawiała o atrakcjach nocnej imprezy „Światło i dźwięk” (Tu rozpoczęła się historia!) zorganizowanej przez biuro w ruinach elektrowni atomowej poza granicami zabytkowego miasta.

Lucyna zgubiła się na szesnastym piętrze. Pozostała nieco dłużej w sali zajmowanej przez centralny komputer Instytutu i patrząc na rozmieszczone w szafach zespoły elektronowego olbrzyma, pozbawiona fachowej pomocy sama próbowała dociec, na czym polega „wzruszające piękno tego bezcennego skarbu”, którym średniowieczni artyści (zwani kiedyś informatykami) zapisali się na zawsze w księdze dziejów ludzkiej kultury. Postanowiła zapytać o to pilotkę wycieczki. Lecz kiedy po kilku minutach głębokiej zadumy nad ogromem minionego czasu opuściła salę, spostrzegła z niepokojem, że korytarz jest pusty.

W gmachu panowała doskonała cisza. Grupa turystów oddaliła się w nieznaną stronę. Dziewczyna usiłowała ich odnaleźć, jednak po dotarciu do kolejnego hallu, gdzie zbiegało się kilka korytarzy, poszła w niewłaściwym kierunku. Błądziła w pomieszczeniach, których ściany zabudowane były przyrządami naukowymi zamierzchłej epoki. Wnętrza wypełniała wiekowa aparatura. W pracowniach dawnych eksperymentatorów stały prymitywne maszyny z początku dwudziestego pierwszego wieku.

Czas nie oszczędził drogocennych zbiorów: plastikowe części urządzeń pożerały korniki drugiej generacji, zaś z wypaczonych blach

spadały płaty rdzy atakującej tu żelazne powierzchnie, z których wcześniej usunęły farbę pracowite kolonie nieznanych kiedyś mikroorganizmów.

Turystow nigdzie nie było widać. Po kwadransie bezskutecznych poszukiwań przytłoczona niesamowitą atmosferą tego osobliwego miejsca dziewczyna zrezygnowała z samodzielnego zwiedzania. Postanowiła wrócić do windy i zjechać na parter, skąd łatwo trafiłaby do czekającego pod Instytutem zabytkowego autokaru.

W windzie spotkała ją pierwsza przygoda. Kabina zatrzymała się między piętrami. Lucyna wcisnęła alarmowy klawisz. Po minucie oczekiwania z głośnika zawieszzonego nad guzikami przemówił męski głos:

— Chcesz być królową?

— Kim?

— Pierwszą damą w królestwie.

— Żoną króla?

— Tak.

— Pan żartuje.

— Nie. Możesz nią zostać.

— W jaki sposób?

— To proste. Właśnie szukamy odpowiedniej kandydatki. Poprzednia królowa musiała odejść. Turyści zebrali się na dole i czekają na ciebie.

— Gdzie?

— Naciśnij guzik szóstego pięta. Impreza odbywa się w sali 628.

Kiedy nieznajomy wymówił słowo „ impreza ” Lucyna początkowo zaskoczona tajemniczą propozycją, szybko uświadomiła sobie, co informator miał na myśli. Chodziło tu pewnie o kolejną turystyczną atrakcję zorganizowaną przez operatywne biuro w ruinach niedawno odkopanego miasta. Widowisko zapowiadało się barwnie. Dziewczyna lubiła takie niespodzianki. Czemu nie miałyby wziąć udziału w jakiejś średniowiecznej inscenizacji? Słyszała nieraz o malowniczych zamkach wznoszonych na niedostępnych szczytach elektrowni atomowych przez uzbrojonych w trójzęby tyranów, którzy swych podwładnych zmuszali do oglądania telewizji. I choć nie była całkiem pewna, czy dobrze zna

chronologię ubiegłych okresów historycznych, ucieszyła się na myśl o doskonałej zabawie, zwłaszcza, że miała ją podziwiać z wysokości królewskiego tronu.

Uruchomiona właściwym guzikiem winda minęła jednak szóste piętro i nie zatrzymując się też na parterze, gdzie numerator wskazał cyfrę „zero”, zjechała aż do poziomu szóstej podziemnej kondygnacji. Dziewczynę zdziwił ten fakt, gdyż sądziła, że w gmachu nie ma tak wielu piwnic.

Przeszła szerokim czystym korytarzem do drzwi oznaczonych numerem 628. Przeczytała na nich napis: LABORATORIUM CYBERNETYCZNE. Były uchylone. Pchnęła je i weszła do jasnego wnętrza.

Najpierw zobaczyła gołe nogi kobiety, która stała za arkuszem srebrnej blachy.

— Przepraszam panią — powiedziała. — Poinformowano mnie, że tutaj odbywa się jakaś ciekawa impreza.

Ukryta za błyszczącym ekranem kobieta poruszyła się niespokojnie i podbiegła do jego krawędzi. Arkusz zawieszony był pod sufitem przejścia do następnego pokoju; przysłaniał górną część, toteż Lucyna nadal nie widziała całej postaci, tylko jej długie nogi.

— Mogłaby mi pani wskazać miejsce, gdzie zabrali się turyści?

Nogi były bardzo zgrabne. Lecz kiedy wyszły spoza parawanu i kopnięciem bosej stopy zatrzęsnęły drzwi, Lucyna przestała podziwiać idealne proporcje w jej budowie. Przez kilka sekund nie dowierzała własnym oczom.

Ruchome nogi zagroziły jej powrotną drogę. Z okrzykiem przerażenia wbiegła za ekran, skąd zobaczyła wiele innych poruszających się par nóg. Stała na progu dużej hali. Nigdzie nie dostrzegła żadnego człowieka, ale w zabudowanym działowymi ściankami wnętrzu panował ożywiony ruch.

Nad lewym skrzydłem zautomatyzowanych warsztatów górował napis PROTEZOWNIA. Sekcja kończyn dolnych zajmowała stanowisko dookoła obracającego się powoli podajnika materiałów. Przy każdym aparacie była zainstalowana jedna para sztucznych rąk. Syntetyczne protezy doskonale imitowały żywe ramiona. Dłonie sterowane ukrytymi ścięgnami operowały sprawnie wokół montowanych na stole ludzkich

nóg. Na końcu cyklu produkcyjnego gotowe protezy same zeskakiwały z taśmy. Automat kontrolny łączył je klamrami w dobrze dobrane pary i kierował na tor treningowy, skąd — po przebyciu szeregu przeszkód — sztuczne nogi wędrowały posłusznie do następnego działu, gdzie mechaniczny monter dołączał do nich pary skonstruowanych w innym sektorze rąk.

Ramy łączące nogi zatopione były końcami w udach i miały kształt odwróconej litery U. Sztuczne ręce automat przytwierdzał do tych ram na ich wierzchołkach. Kilkunastu takich gotowych rękonogów pracowało przy taśmociągu i w wytwórni tworzyw sztucznych; grupy innych remontowały stare maszyny lub zajmowały się budowaniem nowych.

Dziewczyna spostrzegła jeszcze rękonoga stojącego przy pulpicie rozdzielni wysokiego napięcia i poczuła, że mięśnie jej rąk i nóg twardnieją nagle jak mięśnie sportowca podnoszącego wielki ciężar. Dopiero wtedy zobaczyła ruchome kamery i anteny rozstawione w różnych punktach hali i zrozumiała, co zmusza wszystkie mięśnie do nieustannej aktywności.

Wiedziała, że uczeni dwudziestego pierwszego wieku uciekając z gmachu w czasie trzęsienia ziemi pozostawili włączone maszyny, które czerpały energię z lokalnego źródła. Wśród innych aparatów pozostały tu też prymitywne prototypy sztucznych kończyn ludzkich konstruowanych dla inwalidów. Przewody zbierały się w ośrodku dyspozycji wielkiego komputera. Przez wiele wieków w odciętych od świata podziemiach Instytutu Cybernetyki mózg elektronowy sam siebie konserwował i rozbudowywał przy pomocy coraz lepiej działających rękonogich stworów. Pierwotny program laboratorium protez przekształconego niedawno w wytwórnię pomysłów komputer realizował sumiennie. Wszystkie jego zespoły współdziałały w zamkniętym kręgu sprzężenia zwrotnego: on sterował zdalnie sztucznymi układami nerwowymi i doskonalił je, a one — zastępując ręce i nogi żywych ludzi — podtrzymywały jego upiorną egzystencję.

Wchodząc w pole widzenia kamer telewizyjnych komputera, dziewczyna zainteresowała go swoim wyglądem. Była żywym organizmem; być może po latach panowania nad protezami przeniknął tajemnicę funkcjonowania naturalnych organów i potrzebował prawdziwego człowieka do cybernetycznych eksperymentów.

Ta myśl przeleciała przez umysł Lucyny z prędkością błyskawicy. Byłaby natychmiast uciekła, lecz w chwili, gdy zwróciła na siebie uwagę maszyny, poczuła sztywność w mięśniach, jakby poraził ją przepływ elektrycznego prądu. Przez kilka minut wstrząsały nią gwałtowne skurcze, aż w końcu po walce stoczonej między dwoma ośrodkami dyspozycji ciałem jej zaczęły kierować sygnały kierowane przez zewnętrzną centralę, które okazały się znacznie silniejsze.

Prowadzona rytmicznymi impulsami, wbrew własnej woli, przeszła obok magazynu materiałów, skręciła i zbliżyła się do szerokich drzwi w przeciwległej ścianie. Otworzyły się automatycznie ukazując niespodziewany obraz.

Pośrodku drugiej sali stała gromada znajomych turystów. Grupa składała się z tych wszystkich osób, które w czasie zwiedzania muzeum pozostały w tyle za czołem wycieczki i zabłądziły w gmachu. Znajomi roześmieli się na widok przestraszonej dziewczyny. Po sekundzie zaskoczenia ona też uśmiechnęła się do nich. Nie miała już pewności, czy to komputer zmusił ją do tego marszu, bo mogła ulec autosugestii. W każdym razie znalazła swoich przyjaciół. Miała ochotę ścisnąć i całować.

Ale przebiegła tylko kilka kroków, raz jeszcze spojrzała w głąb sali i skamieniała w bezruchu.

Bo w tej właśnie chwili, kiedy odetchnęła z ulgą, szczęśliwa, że jej fantastyczna przygoda skończyła się tak pomyślnie, jeden z mężczyzn silnym ciosem trzymanej oburącz siekiery rozplątał na dwie połowy głowę swojego sąsiada. Uderzony człowiek zwałił się na podłogę, zaś z końca sali wysunął się sztywny kabel zakończony ostrym hakiem i ściągnął ciało pod ścianę, gdzie leżał stos innych, równie zmasakrowanych trupów. Za wleczonymi po lśniącej posadzce zwłokami pozostała straszna czerwona smuga.

Z ust dziewczyny wyrwał się krótki, zdławiony bolesnym skurczem gardła okrzyk nieopisanej grozy. Obca siła ponownie opanowała jej ciało. Jakieś plastikowe ramiona zerwały z niej ubranie. Zatoczyła się w kierunku wyjścia. Upadłaby na podłogę gdyby nie poczuła wsparcia muskułów sztucznie napinanych mechaniczną wolą.

Stała nago, tyłem do milczących ludzi i czekała na śmiertelny cios. Miała w oczach obraz tamtej sceny. Tak jak wtedy, gdy na progu laboratorium po raz pierwszy zobaczyła ruchome nogi, nie mogła

uwierzyć, że to, co tutaj przeżywa, dzieje się w rzeczywistości.

Naraz — zamiast uderzenia siekiery — poczuła na głowie dotknięcie protezy drugiego upiora. Rękonóg ubierał ją w długą suknię bogato ozdobioną złotymi koronkami, a ona pomagała mu w tym z przerażeniem w sercu i z takim — zewnętrznie okazywanym — spokojem, jakby wybierała się na sylwestrowy bal.

Mogła swobodnie obracać głową. Coś sobie nagle uświadomiła. W oczach majaczył jej jakiś zamglony obraz. Pokonała lęk i przyjrzała się uważnie turystom.

Zauważyła znacznie więcej niż za pierwszym razem. Niezależnie od zdumiewającego zachowania ludzi, którzy milczeli uśmiechając się nieustannie, przy czym stali nieruchomo jak granitowe posągi, dziewczynę uderzyło wiele innych osobliwych szczegółów w ich nienaturalnym wyglądzie. Wszyscy mieli na sobie stroje wzorowane na ubiorach wczesnej starożytności i zaciskali w dłoniach broń pochodzącą również z tej mrocznej epoki.

Uzbrojeni byli różnie: jedni dźwigali potężne topory lub trójzęby, a inni trzymali przy bokach miecze. Widziała też maczugi nabijane żelaznymi kolcami oraz ciężkie oszczepy.

Po kilku sekundach nowy incydent zmroził jej krew w żyłach. Zaledwie ogarnęła wzrokiem wnętrze sali, kiedy kobieta uzbrojona w oszczep cisnęła nim przed siebie z nieprawdopodobną siłą. Ostrze utkwiło w piersi młodego mężczyzny przebijając go na wylot. Runął na wznak. Kobieta sprężystym krokiem podeszła do chłopca i wyciągnęła oszczep z jego zakrwawionej piersi. Uśmiech nie opuścił twarzy umierającego nawet wtedy, gdy wystrzelony z konta harpun — ściągając rannego pod ścianę — rozerwał mu bok.

To, co przez kilka następnych minut działo się w głębokiej ciszy na marmurowej płycie pośrodku nieumeblowanej sali, było równie tajemnicze jak odkryta przez komputer metoda sterowania żywymi układami nerwowymi, które napinały mięśnie ludzi i zmuszały ich do wzajemnego zabijania się: raz przypominało figury taneczne solisty poruszającego się na scenie między egzotycznie ubranymi statuami, kiedy indziej uroczystą zmianę warty przed cesarskim pałacem, musztrę starożytnych rekrutów lub paradę oficera przed frontem kompanii

honorowej — z jednej strony było groteskowe w swej przesadnej formie, z drugiej makabryczne.

W czasie tego przedstawienia hak ściągnął do kąta dwa kolejne trupy. Rękonogie stwory opuściły salę i zamknęły ze sobą drzwi. Przedtem zawiesiły na plecach Lucyny jakiś zagadkowy ciężar. Niosąc go, nieprzytomna ze strachu okrążyła grupę turystów, aż z miejsca, gdzie kierująca nią seria bodźców zmusiła dziewczynę do wykonania zwrotu, zobaczyła zagłębioną we wnęce barwną tablicę rozdzielczą trzeciego komputera.

Drugi mózg elektronowy spostrzegła wcześniej: jego zespoły zajmowały przeciwległą ścianę. Tamten miał czarną pokrywę, zaś osłona tego, na który teraz patrzyła, pomalowana była na białe.

Coś już dziewczynie zaczynało świtać, gdy z wnętrza przegrody otoczonej aparaturą „białego mordercy” wystrzeliła cienka smuga dymu. Rozległ się trzask krótkiego spięcia. Natychmiast zgasły wszystkie światła pod sufitem sali. Czuć było zapach płonącej izolacji. W ciemności świeciły nadal kolorowe wskaźniki i ekrany obu komputerów oraz kwadratowe „białe pola” wielkiej szachownicy pokrywającej podłogę, na której spoceni ze strachu turyści znaleźli wreszcie upiorne rozwiązanie dręczącej ich od wielu minut cybernetycznej zagadki.

Do sali wbiegł rękonóg z płonącą pochodnią w uniesionej wysoko dłoni. Dwa inne otworzyły wypaloną skrzynkę i przystąpiły do usuwania awarii. Turyści nie opuszczali swych miejsc na szachownicy. Jedna z figur wykonała kolejny ruch. W jej roli występował mężczyzna ubrany na białe. Wynikało z tego, że biały komputer zlekceważył uszkodzenie oświetleniowej sieci i po wezwaniu ekipy remontowej powrócił do przerwanej gry.

Bok szachownicy miał długość około ośmiu metrów. W blasku pochodni białe pola nieco przygasły, ale nadal były widoczne. Izolacja mogła zapalić się na skutek przeciążenia kabla przy nagłym wzroście zużycia energii w chwili rozwiązywania wyjątkowo trudnego problemu. Lucyna zrozumiała, dlaczego jednych turystów mechaniczne pacholki ubrały w białe, a innych w czarne stroje.

Ponadto spostrzegła, że ma na sobie suknię białą i że stoi poza wnętrzem kwadratu całej szachownicy, lecz niedaleko jej krawędzi, po stronie czarnego komputera. Fakt ten w pierwszej chwili nastroił ją

optymistycznie: Znajdowała się poza terenem walki, więc dotąd nie brała udziału w grze, która toczyła się już od dłuższego czasu.

Czy to znaczyło, że nadal nie grozi jej tutaj żadne niebezpieczeństwo?

Na szachownicy stało dwudziestu ludzi. Pod ścianą leżały zwłoki pozostałych dwunastu — wcześniej wyłączonych z gry. Turyści nosili na głowach różne hełmy i kapelusze. Ich kształty pozwalały rozpoznać figury szachowe, w rolach których wszyscy tu występowali. Nieszczęśliwi kręcili szyjami rozglądając się dookoła. Dotychczas każdemu mogło się wydawać, że zginie od ciosu albo sam będzie musiał go zadać w jakiegokolwiek, dowolnie wybranej przez komputer chwili; teraz uświadomili sobie, że ich los zależy od aktualnej sytuacji na szachownicy. Zgoda na remis lub zakończona matem porażka jednego z komputerów uratowałaby życie uratowanym z pogromu ludziom, bowiem w tej grze jedynie obu królom nie groziło niebezpieczeństwo śmierci.

Biały komputer przewidział kolejność wielu ruchów w rozgrywanej partii. Dlatego wcześniej mógł zaprosić Lucynę do udziału w „barwnej imprezie”. Zaledwie o tym pomyślała, gdy stojący przed nią mężczyzna zszedł z szachownicy, ona zaś — posłuszna mechanicznej woli — natychmiast zajęła jego miejsce.

Człowiek ten występował w roli białego piona, który dotarł do ósmej linii, gdzie białe miały prawo zastąpić go wybraną figurą. Promocja piona wyglądała tak niewinnie jak uroczysta zmiana warty.

Lecz po wykonaniu zwrotu w lewo Lucyna podniosła ręce do zagadkowego ciężaru na plecach; jedną odzepiła zawieszoną tam złotą koronę i włożyła ją na swoją głowę, drugą — znalazła kuszę i kołczan ze strzałami. Ciężki kuszy była napięta. Dziewczyna położyła na niej strzałę i skierowała jej grot w czarnego króla.

Na „szach” białych czarne odpowiedziały ruchem skoczka, zasłaniając nim swojego króla. Wtedy Lucyna obróciła się ku środkowi szachownicy. Zmuszona nagłym impulsem pociągnęła za spust kuszy. Usłyszała jęk ciężki, ale nie dostrzegła celu, w jaki ugodziła strzałą, bo wcześniej zamknęła oczy. Otworzyła je w momencie, gdy jakieś ciało zważyło się na podłogę. Hełm czarnego gońca potoczył się jej pod nogi. Strzała tkwiła w sercu leżącej postaci. Lucyna rozpoznała w niej kobietę,

która przedtem rzuciła oszczepem w chłopca. Po strzale mięśnie zmusiły dziewczynę do opuszczenia zajmowanego pola. Zdecydowanym krokiem przeszła na miejsce kolejnej ofiary.

Odpowiadając na ruch białych czarny komputer nie zwlekał ani sekundy: mieczem swojego piona ściął głowę białemu skoczkowi. Rolę skoczka grał były trener sportowy, niski starzec uzbrojony w trójzab, a piona — wychowanek tamtego, atletycznie zbudowany mężczyzna. Bicie to zostało wykonane z tak wielką siłą, że po ciosie boksera broń starca zawadzona rozpędzonym mieczem wyleciała mu z ręki i uderzyła w osłonę białego komputera, poza którą coś pękło.

Obraz kilku krzywych linii na jednym z ekranów białego szachisty zadrżał i rozdzielił się: przekreśliła go smuga jakiejś usterki. W tej samej chwili Lucyna przeszła na sąsiednie pole, ale po sekundzie strasznego wahania odczuwanego w mięśniach nóg powróciła na poprzednie miejsce.

Wiedziała, że jest białym hetmanem (kiedyś nazywano go królową), którego w poprzedniej fazie gry jej komputer stracił lub raczej — należałoby powiedzieć — chętnie poświęcił w zamian za poprawę położenia swoich figur na szachownicy. Teraz — po dawno przewidywanej promocji piona i po wymianie kilku figur — żadna ze stron nie miała już przewagi „materialnej”, to znaczy nie dysponowała większą liczbą bierek, co zresztą było typowe w partiach rozgrywanych przez szachowych mistrzów.

Czy odzyskując hetmana białe utrzymały swoją przewagę pozycyjną — trudno było ocenić w makabrycznej sytuacji, gdy w blasku płonącej pochodni hak ściągał pod ścianę dwa kolejne trupy.

Na szczycie czarnego komputera zamrugła czerwona lampa. Równocześnie jego kamera telewizyjna skierowała obiektyw na Lucynę. Wówczas biały mózg elektronowy przewinął ostatni odcinek magnetowidowej taśmy, wskazał strzałką awaryjną smugę na swoim ekranie i tupnął nogą dziewczyny w zajmowane przez nią pole, na co czarny — jakby nie brał pod uwagę przyczyny uszkodzenia — powtórzył serię sygnałów ostrzegawczych.

Było jasne, że czarny szachista — powołując się na znane zasady gry — protestuje przeciwko haniebnej decyzji przeciwnika, który wykonał nieprzemysłany ruch hetmanem i szybko go wycofał, zaś biały tłumaczył

się chwilową niedyspozycją.

Do szafy zajmowanej przez białego szachistę przyskoczył rękonoż sterowany sygnałami arbitra z sąsiedniej sali. Uniesionym wysoko ciężkim młotem zmusił białą maszynę do przestrzegania twardych prawideł gry. Lucyna dostała rozkaz powrotu na sporne pole i wykonała go. Zwróciła przy tym uwagę na kompozytora, który w czasie zwiedzania miasta zawsze pozostawał w tle za turystami, zamyślał się i gubił, aż ktoś dyskretnie zawiesił mu na plecach tabliczkę z napisem „zakończenie wycieczki”. Rozmawiała z nim poprzedniego dnia i stwierdziła, że jest bardzo miły.

Teraz mężczyzna ten przedefilował obok Lucyny w hełmie czarnej wieży na głowie i zatrzymał się o trzy pola dalej, skąd bronił czarnego hetmana, w roli którego występowała jej przyjaciółka.

Tamta dziewczyna nie zdjęła jeszcze z ramienia swojej broni. Czekwała na ruch białych. Lucyna dostrzegła jej błagalne spojrzenie. Czuła, że zaraz zemdleje. Mimo to opuściła kuszę i obróciła jej korbą do naciągania cięciwy. Chociaż w czasie napinania łuku wsparła się na kolbie broni, bez pomocy wrogiej siły upadłaby na podłogę, tak przerażająca i nieskończenie absurdalna była dla niej odkryta już myśl, że biały komputer zdecydował się na „wymianę hetmanów” po to, aby po jej śmierci czarna wieża stanęła na nieco gorszej pozycji.

Odczuła to tak jakby strzelała do lustra i jakby siebie trafiła w brzuch.

Nie widziała już twarzy muzyka, gdy hak ściągał ciało jej przyjaciółki. Z pewnością jego minie maszyna nadała właściwy wzór. Ruszyła pod topór czarnej wieży, który omijając głowę ściął jej ramię, a potem raz jeszcze błysnął w świetle dogasającej pochodni — i spadł.

Usłyszała cichy szum fal. W tej samej chwili zamiast bólu ramienia poczuła na skórze przyjemny chłód. Tylko ucisk złotej korony dokuczał jej jeszcze, więc zbliżyła ręce do czoła. Odzyskała w nich władzę. Otwierając oczy doznała wrażenia, że śni.

Najpierw zobaczyła niebo. W połowie przykryte było chmurami, w drugiej miało błękitną barwę i rozciągało się do horyzontu. Aby tam spojrzeć, podniosła się i wtedy ujrzała morze.

Leżała na piasku pod czerwonym parasolem. Miała na sobie kąpielowy kostium. Obłoki wisiały nad brzegiem. Wodę marszczył lekki

wiatr. Plażę zajmowały grupki ludzi opalających się w słońcu.

Przez chwilę patrzyła w dal. Coś jej przesłaniało widok: dostrzegła przewody biegnące od jej czoła do aparatu stojącego obok turystycznej torby. Wtedy nagle odzyskała świadomość miejsca i czasu. Zdjęła z głowy ciężki pierścień, okręciła go przewodem i położyła na kocu. Wiedziała już kim jest i gdzie się znajduje. Ale jak poprzednio, choć zapoznała się z kilkoma innymi nagraniami, znowu nie mogła uwierzyć, że tamto było koszmarnym złudzeniem — tak wysoki stopień realności dawał magnetyczny sen zrealizowany przez miejscową wytwórnię i utrwalony na taśmie filmolosu.

Wyszła spod parasola na słońce. Była jeszcze pod wrażeniem przeżytego piekła, gdy usłyszała głos swojego męża:

— Przed obiadem moglibyśmy wejść do wody.

— Gdzie byłeś?

— U inżyniera plaży. W zamian za ucho Marsjanina, które mu podarowałem, zdradził mi treść tajnego komunikatu. Wiadomości są alarmujące.

— Co się stało?

— Siódma eskadra człapiących talerzy mknie ku nam z większą prędkością niż poprzednie. Na tym brzegu inwazja spodziewana jest jutro. Poławiacze przygotowują sieci i pałki, środki konserwujące oraz atrakcyjne lakiery do malowania macek. Tutaj na Borneo, gdzie każdy ma już w domu latający spodek, ławica człapiących dziwadek zapłodni może wreszcie wyobraźnię ludzką. W każdym razie poruszy zastój w przemyśle rozrywkowym. Podobał ci się „Anioł przemocy”?

— Kto?

Pochylił się nad aparatem, wyjął kasetę i pokazał jej barwną nalepkę z napisem ANIOŁ PRZEMOCY wydrukowanym na rysunku białego komputera.

— To koszmar! — wykrzyknęła. — Jak mogłeś kupić coś tak okropnego?

— Chciałaś obejrzeć filmolos grozy.

— Ale trzeba było mnie uprzedzić.

— Nic by to nie dało. Przecież po włączeniu aparatu straciłaś natychmiast pamięć swej rzeczywistej przeszłości, bo wyparła ją historia

pozornego życia dokomponowana do fabuły granej na taśmie.

— A czy każdy filmolos kończy się pozorną śmiercią tego człowieka, który go ogląda?

— Tak, bez żadnego wyjątku. Jeżeli tutaj projekcja zostaje czymkolwiek przerwana, tam bohater przeżywanej fikcji ginie w niej nagle w jakimś wypadku. Tam czas płynie z olbrzymią prędkością: w ciągu dnia można prześnić losy całego życia.

Dziecko pozostawione bez opieki pod sąsiednim parasolem rozplakało się nagle i stanęło na jednej nodze. Ze skaleczonej pięty, w której tkwiła tranzystorowa pinezka, rozległ się spokojny głos spikera czytającego wiadomości:

— Z Singapuru donoszą, że małpy człekokształtne zamieszkujące rezerwat przyrody na jednej z wysp u wybrzeży Borneo osiągnęły ostatnio bardzo wysoki stopień inteligencji. Aby to udowodnić, przywódca tamtejszych goryli zgromadził wokół swej klatki dziennikarzy zwiedzających zoo i oświadczył buńczucznie, że uczeni z jego stada skonstruują wkrótce pierwszą atomową bombę. Oczywiście, tej średniowiecznej broni goryle nie zamierzają użyć przeciwko szympansom z sąsiedniego rezerwatu, aczkolwiek jej wybuch w jednej chwili rozwiązałby wszystkie sporne problemy. Inteligentnym małpom idzie tylko o to, by atomowym akcentem umocnić na wyspie poczucie zbiorowego bezpieczeństwa.

Lucyna wyciągnęła z pięty dziecka gadający kolec. Myślała wciąż o ostatnim filmolosie. Nie mogła się oswoić z nagłą zmianą otoczenia, zwłaszcza, że tam była o dwadzieścia lat młodsza.

— Gdzie leży ta wyspa? — spytała męża.

— Tam. — Wskazał w kierunku wodnego horyzontu. Przez kilka minut patrzyli w milczeniu na daleki ląd. — Pora na obiad. Ale przedtem jeszcze raz moglibyśmy się wykąpać.

— Idziemy?

Woda była czysta i ciepła. Po kąpieli wyszli na brzeg. Wracając minęli grupę ludzi grających w piłkę. Lucyna przeszła pomiędzy nimi. Nagle krzyknęła przeraźliwie i zasłoniła się rękami. Przestraszył ją gwałtowny ruch mężczyzny, który odbił piłkę. Nieznajomi przestali grać. Znieruchomieli dookoła kobiety. Czekali, aż wyjdzie z ich kręgu. Uśmiechali się życzliwie, ale to było jeszcze gorsze: miała wrażenie, że

znów stoi na szachownicy i że zaraz spadnie na nią śmiertelny cios.

— Dlaczego tamte maszyny zmuszały ludzi do zabijania swoich przyjaciół? — spytała męża, kiedy zbliżyli się do miejsca gdzie leżał ich koc.

— Mówisz o „Aniele przemocy”?

— Tak.

— To proste: one były zaprogramowane przez dwóch szachistów i sprawdzały wartość ich systemów gry.

— Na ludziach? — Spojrzał na jej twarz: minę miała poważną.

— O co ci chodzi? Przecież to była fikcja, jedna z tych nieprawdopodobnych bzdur jakie wymyślają autorzy filmolosów grozy.

— Poczekaj... — zastanowiła się. — Czy w średniowiecznych wojnach wielomilionowe armie agresorów mordowały dobrowolnie? — Przecież one nie składały się z kryminalistów!

Roześmiał się na całe gardło.

— Oczywiście! Głuptasie, nie wiedziałaś? Armie zabijały z ochotą i same ginęły chętnie, często z euforią, jeżeli trafiały na opór, chociaż nie składały się z kryminalistów, bo złych ludzi we wszystkich krajach izolowano w więzieniach. Pomyśl logicznie! Gdyby tak nie było, to znaczy gdyby dobrzy ludzie nie zabijali dobrowolnie, wówczas w celu wytłumaczenia mechanizmu wojennych zbrodni musielibyśmy uwierzyć w nierealną wersję historii obrazowo przedstawionej w „Aniele przemocy”.

Ponieważ wizja niewidzialnych graczy pochylonych nad szachownicą świata przypomina bajkę, więc trzeba by bezkrytycznie przyjąć, że królowie w tamtych czasach dysponowali fantastycznymi urządzeniami do zdalnego sterowania milionami mięśni i że tymi aparatami wysyłali na śmierć ludzi pokojowo usposobionych.

— Jednak to brzmi fantastycznie: źli ludzie siedzieli w więzieniach, a dobrzy...

Nie dokończyła tego zdania. Kiedy powiedziała „w więzieniach”, plaże przesłoniły długie smugi czarnych cieni rzucone na piasek przez stojących plażowiczów. Jakby nagle w mrokach nocy zaświeciło ostre słońce, niebo poza jej plecami rozwarła łuna najbardziej upiornego ze wszystkich wschodów.

W okamgnieniu straszny świt zalał żarem całą ziemię. W jaśniejszym

od dziesięciu słońc biało-liliowym błysku, który rozdarł źrenice i boleśnie smagnął wszystko, co wokoło żyło, bujne zarośla — przez płynne przenikanie jednego obrazu w drugi — zamieniły się w szkielety, aż po salwie płomieni obejmujących drzewa, ciała ludzi również stanęły w ogniu.

Ułamek sekundy wcześniej obróciła się do źródła. Ponad wyspą małą rósł gigantyczny trzon atomowego grzyba. Jego kaptur wznosił się do stratosfery. Wiedziała, że za kilka sekund, wkrótce po upiornym błysku, gdy na wybrzeże runie czoło niosącej grzmot powietrznej fali uderzeniowej, zmiecione z powierzchni ziemi huragnowym ciosem wichru, zgaśnie tutaj morze radioaktywnego piekła.

Ale nie doczekała tego.

Odkryła, że leży we wnętrzu szklanego prostopadłościanu. Jej nagie ciało zalewał przezroczysty płyn. W nagłej ciszy, która nastąpiła po serii jadowitych syków, odezwał się przy jej uchu miły kobiecy głos:

— Przykro nam bardzo, ale musimy przerwać wyświetlanie twojego filmolosu. — Czy nosisz numer dziewięćset czterdzieści miliardów pięć milionów siedemdziesiąt jeden?

Na tablicy w końcu szklanej komory za literami T-Re srebrzyła się wielocyfrowa liczba 940.005.000.071

— Tak. — powiedziała.

— A ile masz lat? Licznik lat miał złote cyfry.

— Dziewiętnaście.

— Więc wszystko się zgadza — poinformował miły głos. — Po stu dwudziestu latach oczekiwania w kolejce uzyskałaś prawo do jednej doby autentycznego życia. Miejsce zwolnione zostanie za godzinę i dlatego musieliśmy cię obudzić. Przygotuj się.

Za kwadrans szybkobieżna winda podniesie twoją kabinę na wysokość czterech kilometrów — aż do samego dachu Europy. Zobacysz tam prawdziwe słońce, znajdziesz wodę i drzewa. Raz jeszcze przepraszamy za wyłączenie filmolosu. Gratulujemy i życzymy przyjemnych wrażeń!

We wszystkich kierunkach przestrzeni poza szybami ciasnych jak trumny prostopadłościanów spoczywały postacie ludzi pogrążonych we śnie. Tylko Lucyna leżała z otwartymi oczami.

Przez kilkanaście minut patrzyła w dal na miliony nagich ciał symetrycznie rozlokowanych w szklanych korytarzach, których ściany emitowały światło i zbiegały się w nieskończoności.

Liczniki na tablicy pokrywała szyba. Rozbiła ją silnym uderzeniem łokcia. Najpierw wyrwała z gniazdka wszystkie przewody, a kiedy otwierając oczy znalazła wokół siebie świat w niezmienionej postaci — położyła dłoń na szklanym ostrzu w poszukiwaniu niezawodnego wyłącznika.

Rozdwojenie

Leżałem na tapczanie i od godziny znowu biłem się z myślami w obliczu alternatywy: czy jechać do Jowity i wreszcie zaproponować jej trwały związek, czy też pozwolić, aby na zawsze odjechała?

Chociaż tematu wzajemnych uczuć nigdy nie poruszaliśmy, Jowita kochała mnie, co bez słów wynikało z wielu faktów, ja natomiast nie byłem sobie pewny. Ile razy przewidywałem losy naszego wspólnego życia, natychmiast rozum wskazywał mi perspektywy piekła, serce zaś — raju na ziemi. W takiej sytuacji natarczywe pytanie, czy wyznać jej miłość, stawiałem sobie od dawna, niebawem jednak ostatecznie upływał czas mego wahania, Jowita bowiem właśnie tego dnia wieczorem na stałe opuszczała miasto (powiedział mi to rano nasz znajomy), przy czym nikomu nie zdradziła, dokąd się przenosi ani o której godzinie ma zamiar wyjść z domu i pojechać na lotnisko.

Czas do namysłu mijał, toteż stan pobudzenia emocjonalnego ustawicznie rósł we mnie. Coraz szybciej ważyłem w myślach zalety i wady ewentualnego małżeństwa. Miotany ostrymi argumentami za i przeciw przewracałem się z boku na bok albo wstawałem i równie nerwowo kręciłem się po całym mieszkaniu, opadając kolejno na spotykane krzesła lub fotele. Straciłem w końcu poczucie miejsca prowadzonej walki psychologicznej. Tak bardzo skupiłem się na zmaganiach z problemem, że nie wiedziałem, gdzie ostatecznie zapadła upragniona decyzja.

W pewnej chwili — stało się to chyba na tapczanie — spostrzegłem przez uchylone drzwi bałagan w kuchni, który Jowita zostawiła tam po swej ostatniej wizycie. Nigdy nie dbała o porządek! Do tego mankamentu dodałem zaraz inne jej psychiczne wady oraz fizyczne braki, aż z czystym sumieniem wyszeptałem tylko jedno słowo: „Wy-klu-czo-ne!” W domu panowała idealna cisza. Dla zaakcentowania powziętej decyzji palnąłem pięścią w nocny stolik.

Niemal w tej samej chwili rozległ się w kuchni brzęk rozbijanej o podłogę szklanki, jak gdyby tam również zapadła jakaś nieodwołalna

decyzja. Szklanka mogła spaść z półki wskutek hałasu wywołanego uderzeniem w stolik, lecz nagle — i dopiero wtedy krew zastygła mi w żyłach — drzwi otworzyły się szerzej i z kuchni jak senna zjawia wyłoniła się wierna kopia mej własnej postaci.

Zadumane nad czymś widmo przez kilka minut trwało w bezruchu. Nasze milczenie stało się nieznośne.

— No i co dalej? — spytałem cicho, aby jakimkolwiek zdaniem sprowokować je do wyjaśnienia niezwyklej sytuacji.

Nie dostrzegłem w nim ochoty do przeprowadzenia bodaj lakonicznej konwersacji. Mimo braku reakcji zjawisko w przedpokoju wyglądało na realnego człowieka. Spróbowałem więc rozwikłać problem w racjonalnych ramach: czy był to mój rodzony brat, bliźniak jednojajowy, czy doskonały sobowtór? Pierwsza hipoteza odpadała, ponieważ nie miałem żadnego brata. A zatem sobowtór. Co za podobieństwo! Nawet ubrania nasze były jednakowe. W jego zachowaniu najdziwniejszy był fakt, że ani razu nie spojrzał w moim kierunku. Jeżeli miałem tu do czynienia z prawdziwym człowiekiem, to musiał być głuchy i ślepy. Albo udawał ułomnego.

Naraz — podczas gdy wpatrywałem się w niego oczami wytrzeszczonymi ze zdumienia — szybkim krokiem wszedł do pokoju i zatrzymał się przy tapczanie, z którego nie podniosłem się jeszcze.

Co chciał zrobić i dlaczego milczał? Dłonie trzymał w kieszeniach. Może w jednej z nich ukrywał nóż lub rewolwer. Czyżby z powodu naszego niewiarygodnego podobieństwa zamierzał popełnić morderstwo? Te proste pytania przemknęły mi przez umysł w ułamku sekundy. Już spodziewałem się ataku, bo pewnie przybył tutaj, aby bez żadnej dyskusji zniszczyć swego sobowtóra, gdy raptem zwrócił się do stolika z aparatem telefonicznym.

Uważnie śledziłem ruchy jego palca na tarczy aparatu. Kiedy wybrał cały numer, zerwałem się z tapczanu, okazało się bowiem, ku memu zaskoczeniu, że dzwoni do Jowity. Nim wymówił pierwsze słowo, ostrożnie wyjąłem mu słuchawkę z dłoni i odłożyłem na widełki. Uczyniłem to z oczywistego powodu, tylko brak oporu wydał mi się dziwny. Nieprzytomnym wzrokiem poszukał czegoś dookoła siebie i zwałił się na fotel obok aparatu. Nadal ignorował fakt mojej obecności w domu.

Przynajmniej jedno teraz było dostatecznie jasne: chciał mi zrujnować życie. Najwidoczniej zamierzał wykorzystać nasze fizyczne podobieństwo, aby wyznać Jowicie miłość i oświadczyć się jej wbrew mej woli, a potem, jak się pojawił z ulicy, tak zniknąć gdziekolwiek, zostawiając mi na głowie perfidne cechy tej dziewczyny — słowem planował porzucić nas bez troski o katusze nieudanego małżeństwa. Lecz skoro on także był bliskim przyjacielem lub nawet kochankiem Jowity — co wyczułem instynktownie w trakcie telefonicznego incydentu — obaj znaleźmy ją wszechstronnie i powinien wiedzieć, do czego jest zdolna. To była gra w otwarte karty.

— Chciałeś ją zatrzymać czy tylko pożegnać? — zapytałem przekonany, że przy pożegnaniu mogli się pogodzić.

Jakby w odpowiedzi na te słowa ponownie wyciągnął rękę do aparatu. Skoczyłem po nożyczki i odciąłem przewód przy telefonie. Kolejne próby ich porozumienia trwałyby pewnie do późnego wieczora, gdybym w zdecydowany sposób nie przerwał im możliwości szybkiego kontaktu.

Pochylił się nisko, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Odgadłem bez trudu, że wszystkie jego myśli krążyły teraz wokół Jowity i leciały ku niej jak ćmy do ognia, nieświadome czyhającego tam niebezpieczeństwa.

— Unikaj stresów — odezwałem się łagodnym tonem. — Nie ma na świecie gorszej dla ciebie dziewczyny.

Milczał.

— Jeżeli rzeczywiście chciałeś połączyć się z nią, to czemu zamiast słuchawki podniosłeś nożyczki? — natarłem ostro, aby jaskrawym kłamstwem zmusić go wreszcie do wymiany zdań.

Wyprostował się i zaraz wrócił na fotel.

Ponieważ nieproszony gość nadal udawał głuchoniemego ślepcą, wyszedłem z pokoju, nie wytrzymując już nawału pytań, które stawiała mi sytuacja. W obliczu tajemnicy ich kontaktów czułem się bezradny. Czy Jowita odróżniała nas? Zdenerwowany istnieniem sobowtóra długo kręciłem się po mieszkaniu, aż przyszło mi do głowy, że tak czy inaczej — po jej wyjeździe — cały problem przestanie być aktualny. Tymczasem należało zająć się czymkolwiek: chodziło tu przecież o przeczekanie kilku godzin. Spróbowałem więc rozładować napięcie porządkowaniem

drugiego pokoju, a potem pozmywałem naczynia kuchenne.

Powoli zapadał zmierzch. Zaparzyłem dwie kawy. Pałac kolejnego papierosa, zastanawiałem się właśnie, czy jedną z napełnionych szklanek postawić przed intruzem, kiedy w przedpokoju rozległ się podejrzany trzask. Przypominał odgłos zasuwany cofanej przez kogoś przy drzwiach na korytarz.

Wyjrzałem z kuchni. Drzwi mieszkania były szeroko otwarte, a sobowtór minął je i zwrócił się w kierunku windy. Nie ulegało wątpliwości, że zamierzał jechać do Jowity, by wyznaniem swego uczucia w moim imieniu zatrzymać ją w mieście.

Kilkoma skokami znalazłem się przy nim i — jeśli nie liczyć wahania po obu stronach progu — równym krokiem zaprowadziłem do pokoju, gdzie zaraz sam rzucił się na tapczan. Jeszcze udawał potulnego, ale już przewidywałem, z jakim temperamentem zachowa się później. Zapewne dysponował drugim kluczem, bo inaczej nie dostałby się tutaj. Fakt ten potwierdziła rewizja kieszeni. Zabranym mu kluczem zamknąłem drzwi mieszkania. Potem długo medytowałem, co zrobić z obydwojema kluczami. Do kieszeni bardziej niż gdzie indziej wolałem ich nie wkładać w obawie przed napadem potencjalnego szaleńca. Żadna kryjówka wokół nas nie była dość pewna, straszło mnie bowiem głupie podejrzenie, że sobowtór odgaduje wiele moich myśli. Odgaduje, a może zna cały ich przebieg? Co za brednia!

Klucze parzyły mi dłoń jak rozgrzane nad ogniem lancety. Ostrzami tymi raniłem sobie serce, gdyż mimo stanowczej decyzji wahałem się jeszcze, czy nie zatrzymać Jowity. Dlatego powinienem odciąć nimi bolesne pokusy opuszczenia domu. Wbiegłem do kuchni i tuż za parapetem otwartego okna upuściłem je z dwunastego piętra. Celowałem dokładnie: upadły przy ścianie domu, gdzie trawa była najwyższa. Dzięki takiemu manewrowi, rano — po naprawie przewodu telefonicznego — mogłem zadzwonić do sąsiadki i wskazać jej klucze, aby otworzyła drzwi od strony korytarza.

Poczułem się lepiej. Przed przygotowaniem kolacji wszedłem do wanny. Zanurzony w ciepłej wodzie słyszałem kroki intruza, który zaczął chodzić po mieszkaniu. Najpierw zlekceważyłem je i myślałem dalej, lecz nagle coś kazało mi wyskoczyć z wanny: może było to przypuszczenie, że nieproszony gość już zabrał się do naprawy przewodu telefonicznego.

Nagi i mokry zastygłem na progu łazienki. Takiego manewru nie przewidywałem. Stał przed drzwiami na korytarz i łomem wygrzebanym z mojego zbioru narzędzi manipulował przy zamku. Chociaż przyrząd ten kupiłem w innym celu, zakończony płaskim hakiem stalowy drążek mógł służyć włamywaczowi.

— Wariacie! — ryknąłem obcym głosem. — Już jej nigdzie nie dogonisz!

Gdy zbliżyłem się do sobowtóra, ostrze haka tkwiło obok zamka w szparze przy krawędzi drzwi. Zamiast ostrożnie wyciągnąć hak ze szczeliny, pchnąłem mocno drugi koniec łomu, który zaraz wymknął mi się z mokrych rąk. Reagując po nacisku jak twarda sprężyna, wyprostował się momentalnie i silnym ciosem zranił mi czoło.

Znokautowany upadłem na wznak. Przez jakiś czas czołgałem się po zachlapanej mydlinami podłodze, usiłując wstać. Z zamroczenia wyrwał mnie dopiero trzask drzwi wyłamywanych przez sobowtóra. Po chwili zostałem sam z beznadziejnym pytaniem, kto teraz zdoła go zatrzymać. Rzecz prosta, tylko ja mogłem jeszcze przemówić mu do rozumu. Ale nie miałem do stracenia ani jednej sekundy. Chwyciłem koszulę i spodnie, wciągnąłem je szybko na mokre ciało, podniosłem buty i boso wybiegłem z mieszkania.

Musiał czekać w korytarzu. Sprowadzenie windy na dwunaste piętro trwało dostatecznie długo. Zdążyłem wpaść do niej tuż za sobowtórem. Od tej chwili nie zamykałem ust: mówiłem nieustannie o fizycznych brakach Jowity, o nieznośnych cechach jej charakteru i o piekle, jakie groziło im w przypadku zawarcia ślubu. Podczas tego monologu ani razu nie spojrział na mnie i nadal udawał niemego. Kiedy winda dotarła do parteru, zagrodziłem mu wyjście i wcisnąłem guzik dwunastego piętra, a gdy tam dojechaliśmy, on z kolei — po krótkim postoju — wcisnął guzik parteru. Na dole siły mego przeciwnika znacznie wzrosły. Zadałem sobie dużo trudu, aby ponownie zatrzymać go w kabinie.

Tymczasem zagadkowe kursy windy oraz nasze zmagania w przejściu do niej zniecierpliwiły lokatorów zgromadzonych na parterze. Mimo okazywanej przez nich chęci towarzyszenia nam nikomu nie udało się wejść do kabiny, a my jeszcze raz ruszyliśmy ku górze. Interwencja zirytowanych mieszkańców bloku zapowiadała szybki kres tej zabawy.

Nie znałem godziny wyjazdu Jowity i nie wiedziałem, czym zamierzała opuścić miasto: pociągiem czy samolotem? Poszukiwania na dworcach i lotniskach nie miały sensu. Gdybym mu stale nie przeszkadzał, sobowtór zaryzykowałby oświadczyć przez telefon albo pojechałby prosto do jej domu, gdzie najpewniej — bo zgodnie ze swym zwyczajem odkładania przykrych spraw do ostatniej chwili — zajmowała się jeszcze pakowaniem walizek. Tak czy inaczej w moim interesie leżało zatrzymać go gdziekolwiek możliwie najdłużej. Ale w jaki sposób? — skoro już osłabłem, co wykazał przebieg ostatniej walki.

Czując zimne dreszcze, spojrzałem na swe bose stopy i dopiero wtedy spostrzegłem, że w ręce — zamiast butów — trzymam łom podniesiony z podłogi. Czy ta pomyłka była efektem roztargnienia, usprawiedliwionego zamroczeniem po upadku przy drzwiach mieszkania i pośpiechem — czy planowanego tam w podświadomości zabójstwa?

Bez dalszego namysłu trzasnąłem łomem w guziki z numerami pięter. Winda stanęła momentalnie. Zatrzymała się akurat pośrodku drogi między dwiema kondygnacjami — czyli w miejscu, skąd nie można było wydostać się na korytarz. Znalazłem się więc w sytuacji, która kogo innego doprowadziłaby do złości lub paniki, mnie zaś przepełniła nastrojem bezpieczeństwa. Zadowolony z siebie usiadłem w rogu kabiny i obserwowałem, jak sobowtór miota się w naszej pułapce.

Wkrótce opanował mnie spokój zabarwiony uczuciem melancholii. Klatka schodowa dudniła echemi różnorodnych hałasów. Nad skargami lokatorów dominował głos dozorca domu, który sam potrafił nas uwolnić, z czego jeszcze nie zdawałem sobie sprawy. Szacowałem, ile czasu zajmie im poszukiwanie mechanika. Myślałem o godzinach oczekiwania, gdy raptem — zaledwie po upływie kwadransa — winda zjechała na parter, gdzie dozorca sprowadził ją z dołu bez niczyjej pomocy.

Nie zwracając uwagi na żadne pytania, rzuciłem się szybko do samochodu zaparkowanego przed domem. Lecz sobowtór wybiegł pierwszy. Kiedy otwierałem drzwiczki, pochylał się już nad kołami i przebijał opony ostrzem scyzoryka.

Od automatów telefonicznych przy rogu ulicy dzielił nas tylko jeden budynek. Poszedłem ku nim wolnym krokiem, oszołomiony rozwojem

wypadków, złamany i całkowicie bezradny. Zbliżywszy się do automatów, znowu usłyszałem głos mego prześladowcy, który kategorycznym tonem ostrzegał mnie przed podniesieniem słuchawki. Skazany na jego uparte towarzystwo — po tylu niepowodzeniach — łatwo przewidywałem, co zrobi podczas kolejnej próby telefonicznego kontaktu z Jowitą. Odbierał mi już ostatnie nadzieje zatrzymania jej w domu, kiedy obok nas stanęła taksówka.

Natychmiast zająłem miejsce obok kierowcy, podając mu adres Jowity. Od razu ruszył we wskazanym kierunku. Pod wpływem szybkiej jazdy do upragnionego celu zapomniałem o istnieniu sobowtóra, który przez kilkanaście minut leżał chyba na tylnych fotelach. Tylko on mógł się tam ukrywać, ponieważ nikt inny nie był zainteresowany planowaniem takiej katastrofy. Dopiero nie opodal domu Jowity ujawnił, do jakiego szaleństwa doprowadziło go moje powodzenie.

Tuż przed ostatnim zakrętem prawidłowy obrót kierownicy uniemożliwiła druga para rąk, która nagle pojawiła się na dłoniach kierowcy. W efekcie gwałtownego ich zmagania podbita krawężnikiem jezdni taksówka przeleciała nad chodnikiem, rozbiła szyby najbliższej witryny i z wielkim hałasem łamanych po drodze desek wpadła do sklepu z ubraniami.

Taksówka zdemolowała wewnątrz magazynu, nie zraniła jednak nikogo. Kierowca uspokajał przerażone ekspedientki, sprawca wypadku zaś leżał pewnie pod stosem garderoby.

Korzystając z ogólnego zamieszania, wymknąłem się na skrzyżowanie, skąd niespokojnie spojrzałem w głąb bliskiej memu sercu ulicy. Znajomy dom stał obok przystanku metra. Jowita szła do tunelu. Przed schodami rozejrzała się wokoło i na mój widok upuściła walizki. Pobiegnęłam ku niej z radosnym okrzykiem.

Tak oto po długiej walce jeden z nas pokonał drugiego. Ale czy lepiej się stało, że to ja nim byłem? W tej sprawie nadal nie miałem pewności!

Potęga hipnozy

W pewnej chwili swego zasłużonego wieczornego odpoczynku pan Belis, niezwykle pracowity i ambitny przewodniczący legalnego już od czterech miesięcy Stowarzyszenia Łysych przerwał lekturę dziennika, uniósł się z klubowego fotela aby sięgnąć po cygaro, zapalił je i naraz najbardziej niespodziewanie dla samego siebie zaczął się niepokoić. Stało się to już, lub dopiero, po czwartym kieliszku, z jednej strony stanowczo za wcześnie, albo — z innego punktu widzenia — stanowczo za późno, o tej nieuchwytniej i szybko przemijającej porze decydującego się dopiero przesilenia, to jest wkrótce po tym, jak kelner klubowy zwany przez wszystkich Kudłaczem wniósł na tacy trzynaście napełnionych koniakiem kieliszków.

Pan Belis obserwował siebie z obawą, prawie z lękiem. Dotąd wszystko wydawało mu się dosyć proste. Odczekać aż na ekranie wielkiego telewizora ukaże się sympatyczna twarz znanego wszystkim i zapowiadanego już komika, wykorzystać moment największego rozbawienia widzów, dyskretnie wstać od stołu zabierając ze sobą świeżo napoczętą butelkę koniaku a następnie, pod pretekstem zbadania pod światło barwy trunku — można przy tym zakwestionować jego jakość lub bąknąć byle co pod nosem, bo i tak nikt nie oderwie oczu od ekranu zbliżyć się do ściennego kinkietu, to znaczy tam, gdzie już łatwo będzie wsypać do butelki kilkanaście niewinnie wyglądających pastylek. Jeżeli ta część planu nie napotka na żadne trudności, a przecież trudno się spodziewać aby napotkała, to pozostała część powinna się okazać jeszcze łatwiejsza. Cóż prostszego, jak napełnić dwanaście kieliszków (swój, pan Belis pozostawi napełniony koniakiem z poprzedniej kolejki) a potem, między dwoma kolejnymi gagami komika, kiedy zwykle następuje chwila odprężenia i kiedy ręka chętnie i co najważniejsze automatycznie sięga po kieliszek, wznieść pierwszy lepszy toast.

Pan Belis nie był doświadczonym mordercą, więcej: w ogóle żadnym przestępcą nigdy nie był. Ale nie był też człowiekiem naiwnym i trzeźwo oceniał sytuację. Plan powyższy nie wydał mu się ani sprytnym, ani

oryginalnym, ani nawet niezawodnym planem. Stadium rozpoznania, stadium analizy i decyzji, mocne alibi lub przynajmniej jakaś nikła szansa ocalenia, a cóż dopiero teoria zbrodni i to, co leży już na krawędzi estetyki, idea zbrodni doskonałej były to pojęcia całkowicie mu obce, abstrakcyjne terminy.

Tymczasem to, co przed kilkoma godzinami wtargnęło do duszy pana Belisa i eksplodowało w niej, co opanowało mu serce, a rozumowi podsuwało wzory zachowań najbardziej banalnych, co domagało się natychmiastowego spełnienia i wywoływało ów radosny ucisk gardła na myśl o tym, że już po trzech minutach i dwudziestu sekundach licząc od momentu wypicia trucizny, ujrzy się otoczony dwunastoma trupami najbardziej znienawidzonych ludzi — wszystko to nie miało nic wspólnego z trzeźwą logiką, z premedytacją, ani z chęcią ocalenia własnego życia.

Jeżeli pan Belis, zdołał zachować dotąd całkowity spokój, to tylko dla tego, że był on warunkiem koniecznym przy realizacji strasznej zemsty. Jakiś bardziej opanowany postronny obserwator, człowiek bardziej zrównoważony psychicznie po zapoznaniu się z nieodwołalną decyzją pana Belis, uznałby go za nieprzytomnego szaleńca. Bo jak inaczej nazwać można człowieka, który postanowił zabić wszystkich swoich kolegów, dwunastu członków Stowarzyszenia Łysych, z tak błahaego powodu, jakim był ich przedpołudniowy złośliwy żart?

Ale najpierw trzeba powiedzieć, jak bardzo surowy był wewnętrzny regulamin tej miniaturowej organizacji. Otóż odnotowanie jednego, choćby najbardziej anemicznego włoska na głowie unieszczęśliwionego nim posiadacza powodowało natychmiastowe i nieodwołalnie wykluczenie z szeregów związku. I nie pomagały tu żadne prośby, łapówki ani znajomości, bowiem — jak mawiał sam przewodniczący — być łysym, to znaczy rzeczywiście być doskonale łysym, a na to nie każdego stać. Nie interesują nas dobrze zapowiadający się kandydaci. Taki sam skutek, czyli usunięcie niepewnej jednostki, powodowała niedostateczna znajomość zmian owłosienia w dziejach ewolucji.

— Jacy wy jesteście ciemni! — powiedział pewnego razu zaczepiony na ulicy przez grupę długowłosych wyrostków pan Belis (właśnie jeden ze smarkaczy marszcząc się na twarzy podawał przewodniczącemu zgubiony rzekomo przez niego grzebień). — A więc w szkole nie

dotarliście jeszcze do tej strony, gdzie jest mowa o zrogowaciałych wypustkach szczątkowych. Dowiedzie się zatem wkrótce, że jedną z istotnych oznak biologicznego doskonalenia się człowieka w czasie tysiąclecia, od mały począwszy, jest stopniowa utrata włosów. Przyszłość bowiem należy do łysych. My mieliśmy wyjątkowe szczęście stać się łysymi już teraz. U nas proces sublimacji zwierzęcia w istotę ludzką i piękną przebiega znacznie szybciej. Jesteśmy na razie w mniejszości, ale taka sytuacja nie potrwa długo...

W tym miejscu owego przemówienia do roześmianych brudasów dostoyny przewodniczący wyłożył swoje zdanie na temat rychłego już i naturalnego odkudlenia ludzkości.

Atoli pewnego pięknego poranka, wkrótce po tej pouczającej wypowiedzi, podczas porannej toalety pan Belis lustrując doskonale gładką i błyszczącą powierzchnię swojej czaszki spostrzegł na niej, nieśmiałą zrazu, zapowiedź zbliżającej się klęski, coś, co bez wątpienia było odstrasającym pierwszym autentycznym włosem. W ślad za tą pierwszą jaskółką nieszczęścia pojawiły się następne. Pan Belis, tłumiąc w sobie wzrastające przerażenie, usuwał je przy pomocy różnych wymyślnych sposobów. Najpierw poszły w ruch szczypce, maść przeciw wzrostowi, jedna i druga, kompresy parzące, opalenia, słabe kwasy i mocne alkohole, zabójcze dla włosów częste mycia, potem opaski tamujące obieg krwi i ostre naświetlania, aż na koniec, kiedy zawiodły już wszystkie łagodne sposoby, poszła w ruch po prostu brzytwa.

A była już pora na to, bo gdyby nie ten radykalny środek, pan Belis nie mógłby się w ogóle pokazać w klubie, ani nawet na ulicy.

Groziła mu utrata wysokiego stanowiska, wykluczenie ze związku i przymusowy powrót do grona zwykłych kudłaczy. Jedynie dwukrotne, codzienne i bardzo staranne golenie, po nim zaś specjalna maść maskująca pozwalały mu zachować przez jakiś czas straszną tajemnicę. Niedługo wszakże. Rankiem omawianego dnia idąc do klubu, już z daleka ujrzał pan Belis rozpięte na drzwiach wielkie zdjęcie. W trzech powiększonych do naturalnych rozmiarów gitarzystach z łatwością rozpoznał rozwrzeszczanych Beatlesów, w czwartym zaś... — przewodniczący stracił nagłe oddech i byłby upadł, ale w samą porę oparł się o ścianę — tak, to była jego własna pokryta gęstą strzechą włosów głowa... paskudny fotomontaż.

Cios był zbyt okrutny. Owszem, pan Belis spodziewał się kompromitacji, zdemaskowanie musiało nastąpić wcześniej czy później, ale oczekiwał łagodnej uwagi, delikatnego przypomnienia zasad regulaminu, po którym miało nastąpić smutne, ale godne usunięcie się w cień. Tymczasem pod zdjęciem były umieszczone podpisy wszystkich dwunastu pozostałych członków związku. To był nie tylko gruby, złośliwy żart, to była prowokacja, wotum nieufności, żądanie udowodnienia autentyczności swej łysiny, brutalne żądanie podania się do dymisji, a przede wszystkim — ośmieszenie wobec mieszkańców całego miasta.

Pan Belis tylko na moment zachwiał się na nogach. Już po minucie odzyskał panowanie nad sobą. Sprężył się i zawrócił do domu. W sercu jego zapadła nieodwracalna decyzja.

Wieczorem przyszedł do klubu o zwykłej porze. Czuł na sobie badawcze spojrzenia, ale udawał, że o niczym nie wie i niczego nie rozumie. Z zainteresowaniem zabrał się do lektury popołudniowej gazety. Spłynął nań dziwny, bo całkowicie bezpodstawny, chociaż wcale nie sztuczny spokój. Jednakże spokój ów był widocznie dość płytki, podobnie jak powierzchowne było przekonanie o pomyślnej realizacji naszkicowanego w południe planu działania, bo nagle ujrzał się osaczony przez same tylko wątpliwości. Najpierw nie wydało się panu Belis dość pewne, że wszyscy obecni zechcą skupić się wyłącznie nad programem telewizyjnym: ktoś mógł się nim znudzić, kogoś mógł zastanowić dziwny manewr zdjęcia butelki ze stołu i manipulowanie przy niej gdzieś w kącie za plecami. Może lepiej byłoby kupić trunek na mieście i wnieść go do klubu już po wsypaniu trucizny?

Ale cóż to za upokarzający pomysł! — Pan Belis skrzywił się z niesmakiem na myśl o tym jak płasko wypadłby w oczach swoich niedawnych kolegów, koniak bowiem pito za wspólne, specjalnie na ten cel odłożone pieniądze. — Pomyśleliby, że tak nisko upadł, skoro w celu zaskarżenia sobie ich przychylności sięga już po każdy środek, nawet nie brzydzi się służalczą i przekupstwem.

Gdybyż to już na tym był koniec trudności, ale gdzie tam! Trzeba było wymyślić toast nieodparty, taki z wypiciem którego nikt nie będzie zwlekał. Skąd pewność, że tę śmiertcionośną kolejkę wypiją wszyscy niemal równocześnie? Pan Nigton, który siedział najdalej, miał

niepoprawny zwyczaj ociągania się przy picciu. Niby to wznosił kieliszek do ust, wiwatował jak inni ale zaraz, gdy już inni pili, on podejmował jakiś zaniechany przed chwilą wątek dyskusyjny, a kieliszek wracał na podstawkę, gdzie nieopróżniony czekał czasem na następną kolejkę.

A czy można było dopuścić do tego, aby któryś z tych nicponi ocalał!?

Na dodatek stała się rzecz straszna. Zamiast spodziewanej drugiej butelki koniaku Kudłacz, kelner klubowy, wniósł na tacy trzynaście napełnionych już kieliszków.

Co za dziwne, głupie zwyczaje! — mamrotał pod nosem wyprowadzony tym z równowagi pan Belis. — Nigdy tego u nas nie było. Naraz zadrzał: Czyżby już coś podejrzewali? Ale nie... — rozejrzał się dokoła siebie i ujrzał Wciąż te same dobroduszne, niewinnie uśmiechnięte twarze.

Oni mnie nie rozszyfrują.

Uspokoiwszy się pan Belis skoncentrował cały wysiłek nad poszukiwaniem niezawodnego sposobu dokonania swej strasznej zemsty. Należało czym prędzej wprowadzić poprawkę do nieaktualnego już starego planu. Niestety, zakończenie audycji z komikiem, na którą tak bardzo liczył w swym zamierzeniu zbiegło się z brakiem realnego pomysłu, zaskoczyło go w tym samym punkcie analizowanego problemu, z którego ruszył, czyli na stwierdzeniu istnienia trzech niepołączonych jeszcze ze sobą składników zbrodni: trucizna jest, koniak przygotowany, ofiary oczekują. Nadchodziła rezygnacja i stopniowe załamanie. Teraz dopiero uzmysłowił sobie pan przewodniczący z całą wyrazistością, jak wielka jest odległość między gorącym życzeniem a jego realizacją. Ze zgrozą ujrzał się całkowicie niedołącznym, głupim i niezaradnym, zupełnie nie przygotowanym do spełnienia tak prostej — zdawałoby się — czynności, jaką jest otrucie dwunastu ludzi.

Tymczasem z lewej strony okrągłego stołu, przy którym wszyscy siedzieli półkolem, pan Nighton przyglądał mu się z jakimś dziwnym, sztucznie podkreślonym zainteresowaniem. Pan Belis opuścił wzrok na jego ręce i ujrzał, że tamten, obracając w palcach coś płaskiego, szoruje tym po wewnętrznej stronie szklanki. Przedmiot ten okazał się żyletką.

— To jest bardzo dobry sposób ostrzenia żyletek — od niechcienia zauważył pan Nighton. — Jeżeli zajdzie potrzeba, to tak wyostrzoną

żyłką można ogolić pół tuzina małp.

Z drugiej strony stołu odezwał się przytłumiony chichot: Pan Kent wymieniał z panem Sezzing uwagi na temat różnych przypadków plagi włosowej.

— A propos — powiedział nagle pan Kent i zmrużył oko. — Słyszałem o człowieku, który miał włosy bardziej gęste niż mogła pomieścić powierzchnia jego czaszki. Nieszczęśnikowi temu nadmiar włosów zaczynał rosnać w przeciwną stronę, czyli w głąb.

— To jest banalna historia — odezwał się na to pan Sezzling. — Podobno są czupryny, które rosną w tempie pięciu centymetrów na dobę!

Pan Kent udał niedowierzenie.

— Oj, chyba przesadził pan, panie Sezzing. Bo jeśli to prawda, co pan mówi, to właściciel takiej głowy musiałby nosić na plecach dużą szpulę z korbą do nawijania włosów.

— Albo powinien zaopatrzyć się w przyrząd do strzyżenia trawy — dorzucił pan Nighton.

— A co pan o tym sądzi, panie Belis?

W przewodniczącym zawrzała krew. Trzasnął pięścią w stół, aż podskoczyły wszystkie naczynia.

— A ja was zaraz otruję!!! — wrzasnął bez namysłu piskliwym głosem i zaraz zatkał sobie nabrzmiąte ze wściekłości usta, ale było już za późno.

Wszyscy obecni parsknęli niepohamowanym śmiechem.

— Czym? — zapytał rozbawiony pan Kent. — Może witaminą C?

Przewodniczący spojrział na swe ręce. Istotnie, zaciskał w nich wydobytą z kieszeni w największym roztargnieniu buteleczkę po witaminie C. Właśnie w tej buteleczce przechowywał od południa kilkanaście żółtych pigułek śmiertelnej trucizny.

Pan Sezzing chichotał wciąż trzymając się za brzuch.

— Otruj nas, kochany panie Belis, otruj nas czym prędzej, zaklinam cię.... bo inaczej zamęczymy się na śmierć przez ten śmiech.

Pan Belis zdradził przed wszystkimi najtajniejszy swój zamiar nie tylko dla tego, że stracił był już nadzieję na możliwość jego spełnienia, ale przede wszystkim z tego powodu, że w panicznej trwodze przed śpiętrzącą się śmiesznością wyobraził sobie jedną tylko skuteczną

obronę przed nią: możliwie najbardziej piorunującą, a choćby i niewykonalną groźbę. Teraz, na wpeł żywy ze zmieszania, automatycznie i lojalnie wysypał na obrus zawartość swojej buteleczki i pośpiesznie powrzucał pigułki po kolei do wszystkich ustawionych na tacy kieliszków. Nikt nie spostrzegł, że rzekoma witamina C ominęła jego kieliszek.

— Ha, ha, ha... — Śmiał się pan Nighton. Naraz spowaźniał. — Ale czy czasem ta pańska trucizna nie wywołuje czkawki, bo tego już nie lubię.

— Albo wysypki — dorzucił pan Kent.

— A może jest to środek na porost włosów! — zauważył ktoś z boku.

— Nie ufajmy mu. To podstęp!

Naczynia na stole zdrząły od nowej salwy śmiechu. Członkowie Stowarzyszenia Łysych podchodzili kolejno do przewodniczącego i z uciechy klepali go po ramionach. Na boku słyhać było głosy: — Nie jest taki sztywny i wyniosły na jakiego wygląda. To w gruncie rzeczy sympatyczny człowiek.

— A już myślałem, że się obraził...

Spikerka telewizji zapowiedziała nową audycję.

— A teraz zapraszamy państwa na spotkanie z bardzo ciekawym człowiekiem, panem Urbanem Idiamo — płynął z głośnika częściowo zagłuszony przez rozbawionych widzów głos. Będziecie mieli państwo niecodzienną okazję zapoznania się z jego niezwykłymi umiejętnościami, na temat których nauka... — Spikerka zawiesiła głos. — Ale o tym usłyszycie państwo później. Najpierw niespodzianka...

Pan Belis dopiero po dłuższej chwili uspokoił się na tyle, że zdołał opanować drżenie rąk. Po niedawnym wstrząsie, po tak gwałtownym i pomyślnym dla niego zwrocie sytuacji, nie bez słuszności uznał, że przed chwilą, dzięki jego bezbrzeżnemu głupstwu, które w jakimś zamroczeniu palnął, zdarzyło się coś niesłychanie nieprawdopodobnego, i że taki zbieg okoliczności zdarza się tylko raz. Sięgnął po zapamiętany najbliższy kieliszek.

— No to bach...! — zachęcił uśmiechając się z wysiłkiem, szeroko, ale bezgłośnie: serce waliło mu jak młotem.

— Za naszą śmierć! Żwawo panowie, bo nie godzi się dłużej żyć!

Członkowie Stowarzyszenia Łysych śmiejąc się od ucha do ucha, niemal równocześnie sięgnęli po kieliszki. Na ekranie telewizora ukazała się postać siedzącego na krześle mężczyzny; głowę jego szerokim półkolem otaczały zawieszane na cienkich niciach duże, wypolerowane i lśniące kule.

— A więc ciach...! — zachęcił po raz wtóry pan Belis.

— To chyba iluzjonista...! — zauważył pan Nighon, który — jak zwykle — nie mógł powstrzymać się od nieistotnej uwagi, i to w chwili, gdy należało milczeć i pić.

Pan Belis posłał mu nienawistne spojrzenie.

— Będzie hodował króliki w tych kulach... — domyślał się dalej zaciekawiony pan Nighon. — Ale swoją drogą ciekawe jak on to zrobi...

— Proszę państwa o skupienie i wzmożenie uwagi — powiedział mężczyzna na ekranie.

Równocześnie kamerzysta dokonał zbliżenia. Wycinek obrazu powiększył się: cały ekran wypełniła dziwnie skupiona i napięta twarz pana Idiamo, który patrząc w obiektyw kamery bardzo przenikliwym wzrokiem, mówił dalej:

— Czy macie państwo w zasięgu swoich rąk jakiś płyn do picia? Może to być kawa, mleko, herbata, alkohol lub woda — wszystko jedno co. Jeżeli nie, to proszę napełnić szklanki wodą z kranu lub czymkolwiek innym.

Pan Belis poruszył się niespokojnie, ale zanim się odezwał, mężczyzna z ekranu ciągnął dalej:

— A teraz będziecie państwo pili to, coście sobie przygotowali, ale przedtem zdecydujecie się na pewną zmianę, na psychiczne przestawienie się z jednego, rzeczywistego smaku i zapachu na drugi wyobrażony. Na przykład, jeżeli ktoś z was trzyma w ręku szklankę z herbatą niech sobie powie, że będzie pił kakao, ktoś inny, kto nalał sobie wody, niech spróbuje sobie wyobrazić, że będzie pił spirytus, lub na odwrót, jeszcze inny, w którego filiżance znajduje się dajmy na to barszcz, niech oczekuje smaku i zapachu mleka. Przystawienia i kombinacje są zupełnie dowolne. Trzeba jednak wyobrazić sobie dokładnie smak i zapach tego napoju, na który każdy z was niezależnie od innych się zdecydował. Równocześnie przez cały czas, a więc przed i w trakcie picia, proszę patrzeć mi w oczy. To wszystko. Zaczynamy

eksperyment.

— Wybieram kefir — powiedział pan Sezzing. Popatrzył w wytrzeszczone oczy pana Idiamo i przechylił kieliszek. Nagle zatrzęsł się cały.

— Tam do licha — krzyknął. — To przecież kefir, niech skonam, prawdziwy kefir. Niesłychane...!

— Te, te, te, te...! — zaterkotał z powątpiewaniem pan Kent. — To jest trucizna naszego kochanego przewodniczącego i bez głupich żartów proszę.

Mówiąc to, wyobraził sobie dokładnie smak swego ulubionego napoju, czekolady, i opróżnił kieliszek. Natychmiast zmienił się na twarzy.

— Czy ja śnię? — zawołał. — To cud! Pośpieszcie się panowie dopóki trwa to niezwykle zjawisko. Mam przecież w kieliszku zwykły czysty koniak, a czuję smak i zapach czekolady.

Hipnoza, autentyczna niezwykle silna hipnoza... Słyszałem już o wypadkach usypiania i sugerowania różnych bzdur przez telewizję, ale coś takiego...

Wśród widzów zapanowało zamieszanie. Ten i ów, w zależności od temperamentu i zwyczaju, albo smakował z kieliszka powoli i z namysłem, albo wychylał zawartość jednym haustem, a potem już wszyscy, ci nie pierwszej już młodości panowie, wydając okrzyki zdumienia i zachwyty zrywali się na nogi i znów opadali na fotele. Gdziekolwiek kto się znajdował, tam — dzięki przedziwnej właściwości ekranu telewizyjnego odnosił wrażenie, że oczy pana Idiamo wbite są tylko i wyłącznie w niego, w każdym miejscu dosięgał go stalowy wzrok hipnotyzera, spojrzenie tak ostre, przenikliwe i silne, aż zadające psychiczny ból. Jedynie pan Belis nie dał sobie niczego zasugerować. Z palcami zaciśniętymi kurczowo na krawędzi stołu, z szeroko otwartymi ustami lapał powietrze, jak wyrzucona na brzeg ryba.

— Bzdury! — wrzasnął wreszcie. — Ohydne bzdury! Nie ma żadnej hipnozy. Nie ma żadnej magii. Jest tylko materia, obiektywna rzeczywistość i trucizna. Moja trucizna, którą wam wsypałem... — charczał. Zaraz zginiecie, jak nędzne psy!

— Obecni umilkli przykro zaskoczeni. Członkowie Stowarzyszenia Łysych znali się na dowcipach, owszem, lubili je. Ale uznawali tylko żarty

świeże... no i lekko podane. Tymczasem, jak na ich wyrafinowane gusty, pan Belis miał dowcip cokolwiek za ciężki: najwyraźniej zaczynał nudzić i bredzić. Nawet najlepszy żart, jeżeli się go z uporem wałkuje i niezręcznie odświeża, zaczyna w końcu nudzić i drażnić. No, a ten ton. Z panem Belis było coś nie tak. To był jakiś historyczny szal. Czy aby pan Belis nie zasugerował sobie swego koniaku jakimś jemu tylko znanym świństwem? Ale nie, jego kieliszek był jeszcze nieopróżniony. Więc cóż to może być?

— Gwiżdżę na waszą hipnozę — rzekł już nieco spokojniej przewodniczący. — Na dowód tego wyobrażam sobie, że w moim kieliszku znajduje się... trucizna.

Czyście słyszeli? Wypijam truciznę!

Zanim ktokolwiek zdążył ruszyć się z miejsca, aby temu zapobiec, pan Belis wlał sobie do gardła zawartość kieliszka. Cisza pogłębiła się jeszcze bardziej. Obecny wydawało się w tej chwili, że źrenice hipnotyzera Idiamo, jak dwie rozżarzone stalowe igły przeniknęły na wylot przez czaszkę szalonego przewodniczącego. W osłupieniu wpatrywali się w jego wbite w telewizor szeroko otwarte oczy.

Seans dobiegał końca. Na ekranie do pana Idiamo zbliżył się jakiś mężczyzna i przedstawił się widzom jako lekarz.

— My tu za kulisami również braliśmy udział w eksperymencie — oświadczył. — Otrzymujemy wciąż telefony od widzów: pokaz udał się: wszyscy są bardzo zdumieni, chcieliby wszystko zrozumieć...

— Niewiele mogę wytłumaczyć — odparł skromnie pan Idiamo. Po prostu silna hipnoza. Oparłem się na autosugestii samego widza i wielokrotnie wzmocniłem ją. Oczywiście napojów nie przemieniałem, nie potrafię dokonać cudu. Ale cóż to jest smak? To podrażnienie odpowiednich nerwów w mózgu za pośrednictwem brodawek smakowych języka. Można, jak widać, spowodować to samo wrażenie w samym mózgu, bez uciekania się do pomocy języka. Zresztą historia zna różne wypadki silnej autosugestii. Kiedyś skazanemu na ścięcie nieszczęśnikowi, który trzymał już szyję na pieńku, spuszczone na nią zamiast topora... kroplę wody. Był tak wewnętrznie napięty oczekiwaniem rychłego śmiertelnego ciosu, że natychmiast skonał. Innym razem, słyszałem, ocalał ktoś po wypiciu trucizny tylko dzięki temu, że w swoje ocalenie niezwykle silnie wierzył. Są na to dowody, że

w takich, zresztą niezwykle rzadkich wypadkach, może na pewien czas wystąpić przestrojenie niektórych mechanizmów biologicznych.

— No tak... jasne. To jest, chciałbym powiedzieć: w dalszym ciągu zupełnie nie zrozumiałe — poprawił się lekarz. — Ale o co innego chciałem zapytać. Przyszło mi do głowy... Gdyby ktoś z widzów zasugerował sobie, że pije truciznę... co by się stało. Czy by umarł?

Idiomo poruszył się. Teraz miał twarz zwykłego zmęczonego człowieka.

— Myślałem o takiej możliwości. Na tyle milionów odbiorców programu ktoś mógł rzeczywiście postąpić tak nierozsądnie i wyobrazić sobie truciznę, choć brzmi to dziwnie, bo nie mógł przecież znać jej smaku. Co się zaś tyczy ewentualnej śmierci takiego szaleńca, to jest ona niezwykle mało prawdopodobna, chociaż możliwa. Musiałyby bowiem zajść tu dwie szczególne okoliczności.

— Jakie? — zainteresował się lekarz.

— Po pierwsze, delikwent ten sam musiałby wierzyć w swoją śmierć i musiałby być otoczony przez ludzi głęboko przekonanych o tym, że umrze. Tu mogłoby zajść silne wzmocnienie emitowanych przez mózgi fal elektromagnetycznych. Telepatia, zdaje się, jest zjawiskiem udowodnionym.

— Ten warunek łatwy był do spełnienia...

— Ten tak, ale drugi... Proszę spojrzeć na te kule, które wiszą dokoła nas. Nie wiem, może się mylę, ale nie są one tylko zwykłą dekoracją, która potęguje niezwykłość seansu. One odgrywają tu jakąś nieokreśloną jeszcze bliżej rolę. W jakiś sposób pomagają mi w czasie seansu, odkryłem to przypadkowo. Wydaje mi się, że istotna jest tutaj tylko ich gładka i lśniąca powierzchnia...

— Więc sądzi pan, że gdyby podobne do tych kule znajdowały się również w mieszkaniu telewizza...? — próbował zgadnąć lekarz.

— Tak, oczywiście taki zbieg okoliczności można uznać za niemożliwy...

Lekarz spojrział na zegarek.

— Rozmowa nasza trwa dopiero trzy minuty i dwadzieścia sekund. Mamy więc czas na...

W tym momencie wszyscy członkowie Stowarzyszenia Łysych drgnęli i obejrzelni się poza siebie, bo za nimi dał się słyszeć łoskot

upadającego na podłogę ciała. Wszystkie fotele ustawione były w podkowę, dokoła dużego okrągłego stołu naprzeciw telewizora, czyli dokładnie pośrodku półkola. Fotel pana Belis był pusty.

Pan Kent, który z zawodu był lekarzem, podbiegł do leżącego nieruchomo na podłodze przewodniczącego, Równocześnie w drzwiach ukazała się postać Kudłacza, który niósł trzynaście nowych napełnionych koniakiem kieliszków. Obok nich stała na tacy mała buteleczka.

— Któremuś z panów wypadła w szatni z płaszcza buteleczka witaminy C — Oświadczył. — Nie wiadomo do kogo należy...

Urwał zdziwiony nienaturalną nieruchomością obecnych. Kudłacz nie zauważył incydentu z Panem Belis, ponieważ ciało na podłodze zasłaniał mu stół. Popatrzył natomiast na ekran i na skamieniałych w bezruchu dookoła stołu klubowych gości. Widocznie coś go w tym obrazie uderzyło, bo roześmiał się i pokręcił głową.

— Patrzę tak na panów co dzień — rzekł — i nadziwić się nie mogę. Co za łyse pały. A jeszcze dzisiaj, żeby było śmieszniej, usadowiliście się panowie tak, jak te kule na ekranie.

Pan Kent uniósł się z podłogi i westchnął.

— Nie żyje już... — rozłożył bezradnie ręce — to zawał — dodał niepewnie.

Ale nikt w to nie uwierzył.

Na skraju nocy

— Do ósmej jesteś wolny — powiedział — Możesz iść, gdzie ci się podoba.

Ktoś wychodził. To tylko zauważyłem — ktoś wchodził. Byłem zdumiony.

— To ci się należy — wyjaśnił. Przecież każdemu coś się w końcu należy. Tylko zachowuj się poprawnie. Rób co chcesz, ale zachowuj się poprawnie.

Było gorące popołudnie. Dłonie drżały mi ze wzruszenia: wszak nieszczęścia przychodzą niespodziewanie, rozumiem — radość nie trwa wiecznie.

— Możesz iść, gdzie chcesz — powtórzył — Ten czas jest twój, ten czas do ciebie należy.

Znów ktoś się oddalił, otarł się o mnie i wyszedł. Zauważyłem to natychmiast, mimo woli to spostrzegłem i już nie mogłem zapomnieć. Przez otwarte drzwi wraz z gwarem ulicy wtargnął do środka zapach spalin.

— Zwlekaj jeszcze, to może się rozmyśle — powiedział spokojnie.

Chwyciłem za klamkę. Uniósł głowę:

— Stój — powiedział, tylko to jedno słowo: Stój! — wycodził przez zaciśnięte zęby i podszedł do mnie. Zadrżałem.

— Proszę zejść z przejścia! — krzyknął ktoś za nami. — Proszę nie tamować ruchu.

Chciałem odejść, lecz...

— Jesteś młody — szepnął, pochylił się na nade mną i szepnął. — Jeszcze jesteś młody. To ci wystarczy, rozumiesz? Do ósmej i ani chwili dłużej. Znasz mnie: jestem kapryśny, kapryśny i sprawiedliwy. Radzę ci zachować się poprawnie — pamiętaj.

Tłum wessał mnie natychmiast. Obezwładnił mnie i porwał szybciej niż uświadomiłem sobie sens niespodziewanej radości, nim zdążyłem pojąć, co się stało, zanim omamił mnie pozorny urok mego szczęścia. Kiedyś, o wspomnienia bolesne, kiedyś właśnie byłem pozbawiony

wolności. Przez dwadzieścia miesięcy czekałem na ów dzień, upragniony dzień wyzwolenia mego, który przecież nadszedł wreszcie, nadszedł i przeleciał, by zrobić miejsce następnym. Dzień ten powinien położyć kres oczekiwaniu, powinien, lecz nie położył. Byłem niespokojny w każdej chwili dnia i nocy wolności mojej, bowiem zawsze wydawało mi się, że dalej na coś czekam, co przecież nie mogło nastąpić, skoro już raz miało miejsce. Wydawało mi się, że cokolwiek bym nie robił, bez względu na to w co angażowałbym swe siły, zawsze tracę bezpowrotnie każdą godzinę z tych, które następowały. Zbyt długo czekałem, zbyt bardzo pochłonięta mnie atmosfera oczekiwania, abym mógł z nią zerwać w jednej chwili. Toteż tkwiłem w niej nadal, czekałem dalej na to, co już dawno miałem za sobą, siłą bezwładu, mocą nawyku, trwałością długiego związku.

Oto stał się ciałem przekłęty kres urojeń. O gorzka beczynności, która każesz myśleć, co nie pozwalasz zapomnieć. I choć odkryłem źródło swego niepokoju, chociaż znałem przyczynę swoich strapień, nie mogłem zabić w sobie nadziei, co kiedyś przerosła możliwość dzisiejszego spełnienia, i tak przerośnięta dalej wlokła się za mną nieznośnym pasmem udreki.

Lecz wszystko to mam już za sobą, nie dosięgną mnie wczorajsze troski, rozwiały się cienie dawnych lęków, chwilo trwaj, radości nie opuszczaj, pozwól choć raz odetchnąć z ulgą.

— Cztery pełne godziny — rozważałem — nie mogę stracić ani minuty, ani chwili nie wolno mi zmarnować, szczęście przychodzi tylko raz, szczęście trwa tylko do ósmej. Pośpiesznie układałem plan. Pójdę do kina, myślę, w nieznanym mieście nie znajdę lepszej rozrywki. Mam dwadzieścia złotych. Kupię sobie lody: przecież dawno nie jadłem lodów, przypominam sobie (ach, ileż musiałem znieść wyrzeczeń), a później, później chciałbym oglądać wystawy: będę zachwycał się tym, co nieosiągalne. Nic więcej już nie chcę — to mi wystarczy, niczego więcej nie pragnę ponad to, niczego więcej nie dostanę.

Wtem ostry, podobny do wystrzału gwizd za plecami ugodził mnie, jak cios bata. Wpił się we mnie, przylgnał do pleców, kłusując po piętach mroził i jednocześnie zmuszał do szalonego biegu, w drgawkach wahania zdezorientowany i oszołomiony, osaczony zewsząd mdłym lękiem, smagany dławiącą trwogą, dobrnąłem wreszcie do chodnika. I tu dopiero

uświadomiłem sobie, acz nie bez trudu, że niezgodnie z przepisami przeszedłem jezdnię przy czerwonym świetle. Lecz chociaż zrozumiałem co się stało i spodziewałem się odprężenia, niepokój wracał uporczywie i zmuszał do natychmiastowego działania. Bezwiednie skręciłem na lewo: uległem woli zielonego światła. Jeszcze nie zgasło, myślałem gorączkowo, zdążę przejść, zdążę załagodzić.

Czułem na sobie dziesiątki spojrzeń. One to właśnie nie zezwoliły mi uciec, nie dopuściły abym zbiegł przed konsekwencją swego czynu i kazały mi działać szybciej niż zdążyłem wybrać kierunek tego działania. Pod milczącą surowością tych spojrzeń strach przerodził się we mnie w nieznośne poczucie winy. Nim zapaliło się czerwone światło stałem już na chodniku. Wytrącony z równowagi, otępiały niedawnym wstrząsem i pewny konieczności zmazania swej winy nie spostrzegłem, że po zmianie światła ponownie skręcam w lewo i po raz trzeci przechodzę przez jezdnię. To była kara, którą dobrowolnie nałożyłem na siebie za poprzednie roztargnienie. Żadne inne argumenty nie mogły lepiej podkreślić mojej lojalności wobec przepisów, nic bardziej skutecznie nie mogło wpłynąć na me uspokojenie.

Z wypiekami wstydu na twarzy przeniknąłem między skręcającymi pojazdami i wraz z pierwszą falą pieszych doszedłem do rogu, aby tu, pod czerwonym światłem, zatrzymać się w oczekiwaniu na nową sposobność do rehabilitacji.

Rozum jest narzędziem w rękach namiętności, wiem, i to też rozumiem, że gdy tym narzędziem być przestaje, automatycznie staje się bezużyteczny. Winę zmasać można tylko prawością, więc jestem na dobrej drodze, myślę, poniosłem już konsekwencję swego czynu, lecz co dalej mam robić, rozważam, co teraz uczynić mi wypada.

Tyłu czeka na sygnał, tylko na sygnał wszyscy czekają, wierzą i nie martwią się o nic. Ja też na coś czekam, przecież czekam, stoję i czekam. Już czerwone światło zgasło, wszyscy ruszyli i ja ruszam, mimo woli: bezwiednie ruszam zanim postanowiłem cokolwiek, już widząc zielone światło, jak zahipnotyzowany ruszam, nieświadom swej niepewności, naprzód, jak wszyscy. Ruszam, przechodzę, czekam i znów ruszam. Przechodzę, czekam, ruszam i znów przechodzę, i znów czekam. Cierpliwie czekam, natychmiast ruszam, poprawnie przechodzę. Bez chwili wytchnienia, automatycznie i precyzyjnie, niezawodnie i

sprawnie, aby pokryć zmieszanie, by zatuszować niemile wrażenie, by załagodzić i udowodnić, że stać mnie na poprawność — zgodnie z zasadami ruchu przechodzę, systematycznie i spontanicznie, rytmicznie i cyklicznie, periodycznie i metodycznie, sublimatycznie i mechanicznie — przechodzę, bo nie widzę innej możliwości, więc przechodzę; przechodzę wreszcie, bo nie mogę przechodzić.

Czerwone światło ostrzega: stój! — mówi — więc stoję, ani kroku dalej, nie idę, tylko czekam cierpliwie. Zielone — droga wolna, — idź! — mówi — naprzód! — rozkazuje — więc idę (o rozkoszy posłuszeństwa), idę i dopiero po kilkunastu okrążeniach przez moment uświadamiam sobie mgliście, że przecież chodzę wokół. Lecz cóż znaczą gołe fakty wobec słodkiej świadomości spełnionego obowiązku. Na cóż alarmujące sygnały, przebłyski rozsądku, gdy nie pozwalają się sycić nowo odkrytym szczęściem?

Bo wtedy właśnie, wśród zgiełku i szumu, gdy zgodnie z rozkazami monotonnie zmieniających się świateł przesuwalem się przez jezdnię wraz z falami ruchliwego tłumu — właśnie wtedy dokonała się we mnie trzecia i ostateczna faza przeobrażeń. Poprzez konsekwentną ewolucję, nieuchwytnie i nieodwołalnie, ledwie musnąwszy sferę mej świadomości, dokonała się i skryształizowała, by w tej ustalonej postaci zdeterminować raz na zawsze wszelkie moje poczynania na skrzyżowaniu nieznanymi ulic, w nieznanym mieście, w czasie bliżej nieokreślonym.

Jeżeli dalej odczuwałem lęk, był to tylko lęk przed zmianą, obawa przed wypadnięciem z rytmu. Już nie czuję wstydu ani winy, bo miejsce poprzednich uczuć zostało zajęte czym innym: zadowoleniem ze spełnionego obowiązku. Ta nowa siła, której nie znam i której chętnie ulegam, paraliżuje we mnie wszelką chęć do refleksji, narzuca mi swoje prawa, wymaga wiele, ale daje w zamian jeszcze więcej. Oceniam ją jako dobrą, bo obdarza mnie opieką, daje mi gwarancję i poczucie bezpieczeństwa. Czyż w tej sytuacji mogę myśleć o buncie? Zresztą, żeby się zbuntować potrzeba czegoś więcej ponad mgliste przeświadczenie o swej krzywdzie: trzeba bodaj w wyobraźni, choć na chwilę ujrzeć los lepszy od aktualnego. Tylko ten los lepszy, jako cel usprawiedliwiać może wysiłki, on tylko może nadać sens wszelkim zabiegom i buntom.

A czyż ja rękoma nieznannej siły zaprzęgnięty do kieratu

przeznaczonego mi skrzyżowania, kursując regularnie między chodnikami, obracając się po obwodzie dwuwymiarowego kwadratu mego świata mogłem wyobrazić sobie los inny, wymiar inny, wymiar trzeci?

O nie! Nie miałem na to czasu. Mój czas odmierzany był rytmem zapalających się i gasnących świateł, mój sens tkwił w posłuszeństwie dla przekonywującej ich siły, w podziwie dla sprawności z jaką operowały tłumem, w uwielbieniu dla porządku, który był ich dziełem i w uznaniu dla przejrzystości motywów ich działania. O nie! Nie mogłem wyobrazić sobie szczęścia innego ponad to błogie krążenie, innego rozwiązania nie znajdę, nie wyszukam sobie innej radości.

Minuty biegly, czas mijał, tłum gęstniał, tłum się wymieniał; tylko ja nieodmiennie tkwiłem w swych cyklach i okresach, tylko mój los był niezmienny. Ruszałem, przechodziłem, czekałem i znów ruszałem. Czekałem, ruszałem, przechodziłem i wciąż mi było mało. Jak wszystkie księżycy wokół swych planet, jak wszystkie planety wokół swych gwiazd, tak ja obracałem się wokół centrum swojego dwuwymiarowego układu.

W centrum stał policjant i gwizdał co sił w płucach; gdy tylko błąd zobaczył, zaraz gwizdał — gdy tylko czujnym uchem uchwycił dysonans w akordzie powszechnego ładu. To jemu właśnie pomagały światła. O nie! Przeciwnie (błąd niewybaczalny), nie one jemu, lecz on im pomagał. One były nade mną, ponad nim nawet (wszystko musi mieć swe miejsce), on był tylko policjantem — one były ŚWIATŁAMI.

W pewnej chwili wydało mi się, że tu i ówdzie dostrzegam znajome twarze. Widocznie niektórzy też ulegli światłom. Fakt ten dodał mi otuchy, ponieważ poczułem się mniej samotny. Jakaś kobieta, którą w trakcie swych obrotowych manipulacji widziałem już kilkakrotnie, zbliżyła się do mnie i zapytała, od kiedy kursuję. Odpowiedziałem, że jeszcze jestem młody, na co ona, rzecz dziwna: pokręciła głowę z niedowierzaniem. I wtedy próbowałem wyjaśnić — zawsze próbuję wyjaśnić zanim zniechęcę się na dobre.

— To tylko pozory — powiedziałem. Mój wygląd może mylić, ale to tylko pozory. Przecież jak powszechnie wiadomo, nie należy ufać pozorom.

Uśmiechnęła się.

— Wierzę — odpowiedziała.

Kilkanaście metrów szliśmy razem: wydało mi się, że jestem bardziej szczęśliwy niż zwykle. Była słaba. Musiałem prowadzić ją i torować drogę. Wprawdzie zmęczenie i mnie zaczynało dawać się we znaki, lecz obecność jej dodawała mi sił. Tak idąc, w trudzie i niepokojach przebrnęliśmy przez dwa odcinki kwadratu, gdy nagle, niespodziewanie dla siebie samego powiedziałem:

— Chciałbym, abyśmy szli razem zawsze.

— To niemożliwe — odpowiedziała błędąc. — Nie mogę pana oszukiwać. Pewnie już niedługo wypadnę z obiegu.

— A to dlaczego? — zapytałem zaniepokojony.

— Mam gruźlicę — odpowiedziała drżącym głosem. Tłok na jezdni, powietrze przesycone spalinami, ciągłe napięcie nerwów i niebezpieczeństwo związane z koniecznością omijania pojazdów, każą mi myśleć o niedalekiej rezygnacji, zostało mi jeszcze kilka okrążeń.

To były jej ostatnie słowa. Pozostała gdzieś w tyle. Wkrótce po tym straciłem ją z oczu. Wyrzuty sumienia, nieokreślony żal i smutek — to wszystko przyszło w swoim czasie, przyszło i przeminęło, zamarło bezgłośnie zdławione monotonnym gwarem ulicy. Kiedyś w zamierzchłej godzinie pierwszych okrążeń... Zdarzyło mi się również, że oczekując na przejście pod czerwonym światłem jednego z rogów natknąłem się na pewnego zabawnego typu.

— Ile kursów ma pan na swoim koncie? — zapytał na powitanie (poufałość ta dała się usprawiedliwić przez kilkakrotne spotkanie na szlaku).

— Dokładnie nie pamiętam — odpowiedziałem zmieszany.

— A to dobre — zaśmiał się. — Mężczyzna nie potrzebuje tego ukrywać. To nam ujmy nie przynosi.

— Nie sądzę, aby w naszej sytuacji fakt ten świadczył źle o kimkolwiek.

— Z tymi naszymi obrotami — oświadczył mi na zakończenie — to tak zupełnie jak z pestkami słonecznika: spróbujesz jednej, dwu i przepadłeś. Nie możesz się oderwać w żaden sposób, tylko byś żarł je bez końca.

Typ energiczny też stanął na mej drodze. Miał w sobie tyle zapału, tyle żywotności i pasji, że nawet zdołał mi zaimponować.

— Widzi pan tego drania! — zawołał bez żadnych wstępów. —

Czerwone światło, a ten pcha się, pod koła włazi, niczego nie uszanuje...
Ej ty — stój! Daltonista, cholera jasna, ja ci podrygam, w te i na zad
będzie się wahał, śpiąca kaleka! Ja cię obudzę!

I wsunąwszy dwa palce w drżące z irytacji usta gwizdnął ostro raz i drugi.

Mimo woli przypominałem sobie godzinę swych narodzin, drgawki, bóle i lęki czasu poczęcia mego, niepokoje i troski matki mojej, kiedy z jej łona wraz z bólami naszymi wydostałem się na to skrzyżowanie. Gdy on gwizdał, mimo woli przypominałem sobie to wszystkim i coś więcej jeszcze. lecz tylko na moment, bo przecież byłem tylko człowiekiem.

Już po chwili wymacałem w kieszeni gwizdek (na palcach grać nie umiem) i wraz z innymi energicznie gwizdałem, gwizdałem ile tchu w płucach. ile sił w młodej piersi. Nikt mi tego nie zarzuci, że nie gwizdałem, przecież gwizdałem mówię...

Tak upłynęła młodość czterogodzinnej wolności mojej, tak upływał wiek dojrzały. Minuty biegną. światła migają, tłum się wymienia — tylko ja się nie wymieniam, lecz brnę z uporem dalej, ja i kilku innych jeszcze. Lecz już mnie nudzi monotonia losu mego (o. jakże zmiennym jest człowiek: czego chce — nie wie), prymitywizm rozrywki mojej już mnie nie bawi, już na stopach czuję bąble, już — dlaczego? — chcę pytać. — Jakież sens tkwi w tym dwuwymiarowym kwadracie moim? Jakież cel w tym moim uporczywym krążeniu? Jak wybrnąć?! — chcę wołać i wolałbym, gdyby inni przede mną nie wołali, gdybym nie bał się śmieszności. O drwijcie bogowie, którzy wiecie, co teraz należy robić! Co należało zrobić już dawno i czego w ogóle nie należało robić. O kpijcie wszechmogący bogowie, którzy znacie wymiar trzeci.

Już przeczuwam istnienie losu lepszego, już potrafię go nazwać i tym się szczycę — jednak gdzie go szukać — nie wiem, Wszak gdzieś tu blisko zaczął się nieuchwytnie i BYŁ — JEST — BĘDZIE, jak ZAWSZE, nieosiągalny kres mych cierpień, wymarzone szczęście moje.

A któż zdoła uchwycić myśli szybciej niż te przyobleką kształt słów, nim zniekształcą je ciasne wymagania formy? Wyteżam umysł, grzebię w wyobraźni, zaprzęgam do pracy wszystkie znane mi siły, chcę się zmierzyć, chcę pokonać — chcę i bezsilny powracam do światła skrzyżowania mego, umykam tak jak ON umyka.

W wędrówce swej miałem jeszcze kilka niespodzianek. Spotkałem

człowieka, który wzbudził me zaufanie, został moim przyjacielem.

— Wiesz — powiedziałem. — Wiesz, mam cztery godziny wolnego czasu. Marzę o kinie, chciałbym oglądać wystawy. Nikomu innemu tego bym nie powiedział. Ty tylko możesz wysłuchać mych zwierzeń, przed tobą tylko mogę otworzyć swe serce i tobie tylko mogę zaufać.

Innym razem zaczął mnie pewien chłopiec. Miał za sobą tylko cztery okrażenia, a w sobie wielki zapas sił i wiele nadziei.

— Same sobie winne, godne litości niemrawe stwory — powiedział (zawsze słucham z uwagą). — Żalą się, że czas im zbiegł nie wiadomo jak i kiedy, a dzień podobny do dnia przemykał niepostrzeżenie, aż nadeszła nieunikniona starość. Z jej szczytu, gdy spojrzą wstecz, nie widzą poza sobą prawie nic, najwyżej jeden przycięty w kwadrat dzień, dzień, który da się nałożyć na wszystkie pozostałe minione dni. Gnuśni marnotrawcy bezcennych chwil, nieświadome swego bytu istoty, same sobie winne — niech płaczą.

— O tak — odpowiedziałem. — Sami sobie są winni.

A czyż wreszcie narodzi się owo dziś, w którym nie będę szydził z siebie za to, że byłem mniej dojrzały wczoraj? U schyłku sił moich, kiedy obok niewypowiedzianego rozczarowania i zmęczenia odczuwałem również dotkliwy ból w prawej nodze (och to roztargnienie: raz wpadłem na rowerzystę, innym razem potrącił mnie samochód), zetknąłem się z pewnym niechlujem.

— Niech pan sobie wyobrazi taką sytuację — powiedział do mnie i smarknął na wypolerowaną kołami samochodów jezdnię. — Powiedzmy, leży pan u siebie w domu na tapczanie, nie w nocy, lecz w dzień, bez wyraźnej potrzeby, ot tak, dla refleksji... Czy zdarza się panu czasem coś takiego?

— Czasem tak bywa — odpowiedziałem.

— Więc, jak mówię, leży pan na tym tapczanie i przypuśćmy, dłubie pan w nosie... Czy zdarza się panu coś takiego?

— To jest sprawa intymna — odpowiedziałem. Wstydzę się o tym mówić.

— Ach, mniejsza o to. Nie to jest istotne. Dłubie pan czy nie dłubie, ale w każdym razie kiwa pan palcem w bucie. Kiwa pan sobie i myśli o tym i owym. Aż tu naraz, pośród tego kiwania i dłubania rodzi się plan. Najpierw niejasny szkielecik, nie dopieszczony, nie dogładzony

szkielecik, a później wyprasowany i zapięty na ostatni guzik, wypełniony ciałem kompletny plan. I cóż z tym cackiem zrobić? Cóż zrobić? Jasne, wstać i wykonać! Lecz nie. Nie tak prędko. Pan rozkoszuje się swym dzieckiem. Panu wystarczy już sama świadomość, że można, że nie ma przeszkód, a więc tak prawie, jak gdyby już wszystko było zrobione. Myśl wybiega, wyobraźnia łaskocze: prawdziwa rozkosz ten cały plan. Więc pieści pan, wygładza dalej, zapina i odpina ów nieszczęsny ostatni guzik, aż wreszcie, kiedy nie ma już czego się czepiać, zapala pan papierosa. Wypalę i pójdę, myśli pan, wypalę i naprzód, do czynu, śmiało, energicznie!... Papieros pali się szybko, za szybko, już tylko maleńki pecik, ledwie ćmi się, parzy, zgaś!... Trzeba działać. Już czas. Najwyższy czas. Nic nie stoi na przeszkodzie. Piękny plan. Tylko wstać z tego wyra i iść: spełnić ten uroczy plan... Liczę do trzech i już, myśli pan — do trzech sobie policzę i już mnie nie ma... Naprzód! Raz... Dwa... Dwa i pół... Dwa i trzy czwarte... Zaraz, zaraz, jak to było? — myśli pan, to jest zupełnie nieźle wykombinowane, wykalkulowane — to jest Wspaniałe. To się nazywa dalekowzroczny plan. Tylko wstać i iść. Aż dziw, żadnych oporów, żadnych niespodzianek, aż dziw. Przecież to takie proste, myśli pan dalej, a jak sprytnie to sobie ułożyłem — cacko. Więc dalej ochoczo i żwawo! Ale, ale, mruczy pan, jakaś pchła rąbnęła mnie w łopatkę. Jeszcze tylko podrapię się i już, połechcę się odrobinę tam, gdzie bryka sobie pchła. Poskrobie się i już, nowy człowiek, człowiek czynu i błyskotliwy plan. Hop i już, sprężyście i dziarsko! Naprzód! Więc gładzi pan łopatkę i ten swój plan. Czy aby nie ma pęknięć, rys. Tu podszlifuję, tam wygładzę, żeby wszystko pasowało, jak ulał. Obmacuje pan go ze wszystkich stron, ale nie, wszystko gra: żadnej skazy. Tylko wstać i wykonać. Wykonać! Trzy — cztery!... Na miejsca... Gotowi... Hop!... Ładuj... Cel... Pal! Cacko. Tylko z legowiska wstać. Tylko się wygramolić. Heeeej... Hop! Młodzieńczo, żywo, a to bestyjka ten plan, ten planik. W międzyczasie zapada noc. A pan dalej poleruje ową nieszczęsną łopatkę i ów nieszczęsny plan. Sen zaskakuje pana nie wiadomo kiedy i nie wiadomo jak, a nazajutrz, przypuśćmy, że umiera panu babka i nie pan czasu na spełnienie żadnych marzeń. Czy zdarzyło się panu coś takie o?

— Nie — odpowiedziałem — takiej przygody nie miałem jeszcze nigdy.

— Szkoda — powiedział — sądziłem, że nie jestem samotny. —

Rzekł i oddalił się jak wszyscy. Tak jak wszyscy opuszczali mnie na skrzyżowaniu moim.

Wtem głuchy pomruk tłumu dał mi do zrozumienia, że stało się coś niezwykłego. Spojrzałem i zamarłem w bezruchu. Cóż to na Boga, cóż to, czy aby uwierzycie? Nikt nie uwierzy, nikt nie da wiary moim słowom. Kataklizm zawsze przychodzi nagle: dwa światła rozbłysły jednocześnie. Czerwone i zielone płoną jednakowo. O przyjdź śmierci nim każesz wybierać! A któraż barwa ważniejsza, któraż (czemu w szkole nie nauczono mnie tego). O, gdybyż choć jedno paliło się jaśniej! I stać nijako, bo zielone kusi, a iść strach, bo czerwone ostrzega. Widzę szaleństwo zdezorientowanego tłumu. Powszechne wahanie doprowadza mnie do mdłości.

— Coś się zacięło! — wołam w trwodze paniki — coś się zacięło! — I byłbym pewnie tak stał w drgawkach zawsze, jak poprzednio wiecznie byłbym chodził, gdyby od wieczności nie uratowała mnie siła wyższa. Bo wtedy właśnie (zaklinam — wierzcie), gdy uniosłem dłonie do góry i wzywałem nieznaną mocę, opadł mi rękaw z lewej ręki (jakież to wszystko jest śmiesznie proste) i mimo woli spojrzałem na zegarek. Godzina ósma. Oczom nie wierzę, włosy się mi jeżą, blady strach pada na mnie, rozpacz mnie ogarnia. Koniec — myślę. Bledną wszystkie wartości, wszystkie wartości mojego życia nagle bledną. Niemożliwe — myślę. Nie rozumiem, nic nie rozumiem. Jak to się stało? — nie pojmuję. Wytrzeszczam oczy, wpijam się w zegarek, przecieram szkiełko, chucham, przecieram, przecieram, potrząsam. Godzina ósma — nieubłaganie.

— Dlaczego? — wołam. — Przecież zmrok nie zapada o ósmej latem, noc przychodzi znacznie później. — Jak to? — wołam dalej, uporczywie wołam.

— Jak to? Gdzie są marzenia moje? Gdzie są lody moje? Zaczepiam ludzi i — jak to się stało? — pytam, z rozpaczą pytam, ze ściśniętym gardłem zapytuję. Gdzie są cztery godziny moje? Cztery szczęśliwe godziny moje, gdzie są, chcę wiedzieć. Więc monotonicznie pytam, dokąd sił, dokąd tchu w płucach pytam, przecież pytam, właśnie zapytałem — koszmar. Jakiś żebrak przygląda mi się z ciekawością. Podbiegam doń.

— Zamieńmy się na zegarki — proszę. — Mój zegarek śpieszy się kilka godzin, panu to nie sprawi różnicy — mówię — sam nie wiem, co

mówię, w drgawkach strachu mówię. — Mój zegarek ma złote wskazówki, zachwalam; to jest dla pana świetny interes — zachęcam i z obawą czekam na odpowiedź. — Dopłacę dwadzieścia złotych, wszystko co mam, to dam, tylko zamieńmy się na wszystko, za każdą cenę.

— Nie. — Odpowiada. — Pański zegarek jest zużyty. Jego czas już dobiegł. Wyczerpane są jego godziny. — Tak mówi i na dłoni kładzie mi dwadzieścia groszy.

— Nie rozumiem. — Wołam z trwogą. — Przecież jeszcze jestem młody, jeszcze się mi coś należy, to pomyłka, wszak niedawno, zda się przed chwilą, miałem cztery godziny czasu.

— Niech pan reklamuje u policjanta — poradził. — Kradzieże i zguby to sprawa policji.

Biegnę na środek skrzyżowania, z wypiekami na twarzy, z sercem pod gardłem, co sił biegnę, Policjant stoi na podium, zobaczył mnie i zaprasza do siebie. Nie wiem czego chcę, jak zwykle: nie rozumiem. Lecz on nie martwi się o to. Uniósł mnie za pasek do góry i postawił na szczycie podium. Ze szczytu tego jak z wysokości ósmej godziny mojej ujrzałem kwadrat wędrowni minionej, początek i kres dwuwymiarowego skrzyżowania mego.

— Cisza! — zawołał do tłumu i wskazał na mnie ręką. — Oto zwycięzca dzisiejszego konkursu! Rekordzista ten wykonał największą liczbę okrążeń, poprawnych i systematycznych, precyzyjnych i sprawnych okrążeń, zgodnych z zasadami ruchu okrążeń. Niech mi będzie wolno wręczyć mu tę odznakę, w pełni zasłużoną, odznakę wzorowego przechodnia. A teraz oddaję głos zwycięzcy..

— Nie cierpię żadnych odznak — powiedziałem, bez względu na konsekwencje — powiedziałem. — Wolę lody, upragnione lody wolę, wszak już dawno nie jadłem lodów. (O bogowie, którzy znacie doskonalsze radości, nie śmiejcie się z moich marzeń). A jeszcze i to proszę zauważyć, to jeszcze szanowni widzowie proszę uwzględnić, że nie jestem odporny na obroty: wirowanie zawsze doprowadzało mnie do mdłości. A co mam zażyć, jakich mam użyć sposobów, bym z wysokości swej nie splamił waszych ubrań?

— To już nie leży w mojej kompetencji — powiedział policjant i zgarnął mnie z podium.

Awaria na skrzyżowaniu została usunięta.

— Idźcie sobie gdzie chcecie, co chcecie to róbcie — przecież jesteście wolni. Tak właśnie powiedział: przecież jesteście wolni.

Horda[1]

HORDA to połączona więzami rodowymi gromada dzikich ludzi (mężczyzn, kobiet, starców i dzieci), która wzorem pierwotnych plemion przedziera się w przestrzeni wypełnionej zabudowaniami bezludnej cywilizacyjnej dżungli. Zamiast gąszczy drzew ziemię pokrywają architektoniczne cuda wzniesione przez konstruktorów przyszłości. Mieszkańców nie ma, więc nikt nie wie, jak sterować skomplikowanymi urządzeniami. Pokolenia hordy walczą o życie w tajemniczych warunkach. Pustka domów i ulic w zestawieniu ze sprawnością działających wszędzie mechanizmów urbanistycznych tworzy osobliwy klimat dla koczującej gromady. Pytanie „Dlaczego las jest ogromny, groźny i bezludny?” — jak kiedyś dla człowieka urodzonego w dżungli — nie ma sensu.

1.

Urodziłem się na peronie metra, a więc w scenerii niezwyklej dla takich wydarzeń. To może niewiarygodne, lecz od pierwszej chwili, gdy otworzyłem oczy, miałem świadomość istnienia i myślałem o wszystkim przytomnie — jak człowiek dojrzały psychicznie. Od razu stałem się krytycznym obserwatorem wypadków, z czego przecież nie wynika, że czułem się mniej bezradny niż inne dziecko. Bezsilność moja wyszła na jaw zaraz po urodzeniu, kiedy wydałem z siebie donośny skrzek noworodka. Bo miało to być ostre przekleństwo, bezkompromisowe w ocenie odkrytej rzeczywistości i równocześnie bardzo niesprawiedliwe, wprost podłe, ale nawet ono nie było dość mocne do wyrażenia grozy doznanego wstrząsu.

Na marmurowej płycie obok matki leżała też moja maleńka siostrzyczka. Dzięki niej nie musiałem zaglądać do lustra, by mieć pojęcie o własnym wyglądzie. Spuchnięta i sina twarzyczka układała się do płaczu, czym dawała wyraz niezadowolenia z losu. Pośrodku swego brzuszka widziałem kikut przegryzionej pępownicy, a po obu jego stronach — maleńkie nóżki, drżące z zimna nieforemne kończyny, które protestując przeciwko nieludzkim warunkom żałosnymi podrygami kopały powietrze. To był koszmar! Wszystkie siły zmobilizowałem w rozrywającym płuca wrzasku: nie chcę!

Poza nami na peronie nie było nikogo. Nikt też nie wyjrzał przez okno wagonu ani nawet z przedziału motorniczego, kiedy mijał nas pierwszy elektryczny pociąg. W odpowiedzi na mój krzyk usłyszałem pisk hamulców i szum szeregu przesuwanych drzwi drugiej automatycznej jednostki. Podstawiona na miejsce poprzedniej, nim ruszyła dalej, przez kilkanaście sekund trwała w ciszy i bezruchu, jakby zasłuchana w nasze rozpaczliwe głosy. Z okien biła jasność, otwarte wejścia zapraszały do przedziałów, wolne ławki czekały na pasażerów — metro funkcjonowało regularnie, pomimo braku obsługi. Z tunelu oświetlonego tablicami wielkich reklam co kilka minut rozlegał się hałas i na zwolniony tor przy pustym peronie wjeżdżał nowy pociąg. Wagony lśniły czystymi lakierami, ich wahadłowy ruch trwał nieprzerwanie i

najwyraźniej nikomu nie służył.

Chłód peronowej płyty przeniknął mnie już na wskroś, gdy w dali ukazało się kilku zagadkowych ludzi. Najpierw rzucił mi się w oczy osobliwy fakt, że wszyscy byli nadzy, jak moja nieprzytomna matka, która również nie miała na sobie żadnego ubrania. Przybysze zdumiewali też swoim zachowaniem: chociaż z górnego przejścia mogli zjechać po prostu ruchomymi schodami — aby wynieść nas z metra, zeszli na dół po konstrukcji wspierającej reklamy. Ta karkołomna wspinaczka, zwłaszcza przy transporcie matki, wymagała małpiej zręczności i siły, ale widać w przekonaniu nudystów wygodna jazda ruchomymi schodami nie wchodziła w rachubę.

Po wyjściu z podziemia na zalany ostrym światłem chodnik nasi wybawcy skierowali się w stronę pobliskiego placu. Na poziomie jezdni było upalnie. W perspektywie jasnej ulicy stało wiele wysokich gmachów. Patrząc ponad ramieniem niosącego mnie mężczyzny, zaglądałem do mijanych po drodze sklepów. Nigdzie nie widziałem ludzi.

Zobaczyłem ich dopiero pośrodku placu, skupili się tam w licznej gromadzie mężczyzn, kobiet, starców i dzieci. Jedni leżeli na asfalcie w cieniu pobliskiego wieżowca, inni siedzieli na stopniach wysokiego gmachu. Wszyscy byli nadzy i tak bardzo opaleni, czy może raczej brudni, jakby od urodzenia nie używali mydła. Porozumiewali się ruchami rąk pomagając sobie przy tym gardłowymi, urywanymi głosami. Kudłate brody, długie potargane włosy oraz groźne miny i gesty, a często też tępe spojrzenia nadawały im wygląd pierwotnych dzikusów.

Zanim dotarliśmy do ich obozu, kilkunastu takich nagusów wybiegło nam na spotkanie. Dowódca naszej grupy powiedział im coś z ożywieniem, wskazując kilkakrotnie poza siebie w kierunku schodów prowadzących do metra. Na jego polecenie kobiety zaopiekowały się matką, która odzyskała przytomność po wypiciu wody. Ani się spostrzegłem, gdy czyjeś twarde ręce położyły mnie przy niej na rozpalonym chodniku — obok bliźniaczego oseska.

Ci ludzie nie znali litości! Czyżby byli aż tak prymitywni? Ogarnięty przerażeniem, ponownie próbowałem porozumieć się ze swymi opiekunami i zarazem oprawcami, aby im wytłumaczyć, do czego doprowadzi takie traktowanie, lecz zamiast wymówić sensowne zdanie, raz jeszcze zaskrzeczałem głosem rozkapryszonego niemowlaka.

Dopełniło to miary mojego cierpienia w tej pierwszej godzinie życia: najpierw mrożony chłodem marmurowego podziemia, potem torturowany uciskiem zrogowaciałych dłoni, to znowu wystawiony na działanie upalnego wiatru, po czym znów przypalany piekącymi promieniami słońca, obolały i wyczerpany — kiedy tylko poczułem kontakt z piersią matki, natychmiast — jak w ostatniej nadziei ratunku — pogrążyłem się we śnie, mimo że siostra (pewnie też świadoma nikłej szansy przetrwania) nadal darła się wniebogłosy tuż przy moim uchu.

Przez pierwsze tygodnie życia spałem po dwadzieścia trzy godziny na dobę, więc niemal nieustannie, budząc się jedynie w okresach posiłków lub w chwilach szczególnie bolesnych przykrości sprawianych mi przez otoczenie. Siostra przechodziła zapalenie płuc, matka — szkorbut, mnie natomiast najbardziej dolegały skutki słonecznego porażenia. Nastąpił trudny czas adaptacji do surowych, niemal zwierzęcych warunków bytowania.

O każdej porze dnia i nocy dookoła placu panowała cisza, tym groźniejsza dla mnie, że z uwagi na nieustanny ruch automatycznego metra — najzupełniej zagadkowa. Podczas dnia obszerny plac błyszczał w słońcu, które świeciło z nieskazitelnie czystego nieba. Nigdy nie przysłaniały go chmury. Dlatego sylwetki kilkunastu okazałych wieżowców stojących poza terenem o niskiej zabudowie widziałem zawsze ze swego stałego miejsca przy pomniku na tle różnych odcieni lazuru. Od rana do wieczora długie cienie tych budynków, jak ogromne wskazówki słonecznych zegarów, obracały się po okolicy, przy czym dwa z nich wędrowały po nagrzaną płytę placu, łagodząc skutki całodziennego skwaru. Najbardziej upalne były popołudnia, za to nocami temperatura spadała tak nisko, że trudno byłoby wytrzymać bez ubrania pod gołym niebem. Z tego powodu nudyści (tak ich czasami nazywałem w myślach, bez przekonania by żyli nago z wolnego wyboru) noce spędzali przy ognisku. Rozpalali je późnym wieczorem, po czym ciasno skupiali się i drzemali do rana w blasku wysokich płomieni. Widok tej dzikiej, często pijanej gromady, która liczyła około stu dwudziestu osobników, nasuwał myśl o hordzie pierwotnej.

Większość mieszkańców placu, jak gdyby w obawie przed nieznanym mi zagrożeniem, stale przebywała na jego terenie. Widocznie dawał tym ludziom poczucie bezpieczeństwa. Samodzielniejsze dzieci

biegały po nim swobodnie z jednego końca na drugi. Matki zajmowały się tylko najmłodszym potomstwem, nosząc je wszędzie ze sobą — w okolicy ogniska, na rozgrzane słońcem stopnie, to znów gdy było zbyt gorąco, aby ukryć je w cieniu. Starcy spędzali czas w cieniu siedząc na ogół beczynn timer, podczas gdy zdrowi i silni mężczyźni krążyli po ulicach w poszukiwaniu żywności i opału. Nudyści opuszczając plac uzbrajali się prymitywnie w kije najczęściej od szczotek. Ze swych długotrwałych wypraw wracali o zachodzie, niekiedy z pustymi rękoma, ale zwykle obładowani solidnie stolikami i krzesłami, które zaraz łamano lub rozrywano na części, aby nocami rzucać je w ogień. Zaopatrzeniowcy ci przynosili też całe kartony gumy do żucia, kakao i cukier w kostkach, słone orzeszki, soki owocowe i ziarno palonej kawy, sporo czekolady oraz innych słodyczy, ponadto torebki z jakimiś kremami w proszku, od czasu do czasu puszki zgęszczonego mleka, rzadko kiedy mięsne lub rybne konserwy, ale niemal zawsze butelki z różnego rodzaju alkoholem — wszystko to jednak w ilości niedostatecznej do zaspokojenia potrzeb licznej gromady. Asortyment tych dostaw i ich skromna ilość zdawały się wskazywać, że nasi żywiciele omijali spożywcze sklepy i plądrowali tylko małe dworcowe bufety i kawiarnie.

Nocne chłody oraz choroby wywołane chronicznym niedożywieniem razem z pozostałymi trudami tej prymitywnej egzystencji — mimo zdumiewającej, chyba wrodzonej odporności moich rodaków — bardzo im dawały się we znaki, dziesiątkując ich systematycznie, zwłaszcza niemowlęta. Kiedy po kilku dniach zmarła moja siostra, spodziewałem się nieustannie, że i mnie wkrótce spotka jej los, bo oboje zachorowaliśmy równocześnie, ale potem nastąpiły znośniejsze miesiące i choć przecierpiałem wiele niewygód, łagodzonych troskliwie przez matkę w granicach jej skromnych możliwości, przecież nadal utrzymywałem się przy życiu. Stała opieka tej kochanej kobiety przynosiła mi poczucie bezpieczeństwa.

Ojcem moim okazał się ów sprawny fizycznie mężczyzna, który wyniósł nas ze stacji kolei podziemnej — ominąwszy ruchome schody, jakby w obawie przed ich mechanizmem. Nie od razu zauważyłem, że łączy go coś z moją matką, gdyż pojawiał się przy niej sporadycznie. Przeważnie przebywał w mieście — na wyprawach organizowanych przez wodza naszej hordy. Matka natomiast, po swej samotnej i tak

niefortunnej wycieczce do metra, gdzie mnie urodziła, nim zemdląta na peronie, pewnie przestraszona widokiem wjeżdżającego pociągu — bardzo długo nie opuszczała placu.

Rosłem w przekonaniu, że kiedyś — gdy o własnych siłach zdołam wreszcie wyjść do miasta — być może w jednej chwili rozwieją się wszystkie moje wątpliwości. Wierzyłem w taki finał tego okropnie długiego oczekiwania, na razie jednak, dopóki raczkowałem w promieniu ledwie kilku metrów, nie potrafiłem zrozumieć otaczającego mnie świata. Nigdy się specjalnie nie zastanawiałem nad sensem osobliwego trybu wegetacji moich krewnych. Od początku najbardziej pochłaniała mnie zagadka miasta oraz dziwnego nieba, które w dzień stale było lazurowe, w nocy zaś nieodmiennie czarne, bezgwiazdne i bezksiężycowe. Nieba tego pewnie też w nocy nie pokrywały chmury, bo nigdy z niego nie padał deszcz. W okolicy nie dostrzegłem ani jednego ptaka; ponadto intrygujący wydawał się brak jakichkolwiek roślin — drzew, kwiatów czy bodaj źdźbła trawy, nic tu wokoło nie mogło wyrosnąć — na twardej płycie bez skrawka gleby. Plac otaczała komfortowa, wzniesiona w ramach ze stali i zabudowana wieżowcami oraz niskimi pawilonami, miejscami betonowa, ale z reguły marmurowa i szklana — zupełnie martwa pustynia. Niezliczone latarnie, zawieszane nad promenadami wśród krętych wiaduktów, efektowne fasady domów w ulicach długich aż do horyzontu, pokryte mozaikami błyskającymi się cyklicznie, zasobne witryny pod ruchomymi reklamami, świeciły się jasno od zachodu słońca aż po świt.

Cały czas nurtowało mnie pytanie, kto tymi światłami operuje, dla kogo je gasi i zapala, a jeśli nikt — to w jakim celu to dzieje się. Później, kiedy nieco urosłem i mniej spałem, baczniej zacząłem przyglądać się ludziom ze swego otoczenia i zrozumiałem wkrótce, że fałszywie oceniam przyczyny ich zacofania. Istotnie, chociaż nie nosili ubrań, niewiele mieli wspólnego z nudystami. Nie byli bowiem programowymi zwolennikami powrotu do natury czy przebywania nago na świeżym powietrzu dla fizycznej i psychicznej higieny — co zrazu przyjąłem po odrzuceniu przypuszczenia, że coś ich zmuszało do takiego trybu życia. Nie, to byli autentycznie dzicy.

Odkrycia tego dokonałem z niemałym zdumieniem w czasie jednego z posiłków, które zawsze odbywały się wieczorami, natychmiast po

długo oczekiwanym powrocie zaopatrzeniowców i po rozdzieleniu zdobyczy. Tym razem przyniesiono konserwy — w monotonnej diecie, przesyconej nadmiarem słodczy, rarytas rzadki zwłaszcza dla dorosłych. Wygłodzeni członkowie hordy rzucili się na nie z wilczym apetytem. Nie nazwałbym ich „autentycznie dzikimi” tylko dlatego, że jedli, a raczej żarli, po prostu jak mały, gdyż pasowało to do ich manier (demonstrowanych z upodobaniem przy każdej okazji). Kiedy jednak spostrzegłem, jacy byli bezradni przy otwieraniu zwyczajnych puszek (zaopatrzonych przecież w klucze do konserw), jak je piłowali trąc o beton i jak tłukli nimi o ściany, aż do pęknięcia blachy, raz po raz próbując na niej siły swych zębów, zrozumiałem, że ich prymitywizm jest absolutnie szczery. Bo niby dlaczego (a zwłaszcza przed kim?) mieliby udawać idiotów.

Następnym razem, gdy matka znowu miała kłopoty z otwarciem puszki sardynek, dopóty marudziłem podniesionym głosem, aż mi ją podała — w swym przekonaniu do zabawy, mnie zaś chodziło o przeprowadzenie eksperymentu. Miałem już mleczne zęby, ale nadal nie byłem dostatecznie zręczny, podobnie jak przeciętne dziecko w tym wieku. Walczyłem więc z oporem niesprawnych rąk, a szczególnie palców: paraliżowane brakiem koordynacji odmawiały mi posłuszeństwa, w końcu jednak zdołałem założyć klucz na wystający brzeg puszki i obrócić nim kilkakrotnie — aż do powstania małej szczeliny. Tyle wystarczyło, matka domyśliła się reszty i zaskoczona — rzuciwszy mi spojrzenie pełne uznania — sama nawinęła na klucz pozostałą część blaszanej pokrywki zamykającej dostęp do sardynek. Zaintrygowana zwróciła się zaraz do towarzyszy, aby im zademonstrować zastosowanie klucza. Wkrótce wszyscy nauczyli się otwierać konserwy innego typu, dając dowód posiadania nie wykorzystanych zdolności. Autorstwo odkrycia przypisano mojej matce, ona natomiast wskazywała na mnie, przekonana, że doszedłem do niego przypadkiem.

Zatem moi krewni nie byli ideowymi przeciwnikami techniki ani też urodzonymi kretynami, niezdolnymi do korzystania z żadnych jej osiągnięć. Czyżby wegetowali na niskim poziomie po prostu dlatego, że nie znając w ogóle dorobku ludzkiej cywilizacji, nie umieli się nim posługiwać?

Ale kim w takim razie byli i skąd tutaj przyszli? No i co się stało z budowniczymi miasta?

2.

Zaciekawiony zagadkami, niecierpliwiłem się powolnym upływem czasu. Musiałem czekać kilkanaście miesięcy, zanim nieco urosłem i po okresie raczkowania nauczyłem się chodzić, aby samodzielnie szukać odpowiedzi. Aczkolwiek urodziłem się, jak sądzę, obdarzony umysłem o bardzo dużym współczynniku inteligencji, nie mogłem jeszcze wykazać istotnej przewagi nad moimi krewnymi, fizycznie bowiem rozwijałem się zwyczajnie — to znaczy równie wolno jak inne dzieci. Razem z nimi stawiałem pierwsze kroki i wielokrotnie upadałem. Na utrzymaniu równowagi zależało mi najbardziej, ponieważ im wystarczała zabawa przy matkach, podczas gdy ja marzyłem już o zwiedzaniu miasta. Mimo licznych kontuzji zmuszałem się do wstawania z asfaltu po każdym upadku, aż wreszcie bez niczyjej pomocy mogłem przejść dystans około dwustu metrów. Wtedy zaryzykowałem zbadanie okolicy.

Pewnej nocy (szczególnie ciemnej i zimnej) nie zauważony przez nikogo oddaliłem się od ogniska, które ogrzewało gromadę nagich postaci. Ludzie ci najwidoczniej nie cierpieli z powodu braku odzieży, skoro mogli spać w takich warunkach. Poza zwartym kręgiem panował chłód i półmrok, od strony ulic akurat tej nocy docierało tu mało światła. Jasno było dalej — za placem, gdzie blask z witryn sklepowych obejmował partery i chodniki. Niezdarnym krokiem poszedłem w kierunku supermarketu. Być może zaintrygowały mnie cyfry neonowego zegara na jego fasadzie.

Ten duży dom towarowy stał tuż obok i był — jak mi się zdawało — nieźle we wszystko zaopatrzone, zarówno w produkty tekstylne, jak i spożywcze (widziałem je przecież przez wystawowe szyby!), ani razu jednak nie dostrzegłem w nim żadnych ubranych czy też nagich klientów.

Marzyłem o znalezieniu ciepłego okrycia na nagie ciało, a bałem się niebezpieczeństw, które według relacji doświadczonych czaiły się niemal w każdym zakamarku miasta. Od czasu, gdy opanowałem skromny zasób słów języka naszej hordy, matka wielokrotnie ostrzegała mnie przed ukrytymi tam zagrożeniami. Próbowała opisać je różnymi sposobami,

lecz nie pojmowałem, na czym polegały. W rezultacie fantazja podsuwała mi niesamowite obrazy i tym bardziej chciałem się z nimi zapoznać.

Wyloty ulic prowadzących do placu oraz wszystkie jezdnie i chodniki aż po kres błękitu nieba w dzień przy odległym horyzoncie były wciąż tak samo puste jak ciemne okna domów. Wnioskując o całości niesamowitego świata z obrazu jego najbliższej okolicy, musiałem przyjąć, że mieszkańcy miasta tak czy inaczej opuścili je albo — co nie mniej prawdopodobne — doszczętnie w nim wymarli. Została tylko ta bezradna i zdegenerowana gromada. Oczywiście, nie domyślałem się przyczyny wydarzeń; nie pojmowałem również, dlaczego moi krewni przymierali głodem, prażyli się na słońcu albo dygotali z zimna w sytuacji, gdy domy były puste, a półki sklepowe ugięły się pod ciężarem wspaniałych towarów.

Okazało się wkrótce, że sposobu na dokuczający im głód i zimno nie musiałem daleko szukać. Wystarczył krótki spacer. Tuż za rogiem najbliższej ulicy przeszedłem obok szeregu elegancko urządzonych i bardzo dobrze zaopatrzonych sklepów. Chociaż czułem dotkliwie zimno i wpajany mi od urodzenia strach przed opuszczeniem placu, mijałem je powoli, patrząc przez wystawowe szyby i oceniając, czy zawierały coś cennego z punktu widzenia dzikich. Zapewne wiele towarów mogło im się przydać, a wśród nich zwłaszcza żywność i ubrania, nigdzie jednak nie dostrzegłem rozbitej szyby, które — co później sprawdziłem — były wykonane z pancernego szkła.

Ale najdziwniejszy w tej zagadkowej sprawie okazał się fakt, że w zamkach wszystkich drzwi tkwiły klucze. Znajdowałem je w zamkach pod klamkami od strony ulicy dostatecznie nisko, przekręcałem kolejno i drzwi otwierały się bez oporu. Tak dostałem się do sklepu spożywczego i odzieżowego. Ich wnętrza zachowały przyjemne ciepło. Żywność zgromadzona w pierwszym robiła wrażenie świeżej, a garderoba dla dorosłych rozmieszczona na półkach i stojakach drugiego wystarczyłaby do ubrania całej naszej hordy.

Kilka domów dalej napotkałem drzwi bez klucza. Były zamknięte tylko na klamkę i należały do ruiny baru, z którego dzicy wynieśli wszystkie artykuły spożywcze oraz krzesła i stoliki. Wyrwali deski z bufetu i zawieszono nad nim półki — słowem zabrali wszystko, co nadawało się do zjedzenia lub spalania.

A zatem moi krewni potrafili podtrzymywać ogień (przyniesiony pewnie z jakiegoś pożaru); nieobca im też była zagadka klamki. Ale nie odkryli jeszcze tajemnicy klucza! Kolejne potwierdzenie tego wniosku uzyskałem przy zamkniętych na klucz drzwiach supermarketu. W środku był nietknięty. Przyszło mi do głowy, że stworzony tu dla dzikich problem kluczy ma uniemożliwić im demolowanie dużych sklepów. Nie dawało to odpowiedzi na wiele pozostałych pytań.

Nie wziąłem nic z supermarketu. Następnego dnia przyprowadziłem matkę i pokazałem jej, że drzwi są otwarte. Była bardzo zdziwiona. Wydała gardłowy okrzyk wzywając członków hordy. Gdy przybiegli, razem wtargnęliśmy do wnętrza. Byli oszołomieni ogromem bogactwa, piętrzącego się na półkach.

Tu właśnie po raz pierwszy przyczyniłem się do wkroczenia mojej hordy na wyższy stopień cywilizacji. Penetrując w miarę swych skromnych możliwości, wraz z innymi wewnątrz supermarketu, znalazłem się w dziale odzieżowym, który nie wzbudził zainteresowania moich ziomków. Tu sięgnąłem po leżącą na podłodze, zrzuconą ze stojaka męską marynarkę. Okazała się dla mnie za duża, sięgała do podłogi. Najciężej było z rękawami, które z niemałym trudem zawinałem. Penetrując supermarket, matka zwracała jednak uwagę na to, co robię. Stała przede mną zdziwiona. Po chwili sama założyła obszerną męską marynarkę. Ze spodniami były pewne trudności, zanim nakłoniłem ją, aby je założyła. Uzupełniwszy w ten sposób garderobę, przejrzała się w najbliższym lustrze. Oględziny widocznie wypadły pomyślnie, bo na jej okrzyk przybiegło kilkoro nagusów, którzy zrazu zaskoczeni jej wyglądem, wkrótce zaczęli ją naśladować. Od tej pory moja horda była zbiorem ludzi ubranych.

3.

Dopóki potrzebowałem opieki, matka zajmowała się mną troskliwie. Gdy się zmęczyłem, nosiła mnie na plecach, karmiła mlekiem z piersi, pod jej kierunkiem stawiałem pierwsze kroki. Później, gdy już dobrze chodziłem po schodach, abym szybciej stał się samodzielny, nauczyła mnie pić wodę z napotkanych zbiorników, otwierać lodówki i znajdować w nich odpowiedni pokarm. Zanim to nastąpiło, musiałem zapoznać się z rozkładem pustych mieszkań na typowej kondygnacji oraz z lokalizacją różnych zakładów gastronomicznych.

Umiejętność dostrzegania właściwych barów i sklepów spożywczych (właściwych — to znaczy zamkniętych, czyli jeszcze nie naruszonych) miała dużą wartość w świecie pierwotnej walki o przetrwanie: decydowała o losie dzikiego człowieka. Zawartość każdej chłodni, włączanej automatycznie dopiero w momencie pierwszego otwarcia szczelnych drzwiczek, kiedy drobnoustroje razem z powietrzem dostawały się do sterylnej wnętrza, ulegała stopniowemu zamrożeniu, co hamowało proces rozpoczętego rozkładu żywności. Jednak — mimo obniżonej temperatury — po kilku latach lub tym bardziej wiekach nie nadawała się do jedzenia.

Nic nie słyszałem o bakteriach. I nic o nich nie wiedziałem. I w ogóle nie znałem żadnej teorii. Ale zasadzie omijania lodówek raz już otwartych zawdzięczałem dobre zdrowie. Doświadczenia pokoleń potwierdzały słuszność tej prostej reguły, a kto jej nie przestrzegał, ryzykował zatrucie i śmierć albo co najmniej chorobę.

We wczesnym dzieciństwie bardzo potrzebowałem pomocy. Matka rozumiała to doskonale. Pokazała mi więc, gdzie w labiryncie korytarzy, pustych pokoi i kuchni rozmieszczone są łazienki, czym na ulicach rozbijać wystawowe szyby, jeśli nie były pancerne, dokąd prowadzą liczne drzwi, schody i tunele — słowem którędy iść, by bez obawy dotrzeć do źródeł czystej wody i zapasów świeżej żywności. Ostrzegała mnie przy tym przed niebezpieczeństwami czyhającymi na drodze do celu; dzięki niej po raz pierwszy w życiu zwróciłem uwagę na wiele ciekawych zjawisk, jakie zachodziły w naszym naturalnym środowisku.

Horda, w której się urodziłem, należała do niewielkich społeczeństw egzystujących w bezkresie dziewiczej, zbudowanej z betonu, stali, marmuru i szkła, wielopoziomowej konstrukcji. Składała się z kilkudziesięciu ludzi w różnym wieku, połączonych współpracą w nieustannych poszukiwaniach, jak i względami bezpieczeństwa oraz — i to było najważniejsze — bardziej lub mniej ścisłymi więzami rodowymi. Podobnie jak niekiedy spotykane inne gromady, prowadziła koczowniczy tryb życia podyktowany koniecznością zdobywania żywności.

Głównym problemem był dla wszystkich ciągły niedostatek wody. Jej brak zmuszał ludzi do częstych zmian miejsca postoj. Alkohol — owszem: tego nigdzie nie brakowało — ani w małych barach kawowych, ani w restauracjach. Pod ciężarem butelek wypełnionych zagadkowym płynem ugięły się też półki sklepowe. Etykiety o różnych rysunkach przyciągały wzrok jaskrawymi kolorami. Butelki łatwo wchodziły w ręce, ich kształty pasowały do dłoni. Kryły w sobie coś fascynującego: już myśl o tym wywoływała dreszcze i sprawiała, że pod jej wpływem dzieci — w pozorowanych wojnach — ciskały butelkami o ściany. Takim zabawom dorośli przyglądali się z właściwą im obojętnością na wszelkie poruszenie ciała, które nie prowadziło do celu określonego rychłą konsumpcją. Tylko czasami ktoś z nich, mniej od innych ociężały, pochylał się nad kałużą rozlaną wokół szczątków butelki, wachał ją — szeroko rozdymając nozdrza — i prostował się zaraz, jak zwykle z pustką na twarzy.

Odnosiło się mgliste wrażenie, że z istniejącej w przyrodzie wielkiej obfitości całkowicie bezużytecznych cieczy, najczęściej perfum i rozpuszczalników, a potem ze wszystkich pozostałych: od farb i olejów począwszy poprzez szampony do mycia włosów, rzadkie kleje i gęste lekarstwa, aż po płynne środki piorące, kiedyś — w dalekiej przyszłości — w wyniku jakiegoś bardzo złożonego procesu rafineryjnego można będzie otrzymać niezbędną do życia wodę. Do rozpowszechniania tych śmiałych poglądów przyczynił się zwłaszcza Mizenagek, daleki krewny mojej matki. Każdą wolną chwilę na postoj. spędzał on w sklepach z materiałami pisemnymi, gdzie z samozaparciem próbował wytłoczyć wodę z atramentu, filtrując go przez podwójnie złożoną bibułę. Ponieważ jego dzienne uzyski nie wychodziły poza stadium eksperymentu laboratoryjnego, jedynym właściwie źródłem wody do picia pozostawały

muszle klozetowe łazienek, zresztą bardzo komfortowo urządzonych i tak czystych, jak ściany i lśniące posadzki w innych pomieszczeniach mieszkalnych, do których (przed przybyciem pierwszych ludzi) nie mógł wtargnąć ani jeden pyłek.

Standardowej muszli klozetowej przyroda nadała postać wyrafinowanego cokołu. Homo sapiensowi wyprostowanemu przy nim postument ów sięgał zaledwie do kolan, zaś pochylonemu nad lustrem wody w głębokim skłonie porcelanowy kołnierz zakrywał nawet uszy. W owalnym wnętrzu muszli istniały dwa znajdujące się na różnych poziomach zbiorniki. Dno górnego kończyło się progiem w formie lekko wklęsłej półki. Obydwa zbiorniki wypełniała woda i ten właśnie szczegół stał się bodźcem do umysłowego rozwoju człowieka. Zbiornik górny, choć dostatecznie szeroki dla głowy, był równocześnie znacznie płytszy i zawierał mniej wody niż dolny, podobny do małej studzienki, wszelako zbyt wąski do bezpośredniej eksploatacji. Na tej podstawie można było mniemać, iż zbiornikowi górnemu natura nadała kształt obszernej niecki, aby pierwotnego człowieka utrzymać przy życiu. Natomiast kusząca obecność nieosiągalnej wody w zbiorniku numer dwa zmuszała go do intelektualnego wysiłku tak długo, aż po wiekach prób wziął do ręki pierwsze w swych dziejach narzędzie: kubek lub szklankę. Ruch ten miał przełomowe znaczenie w rozwoju działalności ludzkiej: kładąc kres długotrwałej erze bezmyślnego chłęptania, zapoczątkował erę rozumnego czerpania i nadał właściwy kierunek dalszym poszukiwaniom na drodze do odkrycia tajemnicy KRANU.

O rozwiązanie tej tajemnicy moja gromada otarła się w swej historii dwa razy. „Otarła się”, ponieważ dwa razy znajdowała się blisko jej odkrycia i dwukrotnie straciła wielką szansę nawet tego nie podejrzewając. Co gorsza, w obu przypadkach przeoczoną możliwość dokonania cywilizacyjnego skoku okupiono śmiercią człowieka.

Pierwsza szansa wyłoniła się w okresie, kiedy ludzie cierpieli z powodu wyjątkowego niedostatku wody; horda przemierzała poziom zabudowany domami, w których muszle okazały się doskonale suche. Przyczyna tego stanu rzeczy była banalna: zawory pływakowe w rezerwuarach wody nad muszlami odwiedzanych łazienek bardzo szczelnie zamykały jej dopływ — to znaczy działały sprawnie. (Zwykle niewielki nadmiar wody w rezerwuarze, spowodowany nieszczelnością

zaworu, sączył się leniwie przez rurę do muszli, wyrównując ubytek wody wywołany parowaniem.)

Pejzaż suchej okolicy oglądany przez koczowników nie różnił się od obrazu regionów dostatecznie zaopatrzonych w wodę. I tutaj wielopiętrowe wieżowce podpierały wysoki strop o barwie nieba, wypełniając swymi masywami większą część przestrzeni między dwoma kolejnymi poziomami, które wyznaczały granice jednej z wielu gigantycznych kondygnacji. Poszukiwania przebiegały jak w innych stronach: chodziło się od drzwi do drzwi — po linii nakreślonej rozkładem izb badanego lokalu, aby naciskać klamkę za klamką, lecz tylko tam, gdzie to miało sens, bo do dużych sal, jak na przykład do kina, nie warto było zaglądać. Nie znaleziono śladu żadnego obcego człowieka, co nikogo nie dziwiło. W domach panowała cisza. Jak wszędzie mieszkania były puste, a sklepy pełne. Wystawy miały nie uszkodzone szyby. W nocy lśniły blaskiem barwnych reklam, dniem — w powodzi światła padającego z góry. Wszelkiego rodzaju wyroby przemysłowe leżały na półkach w pedantycznym porządku. I jezdnie zachowały pierwotny wygląd: wiły się wokół przystanków metra błyszczącymi czystością pasami lub z wielopoziomowych skrzyżowań biegły w dal — do niezbadanej nieskończoności.

Wszystko trwałoby nadal w śnie niezakłóconej przez nikogo głuszy, gdyby pustki ulic nie naruszyła gromada wyczerpanych ludzi, którzy setkami klatek schodowych — obok czynnych wind — wspinali się mozolnie na wysokie piętra, padając po drodze. Czas potęgował ich pragnienie i świadomość groźnej sytuacji. Dobowy cykl zmian jasności lazurowego stropu odmierzył już czwarty dzień daremnych poszukiwań, kiedy w jednej z tysięcy odwiedzonych łazienek zdarzyło się coś niepokojącego.

Znaleziono tam wodę. Jej widok wywołał zrozumiałe ożywienie: kilka niecierpliwych rąk równocześnie skierowało naczynia do wnętrza muszli, ktoś stracił równowagę i chwycił przypadkiem za łańcuszek zwisający z rezerwuaru. Zdumiewający odgłos, który rozległ się nad głowami zebranych w łazience, ściał wszystkim krew w żyłach i w jednej chwili wypłoszył ich na ulicę. Na górze pozostał tylko jeden mężczyzna. Im dłużej nie wracał, tym bardziej było pewne, że zginął w niezwykle sposób.

Znaleziono go dopiero nad ranem, gdy kilku śmiałków weszło na podejrzanę piętrową, aby wyjaśnić zagadkę. Już przed zamkniętymi drzwiami mieszkania poczuli nieznany zapach. We wnętrzu miał on takie stężenie, że nie można było oddychać. Mężczyzna nie dawał znaku życia. Leżał w kuchni pod otwartym zaworem gazowej rury. Silny podmuch z jej wylotu zwróciłby może uwagę obecnych na źródło przykrego zapachu, gdyby ich zainteresowanie nie skupiło się na łazience. Nie mogli oderwać oczu od dużego strumienia wody płynącej z zaworu nad wypełnioną po brzegi wanną. Szczęśliwym przypadkiem drzwi wejściowe na korytarz tym razem pozostały szeroko otwarte. Zapewniało to dopływ świeżego powietrza.

Przez kilkadziesiąt następných dni nasza gromada przebywała w pobliżu nadzwyczajnego źródła. Wieczni włóczędzy — widząc w nim zapowiedź czasów obfitości — postanowili w jego okolicy pozostać na zawsze. Lecz wkrótce pojawiły się wątpliwości: z jednej strony wszystkich pociągała niewyczerpana ilość wody, z drugiej — odpychała konieczność coraz dalszych wypraw po żywność. Kiedy opróżniono lodówki w promieniu kilkunastu kilometrów od miejsca, gdzie stała cudowna wanna, horda z żalem ruszyła w dalszą drogę. Do takiej decyzji przyczyniło się też podejrzenie, że znaleziona woda ma właściwości szkodliwe dla zdrowia. W czasie postoju przy źródle pewna liczba ludzi cierpiała na bóle głowy. Zdarzały się wymioty. Nikt tych objawów nie kojarzył z obecnością gazu, który nieustannie ulatniał się w kuchni.

Wartki potok płynący ze ściany w łazience przyciągał wzrok jak płomień pierwotnego ogniska. Okoliczności śmierci nie nasunęły nikomu myśli o odkrywcy tajemnicy wodociągowego i gazowego zaworu. Człowiek ten zabrał ją ze sobą do grobu tylko dlatego, że po odkręceniu pierwszego — działając dalej w genialnym olśnieniu — przesunął też dźwignię drugiego. A potem zbyt długo cieszył się skutkami. I to go zgubiło.

Otwarcie zaworu gazowej rury raz jeszcze stało się przyczyną tragicznego wypadku. Tym razem straciła życie moja starsza siostra. Jej śmierć była wynikiem wyjątkowego zbiegu okoliczności: dziewczyna znalazła się obok zagadki syczącego zaworu akurat w momencie, gdy odkryła tajemnicę elektrycznego wyłącznika.

Istotną rolę w wypadku odegrało sztuczne futro — strój

prezentowany przez manekiny na wystawie domu towarowego, do którego wstąpiła na chwilę, aby zmienić ubranie. To futro, szczególnie piękne, ale zbyt ciężkie przy panującym cały dzień upale, zostawiła w jednym z mieszkań, kiedy piła tam wodę. Nie dostrzegając nigdzie żadnego haka, powiesiła je w kuchni na dźwigni zaworu gazu. Przypomniała sobie o futrze w kilka dni później, podczas chłodnej nocy, a ponieważ z placu było znacznie bliżej do mieszkania niż do domu towarowego — wróciła tam po nie.

W zamkniętej kuchni zgromadził się gaz. Krok za progiem zaduch panujący w środku zmusił dziewczynę do natychmiastowej ucieczki. I wybiegłaby stamtąd bez futra i szkód, lecz w nocnej ciemności — błędząc ręką po ścianie w poszukiwaniu drzwi, które zatrzasnęły się o sekundę wcześniej — musnęła przycisk elektrycznego wyłącznika. Kto wie, czy w ułamku następnej sekundy zdążyła zauważyć iskrę między jego stykami? Jeśli tak, mogłaby się zdziwić, że na rozkaz jej palca zalewa wnętrze kuchni jasność znana tylko z wystaw i latarni ulicznych.

W ostatniej chwili życia znalazła klucz do miliardów takich świateł i — jak odkrywca tajemnicy kranu — zabrała go do wieczności.

4.

Odkąd nauczyłem się biegać, większość czasu spędzałem w gronie rówieśników i starszych chłopców. Szybko zauważyłem, że dzieci znacznie bardziej niż dorośli interesowały się zagadkami otaczającego świata. Ilekroć gromada zatrzymywała się na dłużej, chodziłem z kolegami po okolicy.

Chłopcy wspinali się na najwyższe piętra gmachów oraz zwiedzali rozległe partery i piwnice. Często spotykali ruchome schody i biegnące szybciej lub wolniej chodniki. Choć mechanizmy te stanowiły powtarzalny element domów towarowych i stacji metra, zatrzymywali się przy schodach za każdym razem, bo miały w sobie coś niezwykłego. Zdumiewała liczba stopni, które ukazywały się wciąż z jednego końca i ginęły w drugim. Obserwacja nieprzerwanego ciągu metalowych płyt nasuwała myśl o nieskończoności. Inną jej postać przywoływał widok kolejowych torów. Perony stacji metra miały określoną długość, zaś leżące między nimi szyny mierzyły w mroczną dal tuneli — nie wiadomo skąd i dokąd.

Pamiętałem dzień, w którym pierwszy raz zobaczyłem pociąg. Na przystanek metra zaprowadzili mnie dwaj starsi koledzy w powrotnej drodze z magazynu wyrobów metalowych, skąd wynieśli duży zwój drutu.

W walkach prowadzonych pomiędzy hordami ważną rolę odgrywały stalowe włócznie. Robiono je z grubego sprężystego drutu, takiego, jaki chłopcy znaleźli w magazynie. Do obrony czy do ataku najlepsze były odcinki około dwóch metrów. Mężczyzna uzbrojony w włócznie miał przewagę nad napastnikiem, który dysponował tylko nożem lub siekierą: nie pozwalał podejść do siebie, a jeśli przed walką ćwiczył rzuty, mógł zabić przeciwnika ze znacznej odległości. Moi przodkowie zdobyli kiedyś kilka włóczni. Pozostały one w rękach najdzielniejszych wojowników hordy, przy czym wszyscy zazdrościli im groźnej broni. Materiału do jej wyrobu nie brakowało. Ostrze włóczni można było wygładzić, trąc je o szorstki beton, nikt jednak nie wiedział, w jaki sposób dzielić drut na kawałki o pożądanej długości.

Znaleziony drut miał grubość palca, a cały zwój — kształt kręgu o średnicy przewyższającej mój wzrost. Kiedy przechodziliśmy obok schodów prowadzących do metra, jeden z chłopców zauważył, że drut można pociąć kładąc zwój na szyny — pod koła pociągu. Pomysł ten bardzo spodobał się drugiemu, gdyż wiele razy widział, jak koła rozcinały wszystko na swej drodze z wyjątkiem kolejowych torów.

Nie brałem udziału w ich rozmowie. Chociaż nie rozumiałem, co zamierzają zrobić, przeczuwałem niebezpieczeństwo. Wkrótce po zejściu na peron zobaczyłem pierwszy w swym świadomym życiu pociąg. Najpierw przeraził mnie zgrzyt hamulców i widok wagonów, które niespodziewanie wytoczyły się z tunelu na oświetloną stację. W przedziale motorniczym nie było nikogo. Wszystkie drzwi otworzyły się równocześnie. Skamieniałem przed otwartym wejściem do jasnego wnętrza, niezdolny do ucieczki ani do krzyku. Oczekiwałem, że zaraz nastąpi coś strasznego, ale długi szereg okien i drzwi trwał w bezruchu. W podziemiach panowała głęboka cisza. Do wagonów nikt nie wsiadał. Pociąg stał przy peronie zaledwie kilkanaście sekund, ruszył nagle i znikł w tunelu równie szybko, jak się pojawił. Po chwili na sąsiednim torze zatrzymał się drugi — jadący z przeciwnej strony. Również pusty.

Matka mówiła mi o śmierci czyhającej na torach na nieposłuszne dzieci. Dlatego odczuwałem silny zamęt, zrozumiałe dla każdego, kto po raz pierwszy bezpośrednio zetknął się z odwieczną tajemnicą pociągu. Jego obraz zmroził mi krew w żyłach. Mimo to przez następne lata chodziłbym bez lęku po peronach, gdybym nie zobaczył jeszcze jednej sceny, której opisem — po samotnym powrocie do hordy — wywołałem zdumienie najbardziej doświadczonych.

Kiedy drugi pociąg zanurzył się w tunelu, do podziemia znowu wróciła cisza. Koledzy czekali na ten moment. Wiedzieli, że za kilka minut następne pociągi przejadą przez stację. Zeskoczyli na tory razem z przyniesionym drutem. Na szynie położyli go symetrycznie, tak, aby koła przecięły zwój dwukrotnie wzdłuż jego średnicy. Ponieważ kręgi złożone były czterokrotnie, cięcie w dwóch przeciwległych punktach musiało doprowadzić do powstania ośmiu włóczni. Lecz aby drut nie zaplątał się w koła wagonu, trzeba było zwój przykrępować do podkładów toru. W tym celu chłopcy zdjęli z niego część cieńszego drutu, którym był związany.

Zdążyliby wszystko przygotować, mimo że efekt nie był pewny. Ledwie jednak rozplątali kilka skrętów, stalowa spirala wyprostowała się nagle ponad ich głowami. Przez sekundę próbowali ściągnąć ją do dołu, lecz uwolnionym końcem uderzyła w niski strop tunelu. Koniec ten w oślepiającym blasku błyskawicy zwarł się z przewodem trakcji elektrycznej, a ponieważ drugi koniec wyzwolonej sprężyny tkwił nadal w rękach chłopców, mocowali się z nim, stojąc bosy na szynach. Obaj zastygli w pozach, w jakich prąd pod wysokim napięciem zacisnął im dłonie i naprężył roztrzęsione mięśnie — kto wie, może aż do przyjazdu kolejnego pociągu. Tego nie umiałem powiedzieć.

Nurtował mnie problem nieskończoności świata. Przez całe swoje życie szedłem z hordą wiecznie pustymi ulicami miasta, którego granice leżały w nieosiągalnej dali. W mieście tym każda dzielnica przylegała bezpośrednio do sąsiednich: jedna — zwartymi kolumnami domów — przenikała peryferie drugiej, ta z kolei zajmowała miejsce przy następnej, a za nią rozciągała się jeszcze inna i tak dalej we wszystkich kierunkach — jak się zdawało — bez końca.

Rozległy obszar ciasno zabudowanej przestrzeni miał tylko dwie widoczne granice. Były nimi ogromne kopuły dwu kolejnych stopni, między którymi zawierała się cała gigakondygnacja. Granice te to oświetlony z dołu błękitny strop na wysokości sześćdziesiątego piętra, dokąd sięgały wszystkie wieżowce, oraz poziom ich fundamentów pokryty labiryntem chodników i jezdni. Tylko te granice były osiągalne: górna — wysoko nad głową (ludzie dotykali jej niekiedy, wyciągając ręce z okien ostatniego piętra) i dolna — tuż pod nogami. Pozostałe — jeśli w ogóle istniały, ginęły w głębi długich ulic poza odległym horyzontem.

Odnosiłem czasem wrażenie, że tam daleko, gdzie stalowe niebo łączyło się pozornie z betonową ziemią, błękit jest nieco jaśniejszy. Zapatrzony weń próbowałem odgadnąć, jakie obrazy ukrywa niebieska krzywizna. Jej nieśmiały blask — widziany w prześwitach między wieżowcami — dawał ludziom nadzieję lepszego jutra, mobilizując ich do niestrudzonych poszukiwań legendarnej krainy dostatku, we mnie natomiast budził pragnienie poznania niewyobrażalnej krawędzi świata.

W miarę jak rosłem, tajemnica górnej i dolnej granicy oraz bezkres wszystkiego, co istniało dookoła, nasuwała mi coraz więcej niespokojnych myśli. Obok pytania o przestrzenny koniec świata,

intrygowała mnie niepewność, co zakrywają powierzchnie nieba i ziemi.
I choć próbowałem to sobie wyobrazić, byłem w swych domysłach
równie bezradny jak przy kreśleniu wizji nieskończonego miasta.

5.

Aresztowany za rozbicie wystawy i kradzież w sklepie samoobsługowym, gdzie schowałem do torby niewielki zapas żywności, oskarżony o włóczęgostwo i kradzież — podczas nocy spędzonej w towarzystwie oficera dyżurnego — opowiedziałem mu historię swego krótkiego życia, typową dla dziecka wychowanego w hordzie.

Swego ojca prawie nie znałem, więc nie umiałem go dokładnie opisać, natomiast o matce potrafiłem powiedzieć wiele dobrego. Chociaż zajmowała się głównie wychowaniem kolejnych, młodszych dzieci oraz — jak inne kobiety — poszukiwaniem wody i żywności, do czasu, gdy urodziła dwojaczki, poświęcała mi dużo uwagi. Byłem jej jedenastym czy może piętnastym potomkiem — liczbę wszystkich dzieci próbowałem ustalić na palcach, ale nie miałem pewności, ile ich w końcu było: kilkoro zmarło zaraz po urodzeniu, zaś do rachunku poległych lub zaginionych w starszym wieku braci i siostr (choć operowałem też palcami bosych stóp) wciąż wkradały się nowe błędy.

Urodziłem się na peronie metra, gdzie matka schowała się w chwili ataku wrogiej gromady. Oczywiście, ani okresu życia, jakie spędziłem potem noszony przez matkę na plecach, ani — tym bardziej — groźnego dla hordy dnia, w którym przyszedłem na świat — wcale nie pamiętałem. Powiedziałem „oczywiście”, jednak — po krótkim namyśle — wyraziłem zdziwienie, że to wszystko tak szybko wyleciało mi z głowy, zwłaszcza obraz walki, o której mi opowiadano, bo skądinąd miałem wrażenie, jakby te fakty należały do bardzo bliskiej przeszłości. W każdym razie znałem kilka szczegółów ze swego wczesnego dzieciństwa.

Wyglądałem na osiem, może dziewięć lat. I pewnie ich tyle miałem, tak zanotowano w protokole, co potwierdził lekarz z zakładu rehabilitacji, ponieważ w trakcie badania nie potrafiłem swego wieku określić. Ujawniony fakt, że urodziłem się i wychowywałem w Strefie Skażonej — gdzieś głęboko między powierzchnią kuli ziemskiej i jej środkiem, więc w obszarze mniejszego ciężenia grawitacyjnego, bardzo wyraźnie zdeterminował budowę mojego ciała. Chociaż byłem wysoki

jak na swój wiek, miałem cienkie kości i słabe, źle rozwinięte mięśnie, które tutaj tuż pod powierzchnią globu, dokąd dotarłem przypadkiem — nie pozwalały mi długo utrzymać się na nogach. Policjant już wcześniej zwrócił uwagę na mój niedorozwój fizyczny oraz osłabienie; schwytanie i rozbrojenie takiego złodzieja nie sprawiło żadnej trudności.

Byłem dziwacznie ubrany, brudny, wystraszony. Taki dzikus budził zainteresowanie policjantów odwiedzających komisariat; ten i ów bardziej lub mniej przyjaznym tonem próbował wciągnąć mnie do rozmowy. Tematem stała się moja broń, wyśmiewana przez nich butelka po winie, osadzona szyjką na kiju od szczotki i tak rozbita w połowie, by szklane groźne ostrza odstraszały napastników.

Mówiłem archaicznym językiem i nie miałem elementarnego wykształcenia. Nos wycierałem rękawem koszuli. Przewidując różne możliwości, porucznik zaprowadził mnie do służbowej toalety i na wszelki wypadek wskazał muszlę klozetową. W przekonaniu wrażliwego policjanta dyskretny gest precyzyjnie określał jej przeznaczenie. Jednak wkrótce, w przerwie przesłuchania, zobaczył na podłodze pod ścianą podejrzaną kałużę, do której zbadania nie trzeba było ekipy dochodzeniowej ani laboratoryjnej. Zaskoczony odkryciem i tym bardziej wściekły, że przedtem — na widok porcelanowego postumentu — zdawałem się wyrażać zrozumienie, chwycił mnie za ucho i ponownie wszedł ze mną do toalety. Tam — porywczym tonem, a gdy to nie pomogło — wzorowym przykładem bardziej niż ostre słowa wymownym — pouczył mnie, gdzie wiadome sprawy (w epoce lawinowego rozwoju wiedzy o świecie) powinien załatwiać dobrze wychowany człowiek.

Zaczerwieniłem się po uszy. Wywołany zachowaniem mężczyzny przykry obraz zepsucia cywilizowanych ludzi po prostu nie mieścił mi się w głowie. Nie mogłem pojąć, czemu zmuszają mnie do zanieczyszczania jednego z tych cennych źródeł kryształowej wody, w których od niepamiętnych czasów za przykładem licznych pokoleń ja i wszyscy znani mi mieszkańcy Ziemi zawsze gasili pragnienie.

*

Termin „zakład rehabilitacji” usłyszałem po raz pierwszy w komisariacie policji i już następnego dnia (po nocnym przesłuchaniu) dowiedziałem się, co on oznacza.

Rano jego sens sprowadzał się do jednego z piętnastu łóżek na sali zajmowanej przez kalekie i ułomne dzieci, gdzie zostałem ulokowany. W południe wzbogacił swoją treść o hałaśliwą jadalnię i zatłoczony pokój telewizyjny. Kilka dni później znaczenie tego terminu uzupełnił widok sali gimnastycznej z przyrządami do ćwiczeń dla inwalidów, a po miesiącu, kiedy zszedłem przed gmach — o obraz boiska pod murem zakładu.

Wiek chłopców, z którymi dzieliłem sypialnię, wahał się w granicach od kilku do kilkunastu lat. Prawie wszyscy spędzali tu okres rekonwalescencji po leczeniu szpitalnym i chociaż byłem wśród nich jedynym całkowicie zdrowym człowiekiem, wyróżniałem się wyjątkową słabością organizmu. Mimo cielesnych defektów, niekiedy bardzo poważnych, z jakimi żyli od urodzenia lub od wypadku zakończonego operacją, przewyższali mnie siłą i wytrzymałością. Patrzyłem na nich z podziwem, nie rozumiejąc, dlaczego chore dziecko lub chłopiec chodzący o kulach potrafi dłużej niż ja utrzymać się na nogach, stać swobodnie z dala od ściany i bez niczyjej pomocy przebiec niewielką odległość. Dla mnie — dopóki czułem ból w nadwerężonych mięśniach — przez wiele dni było to nieosiągalne.

Dawniej chodziłem lekko i biegałem bez większej trudności, nie miałem też kłopotu z dźwiganiem odpowiednich dla mojego wieku ciężarów. W nowych warunkach nie mogłem podnieść nawet krzesła, przesunąć łóżka czy stołu obciążonego talerzami. Ułomni koledzy, wcale nie przygnębieni kalectwem i przekonani o bezwzględnej wartości uzyskiwanych tu przewag, z dziecinnym optymizmem rywalizując między sobą, codziennie okazywali mi swe lekceważenie. Na sali gimnastycznej nie dorównywałem im w najprostszych ćwiczeniach: męczyłem się szybko, często upadałem, wszędzie byłem ostatni i zawsze przeżywałem jakieś niezrozumiałe dla nich problemy.

Wśród rówieśników nie spotkałem nikogo, kto by mi wyjaśnił, dlaczego nagle stałem się taki słaby. Pamiętałem, że nastąpiło to, zanim mnie aresztowano, dokładnie w chwili, gdy po długim śnie wyszedłem na korytarz z windy dalekiego zasięgu. Wcześniej, jeszcze przed wejściem do tego szybkobieżnego dźwigu, zatrzymałem się w korytarzu i osadziłem rozbitą butelkę na kiju, wspierając jego koniec o jeden z przycisków wystających ze ściany. Wtedy usłyszałem szmer drzwi, które

rozsunęły się tuż przy mnie. Windę zobaczyłem po raz pierwszy w życiu. Ponieważ przechodziłem tamtędy w poszukiwaniu legowiska, zainteresowałem się miękkimi ławami umieszczonymi w głębi niewielkiego wnętrza. W kabinie działała klimatyzacja. Jej drzwi zasunęły się za mną, ledwie ułożyłem się do snu, a potem kiedy się obudziłem, wypoczęty i zdrowy — wyjście było otwarte.

Chociaż czułem się bardzo dobrze, nie miałem siły podnieść się na nogi. Z windy wyszedłem z wielkim trudem. Zdziwiła mnie zmiana w wyglądzie korytarza, bo zapamiętałem otoczenie wejścia do windy. Ale jeszcze bardziej przestraszyłem się z powodu niemocy odczuwanej w mięśniach.

Odtąd nieustannie zataczałem się pod ciężarem swego ciała, którego waga wzrosła kilkakrotnie. Wkrótce zauważyłem, że nie tylko własne ciało, ale również wszystkie inne, dobrze znane mi przedmioty mają tutaj większy ciężar. Ponadto — i fakt ten był główną przyczyną licznych drwin ze strony kolegów — zwracałem na siebie uwagę nienormalną powolnością reakcji przy chwytaniu spadających przedmiotów. Dotąd zawsze, nawet już nad podłogą, potrafiłem dogonić w locie każdy przedmiot wypuszczony z ręki. Teraz byłem bezradny w podobnych sytuacjach, gdyż wszystko tu spadało z niewiarygodną prędkością.

Efekty tego dziwnego stanu rzeczy szczególnie ostro ujawniały się podczas gry w piłkę: próbowałem chwycić ją lub kopać w niewłaściwym momencie, gdy znajdowała się już w innym miejscu. Daremne chwytanie lub kopanie powietrza wywoływało złośliwe komentarze bądź salwy śmiechu w kręgu lepiej grających kolegów.

O przyczynę zmiany ciężaru zapytałem lekarza już w czasie pierwszego badania w izbie przyjęć nowych rekonwalescentów. Potem poruszyłem ten temat przy okazji kolejnego spotkania z wychowawcą grupy. Lekarz i pedagog mieli dobre intencje, ale ich wyjaśnienia wcale mnie nie uspokoiły. Używali równie niezrozumiałych terminów, jak w codziennej praktyce terapeutycznej i dydaktycznej.

Kilka ważnych informacji uzyskałem dopiero po trzech miesiącach pobytu w ośrodku od starszego od siebie inwalidy z sąsiedniej sali. Chłopiec ten wyjaśnił, że gmach zakładu rehabilitacji znajduje się na szesnastej kondygnacji, a ja pochodzę ze Strefy Skazonej, która znajduje się w pobliżu środka planety. I to jest powodem, że jesteś taki, jaki jesteś

— powiedział.

Wiodłem w zakładzie życie według schematu ustalonego tygodniowym planem zajęć. Wypełniała je nauka języka, sen i posiłki, wyczerpujące ćwiczenia gimnastyczne oraz godziny wytchnienia spędzane w sali automatycznych gier lub przed telewizorem.

Początkowo możliwość sterowania strumieniem wody nad umywalką czy światłami w pokojach zdumiewała mnie w równym stopniu, jak ruchome obrazy na szklanym ekranie i głosy utrwalone na płycie czy taśmie. Kręciłem więc zaworami, naciskałem włączniki, zmieniałem kanały i taśmy, pełen podziwu dla odkryć dokonanych przez cywilizowanych ludzi. Wkrótce jednak — naturalnym porządkiem rzeczy — zabawy te straciły dla mnie pierwotny urok. Pozostało po nich uczucie niedosytu, uspięne w głębi świadomości, a na pierwszy plan wyszła niechęć do jednostajnych dni, które linijka po linijce składały się w ramki rozkładu zajęć realizowanego przez personel. Monotonia tego życia, cykliczna powtarzalność i pustka zdań głoszonych z telewizyjnego ekranu, obok sprzeciwu dla terażniejszości budziła we mnie pragnienie otwartej przestrzeni i swobody działania.

Najbardziej męczyła mnie niepewność dalszych losów. Nikt nie potrafił lub nie chciał odpowiedzieć na moje pytania, a było ich wiele. Pewnego dnia do zakładu powrócił z urlopu młody instruktor rehabilitacji i szybko zyskał moją sympatię. Był inny niż reszta, bardziej ludzki. Zauważyłem, że zwrócił na mnie szczególną uwagę, zajmował się częściej mną niż innymi chłopcami. Opowiedziałem mu swoją historię.

Kiwnął ze zrozumieniem głową i powiedział:

— Nie przejmuj się, mały, zrobimy z ciebie zdrowego chłopaka, ale musisz być cierpliwy. Przede wszystkim musisz dużo ćwiczyć.

— Jak długo? — spytałem.

— Sądzę, że ze dwa lata — odpowiedział.

— Ile to jest dwa lata? — spytałem, bo nic mi ten termin nie mówił. Spojrzał na mnie ostro, jakby podejrzewał, że z niego żartuję, ale po chwili uśmiechnął się.

— No tak — powiedział. — Zapomniałem, że pochodzisz ze Strefy Skazonej. Zapomniałem, że wychowałeś się w jednej z koczujących tam hord i że wobec tych faktów, nic nie wiesz i niewiele rozumiesz, bo jesteś po prostu dziki.

— Nie chcę być dziki! — krzyknąłem. — Pytałem chłopców, instruktorów, lekarzy, ale nikt nie chce ze mną rozmawiać.

— Dobrze — przerwał mi. — Przyjdź tutaj wieczorem po zajęciach, odpowiem na wszystkie twoje pytania.

Gdy spotkaliśmy się wieczorem w umówionym miejscu, kazał mi usiąść i wyprzedzając moje pytania powiedział:

— Najpierw opowiem ci o tym, gdzie jesteśmy, o miejscu, w którym żyjemy i jak do tego doszło. To pozwoli ci wiele zrozumieć, a potem będziesz pytał.

Skinąłem głową na zgodę.

— Mieszkamy i żyjemy na szesnastej gigakondygnacji aglomeracyjnej planety zwanej Ziemią. Numery tych wielkich stopni aglomeracyjnych rosną w dół począwszy od pierwszego — tuż pod powierzchnią planety, w kierunku jej środka. Tak więc od powierzchni Ziemi dzieli nas odległość zaledwie piętnastu gigakondygnacji, ale gdybyśmy chcieli zjechać w dół, w kierunku środka Ziemi, to pod nami jest ponad trzy tysiące takich gigakondygnacji, przy czym każda z nich ma sześćdziesiąt pięter. Jest to jedno z większych ziemskich miast. Kiedyś było inaczej. Miast nie budowano w głębi Ziemi, ale na jej powierzchni. Opowiem ci, jak do tego doszło.

— Gdzieś w połowie dwudziestego wieku ludzie wynaleźli straszną broń — bombę atomową. Była to tak potworna broń, że jedna bomba wystarczyła, aby zniszczyć całe miasto. Ziemia była wtedy podzielona na dwa wrogie mocarstwa — Wschód i Zachód. Obydwie strony zbroiły się w bomby atomowe i rakiety, które je przenosiły. Wyścig zbrojeń nie miał końca. Ludzi ogarnął strach przed zagładą. Najpierw rządy, wojsko i bardziej zamożni ludzie zaczęli budować podziemne schrony, w których można było przeżyć atak atomowy. Ale byli to nieliczni, reszcie ludności groziła totalna zagłada. Narastała fala atomowej hysterii, zaczęły się bunty, ba, prawie rewolucje. Pod naciskiem żądań ludności, które brzmiały — „Schron dla każdego”, zaczęto budować miasta w głąb Ziemi. Gdy wybuchła wojna atomowa, zniszczono w osiemdziesięciu procentach powierzchnię planety, ale nie zniszczono podziemnych miast. Aby zniszczyć ludzi zamieszkujących podziemne miasta, wrogie mocarstwa znalazły inny sposób. Broń bakteriologiczną.

Wyhodowano w tajnych laboratoriach bakterie i wirusy powodujące

epidemie szybko uśmiercających chorób, na które nie było lekarstw. Dywersanci wrzucali je do zbiorników wody, do żywności lub do systemów wentylacyjnych aglomeracji miejskich. Wybuchły epidemie, które szybko zabijały miliony ludzi. Nie było ratunku. Poszczególne kondygnacje, na których wybuchły epidemie odcinano od pozostałych. Obowiązywał system całkowitej izolacji. Trupy, a nawet zarażonych, spalano w piecach anihilacyjnych. Epidemie, które wybuchły gdzieś w środku miasta, objęły kolejno prawie wszystkie aglomeracje w dół i w górę. Doszły już do szesnastej kondygnacji i tu się zatrzymały, bo w końcu zawarto pokój. Wszystkie kondygnacje poniżej szesnastej są do dzisiaj uważane za Strefę Skażoną, w dalszym ciągu obowiązuje ich izolacja. Nieliczni ludzie, którzy przeżyli epidemie, obecnie w piątym lub szóstym pokoleniu tworzą dzikie hordy, z których ty się wywodzisz.

— Czy poza mną ktoś się stamtąd wydostał? — spytałem.

— Tak, jesteś szóstym przypadkiem w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Rozmawialiśmy długo — miałem wiele pytań. Nie wszystko, o czym mówił, było dla mnie zrozumiałe, ale on cierpliwie wyjaśniał. Na końcu naszej rozmowy zapytałem go, jakie będą moje losy, co zamierzają ze mną zrobić.

— Gdy wzmocnią się twoje mięśnie i kości — odpowiedział — co, jak sądzę, potrwa około dwu lat, zostaniesz przeniesiony na powierzchnię Ziemi do Rezerwatu Przyrody. Tam zostaniesz powierzony jakiejś rodzinie, która będzie się tobą opiekować. Jak ci już mówiłem, osiemdziesiąt procent powierzchni Ziemi zostało zniszczone w wojnie atomowej. Pozostałe dwadzieścia procent jest obecnie wykorzystane jako Rezerwat Przyrody. Nie ma tam miast, są wioski, przeważnie o zabudowie drewnianej. Ludzie uprawiają tam glebę, żyją na poziomie techniki i cywilizacji połowy dwudziestego wieku. Uważamy, że ty jako dziki miałbyś duże trudności z adaptacją do poziomu techniczno-cywilizacyjnego, jaki jest obecnie w mieście. Tam będzie ci łatwiej się przystosować.

6.

Od kilku miesięcy mieszkałem w Rezerwacie przyrody na powierzchni Ziemi. Przygarnęła mnie na wychowanie rodzina Rozentów, oczywiście władze pokrywały wydatki związane z moim utrzymaniem.

Wizyta pana Consmana wywarła na wszystkich duże wrażenie: od razu wyczułem, że mnie ona dotyczy, nie spuszczałem oczu z niezwykle gościa, Tomasz, by lepiej słyszeć, o czym będzie mowa, uchylił drzwi sąsiedniej izby, gdzie go wypłoszyło ujadanie psa i kroki przed domem, zaś pani Rozent bardziej niż inni przejęta, upuściła garnek na rozpalony blat kuchni. I nawet jej mąż, po zwykłym komentarzu: „A to nieprawda!”, którym gniewnie skomentował ostatnie zdanie spikera, na widok wchodzącego kierownika szkoły zmienił się na twarzy, natychmiast uciszył rozgadany głośnik i z bardzo uprzejmą miną wstał od telewizora.

Gospodarz przyjął pana Consmana serdecznym uśmiechem, gościnnie wskazując mu ciepłe miejsce przy kuchni. Niestety, kierownik szkoły nie dał się zaprosić na kolację ani nawet nie był łaskaw usiąść na chwilę za stołem. Spieszył się w sprawie urzędowej. Czy to z powodu znacznej odległości od wioski i późnej pory, czy też może uprzedzony plotkami, ograniczył czas wizyty do niezbędnego minimum.

Najpierw zapytał o moje nazwisko, a kiedy gospodarz przypomniał, że pochodzę ze Strefy Skazonej, zainteresował się moim wiekiem.

Pan Rosent wzruszył ramionami i rozłożył ręce gestem bezradności.

— Nie wiemy dokładnie. Właśnie dlatego pozostaje w domu. Zresztą chłopiec zna już alfabet i nawet umie porachować krowy...

— Mam dziesięć lat — odezwałem się.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Niecodzienny fakt, niepytany przez nikogo zabrałem głos w rozmowie dorosłych.

— Jeśli tak jest, to tym lepiej — powiedział pan Consman. — Bo skoro czyta już i liczy, to pójdzie od razu do trzeciej klasy.

— A czy ja mu tego kiedykolwiek broniłem? — zapytał pan Rozent, wzywając sufit na świadka.

Sprawa była załatwiona. Kierownik szkoły schował swój notes i po

wymianie chłodnych ukłonów zwrócił się do wyjścia. Gospodarz ruszył za nim na przesadnie sztywnych nogach.

— Muszę jeszcze coś panu powiedzieć — szepnął do gościa w otwartych drzwiach sieni. Wyszli za próg, gdzie pan Rozent kilkoma spazmatycznymi jękami ujawnił, ile bolesnego wysiłku kosztuje go ta krótka wycieczka. — Moja krzywda nikogo nie obchodzi — rzekł — bo każdy, kto ma zdrowe nogi, sam sobie radzi bez pastucha.

W tej chwili pies — przyczajony za kieratem — wystrzelił ku obcemu na całą długość łańcucha.

— I ja wam, gospodarzu, coś powiem... — Pan Consman poczekał cierpliwie, aż wściekły ryk kundla mroźne powietrze zdławi do niskiego skowytu. — Nauka w szkole powszechnej jest obowiązkowa. Więc jeśli jutro... za kwadrans ósma wasz chłopak nie zamelduje się w mojej kancelarii, będziecie mieli do czynienia z wójtem.

Od pewnego czasu szkoła zajmowała w mojej świadomości centralne miejsce. Graniczący z kultem podziw dla nauki otaczałem uczuciem wytrwałej nadziei. W moim przekonaniu szkoła mogła mnie wyprowadzić z pułapki, do jakiej losy wciągały każdego dzikiego. Widziałem w niej kres swej niepewności. Nie wyobrażałem sobie instytucji bardziej wzniosłej i godnej zaufania. Chociaż nigdy nie ośmieliłem się zajrzeć do jej wnętrza, miałem głęboką pewność, że jest ona tym, czego brakowało mi w zagrodzie: kluczem do wszelkich tajemnic, drogowskazem na rozstaju barwnych dróg i gwarancją niezwykłego jutra, pasjonującą przygodą, ale też ostoją duchowej równowagi i siły, razem — bramą do cywilizowanego świata. Ile razy o niej myślałem, ogarniało mnie też zdziwienie obojętnością innych dzieci, ponieważ w uwagach starszych uczniów wypowiedzianych na jej temat — nie mogłem się doszukać żadnego entuzjazmu.

Zaledwie kierownik szkoły zniknął w zasypanej śniegiem dolinie, gdy w chałupie Rozentów rozgorzała nerwowa krzątanina. Rozpocząłem przygotowania do nauki. Pani Rozent asystowała mi w poszukiwaniach tornistra. Uważała, że chłopiec nie powiniem iść na pierwszą lekcję bez odpowiedniego ekwipunku. Jak by to wyglądało? Trzeba było przystawić drabinę do kłapy prowadzącej na poddasze, gdzie od lat w stosie innych gratów pod grubą warstwą kurzu poniewierał się piórnik i kałamarz jej brata, Tomasza. Tam też wkrótce znaleziono stare książki. Aby nadać im

świeży wygląd, gospodyni starannie obłożyła je w nową gazetę. Co prawda, książki nie były już w najlepszym stanie, czemu nikt się nie dziwił, bo Tomasz chodził do trzeciej klasy przed dwunastu laty, jednak co by ludzie powiedzieli, gdyby nowy uczeń — idąc przez wieś — dzwonił kałamarzem o piórnik w pustym tornistrze.

Po skończeniu pakowania Tomasz zniósł ze strychu jeszcze jeden szkolny przybór z dawnych czasów: specjalną maść sprządzoną według recepty swego doświadczonego kolegi, kiedyś ostatniego nieuka, a dziś cenionego farmaceuty. Zademonstrował mi, jak posmarować nią ręce, aby linijka nauczycielki pękła na dłoni tępego ucznia już przy pierwszym ciosie.

Pani Rozent przysłuchiwała się naszej rozmowie z nie ukrywaną troską. Kiedy uznała za stosowne wspomnieć, że pełnym bezpieczeństwem mógł cieszyć się tylko uczeń posłuszny i pilny, Tomasz mrugnął porozumiewawczo, wyprowadził mnie z kuchni, wytarł tłuste ręce w starą marynarkę i po rozdarciu podszewki wyrwał z jej ramion dwie miękkie poduszki. Jego zdaniem ochraniacze te stale należało nosić na kolanach pod spodniami, co podczas odbywania zwykłej kary wielogodzinnego klęczenia na grochu przynosiło skazanemu znaczną ulgę w męczarniach. Podobno woreczek z grochem leżał w jednym kącie lekcyjnej izby i z reguły okupowany był przez ten typ śmierdzących leni, którzy bali się bólu fizycznego, natomiast w drugim jej rogu, tuż obok tablicy, stała ośła ławka — narzędzie wyszukanych tortur dla wrażliwych na cierpienia psychiczne.

Zainteresowała mnie sytuacja ucznia tak haniebnie odosobnionego w miejscu wstydlivej ekspozycji. Zapytany o bliższe szczegóły Tomasz chciał uprzejmie rozwinąć ciekawy dla mnie temat, ale — dostrzegłszy niezdrowe wypieki na moich policzkach — postanowił zakończyć sprawozdanie z tajemnic szkoły optymistycznym akcentem. Zaraz przyszedł mu do głowy właśnie ów kierownik, na pierwszy rzut oka oschły urzędnik i belfer, a faktycznie człowiek wyrozumiały dla wszystkich matołów, więc w ścisłym tego słowa znaczeniu — dobry.

Otóż — dla kontrastu z chaotycznymi nauczycielkami, które bez ładu ni składu chłastały linijkami tego ucznia bądź innego, to za grzanie rąk przy piecu podczas pauzy, to znów z powodu niedociągnięć w kaligrafii wywołanych mrozem, raz za brak logicznego myślenia, kiedy

indziej za nadmiar — systematyczny kierownik karcit wyłącznie krnąbrnych indywidualistów. Kazał im kłaść się na taborecie siedzeniem do góry i przed frontem całej klasy łał miarowo gumowym sznurem od żelazka.

Wieczorem ustalono, że (ze względu na długi marsz po głębokim śniegu) muszę wstać nieco wcześniej niż zwykle i wyjść z domu o siódmej. Gospodyni obiecała zaprowadzić mnie do kancelarii. Zasnąłem dopiero nad ranem.

Przez całą noc próbowałem wyobrazić sobie wnętrze szkolnej klasy. Domyśliłem się bez trudu, jakiego rodzaju uczucia przeżywał ten śmierdzący leń, skierowany przez chaotyczną nauczycielkę do klęczenia na grochu, oraz ów krnąbrny indywidualista, ćwiczony miarowymi razami pana Consmana, który — jako człowiek sprawiedliwy — tolerował wszystko z wyjątkiem ludzi samodzielnych. Lecz porównanie przykrego położenia tamtych dwóch uczniów z tragicznym losem lokatora oślej ławki obudziło we mnie poważne wątpliwości. Dlatego przez kilka godzin bezsennej nocy nie mogłem się zdecydować, czego bardziej się bałem i — co za tym idzie — jaką w szkole przyjąć taktykę obronną: czy lepiej ujawnić tam wrażliwość duchową, czy fizyczną.

Wieś leżała na dnie płytkiej doliny, w odległości trzech kilometrów od gospodarstwa Rozentów.

W drodze do szkoły pani Rozent raz po raz rzucała ku mnie spojrzenie pełne głębokiej troski. Gdy zsunąłem się ze ścieżki do pokrytego zaspą dołu, pochyliła się nade mną i wycierając mi nos własną chustką, pocieszała mnie smutnym uśmiechem. Powiedziała, żebym podczas lekcji nie bał się nikogo, bo profesorowie są dobrzy dla grzecznych chłopczyków i dziewczynek. Posłusznym dzieciom szkoła nie robi nic złego. Obowiązują tam jednak przepisy specjalnego regulaminu, więc w nagłym wypadku, gdybym musiał opuścić klasę w wiadomej potrzebie, zamiast wiercić się na siedzeniu lub nonszalancko — jak Tomasz — wyjść ze słowami „spadam do wychodka”, co tylko w chałupie uchodziło płazem, powinienem w milczeniu podnieść do góry jeden wskazujący palec.

Przełknąłem łzy napływające mi do gardła i otworzyłem usta ze szczerym zdumieniem.

— Palec?

— Tak, chłopcze. Ale tylko jeden. O... ten!

I pani Rozent, pomagając sobie lewą ręką przy układaniu niesfornych palców prawej dłoni, zwinęła cztery z nich w nienaganną trąbkę, po czym wzorowym ruchem uniosła wyprostowany palec nad głowę — tak wysoko i sugestywnie, jakby wskazywała gwiazdy.

Nie dowierzałem własnym oczom. Z głębokości swej zaspę patrzyłem w stronę dalekiego nieba, gdzie w różowym blasku jutrzeńki lśnił szczyt palca pani gospodyni. Na tle gasnących gwiazd wyglądała jak pomnik. Wyobraziłem sobie zaraz, że tę monumentalną postawę będę musiał przyjąć wkrótce gdzieś pośrodku obcej klasy między nieznanymi ludźmi, gdyby mnie tam przypadkiem przycisnęła wiadoma potrzeba.

Na tę myśl zaczerwieniłem się po same uszy. Nic nie odpowiedziałem, ale miałem już pewność, że choćby mnie skazali na rok oślej ławki, tak absurdalnego punktu w szkolnym regulaminie nigdy nie będę przestrzegał.

Pana Consmana nie było w kancelarii. Obecna w pokoju nauczycielskim pani Pelfing poinformowała nas uprzejmie, że kierownik opuścił szkołę w sprawie urzędowej. Kiedy wróci? Może po południu. Nie ma jednak powodu do zmartwienia, gdyż przed wyjściem powierzył jej opiekę nad nowym uczniem.

Spojrzała na zegarek. Teraz nie może mi poświęcić więcej niż kilka minut. Dzień pracy rozpoczynała dziś od lekcji matematyki w trzeciej klasie, gdzie zostałem skierowany przez jej przełożonego.

Miałem głupią minę. Wychodząc, zapytała mnie o pierwiastek kwadratowy z dziewięciu, a kiedy zbaraniałem, nagłona pośpiechem wyprowadziła nas z ciasnej klatki do mrocznego korytarza.

Po zamazanej błotem podłodze ślizgało się kilkunastu uczniów. Pani Pelfing, choć już niemłoda i otyła, lawirowała między nimi tak zręcznie jakby na nartach omijała przeszkody slalomu.

— Dwie krowy dodać sześć krów — rzuciła za siebie spoza ostatniej „tyczki”.

Wiedziałem!

Weszła do kancelarii po dziennik. Potem otworzyła podrapane drzwi i szybko zbiegła do dyżurki woźnego. Zwróciła mi uwagę na przykry fakt, że w pokoju nauczycielskim jest zimno jak w psiej budzie, zaś w czwartej klasie czuć dym ulatniający się z pieca.

Dreptaliśmy tak za nią to w jedną, to znów w przeciwną stronę — aż nagle rozległ się dzwonek na pierwszą lekcję. Panią Rozent przestraszył ten brutalny sygnał: chciała tu komuś powiedzieć coś bliższego o chłopcu, który został jej powierzony na wychowanie, ale teraz — po dzwonku, nie miała odwagi. Prowadzona przed szeregiem trzaskających drzwi doszła do wniosku, że zatrzymując panią Pelfing, choćby tylko w celu streszczenia mej krótkiej historii, wybrałaby moment szczególnie niefortunny.

Tymczasem ja miałem inne problemy. Myślałem gorączkowo o przyczynie zagadkowej wycieczki pana Consmana. Cóż to znaczyło „sprawa urzędowa”? Niewątpliwie, coś tak ważnego musiało mieć związek z regulaminem szkolnym, a ponieważ w sprawie jego przestrzegania surowy kierownik nie darował nikomu, więc z całą pewnością — przewidując już opór nowego ucznia w drażliwej kwestii podnoszenia palca — aby go poskromić, wyszedł po świeży groch i nowy sznur do żelazka.

Przez brudne i nieszczelne ściany ze wszystkich stron słychać było hałas przygotowań do pierwszej lekcji. Ponaglona dzwonkiem młodzież zajmowała miejsca w popękanych ławkach, równie starych jak cały budynek szkolny. Nauczycielka wprowadziła mnie do jednej z tych zagraconych izb i ruchem ręki skierowała do tablicy, gdzie pod wpływem złowrogiej ciszy, jaka natychmiast zapadła w klasie, zmieniłem się w słup rozpaczy.

Pani Rozent zrozumiała, że w tej chwili ważą się szkolne losy jej wychowanka. Pozostała jednak w pustym korytarzu, skąd wzrokiem posłała mi wezwanie do zachowania dzielności. Drzwi — otworzone przeciągiem — trzasnęły po raz ostatni. Gospodyni przyłożyła do nich ucho i zamarła z zapartym tchem.

W tej pozycji stała kilkanaście minut. Sama nie wiedziała, na co czeka: na jęk? na wrzask? Odeszła dopiero wtedy, gdy w drugim końcu korytarza ukazał się woźny. Obserwował ją podejrzliwie. Nic nie powiedział, ale źle mu patrzyło z oczu.

Wyszła na drogę w kierunku sklepu za mostem i wróciła do szkoły z zeszytami dla mnie. Trafiła akurat na koniec pierwszej przerwy, kiedy uczniowie ponownie zniknęli za drzwiami swych klas.

Pani Pelfing śpieszyła się na drugą lekcję. Nie musiała pytać, co

gospodyni chciałyby wiedzieć, bo pytanie o fizyczny i duchowy stan podopiecznego wypisane było na jej twarzy.

— Zdolny, ale leniwy — powiedziała nauczycielka.

Ruszyła szybko w stronę trzeciej klasy.

— Leniwy — powtórzyła pani Rozent.

Powiedziała to tak dziwnym tonem, że wcale nie było wiadomo, czy jest to jeszcze jedno pytanie, czy potwierdzenie dobrze znanego faktu. Naraz ocknęła się z zamyślenia i pobiegła za nauczycielką. Dogoniła ją w półotwartych drzwiach.

— Jesienią chłopiec miał zapalenie lewego ucha... — Cofnęła się na widok dzieci zaskoczonych jej zdenerwowaniem, lecz dostrzegając zniecierpliwienie w zachowaniu nauczycielki, dokończyła podniesionym głosem: — Więc niech go pani za to ucho nie ciągnie!

Pani Pelfing zrobiła taką minę, jakby ją ktoś uderzył w twarz. Została znieważona. I to gdzie? Na oczach całej klasy!

Kto wie, jak zakończyłaby się ta przykra scena, gdyby nie szybka interwencja woźnego, który tym razem okazał się bardziej rozmowny. Biegając na pomoc nauczycielce, przyskoczył do gospodyni z okrzykiem odpowiednim do wysokości swojego stanowiska:

— Obywatelko!

Pani Rozent nie stawiała żadnego oporu. Wyszła z nim dobrowolnie przed budynek szkoły, gdzie z uczuciem winy i nie bez zdumienia spróbowała podążyć za lawiną jego pytań:

„Cóż ona tu sobie właściwie wyobraża?” Woźny zrobił dużą pauzę, by przed dalszym ciągiem pytań dać jej czas na zebranie wszystkich najczarniejszych myśli. „Pewnie sądzi, że współcześni pedagodzy nadal są katami dla bezbronnych dzieci! Kary cielesne miałyby ktoś stosować w dzisiejszych czasach?”

— A na jakiej podstawie podejrzewa ich o to? — niech mu uprzejmie będzie wolno spytać. On nie pamięta żadnego Tomasza. Zresztą jak ona śmie porównywać metody tresury szkolnej, stosowane dwanaście lat temu — w mrocznej epoce jej brata — z najbardziej racjonalnymi systemami edukacji zbiorowej realizowanymi obecnie na całym świecie? Ręce człowiekowi opadają i ogarnia go zniechęcenie do odpowiedzialnej pracy, gdy musi patrzeć cierpliwie na tak niedoinformowaną kobietę. Ale to jest niemożliwe! Czyżby nigdy nie słyszała o zaocznych kursach

dokształcających, na których wszyscy nauczyciele uzupełniają fachową wiedzę pod kierunkiem doświadczonych psychologów i najwybitniejszych...

Woźny nie dokończył ostatniego pytania. Doszedł w pewnej chwili do wniosku, że zamiast świadomej obywatelki egzaminuje ciemny kołek. Machnął ręką, że dalej szkoda było gadać. Tak się na nią w końcu pogniewał, że bez pożegnania wszedł do korytarza i zasłonił się drzwiami szkoły z taką siłą, aż na zmurszałym fundamencie zadrżała jej wiekowa ściana.

Gospodyni wróciła do domu z mieszanymi uczuciami:

palił ją dotkliwy wstyd, lecz z drugiej strony bardzo była rada. Wstyd gnębił ją dlatego, gdyż w oczach prostego stróża skompromitowała się jaskrawym analfabetyzmem, zaś cieszyła się na myśl o jasnej przyszłości swego wychowanka, którego zostawiła w rękach właściwych opiekunów.

7.

Pozostałem na drugi rok w trzeciej klasie. Na zakończenie roku szkolnego miałem oceny niedostateczne z dwóch głównych przedmiotów: języka ojczystego i z matematyki. Dowiedziałem się o tym w czerwcu, po sześciu miesiącach nauki (ostatnie trzy z nich należałoby nazwać „miesiącami chodzenia do szkoły”), kiedy wręczono mi pierwsze w moim życiu świadectwo niedojrzałości. Przeczytałem je bez zdziwienia: „Na tej podstawie uchwałą Rady Pedagogicznej uczniów nie otrzymał promocji do czwartej klasy”.

W dniu uroczystego zakończenia nauki nie miałem ochoty dzielić się z nikim ogromem swojego wzruszenia. Nie szukałem towarzystwa, bo wystarczyło mi szczęście przeżywane w samotności. Czułem taką ulgę, jakbym nagle zdjął z serca i na czas wakacji pozostawił we wsi jakiś niemożliwy do utrzymania ciężar. Na myśl o dwóch miesiącach przerwy w ortograficznych i rachunkowych ćwiczeniach całą duszę wypełnił mi spokój, który tchnął z nieba pogodną zapowiedzią lata. Wiedziałem, że po upływie tego radosnego czasu koszmar powróci, by mnie miażdżyć ze zdwojoną siłą. Ale do września było jeszcze bardzo daleko.

Po obejrzeniu mojej cenzury Tomasz uśmiechnął się zagadkowo i wrócił w milczeniu na łąkę do koszenia trawy. Gospodyni zareagowała okrzykiem zdumienia, natomiast pan Rozent — słysząc jej wołanie — nie oderwał nawet oczu od telewizora. Wiadomość skomentował trzema krótkimi dźwiękami:

„a... nie mówiłem”, przy czym na pierwszy z nich położył tak znaczny akcent, że mógłby on zastąpić całe przemówienie, zaś resztę zdania puścił jednym tchem, jak powietrze z dętki przeciążonej ciśnieniem. Z płynnej długości tego świstu można było wnioskować o wielkości zaparcia, co dawało pewność, że miłą mu myśl o porażce wychowanka pielęgnował w sobie już od Nowego Roku.

W czasie kilku następnych tygodni gospodyni analizowała sens twardej uchwały Rady Pedagogicznej. Wieści o kulisach tej uchwały docierały ze wsi i były przynoszone przez życzliwych sąsiadów. Nikt za to nie ręczył słowem honoru, ale podobno pani Ewelbuch, nauczycielka

języka i zarazem opiekunka klasy, przed podjęciem znanej decyzji długo konsultowała ją z panią od matematyki, która również nie miała zamiaru wyrządzić mi krzywdy. Każda z nich oddzielnie wyrobiła sobie sąd na temat mojej inteligencji, i choć w szczerzej rozmowie przeprowadzonej pod sklepem obydwie oceniły ją cyfrą zero, żadna nie miała odwagi zbyt pochopnie zostawić mnie na drugi rok w trzeciej klasie, ponieważ projektowanymi dwójkami wbiłyby ostatnie gwoździe do trumny chorego na nogi pana Rozenta, który tego podwójnego ciosu mógłby w ogóle nie przeżyć.

*

Już na pierwszej lekcji sam zauważyłem, jakie braki muszę usunąć w swym przygotowaniu, aby poziomem wiedzy dorównać bardziej wykształconym kolegom. Postanowiłem wtedy, że uczynię wszystko, na co mnie stać. I zaraz po powrocie do domu zabrałem się do pracy.

Na pierwszy ogień mojego zapału rzuciłem tabliczkę mnożenia, gdyż aktualnie powtarzaliśmy ją w klasie, a miała też być nam potrzebna w przyszłości, o czym zapewniała nauczycielka. Spodziewałem się, że opanuję ją w ciągu kilku godzin, nie straciłem jednak wiary w siebie, kiedy przed snem uzbrojona w tabliczkę gospodyni zadała mi szereg wyrwykowych pytań, ujawniając w mojej pamięci bardzo poważne luki.

Wieczorem raz jeszcze przemyślałem wszystko, co tego dnia zdarzyło się w szkole. Pani Pelfing zwróciła się do mnie tylko z jednym problemem: „Siedem razy dziewięć”. Ponieważ wtedy odpowiedziałem „nie wiem”, po powrocie do domu zdziwiła mnie wiadomość, że „jestem zdolny, ale leniwy”, pochodząca od nauczycielki matematyki. Nie rozumiałem, skąd tej pani przyszła do głowy taka opinia. Czyż na podstawie szczerego wyznania „nie wiem” można było powiedzieć cokolwiek o zdolnościach albo o lenistwie ucznia rozpoczynającego naukę?

Przez kilkanaście następných dni nie byłem wzywany do odpowiedzi z języka i bardzo mi to odpowiadało, zwłaszcza że nie miałem się czym pochwalić, natomiast na lekcjach matematyki szybko zwróciłem na siebie uwagę pani Pelfing jako jeden z najgorszych uczniów. Nadal powtarzaliśmy tabliczkę mnożenia, a ja jej jeszcze nie opanowałem. Kompromitowały mnie bądź te odpowiedzi ni w pięć, ni w dziewięć, bądź długie chwile milczenia, którymi próbowałem odwlec

kolejny unik w postaci uniwersalnego „nie wiem”.

W domu kilka razy powracałem do kucia tabliczki, aż ostatecznie pomieszały mi się wszystkie wyniki. Po licznych niepowodzeniach doszedłem wreszcie do prostego wniosku, że nie mam dość dobrej pamięci. Lecz czy w takim razie mogłem myśleć o sukcesach w nauce? Trzeba było w końcu spojrzeć prawdzie w oczy: jeżeli cała nauka polegała na mechanicznym tłoczeniu do głowy takich, może skądinąd cennych informacji, jak „osiem razy sześć jest czterdzieści osiem” albo „dany wyraz należy pisać tak, a nie inaczej”, to prawie nic nie miałem w niej do powiedzenia, bo do zdobycia wiedzy metodą bezmyślnego wkuwania brakowało mi niezbędnej pamięci.

Tabliczka mnożenia była wydrukowana na okładce zeszytu, zawierała osiem kolumn po dziesięć pozycji w każdej. Z wyjątkiem ostatniego wiersza były to iloczyny liczb jednocyfrowych przez dwa — w pierwszej kolumnie, przez trzy — w drugiej... i tak dalej, aż do mnożenia przez dziewięć. Z punktu widzenia kalkulatora tabliczka ugięła się więc pod ciężarem osiemdziesięciu niezależnych informacji.

Pochylając się nad nią zadałem sobie pytanie, które później ogłosiłbym chętnie przypinając je nad bramą swej szkoły, gdybym wcześniej nie doszedł do wniosku, że moi nauczyciele programowo zajmowali się produkcją maszyn liczących lub powtarzających. Odtąd pytanie to stawiałem sobie codziennie: „Co przechować w pamięci, aby obciążyć ją najmniej i nie stracić nic z uzyskanych wiadomości?”

Liczba nie zmieniała swej wartości w iloczynie przez jedność, zaś aby uzyskać wynik mnożenia przez dziesięć, wystarczy dopisać do niej zero — to zauważyłem najpierw i we wszystkich kolumnach na tabliczce skreśliłem pierwszy wiersz oraz ostatni. Następnie zwróciłem uwagę na ciekawy fakt, że wartość iloczynu nie zależy od kolejności czynników, po czym — jako zbędne — wykreśliłem z tabliczki te wszystkie pozycje, w których czynniki były przedstawione. Nie miałem kłopotu z zapamiętaniem kwadratów liczb od jednego do dziesięciu. Na koniec ustaliłem, że muszę pamiętać tylko mnożenie przez dwa oraz przez trzy, bowiem w przypadku, gdy chciałem mnożyć przez cztery albo przez sześć, podwajałem wyniki odpowiednich iloczynów przez dwa lub przez trzy, natomiast w razie potrzeby mnożenia przez pięć, brałem połowę liczby uzyskanej z mnożenia przez dziesięć. Wszystkie te operacje bez

trudu wykonywałem w pamięci.

Byłem taki dumny ze swego odkrycia, że już na najbliższej lekcji sam zgłosiłem się do odpowiedzi. Pani Pelfing — wietrząc w tym jakiś nieładny podstęp — zmierzyła mnie baczным spojrzeniem. Tego dnia patrzyłem na nią zbyt śmiało.

— Chciałbyś mi rozbić ustalony od lat plan ćwiczeń z tabliczki mnożenia dla tak błahego powodu, że znowu jakaś bzdura przyszła ci do głowy? — zaturkotała z rosnącą prędkością, jak kartofle wysypane z worka na schodach. — Dziewięć razy osiem!

Nawet nie zmrużyłem oczu, tak dobrze byłem przygotowany. Wziąłem w myśli dziewięć ósemek i po chwili odjąłem jedną z nich. Ale gdy podawałem jej wynik, zagłuszyła mnie druga komenda:

— Siedem razy dziewięć!

Wiedziałem. To było takie proste. Lecz nim trzykrotnie podwoilem „siedem”, powiedziała „siadaj” i z kamiennym spokojem otworzyła dziennik, by we właściwej rubryce wstawić mi następną dwójkę.

Po tym żalnym egzaminie wcale nie straciłem wiary w wartość swojego systemu. Oczywiście, przed panią Pelfing nie popisałem się szybkością, bo z całej tabliczki wybrała złośliwie akurat te problemy, których rozwiązanie wymagało pewnego namysłu. Jednak na każde inne pytanie odpowiadałbym natychmiast. Zresztą nie zamierzałem sięgać po laury błyskawicznego rachmistrza. Znacznie bardziej martwiło mnie ciągłe niepowodzenie na lekcjach języka, które prowadziła wychowawczynie klasy — pani Ewelbuch.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że jeżeli mimo wszystko nie należałem do dzieci ograniczonych umysłowo, to — przy braku zdolności do matematyki, tej królowej ścisłych nauk — powinienem odnosić sukcesy w dziedzinach humanistycznych, taki bowiem pogląd rozpowszechniali wykształceni specjaliści, a inni ludzie przyjmowali go bez sprzeciwu. Według tej opinii, na ogół uczniowie przejawiali zdolności w jednym albo w całkiem przeciwnym kierunku, o czym miały świadczyć dobre czy złe stopnie z matematyki i fizyki bądź z języków i historii, stąd więc — jak się zdawało — wyłaniała się potrzeba przeprowadzenia podziału młodzieży na grupy o różnych zainteresowaniach. Jeżeli uczeń nie należał do żadnej z tych dwu kierunkowych grup, to nic dobrego o nim nie można było powiedzieć.

Mnie intrygował cały świat — wszystko, co się na nim działo. Nie umiałem tego jeszcze wyrecytować przed tablicą ani przekazać pani Ewelbuch w formie domowego wypracowania, ale ciekawiła mnie taka realność świata, jaką dookoła siebie widziałem: wolna od sztucznego podziału na wykładane przedmioty i grupy, u źródła którego mogły leżeć błędnie rozpoznane zdolności, a u celu — pułapka źle wybranej specjalizacji, słowem — interesowała mnie rzeczywistość wszechstronna, a zwłaszcza jej niezgłębiona tajemnica.

Do prawdy o świecie chciałem dotrzeć możliwie najkrótszą drogą (dlaczego miałbym marnować życie na poszukiwanie innej?), tymczasem pani Ewelbuch próbowała mnie przekonać, że wskazany cel można osiągnąć tylko przez pokonanie labiryntu trudności w poprawnej pisowni znanych mi słów, przez rozplątanie gąszczy reguł i opanowanie lawiny wyjątków w tych mglistych zasadach ortografii, których ja — mimo szczerej chęci — w czasie kilku miesięcy systematycznego kucia nie zdołałem zapamiętać. Na lekcjach języka nauczycielka dyktowała nam teksty specjalnie przygotowane. Zdania budowane przez nią miały głupią treść, ale składały się ze słów szczególnie trudnych ze względu na pisownię. Tym powszechnie znanym sposobem pleniła wytrwale błędy uczniów, którzy po wielu dyktandach przyswajali sobie poprawną pisownię każdego wyrazu. Metoda ta nie dawała jednak dobrego rezultatu w odniesieniu do mnie: na kartkach z moimi pracami wciąż roiło się od czerwonych poprawek. Straszny wygląd zeszytu nowego ucznia zadziwiał również szkolnych prymusów. W tej sytuacji w kwietniu wychowawczyni klasy — skądinąd kobieta wyrozumiała i cierpliwa — miała prawo mnie zapytać, kiedy wreszcie przestanę gwałcić elementarne zasady ortografii.

Bardzo mnie zmartwiło to pytanie. Przecież szanowałbym je chętnie i bez trudu, gdybym rzeczywiście dostrzegł w nich jednolite zasady, a nie długie serie wyjątków w złożonych i niejednoznacznych regułach. Nie miałem nic przeciwko jasnym zasadom ortografii, przeciwnie: marzyłem o tym, aby one istniały. Rozumiałem dobrze, że bez nich w budowie wyrazów zapanowałby chaos przypadkowo zestawianych liter, każdy pisałby je inaczej, a w konsekwencji — przy braku jednoznaczności słów — ludzie w ogóle nie mogliby porozumiewać się między sobą. Ścisłe normy trzeba tu było wprowadzić.

We wstępach do zasad poprawnej pisowni czytałem czasami takie piękne zdania: „Walka z błędami ortograficznymi jest walką o świadome i sprawne posługiwanie się językiem, tym niezbędnym, a potężnym środkiem działania i rozwoju społecznego”. Żądano ode mnie, bym językiem posługiwał się świadomie, pytałem zatem, w jakim celu — bez naturalnej konieczności — pisownia wielkiej liczby wyrazów tak daleko odbiega od ich wymowy.

Rzecz prosta nie miałem o to żalu do nauczycielki — tylko do specjalistów ustalających normy, oni zaś z kolei mogliby mieć pretensje do twórców języka żyjących w odległych czasach, skąd tryskało mętne źródło istniejącego bałaganu. Lecz o czym świadczył fakt, że kolejne pokolenia zajmujących się doskonaleniem języka do dziś nie potrafiły zaprowadzić ładu w jego pierwotnym chaosie? Fakt ten świadczył źle o poziomie umysłowym bezimiennych twórców języka i o ich bardzo pobłażliwych korektorach. Dlaczego miałyby przynosić ujmę wrażliwemu na zgrzyty dziecku, które bez krytycznego spojrzenia na wielkie braki w tej dziedzinie zmuszane obowiązkiem szkolnym do otaczania kultem tak jawnie ułomnego dzieła?

Powtórzenie trzeciej klasy niewiele nowego wniosło do moich rachunkowych i ortograficznych umiejętności. Drugi rok nauki spędziłem pracowicie na próbach dorównania bodaj gorszym uczniom, ale bez powodzenia: wszyscy nadal górowali nade mną zdolnością zapamiętywania wielocyfrowych liczb i uporządkowanych zbiorów liter zwanych wyrazami, które — o czym dowiedziałem się znacznie później — były w swej istocie wariacjami liter, a pod względem trudności magazynowania ich w pamięci (spontanicznie broniącej się przed obciążeniem) — wieloliterowymi numerami. Nieraz podziwiałem swoich o rok młodszych kolegów, z jaką przyjemnością ich umysły całymi tysiącami pochłaniały te numery, by je potem — jak kasjer bankowe sumy — pod dyktando pani Ewelbuch sprawnie przelewać na papier (wobec zakazu stosowania metody kija) za marchewkę czy cukierek w postaci dobrego stopnia.

Po zakończeniu roku szkolnego przestałem się łudzić, że kiedykolwiek zdołam osiągnąć poziom wiedzy równie jak oni wysoki. Wprawdzie zdałem do czwartej klasy, ale sukces ten zawdzięczałem tylko wspaniałomyślności obu nauczycielek. Jak donoszono ze wsi, przy

mojej promocji Rada Pedagogiczna kierowała się współczuciem dla biednego pana Rozenta, który z powodu stopniowego zaniku mięśni nóg (wywołanego bezruchem) już prawie wcale nie mógł oddalić się od telewizora.

W połowie następnego roku szkolnego skończyłem trzynaście lat. Dwa pierwsze lata nauki bardzo mnie rozczarowały. Dotychczasowy jej przebieg nie dawał mi żadnych podstaw do optymizmu na przyszłość. Kiedy po raz pierwszy szedłem do szkoły, wyobrażałem sobie, że usłyszę tam coś niezmiernie ważnego i zarazem ciekawego, po co warto iść przez zasypane śniegiem pola i co może zmienić koleje dalszych moich losów. Lecz setki godzin wypełnionych lekcjami matematyki i języka, tak prowadzonymi, aby wynikało z nich, że jestem idiotą — ostatecznie rozwiąły tę naiwną fikcję. Chociaż inne przedmioty, jak rysunek, prace ręczne, śpiew i wychowanie fizyczne nie sprawiały mi kłopotu, zniechęcony złymi ocenami z rachunków i ortografii oraz nudą monottonnych lekcji, coraz rzadziej zaglądałem do szkolnego podręcznika.

W tym okresie zacząłem czytać książki, przeważnie stare. Pożyczałem je od mieszkającego we wsi swojego przyjaciela Hansa i czytałem po zakończeniu codziennych zajęć w gospodarstwie, najczęściej wieczorami, ponieważ w ciągu zimowych dni pomagałem pani Rozent i jej bratu przy karmieniu bydła, a wolne od nauki godziny pozostałych miesięcy roku spędzałem razem z nimi na licznych pracach w polu.

Z biegiem czasu lektura stała się główną moją pasją.

Interesowały mnie powieści o wyprawach do niezwykłych krain. Lubiłem je czytać, gdyż ich bohaterowie nie musieli się martwić chronicznym brakiem postępów w nauce. Wędrowałem z nimi przez wielkie miasta i rozległe kontynenty, pływałem po bezkresnych oceanach lub przeżywałem przygody na bezludnej wyspie. Pod wpływem tych nieobowiązkowych lektur, zasadniczo innych niż książki proponowane mi przez bibliotekę szkolną, której szafy wypełniała dydaktyczna nuda i zaduch ciasnej problematyki wiejskiej, snułem marzenia o barwnym, pełnym niespodzianek życiu podczas swobodnej włączęgi po świecie. Moja wyobraźnia podążała czujnie za każdym wątkiem opowiadanej historii lub sięgała poza ramy utrwalonego opisu — w szeroką dal fantastycznych domysłów, materializując sny o innych

stronach z większą ostrością niż kolorowe filmy i budząc we mnie gorące tęsknoty.

Wahadło monotonnych kursów między domem a wsią trzymało mnie jeszcze mocno w swych długich ramionach. Ale postanowiłem, że kiedy będę starszy, złamię je i ruszę w świat, by poznać wszystkie jego tajemnice.

8.

Program czwartej klasy wzbogacił wykłady o dwa nowe przedmioty: we wrześniu pojawiła się w nim historia, a w listopadzie — przyroda, która obejmowała zagadnienia z geografii i biologii. Historii uczył kierownik szkoły pan Consman.

Przez pewien czas żywiłem nadzieję, że przedmiot ten wniesie coś nowego do treści programu naukowo opracowanego przez kuratorium i metodycznie maltretowanego belferską rutyną nauczycielek Ewelbuch i Pelfing. Życie ludzi w dawnych wiekach, rozwój poglądów na świat i dzieje cywilizacji ciekawiły mnie w stopniu równie wielkim jak współczesność człowieka. Tematowi temu chętnie poświęciłbym całą uwagę: skoro jeszcze nie mogłem poruszać się w przestrzeni, gotów byłem rozpocząć długą podróż w czasie. Na lekcjach historii spodziewałem się usłyszeć coś bliższego o codziennych sprawach przodków, jeżeli można to było powiedzieć na podstawie pisemnych przekazów i wykopalisk archeologicznych. Obraz ruin oglądany na fotografii przywoływał myśl o zagadce przemijających pokoleń. A właśnie największym ze wszystkich sekretów świata była tajemnica czasu.

Moje nadzieje związane z nauką nowego przedmiotu szybko się rozwiały. Chociaż po zaocznych kursach dokształcających kierownik szkoły uzyskał tytuł magistra historii, ulubionym jego tematem pozostał czas teraźniejszy, a w nim — oceny ze sprawowania. Większą część każdej lekcji poświęcał aktualnym problemom wychowawczym. Wyższe studia nie podniosły efektywności jego działania, bowiem to, co kiedyś załatwiał szybko — kilkoma ciosami sznura od żelazka, teraz rozciągało się nieporadnie, jak prasowana wałkiem do ciasta kleista masa, której usiłował nadać kształt kazania o prawidłowej postawie ucznia.

Zegarynka jego miarowych okresów zdaniowych miała na obwodzie taśmy dwa cykliczne złącza. Pierwszym był znak zapytania: „Ile razy można to powtarzać?”, a drugim — wykrzyknik: „Ty się jeszcze doigrasz!” Dopiero na kwadrans przed dzwonkiem przypominał sobie nagle o swoim dyplomie i sypał datami potyczek zbrojnych oraz liczbami

poległych, tak po jednej, jak i po drugiej stronie, żądając, aby mu te numery (bo daty też były numerami) recytować potem z pamięci jak wiersze. Człowiek ten nazywał siebie humanistą.

Na lekcjach geografii, prowadzonych przez młodą absolwentkę liceum, również nic — poza tasiemcowymi ciągami liczb — nie można było usłyszeć. Nauczycielka wymawiała je pedantycznie, z inżynierską precyzją. Oznaczały one pogrzebane w leksykonach lub zmiecione do encyklopedii takie wielkości, jak pola powierzchni krajów i długości ich granic, wysokości szczytów, zliczenia dopływów rzek i ich miary od źródeł do ujścia, kilometry produkowanych tkanin oraz zasoby naturalne w tonach przesypanego węgla, przelanej ropy naftowej i wytopionej stali... Nie było w jej wykładach nic prócz beznadziejnych szeregów liczb odpowiadających na pytania: ile, czego, gdzie i kiedy — pytania z pewnością istotne. Ale dla kogo i w jakiej chwili?

Licealistka numerami tymi operowała dość sprawnie, dopóki powtarzała je nocami przed poprawkowym egzaminem dojrzałości, który zdała w mieście dopiero na jesieni. Rozpoczynając pracę na wsi, pamiętała je jeszcze i biczowała nimi dzieci, jakby się na nich mściła za swoje zesłanie. Jednak już po dwóch tygodniach — i ten tylko fakt przemawiał na jej korzyść — wszystkie te tony i kilometry, sumy, megawaty i daty pomieszały się jej ostatecznie w głowie, więc aby uczciwie wymierzać oceny, przed każdym pytaniem zerkała do szuflady — do książki tam otwartej.

Coraz bardziej traciłem zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło nauki w szkole. Pod naciskiem opinii — jawnie głoszonych przez nauczycieli — stopniowo oswajałem się z oceną, że jestem najgorszym uczniem w klasie. Przestałem odrabiać domowe zadania, nie słuchałem wykładów, pogrążony w myślach nad swoimi sprawami czekałem niecierpliwie końca każdej lekcji.

Miałem przy tym świadomość trwania w nierealnym absurdzie, bowiem nauka, którą w swej wizji utożsamiałem z triumfem ludzkiego rozumienia nad wiedzą kieszonkowych kalkulatorów, sprowadzona tu została do obowiązku przechowywania w pamięci ponumerowanych serii liczebników głównych albo porządkowych, co kłóciło się z moim odczuciem godności człowieka. Takie jej pojmowanie nie mogło mieć nic wspólnego z prawdziwym obliczem świata. Ktoś, kto po genialnej

analizie wszystkich form i treści zdołałby udowodnić, że wszystko jest liczbą, wskazałby zarazem, co z ogromu faktów musi zapamiętać, by w razie potrzeby dotrzeć do każdego z nich: właśnie to twierdzenie, a nie wszystkie fakty!

Chociaż każda nauczycielka, myśląc o mnie, kojarzyła mój przypadek z klasycznym przykładem oligofrenii i nie miała tylko pewności, jak głęboko sięga mój umysłowy niedorozwój (wszak na zaszczytnym szczeblu między wzorowym debilem a ostatnim idiotą szczyrzył zęby imbecyl, jako fotogeniczny przypadek pośredni) — wszystkie w alarmujących notach kierowanych pod adresem pani Rozent swobodnie operowały wytartym frazesem „jest zdolny, ale leniwy”, czego wymagały od nich opracowane przez kuratorium „nowe wskazówki metodyczne”.

Powieści pożyczane od Hansa albo kupowane we wsi przynosiły mi jedyną pociechę w okresie, gdy szkoła potępiała mnie za rzekomy upór w niechęci do nauki. Wśród książek unikałem tytułów instrumentalnych, które w roli nieskazitelnych cegieł całymi latami ambitnie dekorowały półki szkolnej biblioteki czy kiosku. Szybko zauważyłem, że wyniosłe noty w rodzaju „dzieło wartościowe” lub „cenna pozycja” mają charakter względny i wcale nie biorą pod uwagę wieku czytelnika. Dla kilkunastoletniego chłopca walor „cennych pozycji” mogły mieć tylko książki ciekawe.

Czytałem je w czasie przeznaczonym na odrabianie domowych zadań, toteż kiedy pani Rozent (zobowiązana do kontroli) czujnie zaglądała mi przez ramię, aby nie sprawiać jej przykrości, musiałem maskować swe lektury zeszytem z rachunkami albo ćwiczeniami z ortografii. W takich chwilach gospodyni kładła dłoń na mojej głowie i czule gładziła mi włosy.

— Ucz się, kochany, ucz — powtarzała z przekonaniem, że wychowanek uporem potrafi pokonać wrodzony brak zdolności. — Jesteś już dużym chłopcem, więc pewnie rozumiesz, czym byłbyś bez świadectwa ukończenia szkoły. Może cenzura niewiele świadczy o wartości człowieka, ale bez tego papierka dla ludzi nic nie będziesz znaczył w życiu.

Mówiła to często, a tymczasem życie obracało się w kieracie kolejnych pór roku. Niekiedy codzienny porządek zajęć zakłócało jakieś

niezwykłe wydarzenie. Jednym z nich była wizyta lekarza, zapowiedziana wcześniej na połowę stycznia.

Po wyznaczeniu terminu odwiedzin przez dwa tygodnie gospodarz kłął żonę za ten beznadziejnie głupi pomysł. Ale już gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia musiał widocznie pogodzić się z nieszczęściem, bo po Nowym Roku powoli zaczął myśleć o przygotowaniach. Traktował je bardzo poważnie, toteż wczesnym rankiem dnia piętnastego stycznia nogi — przy świadkach — zostały umyte i wszystko odbyłoby się zgodnie z harmonogramem, gdyby całego planu nie zawałił skandaliczny wprost brak punktualności doktora. Bo lekarz przybył dopiero w maju, kiedy o zapowiedzianej wizycie wszyscy już dawno zapomnieli i kiedy styczniową świeżość nóg pana Rozenta nawet łańcuchowy pies — z miejsca w swej budzie — łatwo mógł zakwestionować.

Badanie nóg, które bez spodni wyglądały jak wygłodzone patyki, też nie wypadło po myśli chorego. Lekarz przez dobry kwadrans mruzczał naukowo o ciekawym (bo wiejskim) przypadku telewizyjnej choroby, przy czym łamał sobie głowę, jak by to biedakowi najdelikatniej powiedzieć.

— Wiecie, gospodarzu, dlaczego regulamin więzienny zmusza pensjonariuszy zamkniętych zakładów karnych do codziennej przechadzki? — spytał. I zanim gospodarz zdążył zebrać myśli, czy za brudne nogi nie grozi mu areszt, wyjaśnił: — Bo bez obowiązkowych spacerów wszyscy wyjeżdżaliby na wolność w inwalidzkich wózkach.

Do karty zdrowia pacjenta trzeba było wpisać datę urodzenia, więc lekarz musiał zapytać o ten drobny szczegół. Datę swego urodzenia pan Rozent rozciągnął do płacziwej skargi trwającej kolejny kwadrans. Miał trzydzieści osiem lat, co wynikało z liczby jego spazmatycznych jęków.

Po wysłuchaniu ostatniego z nich lekarz zaproponował kurację na świeżym powietrzu:

— Nawet w tak podeszłym wieku półgodzinny spacer dookoła stodoły nikomu nie powinien zaszkodzić.

Na myśl o terapii wysiłkiem fizycznym pan Rozent odpowiedział grymasem nieopisanego bólu, a po wyjściu doktora podniósł głos na żonę i ostrzegł, żeby mu więcej do domu nie sprowadzała takich konowałów. Ponieważ nikt nie śmiał odezwać się ani jednym słowem, resztę wieczoru spędził na ostrej wymianie zdań z telewizyjnym

spikerem, który czytał dziennik.

Pani Rozent, czyli Julianna, bo tak miała na imię, była córką, jak się okazało, dość bogatego gospodarza. Wieść o tym, że ojciec Julianny był człowiekiem zamożnym, nie wiadomo jakimi drogami w ciągu miesiąca rozeszła się po okolicy. Pewnie rozgłosił ją handlarz, któremu Julianna sprzedała niewielką część złotego złomu, jaki dostała w spadku po ojcu. W tym czasie pan Rozent złożył jej kilka energicznych wizyt, a po zawarciu małżeńskiego związku sprowadził się do jej domu razem z takimi ruchomościami, jak szczoteczka do zębów, zapasowa koszula i druga para skarpetek — które przeniósł ze swej starej ubikacji.

Pracę na roli rozpoczął od sprzedaży reszty złotego złomu i od zakupu telewizora. Zanim na stałe zasiadł przed ekranem, raz jeszcze sięgnął do złomu, by zapłacić cieślom za zbudowanie nowej stodoły. Tuż przy jej ścianie (z kilku desek porzuconych na podwórku) zmontował budę dla Reksa. Budę — przy gotowej już stodole — wznosił własnymi rękami, co przed Tomaszem dawało mu podstawę do śmiałego twierdzenia, że swoje słynne nogi nadwerężył podczas dźwigania belek do tamtej zasadniczej inwestycji.

Pan Rozent był człowiekiem wykształconym, za czym przemawiał bardzo ważny dokument państwowy, ale niewiele szczęścia czerpał z tego faktu. Raz do roku — na imieninach — aby umożliwić gościom studia nad swym świadectwem ukończenia szkoły podstawowej, kładł je dyskretnie na krawędzi barku, którego centralne miejsce dekorował butelkami z alkoholem. Dzięki takiej aranżacji przestrzeni, nie sposób było napić się czegoś bez zauważenia dokumentu. Nawet dość sprytnie zostało to przemyślane. Niestety, sąsiedzi zgromadzeni na imieninach — kiedy alkohol mocniej uderzał im do głowy — woleli analizować zeszłoroczne plony z hektara albo aktualny stan pogłowia trzody chlewnej niż stopnie na pożółkłej cenzurze pijanego solenizanta. Widocznie sprawa niedocenionego dyplomu ostrym kolcem tkwiła w jego podświadomości, bowiem co roku zaledwie przez dwie lub trzy godziny wytrzymywał to ich wesołe gadanie o nawozach sztucznych. Potem zmieniał się na twarzy jak upiór i wyrzucał wszystkich za drzwi okrzykiem: „Won! Przyszliście tu tylko po to, aby się najeść!”

Ponieważ gości interesowała wyłącznie wódka, oskarżenie brzmiało tak absurdalnie, że na beznadziejnie chorego prawie nikt się nie obrażał.

9.

Od szeregu lat krążyły po wsi plotki, że „sprawa urzędowa”, w jakiej pan Consman tak często opuszczał swe lekcje historii, to jedna z córek wójta — dziewczyna wyróżniająca się urodą. Przy takim nastawieniu opinii publicznej wiadomość prostująca tamte domysły musiała więc bardzo wszystkich zaskoczyć: po latach próżnego kołatania do bram władz gminy kierownik uzyskał wreszcie fundusz na budowę nowej szkoły.

Wzniesiono ją według planu opracowanego przez wybitnych architektów w porozumieniu z badaczami miejscowego folkloru. Ich zdanie też trzeba było wziąć pod uwagę, gdyż regionalna poetka w swej starej pieśni o przyszłej szkole już dawno sprecyzowała jej wygląd słowami: „Ma być czysta i jasna, a w takiej ja was uczyć każe!” To szczere marzenie poetki dopiero po latach mogło być zrealizowane. I tak — w nowej szkole — na wszystkich oknach działały automatyczne żaluzje, a w pomieszczeniach — klimatyzacja, sprawnie regulująca wilgotność powietrza i jego temperaturę. Podłogi lśniły blaskiem polerowanego lustra, boczne ściany budynku pokryto marmurowymi płytami, natomiast fasadę zdobiła olbrzymia mozaika wykonana przez słynnego projektanta monumentów. W zamyśle twórczym autora mozaika miała przedstawiać dzieło oryginalne: wzorowo zorganizowaną grupę dzieci radośnie kroczących do szkoły. Niestety, plastik codziennie przyjeżdżał do szkoły zaraz po zejściu z drabiny ustawionej przed elewacją bramy do wiejskiego cmentarza, gdzie wykonywał również inne zamówienie. Toteż Rada Pedagogiczna — rozumiejąc duchową rozterkę artysty, która groziła rozdzieleniem jaźni — darowała mu brak optymizmu w kolorach zrealizowanej wizji oraz wisielczy determinizm w uśmiechach dzieci, tak radośnie zorganizowanych na frontowej ścianie szkoły, jakby szły za pogrzebowym karawanem.

Kosztowną inwestycję zakończono podczas wakacji, dzięki czemu już we wrześniu nauka mogła rozpocząć się w doskonałych warunkach. Przedtem wzorcowy obiekt zwiedziło kilkanaście wycieczek, a wśród nich grupa znanych osobistości, zaproszona na uroczyste otwarcie.

Nowoczesny wygląd sal wykładowych oraz bogate wyposażenie pracowni budziły powszechny podziw.

Bo nowa szkoła w niczym nie przypominała starej: „tamta była ruiną, przegniłym reliktem minionej epoki, ta zaś — śmiałym spojrzeniem w oczy przyszłości”. Chyba właśnie te słowa, wpisane przez kogoś do książki pamiątkowej, najtrafniej oddawały nastrój przełomowego dnia w życiu wioski.

Wnętrze nowej placówki oświatowej zainteresowało nawet kilku najstarszych rolników. Wchodziło się do niej przez szatnię, dyskretnie ukrytą w podziemiu, skąd — po założeniu muzealnych kapci — można było wjechać windą na oszklony parter lub dwie pozostałe kondygnacje. Do tego czasu nie zbudowano we wsi żadnej chałupy murowanej, więc chłopom (na myśl o podatkach) zakręciło się w głowach, gdy w ramach pierwszej wycieczki oglądali te wszystkie projekcyjne sale, tablice świetlne i obrotowe, magnetowidy, fony, gabinety i kabiny.

Zmianę miejsca i stylu pracy zarówno młodzież, jak i pedagodzy przeżyli bez wstrząsu. Tylko przez pierwszych kilka dni uczniowie mieli wypieki na twarzach, a nauczycielom drżały głosy i ręce. Potem wykłady o zawrotnych sumach darowanych przez władze „na ten cel szlachetny” (akcentowane okrzykami „nie ruszaj!” lub „ostrożnie”) ustabilizowały się w płaszczyźnie długiego cyklu prac klasowych o zbiorowej wdzięczności.

Do nowego budynku wszedłem z bagażem czterech dwójek na ostatnim świadectwie (co zmuszało mnie do powtórzenia kursu czwartej klasy) i z ciężarem tych samych ocen niedostatecznych pozostałem w szkole do końca następnego roku. Nie pomogła mi klimatyzacja ani spełnienie proroczego snu poetki o blasku bijącym od podłóg, bowiem w nowej szkole od podstaw zreformowano wszystko, z wyjątkiem tego, co zdaniem uczonych profesorów powinno stanowić treść szkolnego przekazu i co według nich w praktyce zniesione być nie może, to znaczy z wyjątkiem przymusu pamiętania setek tysięcy numerów (dawniej wbijanych do głowy rozkazem: „przepisz to sto razy!”, a teraz sto razy wyświetlanych na ekranie), numerów wielocyfrowych lub wieloliterowych, które w mojej pamięci — tak czy inaczej — z reguły nie pozostawały do następnej lekcji.

Nie miałem kompleksu niższości, martwiła mnie tylko mroczna perspektywa powtarzania każdej klasy. Oczywiście, gdyby mi bardzo na

tym zależało, zapamiętałbym szereg kilkunastocyfrowych numerów. Lecz wtedy musiałbym nosić je w pamięci nie wiadomo ile lat — może nawet do końca życia, obojętne, czy zawierałyby istotną treść, czy jakieś brednie, a już wówczas zauważyłem, że każdy numer, wbity przemocą do głowy, tłumi jasność świadomości i — co za tym idzie — ogranicza wyobraźnię. Nadal więc popełniałem karygodne błędy: rachunkowe — w zliczeniach kwot przelanych „na ten cel szlachetny” — i ortograficzne: w hymnach pochwalnych na cześć wspaniałomyślności władz.

Zdarzyło mi się wprawdzie raz na lekcji geometrii, że zadziwiłem wszystkich własnym dowodem znanego twierdzenia, innym zaś razem wizytator, któremu pani Ewelbuch po jakiejś klasówce dla rozrywki pokazała moją pracę, zamiast ryknąć śmiechem na widok kolekcji osobliwych byków zwrócił jej uwagę na logiczną interpunkcję i oryginalny styl chłopca — ale któż by tam zaraz dostrzegął niepowszechni talent po samodzielnym dowodzie twierdzenia lub po zgrabnym użyciu pauzy czy przecinka.

Sprawa była jasna: śmierdzący leń albo niepospolity matoł. Zimowe ferie spędziłem na pisaniu wierszy. Postanowiłem zmierzyć swe młode siły z dojrzałym talentem regionalnej poetki, patronki nowej szkoły, której od czterech miesięcy zawdzięczałem tak wiele czystego światła. Utwory swe pisałem w tajemnicy przed dorosłymi. Jeden z moich wierszy wychwalał ciepło domowego ogniska:

Cud stał się w zagrodzie pewnego wieczora
Gospodarz przemówił do telewizora
Rozkazywał groźnie przez półtora roku
Ale telewizor nie dał ani kroku
Więc huczał na niego przez sześć lat bez mała
Aż w biednej maszynie lampa się przegrzała.

W kunsztownych rymach tej strofy pogrzebałem cztery błędy ortograficzne. Mimo wszystko nie doszłoby jednak do żadnej tragedii, gdyby utwór nie wpadł w ręce pana Rozenta, który — zaintrygowany podejrzanymi chichotami dobiegającymi z miejsca pracy twórczej — nie przerywając sobie ciągu ostrych replik, kierowanych pod adresem spikera, opuścił podstępnie swe stałe stanowisko operacyjne, podszedł na palcach do mnie i sprytnie zajrzał mi przez ramię.

Zaraz po dzienniku południowym gospodarz uniósł głos na żonę i

spienił się pytając, jak długo jeszcze w swoim domu będzie musiał karmić i tolerować tego kretyna. Na to otworzyłem drzwi do pokoju i zauważyłem krnąbrnie, że przecież rząd płaci za moje utrzymanie, więc tylko jemu oraz pani gospodyni, a nie panu Rozentowi, zawdzięczam swoje utrzymanie.

Czegoś podobnego w domu tym jeszcze nigdy nie słyszały ściany! Następnego dnia gospodarz dał listonoszowi pismo do pana Consmana. Postulował w nim, aby jego wychowanek został przeniesiony do zakładu specjalnego dla dzieci umysłowo upośledzonych. Wniosek swój uzasadnił brakiem nadziei na jakikolwiek postęp w nauce oraz niebezpiecznymi wypaczeniami w moim charakterze, który bezczelnie odszczekuje swojemu opiekunowi przy każdej próbie sprowadzenia go na dobrą drogę.

List zawierał subtelną aluzję do głosu wydawanego przez Reksa. To delikatne słowo przyszło panu Rozentowi do głowy, gdy rano uświadomił sobie, ile czasu zmarnował w tej dziurze na obszczekiwaniu telewizora. Faktycznie: sześć lat bez mała! Do lampy kineskopowej miał żal głównie o to, że świat urządzony jest niesprawiedliwie. Nic nie dawał mu za darmo, a przecież pan Rozent urodził się — istniał! Miał dowód osobisty i przewód pokarmowy. Raczył pojawić się na Ziemi i od wielu lat siedział na niej z założonymi rękami. W takiej pozycji łatwiej mu było obserwować działalność ludzi i potępiać ich za dochody — niesprawiedliwe jego zdaniem. Bo ile razy próbował zająć się czymkolwiek, zaraz psuł wszystko dookoła siebie albo innym przeszkadzał w pracy do tego stopnia, że błogosławili go, kiedy prosił o zwolnienie. Siedział zatem uczciwie i cierpliwie czekał. Ale ile można czekać na coś, co każdemu się należy?

Przedtem wegetował w mieście, gdzie nie dali mu samochodu ani nawet własnego mieszkania. Zdobył je dopiero tutaj, a i to trafiło mu się cudem, jak ślepemu kogutowi kura. W trzydziestym dziewiątym roku życia dorobił się zaledwie trzech niewolników, którzy teraz na niego pracowali. Więc ilu brakowało do dziesięciu i gdzie tu była sprawiedliwość? Innym powodziło się lepiej. Z faktem tym nigdy nie mógł się pogodzić. Dlatego nosił w sobie poczucie wielkiej krzywdy i codziennie pluł na telewizor. Ta intymna profanacja sprawiała mu przyjemność z dwóch co najmniej powodów: najpierw miał złudzenie

nieograniczonej władzy, a następnie — uczucie pełnego bezpieczeństwa, gdyż systematycznie znieważany ekran w żaden sposób nie mógł go obrazić.

*

Wkrótce po zakończeniu zimowych ferii zostałem wezwany do eleganckiego gabinetu pana Consmana. Dowiedziałem się tam, że z jednej strony regulamin nie przewiduje możliwości trzykrotnego powtarzania każdej klasy, zaś z drugiej — dla młodzieży nauka w szkole podstawowej jest obowiązkowa. W takiej sytuacji, kiedy pani Rozent opiekę nad niepełnoletnim uregulowała prawnie, jej legalny małżonek mógł wysunąć wniosek o skierowanie mnie do zakładu specjalnego. Kierownik szkoły — jako człowiek dobry i zarazem przekonany o mojej ułomności — nie zamierzał mnie straszyć widmem jakiejś kary. Również w nowej szkole był wyrozumiały dla wszystkich matolek i jak dawniej nie cierpiał jedynie uczniów samodzielnych.

Nie podejrzewał mnie o lenistwo ani o ukryte zdolności. Należał do zwolenników teorii dziedziczności i uważał, że mój niedorozwój umysłowy jest wrodzony. Ponieważ sam nie był aż tak ograniczony, by wierzyć w wartość swego dyplomu, na powitanie pogładził mnie po głowie jak własnego syna. Miało to wymowę życzliwego gestu znaczącego tyle, co pocieszające słowa: „My, biedacy, jednakowo przez los pokrzywdzeni, zawsze powinniśmy sobie pomagać w naszym wspólnym nieszczęściu. Ale nie zapominajmy przy tym o dzielącej nas przepaści! Bo kto tu jest kierownikiem szkoły?”

Biorąc pod uwagę to zasadnicze pytanie oraz cechujący go tolerancyjny stosunek do osobników tępych, lecz karnych, pan Consman spróbował stworzyć w swym nowym gabinecie nastrój przeniesiony z domu, gdzie panuje miła atmosfera rodzinna. W celu wywołania tego efektu uśmiechnął się najpierw i porozumiewawczo zmrużył jedno oko. Następnie oświadczył, że zakład dla młodzieży intelektualnie niedorozwiniętej jest ośrodkiem — w gruncie rzeczy — bardzo sympatycznym.

Tam nie ma się czego bać! — wykrzyknął.

Opowiadając, jak wyobraża sobie życie i obyczaje panujące w przyszłym miejscu mojej nauki, skoncentrował się zwłaszcza na opisie zachowania moich potencjalnych kolegów. Ponieważ wciąż miał

wątpliwości, czy słowa dość celnie oddają całą przyjemność obcowania z nimi, jak amator na zawodowej scenie jął naśladować ich ruchy i głosy. Aby zachować pełniejszy realizm opisu, miny strojone przez nich zilustrowałyby szeregiem bardziej wstrząsających grymasów, gdyby w dalszym wykrzywianiu twarzy nie przeszkodził mu woźny, który (zaniepokojony jego strasznymi rykami) jak sanitariusz pogotowia ratunkowego wpadł bez pukania do gabinetu.

Mnie, swego słuchacza i widza, pan Consman postawił na nogi dopiero po sformułowaniu optymistycznej diagnozy. Wynikało z niej, że mój poziom umysłowy jest — niestety — niezwykle niski, a w związku z tym stan — bardzo krytyczny. Ale nie beznadziejny!

Od tego czasu żyłem w lęku między młotem szkoły a kowadłem domu. Z obu stron słyszałem solenne zapewnienia, że nie ma tu mowy o żadnej pomyłce ani — tym bardziej — o represjach czy zemście. Decyzję o skierowaniu mnie do ośrodka dla młodzieży umysłowo upośledzonej Rada Pedagogiczna podjęła po bardzo wnikliwej analizie sytuacji. Pojadę tam na początku przyszłego roku szkolnego. Opiekunowie nie życzą mi źle, lecz wprost przeciwnie — dobrze, przy czym kierują się troską o moje staranne wykształcenie i nienaganne wychowanie. Przecież mają obowiązek myśleć o przyszłości swojego wychowanka. Może obecnie jeszcze nie rozumiem, dlaczego swym wychowawcom powinienem zaufać. Jednak po latach, kiedy dorosnę, przyznam im rację i z pewnością przyjdę do nich z kwiatami, aby za wszystko serdecznie podziękować.

Tymczasem żyłem w nieustannym lęku przed zapowiadzianym wyjazdem do drugiej szkoły. Myślałem o niej jak o miejscu nowej, jeszcze bardziej wyszukanej kaźni. Gospodarz postraszył mnie profilaktycznie, że gdybym uciekł ze wsi, prędzej czy później zostanę gdzieś zatrzymany i do ośrodka dla idiotów doprowadzony siłą. Pan Rozent nie ukrywał swej pogardy dla mnie.

W tym okresie moja niechęć do szkoły przekroczyła granice nienawiści. Przestałem również czytać książki. Kładłem się do łóżka wcześniej, ale długo nie mogłem zasnąć. W całym ciele czułem silny, niezwykle przyśpieszony rytm serca. W ciągu dnia też nie czułem się najlepiej: bywało, że bez żadnego powodu drętwiała mi ręka lub noga. Nie widziałem wyjścia z tej sytuacji. Jeżeli ludzie, którzy nazywali siebie inteligentnymi, potrafili wywołać u mnie taki wstręt do nauki, to czego

mogłem się spodziewać po wieloletnim przebywaniu w towarzystwie osobników bez wątpienia ograniczonych? Na podstawie dotychczasowych doświadczeń wyobrażałem już sobie, jakimi metodami rozwija się tam upośledzony intelekt. Wszelkie rzeczywiste poznanie wymaga niekłamanego zaangażowania, które dopiero wtedy może prowadzić do nieoszukanej prawdy, gdy powodem każdego wysiłku jest niepozorowana miłość. Lecz czy to szczere uczucie kiedykolwiek wywołał ktoś terrorem?

W sierpniu pan Rozent wycofał swoje żądanie umieszczenia mnie w ośrodku specjalnym. Wcale jednak nie kierował się litością: po długim namyśle doszedł do prostego wniosku, że gdyby mnie wypuścił z domu, straciłby nie tylko tanią siłę roboczą, ale i rządową dotację na moje utrzymanie. Formalnie zmianę decyzji wytłumaczył bardzo złym stanem swego zdrowia i nawałem pracy w gospodarstwie.

Ja jednak miałem już dosyć. Zapas mojej cierpliwości wyczerpał się ostatecznie. Miałem dosyć: pana Rozenta, jego terroru i obelg, szkoły z jej drylem, tego, co nazywano tu cywilizacją. Ogarnęła mnie skrajna nienawiść do otoczenia.

Jaka będzie tutaj moja przyszłość? W najlepszym przypadku będę do końca życia parobkiem u pana Rozenta lub któregoś z jego sąsiadów. Robotem, czymś w rodzaju domowego zwierzęcia przeznaczonego do ustawicznej monotonnej pracy — pracy bez końca. Pracy nudnej i ogłupiającej, nie dającej żadnej satysfakcji. Nie, nie mogłem się na to zgodzić. Postanowiłem uciec i powrócić do Strefy Skażonej. Chciałem jak dawniej iść z hordą wiecznie pustymi ulicami miasta, którego granice leżały zawsze gdzieś w nieosiągalnej dali. Patrząc tam daleko, gdzie stalowe niebo łączy się pozornie z betonową ziemią, na jasny pas błękitu widzialny w prześwitach między wieżowcami. Tak, będę znowu dziki, ale będę wolny. To, czego się tu nauczyłem, przekażę członkom mojej hordy, umiem już korzystać z „dobrodziejstw” cywilizacji, nie będę pił wody z muszli klozetowych i wiem, jak korzystać z zaworów i innych urządzeń, a czego jeszcze nie wiem, to się domyślę, bo wiem, że to wszystko, co tam jest, zostało zrobione przez ludzi i dla ludzi.

Moje mięśnie i kości przystosowały się do ciężenia grawitacyjnego na powierzchni Ziemi, tam w Strefie Skażonej — będę siłaczem. Za kilka lat, gdy dorosnę, na pewno zostanę wodzem hordy.

Uciekłem późnym wieczorem, gdy wszyscy zasnęli. Ze skrytki pani Rozent, w szafie pod prześcieradłami, zabrałem na drogę kilka banknotów. Przez całą noc szedłem do stacji kolejowej. O świcie z wykupionym biletem siedziałem w wagonie pociągu jadącego do miasta.

Konduktor sprawdzający bilety spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Jedziesz chłopcze bez opieki? — spytał.

— Tak — potwierdziłem. — Jadę do miasta do cioci, która będzie czekać na mnie na peronie, bo wie pan, mama zachorowała i nie mogła jechać ze mną — skłamałem gładko.

Kiwnął ze zrozumieniem głową i wyszedł z przedziału.

Po kilku godzinach jazdy wysiadłem z pociągu na peronie pierwszej podziemnej kondygnacji. Odszukałem szybkobieźną windę i zjechałem na poziom szesnastej kondygnacji. Niżej zaczynała się Strefa Skażona.

Dwa dni zajęło mi odtwarzanie w pamięci drogi do windy, którą tu przyjechałem. Przecież w końcu ją znalazłem.

Gdy wreszcie stanąłem w kabinie windy wpatrzony w rzędy przycisków, ogarnęła mnie rozpacz. Pod moimi stopami było trzy tysiące kondygnacji. Znalezienie kondygnacji, na której żyła moja horda było możliwością znalezienia igły w stogu siana. Zamknąłem oczy i na ślepo przycisnąłem cztery przyciski.

Gdzieś się zatrzyma — pomyślałem.

Czekała mnie długa droga w nieznaną, mogłem znaleźć inną horde, ale nie było żadnej pewności, że ją znajdę.

Winda ruszyła — przyśpieszała coraz bardziej. Byłem znowu wolny.

Oaza

Pokryte czarnym dymem słońce chyliło się już ku ściekowi przy zachodnim wysypisku, gdy chłopiec znalazł drugą butelkę trucizny. Nad pierwszą długo się nie zastanawiał: wypił jej zawartość, choć wcześniej obiecał sobie, że połowę gryzącego płynu pozostawi dla młodszej siostry. Lecz na widok skrzyżowanych puszczeli i trupiej czaszki, która uśmiechnęła się do niego z brudnej nalepki niecierpliwego malec zapomniał o przyrzeczeniu.

Drugie naczynie wyglądało jeszcze groźniej: wypełniała je półpłynna, brunatna-zielona masa o niezwykle ostrym zapachu, toteż chłopiec bez głębszego namysłu pozostawił w butelce połowę trucizny, aby siostra mogła ją skosztować i pochwalić go za dobre serce. Zwłaszcza podeszły wiek niespodziewanej zdobyczy mógł zaimponować tej zarozumiałej smarkuli: wyrzucona na śmietnik śmiercionośna substancja przeleżała bowiem kilkadziesiąt lat na szczycie Wschodniego Wysypiska zanim malec wygrzebał ją ze stosu zbutwiałych szmat, puszek po coca-coli, spłowiejącej na słońcu makulatury.

Szczałkami rudych ze starości gazet chłopiec uzupełnił braki w połatanej garderobie. Przed zjazdem z hałdy żużlu ze szczególną starannością zabezpieczył sobie pośladki wsuwając pod zdarte spodnie dwutomową rozprawę „O ochronie naturalnego środowiska”. Ponieważ przeciętnie jedna kartka „ochrony” zdzieraa się na dystansie jednego metra, przy rodzinnym ognisku rozpalonym u podnóża góry chłopcu pozostały do przeczytania tylko dwie ostatnie strony tego znakomitego dzieła.

Kobieta czekała na niego ze spóźnionym obiadem.

— Gdzie byłeś?

— Bawiłem się na wysypisku.

— Wołam od godziny, zdzieram gardło w czystym powietrzu, a ten szczeniak przepadł jak kamień w rynsztoku!

Zwykle słowa te poprzedzały długie kazanie, więc żeby nieco złagodzić gniew matki, chłopiec zapalił znaleziony na drodze niedopałek

papierosa. Ledwie otoczył się chmurą tytoniowego dymu, gdy kobieta znalazła dla nie o lepsze zajęcie:

— Skocz do kanału za Południowym Śmietnikiem i przynieś pół wiadra przemysłowych ścieków.

— Zaraz mamusiu. Może poszedłbym po obiedzie?

— Nie, synku! Kochany, biegnij teraz, bo nie mam czym rozcieńczyć zupy. Dziadek przytył ostatnio. Lekarz polecił, aby jego porcję uzupełniać czystymi, przemysłowymi ściekami. Staruszkowi nie wolno jeść potraw zanadto kalorycznych.

— A ja coś wiem, ale nikomu nie powiem! — zaśpiewała piskliwym głosem siedmioletnia siostra chłopca.

Patrzyła w kierunku zmjnowanego bunkra energetycznego. Na jego metalowej pokrywie leżał dziewięćdziesięcioletni starzec. Chłopiec podniósł zardzewiałe wiadro, Odciągnął dziewczynkę od ogniska i zaprowadził ją ścieżką między górami różnorodnego złomu przez wiekowe cmentarzysko samochodów do Południowego Śmietnika.

— Co wiesz? — zapytał, zanurzając kubek w ściekowym kanale.

— Wiem, ale nie powiem i już! — odparła przekornie.

— Dam ci coś, jeśli się dowiem.

— A co?

— Coś bardzo smacznego.

— Pokaż!

— Zamknij oczy i podnieś brodę.

Gdy usiadła przed nim na piętach, chłopiec wyciągnął z kieszeni butelkę. Była lepka od brunatno-zielonej mazi. Musiał pomagać sobie patykiem, by gęstą zawartość naczynia przenieść do szeroko otwartych ust siostry. Obserwował ją z wielkim napięciem. Twarz jej pokrywała gruba warstwa rdzawego pyłu.

Otworzyła oczy.

— Daj więcej.

— Już wszystko pożarłaś. — Zajrzał do butelki. — Pospieszylaś się tak, bo było dobre?

— Jeszcze jak! — Przełknęła ślinę.

— Mów, co wiesz.

— Wiem, dlaczego dziadek tyje.

— No.

— Podglądałem go dzisiaj rano. Kiedy wszyscy spali, zlązł z bunkra i począłpał do zbiornika suchych opadów atmosferycznych.

— Więc to on!

— Tak! Zlizał z folii cały pył radioaktywny. który mama od sześciu tygodni gromadziła dla chorego tatusia.

— Powiem o tym mamusi.

— Skarżypyta!

Niebo przysłaniała opona sinego dymu. Ołowiany obłok snuł się nisko nad doliną utworzoną między górami żużlu, skorodowanego złomu oraz zwaliskami przemysłowych i miejskich odpadków. Spękane rury i zabagnione kanały odprowadzały zatrutą chemikaliami półpłynną masę do środka kotliny, skąd wiatr roznosił po całej okolicy cuchnące powietrze. Zwarta zasłona dymu utrzymywała się nad oazą dzięki nieprzerwanej działalności kilkunastu kominów. Były stare. lecz wciąż buchały skłębionymi wyziewami z wnętrza ziemi, gdzie od lat pracowały niewyłączone automaty fabryczne.

Po powrocie do obozu dzieci usiadły grzecznie przy ognisku.

— Zaraz podam wam obiad — powiedziała matka. — Ale zapalcie jeszcze raz przed jedzeniem, bo na czczo jest bardziej zdrowo.

Postawiła przed nimi domową apteczkę. Wypełniały ją niedopałki papierosów znalezione na śmietniku. Zgubny nałóg dzieci rozwijały w sobie niechętnie. Kobieta pogładziła je po brudnych główkach i zwróciła się w stronę bunkra, gdzie leżał stary mężczyzna.

— Mógłby ojciec zwlec się wreszcie z tego rozładowanego promiennika! — zawołała donośnie. — Na reumatyzm najlepszy jest kwas solny, bo on najprędzej przenika do kości. Ale ja w kółko powtarzam swoje, a ojciec całymi dniami nic mądrego nie robi, tylko się grzeje i grzeje.

— Jak? Co jeje?

— Mówię, że ta stara płyta dawno nie emituje śmiertelnych promieni gamma! A ojciec, jak ten głupi, wciąż się naświetla i naświetla.

— Co się tam etla?

— Pstro! Obiad na stole.

Dziadek zsunął się ze zrujnowanego bunkra i począł przebierać nogami w kierunku deski, gdzie stała puszka po konserwie napełniona porcją parującej zupy. Przez ostatnie lato starzec nosił ciężki strój

zimowy. Wyglądał w nim jak baleron. Miał na sobie kilkanaście kilogramów rudej makulatury, którą powiązał w paczki i przykrępował do ciała kawałkami zardzewiałego drutu. W tym stroju człapał z widocznym trudem. Przy stosie potłuczonych butelek zgubił kierunek, zatrzymał się by węchem ustalić położenie stołu, lecz po wprowadzeniu poprawki do kursu nie od razu ruszył w dalszą drogę.

Zawsze przed jedzeniem odzyskiwał dobry humor. Wtedy lubił trochę pożartować, co jednak nie wychodziło mu na dobre, gdyż synowa miała ponure usposobienie. Stał chwilę w pyłowej chmurze, którą wiatr zwiewał z góry czarnego popiołu i uśmiechał się do własnych myśli.

— Zamiast kopcić po sześćdziesiąt papierosów dziennie — rzekł przekornie pod adresem palącej młodzieży — moglibyście choć raz wyjść na brzeg oazy i łyknąć haust świeżego tlenu.

— Co też ojciec znowu plecie? — zaniepokoiła się kobieta.

Dzieci zwróciły na starca przestraszone buzie.

— Tak mi się wyrwało... — Zakasłał.

— Zaciągajcie się głęboko, moje małe głuptaski. Dziadkowi znowu się wyrwało, choć każdy wykształcony człowiek wie, że bez nikotyny nie ma mowy o prawidłowym rozwoju młodego organizmu.

Starzec doczłapał do wygasającego ogniska. Obok piętrzyła się sterta złomu usypana ze szczątków maszyn liczących. Zajmując przy niej miejsce siadł ciężko na wystającym z błota odbiorniku telewizyjnym.

Kobieta przechyliła nad garnkiem solniczkę z cyjankiem potasu. Lubiła ostre przyprawy, to też niepokoił ją fakt, że ich zapas topniał w zastraszającym tempie.

— Ciągłe mi ojciec dzieci demoralizuje — wróciła do drażliwej kwestii. — Świat niby zwiedził, na złomie się zna i makulaturę przeczytać umie, a jak coś przy wnukach palnie podniosła głos — to aż włosy się jeżą na głowie!

— I tak długo ich nie upilnujesz — westchnął żałośnie. — Młodzież wcześniej teraz szuka narkotyków. Dziś ty ich nie uświadomisz, to jutro od łobuzów z sąsiedniego rynsztoka dowiedzą się, że wśród wszystkich środków dopingowych po zastrzyku z czystych witamin i słonecznym promieniowaniu najbarwniejsze halucynacje wywołuje porcja świeżego powietrza.

— Matko moja! — Kobieta zatkała dzieciom uszy. — Ani słowa na

ten temat, bo przy kolacji nie zobaczy już ojciec więcej swojej ćwiartki denaturatu.

— Grozisz, bo wiesz, jak ja lubię tę naftę.

— Toż nikt dziadkowi nie żałuje, jeżeli akurat wygrzebiemy z ruin kilka omszałych butelek jakiegoś dobrego rozpuszczalnika. Ale do wychowania dzieci niech mi się ojciec nie wtrąca.

Starca raniły przykre uwagi, jakich nigdy nie szczędziła mu synowa, dlatego posmutniał i zamknął się w sobie. Wolał w milczeniu patrzeć na krajobraz, niż dalej drażnić ponurą kobietę i prowokować jej groźne represje.

Na znacznej wysokości utworzył się pancierz gęstego smogu. Szczątki kominów odprowadzały dym do atmosfery, rzadko gdzie prześwietlonej anemicznymi promieniami słońca. Od strony góry popiołu dryfowała ku nim pyłowa chmura, której wiatr nadał kształt powietrznej trąby. Wir rwał na strzępy pożółkłe gazety, szargał partytury, przewracał kartki w przegniłych tomach, zdzierał ze szpul i wciągał do leja magnetofonowe i filmowe taśmy.

Dziewczynka podsyciła płomień ogniska resztką nie zjedzonej zupy.

— Prędko dziś tatuś wróci z ochrony naturalnego środowiska? — spytała, zbliżając usta do ucha matki.

— Przed północną, ty mój kochany brudasku.

— Dlaczego tatuś wraca coraz później?

— Bo niedziele zajmuje mu praca społeczna. Mówiłam wam przed trzema tygodniami, że na zebraniu mieszkańców naszej oazy wybrano go przewodniczącym Kółka Ochrony.

Z zaszczytnej funkcji cieszył się jak dziecko, tym bardziej, że do pierwszej akcji mógł skierować czterdziestu ochotników, dzięki czemu przed nocą wykarczowano hektar młodego lasu. Niestety, wkrótce zapal dzielnych drwali zmalał, toteż później ich praca nie przebiegała dość rytmicznie. W następną niedzielę liczba ludzi świadomych groźącego nam niebezpieczeństwa zmniejszyła się do dwudziestu. Przed tygodniem do walki z podstępny żywiołem zgłosiło się już tylko piętnastu aktywistów, zaś dzisiaj z miejsca porannej zbiórki tatuś zaprowadził na skraj dżungli ledwie pół tuzina najtrwalszych zapaleńców. Sześcioma siekierami nieprędko ogołocą z bujnej roślinności wytyczoną ambitnymi planami działkę.

Optymistyczny ton w głosie kobiety, gdy mówiła o ambitnych planach męża ostatecznie zdenerwował starca.

— W przyszłą niedzielę sam jak palec pójdzie do tej beznadziejnej orki!

— Pójdzie! — pochwyciła bystro.

— Zamiast pilnować kupy własnych śmieci, marnuje zdrowie i traci czas na syzyfową pracę.

— Trudno! Ktoś musi myśleć o przyszłości naszych dzieci. Zielone niebezpieczeństwo...

— Ono jeszcze im nie grozi. Dżungla wdziera się w głąb oazy z prędkością stu metrów w czasie jednego roku, więc do jej środka dotrze na początku przyszłego wieku. Dopiero następne pokolenie będzie musiało szukać schronienia między fabrycznymi kominami.

— Nasze dzieci mogłyby przenieść się do sąsiedniej oazy — zauważył chłopiec.

— Opty... pty... — wykrztusił starzec, walcząc z atakiem suchego kaszlu.

— Synku. — Kobieta trąciła malca i wskazała mu bezdymny płomień. — Wrzuc do ognia rolkę smołowanej papy, bo biedny dziadek nie ma już czym oddychać. Ja wyjdę na spotkanie waszego tatusia.

— Optymista z ciebie! — dokończył starzec po korzystnej zmianie wiatru. Bezkresna dżungla zdławi w drodze każdego podróżnika. Teraz, po upadku sąsiednich wytwórni, od najbliższej oazy dzieli nas odległość czterystu kilometrów. Do ruin miast las wdziera się z coraz większą prędkością. Straciliśmy wszystko. Dziś już nic nie uchroni przed zagładą ocalałych z programu nielicznych świadków katastrofy, choć jeszcze w epoce mojego dziadka, gdy nasz glob zamieszkiwało sześćdziesiąt miliardów ludzi, całą ziemię pokrywało tylko naturalne środowisko.

— A co pokrywało wodę? — zainteresowała się dziewczynka.

— Korytami rzek też płynęły czyste, przemysłowe ścieki i świeże odchody miejskie, zaś na powierzchni oceanów kołysała się gruba warstwa rozlanej przez tankowce naftowej ropy.

— To roślinek jeszcze wtedy nie było na świecie?

— Istniały w niewielkiej ilości. Tu i ówdzie eksperymentowano na nich. Ale były znane tylko naukowcom. Wegetowały pod ścisłą kontrolą wybitnych specjalistów, którzy syntetyzowali je ze związków

nieorganicznych i trzymali w laboratoriach zwanych inspektami.

— Więc już wówczas insekty mnożyły się pod ochroną człowieka?

— Nie „inse”, ale „inspe” — skorygował chłopiec.

— A do czego służyły inspekty?

— Tak kiedyś nazywano szklane komory przeznaczone do duszenia zielonych szkodników.

— Ty też mógłbyś czasem pogrzebać w bibliotece — poradził chłopcu starzec, wskazując mu śmietnik.

— W tamtych, jakże odległych i beztroskich latach nikt jeszcze nie nazywał roślin szkodnikami ani nie myślał o walce ze zwierzętami, które również konstruowano według wskazówek inżynierii genetycznej i przechowywano w klatkach. Przeciwnie — pierwsze ich egzemplarze otaczano troskliwą opieką: uczeni szczylicili się nimi, bo choć nikomu nie były potrzebne, potwierdzona pomyślnymi eksperymentami teoretyczna możliwość stworzenia ich pozwalała nam wierzyć w potęgę ludzkiego intelektu. Mówiłem wam przecież, że zanim wyprodukowano pierwsze sztuczne rośliny i zwierzęta, całą Ziemię pokrywało jedynie naturalne środowisko.

— Jeżeli ono było naturalne, to czemu w epoce naszego pradziadka wyginęła prawie cała sześćdziesięciomiliardowa ludność ziemską?

— To właśnie stanowi największą zagadkę. Nikt jej dotąd nie rozwiązał, chociaż w celu usprawnienia obiegu fantastycznych domysłów podwojono nakłady makulatury.

— Jednak wtedy nie wszyscy umarli — zauważył chłopiec. — Ciekawe dlaczego w czasie tamtego pogromu ocaleli akurat ci nieliczni ludzie, którzy — podobnie jak my — byli najbardziej uczuleni na szkodliwe działanie ciszy, słonecznego promieniowania, czystej wody i świeżego powietrza oraz na jadowite zapachy kwiatów.

— Rzeczywiście. Wszyscy uratowani wyróżniali się wyjątkowym brakiem odporności na zabójcze wyziewy roślinne. W procesie dziedziczenia cech przekazali nam swoje ekskluzywne uczulenia, dzięki czemu my również jesteśmy bardzo subtelni. Nasze organizmy są zanadto wrażliwe i — co za tym idzie — zbyt słabe, by wytrzymać atak dżungli pożerającej wszystko po latach ewolucji zielonego niebezpieczeństwa i jego nieustannej ekspansji zapoczątkowanej rozbiciem doświadczalnych inspektów.

— Więc jesteście tacy delikatni! — wykrzyknęła dziewczynka.

Rysy jej twarzy ściągnął skurcz zapowiadający wybuch płaczu.

— Lecz skoro nasi przodkowie byli również nieprzeciętnymi cherlakami, to czemu nie inni ludzie, tylko właśnie oni przetrwali katastrofę tragicznego wieku?

— Kochana, ja ci tego nie umiem wytłumaczyć. Jednak serce zamarło mi w piersi, gdy w twoim niedojrzałym szczebiocie usłyszałem szcęk żelaznej logiki.

Starzec sposepniał. Wybił korek z ćwiartki denaturatu, przechylił ją nad gardłem. pogrzebał w śmieciach, znalazł trutkę na szczury, zakąsił i wciągając w nozdrza smugę czarnego dymu, spojrzął na Południowe Wysypisko, spoza którego wynurzyła się prowadzona przez synową siedmioosobowa grupa mężczyzn uzbrojonych w siekiery.

— Gdybym potrafił zaspokoić twoją naturalną ciekawość — podjął miękko, z czułością prawie — byłbym bardzo mądry. Lecz wtedy, dziecino, nie dusiłbym się tu pod gołym niebem, gdzie już prawie nie mamy czym oddychać, ale z całą rodziną siedziałbym w luksusowym kominie, jak kapitalista jakiś.

Do obozu dotarło odbite od cmentarzyska samochodów echo rzewnej, pieśni, którą donośnym barytonem śpiewał przewodniczący Kółka Ochrony Naturalnego Środowiska wracający rześko z niedzielnej akcji:

Za głupie sto milionów lat
Nieczuły i swawolny wiatr
Rozwieje tu ostatni ślad

Soliście zawtórował zgodny chór żeńców:

Bo był już raz bezkresny las
Nim Ziemię spowił czarny gaz
Lecz przyjdzie znów pogodny czas
Gdy świeży bór pokryje nas

— Rymy do pieśni składać, to umiecie — pochwalił starzec syna, kiedy zorganizowana grupa dotarła do ogniska. — Ale czy praca idzie wam rytmicznie? Dużo dziś ogoliliście?

— W nosie mam taką robotę! — zaklął przy dzieciach mężczyzna. — O każdy skrawek nieużytków trzeba tam staczać zaciętą walkę. Przy kanale z wielkim trudem wykarczowaliśmy las paproci. Zaraz

skorzystały z tego skrzypy i jak czołgi wdarły się na wysypisko. Zrąbaliśmy je ostatnimi siłami. Aby nieco odetchnąć, szukamy fabrycznych kominów, a te kolosy przy widłakach wyglądają jak karły... i już ledwie zipią.

Dzisiaj wyszczerbiłem siekierę tłukąc w grubą kłodę pod stromym urwiskiem. Chciałem błysnąć przykładem zaangażowania, toteż wdrapałem się na zbocze, skąd poprosiłem kolegów o wymianę niesprawnego sprzętu. Rzucili mi piłę razem z dobrą radą, bym zjechał z tej góry, bo tyranozaury spalone na wolności mają teraz nogi jak kolumny, a zęby jak koparki: choć nie wyróżniają się wielkim refleksem, nie lubią przewlekłego łaskotania w pięty.

W ubiegłą niedzielę inne gady rozdeptały mi dwóch aktywistów. Stegozaury są bardziej poczciwe. I wcale nie takie głupie! Pod zręcznym jeźdźcem wydajnie tratują trawniki.

Niestety, obsługa tych ogromnych gadów stwarza trudności natury technicznej: mają one na grzbietach ostre tarcze rogowe. Kierujący nimi wytrwały dżokej po zejściu na stały ląd przez tydzień jeszcze trzyma się za obolałą głowę. Ale, byłbym zapomniał! Mam dla ciebie prezent, córeczko. Zobacz, co znalazłem na skraju dżungli.

Mężczyzna podał dziewczynce sznurek, do końca którego przywiązany był przedmiot ukryty w worku po cemencie. Dziewczynka pociągnęła za sznurek. Z worka wypadło dziwaczne stworzenie, trudno powiedzieć: krokodyl czy prosiaczek. Nie speszone obecnością ludzi pobiegło do sterty śmieci. Przez chwilę grzebało w szczątkach ginącej cywilizacji i wróciło do ogniska cmokając radośnie.

Odgłos ssania zainteresował wszystkich. W znalezionym przedmiocie, który tkwił w ryjku zwierzątka, obecni rozpoznali dziecięcy smoczek.

Dziewczynka szarpnęła za sznurek.

— Nie wrywaj mu nóżki! — skarcił ją dziadek. — W naszych wspaniałych, mezozoicznych czasach trudno wprawdzie znaleźć coś niezwykłego w tym niepozornym prassaku. Ale kto wie, co przyniesie następna, kenozoiczna era? Może za kilkadziesiąt milionów lat z czegoś tak niemilosierne śmiesznego wyrośnie jakaś człekokształtna małpa.

Kobieta wzruszyła ramionami i popatrzyła na starca ze współczuciem:

— Mógłby się wreszcie ojciec opanować. Świat niby zwiedził, na złomie się zna i makulaturę przeczytać umie, a jak coś przy dzieciach palnie, to aż uszy puchną!

Byle podmuchem losu

Znacznie później, ilekroć przy różnych okazjach, czy w związku z podjęciem pracy, czy też w kancelarii technikum pytano mnie, czym zajmował się mój ojciec, z pewnym zażenowaniem i z konieczności zgodnie z prawdą odpowiadałem: był pracownikiem MPO. Trafiłem często na takich ludzi, którzy nie rozumieli tego skrótu i tych nie lubiłem najbardziej, bo zmuszali mnie do bliższych wyjaśnień, czego raczej wolałem unikać. Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że wstydziłem się zawodu ojca (choć z drugiej strony nie będę się przecież upierał, że byłem z niego dumny): moje zakłopotanie wypływało z głębokiego przekonania, że precyzując jednoznacznie zawód ojca, wyrządzałem mu przez to wielką krzywdę, fałszując prawdę o jego życiu, które wbrew mylącemu stanowi faktycznemu wcale nie upłynęło mu na zwożeniu śmieci, lecz na robieniu różnych interesów.

Co prawda, żaden z prowadzonych przez ojca interesów nie spełniał pokładanych w nim nadziei, ale w chwilach, kiedy to sobie uświadamiam, przypomina mi się równocześnie wypowiedziane przez ojca zdanie, które mniej więcej miało taki sens, że człowieka nie należy oceniać za to, czym jest aktualnie, lecz przede wszystkim za to, czym chciałby zostać w przyszłości, bo cel określa jego dążenia i nadaje im sens.

Skoro już wspomniałem o tej wypowiedzi ojca, będzie na miejscu, gdy dodam do niej jeszcze inną, tym razem wyjętą z całkiem konkretnej scenerii, bo z baru znajdującego się na naszym osiedlu.

— Zrobisz jak będziesz chciał — zwrócił się do mnie ojciec, gdyśmy się pochylali nad pierwszą w moim życiu wódką. — Po mojemu, technikum niczego ci nie dało. Zostaniesz teraz zwykłym popychadłem, jak mnie nie posłuchasz. W życiu trzeba stać mocno na nogach. Ludzie wykiwają ciebie.

Przez wszystkie ostatnie lata zdarzało się coraz częściej, zwłaszcza na wiosnę, ale czasem i o innych porach roku, że rodzice przesiadywali w kuchni i do późnych godzin nocnych naradzali się nad czymś, omawiali różne korzystne zajęcia, snuli projekty, które miały wnieść radykalną

zmianę w bieg naszego życia. Pomysły głównie wychodziły od ojca; rzucał je niby to żartem i na marginesie ustalonego już wieczornego porządku (z wolna przekształcającego się w porządek ciągłych narad), gotów wycofać się, gdyby myśl jego okazała się zbyt śmiała, ale gdy matka pochwaliła jego projekt i nawet go rozwijała, ojciec dorzucał jeszcze coś więcej, odsłaniał nowe zachęcające perspektywy, co z kolei mobilizowało znów matkę. A od tej chwili już razem, to kłócąc się na jakiś uboczny temat, to znów licytując się wzajemnie w malowaniu coraz to jaśniejszej przyszłości, omawiali różne sposoby i możliwości wprowadzenia tych pomysłów w życie. Rezultat takich nocnych narad był z reguły ten sam: następnego dnia po obiedzie ja i moje dwie młodsze siostry dowiadaliśmy się, że ojciec wpadł na świetny pomysł, że już niedługo będziemy mieli masę pieniędzy, że należy się dziwić, czemu tak szczęśliwa myśl dopiero teraz przyszła ojcu do głowy — słowem, że zaczynamy rozkręcać nowy interes.

Pierwsze pomysły ojca obracały się wokoło hodowli. Raz były to kury — wówczas, rankiem następnego dnia ojciec brał mnie ze sobą na targ, skąd wracaliśmy z kilkoma kwokami i koszem jaj, innym razem były to jakieś zwierzęta futerkowe — a wtedy, przez kilka kolejnych wieczorów zastanawialiśmy się bezskutecznie, gdzie je można nabyć i jak wygląda ich hodowla; kiedy indziej ojciec wydawał ostatnie pieniądze, aby kupić ul z rojem pszczół.

Jak już powiedziałem, autorem prawie wszystkich pomysłów był ojciec; na nim też spoczywał cały ciężar związany z utrzymaniem domu i z pokryciem wydatków, jakie pociągała za sobą każda nowa inwestycja.

Latem podczas upałów ojciec przychodził do domu późno, odpadki szybko psuły się, toteż przedsiębiorstwo domagało się częstego opróżniania pojemników. Na krótko przed jego powrotem z pracy matka zwoływała nas wszystkich do siebie. Braliśmy ścierki do rąk i biegając po całym mieszkaniu przepędzaliśmy muchy. Jakoś na dłuższą metę nie mogliśmy sobie z nimi poradzić: widać lubiły te różne rzeczy, które ojciec do domu znosił. Szczególnie uporczywie krążyły przy piętrzących się w komórce i pod szerniąłą ścianą domu stosach makulatury i szmat. Jako młody chłopak przyglądałem się im często i wydawało mi się to dość dziwne, bo nie mogły się przecież takimi odpadkami żywić. Gdy już wszystkie muchy wyleciały poza okna kuchni, matka zamykała je przed

nimi, chociaż był akurat największy upał. Ojciec bardzo nie lubił, kiedy w czasie obiadu jakaś mucha włąziła mu do talerza z zupą. Myślałem wtedy, że kto jak kto, ale on już wiedział najlepiej, ile to różnych zarazków może na sobie pomieścić taki dokuczliwy owad. Siadaliśmy przy stole nad pustymi jeszcze talerzami zupy i czekaliśmy cierpliwie na jego powrót.

Właśnie te różne jego powroty najbardziej utkwiły mi w pamięci, bo od nich zależało często, jaka będzie pozostała część dnia. Jeszcze zanim ojciec wszedł do sieni, spoglądaliśmy na jego mocno przygarbioną postać przez wąskie, wychodzące na podwórko okno, gdy spoza zmurszałych stajenek zbliżał się do naszego domu. Widzieliśmy go, jak układał na stosach przyniesione ze sobą powiązane sznurkami lub drutem paczki makulatury i tobołki szmat. Te ciężary interesowały nas najmniej; korzyść z nich była tylko taka, że co jakiś czas, gdy się ich już więcej zebrało, ojciec przewoził je na taczkach do składnicy, gdzie mu zaraz wypłacali pieniądze potrzebne na różne wydatki, jak na przykład na nawóz, jeżeli akurat postanowił hodować pieczarki. Znacznie bardziej intrygowała nas zawartość spoczywającego na ścieżce worka, który ojciec nosił zawsze ze sobą do pracy, a wracając odkładał na bok, żeby mu nie przeszkadzał przy sortowaniu szmat. Ja i moje siostry wpatrywaliśmy się w ten worek z wielką niecierpliwością, prawie z pożądaniem, w którym była ufność w szczęśliwy dzień, na próżno usiłując odgadnąć, co też tam dzisiaj może w nim być. Były to chwile największego napięcia i z trudem się hamowaliśmy przed pchającą nas w jego stronę silną pokusą. Trzymała nas na miejscach obawa przed surowym spojrzeniem ojca, który we wszystkich lubił ustalony porządek i wybuchał zaraz gniewem, gdy ktoś z nas okazywał mu nieposłuszeństwo. Tylko najmłodszemu z nas, czteroletniemu Jackowi, wolno było wybiec przed dom i kucnąć przy worku, chociaż on też nie miał prawa przed czasem zaglądać do jego wnętrza.

Kiedy już ojciec uporał się z papierami, brał worek pod pachę i wchodził do izby. Matka czekała na niego z miednicą gorącej wody. Ojciec zawijał rękawy koszuli, brał proszek i mył dokładnie ręce, a potem — w drugiej już wodzie — szyję i twarz. Pochylał się przy tym nad miednicą tak nisko, że mu koszula wychodziła ze spodni i mogliśmy wtedy zobaczyć, jaki był spocony po tym upalnym dniu. Podczas gdy

matka nalewała zupę do talerzy, następował moment szczególnie dla nas uroczy: ojciec wysypywał zawartość worka na podłogę. Zaraz po obiedzie wolno nam było dowolnie przebierać w tych różnych cennych rzeczach, jakie głupi ludzie bez zastanowienia wyrzucają do swych kubłów jako odpadki. Najpierw były tam różne przedmioty, które od razu trafiały w ręce rodziców, a w nas nie wzbudzały żadnych emocji. A więc całkiem jeszcze przyzwoite części garderoby, jak na przykład lekko przetarte spodnie, niemodne już sukienki, czasem poplamione, a czasem nie, albo zdarte buty z dobrymi wierzchami, to znów jakiś budzik, który miał w porządku cały mechanizm z wyjątkiem jednego kółka, brzytwa dobrej marki z jedną tylko szczerbą, a raz to nawet ojciec przyniósł pod pachą niezbyt starą, tylko trochę rozprutą na boku kołdrę. Takie to i tym podobne przedmioty wypadały z worka od czasu do czasu wśród wielu innych mniej wartościowych, których tu nie wymieniam, a moi rodzice zabierali się zaraz do ich przeglądu, czyszczenia i reperacji. Tymczasem myśmy klękali nad pozostawionym nam stosikiem i grzebaliśmy w nim na wyścigi, znajdując rzeczy bez porównania ciekawsze i cenniejsze. Zdarzały się tam różne mogące się nam na coś przydać drobiazgi, jak — że wymienię tylko kilka z nich okulary z pękniętym szkiełkiem, zgięte, ale jeszcze trzymające się na nosie, nożyczki ze złamanym czubkiem; grzebień, w którym brakowało tylko jednego zęba lub zdekompletowane wieczne pióro.

Ale też bywało, że któreś z nas z wypiekami na twarzy, korzystając z ogólnego zamieszania i podniecenia opuszczało dyskretnie naszą gromadkę i wymykało się gdzieś na podwórko. W lot odgadując perfidną przebiegłość tego manewru, dopadaliśmy go wtedy za drzwiami albo ukrytego już gdzieś w jakiejś dziurze i dopóty wykręcaliśmy mu rękę, aż wypadła z niej zatajona przed nami zdobycz najcenniejsza. Płacz w takich chwilach — choćby i najdonośniejszy — nie robił na nas żadnego wrażenia, bo o tym do kogo będzie należał przedmiot sporu, zgodnie z wolą ojca, zawsze decydowało losowanie. Nierzadko przedmiotem tym był jakiś tępy scyzoryk, lekko zardzewiały pistolet na kapiszony lub miś z urwanym nosem, a niekiedy nawet jakaś uszkodzona zabawka mechaniczna, którą łatwo można było naprawić, nowy kalejdoskop lub duża stara lalka.

Jednak zdarzało się dość często, że ojciec wracał do domu markotny,

a jedynym przedmiotem jaki trzymał w ręku był jakiś garnek z urwanym uchem albo całkiem już wylusiała szczotka — niegdyś zgrabne cacko do odkurzania garderoby. I nie musiał nam wtedy mówić, że dzisiaj nie stał na kupie, bo pan Załązka znów go dzisiaj wykiwał: sami to już Wcześniej widzieliśmy patrząc znad talerzy, co czekały na zupę, przez okno — na jego pusty worek. Od wielu już lat w niektóre wieczory matka na końcu odmawianego razem z nami pacierza popłakiwała cicho, gdy akurat przyszedł jej na myśl ów pan Załązka i modliła się głośno, żeby już wreszcie wrócił on do swego oddziału opróżniania szamb, czyli tam, skąd na nasze nieszczęście przyszedł, i żeby go nigdy Pan Bóg nie ukarał za tę jego podłą chytrą. I myśmy też temu panu Załázce wszystkiego dobrego życzyli, a głównie tego, żeby mu się coś przytrafiło, kiedy będzie się wspinał na platformę ciężarówki zajmując ojcu najlepsze stanowisko.

Ojciec był najstarszym wiekiem i stażem pracownikiem, toteż było akuratnie — jak mówił — i po sprawiedliwości, gdy właśnie jemu przypadło miejsce na kupie, stanowisko najbardziej korzystne ze wszystkich, bo przecież niewiele można złapać na wierzchu pojemnika, kiedy się stęka nad nim dźwigając go do samochodu. Praca ojca polegała na tym, że stojąc na szczycie stosu śmieci chwycił podawany mu przez dwóch innych pracowników pojemnik, opróżniał go i — podczas gdy tamci szli po następny — on zajmował się sortowaniem. Widziałem nieraz jak ojciec to robił. Kijem, butem albo wprost ręką przerzucał makulaturę na jedno miejsce, szmaty na inne, wyłapywał i odstawiał na bok butelki, popiół zaś i co innego zostawiał na miejscu. Zgromadzone pod koniec pracy butelki, szmaty papiery i złom najprzeróżniejszy pracownicy dzielili równo między siebie, ale taka czy inna zawartość worka, ilość i jakość wygrzebanych ze stosu najcenniejszych rzeczy zależała wyłącznie od tego, czy ojciec stał na kupie, czy też na niej nie stał, bo go właśnie pan Załązka odpychał na bok do dźwigania i sam się na tę kupę gramolił.

Co jakiś czas, w wolne od pracy powszednie dni, niekiedy częściej niż raz na miesiąc, ojciec wyciągał spod łóżka obszerną płócienną torbę (też łup z jakiegoś pojemnika) i starannie układał w niej wszystkie nagromadzone przez ostatnie tygodnie przedmioty. Rzecz jasna, nie brał do torby byle czego, bo by się tylko naraził na śmieszność: jeżeli były to buty, to wyprostowane najpierw na prawidłach i wyczyszczone do

glansu, jeżeli spodnie — to wyprane, zacerowane i wyprasowane na kant; tak samo, jak kuchenki elektryczne, maszynki do golenia czy parasolki nie brał ze sobą, zanim ich dokładnie nie zreperował. Wychodził potem na bazar i wracał po kilku godzinach prawie zawsze z pustą torbą, ale za to z pieniędzmi i ze świeżym pomysłem. Wiedzieliśmy w takich chwilach, na co się zanosi i tylko czekaliśmy cierpliwie, co też tym razem ojciec powie — w jaki interes ulokuje swój nowy kapitał.

Moi rodzice — dzisiaj wiem o tym aż nadto dobrze — przy swoim wielkim zapale do prowadzenia interesów i nie mniejszej przedsiębiorczości nie orientowali się niestety wcale, że przy każdym rodzaju hodowli potrzebna jest określona wiedza, jakaś wstępna kalkulacja i gruntowne przygotowanie, jeżeli nie wspominać już o maksymalnym doświadczeniu. I tak, jeżeli decydowali się na budowę cieplarni, to już następnego dnia ojciec zwoził worki z cementem, kosztowne rury i szyby, aby niezwłocznie przystąpić do jej budowy. Rzucił ją po kilku tygodniach w połowie, bo się okazało, że całość należało gdzie indziej postawić, inaczej skonstruować, w inny sposób urządzić i wyposażyć, a przede wszystkim, to koszt ukończenia cieplarni w ogóle wielokrotnie przewyższał nasze finansowe możliwości. Gdy mowa była o pszczołach, skuszony legendarną pracowitością tych owadów ojciec kupował ul i stawiał go między drzewkami, których owoce — zgodnie zresztą z porą roku — już dawno zawiązały się na kwiatach. Potem co kilka dni przy zachowaniu wszystkich środków ostrożności, a przede wszystkim nakazując nam grobową ciszę, ojciec podchodził na palcach do ula, by z uroczystym wyrazem twarzy zajrzeć do otworu. Nie będę ukrywał, iż wszyscy sądziliśmy, jakoby już w tym punkcie kończyła się nasza rola: trud pierwszego pchnięcia, a zaczyna się gorączkowa i owocna działalność stworzonego do harówki roju. Jakież więc było zdziwienie i rozczarowanie, gdy po kilku latach dopłacania do tego interesu trafiliśmy wreszcie na kogoś znającego się na rzeczy, kto nam wytłumaczył, na czym polega całe nieporozumienie. Otóż zacząć od jednego ula i czekać przy nim na rezultat to dokładnie to samo, co wsadzić do ziemi jedno ziarenko grochu wstawić na kuchnię kocioł z wodą i zacierać ręce z uciechy na myśl o grochowej zupie. Należało bowiem od razu kupić wiele uli i kilkanaście razy do roku przewozić je samochodem z miejsca na miejsce po całej okolicy, zostawiając je na

kilkutygodniowe okresy czasu to tu — kwitnącej gryce, to tam na łące — kwitnącej koniczynie, oczywiście w porozumieniu z miejscowym gospodarzem. Ten sam informator ostrzegał nas równocześnie, że cały majątek przypadnie w ciągu jednego dnia, gdy pszczoły natrafią na drzewa opryskane jakimś środkiem chemicznym.

Na pieczarkach straciliśmy bodaj najwięcej pieniędzy. Nawóz koński jest bardzo drogi, tak samo grzybnia, a za deski potrzebne na półki też trzeba było drogo zapłacić. Pamiętam to dziś. bardzo dobrze, z jaką niecierpliwością oczekiwaliśmy na pierwszy rzut pieczarek. Całymi godzinami, kilka razy na dzień, to jedno z nas, to drugie zbiegało na dół do piwnicy i wracało zaraz na górę, a my. nie dowierzając jeszcze jego ponurej minie, wypytywaliśmy gorączkowo: „No co? Już? Już?” Wreszcie, gdy straciliśmy już ostatnią nadzieję, pewnego dnia Mańka wpadła do kuchni z rozwianymi włosami i z radosnym krzykiem: „Mamo! Rzuciły się! Są! Już wyłazą!” Tak jak staliśmy, każdy na swoim miejscu — to nad zeszytem pny odrabianiu lekcji, to z kotkiem na ręku, z łopata na podwórku, czy w kuchni przy garnkach — tak cisnęliśmy wszystko na bok i biegiem na dół — tup, tup, tup, po schodach — w tę przesyconą zapachem końskiego nawozu parną ciemność. A tam w piwnicy spokojniej już, ale z tym większym skupieniem patrzyliśmy po rudych półkach. I rzeczywiście: na środku jednej z nich widniała biała plama. Pochyliliśmy się nad nią. Ojciec wziął ją do ręki, obrócił w palcach i położył na to samo miejsce. I podczas gdy wszyscy już wiedzieliśmy, co to jest, tylko najmłodszy z nas, Jacek, jeszcze nie wiedział i cały drżący wspinał się na palce za naszymi plecami, bo on też chciał zobaczyć jak wygląda taki pieczarkowy rzut, a myśmy mu go zasłaniali, Oj, chyba zatłuklibyśmy na śmierć tę głupią i wstrętną kurę, która tutaj ośmieliła się znieść swoje jajko, ale właśnie wtedy, w pełnej napięcia wielkiej ciszy ten mały świntuch Jacek strasznie przeciągle skaleczył powietrze, co uratowało kurę przed naszą wyszukaną zemstą i cały nasz gniew skierowało na młodszego brata. Chyba już nigdy w życiu ten szczeniak nie dostanie takiego lania, jakie dostał wtedy w półmroku naszej piwnicy.

Wbrew pozorom, niewiele lepiej wiodły się ojcu interesy handlowe. Z reguły nie poprzestawał bowiem na pozbywaniu się wygrzebanych ze sterty, nierzadko dość osobliwych łupów, lecz sam chętnie skupował je

przed bramą bazaru od innych, mniej doświadczonych i czasami pojawiających się tam amatorów. Operacje tego rodzaju pochłaniały jednak znacznie więcej czasu, toteż ojciec decydował się na nie wyłącznie podczas swych urlopów. Aby uniknąć długich i kłopotliwych dojazdów do centrum miasta, przenosił się wówczas na kilka dni do naszego mieszkającego tuż przy bazarze kuzyna. Kilka razy asystowałem mu w czasie jego kupieckich popisów, był bowiem zdania, że już od wczesnej młodości powinienem śledzić nie tylko rezultaty, ale również precyzyjny mechanizm jego doświadczenia, by tym wcześniej złapać właściwy mu dryg. Skupujący towary handlarze z pewnych istotnych — jak się okaże — powodów nie pozostawali na samym targowisku, lecz ustawiali się przy wylotach prowadzących na bazar przejść oraz cieniutkim, porozrywanym tu i ówdzie wężykiem — wzdłuż sąsiadującej z bazarem ulicy, pod ścianami domów i przy krawężnikach, lepiej lub gorzej maskując się w tłumie przechodzących ludzi. Dla handlarzy tego rodzaju co ojciec głównym źródłem towaru byli odwiedzający bazar z zamiarem sprzedania na nim swych własnych skarbów, naiwni czasem, zwykli mieszkańcy miasta i jego okolic. Trzeba było dotrzeć do nich przed innymi nabywcami, a więc możliwie najszybciej, nie po to oczywiście, by zaraz wszystko od nich kupić (transakcja rzadko kiedy dochodziła do skutku), ale wyłącznie dlatego, aby się upewnić, czy nie mają przy sobie czegoś wyjątkowego i w dodatku za bezcen. Ci kierujący się w głąb ludzie — wciąż mówię o naszych dostawcach — nagabywani wiele razy po drodze i — aby użyć fachowego terminu — wielokrotnie na niej przeczesywani, przeszedłszy przez wszystkie fazy swego naiwnego pochodzenia ku centrum i osiągnąwszy je wreszcie, automatycznie, z punktu widzenia skupujących, przestawali się liczyć. Nie należało się, rzecz prosta, łudzić, że tam, w środku bazaru — proponowany przez nich towar względnie jego resztką zawierać może coś interesującego, tak co do swej jakości jak ceny.

Otóż, zamiast szukać ich w tłumie wałęsających się na terenie targowiska klientów ojciec, który niejednokrotnie chwalił się przede mną swym sprytem — mając równocześnie na uwadze wspomniany już wężyk swych konkurentów — szedł od razu do odległego o jakieś sto metrów pierwszego skrzyżowania ulic centrum komunikacyjnego dzielnicy, gdzie na przystankach pulsował (zasilony nowymi,

pochodzącymi z różnych środków lokomocji porcjami klientów) kierujący się w stronę bazaru tłum. Tam to właśnie — niejako u samego źródła tego potoku — znajdowało się stanowisko operacyjne mojego ojca. W przeciwieństwie do opisu miejsca jego pracy i uzasadnienia takiej a nie innej jego lokalizacji, które to dwie sprawy wymagały długich i precyzyjnych sformułowań — sam tok tej pracy na opisanym już stanowisku dałby się właściwie streścić jednym zdaniem.

Przez parę godzin dziennie patrząc w trotuar, prawie szeptem i niby to sam do siebie ojciec mruczał pod nosem coś, co nie od razu udało się zrozumieć: dozbyciaco, dozbyciaco, dozbyciaco?” Co jakiś czas ktoś z tłumy zbliżał się do ojca i po wymianie znaczących spojrzeń obaj odchodzili na bok do najbliższej bramy. Tam ofiarujący swój towar przechodzień otwierał walizkę, teczkę albo wyciągał coś z kieszeni. Ojciec pochylał się nad teczką i — asekurować się częstymi spojrzeniami spod pachy, które miały mu przynieść iluzję całkowitego bezpieczeństwa, kilkoma nerwowymi ale wprawnymi ruchami przebierał w jej wnętrzu. Potem prostował się i najczęściej z kamiennym wyrazem twarzy rzucał przed siebie ni to jakieś słowo, ni to westchnienie, coś jakby: „iiiiit-tam!” Cokolwiek by to było, ojciec chciał przez to powiedzieć, żeby tamten już sobie poszedł. bo tu się jego towaru nie weźmie. A wtedy wracaliśmy znów na róg i dalej: dozbyciaco, dozbyciaco, dozbyciaco?”.

Życie matki nie było również takie pogodne i lekkie, jak by to można było błędnie wnioskować z mojego dotychczasowego na jej temat milczenia. Gdyby ojciec oddawał jej do ręki całą swoją, zresztą wcale nie tak znów mizerną pensję, umiałaby tak ją wykorzystać, aby w naszej licznej rodzinie nigdy nie było niedostatku. Ale ojciec przynosił do domu tylko część tej pensji: resztę lokował w swoje interesy procentujące tylko teoretycznie w jego przechwałkach. Matka bardzo łatwo dawała się byle czym speszyć, nastraszyć, a potem przez całą bezsenność noc przewracała się z boku na bok i zgodnie ze swoim zwyczajem popłakiwała.

Z wczesnego dzieciństwa pamiętam pewien incydent, który w czasie kilkudniowej nieobecności ojca zajętego właśnie na bazarze kiwaniem swoich konkurentów wywołał w naszym domu wiele zamieszania, aby nie powiedzieć wręcz — panikę. Siedzieliśmy akurat przy stole od czasu do czasu wyglądając przez wspomniane już okno, z niemym pytaniem

czy tata do domu nie wraca. kiedy zamiast niego ukazała nam się na podwórku nieruchoma postać jakiegoś dobrze ubranego mężczyzny. Pan ów — z powierzchowności wyglądający na urzędnika, a więc na osobę budzącą tak samo szacunek jak i nabożny lęk — trzymał pod pachą dużą teczkę z napisem „AKTA”. Wcale się nie spiesząc najpierw zajrzał do naszej komórki, gdzie przechowywaliśmy trochę złomu i szmaty. potem — spacerkiem — okrążył zwalony pod ścianę domu stosik makulatury, a następnie z tym samym namaszczeniem wszedł do naszej sieni by się tu zatrzymać na dłużej, jakby chciał sobie policzyć wszystkie zgromadzone tam, lepiące się od brudu butelki. Chociaż wyglądało to na metodyczne i drobiazgowo śledztwo, podejrzewam dziś, że z całym powodzeniem dla swego przedsięwzięcia mógłby sobie je darować. bo i tak przyszedł do nas ze sformułowaniem już wcześniej zadaniem, którego nieobojętnym wstępnym warunkiem powodzenia była nieobecność ojca. Gdy w milczeniu zbliżyliśmy się do niego i otoczywszy go zwaną gromadką — z niemym pytaniem zawiśliśmy na jego ustach, człowiek ten gwizdnął przeciągle, włożył ręce do kieszeni spodni i z wysoko uniesionymi brwiami zapytał matkę o pochodzenie całego naszego zbioru. Na wszelki wypadek drżąc już na całym ciele. matka wyjaśniła mu, że ojciec pracuje w zakładzie oczyszczania miasta. Słyszając to, ten pan jeszcze wyżej uniósł brwi i jeszcze bardziej przeciągle gwizdnął. Następnie, wcale przez nikogo nie proszony do środka w milczeniu wszedł do pokoju. usiadł przy stole i otworzył swoją teczkę. Najpierw po kolei przerzucał wszystkie znajdujące się w niej papierzyska z lewej strony na prawą, potem jeszcze wolniej — z prawej na lewą, by wreszcie gdzieś w środku tego postrzępionego i przypominającego makulaturę stosu mruknąć: „To niedobrze. .. to bardzo niedobrze. bo trzeba będzie was surowo ukarać”. Naraz wstał i z podniesioną do góry ręką zwrócił się do matki z groźnym pytaniem: „Czy mąż nie wie, że wszystko, co obywatele wyrzucają do swych kubłów jako odpadki. automatycznie staje się od tej chwili własnością społeczną i zgodnie z najbardziej żywotnymi interesami miasta. jak również w myśl litery prawa musi i powinno trafić do miejskiej sortowni... a nie do waszych brudnych rąk?” Nie. nad tym matka nie zastanawiała się jeszcze nigdy i właśnie dlatego tym głośniejszą zaczęła dzwonić zębami, kiedy ten pan na nią groźnie spoglądał. Gość nasz był nieubłagany; dopiero wyciągnięty przez matkę z szafy

stuzłotowy banknot, kapitał którym miała pokryć wydatki trzech następnych dni, złagodził nieco surowy wyraz jego twarzy i usłyszeliśmy: „Może jakoś się załatwi”.

Jestem dziś przekonany, że trzy takie papierki, słówko „może” przemieniłyby w jego ustach w „na pewno”: nie mam jednak pewności, czy był to rzeczywiście jakiś urzędnik, czy po prostu oszust i naciągacz.

Kilka lat temu, kiedy ukończyłem technikum i z zaufaniem do otaczających mnie ludzi rozpocząłem samodzielną pracę ojciec, który — jak trudno to ukryć — niewiele zdążył się w swym życiu nauczyć, nie złamany jeszcze, ale — co też było widać — wyczerpany, zainwestował resztkę swych sił w ostatni interes, w ciemne kombinacje, których godnym ubolewania produktem końcowym było ogołocenie z długo zbieranych oszczędności naszego sąsiada, niewiele bogatszego i tylko mniej obrotnego niż on sam biedaka. Był to z jego strony krok ostatni, najwyraźniej rozpaczliwy. Bo — choć brzmi to jak ironia — rzadko kiedy można spotkać człowieka tak ambitnego i energicznego jakim był mój ojciec. Na krótko przedtem, przy butelce wódki, ojciec nie po raz pierwszy wyłożył mi swój punkt widzenia.

I dowiedziałem się wtedy raz jeszcze, czego dotąd słucham z nabożnym skupieniem, że w życiu trzeba mocno stać na obu nogach, że jak nie ty jego — to on ciebie, bo pływać można tylko na powierzchni — słowem kompletna dezaprobata dla mojego ukształtowanego już, samodzielnego i całkiem innego zdania.

Przyszły mi wówczas na myśl wszystkie jego tak żałosne, bo w jego rękach zawsze nieopłacalne hodowlane interesy, a wraz z nimi oczywiste spostrzeżenie, że przecież — udowodniono to już nieraz — wszystkie one razem i każdy z osobna nie były wcale — same w sobie — złymi pomysłami. Ale — i tego już nie dał sobie wytłumaczyć — trzeba było zabrać się do rzeczy zupełnie inaczej. Aby posłużyć się tylko jednym przykładem: nie trzydzieści, ani nie trzydzieści dwie kury należało hodować, lecz tysiące — całą fermę drobiu, w której wielu pracowników, wśród nich także ojciec, każdy na swoim miejscu, wykształcony specjalista i robotnik rozumnie składałoby kapitał swych zdolności, wiedzy, energii i zapału i razem zbieraliby ich owoce — już nawet nie dla wspólnego abstrakcyjnego dobra, ale chociażby tylko we własnym interesie.

Usłyszałem wtedy znany refren: „Ludzie wykiwają ciebie”. Czy wobec tego miałem mu powiedzieć jak ja w duszy płaczę nad tym jego małosłownym, ślepo trwoniącym energię pędem, który takim jak on ludziom każe sobie wzajemnie wydrapywać oczy? Do ostatniej chwili wierząc w przyjaźń ojca nie miałem zamiaru potępiać jego osoby, ale tylko reprezentowany przez niego i wcale nie odosobniony pogląd. W jego przypadku życie dokonało już się; już było w nim niestety za późno na jakąś zasadniczą zmianę. Ale czy ja, wychowany w atmosferze jego ideałów i zawsze posłuszny mu syn, ufając błędnemu mniemaniu, że dzieci nie mogą przerosnąć swych rodziców, miałem w ślad za nim — na co liczył — jeszcze raz, w takim samym zamroczeniu i tak samo samotnie, patrząc tylko na koniec własnego nosa, krok za krokiem człap, człap... — drążyć ten sam ochłap życia?

Anonim

List zaczynał się od wielu niezrozumiałych słów i takimi się kończył. Tekst miejscami nieczytelny, tu i ówdzie rozmazany wodą, pismo drobne, papier zszarzały od osiadłego kurzu, sztywny, po jednej stronie pożółkły, jakby wyciągnięty z kosza na odpadki — to zauważyłem i zdążyłem ocenić. Odkryłem go w najtajniejszej kieszeni ubrania mego, tam gdzie nikt obcy wcisnąć mi go nie mógł się ośmielić — a przecież się ośmielił — w czasie najbardziej nieodpowiednim z czasów, bowiem podczas jednej z tych słodkich chwil nieuzasadnionej pewności siebie, co przychodzą niekiedy wraz z budzącym się nagle i wciąż narastającym łomotem serca, które już wie, że nie należy im dowierzać. Właśnie chciałem zapłacić za kartę wstępu do wnętrza znajdującej się przede mną sali i w poszukiwaniu pieniędzy równie długo, jak bezskutecznie, przetrząsnąłem wszystkie kieszenie, kiedy naraz w miejscu spodziewanego banknotu wymacałem złożony kilkakrotnie świstek brudnego papieru. Wyjąłem go na przyćmione światło z tą naiwną pewnością siebie, co każe uznawać za własne przedmioty bliskie ciału i — co gorsza — w głębokim przekonaniu, że jest to jakieś stare, zapomniane pokwitowanie lub dawno uregulowany rachunek.

Istotnie list okazał się rachunkiem, ale innego rodzaju; ten rachunek wymagał uregulowania. Trzymałem przed sobą wygładzoną kartkę, obracałem ją w spoconych palcach i na próżno wciąż od nowa odczytywałem znaną już, niezrozumiałą treść.

Na wstępie szereg luźnych, bezładnych słów, szereg zdań czytelnych wprawdzie, lecz myśli niesprecyzowanych; dalej odcyfrowanie czegokolwiek stało się niemożliwe. Na drugiej stronie odczytałem coś, co mnie zaniepokoiło: *...bo wiem wszystko i nie myśl, że będę ukrywał. Wkrótce... w zbieraniu dowodów przeciwko tobie. Co prawda... ale i tak... i nie unikniesz śmierci.*

Następujący po tym fragment listu okazał się prawie zupełnie nieczytelny. Z trudem udało mi się odcyfrować kilka zaledwie słów: (...) *ujawnisz. .. choć może to być... władzom... ale zgodne... — brzmiał ocalały*

strzępek zdania — albo... wybieraj...!

Anonim — przemknęło mi. Pobiegłem wzrokiem do ostatnich wierszy — poniżej czysta strona, brak godła, podpisu brak; nie mogłem już dłużej wątpić, miałem przed sobą anonim.

Czyżby ktoś wiedział coś o mnie i sądził, że może mnie zdemaskować? Rażony tym przypuszczeniem wróciłem pamięcią niemal do chwili swych narodzin i począwszy od czasów najbardziej odległych, gubiąc się w licznych i trwożnych domysłach, zagłębiałem się myślą w najciemniejsze zakamarki życia mego — przecież daremnie, bo nie znajdowałem niczego nigdzie, co by usprawiedliwiało brutalność stawianej mi alternatywy. Gdybym wiedział przynajmniej między czym mam wybierać.

Naraz w grupie zebranych przed wejściem do sali ludzi zauważyłem mężczyznę, który wydał mi się znajomy. Nie pamiętałem już jego nazwiska, ale kiedy oczy nasze spotkały się na moment, dostrzegłem w jego spojrzeniu coś, jakby powitalne zmrużenie powiek. Ośmielony tym skinąłem mu lekko głową i skierowałem się do miejsca, w którym stał, lecz on widocznie w ogóle mnie nie zauważył, bo powoli zaczął się oddalać. Dogoniłem go w połowie korytarza i zrównawszy się z nim próbowałem nawiązać rozmowę, którą zacząłem od kilku zwykłych słów powitania, jakie się wypowiada przy podobnych okazjach. Odpowiedział mi niechętnie, jak gdyby z przymusem, który zresztą przychodził mu z widocznym trudem. Wyraźnie chciał się mnie pozbyć. Domyśliłem się, że pragnie uniknąć nudnie zapowiadającej się rozmowy, która, co najwyżej, mogła doprowadzić do ustalenia miejsca i czasu naszego zapomnianego już dawno spotkania, co nie musiało być ani interesujące, ani pożyteczne dla nas obu. Z tego więc powodu postanowiłem przejść od razu do sprawy, dla której zdecydowałem się go niepokoić.

— Dostałem anonim — powiedziałem spokojnym tonem bacznie go obserwując. Czy drgnął? Nie zauważyłem tego.

Szedł z głową pochyloną, z wzrokiem utkwionym w posadzce uważnie odmierzył długość kroku tak, aby stopy trafiały dokładnie między spojenia sąsiednich płyt — nic nie odpowiedział.

— Mówię, że dostałem anonim! — powtórzyłem, tym razem już z nutą niecierpliwości w głosie.

— Słyszę przecież — rzekł, zatrzymał się — tak... — mruknął. — Czy

musi mi pan o tym mówić?

Stanąłem przed nim. Zapiął ostatni guzik u marynarki i podał mi rękę. Odchodząc spojrzał mi po raz pierwszy w oczy.

— Pan wybaczy, bardzo się śpieszę — powiedział. — Co ja mogę panu pomóc? Uśmiechnął się smutno. — Nie mam wpływu żadnego — dodał, już idąc.

— Ale pan mnie nie zrozumiał! — krzyknąłem za nim.

Zwolnił. Odsunąwszy się pod ścianę — środkiem przechodziła grupa rozbawionych mężczyzn i kobiet — rozdeptał nogą niedopałek papierosa.

— Właśnie przed chwilą...! — powiedziałem, podchodząc do niego. — Nigdy bym się tego nie spodziewał. Taki cios... za co? Niech pan spojrzy, co znalazłem w swej kieszeni. Tutaj przechowuję dokumenty (zacząłem wyjmować różne zaświadczenia i pokwitowania — wszystko to kładłem sobie na dłoni). No. niech pan sam zobaczy. Do tej kieszeni nie tak łatwo coś wcisnąć... Guzik był zapięty, a jednak...

Patrzył w stronę drzwi, skąd ktoś przywoływał go do siebie. Mięśnie jego twarzy — dostrzegłem to spod chusteczki, którą wycierałem sobie spocone czoło — napięły się na moment i natychmiast rozluźniły.

— Ale jestem przekonany, że nie zasłużyłem sobie na żaden donos — powiedziałem drżącym głosem. — Nikt mi niczego nie może zarzucić.

— To czego się pan właściwie obawia? — zapytał. Poklepał mnie po ramieniu i odszedł.

Na korytarzu wiodącym do mojego mieszkania natknąłem się na dozorczynię.

— Mizernie pan dzisiaj wygląda — usłyszałem na powitanie jej niski głos. — Chyba coś pana męczy?

— Właśnie — podchwyciłem skwapliwie. — Dostałem anonim. Niczego złego nikomu nie zrobiłem. a tu nagle...

— Anonim? — zdziwiła się. — A od kogo ten anonim?

— Tego nie wiem. Gdybym wiedział nie byłoby anonimu.

— No pewnie! — Przestała zamiatać i wpatrywała się we mnie z głębokim namysłem. — To nic dobrego chyba... — powiedziała, a na jej twarzy odmalowało się szczere współczucie.

— Zeby pani wiedziała, jak się zdenerwowałem.

— I to musiało pana spotkać, jakby nie dość było zmartwień!

— Ktoś chce mnie zniszczyć. Ale dlaczego?

— Znajomi panu pomogą — spróbowała mnie pocieszać. — Ma pan przyjaciół?

— Widzi pani. to nie takie proste. Anonim może napisać nawet największy przyjaciel.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

— Takie nieszczęście! — szepnęła.

Przekręciłem klucz w zamku i wszedłem do swego mieszkania. Tak jak stałem w butach i płaszczu, którego pasek zbyt mocno zaciśnięty wpijał mi się w ciało, rzuciłem się na tapczan. Leżąc bez najmniejszego ruchu. próbowałem zebrać myśli.

— Kto? — zadałem sobie pytanie. Niełatwo było na nie odpowiedzieć. Ujrzałem się otoczony przez ludzi szczerze zaskoczonych i współczujących mi w nieszczęściu, które tak niespodziewanie na mnie spadło: wśród licznych domysłów podsuwali mi oni różne, najmniej prawdopodobne przypuszczenia, które kolejno musiałem odrzucać. Myślałem o osobach bardziej i mniej znajomych. Ukazywały mi się one takimi, jakimi je widziałem czasami, w scenach zbyt dosłownych, dowolnie wybranych, w pozach całkiem przypadkowych i fragmentarycznych, chociaż fotograficznie wiernych. Była tam czyjaś ręka wyciągnięta na powitanie i uścisk poparty przyjaznym słowem; twarz pochylona gdzieś nad małym stolikiem znana mi ze zdjęcia; czyjś uniesiony głos dobiegający zza drzwi nagle uchylonych; jakieś porozumiewawcze zmrużenie oka w ciemnym korytarzu po zdarzeniu, którego byłem świadkiem; uszczypliwy żart jeszcze nie zapomniany; jakieś wymowne milczenie; scena pożegnania; długa rozmowa, która miała mnie przekonać o czymś — wszystko, co wiernie zachowała moja pamięć, bez wyraźnej ku temu potrzeby. Śledząc ten chaotyczny ciąg przekształceń mojego wzburzonego umysłu, mogłem się co najwyżej dziwić, czemu wyobraźnia podsuwa mi wspomnienia sytuacji tak mało istotnych. Bo wśród tych migawkowych obrazów nie mogłem się doszukać właściwej odpowiedzi.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem odwiedzili mnie znajomi.

— Wyobraźcie sobie... — zacząłem.

— Wiemy już. wiemy! — powiedziała Hanka.

Teresa bez słowa wyciągnęła rękę. Podałem jej starannie złożoną

kartkę.

— Tylko nie wygniećcie — zaznaczyłem.

— Zaraz... — powiedziała, kiedy wszyscy pochylili się nad anonimem. — Co to za bazgroły? Tego nie można odczytać.

Wacław zajrzał jej przez ramię.

— Początek zupełnie bez sensu — przyznał. — Ale spójrzcie tutaj: *...potępiam cieni... w głąb milczenia...* Chwileczkę. To przy odrobinie dobrej woli i wyobraźni da się odczytać: *Ja nie potępiam cieni spływających w głąb milczenia nocą... ani obłąskawionego krzyku...*

— To nieważne! — przerwałem mu. — O. tutaj dopiero się zaczyna: *...bo wiem Wszystko i nie myśl, że będę ukrywał...*

— Co nieważne? — zaperzył się. Zabrał kartkę i odszedł z nią na bok. — Zaraz okaże się, co tutaj jest ważne.

Poczekalem, aż przeczytał.

— Skąd to wytrzasnąłeś? — spytał takim tonem, jak gdyby zamierzał zaopatrzyć się w coś podobnego.

— No przecież to jest ten anonim, który otrzymałem — odpowiedziałem zirytowany.

— Bardzo dziwny anonim — powiedział. Zaczął przechadzać się po pokoju. — Atrament zupełnie wyblakły. Papier musiał leżeć bardzo długo na słońcu. bo inaczej tak by nie zżółkł. Ale przede wszystkim tekst... jest mało czytelny i można go różnie interpretować. I uparłeś się, że to ma być zapowiedź denuncjacji? Słowo daję, to jakiś kawał. Powiedz, kto i w jakim celu poddał ten papier takim torturom. Żeby ci utrudnić czytanie?

Poczułem, że grozi mi śmieszność.

— Eee... dajcie mi spokój! — rzuciłem żeby przerwać ciszę. — Nie macie zaufania do tej kartki, bo nie wiecie wszystkiego... Na razie więcej nie mogę powiedzieć.

— Oczywiście — rzekł całkiem innym tonem. — Jeżeli ty wiesz coś więcej, to zmienia postać rzeczy.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

— Nagrałeś coś ostatnio? — spróbowała zmienić temat rozmowy Hanka.

— Tak, mam kilka... nowych melodii — odpowiedziałem roztargnionym głosem. — Zaraz... może posłuchacie?

Podszedłem do magnetofonu i myśląc o tym, że nie powinienem im być pokazywać anonimu, nacisnąłem klawisz. Musiałem mieć bardzo posępną minę, bo kobiety patrzyły na mnie ze współczuciem.

— Ty jesteś taki dobry — powiedziała Teresa. — Wszystkim zawsze pomagasz, pracujesz za innych, podejmujesz się najbardziej niebezpiecznej i odpowiedzialnej pracy, trwonisz czas na różne bezinteresowne usługi i wreszcie doczekałeś się zapłaty. Ludzie nie potrafią docenić cudzego wysiłku, chociażby nie wiadomo jak wyraźnie rzucał się w oczy.

— To prawda — wtrąciła Hanka. — Trzeba przyznać, że Henryk za mało dotąd dbał o siebie i widocznie dlatego komuś się nie spodobał. Będą próbowali sfabrykować jakiś oszczerczy donos na zupełnie niewinnego człowieka. Wsadzą go do więzienia, nawet się nie spostrzeże za co.

— On miałby pójść do więzienia? — uniosła się Teresa. — Jak zwykły kanciarz czy defraudant? Już od dwóch lat mają go za najbardziej sumiennego, uczciwego i zdolnego pracownika.

— Uciszcie się w końcu — powiedział Wacław. — Rozgadałyście się, a przecież sam wam przed chwilą powiedział, że wszystkiego o nim nie wiecie.

Znów nastąpiła cisza. Posiedzieli jeszcze chwilę i poszli. Zostałem sam.

Dopiero teraz usłyszałem szmer przesuwającej się na szpulach taśmy i uświadomiłem sobie równocześnie, że włączyłem magnetofon, a nie było żadnej muzyki. Rzut oka na klawisze wyjaśnił mi wszystko: zamiast odtwarzania włączyłem nagrywanie. Podszedłem do stolika, na którym stał magnetofon i wycofawszy część taśmy, włączyłem odtwarzanie.

— Ty jesteś taki dobry — usłyszałem głos Teresy. — Wszystkim zawsze pomagasz, pracujesz za innych, podejmujesz się najbardziej niebezpiecznej i odpowiedzialnej...

Słuchałem tego z bijącym sercem. Opanowało mnie jakieś dziwne, nie znane dotąd uczucie. Było to uczucie pewności, że następne słowa nie przyniosą mi niespodziewanego zaprzeczenia słów poprzednich. Śledziłem utrwalone na taśmie głosy aż do momentu, w którym odezwał się Wacław.

— Uciszcie się w końcu — usłyszałem jego szorstki, nieprzyjemny głos. — Rozgadałyście się.

Zatrzymałem taśmę i wycofałem ją do początku wypowiedzi Wacława. Wymazawszy ten fragment zacząłem odtwarzać rozmowę od samego początku.

— Ty jesteś taki dobry — płynął głos z magnetofonu. — Wszystkim zawsze pomagasz...

Opamiętałem się dopiero przy piątym czy szóstym powtórzeniu całej zanotowanej rozmowy. Postanowiłem sobie, że jutro pójdę do Teresy i poproszę ją, aby nagrała od „czterech lat” zamiast błędnego „od dwóch lat”. Przecież to było zgodne z prawdą. Taśmę schowałem do zamykanej na klucz szuflady.

Nazajutrz, po bezsennej nocy, wstałem bardzo wcześnie i zacząłem pośpiesznie pakować rzeczy. Dopiero gdy umieściłem w walizce wszystko, co mi było potrzebne do drogi, uświadomiłem sobie, że ucieczka przed nakazem aresztowania nie może mi zapewnić oczekiwanego bezpieczeństwa.

Cały dzień upłynął mi na jałowej analizie mojej trudnej sytuacji. Następnego dnia kiedy poszedłem do pracy mój przełożony nie tylko, że nie brał mi za złe jednodniowej nieobecności, ale uznając za całkowicie usprawiedliwioną, zdziwił się nawet spostrzegłszy, jak się przygotowałem do normalnych zajęć.

— Zależy mi na opinii dobrego pracownika — wyjaśniłem.

— Ależ w każdej chwili może ją pan ode mnie otrzymać — zapewnił mnie pośpiesznie. Od dwóch dni łamiemy sobie głowy nad tym anonimem. Czy szantażysta grozi panu śmiercią?

Kiedy wyjaśniłem na czym, według prawie nieczytelnych słów anonimu może polegać żądanie i groźba, zdziwił się moim niepokojem.

— W takim razie — powiedział — nie widzę powodu do obaw. Sądziłem, że chodzi tu o wyłudzenie jakiejś poważnej sumy pod groźbą zabójstwa, ale skoro jest to tylko zapowiedź denuncjacji lub otwartego oskarżenia, to czym się pan właściwie martwi? Chyba nie ma pan niczego na sumieniu?

Spojrzał na mnie rozbawiony nagle, jak gdyby przypuszczenie czegoś takiego było najmniej prawdopodobne ze wszystkich. Ale uśmiech jego, który miał pokryć założenie niedorzeczności, w miarę jak

mijały sekundy mojego już zbyt długiego milczenia, z wolna zaczął znikać mu z twarzy.

— Oczywiście, że nie! — powiedziałem w końcu. Otrząsnąwszy się z zamyślenia, z wzrokiem utkwionym gdzieś w podłodze pomyślałem jeszcze, że w takich wypadkach należy patrzeć w oczy temu, kto pyta, ale nie wiem, czemu nie mogłem się na to zdobyć.

— Wszystkie moje sprawy są zupełnie... w porządku — dodałem zmieszany widząc, że przygląda mi się z nagłym zainteresowaniem. — Ale przyzna pan... nie można wykluczyć jakiegoś nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, jakiejś pomyłki... czy ja wiem... Czasem skazuje się ludzi zupełnie niewinnych...

— Bzdura! — przerwał mi z głośnym i szczerym, jak się wydawało, śmiechem. — Gdyby karano takich sumiennych pracowników jak pan, cóż należałoby zrobić z faktycznymi przestępcami?

Nie bardzo przekonany tym argumentem poprosiłem go o spełnienie obietnicy.

— Obietnica? — zdziwił się.

— No, opinia — przypomniałem.

— Chodzi panu o dobrą opinię wystawioną przez nasze przedsiębiorstwo, która mogłaby złagodzić wysokość ewentualnego wyroku na sali sądowej?

Skinąłem głową. Byłem mu wdzięczny, że od razu usiadł i zabrał się do pisania bez dalszych uspokajających mnie słów.

Idąc korytarzem, dostrzegłem ukradkowe spojrzenia urzędników, którzy dotąd w ogóle mnie nie zauważali, albo kwitowali fakt mojej obecności jakimś mechanicznym dzień dobry. W ich zainteresowaniu dostrzegłem ciekawość podobną do tej, jaką się darzy osoby dotknięte nagle jedną z najbardziej nieuleczalnych chorób. Przy końcu korytarza sprzedawca gazet uniósł się na mój widok i wyciągnął rękę ze świeżą prasą. Przeszedłem obok niego ze wzrokiem utkwionym w nieskończoną dal.

— Halo, panie! — zawołał za mną.

Podszedłem do niego z takim wyrazem twarzy, który mógł oznaczać skupienie przed ciosem.

— Co mnie obchodzą najświeższe wiadomości — zapytałem cedząc powoli każde słowo. — W mojej sytuacji nie myśli się o takich

głupstwach. Dostałem anonim i spodziewam się aresztowania, nie wie pan?

— Nie, nie wiedziałem! — jęknął i opadł na krzesło. — Taki porządny człowiek... nie, to chyba niemożliwe.

Po powrocie do swojego mieszkania wyjąłem z kieszeni wręczony mi przez dyrektora kremowy arkusz papieru. Opinia sformułowana była tak, jak tylko mogłem sobie tego życzyć. Były w niej wyliczone wszystkie co ważniejsze osiągnięcia, które przyczyniły się do rozwoju przedsiębiorstwa: pochwały dyrektora, zwłaszcza te dotyczące zalet mojego umysłu i charakteru, wydawały mi się mocno przesadzone, ale to naciągnięcie nie mogło mi przecież zaszkodzić. Opinia napisana była na maszynie, u dołu widniały pieczęcie: okrągła i podłużna, a między nimi podpis. Całość dzięki swej solidnej formie musiała budzić zaufanie. To nie były słowa rzucane na wiatr — to był urzędowy dokument.

Położyłem go na stole przechadzając się nerwowym krokiem po pokoju, spoglądałem nań od czasu do czasu z budzącą się nadzieją. Ujrzałem się na sali sądowej w momencie, kiedy wyjmę ten papier, aby bez niepotrzebnych słów wręczyć go sędziemu.

Wieczorem następnego dnia dręczący mnie niepokój wywołany przez oczekiwane ale nieznanie niebezpieczeństwo wzmógł się nagle bez żadnego wyraźnego powodu; podczas wizyty u przyjaciela zadałem mu pytanie, które w cokolwiek innej postaci miałem potem zadawać wielu osobom. Było to w czasie wywołanej przeze mnie celowo rozmowy na temat naszej znajomości. rozmowy pełnej wspomnień i refleksji związanych z odległym dniem naszego pierwszego zetknięcia. Roman siedział przy stole i obracając w palcach pudełko zapalek przypominał mi, a może i sobie bieg wydarzeń, w których razem uczestniczyliśmy kiedyś, ja natomiast, leżąc na tapczanie i słuchając tego wszystkiego z roztargnieniem, czekałem niecierpliwie na sposobność do podsumowania jego wspomnień.

— Powiedz szczerze — odezwałem się nagle — czy na podstawie tego wszystkiego, co wiesz o mnie, mógłbyś z całą pewnością wykluczyć możliwość popełnienia przeze mnie przestępstwa?

Takie kategoryczne pytanie — przynajmniej w tej niezręcznej formie, jaką mu nadałem musiało siłą niezamierzonej i narzucającej się sugestii wywołać wątpliwość tam, gdzie jak najbardziej pragnąłem jej

uniknąć. Spostrzegłszy to poniewczasie, próbowałem naprawić popełniony błąd, lecz konstruowane w największym pośpiechu i — nie mogłem tego ukryć — w wyraźnym popłochu wszystkie odpowiedniki znaczeniowe myśli, jaką chciałem wyrazić, zawierały potęgujący się wciąż nacisk na ową sugestię, którą moje rozpaczliwe zabiegi usiłowały z tego nacisku uwolnić.

— Zaplątałeś się — powiedział Roman. Zaczął bębnić palcami w blat stołu. — Daj spokój! — dodał słysząc, że zabieram się do dalszych wyjaśnień. — Powiedz po prostu, o co ci chodzi.

Wyjąłem przygotowany arkusz papieru i pióro.

— Napisz tu, co... co o mnie myślisz — wymamrotałem czując, że naleganie na spełnienie życzenia, które wydawało mi się dotąd tak przejrzyste i proste, teraz nagle zakrawa na kpiny.

Musiałem zużyć wiele czasu i wiele najlepiej dobranych słów, aby przekonać go tym, jak bardzo w mojej ciężkiej sytuacji zależy mi na jego przychylnym zdaniu o mnie, które — to zwłaszcza życzenie wydało mu się szczególnie idiotyczne, jak się wyraził — powinno mieć postać spisanego oświadczenia.

— Przecież w każdej chwili będę mógł zgłosić się jako przemawiający na twoją korzyść świadek — upierał się przy swoim. — Zresztą czy uważasz, że tą drogą uda ci się w jakimś stopniu wpłynąć na pogląd sądu?

— Położenie moje jest bardzo ciężkie — odpowiedziałem mu bez namysłu. — Trudność polega na niemożności ustalenia kierunku i siły ciosu, jaki na mnie wkrótce spadnie. Powinienem być przygotowany na najgorsze. Muszę się zabezpieczyć ze wszystkich możliwych stron. Kto wie czy jutro, zapoznawszy się z treścią wymierzonego mnie oskarżenia, nie odwrócisz się mnie z obrzydzeniem. Odwołasz wtedy wszystko, co dziś o mnie powiedział.

Doprawdy, trudno było mi go przekonać: może używałem niewłaściwych słów, bo nie tylko, że nie podzielał mojego zdania, ale — co najbardziej mnie zabolalo — w ogóle zaczął wątpić w anonim. Kiedy wziął z moich rąk podaną nieopatrznie kartkę (był to z mojej strony krok nieprzemyślany), zamiast spodziewanego zrozumienia i pomocy w analizie jej treści, spotkałem się z lekceważeniem.

— To ma być anonim? — zdziwił się.

Skinąłem głową.

— Mówiłeś mi o liście, a gdzie koperta z twoim adresem?

— Tę kartkę znalazłem u siebie w kieszeni. Nie było żadnej koperty.

— W kieszeni?

— Widocznie ktoś mi ją wsunął.

— Ale tu nie ma żadnego nagłówka. Na jakiej podstawie upierasz się, że groźba skierowana jest pod twoim adresem?

— Skoro kartka została włożona do mojej kieszeni...

— Została włożona, albo sam ją tam umieściłeś! I to bardzo dawno temu, jeśli sądzić po jej opłakanym stanie. Być może płacze ci się po kieszeniach już od kilku lat.

— Bzdura!

— Niewykluczone. Ale zastanów się, co to właściwie jest. — Wstał i zbliżywszy mi do twarzy pogniecioną kartkę, pstryknął w nią paznokciem. — No spójrz i zastanów się... co oznacza ten gryzmoł? Może to są jakieś notatki, może przytoczony przez kogoś cytat, fragment powieści, przepisany, bo akurat na kimś zrobił wrażenie... czy ja wiem, co jeszcze?

Jeszcze raz rozprostował kartkę.

— Czeka! — powiedział. Zacisnął wargi, jak gdyby zamierzał zabezpieczyć się przed nadchodzącym wybuchem wesołości. — Trudno to odczytać i zrozumieć, ale zwróć uwagę na układ słów i linijek. To może być wiersz...

— Oszalałeś chyba. Oddaj!

Wyrwałem mu kartkę z ręki. Już dłużej nie mogłem tego znieść. Odchodząc zatrzymałem się w drzwiach, aby spytać po raz ostatni:

— Więc mi nie pomożesz?

— Mam ci napisać, że według mnie nie jesteś zdolny do żadnego wykroczenia?

— Nie kpij sobie ze mnie. Potrzebuję kilku przyjacielskich słów. Traktuj to jak list polecający. Czy tak trudno powiedzieć o kimś prawdę, jeśli ta prawda dobrze o nim świadczy?

Mówiąc to, patrzyłem w podłogę. Kiedy uniosłem oczy, ujrzałem go, jak już siedział przy stole. Pisał z głową pochyloną na bok: w twarzy jego, nawet w chwilach, kiedy zwracał ją ku światłu, nie dostrzegłem żadnego wyrazu.

Jeśli sobie dobrze przypominam, to tego samego dnia późnym wieczorem wracając do swego mieszkania spotkałem na schodach dozorczynię. Wiedziałem, że ta kobieta darzy mnie sympatią, toteż nie spodziewałem się z jej strony żadnych trudności.

— Czy mogę panią prosić o kilka minut rozmowy — zwróciłem się do niej.

— A czego pan sobie życzy? — zapytała zaintrygowana, bo dotychczas znajomość nasza ograniczała się do wymiany banalnych zwrotów.

— Zaraz pani powiem.

Zaprosiłem ją do pokoju i poczęstowawszy jakimś likierem, który właśnie miałem pod ręką, odezwałem się poufałym tonem:

— W naszym domu mieszka wielu ludzi i nie ma w tym nic dziwnego: taki duży dom... Otóż chodzi mi o jego mieszkańców. Jak już powiedziałem, jest ich wielu... ale to nic nie szkodzi, bo przecież pani i tak ma o każdym z nich wyrobione zdanie. Widuje ich pani prawie codziennie, rozmawia z nimi... Jeden jest taki, a drugi inny. O każdym z nich pani coś wie, prawda?

— Jasne, że wiem. Miałabym nie wiedzieć?

— No, właśnie mówię. Bez wątpienia znajomość ludzi może nam oddać nieocenione usługi. Ma to miejsce zwłaszcza wtedy, gdy zdajemy sobie sprawę z faktu, że negatywne cechy charakteru są w gruncie rzeczy bardzo łatwe do zdemaskowania... i to przy pierwszej okazji. Zło nie daje się długo ukryć, bo taka już jego istota. Jeden wraca do domu nad ranem kompletnie pijany, awanturuje się, hałasuje, ubliża pani przy bramie, zakłóca spokój sąsiadów, nie szanuje ani godności własnej ani cudzej, a przy tym nie wiadomo właściwie z czego żyje. Inny to porządny obywatel, uczciwy i uczynny, sumienny pracownik jakiegoś biura, można na nim polegać. bo ma załatwione wszystkie formalności administracyjne, nie zalega z opłatami, nie zaśmieca klatki schodowej — nie będę już dłużej mnożył jego wartościowych cech. Chyba nie uraziłem pani narzucając jej bez dyskusji ten cokolwiek zbyt szablonowy obraz. Oczywiście oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że podział taki jest bardzo powierzchowny i uproszczony, bo rzeczywistość okazuje się znacznie bardziej zawiła. ale darujmy sobie wszystkie komplikujące ten problem subtelności; przecież nie zaprosiłem pani na dysputę

filozoficzną... A teraz proszę się zastanowić, co by pani o mnie powiedziała, gdyby ktoś chciał się dowiedzieć, jakim jestem człowiekiem? Czy bardziej przystaje do mnie postać druga?

— Zawsze mówię o panu jak najlepiej. Nikt mi tego nie może zarzucić. To chyba Molenazowa coś o panu rozgaduje...

— Och nie! Nikt o mnie nie rozgaduje. Źle mnie pani zrozumiała. Cieszę się powszechnym szacunkiem, toteż nie mogę się spodziewać braku życzliwości, na której tak bardzo mi zależy. Spodziewam się jednak, że wkrótce może nadejść chwila, w której w pewnych szczególnych okolicznościach będę potrzebował dokumentów potwierdzających tę powszechną życzliwość. Jednym z takich dokumentów może się okazać opinia dobrego lokatora. Czy napisze mi ją pani?

— A na co to panu?

— Być może będę ją musiał złożyć odpowiednim władzom.

— Władzom?

— Niech się pani nie obawia. To tylko czczy formalność.

— A ktoś inny nie może panu napisać tej opinii?

— Inni napiszą mi swoją drogą. Jest wśród nich wielu na poziomie. To bardzo poważni ludzie. Rozumieją, o co mi chodzi. Niektórzy już napisali. Pomyślałem sobie, że pani również...

— A czy ja nie chcę napisać? Ale mogłabym coś pokręcić. Co tam właściwie ma być?

— No, kilka słów na mój temat. Tak, jak gdyby opowiadała pani sąsiadce, dlaczego uważa mnie pani za przyzwoitego człowieka. Zresztą, ja nie mogę narzucać pani treści tego dokumentu. To musi być zredagowane pani własnymi słowami.

— To się rozumie. Nie musi pan o tym mówić.

— Więc jak, mogę na panią liczyć?

— Jutro napiszę, syn mi pomoże.

— Zgoda, ale proszę podpisać pełnym imieniem i nazwiskiem.

— Podpisać?

Na jej twarzy dostrzegłem cień niepokoju.

— Przecież tam będzie mowa o tym, co ma miejsce w rzeczywistości. Prawdę nie tylko można podpisać, ale nawet trzeba.

— Co pan myśli, że ja o tym nie wiem?!

— Nie, wcale tak nie pomyślałem.

Następnego dnia wręczyła mi zapisany z jednej strony i złożony we czworo arkusz podaniowego papieru. Włożyłem go do zamykanej na klucz szuflady, gdzie spoczywał obok schowanych tam poprzednio opinii dyrektora i Romana.

Pewnej nocy obudziłem się z uczuciem ogamiającego mnie i dławiącego niepokoju, lęku o źródle nieuchwytnym, tym bardziej nieznośnego, że poprzedzonego okresem względnej pewności siebie. Wstałem z tapczanu i niepewnie skierowałem się do półki, na której przechowywałem różne pamiątki. Znalazłem wśród nich kilka listów od Ireny. Ręka moja bezbłędnie wydobyla stamtąd poszukiwany list ostatni, a kiedy go przeczytałem, wyjaśniła się przyczyna sennych obaw. Podszedłem do telefonu i zamówiłem rozmowę z Ireną.

— Musiałem cię usłyszeć teraz w nocy, natychmiast — rzuciłem do słuchawki po uzyskaniu połączenia. — Wiesz, twój ostatni list... tyle w nim gorczy. ktoś by mógł pomyśleć, że jestem potworem. Ale to nieprawda. wierz mi... doszedłem do wniosku, że Kocham cię... wybac mi wszystko, kłamałem wtedy... tak bardzo chciałbym... Napisz mi, czy się cieszysz i... dlaczego ty Kochasz mnie... tak długo i mocno. Wszystko to dokładnie opisz mi w swoim liście... muszę to przeczytać. Czy słyszysz mnie...? Chodzi mi o list od ciebie, w którym opisujesz... Nie! Nie denerwuj się, wszystko w porządku, kiedyś ci wyjaśnię, bądź zdrowa.

Taki był początek jednego z najtrudniejszych okresów w moim życiu. Dzisiaj, po upływie wielu miesięcy od opisanych tu wypadków, nie żałuję zadanego sobie wówczas trudu, przeciwnie — mogę sobie pogratulować, że nie zbagatelizowałem kiedyś, jak to mi niektórzy doradzali, pierwszego sygnału zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Szok przeżyty w tamtych czasach przypomina wciąż o istniejącej groźbie i o konieczności nieustannego poszukiwania nowych dróg w celu zabezpieczenia spokojnej pewności siebie.

Teraz jestem bardziej doświadczony, bardziej ufam swoim siłom i nie czuję się taki bezbronny jak kiedyś. Często sprawdzam sprawność zamku w moim dobrze ukrytym sejfie, gdzie trzymam wszystkie, zdobyte nieraz z wielkim trudem i przechowywane na wypadek denuncjacji zabezpieczające mnie dokumenty. Zgromadziłem je tam w poważnej liczbie i często nie mogę oprzeć się pokusie, aby do nich nie zaglądać.

Swą wielką różnorodnością obejmują one wszystkie okresy i dziedziny mojego życia — któż bowiem wie, jaka będzie treść wymierzonego we mnie oskarżenia?

Są tam najprzeróżniejsze mogące mi się przydać zaświadczenia, podpisany przez kompetentnych ludzi wykaz pozytywnych cech mojego charakteru, napisane lub nagrane na taśmie magnetofonowej opinie osób, z którymi zetknąłem się w życiu (przezornie domagam się opinii pisanych, bo cóż znaczą wypowiedziane tak sobie, bez podpisu, nie utrwalone i szybko przemijające słowa?), listy przemawiające na moją korzyść, uregulowane rachunki i pokwitowania, dobre cenzury i dyplomy uznania, różne zdjęcia (wśród nich wiele zrobionych podczas intensywnej pracy lub innych nienaganych czynności), wreszcie odznaczenia, jeśli nie liczyć innych drobiazgów. To są namacalne, realne przedmioty, a nie jakieś urojone w fantazmatach wartości — taki materiał będzie wymagał rozpatrzenia!

Wszystko przechowuję we wzorowym porządku, starannie posegregowane i ułożone; daty, podpisy na właściwych miejscach; tu i ówdzie widnieją wzbudzające zaufanie pieczęcie. W każdej chwili mogę sięgnąć ręką i wydobywszy właściwy dokument upewnić się, czy rozpatrywane zdanie zostało przytoczone w danej wypowiedzi rzeczywiście.

Moje zbiory zapewniają mnie o tym, w co jak najgoręcej chciałbym wierzyć, a w co — nie wiem czemu — czasem zaczynam wątpić.

Co się zaś tyczy osoby tajemniczego denuncjatora, to już niejednokrotnie miałem możliwość przekonać się o rzeczywistej, choć nieuchwytej jego obecności. Pozostaje wciąż w ukryciu i na różne sposoby daje mi znać o tym, że nie zaniechał zbierania obciążających mnie dowodów. Czasami dowiaduję się o jego istnieniu z leżącej gdzieś na korytarzu zakurzonej i podeptanej kartki, obok której każdy przekonany o swoim bezpieczeństwie i wolny od niepewności przechodzi obojętnie, bo go ona nie dotyczy, a ja tylko wiem, że może to być zaszyfrowane i w ten sposób podrzucone mi kolejne ostrzeżenie. Bywa, że odczytuję coś na ścianie; drobna, zagubiona w powodzi ogłoszeń i nic nikomu nie mówiąca wzmianka w gazecie mobilizuje mnie do trwożnego wysiłku i sprawia, że usilniej zabiegam o nowe przekonujące dowody mojej niewinności; jakiś rysunek na poręczy

schodów nasuwa mi myśl o zbliżającej się nieubłagane godzinie doniesienia.

Innym znów razem nagłe przygaśnięcie światła lub urywana na mój widok rozmowa, potrącenie łokciem w tłoku, jakiś szept czy ciche stąpanie, czyjeś natarczywe spojrzenie, zacięcie się klucza w zamku, grudka mokrego piasku na podłodze, wyraźna aluzja albo ukryta metafora każą mi wytężyć czujność i analizować dziwne zbiegi okoliczności, bo bardzo często wśród tych mało znaczących niepozornych zdarzeń, faktów i niedomówień, ukryta jest informacja o tym, że on jest i nie rezygnuje z działania.

Jeszcze z nim nie rozmawiałem i nawet nie udało mi się go zobaczyć, ale jestem pewien przynajmniej jednego — on nigdy nie wybaczy.

Otępienie

Przed wejściem na klatkę schodową zatrzymałem się, aby spojrzeć jeszcze raz za siebie. Choć znikąd nie mogłem się spodziewać ciosu, było to spojrzenie szybkie, z rodzaju tych, jakie się rzuca poza siebie w biegu, i znów odrobinę nerwowe. Przyznam, że czułem się trochę tak, jak myszkujący po zakamarkach domu złodziej; poprzednia zrodzona w furii desperacka pewność siebie prysła gdzieś i już nawet ułożyłem sobie jakąś wykrętną odpowiedź na wypadek, gdyby mnie kto spytał, co ja tutaj robię. Tyle było jeszcze we mnie przytomności umysłu.

Ułożyłem sobie tę wykrętną odpowiedź i pod murem, gdzie wcześniej o mało bym nie zwymiotował, klepałem ją pośpiesznie na głos jak pacierz dopóty, aż mi wyleciała z pamięci. W uszach skwierczał mi suchy głos baby dochodzącej do mnie z sąsiedniego bloku. Chyba usiadłbym na progu, ale niepodobieństwem było siedzieć — teraz — gdy trwanie mogła mi zapewnić jedynie pozycja leżąca.

Zdarzyła mi się taka chwila, że zadarłem brodę i ujrzałem, jak ściana długim łukiem zwinęła się nade mną. I podciągnęła mnie do siebie, do okien, a ja, wisząc na niej na cienkiej nylonowej żyłce kopałem i gryzłem, aż poleciały wszystkie szyby. Spozrzegłem się zaraz, że przebieram nogami w miejscu. Wtedy jakieś długie zdanie wytłamsiłem z gardła, a było to tak, jakbym herbatę sobie słodził, łyżką po łyżce i mieszał ją bez końca patrząc komuś w oczy.

Twarda płyta lodu przywarła mi do pleców — to był chłód wiosennej nocy. Drzwi naprzeciwko mnie nie wyróżniały się niczym pośród innych, jakie kolejno mijałem wałęsając się od godziny po osiedlu. I tak ich identyczność drażniła mnie w równym stopniu, jak powtarzana wielokrotnie przez jękającego się jedna i ta sama sylaba. Fakt, że zacząłem się złościć akurat pod tymi drzwiami był oczywiście czystym przypadkiem, bo równie dobrze mogłem się zdenerwować pod każdymi innymi. Właśnie dlatego obejrzałem się, by sprawdzić, czy ktoś nie nadchodzi.

Spoza rogu sąsiedniego domu wyłonił się i poczłapał w moją stronę

jakiś emeryt z teczką. Gdy kolebał się wzdłuż ściany wielopiętrowego bloku, pod którym stałem, zasłoniłem sobą drzwi i wydrapałem na ich nieskazitelnej powierzchni kilka niekształtnych zacieków. Dziobałem w nie szczyrykiem dopóty, aż złamałem czubek ostrza. Wcale nie mówię, że było to jakieś wielkie draństwo, ale musiałem temu zamknąć gębę w jakiś sposób.

Na parterze zatrzymałem się przy skrzynkach na listy. Kiedy przyglądałem się im w uszach dzwonił mi jednostajny szmer, którym cisza po setkach stopni strząsała siebie w dół na samo dno wielopiętrowej studni. Trwałem w tym szumie z twarzą przyciśniętą do skrzynki, w której spoczywał jeden list: wszystkie przegródki były puste z wyjątkiem jednej. Otworzyłem ją zgiętym gwoździem, wyjąłem list i schowałem go do portfela. Bez pośpiechu wszedłem na pierwsze piętro, potem — ze świeżo zapalonym papierosem w zębach — na drugie, i wreszcie na trzecie, gdzie podszedłem do uchylonego okna.

Z daleka, z rudo-granatowej głębi głuchej nocy i z bliska — z szerokiej ściany przeciwległego bloku wykipiał na mnie rój żółtych okien. Pochwycone przez lustro obracającej się okiennej szyby przeleciały na tle nieba, zadrżały i zmętniały oglądane poprzez kłęb tytoniowego dymu, zanim znów przysiadły na swych rzeczywistych miejscach w długich, poszczerbionych szeregach. Tak zawisły i zastygły w moich oczach.

Przywarłem do parapetu okna i lekko wychyliłem się nad nim. Patrzyłem przed siebie, kłąłem i drżałem. Przez długi czas żadna myśl nie przychodziła mi do głowy, nawet wtedy, gdy zebrałem ślinę aby splunąć na chodnik i gdy śledziłem, jej lot — nawet wtedy jeszcze nie pomyślałem o tym. Wreszcie zrobiło mi się zimno. Najpierw wydało mi się, że mam przepełniony pęcherz, toteż zanim się cokolwiek zdarzy, powinienem zejść na dół i poszukać jakiegoś wychodka. Poza mną, tam i z powrotem przemykała winda. Między dwoma kolejnymi strzałami zatraskiwanych drzwi zdecydowałem się podjechać wyżej. Przebiegłem po schodach pół piętra i nacisnąłem przycisk, akurat w momencie kiedy gasło światło. Ściągnięta przez kogoś na parter kabina windy wróciła do mnie pusta. Wchodząc do niej usłyszałem czyjś podniesiony głos dobiegający z parteru.

Po kilku sekundach ruchu windy stała się najgłupsza rzecz, jaka

mogła się przytrafić w mojej sytuacji: winda zatrzymała się w połowie drogi między dwoma piętrami. Jak na złość pęcherz podwoił swoje rozpaczliwe sygnały: miałem już poważne wątpliwości, czy jego zawartość zdąży donieść do właściwego miejsca. Próby poruszenia drzwiami w celu przywrócenia przerwanego kontaktu na stykach nie zdołały ożywić windy. Omijając przycisk, przy którym widniał groźny napis „alarm” zacząłem naciskać na pozostałe, ale również bez żadnego rezultatu. Naraz pomyślałem o liście: należało pozbyć się go jak najprędzej. Nie mogłem jednak odmówić sobie przyjemności przeczytania go przed zniszczeniem. Sięgnąłem ręką do portfela i oparłem się o drzwi. W tej właśnie chwili winda drgnęła i ruszyła z miejsca, ale nie wznosiła się lecz opadała w dół.

Zatrzymałem się na parterze. Wróbel, którego trzymałem w pudełku po paście Colgate obudził się i zaczął ćwierkać. Po drugiej stronie okienka drzwi ukazała mi się siwa głowa i ciemne okulary przesłaniające znaczną część piegowatej twarzy. Otworzyłem drzwi. Przedemną stał wysoki, dobrze ubrany starzec. Cała uwaga jaką mu poświęciłem w pierwszej chwili koncentrowała się na elementach, które nie wiem czemu pierwsze rzuciły mi się w oczy: na białym kołnierzyku jego koszuli i na niesionym przez niego bukietcie czerwonych i żółtych tulipanów. W prawej ręce ścisnął białą laskę.

— Państwo nie wychodzą? — spytał

Przekrzywił głowę na bok i znieruchomiał nasłuchując. Widać, zaskoczyło go ćwierkanie mojego Fi-fi.

— Nie, wracam na górę.

Stał przy mnie z twarzą zwróconą do lustra, podczas gdy winda z hałaśliwym mozołem pokonywała kolejne piętra. Teraz dopiero, przyglądając się jego odbiciu w lustrze mogłem zauważyć, jak bardzo się pomyliłem.

Wcale nie był stary: włosy, które wziąłem początkowo za siwe, były po prostu jasne, zaś widniejące na jego twarzy fioletowo-szare cętki nie były piegami, lecz licznymi bliznami. Poświęcałem mu tyle uwagi, że aż zaczęło mnie to niecierpliwic. Chciałem też już wreszcie wiedzieć, po co w ogóle go dostrzegłem i przyglądałem mu się coraz natarczywiej, z coraz większym strachem, bo jedno zaraz pociąga za sobą drugie, bo zaraz coś mogło mi przyjść do głowy, a nie było gdzie uciekać zwłaszcza,

że dość miałem własnego, zbyt, już przepelnionego pęcherza; taki byłem ogłupiały i wytracony z równowagi tym jego daremnym zaglądnaniem w lustro, tymi tulipanami przygarniętymi do białego kołnierzyka i niemal śmiesznym skupieniem ściągającym jego cętkowane policzki, jakby cały czas zgrzytania i rozpaczliwych jęków windy — czas naszej więziennej celi — nie był tym, czym być powinien: niemożliwie przeciągającym się czasem oczekiwania na otwarcie drzwi, lecz bryłą pulsującą w mojej piersi — sercem, wielkim kamieniem uwiązany na pętli przy mojej szyi, ciężarem pociągającym mnie w głąb.

Kiedy docieraliśmy do jedenastego piętra, mój Fi-fi odezwał się po raz drugi.

— Niech pan nie trzyma zwierząt w domu — powiedział mężczyzna.

Podniosłem na niego oczy odrywając je od swych bosych i oczywiście brudnych stóp, byłem bowiem tylko w samej koszuli i spodniach, tak ubrany, jak wybiegłem z domu w tamtej przerażającej chwili, czyli właściwie prawie nagi; przyjrzałem mu się więc już chyba po raz dziesiąty i chwyciłem go za rękę. To chyba te jego idiotyczne okulary przełamały coś we mnie i ograniczyły moją wdzięczność, bo powiedziałem tylko: dziękuję i pocałowałem go w nadgarstek. Czy umiał czytać w cudzych myślach, czy może brał mnie za niepoprawnego wesołka, dość na tym, że wcale nie zbity z tropu dodał jeszcze:

— Taki ptaszek wyleci przez okno, a potem może się zdarzyć wielkie nieszczęście. Panu również.

Nie wiedziałem, kto tu z nas był większym wariatem i kto kogo parodiował. Winda zatrzymała się, a my staliśmy nadal w jej wnętrzu.

— Wie pan — zwróciłem się do niego — jakby to panu najłatwiej wytłumaczyć. Otóż pewne okoliczności zmuszają mnie do przestępowania z nogi na nogę. Ale niechże pan wreszcie dokończy!

— To tutaj — wskazał na swoje okulary — to wynik eksplozji. Właściwie bardzo banalna przygoda. Rzuciłem żelazkiem w telewizor. Może...

Wyszedłem z windy. Należał więc do tego rodzaju kalek, którzy lubią rozprawiać nad swoim nieszczęściem. Miałem jednak nadzieję, że nie będzie mnie już dłużej męczył.

— Wiem — zaczął zaraz za progiem — jak ciężko jest nawiązać kontakt z takim jak ja samotnym człowiekiem. Zaczynam zawsze od

końca... — urwał, postukał trochę kijem, zbliżył się do drzwi jednego z mieszkań i odwrócił się do mnie — ...na tym chyba polega moje dziwactwo.

Lepiej żeby tego w ogóle nie mówił. Usiadłem w milczeniu na schodach z desperackim postanowieniem czekania aż się ode mnie sam odczepi. Jednak wcale mi się nie narzucał; zamknął za sobą drzwi mieszkania i tyle go widziałem.

Minęło dużo czasu. Może pół, a może cała godzina. Winda chodziła tam i z powrotem. Trząsałem się z zimna. Strzał na dole, strzał ponad mną: bałem się tylko jednego: żeby tutaj ktoś nie wysiadł. Gdzieś na odległej ulicy odezwało się i ucichło przeciągłe wycie syreny przejeżdżającego wozu policyjnego albo karetki pogotowia. Między rozbitym palcem nogi, który sobie pośliniłem by go oczyścić z brudu, a tamtym sygnałem istniał jakiś daleki związek, pomyślałem więc, że już jadą. Wszystko co robiłem do tej chwili, a zwłaszcza zatarg z dozorczynią, wydało mi się bardzo pożyteczne. Bez tego nie byłoby sceny zaskoczenia. Wytarłem nos rękawem koszuli. Fi-fi spał cicho w pudełku. Było mi zupełnie dobrze.

Pierwsza nasunęła mi się scena przy oknie. Może dlatego, że jedenaste piętro daje dostateczną wysokość. Przez okno — rzecz znana — tylko z nudów wygląda się. To takie naturalne. A jednak zbyt rzadko widzi się jakąś twarz w oknie. Niestety, tak to już jest: tyle okien, a nigdy żadnej twarzy. Mógłbym powołać się na statystykę.

Swoją drogą, żeby tak zaraz walić żelazkiem w telewizor. Za wiele w tym powagi.

Ale co to? Wszyscy pouciekali od okien. (Niniejszym zaświadcza się, że wyżej wymienieni nie mają zamiaru opuszczać miejsc stałego zamieszkania). Odsunęli się tylko, odstąpili w głąb. Widziałem je nie pierwszy raz z ukrycia: te postacie za firankami. Było w nich dużo intymności: „Piotrusiu uważaj — kapie ci na marynarkę!”, „Czy nie uważasz kochanie, że dzisiaj możemy sobie darować tą globulkę. Przecież to dopiero dziewiąty dzień.”

Pudełko z wróblem ulokowałem za ścianą. Podkreślam: nie położyłem go tam, lecz ulokowałem. Fi-fi nic z tym nie miał wspólnego. No, a teraz buty. Rzecz prosta, trzeba było zdjąć buty. Niewykonalne! Ale znowu, co za tragedia. Mogłem zamiast zdejmowania butów

wypowiedzieć na głos coś bardzo mądrego. Na przykład coś z literatury klasycznej: „NIVEA zawiera EUCERYT, dlatego wnika łatwo w głąb”. To mnie powinno postawić na nogi. Przynajmniej w tym jednym było coś niewątpliwego; fakt, że euceryt umożliwiał wnikanie stał się dla mnie równie oczywisty jak drugi fakt — że był on osiągalny jedynie w kremie NIVEA. Rozumie się samo przez się, że bez wnikania nie mogłem się obyć. Byłem jeszcze na tyle nierozsądny, że bodaj po raz ostatni pomyślałem, żeby to wszystko odłożyć na później.

Świat nęcił wieloma pokusami i zachęcał do używania. Na opakowaniu drogiego środka do czyszczenia, przeczytałem kiedyś taki oto przepis użycia: „Nałożyć na szmatkę i trzeć energicznie aż do osiągnięcia pożądanego połysku”. W sformułowaniu tej lakonicznej instrukcji nie było ani odrobiny przesady, bo istotnie energia okazała się tu niezbędna. Po praktycznym stwierdzeniu powyższego faktu przepis wydał mi się nieprzyzwoicie wręcz głupi. Lecz tylko w pierwszej chwili, bo zaraz zostałem olśniony jego zdumiewającą celnością. Dotąd — nieszczęsny — wyobrażałem sobie, że skoro już się płaci i nakłada, to powinno zwalniać od energicznego pocierania. Tymczasem, czy z nałożeniem, czy bez niego — energiczne pocieranie zawsze było nieuniknione.

W kolejnej fazie sceny pod oknem — która zaczęła się już nieco przeciągać — zdarzyła mi się taka chwila, że przestałem rozumieć, co mną kierowało kiedy kradłem list ze skrzynki. Zanosilo się przecież na to, że wcale nie zdązę go przeczytać. Byłem zajęty czymś zupełnie innym. Wyglądałem przez okno, kłamię i drżałem.

Po jakimś czasie spróbowałem ocenić sytuację. Zadałem sobie ten trud po prostu dlatego, że zawsze lepiej być na bieżąco. Otóż przez ostatni kwadrans patrzyłem na dół na chodnik pod murem i próbowałem sobie coś wytłumaczyć. Mój pęcherz nie brał w tym trudzie żadnego udziału, gorzej nawet: nie dawał już znaku życia. Wreszcie udało mi się przełożyć prawą nogę przez parapet okna. Wróciła zaraz na swoje stare miejsce. Więc wysłałem tam lewą — ta sama historia. Wtedy powiedziałem do siebie ostro: „Ty...!”. Wolałem sobie jednak tego nie powtarzać.

Widziałem raz tani film, w którym główny bohater popełnia samobójstwo. Na krótko przed tym desperackim aktem wypowiedział

jakiś drastyczny termin, chyba coś w rodzaju zwięzłego podsumowania swojego nędznego życia. Zdaje się, że było to: „gównno” lub może nawet: „A ja mam w dupie to wszystko!” — już dokładnie nie pamiętam. Podobno cenzura miała z tym jego terminem wiele kłopotu i nawet jakiś stylistą chciał go w ogóle usunąć z tekstu scenariusza, bo mu nasuwał zbyt nieprzyjemne skojarzenia. Jednak ten krytyk, który potem wystąpił w jakimś kulturalnym periodyku napisał tam, że jemu taka forma wyrażania goryczy wcale nie przeszkadza i że nawet wykształcony człowiek ma prawo raz w życiu, przynajmniej przed samą śmiercią pozwolić sobie na jakąś bardziej swobodną wypowiedź, a tego prawa nie należy ukrywać w tajemnicy. „Człowiek” — pisał ten pan na końcu swego artykułu — „w chwili śmierci potrafi być straszny.” To trzeba uchwycić i oddać w filmie możliwie najwidoczniej. Tak mnie to wszystko zaciekało, że kiedy tylko film wszedł na ekrany pobiegłem zaraz do kina i stanąłem w długiej kolejce do kasy. Już wcześniej zastanawiałem się wielokrotnie, jak to właściwie jest, gdy człowiek postanawia sam siebie wykończyć, albo jest nieuleczalnie chory i wie na pewno, że pozostało mu najwyżej kilka godzin życia. Przecież wtedy może już robić co mu się podoba, bo nie ma nic do stracenia, więc może też pójść między ludzi z jakąś wstrętną wypowiedzią i wcale go wtedy nie obchodzi, że wszystkim dookoła zwiędły uszy. Jednak takich ordynarnych słów rzeczywiście nie powinno się podawać do publicznej wiadomości. Film z trudem udało mi się obejrzeć do końca: nie oglądałem jeszcze nigdy bardziej nudnej i kretyńskiej historyjki i nawet ten smakujący w luksusowych samochodach chudy brunet razem ze swoim kulminacyjnym podsumowaniem wcale mnie nie rozweselił.

Zaraz przypomniałem sobie inny film o ludziach przysypanych w piwnicy pod zwałonym domem. Była tam taka tragiczna scena, w której nieszczęśnicy dochodzą do wniosku, że już nie można liczyć na ratunek z zewnątrz. Wówczas mężczyźni i kobiety dobierają się razem parami, tak jakoś w milczeniu, i powolutku rozchodzą się po wszystkich zakamarkach i kątach. Chociaż nie było pokazane wyraźnie, co oni tam potem robią, z wielu szczegółów można się było domyśleć, że już im wszystko na tym świecie zwisa. Tak tylko wypadło, że jedna kobieta z długim oczkiem na pończosze i z rozbitym kolanem została sama na środku i już do końca filmu ze łzami w oczach siedziała na walizce.

Wieczorem kiedy wróciłem do domu i wsunąłem się pod kołdrę myślałem jeszcze przez jakiś czas o tej kobiecie i dziwiłem się, dlaczego nie podbiegła ona do któregoś kąta i nie zrobiła tam dzikiej awantury. Potem przewróciłem się na wznak i zacząłem wyobrażać sobie, że ja też tam pod tym zwalonym domem siedzę. Widziałem tam siebie, jak daję jej znak i wskazuję na jakieś tajemne przejście, którego przedtem nikt nie zauważył. Po cichu wyszliśmy na świeże powietrze i stanęliśmy po drzewkiem, a ja zaraz do niej ze słowami otuchy i czystym bandażem — który klęknąwszy w błocie — zawiązałem jej na rozbitym kolanie, tak jak trzeba. W szkole uczyli nas prawidłowego zakładania opatrunków i od razu pomyślałem sobie, że to mi się kiedyś w życiu przyda. Film ten obejrzałem chyba już ze cztery lata temu i owego wieczoru długo rozpamiętywałem o różnych sposobach nawiązywania znajomości z kobietami. W końcu znudziło mi się to wszystko, więc zapaliłem światło i puściłem sobie płytę z Erthą Kid.

O ile łatwiej było mi teraz wyobrazić sobie, że siedzę wciąż na tym samym miejscu. Stało się to możliwe zwłaszcza dzięki temu, że krawędź kamiennego schodka wżynała mi się pod biodro, a brzuch obejmował mi przelewający się na nogi jakiś chłodny ciężar. Mógłbym mieć coś sobie za złe lub przeciwnie — cieszyć się spokojną rozważą z jaką rozegrałem pierwszą scenę pod oknem; potem nastąpiłaby scena druga, nie we wszystkim identyczna z pierwszą. Tkwiąc tam dowolnie długo miałem zawsze dość czasu, by przynajmniej ze sto razy przypomnieć sobie, po co tam się znalazłem.

A tutaj u mnie na schodku nic się właściwie nie działo. Zdaje mi się, że paliłem papierosa, choć nie wiem jak to mogło być możliwe, bo przedtem musiałbym pomyśleć: „chyba zapalę papierosa” i potrzebę zapałkę — ciszy zaś — jeżeli ten monotony grzmot, który odzywa się natychmiast, gdy milkną wszystkie szmery, można nazwać ciszą!

Od kilku minut nie zakłócał jej żaden dźwięk, z wyjątkiem oddechu kobiety stojącej za moimi plecami. Czyli, że stało się: ostatnim co zanotowała moja pamięć był zgrzyt otwierających się drzwi windy. Zatrzymała się tuż za mną i — jak to się mówi — „zachnęła się na widok...”. Nawet nie musiałem oglądać się, by ocenić rozmiar niesmaku zniekształcającego sympatyczną zapewne przy innych okazjach buzię.

(Fragment czytanki: „Osiedle było bardzo nowoczesne i ładne.

Szerokie przeloty między strzelistymi wieżowcami o jasnych, czystych oknach i kolorowych tynkach. Uliczki osiedla wysadzone zostały kilka lat temu dojrzałymi drzewami, które pokryły się już świeżą, wiosenną zielenią.”). Oczywiście obraz byłby nie pełny, gdyby nie domalować gdzieś grupy dzieci swobodnie igrających sobie wokoło na ten cel przeznaczanego miejsca. W takiej to oto scenerii smukła pani niosąc siatkę z zakupami, z której (szczególnie agresywnie) poprzez nylonowe oczka wyglądały kuleczki czerwonych rzodkiewek, wjechała windą na jedenaste piętro, by tutaj, zwyczajnie, jak co dzień, skierować się do drzwi swojego malutkiego mieszkania. Myśli zaprzątnięte miała wyłącznie podniecającą perspektywą tej zapobiegliwej krzątającej w jakiej się wypowiada sięgający bodaj samych genów zmysł estetycznego przyrządzania posiłków, i już szumiał jej w rękach niebieskawy strumień ciekącej do wanny ciepłej wody (bo oczywiście kąpiel w pierwszej kolejności), gdy tutaj, dwa kroki przed progiem, nieledwie na samej krawędzi tej głębokiej ulgi, którą wyzwala zrzucenie przyciasnych bucików, zatrzymała się na miejscu — i jak się mówi — „zachnęła się na widok...”. No bo... schody niby to czysto zamiecione, a tu jakieś szczątki, jakiś spity, rozchełstany pokurcz... żeby nie nazwać tego czegoś inaczej, tak prosto z mostu i po imieniu... Nic mnie już nie powstrzymywało przed przywołaniem tamtej, zdawałoby się ostatecznie zapomnianej historii ze splekowanym maluchem, którego mało mi wówczas znany czternastoletni wyrostek otoczony kilkoma młodszymi od siebie chłopcami z mojej ulicy sterroryzował kiedyś w parku za jakieś wyimaginowane przewinienie i pod groźbą solidnego lania zmusił do wyjścia z krzaków, przy których czatowała grupa jego prześladowców — na ścieżkę, i pokazania pewnej przechodzącej tamtędy kobiecie tego, co zwyczaj nakazuje wstydliwie ukrywać przed płcią przeciwną.

Miałem wszelkie warunki do tego, by uczynić teraz coś na miarę tragizmu mojej sytuacji. Pytanie tylko, przerażające pytanie: czy byłoby to dostatecznie straszne. Tak się w tej wątpliwości zaciąłem, że aż coś we mnie drgnęło i kazało rzucić okiem poza siebie, wreszcie się obejrzeć. O bodajby mi kark pękł przed tym lub zeszywniał! — tak źle tłumaczyłem sobie szelest jej sukienki, jej nieruchomość za swoimi plecami. Ani kątem brązowego oka, ani skrajem długiej rzęsy, ni myślą, ni twarzą, ani nawet dziurką w nosie, słowem: NICZYM, przez tą minutową wieczność nie

zerknęła ku mnie — to było napisane w niej i na niej, mogłem sobie to swoimi wybałuszonymi ślepiami odczytać na każdej jej części. Nie dostrzegła mnie więc. Ale nie dlatego, by mnie nie chciała zobaczyć. Po prostu wcale widocznie mnie tutaj nie było. Stała sobie całkiem sama, lekko zgięta w pasie, pochylona nad torebką, którą podtrzymywała kolanem (obcas przy tym dziko w puste korytarze skrzypiał) i grzebała w niej spokojnie w poszukiwaniu klucza. Znalazła go. Wsunęła w zamek — nie było mnie dla niej przy tym. Przekręciła: tru-tam! — praktycznie i indywidualnie, też sama, przy mojej w niej nieobecności pchnęła drzwi i znikła za nimi, jakbym w ogóle nie istniał.

Byłem zdruzgotany. Przeszła sobie tędy i już nic nie było. Nie było mnie dla niej już tutaj, ani potem tam, gdzie roztrzaskany na chodniku pod murem leżałem, lecz już teraz tutaj. Naraz coś mi w głowie pękło. Po prostu struchlałem. Bo przecież tam — u niej — w środku, dalszy ciąg tej nieobecności mojej.

Zerwałem się z miejsca i skoczyłem do drzwi. Ucho w lakierowane drewno całą swoją powierzchnię wsysa, a tam kontakt: pstryk, lewy i prawy but: szur do kąta, westchnienie, błoga ulga — zaraz potem, kurek nad wanną, psst — woda niebieskawym strumieniem już poszła, uff... wtem drzwi zatkał szmer w łazience, trochę trwożnej ciszy i... brzdęk! — szklanka o talerz z jękiem przeciągłym tłucze, a gnieciony papier jakiegoś opakowania sapanie moje w jej drzwi przedrzeźnia, więc pewnie zaraz i rzodkiewki, co mi ostatecznie na progu przy jej łydce mignęły do zlewu wpadną, pod kran, aby... aby... Struchlałem raz jeszcze. Więc co to? Jak to jest możliwe? Gdzie ja? Czy tu — o cztery kroki, ale nieistniejący, czy w mieście odległym jakimś? A co ja tutaj ze swoim gilem przy nosie robię? Czy się już wytrzeć nie opłaci? Naraz coś się znów zakotłowało we mnie. Na próg! Na wycieraczkę jej nasikam. Kałużą nieczystości tajemny znak jej dam. W ten podły sposób w jej życie osobą swoją brutalnie wtargnę, o sobie jej przypomnę.

Lecz czy to aby wszystko razem dostatecznie straszne? Czy jutro prawdę moją o mnie wiernie jej to odda? A jak przed ósmą rano, przechodząc nad ostatnim śladem po mnie wcale na całym ciele nie zadygocze, a jak „Psia kość!” pod zmarszczonym noskiem niedbale mruknie: „Znów jakaś rura w ścianie trzasła” — niegramatycznie doda? Takież to nekrolog mój? Taka wzmianka, treść taka?

Chyba jednak paliłem papierosa. Dymek jakiś siny snuł mi się przy twarzy: jak worek mokrych trocin odpadłem od drzwi, od wnętrza za nimi, od myśli o niej i siedzeniem lodowatym przywarłem ciężko do starego miejsca na schodach. Ależ też i to trwałe, rozwlekłe ponad miarę przesiadywanie do reszty mi obmierzło, tak samo, jak bieganina po myślach: od okna na schodek i z powrotem do okna. Jedenaste piętro za niskie takie wydało mi się. Niebezpieczna to rzecz z niepewnej wysokości skakać. Cały czas majaczyło mi w kącie pudełko po tubie pasty „Colgate”. Ciasno w nim musiało być mojemu choremu Fi-fi. Po cóż ja nieszczęsny targąłem go tu, na to swoje niedoszłe miejsce kaźni? Blondyn też nie wysłuchany, odtrącony w noc swoją, trzaskania drzwiami i przebiegi windy liczył. I drzwi pokiereszowane, i list komuś odjęty — po cóż to?

A gdyby tak wstać i tam... do domu, do stołu — gdzie od czterech godzin moja niedopita herbata stygła — jak gdyby nigdy nic powrócić, sięść tam i zęby w śmiertelnym milczeniu zaciąć? A może wcale nie zacinać? Tylko kromkę chleba ukroić, posmarować masłem... i jeszcze szczypiorku świeżego na deseczce nożem: ciach, ciach, ciach... naciąć drobniutko i posypać na wierzch?

Wszak: „Systematyczne spożywanie witamin — to niezbędny warunek zachowania długiego życia!”

Seks kontra instrukcja

Sprowadzony tam przemocą, przestraszony i zmiażdżony ciężarem tematu (jakże delikatnego przy olbrzymiej wadze), czekałem pod OKIEM wizji i przy UCHU fonii na rozpoczęcie telewizyjnego wystąpienia.

Razem ze mną na widok publiczny wystawiło się jeszcze kilkanaście innych osób: uczniowie klas młodszych liceum ogólnokształcącego, którym w ramach audycji młodzieżowej i w ramach nowoczesności zezwolono (wreszcie) na otwartą dyskusję przy omawianiu tego podstawowego problemu wieku dojrzewania, oraz grupa „fachowców” w składzie: seksuolog (autorytet naukowy, teoria plus doświadczenie minus znajomość istoty rzeczy) i pani magister psycholog (laserowe oko mądrości życiowej). W gronie tym, jako pedagog, reprezentowałem szkołę.

Kości „ogólnodostępnego wychowania seksualnego” rzucone zostały wcześniej, toteż spadła już listów lawina. Opinią wstrząsnęły już fale: fala za i fala przeciw — przy braku obojętności tylko dwie wysokie fale. W jednej — uszczęśliwieni rodzice po rękach całować nas chcieli, w drugiej — za głowy się brali ze zgrozy szczerzej.

Temat przekazany został samej młodzieży do wnikliwego rozpatrzenia; pod życzliwym (acz czujnym) okiem zatroskanej obsady wspierającej licealiści mieli za chwilę ujawnić, co z nowinek obyczajowych najgłośniejszemu w dwudziestowiecznej trawie piszczy. U progu roku dwutysięcznego mieli się wspólnie naradzić i kolektywnie nakreślić seks-perspektywy dla nowego, nie złamanego fałszywym wstydem pokolenia. Dookoła siebie widziałem więc odświeżone wygładzone buzie, zaś przy milionach telewizorów — straszliwy tłum nastolatków.

Był nieprzejednany i wiedzy najtajniejszej chciwy. Ogarniając go oczyma przerażonej duszy miałem ochotę uciec ze studia (zatrzymała mnie troska o swój udział przy ustalaniu wytycznych), bo choć odwagi dodawała mi wiara w profesjonalne kompetencje obecnych znakomitości naukowych, jednak traciłem pewność siebie na myśl, co tu zaraz wygadywać będą przedstawiciele tamtej rzeszy: czy aby nie posuną się

za daleko (bo ja wiem gdzie?), czy czasem naszych nawoływań do pełnej swobody i szczerości nie potraktują najzupełniej serio słowem, czy oni też znajdują się na starych żartach. Zresztą już było za późno na haniebny odwrót: reżyser programu wtoczył nam pod nogi jakąś butelkę, dając tym tajemniczy znak do rozpoczęcia audycji. Wskazana szyjką butelki pierwsza do natarcia ruszyła pani psycholog. Głos miała czysty jak źródłana woda. I teź wody najwięcej było w jej długiej wypowiedzi. Nic to, że z grubego maszynopisu odczytała nam obszernie słowo wstępne na temat wartości UCZUCIA. Dla nabrania większego rozpędu i w celu pogłębienia problemu, w swym zarysie historii miłości cofnęła się aż do zarania dziejów. Niczego nie owijała w bawełnę fałszywego wstydu: nie zawahała się nawet poruszyć drażliwej kwestii Romea i Julii. Spiętrzone głosem zapewniała nas przy tym o obecności jakiejś tajemnej potrzeby, która dojrzewa w młodym organizmie, a i niekiedy później budzi się w nas do życia. Pochyliła się zwłaszcza nad pięknem tej potrzeby, nad jej niczym nie stłumioną mocą. Ponadto odkryła przed nami, że prawdziwa więź między dwoma sercami rzeczywiście istnieje i zowie się miłością. Dobrze to na mnie wywarło wrażenie, gdyż przy okazji (niejako na marginesie bezlitosnego uświadamiania młodocianych) ja również z wiarygodnego źródła coś świeżego i wartościowego sobie przyswoiłem.

Przy niewątpliwym fakcie, że właśnie audycja (specjalnie zarezerwowana na wychowanie seksualne) stwarza najlepszą okazję do ostatecznego rozprawienia się ze szczątkami niedobitej jeszcze zmysłowości, nie trzeba było nikogo przekonywać, że pochwycony gdzieś za oceanem i sprowadzony tu razem z bezwartościowymi nowinkami zasadniczo nam obcy temat seksualny, na naszym gruncie zabrzmiałyby fałszywie. W każdym zaś razie temat ten — podniesiony przez kogoś z wielowiekowego zapomnienia — w epoce podboju kosmosu ziewałby tylko uroczystą nudą.

Miotany kryształowymi wodami jakimi pani psycholog w trosce o higienę operacji obmywała miejsce na ciele tematu, gdzie spaść miało brutalne cięcie pana seksuologa spostrzegłem wkrótce, że siedzę na akademii ku czci Miłości Platonicznej. Przejrzałem jednak jej mistrzowski manewr i oceniłem go wysoko. Po takiej uwerturze bez żadnych strat wysuwaliśmy się na czoło. Fachowość w tym była

ogromna: jak z bicza strzelił, cierpliwe wskazówki wybrały cały kwadrans ulgi z ograniczonego czasu, zaś magiczne słowo „seks” nie padło jeszcze ani razu.

Następnie (przywołany do głosu obrotem butelki) wystąpił seksuolog i na oczyszczonej z jednego zielska drodze wyrwał pozostałe chwasty. On również niewiele z siebie zdjął w tym okrążeniu. Najpierw, w celu podniesienia sprawności umysłowej telewidzów, wykonał kilka działań na liczbach parzystych. Pod napięciem oczekiwania na nieznaną rezultat odjął dziewczynę od chłopca i — ku zdumieniu młodych szeregów — znaczną różnicę otrzymał. Nie ma znaku równości między kobietą a mężczyzną, co było do okazania — orzekł na zakończenie długiego wywodu. Potem przystąpił do rachunku błędów. Wytknął nam je i zmusił do pokuty szczerzej. Rozpowszechnił elementarne nieprawidłowości, niedomówienia spłyconiami zatkał, potrzebę jedności przywołał wielkim głosem, podkreślił konieczność seksualnych studiów i dopóty samą istotę nieuświadomienia fachowymi terminami targał i oczyszczał z uprzedzeń ciemnych. aż w gąszczu ich sam się zagubił i — co najgorsze — stracił wiarę w istnienie POCIĄGU.

Pozbawieni tego niezawodnego Środka Lokomocji (który zawiłymi drogami tematu bezpiecznie miał nas transportować), zdezorientowani i zaniepokojeni fachowymi trudnościami mistrza podsuwaliśmy mu na wyścigi z panią psycholog różne zastępcze hasła.

Nadaremno! Do reszty się załamał: osowiały i skołowany sprzecznymi pogłoskami, to nam słuch dawał. to do notatek akademickich (sprytnie z rękawa wyciąganych) lub w pogłębieniu własnej duszy zagłębiał. aż w końcu, gdy jedna z dziewcząt podstawiała mu pod nogę bociana, na jej lenistwo umysłowe jak długi runął, wykluczył kategorycznie możliwość sprawczą tego niewinnego ptaka, uczennicę nazwał cieleciną dziecinną i coś o kapuście zaczął przebąkiwać.

Na zakończenie audycji reżyser programu raz jeszcze kopnął butelkę szampana, którym po włączeniu kamer mieliśmy oblewać pierwszy w dziejach triumf nad pokonanym tu fałszywym wstydem. Butelka przetoczyła się przy trybunie młodzieży (tajemniczo wciąż milczącej na swym wystąpieniu), zakręciła się i skierowała na mnie podejrzanie wystający korek.

Natychmiast przystąpiłem do rozbierania problemu. A pora już była

najwyższa, gdyż kto jeśli nie pedagog, światłem najnowszych seksualnych odkryć w wierze utwierdzony — o powszechnym istnieniu Pociągu miałyby przekonywać nękaną wątpliwościami młodzież? Kto inny bielmo nieświadomości miałyby jej zdjąć z oczu, dowód bezsporny przedstawić, opór jej złamać, rozleniwioną ku Niemu obrócić i o Jego obecności nieustannie przypominać?

Rozbierałem się systematycznie: najpierw śmiało wygarnąłem różnym instytucjom, że nie przeganiają z kapusty bocianów. Szkołę na dom zwałem, a gdy się podniosła utyskując na brak odpowiednich pomocy naukowych — Domem bez litości ją przycisnąłem. Po tym wstępie zwróciłem uwagę telewidzów na niedostatki... ba! — wręcz na nieobecność jednolitego seksualnego PROGRAMU. Poprosiłem ich, aby tylko zechcieli zauważyć, jaki wzorowy ład panuje na całym globie ziemskim we wszystkich innych (pozaseksualnych) dziedzinach.

Lecz czemu wszędzie panuje taki porządek? — zapytałem groźnie. Cisza. Bo jasność szczegółowej INSTRUKCJI przyświeca nam przy każdej prostej myśli i nieskomplikowanej czynności — odpowiedziałem łagodnie.

Dziad czy wyrostek wie wszystko dzięki olbrzymiej liczbie szablonów, które precyzyjnie sterują jego myślami i ruchami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W jakiej pozycji spać i którą nogą wstać z łóżka — wie. Kogo w pierwszych słowach listu pochwalić — wie. Z której strony damy iść i komu najpierw w salonie rękę podać — wie. Że widelec z lewej, wypukłością do obrusa, a nóż ostrzem do talerza z prawej jego strony — wie. Ile razy na powitanie gościa miłego z całego serca ucałować — wie. Co miał poeta na myśli, gdy pod naciskiem nagłej potrzeby po gorszy gatunek papieru sięgnął — też wie. Bowiem WIE wszystko.

Tylko ile razy w tygodniu Pociąg czuć, czy to dozwolone, ciemne czy jasne, czy powszechne aby i opracowane, co prawidłowymi czynnościami w jakiej kolejności poprzedzić i o której godzinie zdrowo — tego już zupełnie nie wie i To trzeba mu powiedzieć. Inaczej załamie się bez wsparcia Instrukcji!

— Ludzie! — Zerwałem się z miejsca. — Jak to? — W obiektyw kamery patrzyłem i widziałem tam miliony fachowej pomocy pozbawione, nękanie brakiem jednolitości i bezradne na wypadek

nadejścia pociągu. — Jak to? Przecież my naszą młodzież skazujemy na katorgę samodzielnego dochodzenia do Toru, zamiast ustalać jasne przepisy, na drogę do Toru, zamiast ustalić jasne przepisy, na drogę do Dworca zwalamy im kłody niepewności!

Podchodząc do trybuny trąciłem butelkę. Jakby kto ciemny granatem się pobawił — huknęło, zawrzało i zgasło. Z ręką wzniesioną na wysokość zadań zatrzymałem się w cieniu fontanny szampana. Reżyser ciepłym uściskiem dłoni podziękował mi za głos, który przyniósł światło.

Mocnym krokiem opuściłem studio. Dopiero za progiem dyskutant jeden niemy wystąpił z szeregu milczącej młodzieży (uratowanej tu z tak wielkim trudem) i trącił mnie poufale pod żebro, tak jakoś — niby to na marginesie załatwionej sprawy.

— Dziadku — ozwał się figlarnym tonem. — Dlaczego seks nie może pozostać tą jedyną dziedziną ludzkiego życia, której nie meldują żadne wytyczne przez forum instrukcje?

Pas jąłem ściągać. Nogą przytupnąłem w uniesieniu gniewnym. Gotów do wymiaru razów zapałem się już w zamachu groźnym, ale on tylko ręką kilka zawodów zrobił, jakby gitarę zaczynał tarmosić, dziewczynie swojej coś do ucha szepnął, do autobusu z nią wskoczył i tyle go widziałem — zuchwały szczeniak jeden.

Roztrzepaniec nieświadomy

czyli osobliwe niedopatrzenie jego ekscelencji

Ledwie zgarnąłem w pamięci liczne przestrogi podróżne, łązy świeżo z myśli żałosnych zdjęte i pocałunki pobieżne w pośpiechu zbierane i do przyspieszonego powrotu nagłące, ledwie w perspektywie topoli moje plecy majaczące wśród gałęzi wiatrem strzępionych tęskną dal naruszyły, a już ziemia całkiem inna, pod złowieszczym przestworem szerniałego nieba szarym światłem zasępiona, ale w krąg rozwarta i pusta.

Przemierzam ją wzdłuż, aż po jałowy pas widnokręgu, gdzie tkwi wbita w linię horyzontu zagadkowa wieża. Równina: ani pokryta, ani goła — w sam raz, za uchem wiaterek, przy nodze sypka: kurz wzniósł się i przysłonił widok. Odrywam but od ziemi, wstrząsam i stawiam, oczy pod niebo wzbijam i piasek w zębach miele, ciężko, ale podchodzę bliżej... Coś się zakotłowało w pyle. Poszarpany obraz nieba odbiegł i gdzieś się zawieruszył... ale niech tam. Przede mną, z otwartych drzwi wieży i przez okna wysypują się tu i tam, w gorączce i przynagleniu szalonym, aż miga.

W szablon szeregi na placu sposobią i w trąby dmą, łoskotem werbli ciszę wypierają, nowe równoległoboki montują, armaty zataczają i na wiwat wałą, nadskakują, meldują, brawo biją i wciąż wybiegają naprzeciw — wszystko, co było w środku, na mój widok na plac skacze żwawo, jakby ich wymiotło.

— Generale! — mówią do mnie — oddział w najwyższym stężeniu gotowości i do galowego manewru już przysposobiony...

Aż mnie ścięło. Toż to na generała cześć w okrzykach strzelistą i wierzchołka samego godną, od drzwi wieży w zdumioną twarz wyginają mi ukłony uznania. Czy przecisnę się bokiem nieporozumienia tego, czy ujdę z sensem swym niezgodnionym — nijakim?

Lecz gdy z nogi na nogę niemrawo przestępuję rozmazując się dyskretnie na tle szarym, z tła tego zausznym szeptem najbarwniejsze dystynkcje wycinają mi raz po raz i aż w uszach gwizdże od wiwatów.

Naraz organizują się na nowo. Ten i ów podbiega bliżej. Najpierw w grupach niewielkich: ci na wyprężoną wstrzymanym oddechem nagłą ciszę naciągają wygładzone banałem słowa, inni, — zmontowani w nieruchomych blokach milczenia — nawlekają gotowe już do lizania na moją twarz zmieszaną z zaskoczeniem. Czyżby ubrania mego krój odmierzony był tak myląco lub linia zanadto wytworna, czyżby grymas mój na twarzy nie zmydlony toaletą poranną...

— To jakieś nie...! — wołałem. — Ależ to nie... — w szczelinę zgiełku wbijałem.

Lecz wyjaśnienia moje — zaczepne ości w gardle, choć przepychane ciągiem podrzutów zapewniających, chociaż wśród zaklinań szczerych nabrzmiące mocą nieodpartą i wstrząsającą — przecież daremne, bo grzęznące w monotonnej szarpaninie wymachów zewsząd napływających.

Patrzę, aż tu ni stąd, ni zowąd znów się organizują od nowa. Lewą nogą z klęczek wstają, mundury wytartymi podszewkami na wierzch przewijają, medale na drugą stronę przewracają, między wierszami toczącej się uroczystości czytają, a i orkiestra na nowe tony przestrojona całkiem inny nastrój podkłada.

— Cześć ci generale wraży! — w największym zdumieniu nagły okrzyk słyszę — Chwała ci nieprzyjacielu nasz odwieczny! Ty dręczycielu zajadły i ponury!

— Jakże to...?! — pod nosem drżącymi ustami mruczę i trwożną myślą chyłkiem na bok pomykam. Zaszczytne dowództwo nad stężonym w gotowości oddziałem czy śmierć podstępna mi tu zapowiadają? Oj, chyba mi przyjdzie tył dać i sromem najwstydlivszym się okryć, bo przyjęcie to takie prawdziwe jakieś, serdecznością wylewną nabrzmiące, a jednak zdradą zalatujące.

Ale już i odmiana nowa. Już grzeją słowa łagodzące, cieplejsze. Marszcząc uśmiechy przymilne, od głębokich skłonów czerwienią na policzkach nadbiegające, ciągną mnie za wykrochmalone, ozdobne poły ubrania mego, już, choć się zapieram nogami, wiodą mnie pod wieżę czarnymi rysami usianą i hen w ponurą poświatę nieba wymierzoną. Tu w pyle zamiatającym po twarzach drogę wskazują mi cieniami przyciętych mankietami dłoni. I dalej na schodach, stłoczonych wzdłuż wywiniętego korkociągu oślizłych stopni, wśród ścian zaciekami

porzniętych inni już mnie prowadzą, popychają i w górę windują, pod tyłek mnie podłapują — aby było łatwiej.

Dopiero na samym wdzierającym się w chmury i chwiejnym, bo ponad bezpieczną wysokość wzniesionym wierzchołku wieży tej niebosiężnej, adiutant mnie za kołnierz z wiru zawrotnych pięter wyrywa i każe mi buty wycierać, bo podobno dywany dalej mają być mięsiste, fajkę radzi mi zgasić, bo kotary łatwopalne choć gęste i spoiste, a na koniec przed nieostrożnym macaniem antyków cyzelowanych mnie ostrzega i wreszcie otwiera przede mną drzwi jakieś nowe, autografami głęboko pocięte, ale mimo to jeszcze masywne. Zanurzam się w dusznym półmroku i okiem ciekawym niezwykłości na wszystkie strony mierzę, a tu ani dywanów mięsistych, ani antyków cyzelowanych, ba — nawet krzesel czy spluwaczek byle jakich ani cienia — stół jeden tylko potrząskany i lichey, z desek naprędce zbity i pod naciskiem piszczący na samym środku ustawiony a na nim świeca, luneta długa, filiżanka i księga.

— Witaj mi ekscelencjo, wrogu mój najzacieklejszy! — słyszę głos dobiegający zza stołu.

W mdłym nawisie rudego blasku zapewnianego przez kopcałą świecę widzę postać generała nad podziw wyniosłą i godną, wzwyż — od podłogi aż po strop wymyślnym mundurem ozdobną, wszerez — błyskiem medali znaczoną, a na dodatek gęsto dystynkcjarni nakrapianą.

— Racz spocząć gościu mój zawadzający i kłopotliwy, ale przecież oczekiwany — mówi do mnie i krzesło niewidoczne, chyba domyślne pod siedzenie mi podtyka. — Kawy czym prędzej łyknij i żwawo od dawna zaniedbany podpis pod aktem wypowiedzenia naszej wojny zamasyście składaj. — Owszem, sznurowadła trochę zluźnij i odsapnij nieco, orderzy moje w przypadku nudy policz, ale miejsca tu nie przegrzewaj, tylko na stanowisko wojsk swoich lunetami moimi wygładzone gnaj, bo mi do tej słusznej wojny pilno. Ja pierwszy podpis pod aktem przeciągnę — rzekł, brwi krzaczaste ściągnął i za pióro chwyta.

A mi tu nieswojo jakoś: łydką o łydkę pocieram, paznokiec przycinam w zębach, piętą wiercę i skrajem oka podglądam swój cień pokraczny na ścianie okrzykiem powitalnym unieruchomiony i już przezornie do wyjścia skręcający. Niedopowiedziane i dwuznaczne to

wszystko takie: zaczepne, ale łagodne. I krzesło, choć podstawione usłużnie, przecież wyniesione gdzieś i nieobecne; i filizanka tak biała, jak czysta, bo pusta, z próżnego dzbana umowną kawą napełniona. Gdyby już koniec na tym, ale gdzie tam: pióro też męczone na próżno, po karcie księgi szura i skrobie i nadaremnie niewidzialne litery wodzi, bo ani umoczone, ani napełnione niepiszące takie. Nic innego tylko przenośnia musi być w tym wszystkim — metafora wystawna i zagadkowa.

Więc już miną nadrabiam, palcem w bucie na to i owo kiwam, piąte przez dziesiąte słucham, co czwarte przepuszczam, ale przy własnych słowach uwagę napinam i nie przepłukanych dezynfekcją uroczystą z milczenia nie zwalniam.

— Czas już nam z armat okopy potarmosić — mówi generał. — Trzeba kulami pole pomacać, tu i tam pożogę jakąś smutną wzniecić, szeregi wojsk trochę poszczerbić i przeredzić; niech kobiety po posiekanych mężach trochę popłaczą — raźniej będzie.

Naraz lunetę długą ze stołu łapie i w szczelinę obciągniętą pajęczyną wtyka.

— Uwijaj się, ekscelencjo! — mówi. — Podpis, gdzie trzeba, połóż i zanim atrament obeschnie pierwszą krew puścimy. Niech się ten śpiący zadek trochę zakotłuje i przewietrzy, ruchu energicznego nam trzeba, świstu, łoskotu i wrzawy trwożnej. Ale cóż to wrogu mój śmiertelny, zapału żadnego na tobie nie znać ani ochoty do nagłej mobilizacji? Czyżbyś w potęgę wojsk swoich tak ufał? A może do naszej słusznej sprawy i jakże sprawiedliwej wojny ci nie śpieszno?!

— I owszem, tęskno mi za wojną jakąś — odpowiadam mu na to — a ta szczególnie mi do serca przypadła, bo okrutna ma być. Chętnie więc dowództwo nad wrogą ci armią obejmę, bylebym tylko wiedział o co tu chodzi. Wyobraź sobie bowiem przeciwniku mój zacięty, szczegół taki kolący po głowie mi lata: o co zмагаć się będziemy?

— Szczegół to w istocie, bo każde dziecko zapytane tchem jednym wyrecytuje ci odpowiedź z pamięci.

— Słucham więc.

Milczy. Oko lewe mruży, a prawym na boki wywraca i iskrzy, ale jak strasznie iskrzy.

— Kpisz sobie, czy unik jakiś podstępny knujesz? — pyta.

Z ciekawości opamiętać się już nie mogę.

— Więc za co katować się mamy? — zagaduję dalej.

— Bo wrogami na śmierć i życie jesteśmy. Jeden drugiego w kwasie siarkowym chętnie by wymoczył, ze skóry by go obdarł i posolonego psom podrzucił, bo litości tu żadnej nie ma i być nie może.

— Ale skąd tak wielka nienawiść między nami? Czy może porachunki jakieś niezabliźnione jeszcze, zleżałe i od starości zatęchłe? Może jakaś miedza księżycową nocą podstępnie zaorana, czy co innego?

Znów milczy. Oczy w strop wbija i widać już jak się natęża, jak za myślami dotąd równo poskładanymi, a teraz podbitymi nagle, po całej głowie goni, jak je w kupę zbija i już-już na końcu języka w zwartą odpowiedź wyciąga, gromadzi. Jednak przygotowany szereg słów do zagłuszenia ciszy widocznie za mało sprężysty, czy może źle opatrzony, bo do niewypowiedzianego w głąb na zawsze wraca.

— A gdzie tam... — odzywa się wreszcie. — Ledwie pierwszy raz się widzimy. Inna musi być przyczyna tej naszej wrogości wzajemnej i nieprzejednanej. Może tam w akcie napisane stoi?

— Nie, nie tu nie ma.

— Co znowu...! Zatarło się chyba albo zamazało, ale mniejsza., Powód jakiś musi być, bo zawziętość nasza nieopisana jest, to pewne. Więc wysławić ją tak na poczekaniu w prostych słowach trudno. Tu trzeba wielką ideę do prostych słów przyciąć, a ja do gnuśnych uproszczeń nie taki znów prędko. Szaraka jakiegoś trzeba nam zagadnąć, ekscelencjo, a on już kwestię jak trzeba wyłoży.

Już za dzwonek szarpie i adiutanta wola. Ten jak nie wskoczy, jak obcasem nie rąbnie, aż pył z podłogi pod nosy się wydźwignął. Ale nie tylko kurz w górę się wzbija, jak widzę, bo kiedy generał oficera na przepytkę z uświadomienia bierze, ten też ramiona wznosi pod same uszy, z najszczerzej niewiedzy podciąga, aż mundur w szwach trzeszczy i puszcza.

— To nie wiesz durniu, o co tłuc się będziemy?

— O słuszość... — na chybił-trafił rzuca żołnierz.

— Ale dlaczego ona tylko nasza, a nie ich, tych krwiopijców obmierzłych, gamoniu jeden?

Patrzę, a tu ramiona jeszcze wyżej idą i już głowy prawie nie widać.

— Nieuświadomiony to oryginał — mówię — innych raczej na spytki weź! Jak gdyby nigdy nic swoje i moje wojsko nagłą przepytanką

zaskocz, krzyżowym ogniem pytańników wszystkich obłóżeń. Ja tymczasem po okolicy trochę się rozejrzę, bo już w tej gadaninie próżnej, poszukiwania jasnej przyczyny tej naszej nieuniknionej wojny odechciało mi się i gotów jestem bez słusznego powodu na oślepie tłuc. — Mówię, a ręka w stawie mi chodzi, w takt tych jakże energicznych słów powietrze piłuje, w nienaganny efekt retoryczny wypowiedź moją wzbogacając. A potem już milczkiem i niby to od niechcienia, tak sobie, spacerkiem za drzwi się wynoszę, ale za progiem po cztery stopnie na schodach biorę, na siedzeniu, gdzie można, dla pośpiechu zjeżdżam, bo nie metaforą wyszukaną i w ozdobniki domyślne strojną lecz strzelaniną siarczystą i dosłowną to wszystko mi pachnie.

Dopiero gdzieś hen na równinie od wieży zgubną dla słabych nóg odległością oddalonej widzę, jak posłaniec jakiś umyślny za mną w tumanie pyłu po piachach sadzi i z głową od ucha do ucha rozwartą na całe gardło coś ogłasza.

— Już zawarliście pokój? — pytam od niechcienia i przyspieszam nieco, bo mi w swoją drogę pilno.

— Wra...! — krzyczy i oddech traci. — Wracaj ekscelencjo!

— A co tam nowego? — rzucam przez ramię i na wszelki wypadek nie zmieniając kierunku, ruszam do długodystansowego biegu.

— Polecono mi przyznać rację waszej ekscelencji.

— A niech tam... Bądźcie zdrowi!

— Istotnie, konflikt między nami nie był dotychczas zapięty na ostatni guzik...

— Mniejsza o to niedopatrzanie drobne...

— Ale już generał nasz swój zaniedbany obowiązek spełnia i gorączkowo naprawia, co dotąd w roztargnieniu przeoczył...

— O! Czy myśli o całkowitej demobilizacji?

— Przeciwnie: dopiero teraz zaczyna organizować to, co już dawno powinien był zrobić.

Już nie bagatelizuje pewnych istotnych potrzeb ludzkich. Naszego pułkownika poetę do wysiłku artystycznego zmobilizował nastrajając go na uświadamiającą nutę. Patriota to wielki: do innych wojen rymy rozgrzewające snuł, to i do naszej jakiś wzorzysty powód znajdzie. Nie wierzysz, generale?

— Oo... Ooo...! — charczę, nie łagodząc biegu.

— Wracaj ekscelencjo! Czy do historii nie chcesz się prześliznąć?
Przecież teraz słusznie i sprawiedliwie zмагаć się będziemy...

Rwę dalej — jak pocisk przed siebie pomykam. Już go z oczu tracę.
Pięty o ziemię rozbijam, oddech na później odkładam, a z nóg wyciskam
największą wartość pędu.

Dekoracja

(Przypadki rycerza bladego a ponurego)

Niczego złego nikomu nie zrządziłem, zawsze dziesięcioro przykazań przed jedenastym stawiałem, podatki lojalnie iściłem, na wybudowę łożyłem, a legalnie też funkcję podśmiewajłly u Wrót Najwyższych pieszcząc; co trzeba przed użyciem wstrząsałem, i ani w dobroci nie przedobrzyłem, ani w rozpuszcie nie rozpuściłem, totyż dziwu żadnego w tym nie ma, że nie kajdany ciężarne, galery, powróż czy pal jaki — jeno pokłony niskie, uznajewody, zaszczyty i chwalba na barki moje pokorne z Pałacu spłynąć miały, gdy wreszcie zostałem zauważony, wskazany, doceniony, wezwany i skierowany w celu umedalowania.

Ale, że w duchu ceremonialnym od pacholęcia przykładnie wychowany nie zostałem (chociem na szerokim i długim świecie bywały), że do salonowych podrygów wcześniej nie ułożony, do glansu przez matkę nie przeczyszczony, przez ojca w paradach nie ćwiczony, babki ręką w jedną stronę szturgany, a niańki nogą w drugą odkopywany, pośrodku cichcem przez dziadka przydeptywany, taki wreszcie skołowany, że w daniach zamorskich pyrciów w galarecie od łojowych lepciów nie odróżniałem — tak mi jakieś lichy na ciemieniu siadło i tym razem, gdy mój Wielki Dzień zawitał, bo gońca pałacowego, który mi wieść zaszczytną o wyróżnieniu najwyższym niósł na papirusie zrulowaną, z poborcą ponurym pomyliłem i ze schodów go spuściłem, psami przyśpieszając do bramy, bom się nań — durny — o niewiele co rozsierzdził: nie dość, że gamoń jeden talary drze, a nie popuści, to jeszcze nosa nie otarłszy, na pokoje prosto wali i gnój — co weń wstąpił ladaco — z podwórca na chodaku mi dźwiga, przez izby targa i po komnacie roznosi.

Dopiróż po niewczasie w łeb się żałośnie zdzieliłem, markotny i mądry już po przypadku, bo to nie tylko splendor, kto wie jaki, bokiem przepuściłem, ale naraziłem się może jeszcze na pałacowe szykany, na dyby, kutaje i kto wie jakie podkopki!

Tedy dwóch pacierzy jeszcze nie odklepawszy, na służebnicę,

zwawą dziewczkę krzepko wołam:

— Tyś w nogach chyża: lećże no co tchu i pachola tego pod wiatrakiem gdzie dopadnij a przebłagaj, za kolana go obłapując. Może to nie golec ani szarak byle jaki, bo mi się przy gadce nasrożył i wysoko zapał; wszelako nie zelżony on przecie ani nie oplwany, tylko trochę stratowany, bo go ciżmą ze schodów strąciłem, gdy papierusem mnie wachlował; teraz pomnę — głupi — że pieczęć przy rulonie najbogatsza była, nie komornika domiarowego, ale wytworne godło, chyba dekorację jakąś wystawną mi zapowiadające, bowiem niczego złego nie zrządziwszy, zawsze dziesięcioro przed jedenastym miałem, podatki iszcząc, na wybudowę łożąc, ani w dobroci nie przedobrzyłem, ani w rozpuście nie rozpuściłem, więc dziwu żadnego tu nie będzie, że nie katorga w kamieniołomach, loch czy bicz srogi — tylko szczytniki i wiwaty, a jeszcze może tytułmajec jaki trafi mi się z woli Pałacu.

— Oj, waszmości to tytułmajec by pasował, bo i godzien waść uznajewodów kopiastych rzeczce posługa moja, po czym dodaje roztropnie: — Ja nie po swawoli kadzę; gdyby tylko waść dziób stulił, gdy do medalowania dojdzie.

— Zamknę ja tam gębę swoją, która niewyparzona jest, co się słyszy, i praktyk podśmiewajły też zaniecham. Ale pierwej ty umyślnego dopędź i pod nogi mu się ciśnij. Gdyby zatwardziały w gniewie był, tampon jaki na ból mu przyłoż, łzy mu otrzyj i sama żałośnie załkaj, w zawodzenia popadając na przemian a w pochlipy. Tyś równa mu w kondycji, to i sromoty dla ciebie tu nie ma, a dla mnie — jeśli nie kajdany ciężarne lub dyby pod biczem — to loch ciemny lub zgoła powróż czy pal jaki.

Pomknęła w te pędy służebnica bystra, a mi tu nieswojo jakoś: ona tam piętami śmiga, łydkami kształtnymi kartofliska przerabia, palcami żytko kosi, i dalej — przez te ugory kraśne, nieużytkami haftowane na przełaj bieży, a ja tu fajkę pykam i po łbie się tarmoszę: pyk... i na podjumencie z tytułmajcem siebie widzę, pyk... — i na kolanach z szyją na pieńku kata.

Jakoż — nad podziw prędko, bo kopę jajców nie zwarzyłyby kolejno w ukropie — tumult trwożny na podwórku słysząc, potroje odmykam, bacząc na zbroicę swoją przy żurawiu onegdaj odwieszoną, czy ciemięga który ryszstunku mi nie bruka, a tu miast opilca spodziewanego —

karocę drabiniastą, łykami przewiazaną, latami obitą i rudą już ze starości za gnatami kobyły zjeżdżonej widzę. Rozprzeg w tumanie prochu pod czworaki zatacza i nareszcie przy dworcu moim podupadłym staje. Jeszczem oklapu takiego w żywocie swym nie dojrzał, jak długo po świecie się tułam — tedy gębę w podkowę rozdziawiwszy, patrzę ino na co się zanosi.

Najpierw posługa moja z kozła złazi i zdaje mi sprawę z posłania:

— Jak mi panie przykazałeś, chodów nie żałowałam przez zagony i odstaje sadząc.

— No i co tam?

— Dalibóg, złą wieść ci niosę, bo poseł pałacowy na duchu przydeptany przez ciebie, w sobie się zwarł i naprężył.

— Ale co drąży?

— Przy gościńcu na dyni okrakiem zasiadł, jedną ręką Chodaki zdjął i na lustro stawu puścił, a drugą grubym badylem w ciemię się szturgał, na głos razy licząc.

— To nie rozerwałaś go choć nieco, o głupstwie moim żalonym badając po przypudrowaniu siniaka?

— A jakże! Ale gdy pokutę twą, panie, zapowiadałam mu płaczliwie, w zawodzenia popadając na przemian a w pochlipy — z uchem mi umykał jak głuchy. Tyle w końcu wskórałam, że się znów nasrożył okrutnie. Wstał, spode łba łypnął, wzrokiem zatoczył i jak nie ryknie: „Biadaż! Przez rycerstwem odtrącon a zhańbiony!” Potem włos ostatni sobie z głowy rwał, młodych dębczaków wkoło siebie szukając dla łatwiejszej podrywki. Nieprzejednany w gniewie jest: pomsty jeno chciwie łaknie.

— Prawisz tedy, że takimi słowy wysoko zapiał?

— Oj, folgi żadnej on ci nie da ani nie popuści.

— Więc do Pałacu skargę zawlecze i rozdyma.

— Tym gorzej bo nie wiesz kogoś cizmą zmierzył, mój panie.

— Czy nie ciurę byłę jakiego?

— Błądzisz nieszczęsny: człek, któregoś w poślad ugodził — to sam Liczytalar, posiadłścian wielki, magnat pyszny i pierwszy w kolejnictwie za Stolcem.

— Nie może być!

— Toż godło mi wydobył i okazał.

— Przebóg!

— Ja tyż omdleвам. Z pańska on zawždy gębę w ciup wydyma i hardo podbrodę nosi. Wszelako tajemny charakter mając, na piechotę i w podłym przyodziewku chadza, co skąpowitością gawiedzi załata. Teraz on tylko olej lniany do pochwy leje, miarkując, czy miecz luźno w obedwie strony chodzi i czy jak jego ząb o ząb nie zgrzyta.

Gorze nam, jeśli sam się nie przygłodzi nieco albo czem nie udobrucha. Zawszeć to pan w Pałacu, obszamikus, tak worków licznych, jak i odstai szerokich posiadłościan.

Tak na przyzbie ze służebną gadką zajęci, o tym, o tamtym i o owym sobie gwanym, jednakowoż o karocy przez bidę sponiewieranej całkiem zapomniawszy. Nareszcie czeladna szczątki mi wskazuje:

— Mizerota tam jakiś o drogę do ciebie, panie, na rozstajach mnie przepytał, gęby podlej z budy owej nie wytykając. Tedy na zadniej osi przysiadłszy, przywiódłam go do twojego dworca. Pewnikiem po prośbie ladaco się tuła, na miedziaki liche oskomę mając.

— A czegoj on niemrawy taki? Czy aby nie chromy? Człek to może pocziwy, ale gnuśny.

Na to posługa do karocy przypadłszy, w oklap kułakiem wali:

— Nuże, dziadygo, wczasowiska zaniechaj! Kałdun dźwignij, portki w garść ujmij i na pole wyjrzyj, by panu mojemu nisko się pokłonić. Zaś pod gumno żwawo się targnij i sieczki sporą kupę narźnij albo gnój w oborze ochoczo przerzuc — to ci skwarę jakąciś tłustą do worka wcisnę, jeśli ci brzuch opadło, a może i barszczu łyżkę wysiorbisz.

Lecz ledwie nieszczęsna tak gromko zakrzyknie, a już na kolana pada. Już licem przybladłym grunt podwórca ryje, prochem nabożnie siebie przesypując. I nie dziwota w tem ani srom żaden, że jak najprzód w poprędcie w nie okazany jeszcze majestat ubodła, tak na wizerunek dostojny, co się nam po jej bluźnierstwie objawił, pokutę sobie naprędcie czyni, w pyle się maże i przypłaszcza.

Bowiem w czas ten przypadków okrutnych nieświadom, tak godnie, jakoby kto brylantum z łachmanów plugawych na światłość wydobył albo perfumę w zatęchły przestwór puścił, miast ciury sprośnego i chudego — męża tęgiego postać znakomita, na cztery łokcie wyniosła, z usty na nikczemność wzdętymi i podbrodą hardą, w cappellum z piropuszowcem na sążeń długim, w serdakus lamowany złotem i tużur

takoż — jak piematy i atlasy powłóczyście wstęgą srebrną okolon, przy której w pochwie podróżną nabijanej obusiecz podręczny się huśta; a nadto w żabostan misterny strojna, w wychodku karocy się zjawia, okłapę zszarganą precz odtrąca, na spróchniały stopień staje, łamie go ze wzgardą i krokiem zakolistym, jakoby kto ornament na piachu cyzelował, z przybrzękiem co piruetów salonowych świadom — ku mnie przepysznie sunie, bokami lubieżne zawijasy robiąc; tu ustąpi, tam się nadda lub w balans zakroczy, to na przód, to podtył się poddając płynnie, a tak układna, tak wytworna w przegibach i skłonach wyszukanych, że nawet ogara ochrypłego już w zajadłości, co na to widowisko doniosłe z łańcucha się urwał, doskoczył i łaje wkoło — umie mimochodem w łeb zdzielić rytmicznie, a i głupie bydłę (trafione tak wdzięcznie) tyż do taktu wyje.

Nareszcie cappellum z fryzów pogłowie porywa i podwórzec czysto piropuszowcem omiótłszy, w dygu zawiłym tężęje, głosu w garść ukradkiem dobywa i — zapiawszy tam nieco — gładko już, jak po łoju pyta:

— Tyś to w osobie swojej sam jeden, rycerz Błady a Ponury?

— Ja żem — odgadam mu na to, kontent, że mi dystynkcję czyni, dyshonor posługi płoczej płazem puszczając.

— Wieść słodką przynoszę ci, rycerzu, pierwszy dziś między przednimi.

— A strzelista onaż w podszczycie?

— Dyć stromsza niżli olbrzyma jestestwo.

— Skąd wiedzie?

— Ze Stolca samego...

— Tedy z Zamku, co o cisk cepem pod wiatr kele Pałacu stoi? — zagaduję dalej. Cały już chodzę ze szczęśliwości cichej.

— A jużci!

— Przebóg! Wyduś raz gładko, a nie gdacz w podpachy. Z chciwości na nowinę letką z pozbroi już wyłażę, zaś waść — to odmierzysz kęs pyszny, to skąpo w półwierci przytniesz.

— Dyć gębę zakołkuj, to całkowitość wyznam.

— Już ci osłuchem legnę. Praw przeto szparko, ale przybajów i wypędzli ceremonii nie szczędź.

— Jam Gołyżada XVI naszego Najjaśniejszego Ceremonista I. Z takiej

to ponadwysokości w zaduch twój się spuszcza, by obwieścić ci wolę samego króla, którego pociechę ino w wyszukiwaniach znajduje. Zaś wielką ochotę w żywocie swym nudnym do wszelakich paradobrzdęków i wyciupków ucieśnych mając, szczególną chęć do medalowania pała. Ciebie na niedzielę dzisiejszą pomazał. Przed nim więc na kolana ustąpisz i kraj ucałujesz.

Na te słowa — cicho jak makiem podsiany — goleniami w piachu podwórca przerabiam i tylko czepiec w garści ściskam, com go ze łba zerwał na wieść tak łaskawą.

— Naści — rzecze Ceremonista i skórę ozdobną, wołową pod nos mi podtyka. — Lecz czyś ty aby w piśmie dość przebiegły?

— Co nieco za drukiem podążam.

— A wodzone chwytasz?

— Z przystękiem ciągnawym, bo dziad w pacholęctwie inkausty mi spijał.

— Widać, że na chmielu pędzone i zamorskie, jako żywo! Cosik przecie przedukasz i rozumnością obłąpisz.

Rozwijam tedy wolowiznę jak długa — a tam ciurkiem o medalowaniu mowa:

„Godzien dekoracyjus wstępūs ed orderementum y medalevium classis primus (na jasku atłasowym ośmioma kutasami zdobnym) pod lube wzdęcie trąb, kotłów turkot i rzewne niewiniątek pienia rycerz Błady a Ponury z Woli Gołyzadowej Naszej na Zamku samotrzeć się stawi, gdzie na podjumencie pełnym pośladem przysiadłszy, uznajewodów kopiastą miarkę zbierze, nim wreszcie tytułmajca stromego szczytu sięgnie.”

— Azali ćwiekiem głównym wieczornicy królewskiej będę? — pytam Ceremonistę zamysł króla swego rozumnością obłąpiwszy.

— A jużci! Tedy zwijaj się jakoby kto mrowie z siebie strząsał. Onuce oprawszy, gacie paradne nawlecz, blachy przywdziej, kopię co dłuższą ujmij i wałacha czym prędzej dosiądz. Piany z pysków końskich na gościńcu rozprychać nieco nam trzeba. Ot co!

I tak. ledwie by kto za stodołę wyleciał i letko wrócił, zakręciwszy się wkoło siebie nieco, ku Zamkowi cwałujemy pilnie. Jak w sam raz słońce naddało się wedle zachodniej połaci, kiedy srogo nadęte i okraczne mury zamkowe wyłaniają się skroś przetumanionego nieba. Za niedostępnikiem wrażym, co wkoło potęgę królewską wałuje, człek jakowyś niepozorny most nad fosę — pod strudzone golenie nam wykłada i bramę ciężarną sam odmyka, aby do środka zamczystego

zaprosić.

Na widok lichoty do cna odźwiemą orką spracowanej litościwiec się we mnie odezwał.

— A czegoj to sam jeden, starowino wątły, pokrętła i drągi mostowe tannosisz?

Ani drgnie, tyłowizną obrócony do mnie, tedy dalej ćwierćgębkiem przeciągam:

— Ja nie z wrażej potrzeby, jeno z poczciwości samej, co z dziada na dziada przełazi niebożę.

Odkręca się. a mnie jakoby kto kłonicą zaciężną przez łeb w okoliczność ciemienia sięgnął, bo nie zmyśliłbym w nim samego Gołyzada Najjaśniejszego, gdybym pana swego ciągiem w kieszeniach własnych nie macał i nie tasował tam go: na bilonie obiegowym ubity w mennicy liczytalarowej został i ciżba lichwiarzy wizerunek jego po nocach obcałowywała.

— Dobij! — zakrzyknę cienko, z lamentem. — Chodakiem wdepnij w me ścierwo, wyjęk ostatni mi wyduś, li tylko sumienia, co Stolec twój zbrojnym rycerza ramieniem nad wszystko wytłoczyć łaknie, do fosy nie odkopuj.

— Nic to — szepnie grobowo. — Na kolana jeno ustąp i kraj ucałuj. Nic to.

Takoż krzyżem u stóp najstromszych legnę i kraj namiętnie żuję, gdy on Ceremonistę palcem ku sobie przyzywa i precz go niebawem odsyła, mnie zaś z prochu skinieniem podnosi i na komnaty wiezie.

— Nic to — raz jeszcze po drodze, jakoby w podpachę sobie chuchnie. — W uznajewody rychło cię opętam, tytułmajec jaki ci wpasuję, nim zaszczytnikiem na wskroś przebodzony, podjument u zelówki tronowej pełnym pośladem wypełnisz.

— Nie może to być! — z oskomą okrutną zakrzyknę. — Czyżem godzien przy samej Zelówce pełzać? Czemem podbrodę twą wygładził, panie?

— Głupiś! Toć nawet każda praczka wodzi w swym tornistrze kalesony cesarza.

— Wielachne to słowo: umysłoródtwa twego tylko godne, panie.

— Boć historyi przyszłej już podświadom jestem. A ty dziób stul: toż pomyślunkiem wszyckiego nie obłapisz.

Z ręką na dołku nabożnie się pochylam i popod łaskawe nogi blachy swe naginam, by kraj drżącymi wargi znów uchwycić i prześlinić. Zaś cmok oddawszy, za majestatem pełny trucht rozwijam, ciekaw ino, gdzie też i czy rychło szum wielki wkoło mnie nastanie, albo sługi wieczerzę mi naparzą przysmakowitościami wybornymi racząc.

Aliści król nikogo nie przyzywa do się. I ani trąb nie każe wcale wzdymać, ani do skarbnicy żadnej — gdzie ponoć wstępować orderementum — skwapliwie biec nie ma zamiaru. Za to w przeciągach mrocznych komnat pod nieobecność sprzętów wszelkich, przy niewidzialności antyków i pośród bezłoża — razem w pustościanach samych i w głuchocie bezludnej sam przechodki spróchniałe i zapajęczone włazy odmyka, to tu, to tam, to sam sennie pęta się wraz ze mną, jakoby kto kij po świecie nadaremno włóczył.

Nareszcie sala tronowa. Stroma, choć też w nadpłakany stan: wywyższyciel stolcowy komikami jak sito prosowe przeszyty, nie mniej niż podjument, w ochlapach i w parchach oba razem z dawna już nie zelowane. Cmentarnie tak jakoś zawiąło.

— Jeden tylko Ceremonista, jak kołek na gołym wypasie, ostał mi się — rzecze król. Wierny to pies!

— To samotnie na marmurach kapcie dostojne zdzierasz?

— Ano jak widać.

— Zali niedozbytek tak srogo cię gniecie?

— Utajenia w tym daremnie szukasz. Pacholę każde jest wszak przyuczone, że sługi i woje podły tył mi okazali, bo z gotowizną zawždy zalegałem mściwie, rekordy gołyzadowe od ćwierćwiecza bijąc.

— Niby nie nowina to mi: pomnę, jak w szczenięcej pomroce rodzic batożył mnie zajadle, bym fałdów przysiadł nad okresem dziejów.

— Tedy czego gębę strzepisz dla próżnicy samej.

Dziób z przyśpiechem zwarłem, zaś król — ciężarnie tak jakoś — na kraj podjumentu opadł. Wnet rozciąga dalej:

— Mamona jeno każdego swędzi i do ruchawki pobudza. Zaczem w końcu, co do jednej nogi, obsługa ma cała przelazła milczkiem przez wały na Liczytalara pałacowe koryto i jarzmo.

— A rycerstwa przybocznego cichaczem nie hodujesz?

— Był tu jeszcze wczoraj jeden chłop mocarny, z tych żelaznych potęg, co to jak na ławę ćwiekami nabitą celnie sądzie, a łeppek niedobity

bez rąk pożytku zmaca i obłapi, to z gwoździem popod wstaje. Podkowy co do jednej z kopyt końskich zdzierał — jucha — i zgrabnie na sprężyny mi przewijał. Wszelako z braku geometry i liczykrupa nadwornego pchnąłem go wczoraj do mej garderoby, by zmiarkował chytrze, sposobów tajemnych nie szczędząc, ile tez talarów dałoby się upchać w obiedwie moje pończochy paradne, gdybym takowe lubo dobrodziejstwo kiedyciś skądś wyłupił i piastował godnie. We wszelkie pomocniki liczeniowe do tego rachunku był zaopatrzony, a każdy na palcach kele niego łąził.

— Czyliż problemus ów już rozwiązany akuratnie?

— A gdzie tam, ścierwo! — król zatrzęsł się gniewnie. — Raptus pierwej mi liczydła zdusił, z furią wiedzy chciwą instrumenta pomiarowe pod tył sobie poddając, bo wedle swego zwyczaju, tu tyż — na obyrtkę do zadania się przyłożył. Potem ze ślepiem w słup po garderobie cały siny łąził i dyrdymałki z natężenia solił, nim z przemocy wewnętrznej ducha o północy sprawiedliwie wydał.

— Widać. w rachunkowości osiłkiem tak srogim już nie był, jak przy żelaza zwijaniu.

— Chybać.

— A Ceremonista?

— W jego to jeno pawim przyodziewku majestat swój mogę ciźbie wciąż podtykać.

Znowuż cmentarnie tak jakoś zawiało.

— Nic to — westchnął król. — O czym innym przemyśliwam teraz.

Lecz ja o czym innym przemyślałem. Bo tak, jak wprzódy tęsknie nowiny strojnej wyglądałem ino, mierząc w uznajewody podjumentu godne, tak teraz dziw mnie jakiciś obłapił, by nie rzec — mrowie i tajne zastrachy.

— Rzeknij — powiadam. — Za co ty mnie medalujesz, panie. Czy za żywota pocziwego całkowitość?

— Ciutnaiwoda z ciebie a głupstwo! Ja ci podjument pod poślad podciągam, bo kele pońia posłuch gościńcem poszedł szemrawy, że Liczytalara — tego pałacowego kupczyka pysznego, co na krociach, dzierzydobrach i wekslach moich okrakiem się rozpycha — w nadymaństwo tłuste podkopnąłeś, że psem wiernym mi jesteś i do zelówki się łąsisz, kiedyc wszelki szcurzy pomiot przedziurawizną

każdą za wały zamkowe z bidoty tubylczej ino odmyka.

— Zaiste! Tyś z liczby wszystkich Gołyzadów najjaśniejszy, panie. Aliści...

— Nie kadź po próznicy. Mak jeno rozsiej a ucha chciwie nadstaw i bacz, co ci rzeknę. Jako się na wołowiźnie obiecało, z łaski mojej na podjument klapniesz.

— Gładko to tasujesz, panie. Wszelako kiedyż trąb wzdęcie? Gdzie jasiek? A rzewne niewiniątek pienia? Czy rychło?

— Wyciupków zaniechaj. Już tylko patrzeć, jak wkoło medalowania żwawo się zakręcę. Sam się godności nijakiej nie nabawisz przecie, choćbyś w sobie się zwarł i naprężył jak ten mój chłop mocarny.

— Ano nie neguję w tem ustępie.

— Tedy o rychłym pomazaniu mówmy.

— No wreszcież!

— To lećże za mną.

Król za przyłbie pancerne przyciąga mnie do się. Włazę ja tam we czworo złożony, pod sam wywyższyciel stolcowy, między pajęcza, ochlapy i parchy, gdzie kaźden pomyślunek z oskomy łaskotliwej traci, i zalegam na płask w okowach swej zbroicy.

— Głębiej się tkaj — szeptankę słyszę. — W schowku podtronowym wraży nasłuch łacniej udaremnić.

Zaczem jeszcze dalej przepęłzam w ciasnocie, by do samych stóp najstromejszych lubieżnie przylec. Na koniec głowiznę na podkurczu przynożnym składam już wygodnie.

— Spisek podstępny tu wyknujem! — rzecze król gromko i zaraz pogłos do szeptu zniża:

— Zamachnąć się trzeba by światostan wstrząsnąć!

— Przebóg!

Obusiecz o podjument wsparty z dala ostał; kopii jeno z garści wydrzeć sobie nie dam myślę — bo pluskwota dokoła oklapu tak sroga, że mi ciarki podług krzyża przełazą: co i raz to któraćś z nagłym przyhukiem przebodę, gadzinę jedną. Ale też i na pana swego spojrzam zastrachan nieco, bo wysokimi słowy na koniec zapiał. Lico jego czerwienią srogą spływa, przywłos się jeży, a wzrok rozumnością do zezą ściągnięty błyskawice w krąg ciska. Do niepoznaki zmieniony cały. Na takąż siły znamiennej widoczność członki hartowne w rozwolnienie

puszczam i wyjęk z siebie jeno wydaję cichawy.

— Królu...

— Co tam? — pyta.

— Strasznyś!

— Nic to jeszcze. Ucho do podbrody mi przyłoż i posłuch daj temu co umyśliłem onegdaj sekretnie, odciski w cebrzyku mocząc.

— Już jak makiem podsiany, cały w nasłuch się zamieniam.

— Potęga we mnie niezmierna siedzi — to pewnikiem miarkujesz.

— Tyś z liczby wszyckich Gołyzadów naj...

— Cichoj! Aleć ramienia długachnego i punkum podporru nie posiadam. Dlatego na sam widok mój nikt już pod się nie popuszcza.

— Jam twe ramię, zaś punkum w umysłoródstwie własnym wnet wyszperasz. Jeno do sednum lubego dobij.

— W skupisko tedy popadnij: ucho jedno i drugie przegrzeb, gębę rozdziaw, łeb natęż i bacz pilnie, co ci sekretnie wyznam.

— Już żem się zwarł.

— Otóż po Władzy i Pieniądzu — Culturra razem z Nauką trzecia niebawem światowa potęga. Ona to w przyszłościowidztwie na cokół najstromszy się wypśnie i tamte dwie pod siebie stłamsi w sam proch. Dziś młoda to jeszcze dziewczka, zaczem ciutnaiwoda i głuptysia, łatwowizną aż łaskocze do podejścia: do niej tedy zawczasu dobrać nam się trzeba mężnie, obłąpić, tajniki rozewrzeć, w pogłębie zajrzeć, by wreszcie cnotę naruszyć. Rychło z jej potężną mocą światostan wstrząśniemy groźnie. Bo zamachnąć się trzeba by. Culturra razem z Nauką! — powiadam ci. U jej to stóp pomazany zostaniesz tytułmajcem szlachetnym już dzisiaj, skoro mi tylko orężną przysługę oddasz przy jej zdobywaniu. Tom właśnie nad cebrzykiem dojrzał. I tom ci sekretnie wyznał, by spisek z tobą uknuć w celowości zamachowej. Posiąść trzeba ją czem prędzej, póki kto inny się nie opamięta i ramienia długachnego razem z onymż — punkum podporru spod nosa samego nam nie wyrwie.

— Gdzież ona? — zakrzyczę gromko, portki i kopię w garść ujmując bystro.

— Kto zaś?

— No, owa oblubienica ponętna a mocarna.

— Raptus obleśnikus z ciebie a moczymorda cepawy. Nie na łożysku

w szatkach kusych ona w lubieżnej pozie siedzi, jeno w alegoryi!

— Daleko to?

— Tam, w dole — król wskazuje pod nogi. — W lochach u Lokatora, którego całe nasze podziemia zajmuje — jak Pałac i Zamek rozległe, i którego z dnia na dzień coraz to śmieiej liczytalarowy Pieniądz i moją gołyżadową Władzę ochoczo podgryza.

— U Lokatora ona się gnieździ, prawisz panie?

— Tamoj właśnie. Lichota to kiedyś był i nieistotnik poboczny. Bawicymbał i zadwypiał, rzepoł, pędzloknot, pirogryzmoł, a jeszcze nadmateryią-głędzioł — razem czasoskrótnik nadworny oraz gwiazdostanu i diabłosiedztwa naszpilkowego przelicznik. Aliści w sobie się chyba zwarł i naprężył krztynę, bo Culturę swą, a zwłaszcza Naukę onąż, na piękność niepospolitą i mocarną potęgę wydzwignął.

— Cichoj — szepnę z nagła. — Sza!

— Co tam?

— Sza! Ucha po sobie połóż i zapórkę na dech zastaw, panie.

Chrobot znaczniejszy dał się słyszeć wedle wywyższyciela stolcowego i w monotoninie upiornej się zagubił.

— Coś tak, jakoby kto sumienie rdzawe na kamieniu sobie gładził — dorzuca król jeszcze ciszej.

— Będzie już ze trzy pacierze odklepałby kto, jak wkoło piluje a hartowność męzną dręczy. Pod dziwność cosik podpada toto. Czy aby nie straszdyło nocne jakie albo strzyga krwiew chciwa?

— Głupstwo tam! Szczurostwa wszędy mnóstwo się pęta, na szczątki moje oskomę mając, tedy czego jeno dopadnie, czy szmaty sparciałej, pomiotły łysej, próchna czy też grata — zaraz siekacze w ruch puszcza a nie daruje, ścierwo.

— Ulżyło mi co nieco takie światostanu widzenie — gadam na to. — Zaczem do spisku wracajmy pilnie. Ostro bierzmy się do czynu, gdakobrzdękiem czasu nie mitrząc.

— Nie tak na chybicka ino! Wedrzemy się tam o północku i posiadłość onąż obłapimy snadnie. Pełno tam tajnego dobra w niesamowitości samej: ramozbiorów i instrumentacji wszelakiej aż zawał, co wszyćko w posiadłością wzięwszy, zamachnąć się jeszcze wyżej można. Wszelako pierwej w umysłowidztwie trza nam coś poskładać, planum operacyjum zakreślić i siły własne zliczyć. Ponoć

zamaskowane tam wszycko tak chytrze, że wartosciowieństwa od tłuokoplagi nie odróżnisz prędko i w tem kłopot główny, by rozeznać w porę, kogo od razu przez łeb siec, a kogo na zaś oszczędzać. Zmiarkować to trza wprzódy, by składowiska samego nie uszkodzić, tylko Lokatora z całej majątności spędzić i nad oną samotrzcę zapanować.

— Sza! Cichoj... — szepnę po raz wtóry. — Znowuż gadzina się targa, jakoby kto gracami robactwo z siebie zdzierał.

— To dźgnij kopią w dziurę a głowizny mi nie zawracaj, bom rozproszon na drobne przywątek temmatum tracę.

Za przykazaniem królewskim wraziłem oręż w pogłębie szpary i patrzę ino, co tyż tam się grzebie. Wtem z wnętrza przebodzonego zawyjec jakowyś boleściwy się wydobył — nie wiadomo wcale: żywcali trafionego zawołanie, czy samego Licha. Aleć głębiej między belkowe fundamenta tronu zajrzawszy, widzę Ceremonisty postać paradną. Nierównymi susy ku podwojom wychodkowym jucha sadzi tak chyżo, że aż przestwór świszczę. Tylko popod tył celnie ugodzony obiedwiema załapami się podejmuje.

— Panie! — tykam królewski mankiet w pomieszaniu niemożliwem. — Toż szpicel tu był.

— Jakże to?

— Podglądacz i szpicłoł nadworny w osobie twego Ceremonisty, któren pod oklapem nad nami przysiadłszy, kele samego tronu w stenografii się ćwiczył i całkowitość układu naszego względem zamachnięcia się przesłuchał. A czy dodać trza by, że pewnikiem w celowości zdradzieckiej?

— Nie może to być!

Król targnął się z miejsca i spopod podjumentu na środowisko sali tronowej wylata. Ja tyż — cały już obolały od pancernych blach parcia — w ślad za majestatem skaczę. Król kręci się wkoło siebie:

— Gdzież on, ten psubrat? Kutajem zaćwiczę!

— Ba, kiedy poślad podsięwziąwszy uszedł ladaco — odrzekłem. — Lecz co to? — Patrzym z pobliska, a kele wywyższyciela stolcowego w krąg stroma trocin kupa.

— Skąd zaś te trocie? — król pyta. — Azali w wytwórczości drobnej poczęte, czy z bobrowego nasilenia?

— Pod dziwność cosik podpada toto. Toć zwał tak szpiczasty jeno

drwał mógłby usypać.

— Dalibóg! A to co?

Przy stercie piła tęga stygnie, znacznie tropicielstwo nam ułatwiając. Król podbrodę do góry zadziera i jak gromem przypieczony do podjumentu długim susem skacze.

— Zdrada! Praktykaństwo wraże i zdrada! — zakrzyknie w niebogłosość, i dalej: — Tron mi spiłował! — ryczy.

W rzeczy samej: tron u podstaw poderżnięty na szczycie jeno się hušta. Ale nie waha się tam dość długo. W tejże chwili bowiem (po krzyku królewskim, co przestworem targnął i wióry rozrzucił) z wywyższenia stolcowego na podjument leci, z łoskotem zwała się nań i korniki a drzazgi w krąg sypiąc, klepisko komnaty w cmentarną graciarnię zamienia.

Natenczas — w godzinie tumultu i tronu ostatecznego obalenia — król miejscowości sobie znaleźć nie może: gimnastykulacje przeróżne czyni, to w sufit półgębkiem załka, to do się z cicha zagada nieboże — razem widać już, że na duchowieństwie okrutnie podupadły ku dyrdymałkom solonym się miewa. Ale co i raz to jeszcze podskoczy, by ryknąć w uniesieniu gniewnym. I tak, jak wprzód Ceremonita cokol rażno nad nami podrzynał, gdyśmy się zmaiwiali wedle światostanu wzruszenia — tak teraz król przestwór wkoło siebie straszliwymi wymachami piłuje, aż cugi ostre po komnacie się rozłają. Jednakowoż po obiektywizacji to jest nad czem żałość rozlewać i wzdychać: więc Poślad dostojny podpórki pozbawion bezpodstawnyż teraz — więc ani gdzie klapnąć po harówce władczej, ani wygodnie rozeprzeć się na czym. Ja także samo w dygach cały chodzę i w pochlipach panu swemu wtóruję, albo obusiecz dobywszy, to przysiędę, to naskoczę, by taktu w lamentach królowi dotrzymać.

— Nic to — rzecze król, wyhasawszy się już nieco. — Grat to był a próchno wiekami nadżarte...

— ...tedy nie ma czego opłakiwać — kończę. — Zaś Ceremonista...

— Gada odkarmiłem na własnym wyłonie.

— Sprzedajnyż?

— Chybać sam nie wydumał tronu podrzezania. Wcipszpicel to był a hultaj zaciszny. Chocia jeno do posług paradnych zgodzony, wychlusty przyróżne mi czynił a wcinki. Tutaj mało wiela w harówce się zdzierał,

krom uroczystego gaci mych nawlekania.

— A czy w twoim jeno cebrzyku golenie maczał?

— Jakże to?

— W podwoje koryt ryj zgłębiwszy, barszcz z dwojga źródeł siorbić — zdolnyż?

— Poczakajno! — król podskoczył w miejscowości. — Z gębyś mi to wydarł, jako żywo! Toż on tera na Liczytalara, tego kupczyka i workoklepa pałacowego utrzymaństwie.

— Więc jemu już kaszę warzy i gacie naciąga.

— Krom jego wyciupków się łasi, miast kele mojej zelówki pełzać.

— I jemu malowidło z naszej nasiadówki tylko co patrzeć jak chyłkiem dowlecze!

— Kołowacizny z tego można dostać. Prawisz tedy... J akże to?

— — Już pewnie workoklep przemyśliwa chytrze, jakby nas ubiec w prześcigach do tamtego składowiska.

Na taką gadkę król znów — jakby go grom w skrzyżowanie smagnął — podrywa się z ławy uniesion straszliwie i ryczy:

— Kutajem szpicłola zaćwiczę!

— Bogać tam, nie sięgniesz — łagodzę gniew słuszny. — Dyc uszedł na zawždy. Lecz miast tu sterczeć i wymachy czyniąc talenta pogłębiać mimiczne, trza nam migiem na dobra Lokatora ruszać, bo pora już chybać najwyższa.

— Nuże! — zakrzyknie król na to. — Tedy bieżym, czem prędeż, w te pędy, a drepcem.

I tak, jako się rzekło, chodaków nie szczędząc — z obusieczem a kopią w garści do podziemi obiecanych sadzim.

— Pieniądzem a mieczem! — wtóruję odważnie, dreptając mu chyzo po piętach.

Lecz wdarłszy się popod Pałacu i Zamku z dała widoczną potęgę do obiecanych skarbów niepozornego siedliska — gdzie straż nijaka oponem nie staje, gdzie niewiedza, kogo palnąć balem w łeb, a kogo jeno połechtąć krzynkę i gdzie w zaciszu świsty tylko a plumki twony objają łyse — w błąkactwo rychło popadamy smętne i rozkopując precz dziwadła niemożliwe, pętamy się po próżnicy tędy a owędy, jakoby kto kijem po kątach nadaremno szturgał.

Wszelkie podwoje odmykam według kolejnictwa.

— Jest tam cosik? — król pyta.

— Nic, co by obłąpiac się zdało.

— A tamoj?

— Pustota.

— Tedy tu kopią dźgnij!

— Tyż sama nadymka.

— Więc tamto dźwignij i bacznie zważ, czy czasem wartościowością nie brzdąknie.

— Po co? Przecie po wierzchu nie łyska.

— Toto zatem do wora ładuj!

— Kaj do niczego nie podobne.

— Zaczem wszystko zwał, nastąp a zdepcz — może co z wnętrza się wypśnie.

— Gdyby zaś tamoj kiedy siedziało, samo by już z dawna wylazło.

I tak bez ustanku kołujemy marnie, jak ten pies, co ogona swego szuka.

— Nic to — rzecze król z nagła. — Mocujem się tu nadaremno. Wartościowieństwa tego gracą nie zagrabisz przecie, takóż — jak próznicy w kieszeń se nie natkasz.

— Boć przymaskowane to wszystko dość chytrze — powiadam podług króla gadki. — Pewnikiem w przyszłościowidztwie dopiróż rozeznasz. Uleżeć się musi toto i naciągnąć nieco, nim wreszcie potężną i piękną moc puści.

— Tedy już w posiadłościan zagarniamy całe to składowisko.

— Ba! Pierwej trza załatwić sporum właścicielstwa. To zaś, czy tobie, panie, czy Liczytalarowi majątność cała w udziale przypadnie — na tutejszej sali tronowej i w orężnym zwarciu wedle podjumentu musi się rozstrzygnąć.

— Celnieś to zmiarkował, jako żywo! Jeno gdzie tu szukać tronowego stolca?

Wtem patrzym, a tu człek jakowyś milczkiem kele nas przelata i podbiegarni krótkimi, to stojąc, by w miejscowości goleniami przebrać, to znów żwawo naprzód skacząc — gdzieś przed się bez pamięci śmiga.

— Za nim! — ryknie król odważnie. — Gdzież to mu tak pilno? Czy aby tego samego co i my nie szuka?

Bieżym po deptach tedy, zaś człek raptem między odrzwia pierwsze

lepsze wpada i za nimi znika. Zamek szczęknął, zaczęły spusty i rygle w ruch poszły i próżno kołatkę tarmoszę.

— Ooo! — charczę, napierając barem z całą swoją mocą: wreszcie pośpiech, opór twardy i jakinaś tajemnica. — Wyważyć? Ale nie łatwo będzie.

— Tędy przeto! — król wskazuje podwoje sąsiednie. Odmykam: baba stara na zydlu skulona z kłębowiskiem wełny w garści szydełkuje ręcznie. Zoczywszy jeszcze miedziaków kupkę lichą na cpodku co kele zydelka stał sobie, milczkiem na powrót przyłbic pancerne do lochu przejściowego wciągamy, by odbyć tam z królem naradę ostatnią.

— Pieniądzem czy mieczem? — pytam pana swego. Coś po łbie mi łązi, że baba przekupna.

— Pierwej pieniądzem, po dobroci spróbuj, zaś gdyby lapowizną wzgardziła — kopię do gardzieli przyłoż, najeż wąs srogo i obusieczem z dala dla grozy przyciachnij.

— Zaczem talara jakiegociś nie piastujesz, panie?

— Przebóg! Miedziak jeno lichy portfellow mi rozpirał, ale wczoraj.

— Tedy gwałtem drogę se przetkamy. Nuże, walimy do środka!

Wpadamy z oręża żelaznym przybrzękiem. Baba w pisk: zawyjec jeno na nasz widok puszcza. Kłębowisko wełny tloczę wprost do rozdziawionej gęby, zaś król omotkiem splecionym golenie ruchliwe jej pęta i pazerne łapska. Drugie odrzwia wywalam szturchańcem straszliwym: nareszcie sala tronowa ze Stolcem z porcellanum ed plasticum wytoczonym wdzięcznie (nad którymż — przy kołnierzu krągłym wedle zbiornikowca, co bystrymi wody cierpliwie ciąg-rurę zasila, by wypłody na bieli złożone, smagać wciąż w przepastne czeluście — „CORONA” odczyta niekiedy, kto zechce), ze Stolcem więc, zgrabnym i trwałym, choć bez podjumentu, bielizną w krąg świeci i glazurościaną.

Tutaj już nie pytam wprzódy — jak tam — na co to się komu zda i do czego, bowiem wartościowieństwo tronu Lokatora (któren gdzieś akurat wylazł ze swego siedliska) żadnego wątplicielstwa we mnie przebudzić nie może.

— To dopiróż cacko! — powiadam w zachwycie, choć przestwór zagwizdał mi w nozdrzach drapieźny. — Rozumnością zrazu nie oblapisz bystrą. Wszelako... wszelako cuchy jakineś jadowite tu łążą, swobodnie nosowiznę dręcząc.

Stoim tak tedy wedle Porcellanum, co by tu dalej wyprawiać wcale nie wiedzący, aż król gębę do ucha przykłada mi z nagłą:

— Drepcem stąd gdzieniegdzie, golenie za pazuchy biorąc, a choćby i wydech oddając ostatni. To nie jest moje siedlisko.

Tak rzekł i letko poza siebie rusza. Dwa kroki uszedł jeno, gdy między ucha zdzielon, klepisko komnaty zalega ledwie żyw nieboże; takż i ja za nim w kąć sali tronowej się turlam, bowiem Liczytalar „Od Stolca warra!” — ryczy i buławą mnie sięga, nim — ukoronowany już — sam rozepcze się na Porcellanum. Patrzą tylko jeszcze spomiędzy goleni na Ceremonisty wyciupki paradne. gdy wtem workoklep targa za wisior przy zbiornikowcu, zapewne Naukę z Culturą przywołać do swojej Zelówki.

Przecie baba wreszcie rozsypłała się z pęt i w porę do lochu przejściowego ze STRASZNYM krzykiem wylata:

— Ratunku!!! Mężów zbrojnych cała kupa wdarła się do niewieściego wychodka!

Eksperymentator

I. Pery Eks obraca się wśród ludzi delikatnych (i odczytanych)

Stojący w otwartych drzwiach lokaj nawinął się na siebie w poczwórnym nieprawdopodobnie głębokim ukłonie. Pery Eks obserwował tę sztuczkę z podziwem, który spłynął mu z twarzy dopiero w chwili, kiedy lokaj zatrzasnął drzwi na palcach jego lewej ręki.

— Och, proszę wybaczyć ten krótkotrwały przeciąg, panie mentatorze — powiedział służący zafrasowanym tonem i naparł na drzwi całym ciałem.

— Ależ proszę się nie niepokoić moją chrypką — uspokoił go Pery Eks z największym wysiłkiem tamując okrzyk bólu. Równocześnie usłyszał chrzęst miażdżonych kostek.

— Czy mi się tylko wydaje... — dobiegł go głos speszonego lokaja — chyba pozostał pan po tamtej stronie. Tutaj nigdzie pana nie widzę.

— Istotnie, nie zdążyłem się jeszcze wtłoczyć i w znakomitej części stoję wciąż na korytarzu.

— Doprawdy, co za niezręczność z mojej strony. Wybacz pan ten potworny nietakt, ale straciłem już najlepszą okazję do wyrzucenia pana za drzwi.

— To drobiazg! — uspokajał go dalej Pery Eks. — Niech pan nie bierze sobie do serca takich głupstw. Gdybyśmy wszyscy byli tak wrażliwi, już dawno byśmy oszaleli.

Idąc do salonu, Pery Eks schował dyskretnie zmiażdżoną dłoń do kieszeni i z roztargnieniem, a nawet z popłochem, który zawsze opanowywał go w podobnych wypadkach, rozpoczął systematyczne poszukiwania wizytówki. Dopiero po przeszukaniu wszystkich możliwych zakamarków garderoby odnalazł ją wreszcie tam, gdzie się zawsze znajdowała, to jest na końcu języka. Wszedłszy w tryby ceremonii powitalnej, Pery Eks znów zapomniał o języku w ustach, a

może w ogóle nie brał go pod uwagę, bo najnormalniej w świecie zaczął się rozbierać. Był już całkiem nagi, kiedy jedna z dam do towarzystwa wkręciła mu korkociąg w plecy i pociągnęła go delikatnie ku sobie. W ruchach tej interesującej kobiety — Perego Eksa zafascynowała wprawa, z jaką posługiwała się korkociągiem — elegancki powab przepychał się w estetycznym starciu z bardziej brutalnym, choć równie urzekającym zakrzepłym wdziękiem.

— Nie cierpię ekshibicjonistów — odezwała się czule i zatrzepotała wargami. — I dlatego pan mnie pociąga tym swoim nieśmiałym, ale wymownym milczeniem. Jednak tutaj za fortepianem, gdzie nikt nas nie zobaczy, a zwłaszcza nie usłyszy, mógłby mi pan na chwilę obnażyć swój język.

Pery Eks chciał już spełnić niewinną prośbę ciekawej damy, niestety korkociąg przebijał właśnie lewe jego płuco, toteż zęby mentatora zacisnęły się jeszcze mocniej.

— A może już się ubiorę — zaproponował rzeczowo i bez żadnej zachęty ze strony zdziwionej damy ubrał się, zwracając na siebie uwagę nie tylko najbliższej stojących, ale wywołując tym w całym salonie powszechną sensację.

Podano likiery. Pery Eks zajęty był właśnie wykręcaniem nogi jakiemuś przedelikaconemu oficerowi (który niezgodnie z regulaminem salonowym osłabł skopany przez barona z czarnym wąsem), kiedy opróżniono ostatni kieliszek. Wobec tego Peremu Eksowi nie pozostało już nic innego, jak tylko — z urwaną nogą oficera — przedefilować przed frontem skupionych przy tacy dyskutantów.

W tej chwili od okna skinęła doń łaskawie jakaś subtelna dama. Poruszając się w otoczeniu wirujących wokół niej całkiem już zdyszanych panów, zbliżyła się do Perego Eksa i otuliła go życzliwym spojrzeniem. Odgadł wszystko z jej łagodnych oczu i z układu ust, zbyt niewinnych, aby mogły kiedykolwiek pochylić się nad talerzem z pieczenia cielęcą.

— Gdzie bije serduszko? — zapytała słodko.

Pery Eks zastanawiał się, jak wywołać wściekłą sprzeczkę, ale na nieszczęście żadne nieodpowiednie słowo nie przychodziło mu do głowy. Tymczasem dama zdezynfekowała już sztylet, maczając go w płynie wypełniającym trzymaną przez lokaja karafkę.

— To nie będzie bolało — zapewniła, a rozkoszne doleczki na jej policzkach pogłębiły się w takt kilku nieznaczących uśmiezków.

Pery Eks chciał się już otrząsnąć i dla ratowania pozorów powagi mentatorskiej postanowił przejść w stronę tacy, gdzie nad nową porcją porozlewanego między kieliszkami likieru, po wymianie wstępnych kopniaków nawiązała się ciekawa dyskusja:

— Literatura ach!

— Literatura och!

— A propos, zna pan tego, owego i jeszcze tamtego?

— To jest dopiero literaturant!

— Czy pan przypadkiem nie jest garbaty? — zapytała dama, mierząc wzrokiem wzniesienie na plecach Perego Eksa.

— Bynajmniej — odparł nie spłoszony czułością jej spojrzenia mentator i wsunawszy rękę pod marynarkę, kilkoma zwinnymi ruchami doświadczonego masochisty dokręcił korkociąg. Dama odnalazła żołądek Perego Eksa i zanurzyła w nim sztylet do połowy długości ostrza.

— Oj, oj! Pardon! Chyba pana nie uraziłam?

— Wręcz przeciwnie, nawet...

— Sza! Kontynuujmy zatem.

Towarzysz damy zrobił kwaśną minę. Energicznym ruchem zakręcił sztyletem i wbił go po samą rękojeść. Dama sięgnęła ręką do tacy i podsunęła Peremu Eksowi do ust biszkopt nadziewany pulsującą papką.

— Może ciasteczko? Któż nie smakuje w takich specjałach, ach któż?

Pery Eks jęknął i wypluł ciastko na dywan. Twarz wykrzywił mu grymas największego obrzydzenia.

— Wszelako by płodzić dzie-ł-ła...! — zdążył jeszcze powiedzieć jeden z dyskutantów, ale już nie dokończył.

Salonownicy patrzyli w skupieniu na ciasteczko u nóg Perego Eksa. Ktoś wydał polecenie lokajowi, aby przyniósł spluwaczkę. Kiedy podstawione pod stopy mentatora emaliowane świeżą bielą, lecz mimo to cuchnące naczynie napełniło się ściekającym po ubraniu czerwonym płynem, Pery Eks otrząsnął się z długiego zamyślenia, przez kilka chwil z pewną satysfakcją patrzył na otaczających go zdumionych i najwyraźniej głęboko urażonych gości, po czym skierował się ku drzwiom, przez które po prostu wyszedł.

II. Rozmach i energia Perego Eksa

Motto: Wątpliwości interpretuje się na korzyść oskarżonego.

Pewnego uroczego dnia Perego Eksa oskarżono o absolutną niemożność dokonania czegokolwiek. Zważywszy ogrom postawionego mu zarzutu, mentor niezwłocznie zabrał się do dzieła.

Najpierw udał się do Egiptu, gdzie był łaskaw zatrzymać się w cieniu piramidy faraona Cheopsa.

— Równie dobrze mogłaby stać po drugiej stronie Nilu — oświadczył zebrany dziennikarzom i nie rozwijając dalej tej słusznej myśli, natarł na piramidę całą masą ciała.

Obecni wstrzymali oddech. Pery Eks cofnął się dla nabrania rozpędu i pochyliwszy nisko głowę, natarł raz jeszcze. Niestety, jakoś mu nie wyszło, ale...

Eksperci zmierzylili wielkość przesunięcia.

— Różnica w położeniu piramidy leży w granicach błędu pomiaru — usłyszał. — Mamy wątpliwości, bo niewykluczone, że jednak odrobinę... może nie, a może kawałek...

— No właśnie!!!

Tłumy wiwatowały przeciągle. Na prośbę o bis mentor pochylił się w niskim ukłonie.

W południe był już w Pizie.

— Samolot do Paryża mam dopiero za kwadrans — zwrócił się do burmistrza miasta. — Jak tam, krzywa jeszcze...?

— A no...

— Nie szkodzi. Zaraz wyprostujemy troszkę.

I Pery Eks prosto z marszu natarł na wieżę z całym nagromadzonym podczas podróży impetem, aż przy zwarciu coś w nim jęknęło. Ani drgnęła, ale...

— Nie mamy tak dokładnych przyrządów pomiarowych, aby uchwycić różnicę — orzekli z zakłopotaniem eksperci. — Jednak na oko... coś jakby ociupinkę... Nie, stanowczo nie! Chociaż to nic pewnego...

— No właśnie!!!

Tłumy wiwatowały przeciągle. Na prośbę o bis mentator pochylił się w niskim ukłonie.

W Paryżu, wyszedłszy z samolotu, Pery Eks zawołał gromkim głosem:

— Podajcie mi linę!

Podali mu. Jeden jej koniec przytwierdzony był do wierzchołka wieży Eiffla. Mentator zaparł się nogami i z nieludzkim wysiłkiem szarpnął za drugi koniec liny. Zgrzał się na próżno, ale...

— Kiedy nie będziemy mieli nic lepszego do roboty, wówczas zmierzmy, co trzeba, aby stwierdzić brak odchylenia od pionu — obiecali po chwili krótkiego wahania eksperci. — Na razie jednak nie mamy żadnych podstaw do wykluczenia...

— No właśnie!!!

Tłumy wiwatowały przeciągle. Na prośbę o bis mentator pochylił się w niskim ukłonie.

W Buenos Aires mentator przygotował sobie kilka ciepłych słów, z którymi zwrócił się do narodu.

— Niedobrze wam?

— Oj, jak nam niedobrze!

Pery Eks sprężystym krokiem udał się do gabinetu prezydenta. Tam, kryjąc się za stosem olbrzymich trudności, wypalił z rewolweru prosto w pierś okrutnego męża stanu. Daremnie. Kula trafiła w płot, ale... był to płot okalający siedzibę tyrana. Pocisk wywiercił w nim małą dziurkę, przez którą przeleciał wiatr historii. Reszty dokonał przeciwnik prezydenta i naród.

— Lepiej wam teraz? — zapytał Pery Eks, dla porządku raczej niż z konieczności.

— Może i lepiej. Nie mamy takich dokładnych przyrządów, żeby się o tym od razu przekonać, ale za to już teraz mamy bardzo poważne wątpliwości...

— No właśnie!!!

Tłumy wiwatowały przeciągle. Na prośbę o bis mentator pochylił się w niskim ukłonie.

III. Tramwajada

Słońce chyliło się ku schematowi.

Pery Eks przyjrzał mu się bez entuzjazmu, zamknął okno i zaciągnął firanki. Wyszedł na ulicę, zabierając z kąta podręczny szablon. Pogoda była w sam raz na jeden płynny ruch brzytwą dookoła własnej szyi. Rechocząc luźnymi łatami na blaszanych dachach, parszający prosto z szarej gęby nieba wiatr pluł w twarz deszczem przemielonym ze śniegiem. Jakiś ponury osobnik, stojąc w kałuży na środku chodnika, szukał na sobie ostatniej suchej nitki; reszta nielicznych przebiegowiczów rzeźko gnała do ciepła domowych telewizorów. Z sąsiedniej bramy słychać było nakładające się na siebie wyzwiska i skomlenia. Aby poznać przyczynę rozwijającego się tam konfliktu, Pery Eks przybliżył się do źródła dźwięków. Rozwiązanie zagadki pogorszyło jego samopoczucie na cały wieczór: to sympatyczny dozorca na próżno starał się wygnać na dwór psa z kulawą nogą.

Na przystanku tramwajowym mentator rozwinął wąski świstek papieru, na którym poprzedniego dnia sporządził sobie listę najbardziej palących spraw do załatwienia. Czytał:

1. Nabyć wykałaczkę (może „Pod Czarnym Kotem” będą)
2. Odejść od kasy — wrócić i ostro reklamować (pilne)
3. Postawić barmanowi piwo, a potem wygarnąć mu całą prawdę o życiu
4. Wystosować list otwarty do ONZ (latające talerze)
5. Kupić metr tasiemki do majtek (pasmateria)

W tramwaju (długo nie mieszkając w opieszałości) z braku ważnego biletu Pery Eks wyjął metrykę, wsunął ją w otwór skrzyneczki i skasował sobie na niej datę urodzenia. Następnie, potrącony przez przemykającą obok dziesiętlatkę wyrznął twarzą o róg tejże skrzyneczki, kasując sobie również zdrowy ząb (dwójkę — lewą, górną). Na myśl o realnej obecności wystającego z ławki gwoździa siedząca naprzeciw kasownika całkiem już niedołączna staruszka zerwała się z miejsca, przyskoczyła do mentatora i gwałtownym ruchem wątlých ramion usadowiła go wygodnie na znanym już sobie ostrzu. Wobec tak brutalnego aktu

przemocy muskularne nogi mentatora poczuły się bezsilne. Obłożony surowymi wejrzeniami współpasażerów — w celu ratowania resztek twarzy — wyjął podręczny szablon (kieszonkowy poradnik zachowawczy) i spróbował przyłożyć go do napięcia zaistniałej sytuacji. Jednakowoż podziałka na prawidło nie przystawała do okoliczności. Przy pierwszej próbie naciągnięcia pokazała mu figę i pękła.

Prześledziwszy sobie wzbierający na jego twarzy szczery rumieniec wstydu, staruszka jednym łypnięciem oka strąciła go w otchłań wątpliwości. By przy podejmowaniu właściwej decyzji poczuć się jeszcze bardziej osamotniony, odgrodziła się od niego szeroką płachtą kobiecego pisma. W ten sposób Pery Eks zaocznie skazany został na katorgę odczytywania zaistniałego przed nim tekstu.

W rubryce dla kucharek przeczytał:

PRZEPIS NA ŚRODEK LOKOMOCJI

Bogu ducha winnych cztery tony z ulicy wyłapać, zegarki z późną godziną pod nosy im podetknąć, naganą w miejscu pracy nastraszyć, zimnym potem obficie skropić, inne możliwości im odjąć i do kolejki na przystanku nagnać. Stąd w formę tramwajenną niewietrzoną przez tylny otwór dużymi porcjami wtlaczać, krnąbrną jednostką przedni otwór uprzednio zatkawczy. Nadmiar zwisający przy tłoczni funkcjonariuszem czujnym zetrzeć i na boku pouczyć. Jeśliby nadmiar który odwarknąć się zdobył, znak to, że w twardości już doszedł — więc w mandaty porcjami pozwijać i odłożyć do udekorowania całości. W tyle formy ubijak sprężysty ustawić i miarowo nowe porcje nim utykać, zważając, by zawartość do tyłu nie odbiła, bo na dobre nie urośnie. Do środka formy tramwajennej od czasu do czasu szczyptę kontrolera wpuścić, niech plamki wywabi, to i wiru, i wentylacji jak trzeba doda. Sosu rychłej poprawy miarkę akuratną tam też nalać, na koniec ręce szeroko rozłożyć, ramionami nad sprasowaną zawartością wzruszyć i obiektywnymi trudnościami komunikacyjnymi całość dokładnie zmieszać.

Podawać w godzinach szczytu.

Uniósłszy do góry oczy, Pery Eks miał pecha natrafić wzrokiem na przytwierdzoną do ramy okiennej grubą żelazną tabliczkę, na której tłustym drukiem wyryty był tekst znanego wszystkim, rozsądnego skądinąd polecenia: **PLWOCIĆ ROZWAŻNIE!** Wobec tego, że możliwość oderwania od niej wzroku — gdy już raz wpadł w jej sidła — w ogóle nie wchodziła w rachubę, mentator zmuszony został przez autora tabliczki do sześćdziesięciokrotnego odczytania pełnego tekstu. Z ustami wypełnionymi śliną zdołał wreszcie przenieść wzrok na inne miejsce. Poniżej, na rozsadzającym futrynę gwoździu, wisiało

WSZEM OBOWIĄZUJĄCE REGULAMIMENTUM

Z prawdziwym zadowoleniem odczytał sobie niektóre jego punkty, nie dbając przy tym wcale o kolejność.

6. Jak już tu wszedłeś, krzyżyk na sobie postaw.

94. Nóg pod ławki w przenośnych wiaderkach nie moczyć!

3. Przed wejściem na stopień pchły zawleczone z domu strząsnąć, klatkę piersiową wciągnąć, powietrze z niej do dna spuszczać. Tak próżną przez czas przejazdu krótko przy kręgosłupie trzymaj.

4. Po wyjściu, oną (punkt 3.) wspomnianym (tenże punkt) na powrót napęlić.

a) Czerwone płyty przed oczami gazetą rozwiewać!

b) Cucić na chodniku aż do pierwszej błogości!

45. Ze środka ucieczki wszelkiej zaniechaj.

111. W przypadku takim (jak opisany w punkcie 110) mięśnie na dłuższy pobyt gotuj i sierotkom opowiadanki składaj.

81. Kontrolerowi oczu lipnymi biletami nie namydłaj!

82. Daj mu, na ile wygląda, a od serca.

16. Peta przez dziurę w kieszeni cichaczem nie ćmij! Uwaga!!!

a) kto się nieznaną tego regulamintem zasłania,

b) kto się przed dziurką uchyla,

c) kto uciśniętych tu na zlepianie naraża,

d) kto dyrdymałki między ławki soli,

e) kto zmusza motorniczego do milczenia z pasażerami,

f) kto musztardą okna smaruje,

g) kto by tu łachotkami tłok rozpraszał,

h) kto tu zamek na podłodze z klocków wznosi,

i) kto by palec sobie w kasowniku skrócił,

j) kto by tu pożar w sercu nastolatki wzniecił,

k) kto by za uszy kontrolera ciągał, a pstryczkę w nos mu wyciął, a kogutem się przed nim postawił, a funkcjonariusza sprowadzonego nastroszył,

l) kto tu przezroczysty worek wypchany pieniędzmi tajnie na wszystkich oczach targa, no KTO?

— srodze ten pociągnięty będzie!!!

Kilka minut później, tłocząc się do przodu, Pery Eks zatkał sobą wąski tunel przejścia. Kluczowe stanowisko, jakie w ten sposób zajął, nie uszło uwagi najbliższych pasażerów. Zwłaszcza trzy osoby uznały, że jest to najlepsza sposobność do nawiązania z nim bliskiego i serdecznego zarazem kontaktu. Próbowały go one nakłonić do wyświadczania bezinteresownych usług.

Do pierwszej akcji pchnęła go pasażerka z przodu.

— Może będzie pan tak uprzejmy i zadośćuczyni mi tę drobnostkę? Precyzując, chodzi mi o wypłoszenie tej oto macki.

Tu zakołysała powiekami i ostatnim, nieco głębszym ich skłonem wskazała na swoją torebkę. Pery Eks strącił lawirujący dotąd gdzieś pod sufitem wzrok do wskazanego mu wnętrza. W urozmaiconym banknotami ciemnym zaciszu grasowały tam w nerwowych drgawkach jakieś przepecone palce. Cała należąca do tej dłoni reszta ukryta była

skromnie w tłoku. Aby wywabić ją stamtąd możliwie najprostszym sposobem, Pery Eks wbił paznokiec w niezidentyfikowany obiekt. Skutek tego był piorunujący: po kilku niesynchronizowanych ze sobą „och!” i „ach!” wydobywających się z piersi najbliższej stojących torebkowiec przeszurnął pod ich nogami, a mentatorowi zostały w ręku tylko jego przetarte sznurowadła.

— Ha! Czy mi ta zdobycz wypełni powstałą w torebce lukę? — zapytała nieszczęsna, kiedy Pery Eks z ukłonem na trzy czwarte wrzucił sznurowadła na miejsce powstałego przed chwilą ubytku.

Zanim zdążył udzielić jej wszechstronnej i wyczerpującej odpowiedzi, pasażerka z lewej strony zadyndała mu przed twarzą czymś podługowatym.

— Zechce pan podać dalej? — zaproponowała przyjaźnie.

Udał, że jej nie dostrzega. Czekał, aż ktoś inny wyręczy go w tej niekłopotliwej manipulacji. Trąciła go jednak w ramię.

— No! No, proszę...! — nalegała dalej.

Skręcił głowę na bok i wyglądał przez okno. Gdy potrząsnęła go za klapę palta, rzucił ku niej szybkie, jakby przelotne spojrzenie, i jeszcze szybciej powrócił do poprzedniej, nacechowanej obojętnością pozy. Nie zamierzał robić jej przykrości, lecz pochwyciła już błysk niechęci w jego oczach. Ręka jej przysunęła się bliżej jego głowy. Teraz nieświeże już niestety zwłoki szczura dotykały mu szyi i łaskotały go w ucho.

— Tak, tak! Do pana mówię — podjęła znów, tonem już nieco ostrzejszym, jak gdyby w całym tym sunącym poprzez szare bryzgi tramwaju on jeden tylko mógł spełnić jej życzenie. — Po takich to właśnie drobnostkach poznaje się kulturę! Powinniśmy sobie ułatwiać życie.

„W zasadzie ma rację” — pomyślał Pery Eks. „Tak, ona się tutaj nie myli!”. I byłby już wziął z jej ręki to ścierwo, gdyby sobie nie uświadomił, ile to już razy brał takiego podawanego z rąk do rąk szczura za ogon, a kolejny pasażer, któremu usiłował go przekazać, odmawiał mu przyjęcia, z taką samą pustką w oczach, jak teraz jego pustka w oczach wobec nalegań tej pani. Bo najgorszą na świecie rzeczą — myślał dalej Pery Eks — jest zostać samotnie w stojącym na pętli tramwaju ze szczurem dyndającym w dłoni.

Tuż przed przystankiem na zamysłonego mentatora nadział się

zmierzający ku wyjściu pasażer. Człowiek ten (z poczciwego wejrzenia konformista w każdym calu) najwyraźniej zamierzał usprawnić wadliwy system opuszczania wozu, bo dyskretnym ruchem włożył mu do ręki nabity rewolwer, ze słowami:

— Bardzo proszę, może będzie pan łaskaw się usunąć.

Propozycja nie była całkiem od rzeczy i w jakiejś mierze zasługiwała na rozpatrzenie. Jednak zanim lufa dotarła do jego skroni, mentator poczuł do niej nieokreśloną bliżej i niczym właściwie nie usprawiedliwioną niechęć, chociaż słowa „czemu by nie?” miał już wprowadzone na koniec języka. Może po prostu nie był w odpowiednim nastroju — dość, że zwrócił tamtemu broń, a następnie — wyciśnięty na zewnątrz jak zawartość tuby — opuścił tramwaj, przeszedł na szary chodnik, gdzie z pełnym ładunkiem winy dobrowolnie oddał się w ręce ponurego wieczoru.

Teoria genitonów

Jak się wydaje, teoria profesora Hena, nazwana przez swego twórcę teorią genitonów, nie znajduje już dziś, jak jeszcze niespełna przed dziewięćmioma miesiącami, tylu zwolenników. Powodem takiego stanu rzeczy może być między innymi i ten również fakt, że w czasie ostatnich kilku miesięcy ani sam profesor Hen, ani też jego najbardziej zorientowani w przedmiocie badań uczniowie nie udzielili żadnej odpowiedzi na stawiane im przez sceptyków pewne podstawowe i — nie ukrywajmy tego — dość kłopotliwe pytania. Czy milczenie to — powiedzmy sobie szczerze — milczenie, które z upływem czasu traci wciąż na swej zagadkowej wieloznaczności i staje się ciszą po burzy, a nie zapowiedzią nowego odkrywczego grzmotu a więc, czy ów nużący już w końcu brak odpowiedzi spowodowany jest przejściowym tylko kryzysem, czy raczej trwałą niemocą? Któż z nas nie zadaje sobie tego pytania. Ale nie bądźmy niesprawiedliwi. Czyż nie wiadomo nam, ludziom zapoznanym z najbardziej niezbędnymi potrzebami nauki, że każda, najbardziej choćby obiecująca teoria musi upaść, jeżeli nie da się uzupełnić nowymi, odkrywczymi i wspierającymi się wzajemnie twórczymi elementami, które jej umożliwiają dalszy wszechstronny rozwój. Nie oznacza to bynajmniej, że teorii profesora Hena grozi taki właśnie okrutny los. Niebezpieczeństwo nadchodzi z innej strony. Według opinii kształtującej się wśród niektórych kompetentnych obserwatorów teoria genitonów nie wnosi do poznania ludzkiego żadnych nowych wartości, bowiem jest ona nie dość zręcznie opracowaną i skromną przy tym częścią innej, daleko bardziej obszernej teorii. Tamta inna teoria, której zakres jest nie tylko znacznie szerszy, ale większa jest również jej precyzja, znana jest i stosowana od niepamiętnych czasów.

W świetle powyższego, niektórzy eksperci od wykrywania i likwidowania teorii z gruntu fałszywych skłonni są przypuszczać, że teoria profesora Hena wydaje się być nie tyle błędna, co raczej zupełnie zbędna. My jednakże nie mamy dostatecznie solidnych podstaw, aby czuć

się upoważnionymi do formułowania przedwczesnych opinii. Bądźmy już raczej rzetelnymi, biernymi obserwatorami, skoro bieg wypadków nie pozwala nam — przynajmniej na razie na czynny udział w owej pasjonującej rozgrywce, w której dzielny profesor Hen stawia czoło trudnościom obiektywnym.

Lecz aby chwila całkowitego triumfu albo zupełnej klęski teorii genitonów nie zaskoczyła nas całkowicie nieprzygotowanych na jej przyjęcie i, abyśmy w owej doniosłej godzinie nie poczuli się przytłoczeni nadmiarem niezrozumiałych informacji, które uczyniły by nas bezradnymi w obliczu geniuszu tego nieprzeciętnego człowieka, przypomnijmy sobie niektóre ważne fakty z przeszłości i uzupełnijmy je nowymi wiadomościami. W tym celu cofnijmy się dwa lata, do czasu w którym profesor Hen być może nie przeczuwał jeszcze, że stoi o krok przed serią dokonanych przez siebie odkryć.

Widzimy go w jego gabinecie na dwudziestym dziewiątym piętrze wieżowca położonego przy ulicy Ściętej Tuberozy. Jak przechadza się po zielonej posadzce krokiem krótkim, sprężystym i odrobinę nerwowym. W ruchach jego daje się zauważyć jakaś tłumiona cała siłą woli, ale przecież mimo to rzucająca się w oczy niecierpliwość. Śledząc go przez pewien czas jesteśmy pełni zrozumienia dla napięcia odmalowanego na jego suchej i silnie pobladłej twarzy. Być może ten przyśpieszony cokolwiek chód, ten niecierpliwy ruch ręki sięgającej co chwila ku okularom i inne symptomy wielkiego natchnienia, które nie uchodzą uwadze wyrobionych obserwatorów jakimi jesteśmy. znajdują swoją przyczynę w nieśmiałym poczuciu nieubłagalnie zbliżającej się chwili epokowego odkrycia. Zatrzymajmy się przy scenie, która następuje wkrótce potem.

Profesor Hen zapina poplamiony odczynnikami fartuch laboratoryjny i zatrzymuje się przy naczyniu, w którym wrze lepki, przezroczysty płyn. Jest godzina czternasta pięćdziesiąt osiem. Zbliża się moment, w którym przywykły do uregulowanego trybu życia profesor, przerywa zawsze na godzinę swoje zajęcia aby oddać się całkowitemu wypoczynkowi.

Niestety. na temat wypadków i ich przebiegu mających miejsce w tej scenie zdania są podzielone. Aby zachować najdalej idący obiektywizm musimy przytoczyć obydwie interesujące wersje. Zwolennicy i

przeciwnicy teorii profesora zgadzają się co do tego, że słowa wypowiedziane wówczas przez mistrza brzmiały: „Agnieszko! Muszę się posilić przed dokonaniem tego epokowego odkrycia, zwłaszcza, że jego nieprzewidziane jeszcze skutki mogą sięgać nawet do dziedziny kulinarnej”. Również odpowiedź gospodyni na pytanie profesora: „Czy obiad jest już gotów?”, która brzmiała: „Jeszcze pół minuty, proszę pana. To i tak całe półtorej minuty przed terminem” — obie strony uznają za zgodną z obiektywną rzeczywistością. Dalej przyznaje się powszechnie, że po upływie trzydziestu sekund w drzwiach pojawiła się Agnieszka niosąc na tacy talerz z gorącą zupą. Postawiła go na stole obok palnika, na którym stało naczynie z wrzącym płynem i bezszelestnie znikła za drzwiami gabinetu.

Teraz uwagę naszą przykuwa trójkąt o wierzchołkach wyznaczonych przez naczynie na palniku, okulary profesora Hena oraz talerz z zupą. Wybija godzina piętnasta. Profesor patrząc przez okulary stanowiące wierzchołek wyżej omówionego trójkąta zamyśla się głęboko. Przez jego przywykły do żelaznej logiki, wysoce sprawny umysł, niczym rozpędzone do szybkości światła protony w potężnym cyklotronie, przebiegają jasne i niezwykle doniosłe myśli. Wie on, że lepki płyn wypełniający naczynie na palniku, płyn spreparowany przez niego z niemałym trudem, ten związek chemiczny o niepowtarzalnym składzie i własnościach, owoc wielu nieprzespanych nocy, ma dla nauki olbrzymie znaczenie. Nie wie tylko jeszcze jakie. Przyglądamy się lekko pochylonej sylwetce profesora z niemałym zainteresowaniem. Widzimy, jak jego wyrażające najgłębszą koncentrację oczy, oczy w których obraz siatkówki nie dociera do świadomości, a co za tym idzie, oczy zdradzające najwyższy stopień roztargnienia przesuwają się po przedmiotach znajdujących się w gabinecie; widzimy jak uczony odwraca się do szuflady aby sięgnąć po łyżkę, a równocześnie ruchem zupełnie nie przemyślanym, niekontrolowanym bo automatycznym, zdejmuje okulary kładąc je za sobą. Według przekonania swej podświadomości — na stole, według przekonania zwolenników swej teorii — do naczynia z wrzącym płynem i wreszcie, za zdaniem sceptyków — do talerza z zupą. Nie wnikając w subtelne rozróżnienia jakimi operują obie zwalczające się strony, pozostawmy analizę tej kwestii jako nieistotną dla meritum naszej sprawy i przejdźmy do sceny

kulminacyjnej. Wydaje się, że najbardziej trafnie opisał ją sam profesor Hen. Oto fragment dość zręcznie sformułowanej i zamieszczonej w poczytnym piśmie jego wypowiedzi:

(...) Kiedy ująłem w rękę swoje okulary i uniosłem je na wysokość około dwunastu cali, spostrzegłem z pewnym zdziwieniem, że ociekają jakimś gęstym, przezroczystym i szybko zasychającym płynem (...) Poczekaliśmy aż ostygły, a następnie założyłem je pośpiesznie, bowiem nadchodziła pora, w której miałem zwyczaj konsumować drugie danie, a ja jeszcze nie zacząłem pierwszego (...)

Tu następuje bardziej szczegółowy opis metod, którymi profesor posługiwał się kształtując w Agnieszce cnotę punktualności — cechę tak niezbędną w odpowiedzialnej pracy uczonego. Ale czytamy dalej:

Wówczas — a było to w chwili nagłego olśnienia, które nierzadko miewam — uświadomiłem sobie bez żadnego trudu, że obraz talerza stojącego na stole tuż przede mną wypadł niespodziewanie z pola mego widzenia, aczkolwiek dotyk świadczył nadal o trwałej jego obecności. Uzmysłowiwszy sobie ten dość interesujący szczegół już miałem sformułować podstawowe pytanie dotyczące stosunku świadomości podmiotu do istoty bytu postrzegalnego przedmiotu, kiedy naraz tknięty nagłym i na dodatek złym przecuciem rozejrzałem się na wszystkie strony. To, co ujrzałem, było dokładnym przeciwieństwem tego, co powinienem był zobaczyć — oczywiście jeśli przyjąć, iż doskonały brak czegoś jest przeciwieństwem doskonałego nadmiaru tegoż — czyli mówiąc językiem mniej ścisłym, nie dostrzegłem zupełnie niczego. Bo okulary moje nabrały jakiejś przedziwnej własności: nic przez nie nie mogłem zobaczyć. Wszelako owo „Nic” nie miało nic zgoła wspólnego z tym niczym, które potocznie jesteśmy skłonni za nie uznawać. To, czego nie widziałem, a raczej to, co się zobaczyć przez moje okulary nie dawało, albo jeszcze inaczej: to, zdawało się być niczym już dzięki temu prostemu faktowi, że było czymś czego nie ma — czyli mówiąc już po prostu: to niesłuchanie oczywiście nic, na temat którego niczego w zasadzie powiedzieć nie można — miało całkiem inny charakter i zupełnie odmienne cechy od tego czegoś, co do którego każdy z nas nie ma żadnych wątpliwości, że niczym nie jest.

Przed oczami moimi, jak daleko tylko zdołałem sięgnąć wzrokiem, rozpościerała się przestrzeń tak doskonale pusta, że porcja próżni, gdyby taką można było gdzieś w sąsiedztwie moim umieścić, wydawałaby się — dzięki kontrastowi — masywnym ciałem stałym (...)

W dalszej części swego artykułu profesor Hen w zdaniach może dla laika nieco mniej przystępnych, bo zawierających fachowe terminy, ale na pewno w sposób bardziej niż dotąd precyzyjny, szeroko opisuje własności otaczającej go pustki.

Nasyciwszy swą ciekawość i wyczerpawszy wszystkie — rzecz jasna — narzucające się uwagi na temat zaobserwowanego zjawiska, uczony wstał z krzesła, na którym poprzednio z wrażenia usiadł i postanowił zdjąć okulary. Tu jednak spotkał się z nieprzewidzianą przeszkodą. Lepki płyn, w którym były przedtem zanurzone, krzepnąc przylepił okulary do

skroni i uszu profesora.

— Zupełnie mi to nie szkodzi — rzekł z dobroduszną rezygnacją. — Skoro zobaczyłem już tyle, mogę zobaczyć jeszcze więcej.

Zwróćmy uwagę, że ostatnie słowa uczonego nie były żadnym efektownym chwytem retorycznym, ale dającym się racjonalnie uzasadnić naukowym przeczuciem. Zaledwie bowiem odwrócił się i wyciągnąwszy ręce do przodu, jak lunatyk, zrobił kilka kroków w stronę drzwi, kiedy ujrzał zawieszony nieopodal w przestrzeni niewielki czarny krążek. Na taki widok każdy z nas zadałby sobie czy innym co najmniej jedno, jeżeli nie więcej pytań. Profesor Hen takiego błędu nie popełnił. Wyszedł ze swego gabinetu, wziął laskę, która w tej szczególnej sytuacji miała mu oddać cały szereg cennych przysług, a następnie wszedł do windy. Zjeżdżając w dół ujrzał w opisanej już poprzednio niezwyklej przestrzeni cały szereg silnie kontrastujących z jasnym tłem niewielkich czarnych plamek. Porozrzucane nieregularnie w różnych od niego odległościach, podobne do małych, zawieszonych na tle jasnego nieba nieoświetlonych przedmiotów, wyglądały jak obwiedzione ostrymi konturami i pozbawione szczegółów w obrębie tych konturów atramentowe kleksy. Podobieństwo do kleksów było jednak tylko częściowe. Wszystkie zdawały się być nieruchome względem pozostających w górze za opadającą windą pięter, których profesor przez okienko kabiny, rzecz jasna, nie widział, podobnie jak nie widział niczego z wyjątkiem opisywanych plamek. Kształty ich i wielkości były różne. Jedne, zwłaszcza te bliższe, co do swoich rozmiarów, a często zarysu obwódki, przypominały oglądane z różnych stron i pod różnymi kątami małe, kieszonkowego formatu książki. Te miały kształty bardziej regularne od innych przypominających pomarszczone, poskręcane i pozawijane na różne strony ruloniki, lub jeszcze innych, które były podobne do rzuconych na ścianę cieniów mniejszych i większych skupisk ciasno do siebie przylegających kamyków. Większość tajemniczych przedmiotów — bo jak się wkrótce okaże były to bryły trójwymiarowe, a nie płaskie cienie — usytuowana była w dużej odległości od poruszającej się windy, toteż równie trudno mówić o ich wymiarach, jak nie sposób opisać ich postaci. Te ostatnie profesor obserwował jako wielką liczbę czarnych punktów.

Jak już powiedzieliśmy, profesor Hen mieszkał na dwudziestej

dziwiącej kondygnacji. Na wszystko, na co mniej wprawny obserwator. laik dysponujący spostrzegawczością leniwą i niezdolny do błyskawicznego rejestrowania najistotniejszych elementów zjawiska zużyłby okres czasu potrzebny do zjechania z co najmniej setnego piętra do najdalej w głąb sięgających podziemi (a i wówczas. stojąc już gdzieś na setnej podkondygnacji skostatowałby z ospałym wyrazem oczu. że niczego prawie nie widział, a już o rozumieniu nie ma mowy) — na to wszystko więc, nasz uczoney potrzebował czasu nie więcej niż na dotarcie do dwudziestego piętra, Na tej wysokości zebrał już wszystkie niezbędne dane i natychmiast przystąpił do ich gruntownej analizy. W jego przytomnej zawsze świadomości, w umyśle niezwykle przenikliwym i wyspecjalizowanym w tego rodzaju zawilej problematyce, a przy tym wszechstronnie sprawnym, bo dysponującym pamięcią chłonącą istotne informacje ze skwapliwością pustyni wysysającej kropelki wody, rozpętała się istna intelektualna orgia.

Między piętrami dwudziestym i dwunastym uczoney rozważył wszystkie wchodzące tu w rachubę możliwości i stopniowo, metodą błyskawicznej eliminacji wykluczył je wszystkie po kolei, pozostając przy jednej, która się oparła najbardziej nawet energicznym wykluczającym ją wstrząsam. Wówczas — a było to gdzieś między dwunastym a jedenastym piętrem — profesor wziął ją na wyposażony w najbardziej nowoczesną aparaturę logiczną warsztat swego rozumu i wcisnąwszy pod prasę żelaznej konsekwencji z zadowoleniem prawdziwego badacza notował w pamięci wypływające wnioski.

Otóż wniosków tych wypłynęło niemało. Na razie nie będziemy ich wymieniać pozostając przy tym że na parterze podstawy szczególnej teorii genitonów były już opracowane. W tym miejscu — nie bez uczucia dumy dla wielkości ludzkiego rozumu — wypada chyba podkreślić. że cały wysiłek intelektualny potrzebny na sformułowanie tak płodnej teorii, ta tytaniczna wprost praca nieprzeciętnego mózgu została dokonana na nieproporcjonalnie krótkim w stosunku do wielkości swego zasięgu odcinku dwudziestu dziewięciu kondygnacji i to w warunkach niesprzyjających ambicjom uczonego, bo podczas opadania! Z tego też chyba powodu mówi się często, że teoria genitonów spadła na nieprzygotowane do przyjęcia jej społeczeństwo, jak grom z jasnego nieba; i owszem: spadła ona razem z geniuszem zjeżdżającego windą

profesora Hena.

Kiedy na zorganizowanej w trzy miesiące później konferencji prasowej jeden z dziennikarzy zapytał go, co odczuwał wówczas stojąc na parterze i czy nie przytłoczył go ogrom dokonanego przez siebie odkrycia, uczony z właściwą sobie skromnością próbował zbagatelizować swe zasługi.

— Wyciągnąłem rękę do przycisku dwudziestej dziewiątej kondygnacji — powiedział. — Wszystko już było dla mnie jasne, wobec czego postanowiłem wrócić do siebie na obiad.

— Ale nie uczynił pan tego wiedząc, że wszyscy czekamy na dalsze badania, no i na wyjaśnienie — domyslił się dziennikarz.

— Istotnie tak było — odpowiedział uczony ciepłym tonem.

Z innych źródeł dowiadujemy się, że po opuszczeniu windy profesor Hen wyszedł na ulicę i trzymając się w pobliżu ścian mijanych domów, albo posługując się swoją laską, przy pomocy której dość zręcznie odnajdywał właściwą drogę, spacerował powoli po całej dzielnicy. Pod pozorem niewinnie wyglądającej przechadzki ślepeca uczony zbierał, gromadził i dopasowywał do swej teorii brakujące elementy. W ten sposób wzbogacił ją o cały szereg nowych, cennych spostrzeżeń, które w niecałe dziesięć miesięcy później w ciszy jego gabinetu miały być mu użyteczne przy opracowywaniu tym razem „Ogólnej teorii genitonów”.

Późnym wieczorem położył się spać nie rozstając się ze swoimi okularami. Uczynił tak nie dlatego, żeby był zmuszony do takiego niecodziennego postępowania faktem całkowitego zaschnięcia substancji pokrywającej okulary i przylepiającej je do skroni i uszu (posiadał przecież odpowiedni rozpuszczalnik), lecz dlatego, że obawiał się, aby jego okulary nie utraciły swej przedziwnej właściwości. Teoretycznie wszak istniało prawdopodobieństwo przypadkowego i niezamierzonego przerwania jakiegoś subtelnego ogniwa w tym niezwykłym i jeszcze nie zbadanym łańcuchu przyczyn i skutków. Zważywszy tę okoliczność, profesor nie rozstawał się ze swoimi okularami jeszcze przez pięć dni. Postępowaniem jego musiała kierować jakaś niewytłumaczalna intuicja, bowiem kiedy po upływie owych pięciu dni zdjął je i dał Agnieszce aby się przekonać jakie jest zdanie tej prostej kobiety, usłyszał z jej ust pod swoim adresem kilka cokolwiek zanadto dobitnych zdań, które zaśmiecily przesyconą rozważnym skupieniem atmosferę jego gabinetu.

Gospodyni była zdania, że żaden uczony nie ma prawa do nieprzyzwoitych, jak się wyraziła, żartów, wykorzystując braki w jej wykształceniu.

Istotnie wyglądało to na żarty, ponieważ okulary okazały się najzupełniej normalne, tyle tylko, że brudne i pokryte różnej wielkości paprochami. Na próżno wielki uczony próbował wytłumaczyć rozgorączkowanej kobiecie, że odlepiając i zdejmując okulary pozbawił je ścisłego kontaktu ze swoimi skrońmi, gdzie rezonowały fale elektromagnetyczne wzbudzone przez jego mózg, a przez to w sposób tak lekkomyślny spowodował zanik ich wyjątkowych właściwości, które już nigdy nie miały powrócić. Agnieszka oświadczyła mu kategorycznie, że takiej bezczelności z jego strony — jeżeli kiedy jeszcze będzie miał na nią ochotę — nie będzie tolerowała.

Na wspomnianej konferencji prasowej profesor Hen odpowiedział wyczerpująco na cały szereg stawianych mu pytań. Niezależnie od dziennikarzy, pytania zadawali mu również inni obecni na sali uczeni. Oto niektóre z nich:

Pytanie: Czy idąc ulicami miasta widział pan obserwowane już przedtem z kabiny windy czarne plamy?

Odpowiedź: Widziałem je w dalszym ciągu, ale tylko wówczas, kiedy był zachowany pewien szczególny warunek.

Pytanie: Co to za warunek?

Odpowiedź: Genitony, bo tak nazwałem nasze plamki, musiały się poruszać względem mnie, albo ja względem nich. Jedynie wówczas dawały się dostrzec, a obraz ich był tym bardziej wyraźny, kontrastowy i ostry, im większa była względna ich prędkość.

Pytanie: A więc już na podstawie kontrastu między danymi poruszającymi się genitonami i tłem mógł pan wnioskować o ich prędkości względem siebie?

Odpowiedź: Oczywiście, ten związek przyczynowy dostrzegłem natychmiast i nie omieszkałem go wykorzystać.

Pytanie: Czy może pan opisać dokładniej jakie było rozmieszczenie genitonów w przestrzeni i co się z nimi działo?

Odpowiedź: W powietrzu nad ulicą i pod płytami chodnika nie dostrzegłem żadnego. Te, które znajdowały się w przestrzeni wytyczonej przez mury i dachy domów, a więc jakby w ich wnętrzu, były na ogół nieruchome: mogłem je dostrzec dopiero wtedy, kiedy sam szedłem albo jechałem samochodem. Najszybciej zmieniały swoje położenie w przestrzeni i, co za tym idzie, najlepiej były widoczne genitony poruszające się po liniach prostych wzdłuż jezdni, na ogół na wysokości około jednego metra od miejsca gdzie się znajdowała domyslna jej płaszczyzna. Prędkość ich bardzo często dochodziła do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale zdarzało się też, że bez żadnej rzucającej się w oczy przyczyny któryś z pędzących genitonów zwalniał i skręcał raptem w prawo. Po wykonaniu takiego manewru zatrzymywał się i stawał się natychmiast niewidoczny.

Pytanie: Czy zainteresowały pana dalsze losy takiego genitonu?

Odpowiedź: Owszem, aby uczynić go widocznym ruszałem z miejsca. Wówczas okazywało się, że raz pozostawał zawieszony w przestrzeni na tej samej wysokości, na której się poruszał, kiedy indziej znów przesuwał się powoli w poprzek chodnika i wkrótce mieszał się z innymi. Najpilniej jednak obserwowałem te genitony, które poruszały się w najbliższym moim sąsiedztwie. Te, które poruszały się po prawej stronie chodnika w pobliżu murów domów były prawie niewidoczne: szybkość ich musiała za mało różnić się od mojej. Ale po drugiej stronie chodnika, w kierunku przeciwnym, wędrował na wysokości od pół do półtora metra cały ich sznur. Oczywiście narzucało się spostrzeżenie, że nośnikami genitonów są ludzie, bo ruchy czarnych plamek, co do szybkości i kierunku przypominały ruchy przechodniów. Należało udzielić odpowiedzi na pytanie, czy związek między genitonami i ludźmi jest związkiem nierozzerwalnym, czyli, czy każdemu człowiekowi towarzyszy znajdujący się gdzieś w jego bezpośrednim sąsiedztwie, albo we wnętrzu jego ciała jakiś geniton lub na odwrót — czy każdemu genitonowi towarzyszy jakiś człowiek. W czasie pięciu dni działania moich okularów przeprowadziłem wiele obserwacji. Na ich podstawie mogłem udzielić odpowiedzi na pytanie, która brzmi: związek między genitonami i ludźmi nie jest ani koniecznym ani też trwałym. Spotykałem wiele genitonów bez ludzi i wielu ludzi, którym nie towarzyszyły genitony.

Pytanie: Czy nie próbował pan po prostu zbliżyć się do jakiegoś genitonu i przez dotknięcie go ręką stwierdzić, czym on właściwie jest?

Odpowiedź: To było niemożliwe. Każdy bowiem geniton, do którego zbliżałem się na odległość około dwu metrów, po przekroczeniu tej odległości rozmywał się i nikł. Tych, które znajdowały się w strefie ograniczonej promieniem dwu metrów, w żaden sposób nie mogłem zobaczyć. Taka już była właściwość moich okularów i musiałem się z tym pogodzić.

W kilka dni po konferencji prasowej profesor Hen gościł u siebie jednego z najwybitniejszych specjalistów pewnej mała u nas jeszcze znanej, ale niezwykle ważnej dziedziny nauki. Niestety, prasa nie podała specjalności ani nazwiska tego eksperta. Wiadomo tylko, że obaj uczeni odbyli przy drzwiach zamkniętych sześciogodzinną, bardzo ożywioną naradę. Następnego dnia jedna z prowincjonalnych gazet w artykule wstępnym wyraziła przypuszczenie, że tajemnicze genitony mogą być tworem pochodzenia pozaziemskiego i domagała się aby skoncentrować wysiłki w celu wyprodukowania większej liczby okularów próżniowych.

Bodajże w tym samym mniej więcej czasie profesor Hen wygłosił odczyt pod tytułem: „Genitony są wśród nas”. W słowach dla laików bardzo przystępnych, aczkolwiek nie pozbawionych naukowej precyzji, uczony zapoznał słuchaczy z faktami dotąd jeszcze nie ogłoszonymi.

Otóż genitony ze względu na swój kształt i wielkość dadzą się podzielić na dwie zasadnicze grupy: na grube i drobne. Genitony grube są koloniami tworów przypominających cienkie blaszki o wymiarach nie przekraczających szerokości i długości średniej dłoni. Kilkanaście, a

czasem kilkadziesiąt takich blaszek łączy się w zespół tworzący całą kolonię, która w całości wyglądać może jak paczka tytoniu. Bywają tu jednak wyjątki, bo niektóre genitony zaliczane do grubych — zwłaszcza te o małej liczbie blaszek — lubią się zwiijać w nieforemne ruloniki. Druga grupa genitonów, a więc genitony drobne, występują najczęściej w dwu postaciach. W jednej zwanej „rozrzutnią” porozrzucane są w przestrzeni kilkunastu decymetrów sześciennych i mają kształty krążków średnicy od jednego do kilku centymetrów. W drugiej postaci zwanej „skupnią”, skupione są ciasno wokół jakiegoś niewidzialnego punktu koncentracji. Niezależnie od wyżej opisanego podziału rozróżnia się jeszcze jeden podział na genitony związane, które trzymają się w pobliżu jakiegoś człowieka i genitony wolne, które tkwią gdzieś swobodnie w przestrzeni, najczęściej w bezruchu.

Na sali obok słuchaczy nastawionych życzliwie znajdowało się wielu nieufnych sceptyków. Ci, po wysłuchaniu odczytu, który ich zdaniem niczego nowego do sprawy nie wniósł, usiłowali wprowadzić do podstaw krzepnącej już teorii genitonów wiele zamieszania. Jednak uwagi tych osób, chociaż wznoszone z niemałą pewnością siebie, były tak mało rzeczowe a przy tym wręcz niepoważne, że nie będziemy ich tu zamieszczać..

Po odczycie odwiedził profesora Hena pewien wytwornie ubrany pan (nazwisko i adres znane w kołach dobrze poinformowanych) i upewniwszy się czy drzwi i okna są dobrze zamknięte zapytał go wprost, co sądzi o genitonach. Kiedy uczony oświadczył mu z powagą, iż prawdę o przedmiocie swych badań ogłosi nie prędzej, aż sam uzna to za stosowne, ów pan zaczął nalegać, aby zawarli we dwóch tajny układ. Według tego układu profesor za wysokim wynagrodzeniem miał się zobowiązać do zachowania w ścisłej tajemnicy przed opinią publiczną wszystkiego tego, co wie lub czego jeszcze zdoła się dowiedzieć o genitonach. Jedynie owemu panu miała być udostępniona w drodze nadzwyczajnego wyjątku cała prawda, a już on sam — jak się wyraził — potrafi ją odpowiednio wykorzystać. Nie musimy chyba nikogo zapewniać, że natręt ten został potraktowany tak jak na to zasłużył.

Bylibyśmy nie dość uważnymi czytelnikami kroniki wypadków z ubiegłego roku, gdybyśmy nie odnaleźli w niej i nie odnotowali na tym miejscu pewnej wzmianki, która naszym zdaniem zasługuje na uwagę.

Otóż nazajutrz po zamieszczeniu w prasie pierwszego artykułu profesora Hena dwaj zamaskowani osobnicy wtargnęli do gabinetu uczonego i korzystając z jego nieobecności (okrzyki Agnieszki nie zdołały odstraszyć zdolnych do każdego kroku włamywaczy) przywłaszczyli sobie okulary profesora. Incydent ten nie spowodował — rzecz prosta — żadnych strat dla nauki, bowiem okulary już przedtem utraciły swą wyjątkową zdolność do demaskowania normalnie niewidzialnych genitonów i mogły być — co najwyżej — traktowane jako interesujący okaz w ręku historyka nauki lub w zbiorach kolekcjonera osobliwości.

Pod koniec ubiegłego roku jeden ze współpracowników profesora Hena, znany i ceniony analityk bytów pozagalaktycznych, profesor Julabin, rozwijając koncepcję wspomnianej już prowincjonalnej gazety wysunął tezę, że genitony z całą pewnością są jedynymi w swoim rodzaju, bo przybyłymi z sąsiedniej galaktyki, wysoko zorganizowanymi i oczywiście myślącymi istotami, które nie wiadomo od jakiego czasu osiadają na organizmach ludzi w celach pasożytniczych. Na poparcie swej tezy profesor Julabin przytacza niezwykle przejrzysty, zwarty i aż zanedo przekonujący dowód, którego, niestety, ze względu na konieczność zastosowania środków matematyki najwyższej nie możemy tu omówić.

Jest rzeczą dla tego rodzaju odkryć dość charakterystyczną, że, jak dotychczas, nikt z przyczyn oczywistych nigdzie nie widział, tak teraz nagle zaczęto je dostrzegać w najprzeróżniejszych miejscach w całym kraju. Do specjalnie w tym celu utworzonego biura, do Biura Badań Genitonów, zaczęły jedna po drugiej napływać relacje naocznych świadków. Zmobilizowani atmosferą najwyższego napięcia, która siłą rzeczy towarzyszyć musiała temu wstrząsającemu odkryciu, różni przygodni obserwatorzy posuwali się tak daleko w swej gorliwości służenia nauce, że na ręce sekretarzy biura przesyłali najprzeróżniejsze dowody rzeczowe. Z małych troskliwie opakowanych i zapieczętowanych paczuszek dyżurny genitonlog obok różnego rodzaju deformujących obiektywną rzeczywistość i uszkodzonych okularów wydobywał takie przedmioty jak: chusteczki z atramentowymi kleksami, fragmenty garderoby, w których przez duże dziury widać było czarną podszewkę oraz inne mniej lub bardziej namacalne rzekome dowody rzeczowe, jeżeli nie liczyć wielkiej liczby zdjęć rodzinnych, na których

widniały upstrzone czarnymi plamami z odczynników fotograficznych różne uśmiechnięte osoby.

Na próżno profesor Julabin apelował do rozsądku społeczeństwa i nawoływał aby zważyło, iż fakt obserwowania genitonów w różnych wersjach przez oczy nieuzbrojone w „okulary próżniowe” jest faktem dyskwalifikującym zarówno owe rzekome genitony, jak i samych obserwatorów — poczta przynosiła wciąż nowe, wysrane z palca, mrozące krew w żyłach wieści. Zdarzyło się, że pewien pomyslowy oszust sprzedawał po wysokich cenach butelki płynu spreparowanego zgodnie ze wskazówkami recepty kupionej od profesora Hena. Oszust polecał nabywcom swego towaru, aby w celu uzyskania właściwości „okularów próżniowych” moczyli swoje przyrządy optyczne cierpliwie i aż do skutku.

Kiedy producentem płynu zwanego w szybko rosnącym kręgu nabywców „Lakmusem Pasożytów Galaktyki” zainteresowała się prokuratura, ustalono, że profesor Hen żadnej recepty nikomu nie sprzedawał, a butelki były napełnione wodą z pobliskiej cuchnącej sadzawki. W takich to niezwykle ciężkich warunkach profesor Hen kończył opracowywać podstawy „Ogólnej teorii genitonów”.

Na początku bieżącego roku, w dniu ukończenia tej pracy (data ta została zaznaczona w naszych kalendarzach kolorem szczególnie jaskrawym) do gabinetu uczonego wkroczył wraz z małżonką i towarzyszącymi osobami osobnik o dość podejrzanym wyglądzie. Rozmowa, której przebieg został zanotowany w notesach sprawozdawców, bo toczyła się przy drzwiach niedomkniętych, brzmiała w niemilej i nieserdecznej atmosferze. Po wymianie poglądów na najbardziej palące problemy genitologiczne obie biorące udział w naradzie strony podkreśliły z całym naciskiem fakt niezgodności tych poglądów i udekorowały się wzajemnie oświadczeniami o treści niesprzyjającej genitologicznemu odprężeniu. Zamiast spodziewanego toastu na cześć swego geniuszu profesor Hen usłyszał słowa, które go bardzo zastanowiły. Oto one:

Związek Miłośników Tworów Genitologicznych podaje do publicznej wiadomości co następuje:

1. Zakazuje się aby ktokolwiek, gdziekolwiek i w jakikolwiek sposób (a w szczególności przy pomocy ciał stałych, ciekłych, gazowych i plazmy oraz przy pomocy innych możliwych do pomyslenia ciał) czynił lub próbował czynić cokolwiek złego genitonom, tak grubym jak

i drobnym.

Niniejszy zakaz dotyczy osób w wieku:

a) poniżej trzydziestu lat włącznie.

b) powyżej trzydziestu lat.

2. Nakazuje się wszystkim zdolnym albo niezdolnym do działania osobom, aby przy pomocy ciał wymienionych w punkcie pierwszym, a również i na inne możliwe do pomyślenia sposoby opiekowały się genitonami udzielając im wszechstronnej pomocy i wsparcia.

Niniejszym nakazem obejmuje się osoby wymienione w podpunktach a) i b) punktu pierwszego.

Jak się uważa w kołach źle poinformowanych profesor Hen przez cały czas trwania wizyty tajemniczego nieznajomego zapewniał go solennie, że już dawno doszedł był do takich samych jak on wniosków i że zgadza się z nim we wszystkich, najdrobniejszych nawet szczegółach. Niestety przybysz nie dawał profesorowi dojść do słowa z wielkim zacietrzewieniem i uporem broniąc wspólnego stanowiska i przysięgając, że zdania swojego nie zmieni pod żadnym warunkiem. Przypuszcza się, iż pod wpływem niezwykle obrazowej argumentacji swego rzekomego oponenta profesor Hen zmienił w końcu dotychczasowe zdanie — zdanie całkowicie zgodne z poglądem nieznajomego — na przeciwne.

Wkrótce po opisanych tu wypadkach ukazała się w wydaniu książkon od dłuższego już czasu zapowiadana i oczekiwana z wielką niecierpliwością „Ogólna teoria genitonów”. W pracy tej profesor Hen z właściwą drobiazgowością i rzadką rzetelnością zapoznaje czytelnika z bardzo interesującymi faktami, które dotąd nikomu jeszcze nie były znane. Podczas pamiętnych pięciu dni prowadzenia szczegółowej obserwacji przy pomocy „okularów próżniowych” uczony zebrał niezwykle bogaty materiał najistotniejszych naukowych faktów, a później pochylony nad uczynionymi w tym czasie notatkami przeglądał je starannie porządkując i analizując zawarte w nich spostrzeżenia.

Uważny czytelnik „Ogólnej teorii genitonów” dowiaduje się z kart tego wybitnego dzieła, że profesor Hen musiał niejednokrotnie stawać w sytuacjach kolidujących z jego naukową godnością, aby tylko zadość uczynić swemu pragnieniu poznania prawdy. Otóż uczony przebrawszy się za niewidomego żebraka chodził po domach pod pretekstem zbierania jalmużny, a w rzeczywistości w celach ściśle naukowych. Podczas swojej uciążliwej wędrówki zauważył, że genitony domowe są

daleko bardziej rozwinięte od ulicznych. W ślad za tym cennym odkryciem posypały się następne. W mieszkaniach, w których dawały się słyszeć głosy dobiegające z różnych urządzeń typowych dla naszych skłonnych do ustawicznego rozwoju cywilizacji technicznej czasów — a więc głosy z radioodbiorników, telewizorów, magnetofonów, adapterów, odkurzaczy, pralek, lodówek itp. — w takich mieszkaniach osiedlały się kolonie złożone ze znacznej liczby genitonów grubych. Tutaj zawieszono gdzieś w przestrzeni prostokątne i cienutkie osobniki genitonów bardzo często przyciągały się wzajemnie ze znacznymi siłami tworząc skupiska, których postać i wielkość przypominała regularne kształty prostopadłościanu o podstawie będącej prostokątem, którego boki na ogół były trochę mniejsze niż dziesięć na dwadzieścia centymetrów. Niemały wpływ na wysokość takiego prostopadłościanu miał warkot samochodu osobowego dobiegający skądś z garażu właściciela mieszkania. Natomiast w innych mieszkaniach, tam, gdzie do uszu uczonego nie dobiegały odgłosy z urządzeń poprzednio wymienionych, gdzie nawet nie było słychać delikatnego cykania przyrządu tak powszechnego jakim jest zegarek, genitony — użyjmy i tu tego terminu, chociaż trudno go użyć dla tego czegoś, co było tylko namiastką przyzwoitej kolonii genitonów — nie lubiły się osiedlać. W takich miejscach profesor Hen odnotowywał w pamięci żalosny doprawdy widok co najwyżej kilku zaniedbanych i zapewne obumierających już genitonów grubych, które marszczyły się i zwijały — jakby w stanie agonii — w nieforemne ruloniki. Bywało, że w identycznych warunkach akustycznych, czyli w ciszy, jeżeli przerwanej już jakimś głosem, to tyłko płaczem wielu dzieci, profesor nie dostrzegał nigdzie żadnego genitonu grubego i musiał się zadowolić przeglądem genitonów drobnych i to w postaci mało interesującej, bo w „rozzutni”. Tak jak w mieszkaniach pierwszego typu uczony prawie zawsze dostawał przyzwoitą jałmużnę, tak tutaj dowiadywał się, że niczego nie dostanie z powodu braku pieniędzy. W takich przypadkach oddawał cały swój dzienny utarg i zniknął za drzwiami nie czekając na podziękowanie.

Z przytoczonych dotąd danych uważni uczniowie profesora Hena wywnioskowali bez żadnego trudu, że genitony — zwłaszcza grube — lubią się skupiać w pobliżu urządzeń — zaryzykujmy to określenie — stanowiących dobrodziejstwo naszych czasów. Profesor pochwalił ich za

ten cenny wniosek, do którego sam już dawno doszedł i nie poprzestając na nim posunął się jeszcze dalej, aż do sformułowania jednego z podstawowych twierdzeń „Ogólnej teorii genitonów”, które brzmi:

„Genitony, jako przedstawiciele obcych, ale nastawionych do nas przyjaźnie istot rozumnych, interesują się tym, co się im wydaje najistotniejsze w dorobku człowieka na Ziemi postępowaniem cywilizacji technicznej”.

W ślad za tym niezwykle śmiało sformułowanym twierdzeniem mistrza, jego uczniowie pragnąc uzupełnić myśl profesora wyrazili przypuszczenie, że omawiane stwory muszą posiadać coś na podobieństwo organów słuchu albo — uwzględniając fakt, że była tu mowa na ogół o urządzeniach elektrycznych, a genitony nie reagowały na fale mechaniczne (przykład: płacz dzieci) — ściślej — rezonatory fal elektromagnetycznych o odpowiedniej długości.

W tym miejscu naszych rozważań musimy oddać sprawiedliwość profesorowi Henowi, nie tając faktu, że uczony omówiwszy na kartach swego dzieła wszystkie największe swe sukcesy nie zapomniał również wspomnieć o dotkliwej porażce. Profesor Julabin wytknął mu kiedyś rzeczowym tonem, iż przy formułowaniu pierwszego prawa genitonów uległ zbyt silnemu podnieceniu naukowemu i popełnił rażący błąd myląc skutek z przyczyną. Bowiem według profesora Julabina, to nie genitony osiadają w pobliżu omówionych już poprzednio urządzeń lecz na odwrót — owe urządzenia pojawiają się tam, gdzie się uprzednio ukazały genitony. Przez długi czas stwierdzenie to — na pierwszy rzut oka tak absurdalne, jakim może się wydawać tylko niedocenione w pierwszej chwili epokowe odkrycie — nie mogło się spotkać z niczym uznaniem. W końcu jednak pod brzemieniem posiadanych przez siebie w notatkach dowodów, które dopiero teraz doczekały się powtórnej analizy i nowej, już właściwej interpretacji, profesor Hen musiał przyznać pierwszeństwo występowania genitom.

W dalszym ciągu lektury książki profesora Hena dowiadujemy się z nieukrywaną radością, że autor podczas sporządzania jej rękopisu w grubym brulionie doszedł w końcu do miejsca, w którym tkwiła wetknięta między jedne z ostatnich stronic mała, niepozorna i poplamiona odczynnikami karteczka. Był to zagubiony już dawno i bardzo intensywnie przez profesora poszukiwany przepis na płyn potrzebny do pokrycia „okularów próżniowych”. Dziwnym zbiegiem

okoliczności przepis odnalazł się dokładnie w tym momencie, w którym — gdyby się nie odnalazł — autor byłby zmuszony zakończyć pisanie swojej książki i postawić kropkę z powodu braku dalszych danych potrzebnych do snucia naukowych wywodów. Nie potrzebujemy chyba nikogo zapewniać, że odkrycie tej kartki zapoczątkowało serię następnych, równie ważnych odkryć. Z nakładem znanych kosztów i — mimo przepisu — po pokonaniu różnych trudności technicznych, profesorowi udało się sporządzić niewielką, niestety, ilość płynu „antymaterialno-widogenitonowego” — jak go sam bardzo trafnie nazwał — i pokryć jeden egzemplarz „okularów próżniowych”. Dzięki ich pomocy mógł się utwierdzić w słuszności twierdzenia profesora Jalubina i dokonać wielu nowych obserwacji.

Przede wszystkim odwiedzając wszelkiego rodzaju sklepy i trzymając się z dala od kupujących klientów — przypominamy, że jego okulary nie działały na odległość mniejszą od około dwóch metrów — obserwował wzmożony ruch genitonów w pobliżu kas. Przynoszące sławę jego imieniu, przybyłe z zaświatów owe najpierw groźne, a później uznane za pożyteczne twory wszelkiego rodzaju i kalibru, wędrowały w przestrzeni na początku powoli i dostojnie, a przy tym zawsze w tej samej cechującej ich lokalizację wysokości, aby w pobliżu kas wykonywać jakieś nagłe skoki i harce nie dające się wytłumaczyć przy pomocy najtęższych fizycznych praw. Część przybywających genitonów po gwałtownym ruchu, który mógł być skutkiem działania jakiegoś potężnego pola, nieruchomiała wśród innych, które ugrzęzły w tym niewidzialnym polu już dawno i tworzyły razem duże, rozbudowane na wszystkie strony kolonie. Z niektórych odnóg tych skupisk odrywały się wówczas genitony drobne i wędrując śladami tamtych, przed chwilą przybyłych, zajmowały błyskawicznie ich poprzednie miejsca, a następnie odpływały w przestrzeń po torach bardziej już regularnych.

Pewnego razu profesor podziwiając to jedyne w swoim rodzaju niezwykle zjawisko, postanowił zaryzykować i zapamiętawszy lokalizację jednego z takich skupisk zbliżył się do niego z wyciągniętą dłonią. Ledwie jednak zdążył wymacać klawiaturę maszyny do liczenia i po omacku usunął trochę niżej swoją wyprostowaną dłoń, został porażony bolesnym uderzeniem. Ten nagły i piekący ból dłoni — poprzez błyskawiczne skojarzenie — wyłowił z jego bogatej pamięci

jeden od razu właściwy motyw pewnej bardzo odległej w czasie sceny, kiedy to jeszcze w pierwszej klasie, jego nauczycielka próbowała przy pomocy uderzenia linijką po dłoni wybić mu z dziecięcej wyobraźni mylną odpowiedź: „sto dwadzieścia osiem” na pytanie: „ile jest dwa razy trzy?” Będąc doskonałym psychologiem i znawcą najsubtelniejszych nastrojów duchowych, profesor Hen uznał, że to właśnie wspomnienie tamtego przywołanego po latach przykrego incydentu wywołało w nim potrzebę szybkiego pojmowania i utwierdziło go w postanowieniu zaniechania dalszych prób bezpośredniego zetknięcia się z genitonami.

Ogólna teoria genitonów jest grubym, bo liczącym sześćset dwadzieścia stron druku tomem i zawiera wielką liczbę cennych sformułowań w rodzaju: genitony związane osiedlają się na osobnikach płci obojga; nieprawdą jest, jakoby były one potrzebne do szczęścia, aczkolwiek ich posiadaczom szczęście jest już zupełnie niepotrzebne; należy je traktować jako dające się z łatwością rozrzucić na wszystkie strony, trudne do upilnowania, topniejące w temperaturze nagłej potrzeby; w czasie powstawania, a więc w dzieciństwie często bite; w wieku dojrzałym sztywne lub wiotkie, czasem przylepiające się do rąk, a przy tym nie cuchnące, obdarzone swoistą inteligencją fizyczne ciała obojętne na stan nienasycony, których najistotniejszą cechą jest ich ustawiczny brak.

Twierdzeń i określeń tego typu można znaleźć w tej bardzo drobiazgowej i obszernej pracy znacznie więcej. Nie będziemy ich tu jednak wszystkich przytaczać ani omawiać z uwagi na fakt, że nie chcemy z tej skromnej pracy — w której zawarte są nasze nie mające pretensji do wyczerpania całego bogactwa teorii genitonów skromne uwagi — zrobić grubej książki, i poprzestając na kilku wymienionych już wyżej (dla przykładu) fizycznych i chemicznych właściwościach genitonów, bardziej zainteresowanych tą problematyką odsyłamy do źródła naszej inspiracji — do książki profesora Hena. Pragniemy również zapewnić wszystkich zainteresowanych w tej sprawie — choć to może wydać się zbędne — że uczony po zadośćuczynieniu wymaganiom strony teoretycznej problemu genitologicznego przeszedł wkrótce do strony praktycznej. Ostatni rozdział jego pracy poświęcony jest zbiorom centralnym.

Zbiory centralne, bo tak nazywa uczony niezwykle rozbudowane

kolonie genitonów osiedlonych w przestrzeni ograniczonej murami banków są tworam, których geneza sprawiła mu najwięcej kłopotu. Doszedł był do wniosku, że niezależnie od mechanizmów i praw obowiązujących w obrębie mechanizmu centralnego — sam fakt występowania takich olbrzymich skupisk niewykorzystanych i niszczących w bezruchu genitonów jest zjawiskiem wyjątkowo niepożądanym. Najbardziej bowiem niepokoił uczonego fakt nierównomiernego rozmieszczenia genitonów w przestrzeni. Zebrane i przeanalizowane fakty świadczyły jednoznacznie o wielkiej roli genitonów w kształtowaniu ludzkiego życia. Niezależnie od nieustalonego jeszcze ich pochodzenia, trudnej do określenia istoty ich bytu oraz jeszcze trudniejszych do sformułowania praw nimi rządzących, genitony są tworam bez wątpienia bardzo pożytecznymi. Tam bowiem, gdzie poprzednikiem był fakt ich pojawienia się, tam zaraz występował następnik w postaci wszystkiego tego, co jest ludziom potrzebne, a czego nie mogą znaleźć w swojej świadomości ani w swych biologicznych organizmach. Aby umożliwić ludziom nieustanny i dobroczynny z nimi kontakt należało rozprowadzić je równomiernie w przestrzeni poprzez likwidację nadmiernych zagęszczeń i rozprowadzić w obszarach przestrzeni dotkniętych ich niedomiarem. Zważywszy powyższe, profesor Hen zajął się problematyką zbiorów centralnych i postanowił raz na zawsze uporządkować to wszystko, co się uregulowania już dawno domagało.

W tym celu zdecydował się, aby (taką czy inną drogą) najpierw doprowadzić do sytuacji, w której wszystkie istniejące genitony będą skupione w jednym miejscu, a potem rozprowadzić je równomiernie w otaczającej przestrzeni. Pierwszą część zadania postanowił urzeczywistnić w swym gabinecie, który wydał mu się do tego celu dostatecznie obszerny. Do takiej decyzji skłoniła go konieczność prowadzenia bezpośredniej kontroli przy powstawaniu tego super gigantycznego zbioru centralnego a również fakt, że także i w jego gabinecie pojawiły się różne genitony, chociaż były to egzemplarze w niczym nie przypominające prawdziwych okazów. Doskonale zorientowany w twierdzeniach nauk ścisłych uczony zdawał sobie sprawę, że z punktu widzenia teorii prawdopodobieństwa jest rzeczą możliwą aby wszystkie zajmujące objętość pokoju wchodzące w skład

powietrza atomy znalazły się na ułamek sekundy w objętości, dajmy na to, pierwszej lepszej szklanki. Takie samo mniej więcej prawdopodobieństwo obowiązywać musi również w dziedzinie genitonów. Mogłoby się wszak zdarzyć — do odrzucenia takiej możliwości nie ma żadnych podstaw, że w wyniku chaotycznych ruchów wszystkie z istniejących genitonów przeszłyby kolejno przez gabinet profesora, a skoro to jest możliwe, możliwa, choć bardzo mało prawdopodobna, musi być i taka sytuacja, w której wszystkie przeszłyby przez gabinet w tym samym dokładnie czasie — czyli znalazłyby się tam równocześnie wszystkie razem. Jednak aby zaistniał taki wyjątkowy zbieg okoliczności — powiedział do siebie zafrasowanym tonem profesor Hen — musiałbym dysponować wiecznością i zapewne zużyć jej znaczną część, a na taką stratę czasu nie mogę sobie pozwolić. Zbyt niecierpliwy na to aby czekać, uczony zajął się poszukiwaniem formuły matematycznej, po wyrażeniu której wszystkie istniejące genitony musiałyby się zbiec w jego gabinecie. Niestety w czasie dziesięciu dni wytężonej pracy, podczas których wypisał spory kalamarz atramentu, formuły takiej nie udało mu się znaleźć. Goniąc już ostatkiem sił z powodu wyczerpania umysłowego nie zraził się jednak dotychczasowymi niepowodzeniami i udał się do sklepu w celu nabycia siatki na motyle. Przy jej pomocy zamierzał wyłapywać unoszące się w przestrzeni niesforne genitony i po obezwładnieniu ich i okiełznaniu w taki sposób, aby nie mogły go porazić jak wtedy w sklepie, magazynować u siebie w gabinecie.

Już na progu sklepu, z którego wyszedł po zaopatrzeniu się w mocną i gęstą siatkę z długim kijem i po założeniu swoich okularów usłyszał głos siedzącego tuż przy schodach, lamentującego na całą ulicę żebraka. Ujrzał, że od płynących majestatycznie wzdłuż chodnika niewielkich, bo ulicznych koloni genitonów, w chwilach kiedy przelatywały obok żebraka od czasu do czasu odrywały się genitony drobne i gwałtownie spadały w dół do miejsca w przestrzeni, w którym tkwiła zawieszona niewielka, ale wciąż rosnąca ich kolonia w postaci skupiny. Genitony spadając z wyższego potencjału na niższy, powodowały widocznie jakieś przyjemne podrażnienie czy łaskotanie przestrzeni wokół żebraka, bo z gardła jego wydobywało się mamrotanie zadowolenia. Każdemu upadkowi genitonu drobnego towarzyszyło krótkie, zaledwie dające się

usłyszeć mruknięcie. Natomiast upadkowi genitonu grubego, bo i takie się zdarzały, towarzyszyła replika bardzo długa i namiętna.

Na ten widok, profesor Hen błyskawicznym ruchem podsunął swoją trzymaną już w pogotowiu siatkę pod spadające genitony. Ponieważ przygotowany był na wszystko, nie zdziwił się kiedy prawie natychmiast poczuł potężne szarpnięcie kija. Zbliżywszy plecy do ściany domu i zaparłszy nogi i koniec kija w najdogodniejszej pozycji, jeszcze przez kilkanaście sekund zdołał utrzymać siatkę w położeniu najbardziej dogodnym, czyli na drodze spadających genitonów. W końcu jednak jakaś potężna siła, być może siła skupiona wokół dolnej koloni genitonów, które nagle zaczęły pulsować, odrzuciła go na znaczną odległość.

Jakież jednak było jego zdumienie, kiedy po przybyciu do gabinetu zamiast spodziewanych genitonów znalazł w siatce zaplątane tam, nie wiadomo w jaki sposób, pieniądze: jeden banknot i kilka drobnych monet. Oczywiście, pieniądze zaplątały mi się do siatki, kiedy włożyłem ją do kieszeni, natomiast genitony wymknęły się przez zbyt duże oczka — pomyślał profesor.

Na samym wstępie naszych wywodów zwróciliśmy uwagę zainteresowanych na bardzo niepokojący fakt dłuższego, bo trwającego już od początku września milczenia profesora Hena. W tym czasie, a więc już przez cztery miesiące, w żadnym ze znanych nam dzienników nie ukazała się ani jedna jego wypowiedź. Podobno uczony po wyczerpaniu wszystkich znanych sobie środków, przy pomocy których zamierzył spowodować skupienie się genitonów w jego gabinecie i po stwierdzeniu niemożności dokonania tegoż zaopatrzył się w silny ładunek wybuchowy i udał się z nim w kierunku jednego ze zbiorów centralnych w celu równomiernego rozproszenia w przestrzeni skupionych tam genitonów. W tym samym dniu, jeszcze przed opuszczeniem swego mieszkania mieszczącego się — jak już o tym była mowa — na dwudziestej dziewiątej kondygnacji wieżowca położonego przy ulicy Ściętej Tuberozy, trzymając już pod pachą paczki z dynamitem, uczony polecił swej gospodyni, aby ta zanotowała zanim zdąży zapomnieć, jakieś dwa męczące go we śnie podczas całej ubiegłej nocy słowa. W ten sposób upewniwszy się, że nie zapomni o nich w czasie czekającej go generalnej rozprawy z genitonami, miał do nich wrócić później i zastanowić się,

jakie może być ich ukryte znaczenie.

Byliśmy w gabinecie profesora i odczytaliśmy zapisane w pośpiechu, z braku innej nie znajdującej się w zasięgu ręki kartki — na banknocie, owe dwa tajemnicze wyrazy. Nawiasem mówiąc, mieliśmy z nimi już raz do czynienia, używając ich w naszym tekście w zupełnie innym niż tutaj znaczeniu. Na banknocie profesor Hen napisał: „Chodzi o pieniądze”.

Sonda

Den Zemiss, sekretarz Komisji do Badań Obiektów Niezidentyfikowanych — w skrócie K-BON i równocześnie profesor fizyki na uniwersytecie w Kanmex. czuł się bardzo źle. Tak złe samopoczucie może mieć tylko człowiek, który ma wyjaśnić fakty, o których w istocie nie ma nic do powiedzenia.

Zdecydowanym krokiem przeszedł przez salę i stanął za mównicą. Obrzucił wzrokiem salę, w której zgromadzili się członkowie mieszanej komisji K-BON i Rady Bezpieczeństwa.

— Pozwolicie panowie, — zaczął — że przedstawię dostępne nam fakty w chronologicznej ich kolejności. — Zajrzał w notatki i zaczął czytać:

— Dnia dwunastego sem, ubiegłego roku, biuro K-BON otrzymało list od anonimowego korespondenta, następującej treści:

„Dnia dziewiątego bieżącego miesiąca o godzinie trzeciej w nocy, jadąc samochodem z Melozy do Sechej znalazłem się w bezludnej części prowincji Semola-bi. Skotlowana chmura kurzu przesunęła się nad jezdnię uniemożliwiając mi dalszą jazdę. Zatrzymałem samochód w miejscu odległym o 142 kilometry na zachód od Melozy (odległość oceniam według licznika). Zaniepokojony dalekim grzmotem, który dobiegł do mnie z południa, spojrzałem w tamtym kierunku i próbowałem rozpoznać jego przyczynę. Noc była bardzo pogodna, na niebie świeciły gwiazdy i księżyc. Najpierw niczego nie zauważyłem. Widok zasłaniały mi przesuwane się tuż nad ziemią gęste tumany pyłu, ale kiedy wreszcie ustąpiły, ukazał mi się wyraźnie zarysowany ciemny obiekt o kształcie trójkąta. Był otoczony jasną poświatą i jedynie tej okoliczności zawdzięczam, że w ogóle mogłem go widzieć. Obserwowałem go prawie w ciągu trzech minut, toteż miałem czas dokładnie mu się przyjrzeć. Starłem się śledzić go z najbardziej wyteżoną uwagą. Księżyc był w ostatniej kwadrze i świecił od strony południowo-zachodniej. Zauważyłem, że w krótkich odstępach czasu obiekt zatrzymywał się tuż nad wierzchołkami drzew. Wtedy ze środka

jego podstawy wypadła na dół oślepiająco biała półkula. Wpadała, niknęła wśród drzew i natychmiast wracała. Cykl ten powtórzył się bodajże sześć razy. Za każdym razem towarzyszył mu ledwie odczuwalny wstrząs ziemi. Wstrząsy docierały do mnie w ślad za błyskami spadających półkul z nieznacznym tylko opóźnieniem. W pewnym momencie obiekt jakby załamał się i pochylił.

W jego miejsce ukazało się podobnie wielkie pomarańczowe koło.

Rozumiejąc niepowtarzalność zjawiska zastanawiałem się gorączkowo nad możliwie najdokładniejszym sposobem ustalenia jego miejsca. Przy drodze stoi złamane w połowie wysokości drzewo. Czym był ten obiekt — nie wiem. Zarejestrowałam zjawisko, niczego nie zmyśliłem — reszta do mnie nie należy. Nie zamierzam tą drogą uzyskać rozgłosu. Dla potwierdzenia powyższego postanowiłem nie podawać swego nazwiska i adresu”.

Zemiss skończył czytać.

— Panie sekretarzu, — padło pytanie — proszę mi wytłumaczyć, dlaczego ten list został zlekceważony przez K-BON?

Zernis spojrział na mężczyznę, który zadał pytanie, a był nim sam przewodniczący Rady Bezpieczeństwa, Dykster.

— W czasie mej długoletniej pracy w K-BON miałem okazję zapoznać się z setkami tego rodzaju opisów, toteż list nie wywołał u mnie sensacji. Zdobyte dzięki drobiazgowej analizie sprawozdań doświadczenie mówiło mi, że najłatwiej jest zdemaskować opisy zawierające wiele danych, a więc szczegółowe. Bardzo często powodowani pragnieniem rozgłosu nieuczciwi sprawozdawcy wymyslali najbardziej nieprawdopodobne historie i gubili się w szczegółach. Autor listu może wydać się uważnym obserwatorem, stwierdza wyraźnie, że znajdujący się w ostatniej kwadrze księżyc świecił z południowego zachodu.

Tymczasem było to niemożliwe z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, o godzinie trzeciej w nocy księżyc w ostatniej kwadrze powinien się znajdować na południowym wschodzie. Po wtóre, nie mógł być w ogóle widziany z tego powodu, że na wymieniony dzień i godzinę przypadał nów — a więc noc była bezksiężycowa. Na podstawie tych danych stwierdziłem, że relacje świadka nie są wiarygodne.

O liście przypomniałem sobie w wiele miesięcy później, to znaczy w

czasie, gdy biuro K-BON zostało zaalarmowane niezwykłym zdarzeniem opisanym przez jednego z dziesięcioosobowej grupy koczujących w prowincji Semola-bi turystów. Korespondent nie próbował zaobserwowanemu obiektowi przypisać pozaziemskiego pochodzenia — przeciwnie, ufny w potęgę nauki uznał, że zdarzenie miało naturalny, ziemski charakter. Nie zdawał sobie sprawy z wagi dokonanego przez siebie odkrycia.

...Rankiem — relacjonował w swym sprawozdaniu — wyszedłem z namiotu i udałem się w stronę znajdującego się nieopodal jeziora. Ledwie przeszedłem kilka kroków, gdy nagle zauważyłem wynurzający się z kępy drzew dziwny poduszkowiec. Ukazał mi się na krótko i zaraz skrył się za drzewami. Zatrzymałem się zdziwiony tym widokiem. Z ruchu gałęzi drzew, pod którymi leciał, wywnioskowałem, że pojazd zmierza w stronę rozbitego przez nas poprzedniego dnia obozu. Wróciłem szybko, aby obudzić swych towarzyszy. Przez kilka minut przyglądaliśmy się mu wszyscy razem. Właśnie wyłonił się z nad jeziornych zarośli i wleciał nad piaszczystą polanę. Poruszał się dość wolno. Miał najwyżej dwa metry długości, a jego korpus przypominał spłaszczony cylinder. Niebawem zbliżył się do nas na odległość kilkudziesięciu metrów. Poruszał się z szybkością idącego spacerowym krokiem piechura, ale zdecydowanie po linii prostej.

Początkowo jego pojawienie się nie wywołało wśród nas niepokoju, raczej zaciekawienie. Sądziliśmy, że mamy do czynienia ze zdalnie kierowanym automatem, który został wysłany z jakiejś znajdującej się w pobliżu stacji doświadczalnej. Nasze przypuszczenia zdawał się potwierdzać wydobywający się z niego w równych odstępach czasu donośny sygnał, jak gdyby ostrzegawczy. Oczekaliśmy aż zbliżył się na odległość kilkunastu metrów i dopiero wtedy rzuciliśmy się na ratunek ustawianych na trasie jego przelotu namiotów. Mimo niewielkich rozmiarów pojazd musiał mieć dużą moc silników. Świadczyły o tym tumany kurzu i piasku, które pozostawiał po swym przelocie. Nasze namioty razem ze znajdującym się w nich sprzętem zostałyby bez wątpienia zniszczone. Lecz nim doleciał do pierwszego z nich zmienił kierunek. Na chwilę znieruchomiał, a potem poleciał w kierunku południowym, jednak już z większą szybkością...

W dalszej części sprawozdania turysta wyraża swe przypuszczenia.

Był przekonany, że znajdujący się być może w pobliżu naukowcy wykorzystali bezludną część prowincji Semola-bi do przeprowadzania swych zagadkowych eksperymentów. Oczywiście, natychmiast te sugestie sprawdziliśmy. Jego obawy okazały się nieuzasadnione. Na terenie prowincji Semola-bi żadna z placówek naukowo-badawczych nie realizowała w tym czasie swych doświadczeń. Zaintrygowani realnością opisu wydarzenia — widzianego jednocześnie przez grupę ludzi a więc poddającego się badaniom, K-BON niezwłocznie wysłało jeszcze tego samego dnia sześciuosobową grupę fizyków wraz z moją osobą.

Wsiedliśmy do odlatującego w kierunku Melozy samolotu, gdzie przybyliśmy wieczorem. Stąd samochodami pojechaliśmy drogą wiodącą do Sechej. Na 142 kilometrze zauważyliśmy stojące przy drodze, na wprost przełamane drzewo. Z tego miejsca anonimowy korespondent z pierwszego listu obserwował unoszący się nad wierzchołkami drzew zagadkowy obiekt. Zdecydowaliśmy zatrzymać się dziewięć kilometrów dalej nad brzegiem wymienionego w liście turysty jeziora. Gdy dojechaliśmy na miejsce, zmęczenie nie powstrzymało nas od przeprowadzenia wstępnych wywiadów. Stwierdziliśmy, że tajemniczy pojazd został opisany przez badaną grupę w identyczny sposób. Rano dnia następnego rozpoczęliśmy systematyczną lustrację terenu. Dwaj przedstawiciele K-BON pozostali przy turystach, reszta wraz ze mną miała za zadanie ustalić miejsce, z którego poduszkowiec przybył. Należało pójść śladem jego lotu, który w wielu miejscach był bardzo wyraźny i przekonać się dokąd on prowadzi. Ślad przelotu na tle wrzosowisk, mchu, czy też pożółkłej trawy był słabo widoczny. Jego drogę znaczyły lepiej bruzdy w miejscach nie porośniętych roślinami.

Najpierw ślad wiódł wzdłuż porośniętej kępami drzew, miejscami piaszczystej i nagiej, a miejscami pokrytej niezbyt gęstymi zaroślami, ciągnącej się na wschód równiny. Po przebyciu około trzech kilometrów stwierdziliśmy, że dalsze posuwanie się wzdłuż pozostawionych przez poduszkowiec bruzd, przynajmniej na razie, jest bezcelowe. Ślad skręcał gwałtownie na południe i falistą linią wracał z powrotem na miejsca, które przed paroma minutami opuściliśmy. Odtąd ślady czasami łagodnymi kilkusetmetrowymi skretami, a czasem gwałtownymi zygzakami prowadziły raz tu, to znowu tam. Wiły się między drzewami chaotycznie i nieregularnie, jak gdyby pojazd poruszał się bez Żadnego z

góry ustalonego planu. Aby nie stracić orientacji w terenie postanowiliśmy pozostawić zagmatwany ślad. Omijając kilkusetmetrowe pole harców, skierowaliśmy się prosto na wschód.

Po godzinnym marszu ujrzelśmy stojący wśród drzew statek, który swym kształtem przypominał stożek. Wysokością sięgał ponad wierzchołki otaczających go najwyższych sosen. Jego podstawa nie spoczywała bezpośrednio na skalnym w tym miejscu podłożu, lecz wspierała się na sześciu potężnych wspornikach, które utrzymywały ją na wysokości prawie dwóch metrów nad ziemią. Obeszliśmy statek wokół. Na jego szarej, doskonale gładkiej powierzchni z początku nie dostrzegliśmy żadnej pozwalającej się domyślić szczelnie dopasowanego włazu szczeliny — przy dokładnym badaniu okazało się, że właz istnieje. Drzewa wokół polany były nienaruszone.

Jedni z nas uważali, że niezwłocznie należy podejść pod statek i zbadać, co ukrywają rozpoczynające się tuż za wspornikami ciemności, inni — i ja do nich należałem — radzili, aby odłożyć badania do czasu sprowadzenia stosownej aparatury. Wezwaliśmy helikopter. Zapoznany z odkryciem pilot śmigłowca zatoczył kilka wielkich kręgów zanim wylądował przekonawszy się, że w promieniu kilkunastu kilometrów nie znajduje się nic godnego uwagi. Wówczas mimo utrzymujących się nadal różnych zdań, zdecydowaliśmy się zbliżyć do krawędzi statku, a potem poszliśmy nieco dalej w głąb gęstniejącej z niewiadomych przyczyn ciemności. Tu niezrozumiała dotąd niewiadoma spotęgowała się jeszcze bardziej. Pośrodku znajdującej się ponad naszymi głowami o średnicy czterdziestu metrów podstawy statku, widniał zarys wielkiego okrągłego otworu o średnicy dwudziestu metrów. Dokładnie pod nim widoczna była słabo oświetlona krawędź prowadzącej w głąb skały studni. Jak wykazały późniejsze pomiary obydwie znajdujące się naprzeciw siebie otwory miały identyczną średnicę.

W jasnym świetle sprowadzonych reflektorów okazało się, że studnia ma głębokość trzydziestu metrów. Zajęliśmy się badaniem górnego otworu. Zaden, nawet najpotężniejszy strumień światła nie był w stanie rozjaśnić panujących wewnątrz niego ciemności. Wyglądało na to, że nieprzenikniony krąg jest czymś, co pochłania wszystkie padające nań promienie, by stać się plamą doskonałej czerni. Wznosząca się ku rzekomemu otworowi silnie oświetlona ręka stojącego na rusztowaniu

fizyka natrafiła na niespodziewany opór: zatrzymała się w miejscu, w którym wzrok niczego nie widział. Dotyk informował o istnieniu zdecydowanej przeszkody, jakiejś gładkiej i twardej powierzchni — zmysł wzroku temu przeczył.

Rozgorzał spór na temat istoty zaobserwowanego zjawiska. Część z nas broniła przyjętej na wstępie hipotezy, według której przeszkoda miała być doskonale czarna, dzięki czemu pochłaniała wszystkie, bez wyjątku, padające na nią promienie. Inni upierali się przy odmiennej koncepcji.

Po zmianie metod badawczych i zastosowaniu aparatów daleko bardziej niezawodnych niż mało precyzyjna ręka i oko, dotychczasowe hipotezy okazały się błędne. Prawdziwa okazała się trzecia, nie brana dotąd pod uwagę możliwość. Niewidoczna przeszkoda odbijała całe padające na nią światło, jednakże długość fal wysyłanych przez oświetlający ją reflektor po odbiciu wzrastała tak znacznie, że daleko wychodziła poza zakres promieni widzialnych. Nasze przypuszczenie potwierdziło się, gdy czarną otchłań niezwyklej przeszkody oświetlono miotaczem promieni gamma. Odpowiednio dobrana wiązka tych promieni, w normalnych warunkach zabójczych i niewidzialnych, po odbiciu nabierała zwykłych cech nieszkodliwego światła widzialnego. W jej blasku naszym oczom ukazała się zawieszona w górze cienka płyta, która tym razem zachowała się jak lekko deformujące lustro. Trzeba jednak było zachować pewien niebezpieczny dla żywego organizmu warunek. Obraz przedmiotu mógł być dostrzeżony dopiero wówczas, gdy sam przedmiot był oświetlony promieniami gamma. Na tym spostrzeżeniu byliśmy zmuszeni przerwać obserwację.

Zorganizowaliśmy naradę całego K-BON, aby zastanowić się nad dalszym działaniem. Po naradzie powróciliśmy do pozostawionego statku, a raczej do najbardziej zagadkowej jego części, do niewidzialnej w blasku normalnego światła płyty. W miarę dalszego jej badania, odkrywano coraz to nowe niezwykle jej właściwości. Z uwagi na stosunkowo niewielką objętość płyty, jedną z najbardziej nieprawdopodobnych jej cech była olbrzymia masa. Co więcej, płyta obracała się powoli wokół swej osi, dokonując jednego pełnego obrotu w czasie dwiętnastu godzin. Już dawno zastanawiał nas brak jakiegokolwiek śladu po wydobytej z wnętrza dołu ziemi. Ziemia o

objętości z górą dziewięciu tysięcy metrów sześciennych nie mogła zniknąć, a przecież zniknęła.

Aby się przekonać, czy z wnętrza statku nie napływają jakieś odgłosy, utrzymywaliśmy bezustannie nasłuch. W czasie kilku następnych dni przyrządy nie zarejestrowały żadnych wydobywających się ze środka dźwięków, drgań pancerza ani modulowanych fal elektromagnetycznych. Zniecierpliwiona zbyt powolnym postępem badań K-BON, upoważniła nas do użycia wszelkich dostępnych technicznie środków, które pozwalałyby na ostateczne rozpoznanie charakteru obiektu. Z braku innego, mniej drastycznego sposobu na przedostanie się w głąb statku, postanowiliśmy wyciąć otwór w jego pancerzu. Tą drogą można by było zbadać wreszcie, co zawiera jego wnętrze, o którym dotychczas nie dowiedzieliśmy się niczego.

Jeżeli statek jest automatyczną stacją badawczą bez załogi — rozumowano — możliwość istnienia żywych i myślących organizmów w jego wnętrzu należy wykluczyć. Założono, że statek uległ zapewne jakiemuś poważnemu uszkodzeniu i nigdy już nie powróci na planetę macierzystą.

Tymczasem nasze nadzieje związane z rychłym poznaniem takiej czy innej, ale zawsze prawdy, rozwiały się już w pierwszym dniu próby wycięcia otworu. Wiertła i diamentowe tarcze tnące, które w zwykłą, nawet hartowaną stal, wrzynały się niczym nóż w masło, stały się tutaj zupełnie bezradne. Na powierzchni pancerza zdolne były zaznaczyć jedynie nieznaczne punkty i rysy, na płycie zaś, nawet tego uzyskać nie były w stanie.

Następne dni i tygodnie nic nie wniosły do sprawy, zapanowało powszechne zniechęcenie. Jedyne garstka najbardziej wytrwałych kolegów miała jeszcze; nadzieję uzyskać odpowiedź na dręczące ich pytania.

Tu relację Zemissa przerwał Dykster, zadając następne pytanie:

— Dlaczego nie szukaliście poduszki?

— Był to z naszej strony błąd — odpowiedział Zemiss. — Po odkryciu statku zajęliśmy się wyłącznie jego badaniem. Następnej nocy spadł ulewny deszcz, który zatarł wszelkie ślady przelotu pojazdu. Nie byliśmy w stanie go znaleźć.

— Jakie wnioski wyciągnęło K-BON z zaistniałej sytuacji? — zadał

następne pytanie Dykster.

— Według naszej wspólnej opinii statek jest sondą pochodzenia pozaziemskiego. Inne dane pozwalają oszacować czas jego obecności na terenie prowincji Semola-bi na około piętnaście miesięcy. Jesteśmy zdania, że jeżeli ludzie wysyłają w przestrzeń kosmiczną automatyczne stacje badawcze, to czemu tego samego nie miałyby robić nieznane nam rozumne istoty z innych planet? Zebrane fakty i badania upoważniają mnie do tego, co poprzednio zreferowałem; nie jest tego wiele. Obecnie badania są w impasie — brak nam pomysłu na to, co możemy dalej zrobić. Wynika to z wyczerpania środków technicznych, które mogliśmy zastosować.

— Czyli wiecie już, że nic nie wiecie! — podsumował wywody Zemissa Dykster.

— Tak, niestety muszę przyznać, że wiemy niewiele. Takie są fakty, ale na naszą obronę przypomnę, że zadaniem uczonego jest możliwie precyzyjna identyfikacja, rozpoznanie i wnikliwa ocena zaobserwowanych faktów. Naszym zadaniem jest badać, stwierdzić wolne od subiektywnych, często zbyt pochopnych sądów fakty, a potem dopiero wnioskować, wydawać opinie lub formułować hipotezy. Faktów było niewiele — nie możemy dostać się do wnętrza statku. Niestety, nie jesteśmy wszechmocni. Przeprowadziliśmy najbardziej precyzyjną identyfikację, rozpoznanie i wnikliwą ocenę dostępnych nam faktów. Nie jesteśmy w stanie nic więcej zrobić! Wszyscy rozumiemy, że jest wiele pytań. Niemożność udzielania jasnych i przekonujących odpowiedzi na te pytania jest równie oczywista, jak konieczność niezwłocznego ich uzyskania.

Mężczyźni siedzieli jeden naprzeciw drugiego. Jeden mówił, drugi udawał, że słucha. Doktor Adon wtrącał od czasu do czasu jakieś słówko, tak dla formy, aby zachować pozory. Czasem były to zasadnicze pytania w rodzaju: „Co? Gdzie? Kiedy?“, to znowu wyrazy zdziwienia: „Niesłychane! To niemożliwe!“, albo dla odmiany okrzyki niedowierzania: „Pan żartuje sobie ze mnie! Nie rozumiem!“.

Rzucał to i ziewał; tak naprawdę, to nie miał ochoty rozumieć. Ale czy w ogóle można kogoś zrozumieć — myślał.

— Może pójdzie pan do psychiatry? — zaproponował w końcu.

— Ależ panie doktorze, jestem w pełni władz umysłowych. To wszystko przeraża mnie w równym stopniu, jak pana może dziwić.

— Dziwić, nie dziwić — Adon próbował opanować ogarniające go rozdrażnienie. — Wszyscy tu usiłują mnie zadziwić. Przywykłem już do tego.

Pacjent poruszył się niecierpliwie.

— Pan nie wierzy w to wszystko?

— Usiłuję. Oczywiście nie kwestionuję samego faktu, ale interpretacja... Pan dokomponował takie ramki...

Mężczyzna zza biurka chciał coś powiedzieć, doktor machnął ręką.

— Rozważmy to — rzekł z namysłem — Kiedy i w jakich okolicznościach usłyszał pan po raz pierwszy te... no te gwizdy, jak je pan nazywa. A w ogóle, co to takiego było? Dzwoniło panu w uszach, czy jak?

— Nonsens! Pan, widzę, w dalszym ciągu traktuje mnie niepoważnie. Wszystko zaczęło się o szesnastej wczoraj. Zdrzemnąłem się po obiedzie, słyszałem je, bodaj jeszcze we śnie... Tak, teraz przypomniałem sobie — to właśnie one mnie obudziły. Leżałem przez chwilę w bezruchu i nie mogłem się nadziwić, co się ze mną dzieje. To tak, jak gdyby ktoś kręcił gałką aparatu radiowego: natężenie ich malało, to znów rośło — sądziłem, że ktoś manipuluje gałkami odbiornika...

A czy przypadkiem... — Adon pochylił się nad biurkiem — nie były to syreny semakatorów?

Pacjent nie spieszył się.

— Wykluczone! — powiedział stanowczo — Zatykałem uszy, zwracałem głowę w różne strony, a przecież nieodmiennie słyszałem to samo. Zresztą bardzo szybko zorientowałem się, że dźwięk nie pochodzi z zewnątrz.

Adon pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Dźwięki miały źródło w panu samym i tylko od pana zależało aby zanikły, czy tak?

Mężczyzna zastanawiał się, czy to pytanie ma traktować jako nową kpinę.

— Czy ja wiem? — odpowiedział wolno. — W pewnym sensie tak. W każdym razie zmysł słuchu nie brał w tym żadnego udziału. Trudno mi opisać, co się ze mną działo. Czułem się potwornie. Ale najdziwniejsze miało dopiero nastąpić. Po pewnym czasie uświadomiłem sobie

wyraźnie, że prosta przebijająca płaszczyznę jest nachylona pod niewłaściwym kątem...

— Prosta? — Tak pan powiedział.

— Słyszał pan przecież.

— A czy pan przypadkiem nie majaczy?

Mężczyzna skurczył się, jak gdyby zamierzał wybuchnąć.

— No więc jak? — syknął przez zęby. — W dalszym ciągu zamierza pan robić ze mnie durnia?

— Bardzo przepraszam. Ale wie pan, to wszystko takie niejasne. Czy nie może pan opisać całego zdarzenia po prostu?

— Mogę i właśnie to robię!

— Więc co znowu z tą prostą?

— Proszę pana. Wiedziałem... musiałem... to jest chciałem powiedzieć — wiadomo mi było, że powinna przechodzić przez widoczny punkt prostopadle do płaszczyzny.

— A na co to panu?

— To pan nie wie? — zdziwił się mężczyzna.

— A co takiego miałbym wiedzieć?

Pacjent przed chwilę ważył coś w myślach, jak gdyby szukał odpowiedniego słowa, lecz widocznie uznał ostatnie pytanie za pozbawione sensu, bo opowiadał dalej:

— Kiedy tylko zdałem sobie sprawę z tej nieprawidłowości natychmiast skupiłem całą uwagę, wyteżyłem wszystkie siły psychiczne jakimi dysponowałem i naprowadziłem ją na właściwe miejsce.

— Wyśmienicie! A można wiedzieć, co pan naprowadził, przepraszam, jeśli znów uraziłem.

— Prostą, o której mówię cały czas.

— Ach tak! No... oczywiście, teraz rozumiem — doktor przestał się już irytować. Wszystko było dla niego jasne. — Co dalej? — Zapytał niedbale.

— Wówczas... pan mi wybaczy moje wzruszenie. To było dla mnie wielkie przeżycie. Pan mi nie uwierzy — ja wiem — ale mniejsza o to... Więc wtedy ogromny ciężar spadł mi z serca — ulga ta nie wiem do czego da się porównać. Gwizd zamarł. Czułem się tak, jak gdybym właśnie przed chwilą jakimś cudem uniknął kary śmierci, spłynęło ze mnie przeogromne i rozkoszne odprężenie. Nie na długo jednak, bo już

jakieś piętnaście minut potem usłyszałem je znowu. Nadbiegały nie wiadomo skąd, może leżały się w moim mózgu — nie wiem — najpierw słabe, monotonne i niskie wzbierały wolno, potem gwałtownie narosły mi pod czaszką niepojętym lękiem i przelały się przez siebie coraz bardziej ostre i wysokie, aż wreszcie wzbily się w jedno przeraźliwe wycie. Myślałem, że oszaleję. W momencie kulminacyjnym wiedziałem już tylko jedno: krawędź olbrzymiego, sięgającego kilkaset metrów w górę prostopadłościanu ma być dostawiona do prostopadłej prostej. Uzmysłowiłem sobie nawet, i to dość dokładnie, gdzie ta krawędź ma przebiegać. Wypadało to gdzieś między tapczanem a stołem. Oczywiście w pokoju moim mieścił się tylko drobny fragment całości. Zadanie to, jak sądziłem w pierwszej chwili, ponad moje siły, udało mi się wykonać bez nadzwyczajnego wysiłku. Nie będę zanudzał pana opisem tej pracy — i tak nie uwierzy mi pan. Powiem tylko, że gwizdy ucichły natychmiast i to dokładnie w tym momencie, kiedy krawędź i prosta pokryły się ze sobą. To było niepojęte! Zadawałem sobie pytanie: „Co się ze mną dzieje?”. Próbowałem skupić myśli, lecz każda, która mi przychodziła do głowy rozpływała się zaraz w ogarniającym mnie nieskończenie błogim odprężeniu. Wtedy drżąc na całym ciele ubrałem się niezręcznie i choć nie było potrzeby śpieszyć się — bo dokąd? — wybiegłem z domu. Przebiegłem jeszcze kilka kroków i naraz, zupełnie niespodziewanie poczułem się normalnie. Przez kilkanaście minut bałem się powrócić do domu, jednak kiedy wreszcie wróciłem — nic się nie stało.

Pacjent umilkł, Adon niecierpliwie spojrział na zegarek. Była godzina dziewiąta piętnaście, teraz stwierdził to machinalnie i raczej po to tylko, aby dać pacjentowi do zrozumienia, jak bardzo ceni swój czas — potem, gdy wypadki przybrały niespodziewany obrót, odruch ten okazał się bardzo cenny. Na moment opanowały go refleksje na temat mnogości form ludzkich urojeń, lecz zaraz otrząsnął się: nie miał dziś ochoty analizować tego problemu.

— Miał pan bardzo niesamowitą przygodę — powiedział bez przekonania. — Niestety, w niczym nie mogę panu pomóc. Oto adres mojego znajomego, być może on panu coś poradzi.

Powiedział to i wstał dając tym sygnał zakończenia wizyty.

Tego samego dnia kolbiter Zegna siedząc w kabinie przedziału

sterowniczego sprawdzał główne obwody autosemakatora. Był wściekły. Wszedł tu na chwilę bez żadnych potrzebnych przyrządów i po to tylko, aby dopełnić czczej formalności — tymczasem stwierdził ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że natężenie głównego pola zmalało niemal do zera. Już od dłuższego czasu szukał bezskutecznie skrzynki z awaryjnymi migami, a kiedy ją wreszcie znalazł okazało się, że migi są zdekompletowane. Bez trudu domyślił się, czyja to sprawka. Jego koleżanki ulegając szalowi ostatniej mody powykręcały złocone zaczepy, aby przy ich pomocy podkreślić swą urodę. Dziwnym zbiegiem okoliczności zaczepy po małej przeróbce nadawały się do spinania włosów. Zegna wyczerpał już asortyment znanych sobie przekleństw i z zapałem wymyślał nowe.

Jednocześnie zainstalowany tu dla wygody kolbiterów kontaktodolog, ani na chwilę nie dawał mu spokoju, Ewa już dwukrotnie przypominała mu o upływającym czasie.

— Masz jeszcze dziesięć minut — powiedziała bezbarwnym głosem. — Potem szukaj mnie na zerowej kondygnacji w „Srebrnej tubie”.

Profesor Lamara również odezwał się nie w porę:

— Zegna, chłopcze promienny, wyparowałeś, czy co? Szukam cię po całym mieście. Chciałem ci powiedzieć, że ten twój wczorajszy nieszczęsny pomysł racjonalizatorski dotyczący autosemakatora doprowadzi nas wkrótce do ruiny. W ciągu godziny miałem już trzydzieści reklamacji! Albo zrobisz coś z tym...

Zegna chwycił za przewód i wyrwał go z głośnika. Miał ochotę kopnąć w mrugającą czerwonym światłem diodę ostrzegawczą. Wszystkie wskaźniki informowały go o awarii. Po pewnym czasie uspokoił się. Uniósł spoconą twarz z nad pulpitu sterowniczego i spojrział w kierunku skrzyżowania Szesnastej Autobieżni z Pomarańczową. Wszystko było w porządku: satelita RS-S przekroczył już minimum i na tle błękitnego nieba tkwił odchyłony o dwadzieścia stopni od głównej prowadzącej.

Zegna spróbował skupić myśli.

— Co jest do licha? — szepnął przez zaciśnięte zęby — pole osiada już od godziny, chociaż automat sterujący pracuje na pełnym biegu. A może sprawdzić reoginatory? Sprawdzić? Ale czym? Musiałby wrócić na stację, zabrać odpowiedni sprzęt. W ten sposób cały tak świetnie

zapowiadający się wieczór brali diabli.

— Nie — mruknął. — Niech to...

Spojrzał na poplamione rękawy koszuli i zdecydował się. Raz jeszcze obejrzał się za siebie, ale tylko po to, by splunąć na mrugający wściekle sygnał awaryjny.

Na chodniku opanowały go wątpliwości. Już miał przejść przez autobieżnię, kiedy zauważył, że niektórzy z przechodniów zatrzymują się i patrzą ciekawie w kierunku podstacji. W pierwszej chwili nie spostrzegł tam nic ciekawego, ale zaraz uwagę jego zwróciła pewna kobieta. Jej zachowanie wydało mu się dziwne.

— To jakaś umysłowo chora — powiedział do niego jeden z gapiów. — Obserwuję ją od kilku minut. Cały czas obchodzi podstację, jak gdyby uległa działaniu pola.

Naraz kobieta zmieniła kierunek i przeszła tuż obok nich. Zegna dostrzegł w jej szeroko otwartych oczach jakieś szalone skupienie. Nie wiedział czemu zrobiło się mu bardzo głupio. Szła przez jakiś czas prosto, następnie skierowała się w poprzek autobieżni, a po dotarciu do przeciwległego chodnika, zawróciła. W ruchach jej wyczuwało się coś nienaturalnego. Zegna nie mógł oderwać oczu od jej twarzy: policzki kredowo blade, usta rozchylone smutnym uśmiechem. Zawracała jeszcze kilkakrotnie — nikt z obecnych nie śmiał przerwać tej, jak się wszystkim wydawało, ekstazy — aż wreszcie poszła prosto w kierunku podstacji. Tu podbiegła kawałek, potknęła się i upadła. Podbiegł do niej pierwszy — natychmiast otoczył ich zwarty wianuszek gapiów. Kiedy podał jej rękę, pochwyciła ją kurczowo i zaraz wstała: widocznie upadek nie był groźny.

— Wezwać medeks? — zapytał.

— Nie! Dziękuję, nie potrzeba.

— Co pani jest? — odezwała się stojąca w pobliżu babcia z zatroskaną miną.

Nie odpowiedziała. Stała ciężko dysząc, a ludzie tłoczyli się coraz bardziej. Zegna pomyślał, że w ostatnich czasach byle drobiazg, najbardziej niepozorny wypadek na ulicy potrafi wzbudzić powszechne zainteresowanie. zaproponował aby odeszli gdzieś na bok. Zgodziła się skinieniem głowy. Dostrzegł w niej raptowną zmianę: policzki jej nabrały rumieńców, oczy jeszcze niedawno nieprzytomne, pałające na przemian

raz panicznym lękiem, to znowu jakimś niepojętym zachwytem, nabrały teraz normalnego blasku. Uznał je za nie mniej interesujące niż przed chwilą — chociaż już nie paraliżowały jego woli. Szli wolno wzdłuż Pomarańczowej. Nie bardzo wiedział jak ma postąpić, co powinien zrobić by jej pomóc, milczał więc i czekał aż ona przemówi pierwsza.

— Już wszystko w porządku — powiedziała wreszcie — To było... — najwidoczniej szukała odpowiedniego słowa. — Ale teraz czuję się już normalnie. Bardzo panu dziękuję.

Chciała odejść. Zatrzymał ją.

— Tak nie można — powiedział z naganą — Pani się skaleczyła... o tu krew.

— To głupstwo! Nic mi nie jest.

— Proszę poczekać, tylko jedną chwilę. Przyniosę opatrunek.

Pobiegł w kierunku podstacji i wrócił po minucie. Był równie zaskoczony, co zachwycony.

— Coś podobnego! — krzyknął już z odległości kilkunastu kroków. — Autosemakator funkcjonuje bez zarzutu. Zaden kolbiter nie uwierzy mi, gdy opowiem. Oczywiście ta bestia miała ochotę zastrajkować, a teraz wyregulowała się sama i nadrabia straty.

Mówił coraz bardziej gorączkowo chcąc tym pokryć wzrastające zdenerwowanie. W gruncie rzeczy nie wierzył w to, by automat zdołał sam uruchomić stację znajdującą się w takim stanie. Naraz uchwycił jej rozbiegane spojrzenie.

— Czy pan mnie obserwował? — zapytała.

Nie zrozumiał co miała na myśli. Nim zdążył odpowiedzieć dodała:

— Ja chyba oszalałam. Pan wszystko widział, czy tak?

— O, proszę nie przesadzać — Zegna przybrał minę pocieszyciela. — Ot, po prostu małe roztargnienie. Ja też robię czasem takie głupstwa. Proszę podać rękę, założymy opatrunek.

— Pan też przeżył coś podobnego? — zainteresowała się.

— Oczywiście, no, nie były to dolegliwości identyczne.

Uśmiechnęła się blado.

— Widzi pan ja nie dlatego... — przerwała.

Nie pytał, nie chciał pytać.

— Wie pan — powiedziała w końcu — Mnie coś opętało. Słyszę jakieś sygnały. Coś mną kieruje, mam coś zrobić i robię to, bo się boję, ale

nic nie rozumiem. To wszystko zaczęło się nagle... gdzieś przed godziną. Ja chyba oszalałam.

Zegna poczuł się nieswojo. — Opętana — myślał. W międzyczasie zbliżył się do wysmukłego wieżowca. Zegna z zakłopotaniem pogładził włosy. Zatrzymał się i dreptał w miejscu.

— Bardzo przepraszam — powiedział nieśmiało — jestem już u celu. Muszę załatwić pewną sprawę u profesora Lamary. A pani — tu przyjrzał się jej badawczo — pani czuje się już lepiej, prawda?

— Zupełnie normalnie. Proszę zająć się swoimi sprawami. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Odchodziła już, gdy pochwycił ją za rękę.

— Ależ nie! — było mu bardzo głupio. — Nie należy tego bagatelizować. Moja wizyta potrwa zaledwie kilka minut. Jeżeli zechce pani poczekać, pójdziemy razem do lekarza.

— Do lekarza? A cóż on tu poradzi? — zdziwiła się. — Pan nie wie, jakie przyczyny doprowadziły mnie do obecnego stanu.

— Nie wiem i nie muszę wiedzieć, jeżeli pani sobie tego nie życzy. Jednak poradę u specjalisty uważam za konieczną. Być może profesor Lamara wskaże nam adres jakiegoś specjalisty.

Zgodziła się bez przekonania. Wjechali na dwunaste piętro i przeszli długim korytarzem. Zegna zatrzymał się przed drzwiami biura Lamary.

— Ja tu zaczekam — powiedziała siadając na krześle pod oknem.

Skinął głową na znak zgody i wszedł do środka. Zastał profesora pogrążonego w lekturze głośnej pracy Samarosa. Nic dobrego sobie po tym nie wróżył. Istotnie, Lemara zabierał się do studiowania „Systematyki binetronów supemieokreślonych” jedynie w chwilach największego rozdrażnienia.

Tym razem domyślił się bez trudu, że przyczyną złego humoru profesora jest on sam. Mimo to profesor wstał i powitał go jak zawsze serdecznie.

— Gratuluję — rzekł z uśmiechem aprobaty. — Współpraca z tobą sprawia mi przyjemność.

A już miałem kompletować specjalną ekipę. Tymczasem ty... Nie pojmuję, jak to zrobiłeś? Tak gołymi rękami...

Zegna zeszywniał w pozie pełnej rezerwy. Po tym przyjaznym wstępie spodziewał się tym bardziej agresywnego ataku.

— Pan profesor wyobraża sobie pewnie, że to ja uruchomiłem podstację. Doprawdy niczego nie rozumiem. Autosemakator ruszył sam!

— No, Zegna! — uśmiech na twarzy profesora przemienił się w grymas złości.

— Tylko ty nie strugaj ze mnie wariata. Co ty tam takiego majstrowałeś?

— Otóż to właśnie, zupełnie nic. Nawet nie mogłem znaleźć uszkodzenia. Wyszedłem aby przynieść zapasowe migi do reoginatonów — skłamał — a kiedy wróciłem po kilku minutach, podstacja pracowała jakby nigdy nic.

— Zanim uwierzę w cud, będę musiał to sprawdzić. Jadę tam natychmiast! Nie ma żartów gdy takie rzeczy dzieją się bez naszej wiedzy.

— Chwileczkę! — Zegna nie wiedział, od czego zacząć. — Awarii towarzyszyło dziwne zajście na ulicy. Nie wiem, może to niepoważne, ale...

— Mów jasno, o co chodzi!

— W pobliżu podstacji spotkałem pewną kobietę...

— Co, znowu problemy miłosne? Wybacz, tym razem...

— Ależ nie! Nic w tym rodzaju. To jakaś — tu Zegna stuknął się wymownie w czoło.

Lamara mrugnął domyślnie.

— No więc, co z tego? — niecierpliwil się.

— Nie mogłem jej tak zostawić. Opowiada, że słyszała jakieś tajemnicze sygnały, a w związku z tym musi coś zrobić, coś czego nie rozumie. Ja też nie rozumiem, ale nie pytałem o szczegóły; nie byłem ciekaw. co takiego potrafi wymyślić jakaś histeryczka. Najpierw kręciła się jak bąk wokół podstacji: dokładnie w tym samym czasie kiedy siedziałem w środku, a potem biegała po jezdni, mówię panu, to było całe przedstawienie.

— Sygnały przez radio?

— Nawet nie miałem czasu oto zapytać. Najprawdopodobniej kpiła sobie z porządnych ludzi, ale mnie wzruszył ten kawał. Była sina jak nieboszczyk, no i te oczy...

— Gdzie ona jest?

— Czeka na korytarzu. Może zna pan adres jakiegoś dobrego

psychiatry. W ostatnich czasach namnożyło się wypadków tego typu...

Lamara nie słuchał. Podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz.

— Proszę, może pani zechce wejść — powiedział uprzejmie.

Weszła ociągając się.

— Kolbiter Zegna nie okazał się zbyt uprzejmy wobec pani. Gości nie zostawia się na korytarzu. Proszę usiąść, o tu, na tym fotelu.

— Właściwie to nie mam panom nic do powiedzenia i nie uważam abyście mogli mi w czymś pomóc.

— Czyżby? Proszę tak nie mówić, nigdy nic nie wiadomo. Pani interesuje się programem radiowym, a w szczególności sygnałami radiostacji BOR, prawda?

— Czy się interesuję? Jak mam to rozumieć? A poza tym nic nie wiem o radiostacji BOR.

— To taka radiostacja nadająca zaszyfrowane komunikaty. Właśnie te sygnały słyszała pani dzisiaj?

— Doprawdy przykro mi. ale nie wiem o czym pan mówi. Zaszło tu pewnie jakieś nieporozumienie.

— Ach, zapomniałem wyjaśnić, że jeżeli o cokolwiek panią pytam. to nie po to, aby zaspokoić pustą ciekawość. Chciałbym, wyznam jak najbardziej szczerze, pomóc pani, jeżeli okaże się to konieczne, a być może i sobie. bo widzi pani... jak to wyrazić... nastąpił dziwny zbieg okoliczności. Pani spacerowała sobie wokół podstacji na skrzyżowaniu Szesnastej Autobieżni z Pomarańczową i dokładnie w tym samym czasie nastąpiła awaria autosemakatora. Oczywiście absurdem byłoby przypuszczać, że to pani uszkodziła nam podstację, raczej skłonny jestem sądzić, że to podstacja... Mówiła pani o jakiś sygnałach. Zegna, czy dobrze zrozumiałem?

— Więc o to pan pyta! Mylicie się panowie obaj. Nie miałam na myśli sygnałów radiowych. Sygnały, o których mówiłam, słyszałam ot tak wprost, jak siebie słyszę, gdy mówię. A nawet nie, niezupełnie tak samo. W każdym razie nie pośredniczył w tym żaden odbiornik radiowy.

— A skąd one biegły, jeśli można wiedzieć?

— W dalszym ciągu nie rozumiemy się. Te dźwięki dobiegały do mnie bezpośrednio, bez udziału słuchu, nie mogę więc określić ich źródła. ani wskazać kierunku skąd nadbiegały. Zresztą, mogły powstać w moim mózgu. właśnie takie odniosłam wrażenie.

— O ile mi wiadomo, to fale elektromagnetyczne odbierać można przy pomocy rezonatora. Wobec tego, albo nie były to fale elektromagnetyczne, albo mózg pani jest rezonatorem fal. Wybacz pani jeżeli zakwestionuję obie hipotezy.

— No i na tym, jak sędzę, urywa się nasza rozmowa.

— Chwileczkę, proszę się nie denerwować. Te dźwięki... czy może je pani dokładnie opisać? Będę bardzo zobowiązany.

— To były jakieś piski, bulgoty, gwizdy... Narastały i zanikały... ale zaraz wracały znowu, coraz bardziej intensywne. Sądziłam, że słyszą je wszyscy. Na ulicy nie zauważyłam żadnej zmiany, tyle tylko, że stopniowo traciłam kontrolę nad tym, co robiłam. Naraz straciłam panowanie nad sobą, zrobiło mi się słabo, zaplątałam się w przewód i upadłam.

— Niech mnie! — przerwał jej Zegna. — O jakim przewodzie pani mówi?

— No o tym, który rozwijałam na ulicy — odpowiedziała zdziwionym pytaniem.

Zegna chciał o coś zapytać, Lemara, który stał za nim, wbił mu ołówek pod łopatkę.

— Ten przewód rozwinęła pani również wokół podstacji? — zapytał miękko.

— To było konieczne. Ale wszystko skończyło się w momencie mojego upadku.

— Skończyło się? A co mianowicie?

— No, ten cały piskliwy koncert.

Zapadło milczenie. Zegna kręcił się na swoim miejscu, nie mógł już wytrzymać. Profesor dał mu znak, by milczał.

— Zastanawiam się — rzekł przechadzając się po pokoju — do kogo panią skierować. Im szybciej, tym lepiej — atak może się powtórzyć. Jak sobie przypominam, to doktor Adon zajmował się w swoim czasie podobnymi przypadkami. Wprawdzie to nie jego specjalność, ale osiągnął w tej dziedzinie nawet dość znaczny rozgłos. Zegna!

— Słucham!

— Zaprowadzisz panią do doktora Adona?

— Z przyjemnością!

Lamara napisał na kartce adres doktora i wręczył ją kolbitrowi.

Wyszli. Profesor stał przez chwilę i nad czymś rozmyślał. Nagle coś sobie przypomniał, podszedł do biurka, włączył aparat i wywołał numer doktora Adona. Doktor znajdował się w zasięgu aparatu. Lamara odczekał chwilę.

— Pora jest niezbyt odpowiednia, ale też, jak uważam, sprawa nagląca — powiedział, gdy doktor uniósł już głowę znad jego punktowej wizytówki. — Przed chwilą skierowałem do pana pacjentkę z pewnym psychicznym zaburzeniem. Ta kobieta na ogół mówi zupełnie do rzeczy. Tylko... ona zakłada z góry coś, co traktuje jako powszechnie wiadome i oczywiste, a co dla nas jest niedorzeczne. Poza tym słyszała, a raczej spostrzegła, jak sama mówi, zupełnie bez udziału zmysłów, jakieś tajemne odgłosy, sygnały — rozumie pan. Naturalnie byłyby to sprawa jakich wiele: kompleks Mega, uraz powigadowy — sam już nie wiem co... Jest w tym jednak coś, co daleko odbiega od szablonowych przypadków. Ona w jakiś sposób, w sposób który stanowi dla mnie zagadkę, spowodowała zerową pulsację autosemakatora. To sędzę zainteresuje pana?

Doktor Adon nie odpowiedział.

— Halo! Czy pan mnie słyszy?

— Tak, słyszę! — Adon otrząsnął się z zamyślenia. — Sygnały? Ona wspominała o sygnałach?

— Tak. Podobno paraliżowały jej wolę. Mówiła też o gwizdach. Jeden z moich pracowników spotkał ją na ulicy. Wie pan, ta kobieta twierdzi uparcie, jakoby musiała owinąć naszą podstację jakimś przewodem. Nikt tego nie widział, oczywiście brednie.

— Zaraz! Co takiego? Gwizdy? Rano miałem pacjenta z podobnymi objawami. Czy może wspominała coś o problemach geometrycznych?

— Nie wiem, co ma pan na myśli. Może ona sama panu opowie, tak będzie najlepiej.

Właśnie przed chwilą opuściła moje biuro w towarzystwie kolbitera Zegny, skierowałem ich do pana.

— Proszę ją zatrzymać!

— Dlaczego?

— Przeczuwam coś niedobrego. Niech poczekają u pana. Ja znajdę swojego pacjenta i za dwadzieścia minut przyjedziemy. Zdaje się, że tu nie ma żartów. Zatrzyma ich pan?

— Zgoda, już biegnę!

— A więc, do zobaczenia.

Profesor Lamara pobiegł w stronę windy. Dogonił ich w momencie, gdy zamierzali wsiąść do kabiny. Wyjaśnił o co chodzi. Kobieta nie protestowała, zgodziła się czekać, Zegna czuł wzrastające podniecenie. Zapomniał już o umówionym spotkaniu z Ewą, w całości pochłonęła go ta dziwna sprawa.

Czekali na Adona prawie godzinę i już zaczęli się niepokoić, aż wreszcie na ekranie ukazała się twarz zdenerwowanego lekarza.

— Przepraszam, ale miałem trudności z odszukaniem mojego pacjenta. Moja sekretarka zanotowała na szczęście jego adres. Pojechałem tam natychmiast po naszej rozmowie, lecz nikogo nie zastałem. Już miałem odjechać, gdy z sąsiedniego domu wyszła jego sąsiadka i wyjaśniła mi, że pan Gipach, tak się nazywa, wyszedł dość wcześnie rano i dotychczas nie powrócił. Pomyślałem, że zważywszy jego stan, atak mógł się ponowić, a wobec tego należy go szukać w medesach. Szukałem tu i tam, nikt nic nie wiedział. Wreszcie dyżurny szesnastego medesu potwierdził, że człowiek o tym nazwisku został umieszczony w ich placówce. Teraz jestem w poczekalni. Lekarz dyżurny poinformował mnie, że z Gipachem nie mogli sobie poradzić. Wygadywał różne brednie, usiłował przechodzić przez ściany, a przede wszystkim domagał się kategorycznie, aby mu nie przeszkadzano w pracy. Nie udało się nawiązać z nim porozumienia, przy byle okazji protestował. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł wstawienia go pod natrysk z zimną wodą. Pomysł, o dziwo, zadziałał i Gipach uspokoił się natychmiast. Teraz robi wrażenie zupełnie normalnego. Rozmawiałem z nim. A u was co słyhać? Jak się czujecie?

Spojrzeli na siebie zdziwieni, Lamara wzruszył ramionami.

— Pani...

— W dalszym ciągu nic mi nie dolega — zapewniła kobieta.

— Dlaczego pan pyta?

— No bo tu w medesie, jeden z lekarzy dostał ataku. Jego zachowanie przypomina objawy jakie miał Gipach. Proszę, jeśli nie robi to wam różnicy, przyjedźcie tu wszyscy razem. Dobrze by było przeprowadzić konfrontację. Ja nie mogę się stąd ruszyć, bo Gipacha zapakowano do łóżka. Ci ludzie niczego nie rozumieją.

— A pan coś z tego rozumie?

— Na razie nic, ale pośpieszcie się. Być może tego wymaga sytuacja.

W piętnaście minut później samochód wiozący całą trójkę zatrzymał się przed budynkiem medesu. Doktor Adon czekał przed wejściem. Nastąpiło krótkie powitanie, podczas którego kobieta przedstawiła się jako Seba Soby.

— Proszę panów, nie wiem — powiedział doktor gdy znaleźli się przed drzwiami izolatki — czy pani Soby życzy sobie abyście asystowali przy naszej rozmowie.

— Nie mam nic przeciwko temu — zapewniła Soby.

— Tym lepiej — Adon spojrzał na profesora Lamarę. — Zresztą sprawa ta dotyczy nas wszystkich.

Weszli do izolatki. Al Gipach leżał otulony białą pościelą. Uśmiechnął się do wchodzących.

— Chciałem zadać państwu kilka pytań — zaczął doktor Adon.

— Zaraz — Soby przyglądała się badawczo Gipachowi. — Myśmy się już gdzieś widzieli, nawet nie tak dawno, jeżeli się nie mylę.

Gipach uniósł się na pościeli.

— Przepraszam, ale nie przypominam sobie.

— Tak, jestem tego pewna. Był pan dzisiaj rano w kawiarni „Wspomnienie”, ja też tam byłam.

— Istotnie tak było — zgodził się Gipach.

— Pani ma doskonałą pamięć — Zauważył Lamara.

— O! Pan Gipach narobił takiego zamieszania. Wszyscy zwrócili na niego uwagę.

— Rzeczywiście. Zamierzałem wstać i wyjść, bo wydawało mi się, że znów słyszę te przekłete gwizdy. Zawadziłem o stół, który się przewrócił i stąd to całe zamieszanie.

— Państwo siedzieli w pobliżu siebie? — zapytał doktor Adon.

— Nie! — Gipach spoważniał nagle — dzieliło nas kilka stolików. Teraz przypominam sobie.

— A ten lekarz, ten który zachorował po pana przybyciu, on pana rozbierał?

— Nawet go nie widziałem. Rozebrał mnie pielęgniarz. Lekarz był podobno w innej części w budynku. Opowiadano mi, że przez cały czas był przytomny. Sam się rozebrał i położył do łóżka.

— Czy to mu pomogło?

— Niestety, nie.

— A pan zaraz poczuł się po kąpielu lepiej, tak?

— Prawdę mówiąc, już na chwilę przedtem odzyskałem panowanie nad sobą.

— Co znaczy „panowanie nad sobą”. W jaki sposób się to ujawniło?

— Identycznie jak u mnie w domu, kiedy uciekłem ze swego pokoju. Gwizdy umilkły, przestałem sobie wyobrazać te różne cuda, o których panu mówiłem.

— Może przypomni sobie pan dokładnie gdzie i kiedy to nastąpiło?

— W szatni, w momencie gdy mnie rozebrano i szedłem pod natrysk. Mówię szedłem, ale właściwie to ciągnął mnie tam pielęgniarz. Mogę panu wskazać to miejsce dokładnie.

— Czy dokładne ustalenie tego miejsca może mieć jakieś znaczenie?
— zapytała Soby.

— Sam nie wiem, co tu może mieć znaczenie — odpowiedział Adon.

— A pani otrzeźwiała w chwilę po upadku? Czy zauważyła pani coś szczególnego?

— Chyba tylko to, że dokładnie w tej samej chwili umilkły sygnały.

— Przed waszym przyjazdem dowiadywałem się w różnych miejscach, a szczególnie w medesach. Nikt nic nie wie, nigdzie nie zauważono podobnych przypadków. Nie wiem, co o tym myśleć, trzy przypadki to jeszcze nie epidemia, ale jest to już niepokojące.

Drzwi izolatki otworzyły się z trzaskiem. Do wnętrza zajrzał lekarz.

— Kolego — zwrócił się do Adona. Mamy dziwny przypadek. Przed paroma minutami przywieziono pacjenta z oderwanymi wybuchem palcami prawej ręki, drugą rękę też ma pokaleczoną. Podobno wybuch spowodował naręczny komputer z serii zemax. Pacjent jest elektronikiem, chciał zajrzeć do środka aparatu.

— To bzdura! — krzyknął Lamara. — Zemaxy nie wybuchają. Nie ma w nich nic, co mogłoby spowodować wybuch!

— A jednak... — Tak twierdzi pacjent i takie są podobno fakty — odpowiedział lekarz.— Skontaktowałem się z policją — jej funkcjonariusz jest na miejscu wypadku. Na razie nie ma pewności, co wybuchło, a nie chce tam nic ruszać. Czeka na ekipę specjalistów i inspektora Hobbena. Inspektor jest zainteresowany tą dziwną sprawą.

Polecił mu nie opuszczać mieszkania.

— Czy pacjent nie powiedział jakiej firmy był ten zemax? — spytał Lamara.

— Tak, powiedział. Zemax firmy „Mirax”, nowy typ, kupił go wczoraj.

Gipach wyskoczył z łóżka.

— Gdzie jest moje ubranie! — krzyknął. Dajcie mi moje ubranie! — wolał wybiegłszy na korytarz.

Obecni zerwali się z miejsc. Tylko Lamara zachował spokój.

— Gdzie on biegnie? — krzyknął Zegna. Profesorze, biegnijmy za nim!

W głębi mrocznego korytarza przewalały się przez siebie jakieś jasne plamy. Po chwili rozpoznali w tym piżamę Gipacha, który szarpał się z czymś, czego w ciemności nie mogli zidentyfikować. Gipach zachowywał się jak umysłowo chory w ataku furii. Wypręzał się do tyłu, a po chwili robił gwałtowny skłon do przodu. Odwrócony był do nich tyłem w ten sposób, że zasłaniał przedmiot, który miał przed sobą, a z niego właśnie wyrzucał kolejno części swej garderoby. Przy każdej kolejnej sztuce wydawał z siebie nieartykułowany wrzask.

Soby z przerażenia zasłabła i osunęła się na podłogę. Tu i ówdzie otwierały się drzwi i wyglądały z nich przestraszone twarze. Chorzy na widok tej sceny szybko zamykali drzwi pokoi. Zegna pierwszy przemógł się i pobiegł w kierunku szaleńca. Jednak Gipacha już tam nie było; przemknął się korytarzem i pobiegł w kierunku dyżurki.

Zegna podniósł z podłogi torbę.

— Czy nie można zapalić światła? — zapytał spokojnie.

— Tam, do okna! — profesor Lamara był już przy nim.

W korytarzu poza nimi dwoma nie było już nikogo. Doktor Adon wyprowadził Scbę Soby.

— To mi wygląda na szpitalną torbę — zauważył Zegna, gdy zbliżyli się do okna. Zaraz, impregnowany worek... W takich torbach przechowuje się ubranie i rzeczy pacjentów.

Lamara był zdumiony. Co też ten Gipach wyrabiał.

— On, zdaje się, walczył ze swoimi rzeczami. Może to zostawić? — zaproponował Zegna.

Stali nad workiem i nie wiedzieli, co robić.

— Albo nie! I tak trzeba to sprawdzić.

Wysypali zawartość na podłogę. Z torby wypadł jedynie zemax Gipacha. Przeszukali dokładnie cały korytarz, ale nic nie znaleźli. Lamara stuknął się w głowę, podniósł i obejrzał zemax.

— Jasne! Już rozumiem. To jest zemax firmy „Mirax”. Gipach dostał nowego ataku, tym razem ze strachu. Machał tym workiem, a nam się wydawało... Chodźmy stąd.

Lamara zarzucił sobie worek na ramię i skierował się w stronę wyjścia. Zegna spojrzął pytająco. Profesor zrobił krok do przodu, następnie cofnął się i poprawił torbę.

— Sądzę, że zemax nie powinien wybuchnąć. Ten poraniony elektronik chciał go przecież rozebrać.

Zegna wstrzymał oddech. Lamara szedł do przodu, torba wisiała mu na ramieniu. Wtem usłyszeli krzyk, po chwili usłyszeli go znowu.

— To tam! W tym samym pokoju, co poprzednio! — Lamara jednym susem był przy drzwiach, tu zawahał się na chwilę. Zegna nacisnął klamkę. Na łóżku leżał blady mężczyzna. Po ubiorze rozpoznali w nim lekarza. Ręce zaplątane w koc i oparte o ścianę, oddech urywany, jak gdyby po wielkim wysiłku.

— To pan krzyczał? — Lamara rozejrzał się po pokoju.

Milczenie, lekarz ani drgnął, patrzył w sufit. Zegna potrząsnął leżącym.

— Zostaw go! — Lamara Odciągnął kolbitra na bok. — To ten opanowany radiogwizdem. Zostań tu na chwilę i przypilnuj go. Ja wezwę pomoc.

— Może lepiej...

— Zostań, mówię! — zaraz dowiemy się czegoś.

Lamara wyszedł i podniósł torbę. Niósł ją wzdłuż korytarza powoli i uważnie, jakby się obawiał uszkodzić jej zawartość. Wreszcie postawił ją pod ścianą. Rozejrzał się. Ale w pobliżu nie było nikogo z personelu medesu. Z pokoju za nim dał się słyszeć hałas.

— Co tam się dzieje, Zegna? — zawołał.

— O panie profesorze, co on wyrabia!

— Już tam idę!

— Zaraz! On coś ciągnie! Nic nie widzę, ten przeklęty koc. Nie! A niech to. On ciągnie za swój zemax, chce go zerwać z ręki!

Lamara poczuł się niewyraźnie — znowu zemax — w pośpiechu poślizgnął się i upadł. Podniósł się i wpadł do pokoju. Zegna nawet nie spojrział w jego kierunku. Siedział pochylony nad chorym i oglądał jego ręce. Lamara zajrzał mu przez ramię. Lekarz trzymał prawą dłoń na przegubie lewej ręki. Zegna przemocą odginał mu kurczowo zaciśnięte palce. Nastąpiło krótkie zmaganie, pod palcami ukazał się gruby pasek od zemaxa.

— Zegna! — Lamara nie wierzył własnym oczom. — Puść go, zwariowałeś’?

— O tu! Niech pan spojrzy! — kolbiter wskazał okolice paska na rękę lekarza. Skóra wokół paska była pokaleczona, cała dłoń umazana krwią.

Lamara zmarszczył brwi.

— Coś ty tu wyrabiał? Kto to zrobił?

— No chyba nie ja — zdenerwował się Zegna.

Odpięli pasek. Lamara obejrzał zemax ze wszystkich stron.

— Nie specjalnego — zauważył — oprócz tego, że jest to zemax taki sam, jaki miał Gipach, firmy „Mirax”. No to mamy już dwa egzemplarze — powiedział do Zegny. — Zabieramy to cudo!

— Fajna zabawa — wymamrotał między dzwoniącymi zębami Zegna. — Jestem tylko ciekaw, jaką dawkę dostaniemy w międzyczasie. Więcej, radzę!

— Nonsens. Trzymaj!

Lamara wcisnął mu w rękę zemax i poszedł po torbę. Kiedy wrzucił do niej zemax, serce zamarło mu na moment w niepojętym lęku. Uciekać? Nie wiedział dlaczego, ale oczekiwał natychmiastowego ciosu w twarz, w oczy, spodziewał się huku detonacji, a jednocześnie wiedział, że to wszystko jest niedorzeczne, bo niby dlaczego miałyby nastąpić.

— Musimy to sprawdzić, Zegna — powiedział wyjaśniająco do kolbitra.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i obaj równocześnie chwycili za własne zemaxy.

— Cholera, czy aby nie za późno? — Zegna z grymasem wstrętu odpinał pasek.

Wtem ciszę korytarza zakłócił ostry głos dobiegający z zawieszzonego pod sufitem głośnika:

— Uwaga! Uwaga! Podaje się specjalny komunikat: Profesor Lamara proszony o wyjście przed budynek medesu! Sprawa bardzo pilna!

Cisza, wzdłuż korytarza zadzwonił pogłos.

— Powariowali, czy co? — Lamara nie mógł ze zdenerwowania odpiąć paska. Wreszcie rozerwał sprzączkę. Wrzucił swój zemax do torby. Zegna swój zmiądzzył obcasem.

— Zabieramy torbę i biegniemy do wyjścia! — komenderował Lamara. — Nie wiadomo do czego się jeszcze mogą przydać!

— Ani mi się śni! — usiłował sprzeciwić się Zegna.

Lamara nie zważając na jego protest, biegł już w kierunku wyjścia, gdy nagle potrącił wychodzącego z pokoju lekarza. Popatrzyli na niego przez chwilę. Wyglądał na przytomnego i był zdziwiony ich zachowaniem.

— Na ulicę! Szkoda czasu — zawołał Lamara.

Przed budynkiem medesu Seba Soby, Gipach i doktor Adon wsiadali do samochodu.

— Wsiadajcie szybko! — zawołał do nich Adon — wszystko wyjaśnię w drodze.

— Nie bardzo jest co wyjaśniać — poinformował ich Gipach, gdy już ruszyli. — Po prostu kupiłem dwa zemaxy firmy „Mirax”, jeden z nich mam w domu. Jedziemy aby go zabrać.

Kolbiter nie wytrzymał.

— Jeżeli chcecie mieć państwo dobre samopoczucie, to radzę wam rozstać się z zemaxami — powiedział, oglądając się na niknący w oddali budynek medesu. — Najlepiej od razu przez okno.

Adon obejrzał się i nacisnął na hamulec.

— Proszę nie zmniejszać szybkości — powiedział Lamara — zaraz wyjaśnię. O! Co to jest? Pani zemax jest uszkodzony? Radzę go natychmiast zdjąć!

— Tak, uderzyła nim podczas upadku, wtedy, wie pan...

— Ciekawe. Więc zaraz po tym upadku odzyskała pani równowagę psychiczną?

— Nie rozumiem, czemu wiąże pan ze sobą te zupełnie odrębne zdarzenia. Sygnały umilkły po upadku...

— Tylko dlatego, że upadek spowodował uszkodzenie zemaxa. A pana doktora zemax przypadkiem nie uwiera?

— Dziękuję, nic mi nie dolega. — Adon potraktował to pytanie, jak pytanie o zdrowie. Czy już pan nie ma o czym mówić? Nie uwierają mnie ani zemaxy, ani zdalnie sterowane radionakazy, chyba tylko te, z którymi mam do czynienia na co dzień.

Lamara pochylił się w stronę kolbitra.

— Zegna, mimo wszystko wydaje mi się, żeśmy odrobinę przesadzili. Przecież nasze zemaxy były w porządku...

Soby poruszyła się niecierpliwie.

— Co panowie... cały czas o tych zemaxach. Powiedzcie mi, co się stało, tam w korytarzu medesu. Pan Gipach nadal temu wydarzeniu formę tragedii. Podobno jego torba miała wybuchnąć?

— To nie torba pani Sebo... — Lamara przypalał papierosa. — To jego zemax.

— Tak! — potwierdził Gipach — ale skąd pan o tym wie?

— Zbadaliśmy to zaraz po pańskim pośpiesznym odwrocie. Miał pan zemax firmy „Mirax”. Zemax pana i obezwładnionego tą dziwną chorobą lekarza, który leżał w pobliskim pokoju były produkcji tej samej firmy. One działają z jakąś niezrozumiałą siłą na osoby, które je noszą. Wyobraźcie sobie, a to już przekracza granice mego pojmowania, przy pewnej odległości nie działają, ale w zbliżeniu ich oddziaływanie powoduje zakłócenia w ludzkim mózgu. Najpierw niczego nie podejrzewaliśmy, ale fakty są niepodważalne. Po zdjęciu zemaxa z ręki, choroba, czyli zakłócenia natychmiast ustępują.

Zapadło milczenie. Samochód przejechał kilka ulic, ominął śródmieście i skierował się na autostradę podmiejską. Tu Adon zwiększył szybkość.

— Znam te okolice — powiedział — ale w ciemności mogę przegapić pańską willę.

— Powiem gdzie skręcić. gdy się zbliżymy — uspokoił go Gipach. — Panowie, coś sobie przypominam. Kiedy dzisiaj przed południem wracałem z kawiarni, wydało mi się, że obraz domów i ludzi spotykanych na ulicy został powielony jakąś lśniąca powłoką. Wszystko to, na co patrzyłem, było lekko przyćmione. Teraz wiem — to była fikcja, ale wtedy byłem poważnie zaniepokojony. Uroiłem sobie olbrzymią bańkę mydlaną, na jej powierzchni coś wirowało, rozmazywało się szerokimi liniami, to znów falowało wszystkimi kolorami tęczy, jakieś zygzaki,

niknące punkty — zupełnie jak w bańce.

Otóż ja znajdowałem się we wnętrzu tej bańki. Ona obejmowała mnie całego, a nawet sięgała znacznie dalej i poruszała się tam wszędzie, gdzie ja szedłem. Czasami była zupełnie przezroczysta — znikala mi, potem pojawiała się na nowo. Znikala w momentach, kiedy usiłowałem przyjrzeć się jej fragmentowi, pojawiała się natychmiast kiedy patrzyłem na chodnik, wtedy widziałem ją kątem oka.

— Czy całej tej scenie akomponiowały owe niezidentyfikowane sygnały? — zapytał Lamara.

— Tak! Panie profesorze, proszę sobie wyobrazić walec metalowy w kształcie grubego słupa telegraficznego. Dysponuje pan nieskończoną ilością takich słupów. Pierwszy wkopany jest pionowo w ziemię, inne stawia pan kolejno na nim, coraz wyżej i wyżej. Załóżmy, że jest to możliwe, czyli może je pan stawiać pionowo jeden na drugim, tak bez końca.

— No więc? Co mam z tym zrobić?

— Niech pan je ustawia, do tego właśnie dążę.

— Zgoda, już ustawiłem: jeden, drugi, trzeci...

— Zaraz. Musi pan wyobrazić sobie tę kolumnę jako coś realnego. Stoi pan pod nią, a ona wciąż rośnie i rośnie. Aby obserwować jej wienchołek zadziera pan wysoko głowę i rozgarnia chmury aby nie zasłaniały widoku. Już musi pan odejść dalej, aby lepiej widzieć i dalej, bez końca, stawia pan nowe słupy. Ostatnie na wysokości kilkunastu kilometrów są już ledwie widoczne, następne giną, rozmywają się na tle nieba. Teraz podąża pan do nich myślą i kontynuuje swoją budowę. Cała konstrukcja ma być doskonale prosta i pionowa — wie pan o tym, toteż praca jest teraz trudniejsza. Naraz ostatni fragment kolumny wymyka się wyobraźni, wygina się na boki — odmawia posłuszeństwa. Pan stoi na ziemi u podstawy i może temu zapobiec jedynie myślą. Korzystanie z tego przywileju na nic się jednak nie przydaje: po wyprostowaniu wierzchołka. wygina się inna część kolumny, ta mianowicie, która w danej chwili nie była objęta wyobraźnią. Teraz nie ma już mowy o dalszej budowie: nie może pan ogarnąć umysłem całej kolumny, jednocześnie wszystkich jej elementów i choć wszystkie jej części wyobrażone oddzielnie wydają się doskonale proste — całość krzywi się zupełnie wyraźnie.

— Czy pan już od urodzenia boryka się z takimi problemami? — zapytał Adon.

— Opowiadam o tym, co mi się zdarzyło na ulicy. Zadzierałem głowę i budowałem tę swoją wieżę, ale oczywiście w żaden sposób nie mogłem jej zbudować. Zrobiło się małe zbiegowisko, jedni zadzierali głowy i lustrowali niebo, inni przyglądali się im wzruszając ramionami. Wreszcie ruszyłem w kierunku domu i tu spotkała mnie nowa niespodzianka — ocknąłem się w medesie. Byłem zamroczony i zdezorientowany, toteż nie pamiętam, jak tam trafiłem. Sądziłem, że ogarnia mnie obłąd.

— To nie był żaden obłąd — odpowiedział Adon. Teraz już wiemy, co to było. Jest to oczywiste. Ale cała ta historia z oddziaływaniem zemaxów, ta siła działająca na ludzki mózg... Z czym my właściwie mamy do czynienia? Co to wszystko znaczy? Może zemaxy wytwarzają jakieś silne pole elektromagnetyczne? To pole może zakłócać funkcje ludzkiego mózgu.

— Wykluczone! — Lamara nie mógł się z tym pogodzić. — Siła z jaką działają zemaxy nie jest proporcjonalna do źródła energii, jakim każdy z nich dysponuje, chyba, że nie jest to pole elektromagnetyczne. Natężenie pola elektromagnetycznego wzrasta stopniowo w miarę zbliżania się do jego źródła, tu natomiast działanie zaczyna się przy pewnej, ściśle określonej odległości, natężenie osiąga od razu pewną wartość, tak jak gdyby to pole — jeżeli chodzi tu o pole — było skwantowane.

Zresztą nie martwmy się tym. Na pewno zostanie to zbadane. Jutro o niczym innym nie będzie się mówiło.. Już widzę zdezorientowany tłum, a na jego czele naukowców łamiących sobie głowy nad tym nieprawdopodobnym figlem natury. Zawsze wiele problemów było do wyjaśnienia — teraz dojdzie jeszcze jeden, tym odrębny od innych, że domagający się natychmiastowego rozwiązania. Jakże trudno patrząc na szaleństwa innych samemu pozostać biernym. Wielu — niektórych znam osobiście — z braku innych argumentów, będzie chciało posłużyć się tym zjawiskiem w obronie swych sklerotycznych teorii, inni — tych będzie najwięcej — podniosą całe zdarzenie do rangi cudu, to znaczy wytłumaczą wszystko w sposób, który niczego nie tłumaczy lecz tylko komplikuje i zaciera niejasne, a wszyscy razem, zarówno ci, którzy będą wiedzieli o czym mówią, jak i ci, którzy tego nie będą rozumieli, podniosą

wielki wrzask i zamieszanie. Sądzę, że panika jest nieunikniona. Wszystkie zemaxy pójdą na złom, a co się zdarzy w międzyczasie, tego już nie można przewidzieć. Tak czy owak, jutro rozpęta się burza. Teraz zastanawia mnie co innego. W dalszym ciągu nie rozumiem jak firma „Mirax” mogła skierować je do sprzedaży niesprawdzone. A w ogóle skąd mamy pewność, że te zemaxy są produkcji tej firmy?

— Są oznaczone ich znakiem firmowym — odpowiedział Zegna.

— Tak, na pewno! — odezwał się Gipach — przecież kupilem je w sklepie „Miraxu“, a jest i to ich sklep firmowy.

— Nie nasze zmartwienie — wtrącił się Adon — to już wyjaśni policja. Ciekaw jestem, czy jutro wezwą nas wszystkich na przesłuchanie? — dodał.

— Sądzę, że jest to oczywiste — odpowiedziała zdziwiona wątpliwościami Adona Seba Soby.

— Już dojeżdżamy — oznajmił Gipach. — Pierwsza na lewo, panie doktorze.

— Teraz już trafię sam — odpowiedział Adon.

Adon zręcznie lawirował po wąskich alejkach. Wreszcie wjechał w długą aleję, zakręcił i stanął.

Od strony alei willa była prawie niewidoczna. Zasłaniał ją posadzony wzdłuż ogrodzenia gęsty żywopłot. Dalej, gdy weszli na ścieżkę, spoza rozchwianych wiatrem gałęzi wyłonił się dom. Przed nim ciągnęła się bardzo malownicza część ogrodu. Inni poszli w stronę domu.

Zegna pozostał w tyle — rozglądał się. Przed sobą słyszał odgłosy kroków na żwirowanej ścieżce. Za zakrętem mignęła mu sukienka Seby. Po chwili usłyszał głos Gipacha:

— Wejdźmy do środka!

Lamara coś odpowiedział, lecz tego kolbitrer już nie dosłyszał. Pochylił się aby wyjąć kamyk, który wpadł mu do buta.

Wtedy od ulicy wstrząsnął powietrzem huk detonacji i zaraz po tym uderzył w niebo słup kwitnącego ognia, który objął ich samochód.

Inspektor Hobben był niskim, krępyim brunetem o mocno przerośniętej szczęce. Jego podwładni — zarówno ze względu na jego charakter jak i wygląd — nazywali go pieszczotliwie buldogiem. Jego asystent, Robert, był całkowitym przeciwieństwem inspektora. Wysoki,

chudy blondyn o niebieskich oczach, miał w sobie coś chłopięcego.

Gdy przekroczyli próg sekretariatu firmny „Mirax” sekretarka z zawodową uprzejmością zaproponowała im:

— Może panowie zechcą spocząć. Dyrektor za chwilę panów przyjmie.

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości — pomyślał Hobben — sadowiać się w wygodnym fotelu sekretariatu dyrekcji.

Nie czekali długo. Po kilku minutach w drzwiach dyrektorskiego gabinetu stanął sam dyrektor zapraszając ich do środka.

— Co panów do mnie sprowadza? — spytał sadowiać się za dyrektorskim biurkiem. Już bardzo dawno nie miałem przyjemności być wizytowanym przez policję — dodał z ironią.

— Powodem naszej wizyty są produkowane przez pana firmę zemaxy typu XT-10, które od kilku dni są sprzedawane w naszych sklepach — odpowiedział zwięźle Hobben. — Żądamy natychmiastowego wycofania ich ze sprzedaży, udostępnienia nam ich technologii, schematów i to natychmiast!

— Niestety, jestem zmuszony odmówić — przerwał mu Reper. — Zgodnie z prawem, schematy i technologia produkcji są objęte tajemnicą produkcji i nie mamy obowiązku ich udostępniać nikomu — nawet policji.

— Wiem o tym, ale nie w tym przypadku — odparł Hobben. — Nie w przypadku gdy sprzedawany produkt zagraża życiu, zdrowiu i mieniu współobywateli.

— Zupełnie nie rozumiem o czym pan mówi, panie inspektorze? Może będzie pan tak uprzejmy i przedstawi mi fakty?

— Mówię o tym, że produkowane przez waszą firmę zemaxy typ XT-10 są, jak dotąd, powodem okaleczenia jednego człowieka — wybuch spowodował urwanie palców prawej ręki; doprowadziły do choroby psychicznej troje ludzi i zniszczyły samochód powodując wybuch, który był przyczyną pożaru. Jest to bilans dnia wczorajszego. Jakie szkody wyrządzają te elektroniczne „cuda” dzisiaj, nie jestem w stanie przewidzieć. Zależy to ilości egzemplarzy, które wasza firma wypuściła na rynek, oraz od tego jak szybko je ze sklepów i od nabywców wycofamy.

— Co ma pan do powiedzenia w tej sprawie — panie dyrektorze?

Reper zbladł. Usiłował zapalić papierosa. Ręce zaczęły mu dygotać. Zrezygnował.

— To co pan mówi jest nieprawdopodobne! Niemożliwe! Jest to prawdopodobnie jakiś zbieg okoliczności. Szalone nieporozumienie!

— Zdarzenia, o których mówiłem. są sprawdzone! — przerwał mu Hobben. Proszę się streszczać! Nie mamy czasu na dyskusję!

Roper przełknął ślinę.

— Wobec tego opowiem panom jak do tego doszło — zaczął z wyraźnym wysiłkiem. — My zemaxów typ XT-10 nie produkujemy. my je tylko sprzedajemy. Jak dotąd otrzymaliśmy od dostawcy zaledwie dwadzieścia sztuk. Dzisiaj mamy otrzymać następną dostawę — pięćdziesiąt sztuk.

— Nie rozumiem — przerwał mu Hobben — przecież na każdym zemaxie jest znak waszej firmy?

— Zaraz wszystko wyjaśnię — podjął Reper. W poprzednim tygodniu zgłosił się do nas pewien człowiek, przedstawił się jako inżynier elektronik. Zademonstrował nam zemax o nie mających sobie równych walorach użytkowych, nadzwyczajnej pojemności i funkcjonalności. Oferował dostawę tych zemaxów, które jak twierdził produkuje w małych ilościach. Proponowaliśmy przejąć produkcję, ale się na to nie zgodził. Ponieważ jego oferta cenowo nie była wygórowana, zgodziliśmy się na firmowanie jego wyrobów i ich sprzedaż w sieci naszych sklepów. Mieliśmy nadzieję, że z czasem przejmemy ich produkcję. Tego, że zemaxy mogą zagrazać otoczeniu — nie przewidzieliśmy, podobne przypadki nigdy się nie wydarzyły. Jesteśmy gotowi ponieść związane z naszą błędną decyzją konsekwencje. I jest to wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia. Służę nazwiskiem i adresem naszego dostawcy: Ros Beyar, Meloza. Słoneczna 32.

Ulica Słoneczna była małą uliczką należącą na peryferiach Melozy. Dom z numerem 32 też i nie wyróżniał się niczym szczególnym. Hobben zapukał do drzwi na pierwszym piętrze, na których przymocowano tabliczkę z nazwiskiem; Ros Beyar — elektronik. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich nie młody już, szpakowaty mężczyzna. Z pod grubych czarnych brwi obrzucił ich nieufnym spojrzeniem.

— Panowie do kogo? — spytał.

— Policja! — odpowiedział Hobben. — Szukamy Rosa Beyara.

— Ja jestem Beyar!

— Wobec tego jest pan aresztowany, pod zarzutem działania na szkodę zdrowia, życia i mienia współobywateli! Robert! Załóż mu kajdanki! — rozkazał asystentowi.

— Co ja takiego zrobiłem? — usiłował protestować Beyar.

— Chodzi o zemaxy typ XT-10, które pan podobno produkuje i które dostarczał pan firmie „Mirax” — poinformował go Hobben.

Beyar ze skutymi rękami usiadł na krześle i coś do siebie cicho pomrukiwał. Przez chwilę w pokoju panowała cisza, którą przerwał Hobben:

— Żądam od pana wyjaśnień! Proszę mi wyjaśnić, dlaczego produkowane przez pana zemaxy wybuchają lub doprowadzają ich użytkowników do zaburzeń umysłowych? A tak w ogóle, to gdzie je pan produkuje — bo przecież nie w tym mieszkaniu?

— Ja ich nie produkuje — odezwał się Beyar — ja je znalazłem.

— Proszę pana! — krzyknął Hobben. — Ja nie mam czasu na wysłuchiwanie bzdur. Można znaleźć jeden zemax, no dwa, ale nie dwadzieścia, które już pan dostarczył firmie „Mirax” i nie pięćdziesiąt, które zobowiązał się pan dostarczyć im dzisiaj. Gdzie ma pan zemaxy na dzisiejszą dostawę?

— Tam w szafie — Beyar wskazał na ubraniową szafę stojącą pod ścianą.

— Robert, sprawdź! — padło polecenie.

Asystent otworzył drzwi szafy. W jej wnętrzu stał karton wypełniony zemaxami typ XT-10.

Wysypał je z pudła na podłogę i przeliczył. Zgadzało się.

— Czy w dalszym ciągu będzie pan twierdził, że te wszystkie zemaxy są znalezione? — spytał Hobben uśmiechając się ironicznie.

— Tak! Tak będę stwierdził, bo to prawda, której okoliczności opowiem:

Lubię włóczyć się, ot tak, bez konkretnego celu, żeby poznać kraj, w którym żyję. Jako emeryt mam dużo czasu. Po śmierci żony mam go jeszcze więcej. Na początku poprzedniego miesiąca wybrałem się na pustkowie prowincji Semola-bi. Byłem tam sam, tylko z plecakiem i małym namiotem. Dzicz, przyroda, samotność — to lubię. Rozłożyłem się obozem pod takim niewielkim wzgórzem. Kilkanaście kęp krzaków, małe

źródło, można było się tam zatrzymać. Gdy następnego dnia wstałem rano, słońce dopiero wschodziło. Z oddali usłyszałem jakiś szum, dobiegał spoza wzgórza, pod którym rozbiłem obóz. Zaintrygowało mnie to. Wdrapałem się szybko na wzgórze i zobaczyłem lecący w moją stronę poduszkowiec. Zbliżał się powoli w linii prostej dokładnie do miejsca gdzie stałem, minął mnie, spłynął w dolinkę i zatrzymał się prawie przy moim namiocie.

Gdy dobiegłem do niego, pojazd stał już na ziemi. Jego pokrywa pękła, jak przekrojona na krzyż pomarańcza. Jej ćwiartki rozwarły się ukazując mi swoje wnętrza. Zajrzałem do środka. Dwie trzecie pojazdu zajmowała komora, cała była wypełniona tymi zemaxami. Na oko, kilka tysięcy sztuk. Pomyślałem sobie, to można sprzedać — zwyciężyła chciwość. Zamaskowałem pojazd, aby go nikt nie znalazł. Zabrałem z niego siedemdziesiąt zemaxów.

Więcej nie weszło do plecaka. Resztę historii panowie znają — nie mam nic do dodania. O tym, że te zemaxy są niebezpieczne nie miałem pojęcia.

— Robert! — zwrócił się Hobben do asystenta. Zawiadom natychmiast Radę Bezpieczeństwa i K-BON, że odnaleźliśmy poduszkowiec!

— A pan, Beyar, pójdzie z nami, wskaże pan miejsce, gdzie ukryty jest poduszkowiec. I mam nadzieję, że pana opowieść nie okaże się fantazją!

Było już późne popołudnie. nadciągające z zachodu chmury. ulepiające szaro-czarną barwą horyzont. zapowiadały ulewny deszcz. W bezpiecznej odległości kilku policjantów otaczało poduszkowiec. Kilku z nich było uzbrojonych w broń przeciwpancerną.

Zemiss stał z Dyksterem na wzgórzu wznoszącym się ponad małą doliną. w której wylądował poduszkowiec.

— Spodziewa się pan ataku czolgów? — zażartował. zwracając się do Dykstera.

— Nie przesadzajmy — odpowiedział Dykster. — Takiego horroru nie przewiduję. ale powinniśmy być przygotowani na wszystkie niespodzianki. Na przykład na to. że poduszkowiec nagle zechce stąd odlecieć, a my nie możemy do tego dopuścić.

— Czy wszystkie zemaxy zostały dostarczone? — spytał Zemiss.

— Tak, mamy komplet z wyjątkiem tych, które wybuchły. Ci, którzy je kupili w sklepach „Miraxu”, odnieśli je szybko do komisariatów policji, zaraz po ostrzegawczym komunikacie radiowym. Według zeznań Beyara, zabrał ich z poduszkowca siedemdziesiąt. Ilość zgadza się co do sztuki.

— Mam pewne wątpliwości, czy nie działamy zbyt pochopnie. Może należało popracować nad nimi, to jednak musi być bardzo ciekawa technologia i jaka funkcjonalność — zastanawiał się Zemiss.

— Wykluczone! Nie możemy narażać ludzi na tak wielkie ryzyko — odparł Dykster. Każdy z tych zemaxów jest zaopatrzony w system samoredukcji. Rzecz znana i u nas. Wszystkie wywiady go stosują, jeśli chcą ubezpieczyć dokumenty lub urządzenia przed penetracją. Biorąc pod uwagę obcą nam technologię... — nie mamy żadnych szans, aby ominąć zabezpieczenie. Jedynym logicznym posunięciem jest ich zniszczenie!

— Więc na co czekamy? Wkrótce zapadnie zmrok — zapytał Zemiss.

— Na specjalną jednostkę armii. Lecą helikopterem, będą tu za kilka minut. Są wyposażeni w odpowiednie materiały i oni to załatwią!

Za oknami biura zapadł już mrok. Dykster dopił którąś z rzędu kawę, która i tak już na niego nie działała. Byli już bardzo zmęczeni. Od rana przesłuchiwali osoby związane ze sprawą zemaxów i sondy. Lista przesłuchiwanym była dość długa, a zeznania dokładne.

Wszystko to co mówili przesłuchiwani, każdy szczegół był istotny. Z początkowego chaosu wyłoniły się fakty. Wreszcie mieli pełen obraz sytuacji.

— Nareszcie koniec — powiedział Dykster zwracając się do Zemissa. Profesorze, możemy podsumować!

— Ano możemy — zgodził się Zemiss masując dłońią czoło. — Można podsumować całe wydarzenie w kilkunastu lakonicznych zdaniach. Pozwoli pan, że zacznę?

— Proszę!

— W bezludnej części prowincji Semola-bi. — zaczął Zemiss — przed szesnastoma miesiącami wylądował statek — sonda, wysłana przez obcą nam cywilizację. Sonda stała tam przez piętnaście miesięcy przez nikogo nie zauważona. Co w tym czasie robiła? Tego niestety nie wiemy. Jest pewnym, że nie stała beczynnie. Może w tym czasie

rejestrowała fale radiowe. badała klimat albo florę i faunę. a może wysyłając odpowiednie urządzenia robiła fotografie zamieszkiwanych przez nas terenów? Jest jednak pewnym, że w tym czasie rozpoznała ludzką cywilizację na tyle dokładnie, że była w stanie ten fakt wykorzystać. Po piętnastu miesiącach pobytu, wysłała poduszkowiec wypełniony zemaxami — czyli przedmiotami powszechnego użytku — w prezencie dla szczęśliwego znalazcy. Przypadek — a może nie przypadek — sprawił, że znalazca się znalazł — w odpowiednim czasie i miejscu.

Dalej rozwój wypadków jest logiczny. Gdy dysponuje się taką ilością towaru trzeba gdzieś go sprzedać — jest to oczywiste. Ale dalszy ciąg faktów, które nastąpiły dla nabywców zemaxów typ XT-10 już taki oczywisty nie jest. Bo zakupione zemaxy zakłócając funkcjonowanie mózgów swych użytkowników doprowadzały ich do obłądzenia. a w kilku przypadkach spowodowały eksplozje samoredukcyjne.

— Można to wytłumaczyć — przerwał Zemissowi Dykster. — Po prostu nie ma urządzeń doskonałych. Jakiś niewielki błąd w programie i zemax czuje się zagrożony; wtedy program uruchamia samoredukcję. Poza tym musimy uwzględnić, że były to prototypy, bo nie było możliwości sprawdzenia ich działania na ludziach. Stąd, jak sądzę, ta pomyłka i wpadka.

Jednak najbardziej istotne w tym wszystkim jest to, że zemaxy są urządzeniami, które miały spenetrować ludzki mózg. Chcieli z ich pomocą wysondować nasze mózgi. Zbadać naszą psychikę, wiedzę, inteligencję. Ten zamiar się im nie udał — nie wszystko się udaje — nie przewidzieli, że działanie zemaxów spowoduje takie zakłócenia. Wiedzą o nas bardzo dużo, za dużo, jak na mój gust. Sonda nie prowadziła rutynowego rozeznania naszej planety. Przynajmniej w kategoriach w jakich my rozumiemy. Ona prowadziła akcję szpiegowską i muszę wyznać, że jestem bardzo zadowolony z tego, że jest uszkodzona i nigdy stąd nie odleci.

— Niestety, muszę pana rozczarować. Pan się myli — przerwał mu Zemiss. — Doszedłem do wniosku, a raczej jestem tego pewien, że sonda odleci...

— Skąd ta pewność? — spytał Dykster.

— Wiąże się to ze sprawą tej olbrzymiej jamy, którą odkryliśmy pod sondą, tych dziewięciu tysięcy metrów sześciennych gruntu, który znikł.

Sądę, że grunt ten rozłożony na atomy został wchłonięty przez sondę i jest uzupełnieniem jej paliwa. Poza tym, obserwatorzy donoszą, że w jej wnętrzu coś się dzieje. Rejestrują niewystępujące dotąd dźwięki. Jej dolna płyta zwiększyła szybkość obrotów z dziewiętnastu do dziesięciu godzin na jedną dobę, co wskazuje na to, że sonda szykuje się do startu.

Dykster zastanawiał się przez chwilę wysłuchawszy relacji Zemissa.

— Bardzo dobrze! — powiedział po chwili. Nawet lepiej, że odleci — stwierdził stanowczo. — Nie będziemy zmuszeni zanieczyszczać naszego środowiska.

— Nic z tego nie rozumiem — przyznał Zemiss. — Fakt, że odleci, w niczym nie polepsza naszej sytuacji.

— Odleci, ale nie doleci... Zaopatrzymy ją na drogę w prezent — powinniśmy się zrewanżować za zemaxy — kontynuował Dykster. — Zaopatrzymy ją w odpowiedni ładunek nuklearny, a gdy już będzie daleko od nas, w przestrzeni... to wtedy... — I nic mnie przed tym czynem nie powstrzyma — dodał. Niezależnie od tego czy za pancierzem tej sondy kryją się inteligentne żywe istoty, czy steruje nią automat — komputer — byłby to niezwykle inteligentny komputer — moja decyzja jest ostateczna. W imię odpowiedzialności jaka na mnie ciąży podjąłem taką decyzję. Bo może, a nawet na pewno, nie za rok ani nie za dziesięć lat, ale może za sto lat nasi wnukowie mogą być zaatakowani przez obcą cywilizację. Boję się inwazji na naszą planetę. Muszę działać w interesie bezpieczeństwa ludzkości.

Teoria Nadistot

(Jednolita teoria względności życia)

Aby wykluczyć ewentualne wątpliwości, podkreślam już na wstępie, że przedstawiona poniżej Jednolita Teoria Względności Życia jest całkowicie oryginalna: przy jej formułowaniu nie czerpałem wiadomości z żadnych innych publikacji na ten temat, ponieważ nic nie wiem o ich istnieniu. Wszystkich ciekawych, którzy by pytali o światowe autorytety z zamiarem dotarcia do samego źródła przedmiotowej wiedzy, pragnę w ten sposób zapewnić, że nie znam ani żadnych powag naukowych gotowych wspierać tę logiczną konstrukcję zbudowaną z faktów i argumentów, ani nie potrafię ocenić liczby jej zwolenników, gdyż teorię tę opracowałem samodzielnie, nie inspirowany przez nikogo. Dla mnie Nadistoty są faktem niewątpliwym.

Założmy teoretycznie, że na świecie pojawił się przybysz z przyszłości, ktoś zapoznany z jej osiągnięciami, kto nie nosi w kieszeni dyplomu pozorującego wiedzę, ale potrafi usunąć część ogarniającej nas tajemnicy. Z kim taki człowiek mógłby się porozumieć? Autentyczne pragnienie poznania okazują jedynie ludzie w wieku od pierwszego do siódmego roku życia. Ale to są dzieci. W grupie uczniów między siódmym i dwudziestym czwartym rokiem życia nasz przybysz również nie znajdzie wspólnego języka: ludzie miażdżeni trybami naukowego obrzydzenia zatykają uszy na dźwięk słowa nauka. Powtarzam: naturalną reakcją inteligentnego umysłu na przymus jest niechęć do przyczyny, która go wywołuje.

Trzecią grupę mieszkańców Ziemi tworzy rzesza skończonych absolwentów. I nie chodzi mi o to, że taki absolwent niczego już nie pamięta: niechby wszystko zapomniał! Ale jest to niemożliwe. Absolwent łatwo zapomina wszystko, co przemocą kładł sobie do głowy w noc przed egzaminem. Nie może tylko usunąć ze swej pamięci strachu przed tym egzaminem, kiedy świadomość wypełniło mu widmo możliwości przekreślenia jego życiowych planów. Nawet po wielu latach w obecności takiego człowieka, gdy rozmowa dotyczy problemów nauki,

nie wolno używać ścisłych terminów, gdyż słowa te — poprzez mechaniczne skojarzenia — wywołują w jego podświadomości przykry obraz nocy przed egzekucją.

Więc potencjalnych rozmówców przybysz z przyszłości musiałby szukać wśród uczonych aktywnych. A gdyby wiedział, że po wielkim Newtonie ostatnim prawdziwym uczonym, który się ujawnił był Einstein i, że od czasu kiedy przebrzmiały jego słowa wysiłki nauk powołanych do rozwiązywania tajemnicy świata zmierzają w niewłaściwym kierunku? Rzecz prosta, chodzi tu tylko o badania podstawowe, gdyż w dziedzinie zastosowań praktycznych wiele zrobiono, by nasze życie uczynić wygodniejszym: kiedyś sami musieliśmy spacerować po słonecznych lasach i kąpać się nad brzegami ciepłych mórz; teraz — patrząc w ekrany telewizorów — możemy obserwować, jak robią to za nas inni.

Lecz dlaczego przybysz nie mógłby porozumieć się z uczonym? Ponieważ w rozmowie na tematy naukowe rozdzieliłaby ich bariera szacunku dla tradycji. I tak, gdyby przybysz spytał, co niezwykłego jest w człowieku, który każe siebie nazywać nadzwyczajnym, uczony odpowiedziałby, że przybyszowi brak „elementarnego wykształcenia”, bowiem na drabinie tytułów profesor nadzwyczajny stoi niżej od zwyczajnego. Więc mądrość uczonych polega na tym, by „nad” czytać „pod” — powiedziałoby biedne dziecko po przerobieniu zdania „Aela ema kaotea”, w którym chodzi tylko o to, że Ala ma kota.

Tak wkuwa uczeń objęty obowiązkiem poznania „tajemnicy” uczonych, profesor zaś, świadom nieścistości jaka tkwi już w tytule naukowym na okładce jego dzieła, będzie mówił o wieloletniej tradycji i potrzebie składania jej hołdu. Bo tylko kult tradycji wymaga, by nieaktualna teoria razem z głupstwem w tytule przechodziła z pokolenia na pokolenie.

Jednak czy tradycja ma coś wspólnego z nauką? Absolutnie nic! Cele ich są przeciwstawne: pierwsza wskazuje wstecz, a druga naprzód. Tradycja dąży do utrzymania nonsensów, zaś nauka zmierza do ich eliminacji i gorsze teorie zastępuje lepszymi, przy czym proces ten jest nieskończony. W mojej „teorii nadistot” przedrostek „nad” niczego nadzwyczajnego nie wyraża: Każda istota jest nadistotą dla organizmu stojącego niżej.

W teorii nadistot świadomość nie jest zjawiskiem, lecz żywym

organizmem. Istota ta (raz nazywamy ją umysłem, kiedy indziej duszą) nie jest przejawem aktywności mózgu, jak mylnie sądzimy — jest odrębnym bytem, który egzystuje w ciele człowieka. Dlatego wierzę w możliwość oderwania umysłu od mózgu.

Teoria ewolucji sformułowana przez Darwina dotyczy życia na Ziemi od początku jej istnienia do czasów współczesnych. Moja teoria nadistot jest uogólnieniem tamtej: sięga daleko w przeszłość i w przyszłość oraz poza Ziemię. Wyraża ona ogólny pogląd na życie rozwijające się w czasie i w przestrzeni. A oto jej zarys:

Teoria Nadistot

W pozornym chaosie licznych form życia jakie występują na ziemi możemy wyodrębnić kolejne jego generacje i nadać im nazwy według specjalności naukowych, które się nimi zajmują. Oto zestawienie:

generacja obejmuje

0. chemiczna minerały

1. botaniczna rośliny

2. zoologiczna zwierzęta

3. psychologiczna umysły

Przy drugim oraz trzecim szczeblu życia trzeba zaakcentować fakt, że pod łącznym określeniem „człowiek” rozpoznajemy z łatwością dwie zasadniczo odrębne istoty. Jedną z nich (bez wątpienia niższą) jest organizm zwierzęcy w postaci ludzkiego ciała razem z jego mózgiem, toteż tę istotę zaliczymy do generacji zoologicznej, drugą jest umysł człowieka, który sklasyfikujemy w generacji psychologicznej. Za możliwością dokonania takiego podziału przemawia fakt, że życie duchowe da się odróżnić od fizjologicznego, przy czym świadomość człowieka jest niepodzielna w takim samym znaczeniu, w jakim niepodzielne jest jego ciało.

Przywołajmy do pomocy znane dziś powszechnie ustalenia nauki z ewolucją świata organicznego na czele i przyjrzyjmy się uważnie łańcuchowi generacji. Widzimy najpierw, że życie samoczynnie komplikuje się i doskonali: wyłania się z form niższych i przechodząc przez określone etapy rozwojowe — zmierza ku formom wyższym. Następnie — wobec braku ostrych granic działowych między kolejnymi

generacjami (wszędzie znajdujemy ogniwa pośrednie) — stwierdzamy, że w przyrodzie mamy do czynienia z nieprzerwanym ciągiem form pośrednich, zaś nasza klasyfikacja akcentuje tylko ważniejsze etapy w nieustannym pochodzie życia.

Zauważmy jeszcze — co wyraźnie wskazuje wiedza zgromadzona przez biologię — że omawiany ciąg jest szeregiem ściśle powiązanych ze sobą producentów i konsumentów. Nie ma na świecie żadnego stworzenia, które egzystowałoby poza tym łańcuchem w całkowitej materialnej izolacji; przeciwnie — każda istota zajmuje w nim swoje określone miejsce: jest konsumentem materii zorganizowanej na szczeblu niższym lub własnym i zarazem producentem swego ciała, które — potencjalnie — staje się materiałem konsumpcyjnym dla istoty ze szczebla wyższego.

Są to prawdy dziś dla nas banalne, ale trzeba je powtórzyć w celu pełnego uzasadnienia końcowych wniosków:

1. Rośliny samożywne budują swe organizmy ze związków nieorganicznych, czyli opierają się na generacji chemicznej lub — gdy są pasożytami — na własnej.

2. Zwierzęta samożywne karmią się roślinami, więc opierają się na generacji botanicznej lub — kiedy są cudzożywne — na własnej.

3. Umysły samożywne egzystują na zwierzętach czerpiąc z nich energię, zatem opierają się na generacji zoologicznej lub — jeśli są cudzożywne... e nie wyciągajmy przedwczesnych wniosków.

Zwróćmy przy okazji uwagę na fakt, że w naszym kontekście „konsumować” nie znaczy „zabijać” w każdym przypadku; czasem znaczy to żyć w symbiozie (brać coś i coś innego w zamian), kiedy indziej — ograniczać tylko przyrost naturalny jakiegoś gatunku. Człowiek zabiera kurom jajka, strzyże owce, doi krowy, podbiera miód pszczołom, zjada olbrzymie ilości owoców — ale nie inne przecież, tylko te eksploatowane przez niego gatunki roślin i zwierząt dominują liczebnie na Ziemi właśnie dzięki człowiekowi. Do powyższego dodamy jeszcze, że tak jak zwierzęta nie mogą opierać się bezpośrednio na generacji chemicznej omijając element łańcucha pokarmowego jakim są rośliny, tak samo umysły nie mogłyby istnieć na swym szczeblu rozwojowym, gdyby nie obecność organizmów zwierzęcych z dostatecznie rozwiniętymi mózgami, ponieważ umysły nie są w stanie egzystować bezpośrednio na

roślinach.

Po ogólnym przeglądzie wszystkich znanych dzisiaj form życia stwierdzamy, że wśród wielu cech zmiennych oraz indywidualnych i ubocznych zdołaliśmy rozpoznać i podkreślić także cechy stałe, powszechne i główne atrybuty z życia obserwowanego we wszystkich jego kolejnych fazach na drabinie od chemicznej do psychologicznej generacji, włącznie ze skrajnymi. Powstał więc jednolity pogląd (a o to właśnie nauce zawsze chodzi) i na tej podstawie mamy prawo powiedzieć, że zbudowaliśmy TEORIĘ — ogólną teorię życia, której istotą jest względność poziomu tego życia na każdym etapie rozwojowym.

Każda istota zajmuje w niej swoje określone miejsce: jest konsumentem materii zorganizowanej na szczeblu o jeden stopień niższym lub własnym i zarazem jest producentem swojego ciała, które — potencjalnie — staje się źródłem energetycznym dla istoty ze szczebla o jeden stopień wyższego. Rośliny mogą budować swe organizmy ze związków nieorganicznych i są w stosunku do nich nadistotami. Zwierzęta są nadistotami roślin i żywią się nimi. Z kolei umysły czerpią energię z fizjologicznych procesów jakie zachodzą w naszych ciałach. Zatem umysły są nadistotami względem zwierząt.

Możemy teraz zwrócić uwagę na ważną zasadę obowiązującą w całym szeregu omawianych form życia: żadna istota nie postrzega bezpośrednio organizmu swej nadistoty.

Tak więc, minerały nie postrzegają roślin, te znów nie postrzegają zwierząt, które z kolei nie postrzegają umysłów ludzkich. Oczywiście, zwierzęta widzą nasze ciała, gdyż ciało człowieka należy do generacji zoologicznej. Lecz żadne zwierzę nie postrzega istoty z generacji psychologicznej, bowiem postrzegać umysł znaczy wejść do obcej świadomości i śledzić w niej przebieg wszystkich myśli. Trzeba tu jednak odróżnić osobę nadistoty od efektów jej działalności, które mogą być postrzegane przez istoty stojące na niższych szczeblach.

W podsumowaniu możemy stwierdzić:

1. Szereg generacji życia jest ciągły.
2. Każda istota opiera swój byt na przemianie materii zorganizowanej w generacji własnej lub o jeden stopień niższej w

szeregu.

3. Żadna istota nie postrzega swej nadistoty.

4. Brak odpowiednich zmysłów pozwala każdej istocie sądzić, że jej generacja zajmuje najwyższe piętro w gmachu ewolucji.

5. Istota hodowana lub uprawiana może postrzegać efekty działalności swej nadistoty lub ponad-nadistoty, lecz nie odróżnia tych efektów od zjawisk, które zalicza do naturalnych.

Teoria nadistot pozwala na sformułowanie następujących wniosków:

Przyszłość życia jest znana w takim stopniu, w jakim jest znana jego przeszłość. Ewolucja świata organicznego — o czym dobrze wiemy — nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego zdania i nigdy zapewne nie wypowie go w postaci absolutnej i otwartej. Znajomość przeszłości życia na Ziemi upoważnia nas do stanowczego twierdzenia, że jego dalsze dzieje potoczą się według dokładnie tych samych — wielokrotnie już powtórzonych i spełnionych zasad. Tego przecieŜ wymagają odkryte przez chemię organiczną, botanikę, zoologię i wreszcie psychologię — prawa naturalne, aby ilość życia przechodziła nieustannie w wyższą jego jakość.

Powstanie zatem generacja czwarta. Po niej wyłoni się piąta — również szeregową — generacja życia, na której egzystować będzie mogła następna — już szósta z kolei. Nie mamy prawa sądzić, że na jakiegokolwiek z nich skończy się jednolity dotąd łańcuch życia — możemy tylko wyobrazić sobie, że kolejne, nie nazwane jeszcze ogniwo tego ciągu zamknie się wreszcie na generacji chemicznej tworząc doskonałą całość w postaci nieprzerwanego kręgu form życia, w którym ono — skierowane i przekazywane wciąż dalej — zakreśli swój nieskończony obieg.

Wróćmy jednak do punktu wyjścia — do naszej własnej sytuacji w świecie warunkujących się wzajemnie organizmów by podkreślić, że w łańcuchu istot nie ma miejsca na osobę Boga ostatecznego, gdyż doskonałość każdego stworzenia jest wyraźnie względna. Osobnicy piątej generacji będą dla nas ponad-nadistotami, zaś ci z generacji czwartej — naszymi nadistotami, analogicznie jak my sami jesteśmy nadistotami zwierząt i jak one z kolei są nadistotami roślin.

Czy naprawdę nic najzupełniej nie potrafimy już dzisiaj powiedzieć na temat istot z generacji czwartej? — Zastanówmy się najpierw dlaczego w miejsce zarysu naszej rzeczywistej Nadistoty wyobraźnia podsuwa nam uparcie alternatywę dwóch skrajnych i oczywiście fałszywych obrazów: albo zwierzęcą postać przybysza z innej planety z olbrzymim Mózgiem i — jak się wydaje — Umysłem, albo niekreślony wizerunek Boga doskonałego w samej nieskończoności.

Dzieje się tak dlatego, ponieważ nie mamy wcale zamiaru rozpoznać i oddzielić dwóch najzupełniej różnych organizmów: zwierzęcia i umysłu. Mózg jako jedna z wyspecjalizowanych części ciała (to gniazdo umysłu) w całości należy do zwierzęcia, a o tym, co się w nim dzieje mówi fizjologia. Psychologia zajmuje się drugim osobnikiem — żywym umysłem. Nauki te nie mają na razie wspólnego języka. Opisana wyżej postać przybysza z innej planety jest według ustalonej już klasyfikacji osobą z naszej własnej, psychologicznej generacji, tyle tylko, że bardziej zaawansowaną w rozwoju, który — nawiasem mówiąc — zmierza tam prosto ku pułapce gigantomanii ilościowej, opłakiwanej już nieraz przez ewolucję w jej dziejach wypełnionych tego rodzaju błędami.

Kiedy stajemy na fałszywym stanowisku, że umysł jest tylko zjawiskiem (układem prądów przepływających w mózgu), wtedy możliwość oderwania umysłu od mózgu, jako możliwość oderwania treści od formy staje się oczywiście całkowicie wykluczona. W takim przypadku dalszy rozwój człowieka widzieć możemy tylko w nieustannym geometrycznym wzroście jego mózgu, który w nieskończoność zajmował się będzie coraz to bardziej złożonymi działaniami na rzecz fizjologii swego ciała. Człowiek taki obciążony ciężarem tego ułomnego ciała, do którego prymitywnych potrzeb będzie musiał nagiąć całą rzeczywistość materialną, piętrzył wciąż będzie wokół siebie potężny gmach inżynierii i technologii.

Naszkiecowana powyżej wizja wzrostu ilościowego urzeczywistniona już została w historii ewolucji dokładnie dwa razy, bowiem każdemu przejściu życia na wyższy stopień rozwoju towarzyszy zawsze potężna eksplozja ilościowa skierowana w ślepy korytarz zwielokrotnienia tego, co już osiągnięte. I tak najpierw — w czasie szczytu generacji botanicznej — ewolucja chciała znaleźć swój ideał w nieograniczonym wzroście roślin (skrzypy, paprocie i widłaki), następnie — w okresie dominacji

zoologicznej — powtórzyła ten sam błąd na nowym etapie: chciała stworzyć doskonałość życia w postaci olbrzymich gór żywego mięsa (gady mezozoiczne). Wiemy dobrze, że potomkowie tamtych dwóch generacji są wymownymi dowodami żalonych błędów ewolucji i widzimy jasno, że kolejna, wyższa jakość życia nie może się wyłonić z poprzedniej ilości na drodze nieograniczonego rozdymania mózgow.

Lecz kiedy zgodnie z prawdą uznamy, że umysł jest odrębnym organizmem (że jest faktycznym indywiduum ludzkim zdolnym do samodzielnego bytowania w świecie według opisanych praw konsumpcyjnych), wówczas dostrzeżemy możliwość oderwania umysłu od ciała, a razem z nią wielką szansę dalszej egzystencji człowieka na zasadniczo wyższym etapie. Postawmy teraz pytanie: Co nas upoważnia do kategorycznego twierdzenia, że to my sami królujemy na Ziemi?

W takim przekonaniu utrzymuje nas jedynie nieuzasadniona pewność, że gdyby na Ziemi istnieli przedstawiciele generacji wyższych, czy to pochodzenia kosmicznego, czy też lokalnego, wtedy widzielibyśmy ich na własne oczy. (Nadistot pochodzenia ziemskiego nie możemy wykluczyć, gdyż ewolucja już dawno mogła nas wtrącić do jednego ze swych ślepych korytarzy rozwojowych razem ze wszystkimi gatunkami roślin i zwierząt współczesnych, które obok nas wegetują nieświadome faktu, że w wyścigu w ogóle przestały się liczyć). O fałszywości tego twierdzenia (zasady, że nie ma tego, czego nie widać) przekonuje nas na każdym kroku codzienne doświadczenie: wszak zwierzęta nie postrzegają umysłów, tak samo jak rośliny nie postrzegają zwierząt, ponieważ — bezpośrednio — żadna istota nie widzi swej nadistoty.

W powyższej zasadzie natura wyraziła celnie najogólniejszy swój zakaz: żadna istota nie postrzega tego, co ją znacznie przewyższa — co należy już do następnej generacji. Doskonale potwierdzenie tej zasady znajdujemy w daremnych wysiłkach zmysłów naszych zwierzęcych ciał, które nie postrzegają bezpośrednio umysłów innych ludzi, chociażby uzbroiły się w skalpele i zaglądały do mózgow, aczkolwiek każdy umysł oddzielnie nie wątpi w swoje istnienie, gdyż o tym, że — tu i teraz — jest — zapewnia go świadomość.

Na marginesie wiedzy o tych generacjach, które mogą nas dziś hodować lub nawet uprawiać, gdyby były naszymi ponad-nadistotami, zaznaczmy, że wiedzieć i widzieć — to zupełnie co innego. Brak

możliwości poznania bezpośredniego nie wyklucza znajomości faktycznego stanu rzeczy: wiedza może bardzo daleko wyprzedzać doświadczenie zmysłowe, co nauka wielokrotnie już udowodniła.

Wróćmy raz jeszcze do perspektywicznego obrazu przyszłości. Podobnie jak kiedyś liczne rośliny zrezygnowały ze swych stałych legowisk w generacji chemicznej i wolno przekształciły się w zdolne do samodzielnych ruchów zwierzęta, tak w czasie przyszłym liczne umysły zrezygnują ze stałych gniazd w generacji zoologicznej i stopniowo przekształcą się w zdolne do bardziej swobodnego działania Nadistoty. Zostawią one za sobą cały gmach naszej cywilizacji technicznej. Ale opuszczą ten gmach zapewne bez żadnego żalu. Życiu samemu bowiem nie zależy wcale na tej pozornie tylko niezbędnej do istnienia Konstrukcji z jakiej tak bardzo jesteśmy dziś dumni, jak drzewo czy koń mogłyby być dumne ze swej imponującej nam wewnętrznej inżynierii, technologii i komunikacji, gdyż życie chce znaleźć tylko najkrótszą drogę do szczęścia.

W teorii mojej nie ma nic z naiwnej wizji Raju malowanego przez religie lub futurologów, czasem bezkrytycznych optymistów. Nie wynika z niej również nic gorszego od międzygeneracyjnej walki o byt, trwającej już od zarania dziejów, a w szczególności nie wynika z niej żaden upadek życia ani jego degeneracja. Chociaż umysły swobodne żyć będą dłużej (obecnie giną w momencie śmierci naszych ciał, pozbawione naturalnego środowiska, a nie przystosowane do życia w nowym), choć na czwartym poziomie wyłonią się nowe możliwości poznania, wzrosną napięcia wszelkich doznań i spotęguje się jasność świadomości istnienia — szczęście jest względne: każde stworzenie na nowym poziomie borykać się będzie z kolejnymi, nieopanowanymi jeszcze problemami nowej rzeczywistości.

Nie można wykluczyć przypadku, że kiedyś — w dalekiej przeszłości — powstała już raz na Ziemi czwarta generacja życia. Gdyby jej przedstawiciele egzystowali teraz obok nas (równolegle z roślinami i zwierzętami), nie moglibyśmy ich zobaczyć ani odróżnić efektów ich działalności od zjawisk naturalnych.

Nie ma podstaw do twierdzenia, że życie rozwija się tylko na naszym globie: gdzie indziej ewolucja mogła wcześniej doprowadzić do powstania wyższych organizmów. Istoty z czwartej lub piątej generacji mogły już dawno przybyć na Ziemię, lecz nie podejmują one żadnej

próby nawiązania kontaktu z nami, gdyż porozumienie między istotami, które należą do dwóch różnych generacji jest całkowicie niemożliwe.

Nic nas nie zmusza do przyjęcia wniosków wypływających z tej teorii: możemy przecież łatwo uznać, że człowiek współczesny przez kilka miliardów lat był ostatecznym celem wysiłków ewolucji ziemskiej i że jest on dziś we wszechświecie absolutnym kresem jej twórczych możliwości. Zgodnie z innym, antropocentrycznym punktem widzenia możemy też odrzucić wiedzę zgromadzoną przez biologów i założyć, że wszystkie gatunki jakie dziś spotykamy na Ziemi pojawiły się na niej w postaci gotowej, jako efekt jednorazowego aktu stworzenia.

Od wielu już lat liczne wypowiedzi uczonych i fantastów obracają się wokoło pytania: „Czy poza Ziemią istnieje życie rozumne?”. Słyszac je mam ochotę spytać, skąd bezwzględna pewność, że na samej Ziemi istnieje to rozumne życie. Bo w tamtych wystąpieniach uderza mnie przekonanie, że „rozumne” nie wymaga żadnych komentarzy. Czy w życiu Einsteina „zmarnowanym na prostowaniu krzywych i krzywieniu prostych” kanibal żyjący współcześnie z nim lecz w warunkach pierwotnych, zauważyłby coś rozumnego? Czy w ogóle można mówić o rozumie jako wielkości bezwzględnej, już tu, na naszej Ziemi, gdzie rozumnymi nazywamy tych, którzy ledwie przekraczają nasz własny poziom, zaś innych, którzy nas znacznie przewyższają, mylilibyśmy łatwo z debilami, gdyby nie obecność łańcucha pośredniczących tłumaczy?

Pytać o istoty rozumne spoza Ziemi, to znaczy zastanawiać się, czy w bezmiarze czasu i przestrzeni wszechświata, wśród nieprzeliczonej liczby wszystkich form życia rozwijającego się na wielu poziomach, egzystują gdzieś takie akurat istoty, do których celnie moglibyśmy przyłożyć nasz średni szablon, naszą własną Miarę Rozumienia. Ja na to pytanie odpowiadam lakonicznym twierdzeniem: tak, one TEŻ są. Ale czy to w gruncie rzeczy najbardziej interesuje, jak u nich wygląda odpowiednik naszego telewizora lub samochodu? Nie sądzę. Mnie najbardziej pochłania zagadka życia rozwiniętego na całej jego skali, a zwłaszcza interesuje mnie tajemnica tych istot we wszechświecie, które nas znacznie przewyższają. Nie uważam przy tym, że w swych usiłowaniach naszkicowania przynajmniej zarysu tych zasadniczo wyższych istot jesteśmy całkowicie bezradni. Tam gdzie niepowodzenia

wypływają z tradycji uporczywego wpatrywania się w niezmierną dal przestrzeni i czasu, sukces pojawia się przy próbie uważnej analizy tego, co się znajduje blisko, co nas otacza wokoło — tutaj i teraz.

Podobnie jak w innych dziedzinach tak i w mojej teorii jest bardzo dużo miejsca na wątpliwości, ale tam dopiero, gdzie od ogólnej pewności przechodzimy do szczegółów. Zarówno perspektywa przyszłości życia na Ziemi jak i jego współczesny obraz w kosmicznej dali stają się dla nas tym bardziej mgliste im śmieiej odchodzimy od ostrości ogólnego zarysu życia w poszukiwaniu coraz bardziej drobiazgowych ustaleń.

Natura życia nie przedstawia się nam w jego marszu po schodach, lecz w jego stałym dążeniu do uzyskania i powiększenia przewagi nad każdym poprzednim etapem rozwojowym. Nie ma to oczywiście nic wspólnego z sytuacją człowieka wspinającego się w ciemności po stopniach schodów. Kiedy mówiłem o ogniwach łańcucha lub o szczeblach drabiny, używałem tych określeń w znaczeniu metaforycznym. Konstrukcje te zawodzą przy zestawieniu ich z modelem prawdziwej wspinaczki życia, które niczego nie musi się trzymać poza naturalnym nakazem nieustannego rozwoju. Łańcuch, drabina, czy wreszcie schody — to tylko obrazowe przenośnie przywołanie w celu naszkicowania prostej wersji pogładowej. Więc ktoś, kto by się ich kurczowo trzymał wskazując na ostatni szczebel przystawionej do muru strażackiej drabiny jako na wizualną możliwość ostatecznego kresu rozwojowego, łatwo znajdzie defekt, ale nie w mojej teorii, tylko w niedoskonałości tamtego modelu życia. Ciągła funkcja rosnąca zilustrowana krzywą wykładniczą znacznie lepiej oddaje sens omawianego tu postępu i rozwoju.

Ja zakładam tylko jedno (czego trudno doprawdy nie przyjąć), zakładam mianowicie, iż samo życie trwało będzie nadal. A to już najzupełniej wystarczy do wyrażenia pewności, że będzie się ono doskonaliło nieustannie, dopóki będzie trwało, gdyż do tego właśnie sprowadza się jego jedyny sens.

W astronomii przyjmujemy zasadę kosmologiczną, która głosi, że we wszechświecie nie ma ani wyróżnionego miejsca obserwacji ani wyróżnionego czasu obserwacji. Cały nasz dwudziesty wiek, to ledwie banalny przecinek w grubej księdze dziejów ewolucji życia. Ekspansją czasoprzestrzenną organizmów kierują podstawowe nakazy egzystencji,

jakimi są zewnętrzne w stosunku do wszystkich istot żądania: utrzymać życie, przekazać je dalej, uzyskać przewagę, zredukować błędy, mnożyć sukcesy, rozwijać możliwości, pogłębiać doznania i potęgować jasność świadomości istnienia. Czyż można lekceważyć owe trzy miliardy lat, w czasie których (gdy tylko idzie o zachowania tamtych podstawowych nakazów egzystencji) działo się na Ziemi dokładnie to samo, co się dziś dzieje na naszych oczach, i co musi dziać się jeszcze w dowolnie dalekiej przyszłości, jeżeli tylko — stojąc na stanowisku nauki — wykluczmy wizję fantastyczną? W każdym razie, teoria względności życia wprowadzająca łańcuch generacji na miejsce antropocentrycznych złudzeń Człowieka Współczesnego, który jawnie siebie samego koronuje na tronie ewolucji, jest pierwszą próbą racjonalnego spojrzenia na rzeczywistość życia.

Umysł jest dlatego odrębnym organizmem, ponieważ życie umysłowe da się wyraźnie oddzielić od życia fizjologicznego, przy czym ciało człowieka jest niepodzielne w takim samym stopniu, w jakim niepodzielna jest jego świadomość. Mózg (siedlisko umysłu) jest jedną z wyspecjalizowanych części ciała i w całości należy do zwierzęcia, a o tym, co się w nim dzieje, mówi fizjologia. Psychologia zajmuje się drugim organizmem — żywym umysłem. Nauki te nie mają na razie wspólnego języka. Ciało operuje przedmiotami, umysł — pojęciami.

Może paść pytanie, czym zamierzam wypełnić przepaść między ciałem a umysłem. Otóż przy zachowaniu właściwego odstępstwa — zawsze oddzielającego dwie sąsiednie generacje — pozostałą lukę między ciałem a umysłem wypełnię przekonaniem, że oba organizmy są układami energetycznymi. Patrząc na drugiego człowieka dostrzegamy w nim bezpośrednio jedynie pierwszy układ energetyczny w postaci organizmu fizjologicznego, drugi układ energetyczny — w postaci organizmu psychologicznego — postrzegamy tylko u siebie „od środka” i fakt ten nazywamy świadomością.

Kiedy zgodnie z faktycznym stanem rzeczy uznamy, że umysł jest odrębnym organizmem (że jest rzeczywistym indywiduum ludzkim zdolnym do samodzielnego bytowania w świecie), wówczas dostrzeżemy możliwość oderwania umysłu od ciała, a razem z nią wielką szansę dalszej egzystencji człowieka na zasadniczo wyższym etapie

rozwojowym.

Podobnie jak kiedyś liczne rośliny zrezygnowały ze swych stałych legowisk w generacji chemicznej i wolno przekształciły się w zdolne do samodzielnych ruchów zwierzęta, tak w czasie przyszłym, liczne umysły zrezygnują ze stałych gniazd w generacji zoologicznej i stopniowo przemienią się w zdolne do bardziej swobodnego działania nasze Nadistoty.

Obronę tej tezy przeprowadzę z wielką łatwością, jeśli tylko ustalimy, że jednak nasza wiedza o rzeczywistości nie jest aż tak beznadziejnie nikła, aby jej wyznaczyć miejsce na poziomie zerowym. Efektowną konstatacją, „wiem, że nic nie wiem” możemy się ludzić jedynie z dala od ogromnej liczby doświadczeń, których dostarcza nam codzienne życie. Lecz już jakakolwiek działalność zapewnia nas o tym, że jednak wiemy znacznie więcej niż nic. A jeśli już cokolwiek wiemy na pewno, to w pierwszej kolejności wiemy, że ściany (wszystkie przedmioty martwe) podglądają nas tylko w żartach, gdyż one nie postrzegają nawet swych nadistot — roślin. Dalej mamy jeszcze pewność, że rośliny nie widzą zwierząt. Co do psa natomiast, to z całą pewnością również nie postrzega bezpośrednio organizmu swej rzeczywistej nadistoty, którą jest dla niego ludzki umysł. Postrzegać umysł — to znaczy śledzić same jego myśli, a to znów znaczy — wejść do obcej świadomości. Nie potrafi tego dokonać żadne zwierzę.

Powtarzam ogólną zasadę życia: na każdym szczeblu rozwojowym żadna istota nie postrzega bezpośrednio organizmu swej nadistoty. Lecz z twierdzenia tego wcale nie wynika, że istota nie postrzega efektów działalności swojej nadistoty. Osoba nadistoty a efekty jej działalności — to zupełnie co innego. Już roślina nie widząc samego człowieka, postrzega z łatwością część efektów jego działalności, gdy jest uprawiana w oszklonej cieplarni. Tam gdzie ciepło pochodzi z centralnego ogrzewania, światło z lamp, deszcz z rur wodociągowych, a wiatr z wentylatora, i gdzie nawet nawóz jest sztuczny, roślina rozwija się w stworzonych dla jej wegetacji warunkach, postrzegając ciepło i światło, deszcz i wiatr, przyswajają podsuwany jej nawóz (więc postrzega) i korzysta z różnych zabiegów pielęgnacyjnych przynajmniej w zakresie określonym przez swój niski poziom. W jeszcze większym zakresie

efekty działalności swych nadistot postrzegają zwierzęta hodowane przez człowieka. Rzecz w tym jednak, że żadna istota nie rozróżnia efektów działalności swej nadistoty od zjawisk pierwotnie naturalnych. Stwierdzenie to jest treścią drugiej ogólnej zasady życia. Na każdym poziomie życia mamy więc taką samą sytuację. Istota nie widzi swej nadistoty i nie rozpoznaje efektów jej działalności wśród zjawisk, które uważa za naturalne.

Każda istota może zatem sądzić, że razem z innymi stworzeniami swej własnej generacji króluje już na najwyższym szczeblu życia i że wokół niej i dla niej obraca się wszystko, czego sięga jej doświadczenie zmysłowe. Pytam: co mamy przeciwko takiej wizji życia w całym wszechświecie? I sam odpowiadam: zasłonę dymną w postaci słów „wiemy, że nic nie wiemy” puszczoną na dostatecznie ostry obraz rzeczywistości. To mamy z jednej strony. A z drugiej — fantazję o możliwości powszechnego porozumienia między wszystkimi organizmami powołanymi do życia przez ewolucję. Lecz jeśli dla uratowania poglądu antropocentrycznego przywołać musimy do pomocy bajkę, w której ściany patrzą na rośliny, rośliny nawiązują kontakt ze zwierzętami, a zwierzęta z kolei śledzą wszystkie nasze myśli, to dajemy tym jedynie wymowny obraz paniki w jaką wpada nasz antropocentryzm na wieść o pojawieniu się teorii względności życia. Ale nie ma czego się bać: teoria ta więcej nam daje niż zabiera. Odbiera nam złudzenie możliwości nawiązania kontaktu z naszymi nadistotami, gdziekolwiek one już są: na Ziemi! (?), czy gdzieś daleko w kosmosie. Daje zaś perspektywę nieskończonego rozwoju w czasie, nieustannego pochodzenia przez kolejne, coraz bardziej zawrotne piętra życia, słowem wizję przyszłości o jakiej dotąd nie mogliśmy myśleć.

Aby uniknąć nieporozumień zamieszczam omówienie pojęć jakimi się w teorii posługuję:

Każdy twór materialny jest stałą lub swobodną falą materii.

Stała fala materii — to ciało.

Swobodna fala materii — to fala elektromagnetyczna. Każde ciało

emituję energię w postaci swobodnej fali materii kosztem określonych zmian.

Postrzegać — to znaczy absorbować energię w postaci swobodnej fali materii emitowanej przez dane źródło (określony zbiór fal stałych).

Przy olbrzymiej liczbie źródeł fal, które otaczają ciało człowieka, jego narządy zmysłowe zdolne są jedynie do przyjęcia znikomej ilości bodźców.

Pamięć jest zbiorem wielu elementarnych stabilnych fal.

Umysł (ja jestem, teraz i tutaj) jest tworem materialnym — złożonym (na drodze interferencji fal podstawowych z falami emitowanymi przez elementy pamięci) — jest ostateczną ich wypadkową.

Elementy pamięci oraz wywołane rezonansem składowe umysłu gasną lub zmieniają się w różnych okresach czasu. O identyczności danego umysłu stanowi wyłącznie ciągłość trwania jego fali. Całkowite wygaszenie tej fali jest równoważne z nieodwracalną śmiercią osobnika.

Między ciałem człowieka (druga generacja życia) a jego umysłem (trzecia generacja życia) istnieje sprzężenie zwrotne. Ośrodkiem pośredniczącym w wymianie bodźców, które biegną w obu kierunkach jest pamięć.

Myślenie jest jednoznaczne z operowaniem przez umysł zasobami pamięci. Umysł jest zdolny do operowanie zasobami pamięci, które nosi cechy myślenia abstrakcyjnego.

Tamten świat

(Fragment powieści *Robot*)

A więc na tym upłynął czas mego pobytu. Czas wypełniony ruchem bezwładnym, na wpół świadomym, urozmaicony otrząsaniem się ze zdarzeń i reakcjami podejmowanymi po linii najmniejszego oporu, czas sennego trwania, bez jednej decyzji, okres oczekiwania na coś i ruchu od ściany do ściany, pobyt krótki i bezcenny, strawiony na obijaniu się o rzeczy i stany tak się zazębiające i względem siebie usytuowane, że ostatnie pchnięcie z bezbłędną precyzją skierowało mnie na tor mi przeznaczony, ku drzwiom jakimś, ku jednym z tysiąca drzwi, po to tylko, abym przekręcił w nich klucz — i na tym koniec. Zostałem więc skreślony z listy i wracałem w głąb nocy, do samego źródła, które mnie z siebie wydało. Tak to sobie właśnie zawsze wyobrażałem: powrót jako upadek w czarną otchłań.

Ale cóż to zaprzętało mi myśli? Byłby to dokonywany w czasie lotu, na krótko przed roztrzaskaniem się ostatni rachunek sumienia? Nedorzeczność: ani tak długotrwały upadek nie był możliwy, ani nie było świadomego powrotu. Co się zatem stało?

Myślałem coraz trzeźwiej. Pierwsza nasunęła mi się obawa, że Rekrut poraził mnie z miotacza, zanim mu go wyrwałem z ręki, bo miałem wrażenie, że oślepiłem. Inaczej też można było wytłumaczyć sobie wrażenie nieustannego spadania: pewnie wisiałem w przestrzeni, ciągle w tym samym miejscu, ale w stanie nieważkości, który wywoływał identyczne sensacje jak spadanie w przepaść. Ze wszystkich stron ogarniała mnie wypełniona rtęcią nieprzenikniona ciemność.

Rtęć? Skąd się tutaj wzięła albo raczej — w jaki sposób ja się w niej znalazłem? Gubiłem się w domysłach: wszystkie opierały się na założeniu, że wciąż znajduję się gdzieś nie opodal miejsca walki — o kilka zaledwie kroków od swego prześladowcy, który nie powinien opamiętać się prędzej ode mnie, gdyż w przeciwnym razie zdążyłby sięgnąć po drugi, przeniesiony z magazynu miotacz promieni. Byłem jednak zabezpieczony przed promieniowaniem lepiej, niż mogłem sobie

tego życzyć. Rtęć powstrzymałaby wysłaną przez miotacz śmiertelną dawkę. Dołączyłem do tego faktu przedziwny zbieg okoliczności, że na krótko przed atakiem Rekruta włożyłem na siebie aparat tlenowy, co teraz ratowało mnie przed uduszeniem się, i otrzymałem trudny do przyjęcia, choć narzucający się rezultat: w chwili śmiertelnego zagrożenia Mechanizm brał mnie pod swoją opiekę i robił to najlepiej, jak umiał. Ale nie mogłem się z tym pogodzić: niezwykłego zbiegu okoliczności nie chciałem nazywać cudem ani też tłumaczyć nieskończonymi możliwościami Mechanizmu.

Raz jeszcze prześledziłem w myśli, sekunda po sekundzie, wszystko, co działo się od chwili mojego wejścia do pokoju cieni, szczególnie uważnie koncentrując się na walce z Rekrutem. Co znajdowało się poza mną w momencie, kiedy zostałem przez niego pchnięty w piersi? Znałem już dobrze plan pokoju i położenie wszystkich przedmiotów w krytycznej chwili, toteż z łatwością mogłem usunąć ostatnie wątpliwości. Odpowiedź brzmiała: lustro! Rzekome lustro — dodałem. Był tam w ścianie zbiornik z rtęcią, do którego wpadłem z całym impetem. Nie pojmowałem jednak, dlaczego ta rtęć, tworząc nie osłoniętą niczym i prostopadłą do podłogi powierzchnię, nie wylewała się do pokoju, co ją tu — dookoła mnie — utrzymywało. Wycięty w ścianie z tamtej strony, wypełniony rtęcią i idealnie imitujący zwykłe lustro prostokąt nigdy by mi nie nasunął żadnego podejrzenia, chyba że dotknąłbym ręką jego powierzchni, co jednak w czasie golenia nie nastąpiło.

Zanurzony całkowicie w rtęci mogłem poruszać się w niej i pływać. Dopóki trwałem w bezruchu, nie czułem w ogóle jej obecności: ani wywołanego nią ciśnienia hydrostatycznego, które — gdyby istniało — zmiażdżyłoby mnie natychmiast, ani — co za tym idzie — opisanego prawem Archimedesza parcia ku górze, które wyrzuciłoby mnie na powierzchnię jak ciśnienie wody wyrzuca na wierzch zanurzony w niej pęcherzyk powietrza. Ale najlżejszy ruch, bodaj palcem, zdradzał natychmiast jej istnienie poprzez opór, jaki mu stawiała — opór zawsze proporcjonalny do gwałtowności ruchu ręki lub nogi. Zrozumiałem wreszcie, że przestał tu istnieć ciężar rtęci, czyli siła wzajemnego przyciągania między nią a ziemią, lecz dalej utrzymywała się jej bezwładność, to znaczy właściwa wszystkim masom zdolność do opierania się działającym siłom.

Płynąłem przed siebie coraz śmieiej. Może zresztą kołowałem w miejscu; brak stałego punktu odniesienia uniemożliwiał mi ocenę przebywanej odległości. Naraz zetknąłem się z twardą ścianą. Wpłynąłem do jakiegoś kąta. Przed sobą wyczułem okrągły otwór w stropie. Wydostałem się przezeń na zewnątrz. Gdzie? Wstrzymałem oddech. Ściągnięta z wjazdu pokrywa spoczywała z boku. Przesunąłem dłońmi po powierzchni utworzonej z szorstkich kwadratowych płyt. Odbiłem się nogami od krawędzi otworu i popłynąłem nisko nad czymś, czego jeszcze nie śmiałem nazwać, aż dotarłem do niewielkiego uskoku. Tutaj śliska i obła powierzchnia zagroziła mi drogę. Co to? Liczyłem po kolei: chodnik, krawężnik jezdni, koło z charakterystycznymi wyżłobieniami na oponie, wreszcie maska samochodu... i ręka zawieszona nad klamką drzwiczek. Serce waliło mi z podniecenia wywołanego niezwykłością kolejnych odkryć.

Przy samochodzie stał naturalnej wielkości posąg kobiety. Opłynąłem ją kilka razy wokoło. Skamieniała z rozwianymi włosami, w pozie wyrażającej gotowość do skoku na chodnik. Posąg tylko jedną stopą stykał się z asfaltem jezdni. Wodziłem po nim dłońmi: w dotyku przypominał posągi z pokoju cieni. Zdawało się, że jest tak samo jak one doskonale nieruchomy i tak samo masywny, jakby odlany z materii wielokrotnie cięższej niż ołów. Popłynąłem kilka metrów dalej: z drugiej strony samochodu stał posąg mężczyzny. Trzymał na ręku kilkuletniego chłopczyka. Zastygł w półprzysiadzie, z twarzą zwróconą ku niebu. Dziecko obejmowało go oburącz za szyję. Mężczyzna wolną ręką sięgał po leżącą na jezdni walizkę. Nie zatrzymywałem się przy nim dłużej.

Wróciłem do pierwszego posągu, przepłynąwszy doń ponad dachem samochodu. Położyłem dłonie na jego twarzy. Nie mogłem się nadziwić, wiedząc, kim jest, kogo przedstawia. Taka więc była Jeza Tena, zanim dostrzegła czarną plamę, w chwili opuszczenia swego samochodu. Okrąg zdarzeń zamknął się. Ze swym czasem teraźniejszym zostałem przeniesiony do jej przeszłości, przy czym jej czas (w tejże przeszłości), jeśli nie zatrzymał się całkiem w miejscu, to bliski był tego stanu. Dla niej ułamek sekundy, dla mnie kilkanaście minut — oto była zasadnicza różnica i wszystko inne z niej właśnie mogło wypływać. Stała przede mną spętana spowolnionym czasem kobieta, której pamiętnik zawierał opis naszego spotkania w tym miejscu. Nie musiałem widzieć jej twarzy

— i bez tego wszystko się zgadzało. Przybyłem tu dokładnie w chwili (nie liczyła się żadna inna sekunda), kiedy przepętniona trwogą pamiętnej nocy czwartego czerwca ubiegłego roku ruszała w stronę wejścia do schronu. Zamknęło się jedno z ogniw długiego ciągu przyczyn i skutków. Wiedziałem już skąd przybyły posągi do pokoju cieni. Drżałem z wrażenia, świadom mocy czegoś, co ledwie otarło się o moją wyobraźnię.

Z uczuciem wzrastającego napięcia, wywołanego oczekiwaniem na spodziewane dopełnienie się niepełnego jeszcze obrazu całości, odpłynąłem od Teny, nurkując w głąb obszaru zalanej rtęcią nocy. Wszystko było tu nią przysłonięte, zanurzone w niej aż po nieosiągalne brzegi: ściany mijanych domów, słupy latarni, sznury stłoczonych na jezdni i barykadujących chodniki aut oraz przemykające kiedyś między nimi skulone postacie ludzi — teraz ścięte znieruchomieniem zimne bryły, manekiny przykute do dna, głądzone moimi dłońmi.

Poruszałem się po omacku jak wciągnięty na dno jeziora ślepiec. Czy byłem aż tak oszołomiony, że myśl, która jako jedna z pierwszych powinna była rozjaśnić mroki mojej niewiedzy, nawiedziła mnie dopiero teraz? Przecież pływałem cały czas w powietrzu! Nie w rtęci, lecz w powietrzu, zapewne przejrzystym dla nich jak kryształ, którego bezwładność tyle razy została tu zwielokrotniona, ile razy masa posągów była większa od mojej.

Płynąc tuż ponad chodnikiem ocierałem się raz po raz o różne przeszkody. Najczęściej były to zastygłe w najrozmaitszych pozach lub fazach ruchu postacie ludzi, niekiedy zawieszony w locie nad płytami chodnika, widać powstrzymane w skoku, który wchodził akurat w skład kolejnych elementów ich szybkiego biegu. Tym osobliwociom poznawanego świata dziwiłem się najbardziej. Nie dowierzając sobie, sprawdzałem wielokrotnie położenie posągów, aby przekonać się za każdym razem, że rzeczywiście podeszwy butów oderwane były od chodnika czasami na znaczną odległość, a równocześnie cały posąg, chociaż tak masywny, wcale nie spadał, lecz trwał nieruchomo w przestrzeni, kpiąc sobie z praw świata, z którego wyniosłem zupełnie inne doświadczenia. Był to zapewne najlepszy przykład ilustrujący różnicę między masą a ciężarem ciała, ale bodajbym miał tu tylko takie kłopoty jak wyszukiwanie dobrych przykładów.

Każdy mój ruch wymagał znacznego napięcia mięśni. W zasadzie pływałem stylem naśladowującym ruchy pływaka nurkującego na dnie basenu. Ale o ileż więcej wysiłku kosztowało mnie przebycie dziesięciokrotnie mniejszej niż w basenie odległości! Od pokonywania oporu odrzucanych poza siebie wielkich mas przemienionego w rtęć powietrza stężały mi mięśnie; zmęczenie mięśni graniczyło już z bólem. Zatrzymywałem się coraz częściej kompletnie wyczerpany. Postanowiłem wrócić do otworu.

I wówczas nastąpiło to, co groziło mi od samego początku i czego dość długo udawało mi się uniknąć: zabłądziłem. Dotąd wyobrażałem sobie, że łatwo zdołam trafić do otworu, chociażby trzymając się w pobliżu krawężnika jezdni. Niestety jednak polegało na tym, że nie mogłem go odszukać. Wystarczyło jedno zbyt silne odbicie nogami od głowy jakiegoś posągu i zawisłem w przestrzeni, nie docierając do kolejnej przeszkody. Niezwłocznie zawróciłem w stronę miejsca, z którego wypłynąłem, ale było to już inne miejsce i nie zetknąłem się tam z niczym. Pomyliłem strony i straciłem kontakt z ulicą. Aby gdzieś znaleźć jakiś stały punkt oparcia, kręciłem się dookoła siebie, pływałem to niżej, to wyżej, machałem rękoma, zawracając co chwila to w jedną, to znów w przeciwną stronę. Bez żadnego skutku: równie dobrze mogłem zbliżać się do jezdni, jak i od niej oddalać.

Jeszcze raz spróbowałem zachować spokój i płynąć prosto przed siebie w jakimkolwiek obranym przypadkowo kierunku. Przecież musiałem natrafić wreszcie na ścianę jakiegoś domu. Wytrwale trzymałem się tego postanowienia przez dłuższy czas, aż do chwili, kiedy się opamiętałem, rozumiejąc już, jakie ryzyko zawiera w sobie ta pochopna decyzja. Może płynąłem prosto ku niebu! Sparaliżowany tą myślą zatrzymałem się w miejscu. Odtąd nie byłem w stanie uczynić najmniejszego ruchu, ponieważ wyobrażałem sobie, że ten ruch oddali mnie od ziemi w stronę nieba.

Nie wiedziałem już, gdzie jestem i w którą udać się stronę. Straciłem poczucie kierunku ku dołowi i ku górze. Doskonała ciemność i stan nieważkości sprawiły, że nie miałem żadnej orientacji w przestrzeni, w której pojęcia „góry” i „dołu”, tak dla mnie dotąd, oczywiście, były już tylko pustymi terminami.

Wtem ciszę rtęciowej nocy rozdarło tuż przy moim uchu basowe

chrapanie. Zamarłem na ułamek sekundy. Jednym rzutem rąk i nóg odbiłem się od tego miejsca, które — właśnie to miejsce, źródło obrzydliwego dźwięku — ukąsiło mnie boleśnie w szyję. Nie zdając sobie dokładne sprawy z tego, co robię, wyrwałem zza pasa miotacz i wypaliłem w stronę potęgującego się charkotu.

Świat zawirował mi w oczach, w oczach — które przejrzały. Stałem na wierzchołku jasnioletowego stożka, o podstawie w kształcie wydłużonej elipsy wspartej na ścianie wieżowca, którego szczyt majaczył gdzieś w dali. Z tyłu piętrzył się pionowo w górę mętny miraż zatłoczonej ulicy. Poza czarnymi plamami moich szeroko rozstawionych nóg, w odległości nie większej niż jakieś dwa metry od butów płonęła ostrym, srebrno-fioletowym blaskiem para błoniastych skrzydeł. Wykonałem zwrot i przesunąłem wylot miotacza, celując gdzie indziej. Trzymałem w ręce silny reflektor oświetlający nawet dość odległe przedmioty. Najbliższym obiektem był nietoperz. Znów skierowałem na niego wylot groźnej broni. Wcale nie płonął, jak wydawało mi się za pierwszym razem: tyle tylko, że był dobrze oświetlony. Ujrzałem, jak zadrżał lekko w poruszonym przeze mnie powietrzu, zanim znów znieruchomiał z rozpostartymi skrzydłami.

Radość przepełniła mi serce. Wielki, wypełniony strumieniem liliowego światła stożek, posłuszny ruchom mojej ręki, omiatał ścianę sąsiedniego domu. Z wolna zaczynałem domyślać się, co się stało: w ciemności rozbiłem sobie kark o zawieszzonego w przestrzeni nietoperza. To nie on się poruszył, lecz ja na niego wpadłem. Wydawane przez niego ultradźwięki, w normalnych warunkach w ogóle nie odbierane przez ludzkie ucho, tutaj słyszałem jako niskie basy. Co jednak stało się z moim miotaczem? Czy z tego samego powodu, zamiast wysyłać niewidzialne i śmiertcionośne promienie gamma, stał się źródłem światła widzialnego, jak zwykły reflektor?

Orbitowałem na wysokości kilkudziesięciu metrów nad ziemią, wznosząc nogi prostopadle w stronę nieba. Zarysowana w rozproszonym świetle miotacza i iskrząca się tu i ówdzie ulica wspinała się szerokim łukiem ponad czy raczej pod moją głową. Świat odwrócony do góry nogami doprowadzał mnie do mdłości. Przekręciłem się w przestrzeni, opuszczając nogi w kierunku jezdni. Wstęgę szerokiego cienia dziobały gdzieś odbite od niklu refleksy. Przekroiłem ją wzdłuż wylotem

miotacza: ukazały mi się w dole pudełeczka samochodów i drobne figurki ludzi.

Niewielka część obszaru powietrza zanieczyszczona była zwichrzoną mgiełką kurzu lub dymu. Z tej strony, gdzie powietrze zachowało doskonałą przezroczystość, opuszczający miotacz snop światła stawał się niewidoczny; za to tym lepiej wydobywał z ciemności i oświetlał różne sceny uliczne. Wydawało mi się, że umiem wskazać położenie wjazdu dla monterów instalacji, jak go nazwała w swoim pamiętniku Tena, czyli wylotu kanału łączącego ze sobą schron i kopię dawnego miasta. Nieco w tyle za rogim wysokiego gmachu, po przeciwnej stronie ulicy czernił się na środku chodnika mały krążek. Nie musiałem się już obawiać, że nie znajdę powrotnej drogi, bo wyjście znajdowało się w polu mojego widzenia.

Od ściany najbliższego wieżowca dzieliła mnie odległość kilkunastu metrów. Podpłynąłem do niej. Najpierw napotkałem wzrok rozebranego do pasa mężczyzny, który z silnie pobladłą twarzą stał przy oknie i przez szybę kamiennymi oczami wyglądał na ulicę. Odniosłem wrażenie, że mnie dostrzegł, ale nie było to możliwe. Musiałbym tkwić przed oknem co najmniej kwadrans, aby jego oczy mogły zarejestrować moją obecność, jako trudne do uchwycenia, bo krótkotrwałe mignięcie czarnej rozmazanej plamy. Gdyby akurat mrugał w tym czasie, to nawet tego by nie dostrzegł.

Podniosłem się do wyższego piętra. Poprzez szyby okien świeciłem do wnętrza mieszkań i zaglądałem do nich. W niektórych pokojach nie było już nikogo. Zmięte kołdry lub koce zaścielające puste łóżka, rozrzucone na podłodze, jakby pogubione części garderoby, tu wywrócone krzesło, tam stolik, gdzie indziej skorupy rozbitego wazonu czy zawartość popielniczki wysypana na prześcieradło — cały ten nieład wymownie świadczył o pośpiechu i zdenerwowaniu, z jakim opuszczali swe mieszkania ich lokatorzy. Alarm zaskoczył ich przy braku światła elektrycznego. Niewykluczone też, że budzili się i ubierali w całkowitej ciemności, bo padająca z góry tajemnicza poświata — o której pisała Tena — mogła nie docierać do wszystkich okien.

Natknąłem się na otwarte okno i wpłynąłem do pokoju. W małym łóżeczku leżały obok siebie bliźnięta. Na wygładzonej i podciągniętej pod brody kolorowej kołderce spoczywały ich wyłożone na wierzch ręce.

Dziewczynki, patrząc przed siebie w sufit, uśmiechały się nieruchomymi twarzyczkami. Gdzie się podzieli ich rodzice? Wszystkie drzwi tego mieszkania stały przede mną otworem. Również nie zamknięte były drzwi na klatkę schodową. Część zaklinowanej między piętrami windy wystawała ponad poziom podłogi. Czyjeś palce obejmowały kamienną krawędź piętra, przebijając się przez drzazgi rozbitej szybki. Zajrzałem przez wąską szczelinę do wnętrza windy. Jej więzień, młody mężczyzna, podciągał się na rękach do szpary i w tym wysiłku stęzał. Nie rozumiałem, jak mogło dojść do takiej sytuacji. Przecież winda unieruchomiona została już wcześniej brakiem prądu, a nie spowolnieniem czasu. Czy uwięziony w niej człowiek, zapewne ojciec dziewczynek, zanim znalazł się w pułapce, zjeżdżał na dół, czy przeciwnie — wracał do swojego mieszkania? Zgodnie ze źródłem wiadomości, jakim był dla mnie pamiętnik Teny, przerwa w dopływie energii elektrycznej nastąpiła jeszcze przed ogłoszeniem alarmu. Wobec tego, jakkolwiek by przyjąć wersję wypadków, nie mogłem wytłumaczyć sobie zagadki otwartego mieszkania i pozostawionych w nim bez opieki dziewczynek.

W drugim pokoju również panował wzorowy porządek. Zakłóciło go dopiero moje wtargnięcie tutaj: w wirze poruszonego przeze mnie powietrza kręciła się nad krzesłem kartka papieru. Chwyciłem ją oburącz i jak kawał platynowej blachy ściągnąłem na powierzchnię stołu. Gdy podniosłem rękę, znów zawirowała. Wzburzone powietrze nie chciało się uspokoić. Kartka zawierała jakiś krótki tekst, ale nie mogłem przytrzymać jej ręką w obawie, że oświetlę sobie palce promieniami padającymi bezpośrednio z miotacza. Może byłem w błędzie, jednak wolałem nie ryzykować. Domyślałem się, że tylko światło rozproszone na otaczających mnie przedmiotach, tylko odbite od nich nie ma własności zabójczych. Promienie z miotacza padające wprost na moje ciało mogły mnie porazić. Przycisnąłem kartkę znacznym ciężarem, a mianowicie przetoczonym na nią ze środka stołu długopisem. Nie opłacało się jednak tego robić, ponieważ treść kartki okazała się dość błaha: „Jeżeli wrócisz po północy, to zadzwoń do Sary”.

Wydostałem się ponad ulicę. Z wielu okien sąsiedniego wieżowca wychylały się postacie ludzkie. Ruch ich, jeżeli w ogóle istniał, przypominał powolnością żółwie tempo obrotu małej wskazówki zegara.

Może z tej strony było lepiej widać, czy raczej przeciwnie — prawie wcale nie można było zobaczyć, co się dzieje w górze, bo niektóre osoby wychylały się z okien aż do pasa. Twarze zastygły z oczami zwróconymi na krawędź dachu.

Na jednym z okiennych parapetów stał mężczyzna. Kiedy podpłynąłem do niego bliżej, ujrzałem go z boku. Zdziwiłem się na widok bardzo ryzykownej pozycji jego ciała. Odważył się wyglądać spoza przebiegającego ponad oknem gzymsu. Wprawdzie nogami wspierał się na parapecie, ale całym tułowiem wisi nad przepaścią. Udało mu się mimo wszystko utrzymać równowagę tylko dzięki temu, że kurczowo zaciśniętymi palcami ręki obejmował występ muru. Rękaw marynarki razem z mankietem białej koszuli ściągnęły mu się aż do łokcia, odsłaniając nabrzmiały wysiłkiem muskuł i skręcony przy przegubie ręki zegarek. Zaświeciłem z bliska: wskazówki zatrzymały się na godzinie trzeciej trzynaście. Strzałka sekundnika stała na ósemce. Czyli że do trzeciej czternaście brakowało jeszcze dwudziestu sekund. Na moim zegarku, który również widziałem w świetle odbitym od ściany, była godzina dwudziesta trzecia pięćdziesiąt osiem. Ponieważ z pokoju cieni zostałem wypchnięty mniej więcej za kwadrans jedenasta (dwudziesta trzecia — jeżeli przypadał w schronie umowny wieczór), zatem znajdowałem się w mieście już od godziny i trzynastu minut.

Godzina trzecia, minut trzynaście i czterdzieści sekund — powtórzyłem w myśli. To był aktualny czas skamieniałego miasta. Syreny odezwały się osiem minut temu — o trzeciej pięć. O godzinie trzeciej dziewiętnaście — zgodnie z relacją Teny — nastąpi katastrofa. Jeżeli nie chciałem zginąć tutaj razem z mieszkańcami miasta, musiałem możliwie najszybciej ustalić dokładny stosunek dwóch zupełnie różnych czasów.

Tempo biegu wszystkich procesów w otaczającej mnie przestrzeni było prawie niedostrzegalne. Wskazówka sekundnika na zegarku człowieka, w którą się wpatrywałem z bijącym sercem, nie zmieniła swojego położenia. Tak jak zastygła na ósemce, tak bez przerwy na niej trwała. Czyżby zegarek ten w ogóle nie chodził? To też było możliwe. Ten akurat mógł być zepsuty. Ile czasu brakowało do zapowiadającego katastrofę wstrząsu? Spojrzałem w dół, pod siebie, na drugą stronę ulicy. Znajomy płaszcz, ten sam, który wisi na poręczu krzesła w pokoju

zalanym magmą, teraz czerwienił się na drobnej sylwetce Teny. Jeszcze nie minęła czarnego krążka. Odetchnąłem z ulgą.

Snop światła, którego zarówno natężenie, jak i rozwartość mogłem regulować specjalnym przyciskiem, omiatał twarz przylepiającego się do mnie mężczyzny. Przepłynąłem na drugą jego stronę. Widziałem szeroko otwarte, jakby zastygłe w krzyku usta i niebieskie oczy śledzące nieruchomymi źrenicami czarną pustkę nieba. Tam, gdzie patrzył — w górze, nie mogłem się doszukać niczego interesującego — po prostu jednostajna ciemność; za to silny połysk na gałkach oczu mężczyzny i lśnienie spoczonej twarzy, jeżeli nie były oznakami gorączki...

Zaświeciłem przez szeroko otwarte okno do wnętrza pokoju. Ujrzałem kilkanaście osób skamieniałych w różnych pozach. Mniej więcej połowa obecnych siedziała przy długim zastawionym półmiskami i resztkami jedzenia stole. Przy szyjce wywróconej karafki kwitła na obrusie brunatna plama. Przysłaniał ją zawieszony w pobliżu łokieć podrywającej się z krzesła kobiety. Jeszcze jeden mężczyzna unosił się z siedzenia. Był już prawie wyprostowany. Wspierał się o stół zaciśniętymi pięściami, wokół których wzdęło się kilka fałd silnie zmarszczonego obrusa. Gęsta smużka tytoniowego dymu snuła mu się ponad brwiami. Pozostali ludzie siedzieli spokojnie przy stole zwróceniem do siebie twarzami albo stali z kieliszkami w rękach w różnych kątach pokoju. Ktoś podnosił filiżankę z kawą, kto inny przechylał nad ustami opróżniający się kieliszek. Większość butelek była już prawie pusta.

Alarm zaskoczył ich podczas nocnego przyjęcia. Dlaczego nie spieszyli do schronów? Czemu nie ulegli powstającej panice? Może w tak licznej grupie czuli się bardziej bezpiecznie. Może uspokajali się wzajemnie, tłumacząc sobie jakoś przyczynę nocnego zamieszania. Znalazł się pewnie ktoś, kto sam bagatelizując sytuację, umiał innym przekazać własny punkt widzenia na to, co się działo na ulicy. Zapewne alkohol był głównym sprawcą ryzykownej akrobacji przechylonego nad przepaścią śmiałka.

Ale trafiłem akurat na chwilę, w której coś się już tutaj zaczynało dziać. Jakies wydarzenie poruszyło niektórych bardziej przytomnych gości. Świadczyły o tym dynamiczne postawy dwojga osób, podrywających się ze swych miejsc. Oczy ich zwrócone były w kierunku okna. Nie mogli mnie jeszcze zobaczyć, bo moja obecność tutaj była dla

nich zbyt krótkotrwała. Więc parzyli na stojącego w oknie. Czy coś do nich mówił? Zaświeciłem mu w twarz: to był krzyk. Dopiero teraz ujrzałem posąg jeszcze jednego mężczyzny, który zderzał się ze ścianą tuż przy oknie. Nie widziałem go dotąd dlatego, że patrzyłem w głąb pokoju, a on tkwił z prawej strony, poza szybą otwartego do środka pokoju okna. Odłamki rozbitej szyby wisiały w przestrzeni objętej ramą. W nieregularnej dziurze tkwiła zanurzona po łokieć i wyciągnięta w stronę stojącego na parapecie ręka nadbiegającego posągu. Podawał ją szalonemu akrobacie po najkrótszej linii, a ta wiodła przez szybę.

Spojrzałem na zaciśniętą na gzymsie dłoń. Strzałka sekundnika wciąż stała na kresce ósemki, może zaledwie jedną dziesiątą milimetra dalej, jednak różnica była nieuchwytna. Przeniosłem wzrok na występ muru: kawał tynku razem z zaciśniętymi na nim palcami nie przylegał już ściśle do ściany domu. Przepłynąłem wyżej i zaświeciłem z góry; zobaczyłem, że urwany fragment gzymsu dzieli od muru odległość kilku centymetrów.

Odbiłem się od zewnętrznej ściany domu, aby objąć wzrokiem cały gmach. Odnalazłem zwężonym strumieniem z miotacza jasną tasiemkę chodnika i policzyłem piętra. Było ich trzydzieści sześć. Patrzyłem na zastygłą przede mną scenę, jakbym oglądał trójwymiarowe zdjęcie. Czy coś mogło go jeszcze uratować? A czy w ogóle możliwa była moja ingerencja w przeznaczony im los?

Zdjąłem z bioder pasek od spodni, zawiązałem na nim pętle i założyłem je na obydwie zbliżone do siebie dłonie: na tę, którą wyciągał w głąb pokoju spadający i na drugą — podawaną mu przez nadbiegającego. Zaraz po wykonaniu tej czynności uświadomiłem sobie, że taki zabieg nie ma tu żadnego sensu. Cóż znaczyła wątku nić pajęcza łącząca ze sobą dwie bardziej od lokomotywy masywne bryły! Należało użyć więzów należących do tego świata.

Dałem nurka w głąb pokoju. Spowodowany tym wiatr wywrócił na stole kielich z bibułkowymi serwetkami i porwał kilka z nich aż pod sam sufit. Papierki — oto, co byłem w stanie poruszyć z miejsca i chyba niewiele więcej. Rozejrzałem się bezradnie na wszystkie strony. Może jakiś sznur od żelazka — pomyślałem. Gdzie jest kuchnia? W półotwartych drzwiach stał, tarasując sobą drogę, posąg kobiety. Druga kobieta mijała ją w przejściu z uniesionymi nad głową rękoma, w których

trzymała ciężki półmisek. W tej chwili nie zdołałbym się tamtędy precysnąć, a na zmianę położenia ciał trzeba było czekać co najmniej trzy godziny. Wszystko, co wpadało mi w ręce albo sprawiało wrażenie przyspawanego do podłoża, albo zupełnie nie nadawało się do akcji ratunkowej. Przy każdym ruchu powietrza stawiało niezwykle silny opór. Dyszałem ciężko przez cały czas.

Zdobyłem się jeszcze na ostatni wysiłek i przytargałem (właśnie przytargałem) pod okno — sam nie wiedziałem w końcu po co — długą spinkę do włosów. Wyrwałem ją z warg zajętej czesaniem się kobiety. W normalnych warunkach ważyłaby pewnie kilka dekagramów; tutaj mocowałem się z nią, napotykając na taki opór, jakby uwiązana została do ust kobiety jakąś niewidzialną grubą sprężyną. Przy każdej gwałtownej próbie zmiany jej położenia wrzynała mi się w palce, przede wszystkim z powodu swej znikomej — w stosunku do masy — powierzchni. Kiedy z pokaleczonymi dłońmi zaciągnąłem ją do okna (nie było to zwyczajne dźwiganie), wysliznęła mi się z ręki i wyleciała nad ulicę. Teraz, gdy ręce zmieniły nieco swoje położenie, pasek rozluźnił się i zsunął. Nie poprawiłem go, ponieważ uważałem, że taka nić nie zdoła utrzymać masy spadającego mężczyzny, którą można było porównać chyba tylko z bezwładnością dużego okrętu. Skamieniałe w krótkotrwałym błysku dłonie nie umiały się odnaleźć, a ja nie byłem w stanie przyjść im z pomocą, chociaż miałem na to tak wiele czasu.

Ogarnęła mnie wściekłość. Nie dlatego wprawdzie, żebym aż tak bardzo przejął się losem spadającego człowieka (i tak życie jego, podobnie jak życie wszystkich tu obecnych, liczyło się na minuty, bo przerywała je zguba całego miasta), lecz z tego powodu, że okazywałem się taki bezradny w sytuacji, w której — jak mi się wciąż jeszcze wydawało — tak wiele mogłem uczynić. Byłem przekonany, że tylko sznur lub podpora wykonane z materiału, który należał do skamieniałego miasta, mogłyby utrzymać ciężar mężczyzny. Lecz nawet gdybym znalazł coś odpowiedniego, nie zdołałbym niczego przenieść na miejsce. Pot zalał mi oczy. Nie miałem już nawet siły rozgarnąć powietrza. Zerknąłem na swój zegarek. Wskazywał szesnaście minut po północy. Zawisłem nieruchomo w przestrzeni ponad głowami siedzących. Mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa.

Mijały dziesiąte części sekundy. Karafka z częścią nie rozlanej

wódki, która jeszcze przed moim przybyciem tutaj przetoczyła się nad krawędź stołu, a potem trwała na niej, jakby przylutowana — teraz wisiała już jakieś pięć centymetrów poniżej powierzchni stołu. Trwała w swym niezwykle zwolnionym, ale nieubłagane kontynuowanym spadku na podłogę. Temu samemu prawu podlegał człowiek przechylony ponad przepaścią ulicy. Na co tu właściwie zużyłem tyle energii, skoro niczego nie dokonałem? Gdzie ukrywała się przyczyna mojego całkowitego wyczerpania? Patrzyłem dookoła siebie: ponad popielniczkami stały szare słupki wirującego w powolnym tempie popiołu, zdmuchnięte moimi ruchami niedopalone zapałki zaśmiecały obrus, wyżej unosiło się kilka zmiętych bibułkowych serwetek, włosy obecnych falowały w łagodnym ruchu powietrza.

Wzrok mój spoczął na twarzy spadającego. Nie dostrzegłem na niej prawie żadnej zmiany. Jakaś drzazga sterczała mu z policzka. Patrzyłem na nią na wpół przytomnie, myśląc o czymś zupełnie innym, i naraz zrobiło mi się niedobrze. Rozpoznałem w niej zawleczoną tam przez siebie spinkę do włosów. Dla nich ruch spinki był ruchem strzały. Utkwiła głęboko w policzku, przebijając go na wylot. Sprawilem nieszczęśliwemu niedźwiedzią przysługę.

Co ja tu właściwie wyprawiałem, a przede wszystkim po co? Uświadomiłem sobie naraz, gdzie jestem, i że tam — w pokoju cieni, z miotaczem wycelowanym w lustro czeka na mnie posłaniec Mechanizmu, takie samo, jak i ja, jego narzędzie, mężczyzna z ogoloną głową. Powodowany ciekawością, jak widać silniejszą od lęku, doprowadziłem się do stanu granicznego z omdleniem i miałem stanąć przed wykonawcą wyroku (ustalonego już niewątpliwie), całkowicie wyczerpany, niezdolny do podjęcia walki o życie. Los spadającego człowieka został przesądzony — nic go już nie mogło uratować. Zgasiłem miotacz i zamknąłem oczy. Na razie nie mogło być mowy o powrocie do kanału. Zdrętwiałe ręce i nogi zwisły mi bezwładnie w przestrzeni przy obracającym się powoli ciele. Na szczęście aparat tlenowy sprawował się bez zarzutu.

Starłem się o niczym nie myśleć i nawet udało mi się trochę zdrzemnąć. Ale był to półsen niezdrowy, nękany koszmarem i duszony wewnętrznym napięciem. Słyszałem dochodzące skądś szmery i głuche dudnienia. Przez cały czas rzęziły mi i prychały w uszach jakieś

stłumione odgłosy, niepokoiły mnie rechoty nierealnych basów. Wydawałem się sobie taki mały i słaby; nieczułe, ogromne oko przestrzeni spoczywało na mnie.

Kiedy się ocknąłem, poczułem się jednak trochę lepiej; w każdym razie mogłem się już jako tako poruszać. Zapaliłem reflektor. Zegarek mój wskazywał dwadzieścia osiem minut po pierwszej. Twarze kilku osób zwrócone były do góry, oczy — jakby trochę zdumione, czy przestraszone — wpatrywały się w jakiś punkt na suficie. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, dlaczego utkwili tam swoje spojrzenia: było to miejsce mojego wypoczynku; trwałem w nim ponad godzinę. Spadająca karafka stanowiła dla mnie najlepszy — jak dotąd — miernik upływającego tu czasu. Już stykała się z podłogą, ścięta w pierwszej fazie rozbijania się o nią. Rozłupane dno zapadło się w głąb bańki, której powierzchnię rozcinały srebrzyste zygzaki pęknięć. Obejrzałem się za siebie. Na tkwiącej w okiennej ramie ręce perliło się kilka kropelek krwi, a powstrzymane w locie odłamki rozbitej szyby wisiały już nisko pod parapetem. Zamiast całej postaci spadającego człowieka, ujrzałem tylko podeszwy jego butów.

Wypląnąłem z pokoju. Od strony ulicy wyglądało to tak jakoś dziwnie: jakby stał prosto na zewnętrznej ścianie domu. Pięty wspierały się jeszcze na parapecie, rozłożone szeroko ręce szukały nie istniejącego oparcia. Patrzyłem w dół — w głąb ziejącej pod nami przepaści — i ciarki przechodziły mi po plecach. Czy rzeczywiście nie było już dla niego żadnego ratunku — zastanowiłem się raz jeszcze. Trzydzieści sześć pięter — to jakieś sto dwadzieścia pięć metrów wysokości. Przekształciłem w myśli wzór na drogę swobodnie spadającego ciała: wypadało mi w rachunku pięć sekund lotu.

Znurkowałem skosem w dół, w stronę widniejącego na chodniku czerwonego płaszcza Teny. Pokonanie dzielącej nas odległości zajęło mi bardzo dużo wypełnionego niepokojem czasu. Raz po raz spoglądałem na zegarek, wciąż wyobrażając sobie, że już lada moment nadejdzie czas katastrofy. Przecież według czasu upływającego w mieście, miała ona nastąpić za kilka minut. Przy wylocie kanału znalazłem się dopiero o drugiej piętnaście. Nie dowierzałem prowizorycznym przeliczeniom czasu. Taki byłem nieufny, nawet wtedy, gdy dotarłem do Teny i spostrzegłem ją z obydwoma nogami na chodniku, nieomal w tym

samym miejscu, gdzie ją zostawiłem, tak się rozgorączkowałem w ucieczce, że nawet nie zerknąwszy wokół siebie, wpadłem głową na dół prosto w otwór kanału. Wolałem zaraz zmierzyć się z Rekrutem, jeśli nie stracił tam jeszcze cierpliwości, niż stanąć tu oko w oko w obliczu groźby niewyobrażonej.

Ale ciekawość w końcu mnie przemogła i jeszcze raz wróciłem na poziom ulicy. Zatrzymałem się przy Tenie. Teraz — ze światłem w ręce — mogłem się jej dobrze przyjrzeć. Zwróciłem również uwagę na postać, która stała w grupie kilku osób, niedaleko nas na drodze biegnącej Teny. Silnie przechylony do tyłu mężczyzna trzymał przy twarzy aparat fotograficzny, celując jego obiektywem prosto w niebo ponad nami. Czy robił zdjęcie spadającemu? Nonsens, bo nie zdążyłby się do niego przygotować; ponadto tamten wisiał po przeciwnej stronie ulicy. Przypomniałem sobie od razu, że w czasie poprzedzającym bezpośrednio katastrofę (zgodnie z informacją zawartą w pamiętniku) wisiała nad miastem jakaś ogromna świetlana kula. Jej to właśnie — najprawdopodobniej — robił zdjęcie ten człowiek. Nawet w tak groźnej chwili znalazł się ktoś, kto zaprzętał sobie głowę troską o sporządzenie pamiątkowego dokumentu. Może spodziewał się, że jego zdjęcie, na wypadek odwołania alarmu, stanie się niepowtarzalnym unikatem?

Musiał jednak powtórzyć to ujęcie, jeżeli chciał mieć dobry negatyw, bo zaświeciłem mu z góry do obiektywu, równocześnie zasłaniając go głową. Nie zrobiłem tego dla złośliwej zabawy, ale w tym celu, by wykorzystać jedyną w swoim rodzaju sposobność do przeprowadzenia precyzyjnego pomiaru. Bo właśnie dokładnie w tej samej chwili, gdy zaglądałem w obiektyw, palec fotografującego wyzwolił migawkę. Zobaczyłem w głębi szybko rozszerzającą się jej szczelinę, która odłoniła klatkę filmu. Spojrzałem na zegarek i zmierzyłem czas naświetlania. Ekspozycja trwała sto osiem sekund, a migawka — co z łatwością mogłem odczytać przy pierścieniach obiektywu — nastawiona została na jedną setną sekundy. Miałem wreszcie dokładny związek między czasem miasta i moim. Rezultat mógł również zainteresować ludzi ze schronu; w końcu znajdowałem się tu zamiast fizyka Porejry i w jego imieniu mogłem pochwalić się przed Uneverisem otrzymanym związkiem, który być może bardzo wiele znaczył. Wynik przeliczenia brzmiał: jednej sekundzie mijającej w mieście odpowiadały dokładnie

trzy nasze godziny.

W pewnej chwili — niestety dopiero teraz, kiedy zamierzałem już opuścić to miejsce — opanowała mnie niepewność, czy światło z mojego miotacza nie wyrządza krzywdy obecnym w mieście ludziom. Nie miałem co do tego pewności i pod wpływem tej myśli zgasiałem reflektor. Przedtem w takim wypadku zapadałem się natychmiast w doskonałą ciemność. Teraz mrok również panował dookoła nie mniej kompletny, z jednym wszakże jedynym wyjątkiem: gdzieś w głębi ulicy widniało samotne okno. Świeciło się dość słabo wprawdzie, tak jakby we wnętrzu mieszkania znajdowała się jedna świeczka raczej niż żarówka — ale jednak świeciło się, co w zestawieniu z nabytą tu wiedzą o mieście wydawało mi się bardzo dziwne. Do starych zagadek doszła jeszcze jedna.

Już zanurzony po pas w otworze kanału, nie mogłem się powstrzymać, aby nie rzucić ostatniego spojrzenia w stronę spadającego. Nieubłagane prawo, któremu podlegał, czyniło widoczne nawet z daleka postępy. Człowiek nabierał już prędkości; opadł prawie o jedno piętro niżej. Jakaś stalowa zaporą — myślałem — przetransportowana ze schronu gruba płyta lub coś w tym rodzaju, gdyby się udało ją przytwierdzić do ściany tuż pod nim, na najwyższej kondygnacji, czyli możliwie najszybciej, może zdolna by była do zatrzymania jego pędu. Lecz realizacja tego pomysłu wymagałaby użycia wyjątkowych środków: dźwigu — kto wie, jak potężnego! — również wtedy, gdyby ten dźwig miał podnieść linę znaną gdzieś w mieście, aby go nią omotać, czy podać mu do ręki — wymagałaby więc mobilizacji całej ekipy nieobojętnych ludzi, a ponadto zdobycia sprzętu, jakim na pewno schron nie dysponował. Tak to się nieszczęśliwie złożyło, że właśnie tutaj, w niezwykłym miejscu, gdzie nadarzała się niepowtarzalna sposobność do uratowania kogoś straconego już w normalnych warunkach, brakowało niezbędnych środków, obecnych z kolei w nadmiarze gdzie indziej.

Odbiłem się od krawędzi otworu i wpłynąłem do środka. Wnętrze kanału okazało się dość płytką, ocembrowaną cegłami studzienką. Po wiodących w dół krótkich schodkach można się było dostać do jedynej poziomej jego odnogi, gdzie w odległości kilku metrów w zamykającej drogę przegrodzie tkwiło prostokątne lustro. Nie miałem oczywiście wątpliwości, że po drugiej stronie lustro znajduje się pokój cieni.

Zanurzyłem się w nim bez obawy, tym dotkliwiej więc odczułem wstrząs uderzenia o coś twardego, na co spadłem głową w dół po drugiej stronie. Leżałem na suficie, który z tej strony lustra okazał się podłogą. Na granicy dwóch światów zwrot pionu zmienił się widocznie na przeciwny.

Tak mnie to wszystko zmyliło, że nawet zapomniałem o czekającej tu na mnie groźbie w postaci uzbrojonego w miotacz Rekruta. Na szczęście — dla mnie lub dla niego — albo nie miał cierpliwości pilnować lustra przez trzy i pół godziny, albo — co bardziej prawdopodobne — uznał mnie od razu za straconego, kiedy zniknąłem mu z oczu. Ulotnił się razem z miotaczem, zabierając również aparat tlenowy.

Połamany i obolały, a przede wszystkim na wpół żywy ze zmęczenia, powlokłem się pustym korytarzem do swego pokoju.

Przypisy:

[1]

Opowiadanie po raz pierwszy ukazało się pośmiertnie w Nowej Fantastyce 8-9/1997 pod zmienionym przez Macieja Parowskiego tytułem *Dzikus*. W naszym wydaniu zdecydowaliśmy się na przywrócenie tytułu odautorskiego.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Przerwany film](#)

[Ciąg zdarzeń](#)

[Zapowiedź rysy](#)

[Zmowa](#)

[Anioł przemocy](#)

[Rozdwojenie](#)

[Potęga hipnozy](#)

[Na skraju nocy](#)

[Horda](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[Oaza](#)

[Byle podmuchem losu](#)

[Anonim](#)

[Otępienie](#)

[Seks kontra instrukcja](#)

[Roztrzepaniec nieświadomy](#)

[Dekoracja](#)

[Eksperymentator](#)

[I. Pery Eks obraca się wśród ludzi delikatnych \(i odczytanych\)](#)

[II. Rozmach i energia Perego Eksa](#)

[III. Tramwajada](#)

[Teoria genitonów](#)

[Sonda](#)

[Teoria Nadistot](#)
[Tamten świat](#)
[Przypisy](#)